

WYKAZ

1/520/1

ZAŁĄCZONYCH FOTOGRAFII do Pamiętnika "Wojna, ludzie, ziemia ojczy-
sta.

- I. Zdjęcie rodzinne z 1888r
2. Grób dziadka Juliana Zubczewskiego w Zakopanem, oraz blizkich krewnych.
3. Herb rodu - P R A W D Z I C -
4. Borys syn Mikołaja - Marszałek szlachty Wołynia i Podolia
5. Fotografia z 1908 roku - Ojciec, mama, bracia Mikołaj, Włodzimierz i ja!.
6. Rodzina Zubczewskich, foto z 1917 r. Ojciec z bratem Jerzym. Mama z siostrą Marią. Brat Mikołaj, Włodzimierz słuchacze II Szkoły wojskowej w Miżnie Nowgorodzie, Im-"Komuny Paryżskiej" i Ja!.
7. Adam Borowicz-Kolega ojca po korpusie Sw. Włodzimierza w Kijowie.
Pułkownik Legionów, rostrzelany wraz z synem Władysławem w 1920r.
8. Janina Zubczewska, siostra Heleny Sikorskiej z Zubczewskich, po mężu Kycia. Adoptowana jak i Helena i Władysław Sikorski przez Dziadka Juliana.
9. Ojciec Sergiusz Prawdzic Zubczewski, kadet korpusu w Kijowie lat 13.
10. Ojciec - podchorąży.
11. Ojciec - Porucznik Czugujewskiego Pułku Dragonów.
12. Ojciec po odbyciu wyroku w twierdzy - Pietropawłowskiej w 1899r. Lesniczy
13. Autor pamiętnika-Gimnazista Smielanskiej Gubernieńskiej Gimnazji. r 1917.
14. Mój teść Kuzma Bogdan.
15. Tatiana i Anna z siostrzenicą Awą - Bassok, zdjęcie Mineralnych wód z roku - 1931.
16. Mikołaj Bogdan, brat małżonki foto z Złoczowa z 1940r.
17. Foto rodzinny z 1936r. Ja, moja Bogdanka-Anna, córeczka Tatiana i syn Sergiusz
18. Foto syn i córeczka - Krasnodar rok 1938
19. Gleb Ignatienko-narzeczony mojej Anny-Kozak Kubanski, student 3 roku w Nowoczerkasku pod Rostowem na Donie.
20. Brat Włodzimierz, Ja, małżonka brata Luiza c. Feliksa i Poliny Melkowskich - Moja Bogdanka - Bohdanka- szczęśliwie pożycie małżeńskie przez długie 53lata, foto w Toruniu z 1969r.
21. Ja w Obozie w Grodnie, foto z 1950r. "Miedosz"y" szpieg, dezertyr i zdrajca ojczyzny "
22. Foto Kolektywu Stacji Maszynowo-Traktorowej w Bierzaniu pod Odessą

X/JA, Główny agronom i "Michał Jamszczikow-Główny mechanik stacji-SYCZOW,
Właściciel majątku - Syczowka, pod Odessą, po śmierci żony i córki w Warkucie
ukrywający pod nazwiskiem Jamszczikow.

J. Zubarewski -

Uwagi autora

Na Bessuzii, wydawczych, asystenta, listego, pod. rebecca, tytułes.
"WOJNA, LUDZIE, ZIEMIA, CZYSTA" - TYTUŁ ADEKWATNY - ERWIĄ I BLIZNA.

I. Ród Prawdzieców ze Szkoły Zubczewskich jest bardzo starym rodem. Znany przed wszystkim historycznymi postaciami są Jerzy Prawdziec Zubczewski, który jako dowódca w wojskach Witolda brał udział w bitwie pod Grunwaldem i na waleczność otrzymał dobra ziemskie w Dubnie Druga postać historyczną jest p. Wojak Polaków Szymon Zubczewski, który po upadku powstania 1831r. został zesłany do Omska i tam po usiłowaniu wzięcia powstania, został skazany na śmierć przez C a r a t. Został zamieszony różgami.

Trzecim był lekarz wojskowy Mikołaj Zubczewski, schwytany do niewoli w partii księdza Stanisława Brański pod Łukowem w 1865r.

Czwartym był prof. Julian Zubczewski w rodzinie potocznie Juliusz, dyrektor seminarium w Bessowie, Ławocie i Ławie, znakomity pedagog, przyjaciel młodzieży i działacz społeczny, który pomógł gen. Władysławowi Sikorskiemu w zdobyciu wiedzy i był jego opiekunem.

Rodzina Zubczewskich była również spowinowacana z rodzinami Daszyńskich i Radziwiłłów przez Kiszaków, i Potockich, który/Przyrodzony brat Mikołaj, "oczko w głowie ojca" był oficerem wojsk carskich, który wyróżnił się rajdem na tyłach Niemiec w I wojnie światowej. Potem już będąc invalidą pracował w Kraju Rad jako specjalista. W drugiej wojnie światowej brat został pośmiertnie Bohaterem Związku Radzieckiego - przyczynił się do rozgromienia Wehrmachtu w bitwie pod Korsun Szewczenkowskim.

Autorem ukończył studia w Związku Radzieckim i przebywał tam jako uchodźca z roku 1916 go przez lat 40.

Podczas II wojny światowej był oficerem Armii Radzieckiej i brał czynny udział w wojnie w służbie kwatermistrzowskiej.

W czasie działań wojennych dostaje się hitlerowskiego okrucieństwa i ukrywa fakt, że jest oficerem, zostaje w Krasnodarze kierownikiem nieczystej węgelnicy piasków.

Zaufanie Niemców zjednowało powstaniem się na ciotkę von Lennitz mieszkającą w Niemczech. Pomagał partyzantom. Ostrzeżony o możliwość aresztowania, uciekał po drodze podpalając "fosfor" wielki transport wojskowy. Został jednak schwytany z transportu i przebywał w obozie jenieckim. Z obozu uciekał do Rumii, gdzie był torturowany w więzieniu. W 1945 r. wyzwolony przez Armię Radziecką powracał do Polski, ale w r. 1950-1951 zostaje internowany, później aresztowany i przebywał w obozach w ZSRR. Został po przesłuchaniach świadków uniewinniony.

Pamiętnik "Krew i Bliźniętami" węgierski, przełożył które nie spotkał
li przy "Wódka, kłosa i kopyta" jest autentyczny, trochę przejawia
ry, nie jest tworem naukowym, a autorowi wolno chodzić na krawędzi
faktów historycznych, stąd ten esensyjny patetyczny ton, laurki, i prze
jakrawienie spotkania zego ojca z nieszczęśliwą Lydią, opisy Stali
a. i jego rozmowa na Krasie, którą opowiadał mi gen. Wieniec w 1950r
w "Petersburgu" - ofiarą esytek z 1937 roku, o szlachcie na Stali
na, ostrzeleniu z karabinu maszynowego kutra Stalina w Krasie, a ta
4 moje sugestie z procesem Michasewskiego, z pochodzenia Rosjanina i
szlachty podanego jako Polaka. Przepadek był w Krasie w domu wy
poczynkowym, ten interesujący esensyjny krótki rozdział nie podawa
ły jak i wiele innych do wiadomości publicznej /grunice na szkie/
Na str. 323 krytycznie obraża Stalina "głównie w sądownictwie, prokur
aturze, więziennictwie z szeregu dziełach Izraelich, może być od
czytana jako skoczek antyżydowski, ale wiem z doświadczenia że prokur
tor Szarak w Toruniu, w Rosji występował jako Szarow, stąd te sugest
ie, odwołania już w Izraelu, Jak i Tajan, Swiatko, Kuligowski, który potrak
tował w Jastrzebiu, i wielu innych "internacjonalistów". córka Szarak
tego pisała do mojej córki, z którą ukończyła gimnazjum w Toruniu
"Ze tatą na dwa lata jest odosobniony w obocie, uosy się Dobrajaki
a sama chodzić nie potrafi do bogatych i prac bielizną, jest nam bard
zo ciężko, technikami ze nazwą ukochaną O, czynną - P o l s k a i.

X/.

4. Moje przewartościowania i przekonania pasują b. dobrze ewolucję i
oceny historycznych przeobrażeń w ZSRR, zwłaszcza kiedy Partia i Stalin
wystąpili z otwartym listem do narodów Kraju Rad o "Zawołach w gło
wie". Ukazanie przewartościowało było wstąpienie do Partii, kiedy
w odbitym kostowie, na głównej ulicy S. dowej zobaczyłem stopy trupów
a krótko dziecko w wieku mojej córki, trzymającą w już sasyg
ych rękach guzwa lalkę. Wprowadzający byli - kapitan AKWD, news
yiel - Dy. Technika P. Zarządu w Kostowie, i Konisars Galin, były
pierwszy sekretarz gorkona partii w Lugańcu, i stąd niekonsekwentny
i sugestywny esensyjny, i osądzenie Stalina od caci Izraeli, przesłani z
wiatrem.

5. Pamiętnik wymaga znacznych skrótów, poprawek, usunięcia uproszezo
nych ocen w syści wstawek recenzentów. czego już sam zrobił nie pot
rafię, jestem po trzecim zawałcu serca i mam 80-letnią na karku, potrzebu
je opisać.

Ze względu na polityczny charakter pamiętnika, konieczne jest sprocz
owanie postania politycznego i społecznego jaki on niesie.

6. Konieczna jest znaczna praca nad formą i stylem pamiętnika aby
usyskać większą rangę literacką. W pamiętniku wg. recenzentów jest

X/.Uwaga.Omyłkowo brałem Michała syna Mikołaja, za Polaka, gdyż Mikołaj
Tuchaczewski, był w partii Księdza Stanisława Brzózki i walczył z moim dziad
kiem - lekarzem Mikołajem-Prawdźc Sołohub Zubczewskim, stąd te skojarzenie.

Stefan Zubczewski
ul. Buszczyńskich 13e/63
87-100 Toruń

II/520/L

Toruń, 1985.07.31

© ARCHIWUM WOSKOWY

Prezes Rady Ministrów PRL
Generał Armii
Wojciech Jaruzelski
Al. Ujazdowskie 1/3
00-583 Warszawa

Zachęcony komunikatem podanym w dniu wczorajszym w TV oraz w dniu dzisiejszym w prasie w sprawie przekazywania opinii obywateli, aby Towarzysz wyraził na forum ONZ głos narodu, osmielam się przedstawić sprawę ekshumacji zwłok gen. Władysława Sikorskiego.

Jestem nauczycielem w stanie spoczynku, członkiem partii od 1946r. Mam 78 lat. Dziadek mój Juliusz Zubczewski - profesor i długoletni dyrektor Seminarium Nauczycielskiego w Łancucie poznał się na zdolnościach i pracowitości Władysława Sikorskiego, więc pomógł mu potem w utorowaniu drogi na studia politechniczne we Lwowie.

Władysław Sikorski był serdecznie związany z naszą rodziną.

Na dowód załączam zdjęcie rodzinne z około 1888r., na którym znajduje się mój dziadek Władysław Sikorski. Z naszej rodziny Zubczewskich wybrał sobie też potem Władysław Sikorski żonę Helenę /była córka brata mego dziadka/

- W tej chwili kończę pisanie kroniki rodzinnej - Pamiętniki, pod tytułem "Wojna, ludzie, ziemia ojczysta", które zyskały pochlebny recenzję profesora Jerzego Danielowicza z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu i którego zdaniem będzie to rzadka kronika starego znanego od kilku stuleci zasłużonego rodu Polaków, dokument naoczny świadka wielu ważnych wydarzeń i postaci. Ocena tej książki, a więc i zasług naszej rodziny dla Polski dokonana zostanie w przyszłości.

Jedno jest pewne już teraz, że wszystkich członków naszego rodu cechowało duże poczucie obowiązku wobec kraju i rodziny - cecha wpajana od pokoleń drogą starannego wychowania w duchu patriotyzmu oraz zaprawiania do trudu i twardego życia żołnierskiego.

Cechy te cenił w naszej rodzinie, a posiadał w jeszcze wyższym niż my stopniu gen. Władysław Sikorski. Osad jego czynów i zasług należy do naszego narodu. Jestem głęboko przekonany, że przemawiając w imieniu wszystkich moich krewnych z rodu Zubczewskich, którego jestem seniorem, uzyskam również poparcie polskiego społeczeństwa, które sprawidliwie osądziło patriotyzm i zasługi gen. W. Sikorskiego, dlatego ustami Towarzysza upomni się o wykonanie testamentu mojej ciotki Heleny Sikorskiej z Zubczewskich, złożonego u angielskiego notariusza w Londynie "... Na wypadek mego zgonu wyznaczam wykonawcą mojej woli wyłącznie mego szwagra Marcelęgo Kycię, zamieszkałego w Londynie dla kontynuowania i załatwienia spraw rodzinnych, a szczególnie ekshumowania zwłok mego męża ś.p. Władysława Sikorskiego i przeniesienie z cmentarza Newarck w Anglii do Polski na Wawel"...

Swą wolę wyraziła przedtem również dobitnie w czasie wywiadu z red. Kazimierzem Kuźmińskim "... Przy jednym trwać będę zawsze: ciało mego ś.p. Męża winno wrócić do kraju, do Ojczyzny, do narodu polskiego którego był wiernym sługą i przywódcą, któremu poświęcił całe swoje życie i dla którego zginął. On musi być między swymi. - Pragnę dlatego, aby prochy gen. Sikorskiego zostały przywiezione z Newarck do Polski" /K. Kuźmiński "Spotkania na Wyspach Brytyjskich"/.

Tylko zawierucha wojenna była przyczyną, że gen. Władysław Sikorski znalazł się jako tułacz na ziemi angielskiej. On tam walczył, ale wiernie służył sprawie polskiej i tragicznie zginął nie zobaczywszy wolnej ojczyzny. Sercem, myślą i czynem był zawsze z Polską aż po dzień tragicznej swej śmierci...

W przeszłości rządy innych państw zezwalały na powrót na ukochaną ziemię ojczystą prochów wielkich Polaków : Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, serca Fryderyka Chopina i tp.

Priemier Rządu Brytyjskiego p. Margaret Thatcher tyle mówi o wzorowym respektowaniu w jej kraju praw człowieka. Rząd boński zaciekłe walczy o łączenie rodzin, wyszukując w różnych krajach swych rodaków, ale jak widać nie popiera tego prawa w stosunku do Polaków.

My Polacy mamy również moralne prawo żądać, aby respektowano ostatnią wolę naszych rodaków, szanowano ich prawo do spoczynku na najbardziej przez nich umiłowanej ziemi, wśród swoich.

W 100-lecie urodzin gen. Władysława Sikorskiego w programie jego poświęconym przed kamerami telewizji angielskiej wystąpił Marcełi Kycia - wykonawca testamentu mojej ciotki - mówiąc o konieczności uszanowania prawa i umożliwienia mi spełnienia ostatniej woli Heleny Sikorskiej. W praktyce wyegzaltowanie tego prawa okazało się niemożliwe.

U nas wykonanie ostatniej woli zmarłych jest tradycyjnie obowiązkiem i sprawą honoru zarówno obywateli jak i Rządu, chociaż to teraz nasz Rząd jest niesłusznie oskarżany przez inne państwa o łamanie praw człowieka.

Nasza rodzina wykonała ostatnią wolę Heleny Sikorskiej, na jej życzenie przebudowując nasz grobowiec w Zakopanem i umieściła na nim tablicę z nazwiskiem Heleny Sikorskiej z Zubczewskich.

Na dowód załączam moje zdjęcie z żoną przy tym grobowcu w 1974r.

Pragnę również nasza rodzina, a jestem głęboko przekonany, że również nasze społeczeństwo oddać hołd przed grobowcem gen. Władysława Sikorskiego na najdroższej mu polskiej ojczyźnej ziemi.

- Dumni jestem, że mój wnuk Robert Zubczewski - reprezentował godnie młodzież polską na Festiwalu w Moskwie.

Kontynuuje więc rodowe tradycje patriotycznej i internacjonalistycznej drogi wskazanej przez gen. W. Sikorskiego.

Wiem, że nie wszystkie głosy i propozycje naszych obywateli mogą zostać przyjęte. Uważam jednak, że wyrażam nie tylko pragnienia mojej rodziny, ale problem powrotu prochów gen. Władysława Sikorskiego jest sprawą naszego narodu i tylko dlatego ośmielam się z nią wystąpić.

Łączę wyrazy serdecznego podziękowania za wszystko co Towarzysz ze obiół dla naszego narodu, dla uratowania go przed bratobójczą walką wprowadzając jedyny wówczas ratunek - stan wojenny. Dziękuję również za umożliwienie mi udziału w takiej obywatelskiej konsultacji.

Życzę Towarzyszowi w imieniu całej naszej rodziny dużo siły i zdrowia w działalności dla dobra naszej socjalistycznej Ojczyzny.

Z poważaniem

Stefan Zubczewski

Recenzja wydawnicza pamiętników Stefana Zubczewskiego
p.t: Wojna-ludzie-ziemia ojczysta, III t., 760 str.

Stefan Zubczewski, emerytowany inżynier-rolnik i nauczyciel szkół rolniczych jest autorem trzytomowych pamiętników, obejmujących 760 stron maszynopisu. Pamiętniki te obejmują wielki czasokres. Autor przedstawia w nich nie tylko życie własne, lecz również swoich przodków: ojca, dziadka, pradziadka a nawet sięga niekiedy do rodzinnych kronik, do czasów średniowiecza. Pierwsza część pamiętników zawiera uwagi dotyczące kilku pokoleń wstecz i moim zdaniem nie powinna być w pełni włączona do zaplanowanego wydawnictwa. Autor bowiem nie jest historykiem i w części tej są widoczne poważne błędy merytoryczne. Trudne jest również sprawdzenie jego wywodów genealogicznych przedstawiających przodków rodziny Zubczewskich jako potomków panującego na Rusi rodu Rurykowiczów.

Również dzieje jednego z przodków: pułkownika Zubczewskiego, wywiezionego po powstaniu listopadowym 1831r. na Sybir i biorącego udział w spisku w Narczyńsku, wymagają uściślenia i sprawdzenia w oparciu o wydane niedawno wydawnictwo źródłowe pod redakcją prof., prof. Stefana Kieniewicza i ~~Dzjankwa~~, którego część zawiera wiarygodne akta dotyczące tych wydarzeń.

Barziej wiarygodna jest część pamiętników dotycząca dziejów samego autora, jego ojca i dziadka, których pamiętał z autopsji. Pamiętniki dotyczą polskich ziem wschodnich i części ziem ukraińskich i rosyjskich, z którymi rodzina Zubczewskich była związana swym pochodzeniem i miejscem zamieszkania.

Autor pamiętnika urodził się na Wołyniu, w Dubnie nad Ikwą w roku 1908, później mieszkał na Kijowszczyźnie, dokąd został wraz z rodziną ewakuowany w czasie pierwszej wojny światowej. Tam ukończył szkołę średnią rolniczą w Czarkasach i wyższą szkołę rolniczą /mechanizację rolnictwa/ w Migiejewie, uzyskując tytuł inżyniera rolnictwa. W roku 1939 dodatkowo ukończył Roczne Studium Entomologii i Medycyny w Moskwie. Wraz z rodziną mieszkał na terenie ZSRR, tam się ożenił z Kozaczką Kubańską w Krasnodarze.

W czasie drugiej wojny światowej został powołany do Armii Czerwonej, gdzie piastował funkcje intendenta i oficera sanitarnego.

nego na froncie południowym w rejonie Morza Azowskiego. W roku 1943 przedostał się do Transilunii tj. tej części ziem ukraińskich, które dzięki poparciu Niemiec zostały przyłączone do Rumunii. Po pobycie w obozie rumuńskim i badaniach przez kontrwywiad tego państwa, sprzymierzonego wówczas z Niemcami, został uwolniony i skierowany do pracy w rolnictwie, w jednym z majątków arystokraty rumuńskiego. Z chwilą zajęcia Rumunii przez wojska radzieckie, po krótkim okresie pobytu w Bukareszcie, wyjechał do Polski w roku 1945 i pracował w cukrowni na Opolszczyźnie. Na tym kończą się jego pamiętniki, obejmujące w części końcowej tylko pierwsze lata Polski Ludowej.

Jak widzimy zakres terytorialny i ^{12/183} etnologiczny pamiętników Zubczewskiego jest bardzo interesujący, w literaturze polskiej bowiem nie mamy prawie wspomnień Polaków mieszkających w ZSRR i przebywających na ziemiach Kubania oraz uczestniczących w wojnie na froncie w rejonie Morza Azowskiego. Te momenty przemawiały by za wydaniem pamiętnika.

Obok interesujących fragmentów przedstawiających wydarzenia, w których autor sam brał udział, wspomnienia zawierają również uwagi na temat ogólnej polityki społecznej i wojskowej ZSRR, a szczególnie Stalina, uwagi na temat bitew pod Moskwą, Stalingradem, w których autor nie brał udziału, a na ich temat mamy wiele opracowań naukowych w jęz. rosyjskim i w innych językach. Również próby opisów kampanii wrześniowej w Polsce, przedstawianej przez wielu historyków i pamiętnikarzy są zupełnie niepotrzebne i powinny być z pracy wyeliminowane. Opisy te powtarzają się wielokrotnie, rozrywają tok myślowy i narracyjny tekstu pamiętnika. Szczególnie często powtarzają się one w trzeciej części pamiętników, która również jest najsłabsza pod względem stylistycznym i wymaga szczegółowej korekty. Wątpliwości budzą także oceny przywódców radzieckich, pełne sprzeczności, powtarzające się kilkakrotnie np. Stalina, któremu poświęca częste fragmenty, mające charakter wręcz panegiryczny, przytacza fikcyjne fragmenty jego rozmów z Berią i innymi przywódcami na Kremlu itd.

Fragmenty te winny być usunięte, a eksponowane te części pracy oparte na autopsji autora.

Uznając za wskazane opublikowanie drukiem pamiętników Zubczewskiego, po dokonaniu w nich postulowanych skrótów i korekt

w części drugiej niniejszej recenzji chciałbym przedstawić merytoryczne uwagi szczegółowe, dotyczące poszczególnych fragmentów pracy.

Uwagi szczegółowe.

str. 8. Powstanie listopadowe stłumił właśnie książę Iwan Paskiewicz, hrabia Erywański, który był naczelnym wodzem armii rosyjskiej.

str. 8. Masakrowanie twarzy zabitych powstańców 1831r. - opis przesadny, w powstaniu listopadowym, które było regularną wojną i w którym z obu stron brały udział regularne wojska, wypadków takich nie było.

str. 13. W czasie powstania styczniowego, car Mikołaj I już dawno nie żył, bowiem zmarł w 1855r. Panował wówczas car Aleksander II.

str. 32. Udział koczowników: Kirgizów, Kałmyków, Kozaków, Tatarów i Mongołów w tajnych stowarzyszeniach w pierwszej połowie XIX w. jest przesadą. Ludy te były koczownicze i wówczas nie brały udziału w spiskach politycznych.

str. 39. Ignacy Daszyński był premierem Tymczasowego Rządu Ludowego w Lublinie, który działał tylko przez parę dni, od 7-11 listopada 1918r. a nie w latach 1928-1930.

str. 45. Powstanie listopadowe 1831r. jak wspomniałem, nie było walką "z maczugą w rękę", lecz było prowadzone przez regularną armię Królestwa Polskiego, posiadającą własną artylerię i inne rodzaje broni.

str. 109. Nawiślański Kraj - nazwa niewłaściwa dla Polesia na którego terenie leżało miasto Sarny. Nazwy tej używały władze rosyjskie w końcu XIX w, na początku XX w, zamiast oficjalnej nazwy - Królestwo Polskie, do którego Polesie nie należało.

str. 109 i 110. Autorem wiersza - "Kto ty jesteś Polak mały" był Władysław Bełza /1847-1918/, a nie Wincenty Pol. Wieraz powstał w 1900 roku, gdy Pol już nie żył.

str. 130-131 Odezwa Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza do narodu polskiego z dnia 1/14^{VIII} 1914r. została przyjęta przez część społeczeństwa polskiego życzliwie, a szczególnie przez dwa wpły-
wowe w Królestwie Polskim ugrupowania polityczne: Narodową Demo-
krację i Stronnictwo Polityki Realnej. Przywódca Narodowej Demo-
kracji Roman Dmowski utworzył po jej wydaniu Komitet Narodowy
Polski w Warszawie, który parę lat później, w nieco zmienionym
składzie, podjął działalność w Paryżu. Za odezwę dziękował członek
Koła Polskiego w Dumie - poseł Jaręński.

str. 133. Porównywanie rządów Mikołaja II do Iwana Groźnego
- przesadne.

- str. 137. Evakuacja ludności ze Lwowa i Podola odbywała się
nie na wschód, lecz na zachód. Tereny te należały do roku 1914
do Austro-Węgier i mieszkający tam Polacy, z chwilą wkroczenia
na nie armii rosyjskiej uciekli na zachód, wraz z wycofującą się
armią austro-węgierską. Natomiast z Polesia, należącego do Rosji,
ewakuowano ludność na wschód, z chwilą wkroczenia tam armii nie-
mieckiej i austro-węgierskiej.

str. 139 - Bitwa pod Frydlandem /15.VI.1807/ toczyła się między
wojskami francuskimi i polskimi z jednej strony, a Prusakami
i sprzymierzonymi z nimi Rosjanami z drugiej strony. Austriacy
nie brali w niej udziału, zachowując w 1807 neutralność.

str. 140. Twierdza Przemyśl dwukrotnie przechodziła w czasie
I wojny światowej z rąk do rąk. Naprzód zdobyli ją Rosjanie
z rąk armii Austro-Węgierskiej, a później Austriacy i Niemcy
odbili z rąk rosyjskich.

str. 144. Nad rzeką ^{yt}Styem walczyły przeciwko Rosjanom zarówno
wojska niemieckie jak i austro-węgierskie.

str. 156. Car Paweł I nie był synem nieślubnym króla Stanisława
Augusta Poniatowskiego.

str. 182. Gen. Władysław Sikorski nie pochodził ze szlachty i nie
posiadał Herbu Kapaszym. Jak stwierdzają najnowsze badania oj-
ciec jego Tomasz Sikorski - wiejski nauczyciel i organista był
synem mieszczanina - tkacza z Przeworska. Szlacheckie pochodzenie
przypisał mu błędnie na emigracji jego biograf i przyjaciel

gen. Marian Kukiel - zob. ^{chwila} Józef Półmarstek - General Władysław Sikorski we wspomnieniach Marii Jędrzejewiczówny z Dylągówki s. 103-104 "Rocznik Naukowo-Dydaktyczny" WSP w Rzeszowie 1978 nr. 2/37, Historia. Takie same pochodzenie przyznali Sikorskiemu również inni autorzy biografii o nim: Roman Wapiński i Walentyna Korpalska.

str. 196. Trudno mówić - o sanacji w 1918r, gdyż ugrupowanie to /nazwa ironiczna/ objęło władzę po przewrocie majowym w 1926r. Obóz ten, zwany piłsudezykowskim, nie zawsze zajmował stanowisko nieprzejednane i jaskrawie antybolszewickie. W roku 1932, gdy piastowali oni władzę, doprowadzili do zawarcia z ZSRR paktu o nieagresji i w tym czasie wysłali szereg delegacji do ZSRR mających na celu poprawę stosunków. Między innymi został wysłany adiutant Piłsudskiego major Mieczysław Lepicki, który po podróży na Sybir napisał życzliwą dla władz radzieckich książkę pt. Sybir bez przekleństw.

str. 203. Wojkow nie był nigdy ministrem spraw zagranicznych ZSRR, lecz posłem radzieckim w Warszawie i w tym charakterze został zabity przez nacjonalistę ukraińskiego Kowerdę na terenie poselstwa. Władze polskie nie miały z tym zabójstwem nic wspólnego, a przedstawiciele Rządu brali udział w eksportacji jego zwłok.

str. 211. Maeterl^{ick} a nie Meterling był autorem "Życie pasczół" a nie "Życia owadów".

str. 214. Bitwa pod Grochowem w 1831r. nie była dla Polaków przegrana, straty po obu stronach były wyrównane. Rosjanie utrzymali pole bitwy, lecz nie posuwali się dalej w stronę Warszawy.

str. 214. Gen. Józef Smoński dowodził we wrześniu 1831 Redutą Wolską a nie Redutą Polską.

str. 214. Władcą Bułgarii z tytułem cara /cesarza/, a nie króla, był w sierpniu 1914r. Ferdynand I, a nie Lorys^{III}, który objął władzę, po abdykacji swego ojca w 1918r.

str. 215 - Program Polskiej Partii Socjalistycznej, który reprezentował między innymi Ignacy Daszyński bynajmniej nie głosił, iż naród polski jest jednością. PPS, podobnie jak inne partie socjalistyczne, podkreślała różnice klasowe widoczne w społeczeństwie, stojąc na gruncie walki klas. Do zwycięstwa socjalizmu dążyła PPS drogą parlamentarną i stopniowych reform, a nie rewolucyjną.

str. 221. Nazwanie przywódcy socjalistów rosyjskich, kierunku eserowców, Aleksandra Kiereńskiego - "szuja i prostytutką polityczną" jest przesadą, jak również określenie, iż był on gorszy niż rosyjscy politycy reakcyjni jak Rodzianko i Puryszkiewicz.

str. 224. Michał Tuchaczewski, a nie Mikołaj, nie był Polakiem, lecz Rosjaninem.

str. 224. Rumunia w roku 1918 nie odzyskała Besarabii, której nie posiadała poprzednio, lecz zajęła tę prowincję należącą poprzednio do Rosji. Uzyskała również Śiedmiogród, należący poprzednio do Węgier, który nazwała Transylwanią ze stolicą w Cluj, a nie Timiszóra. Rumunia przegrała wojnę w latach 1916-1918, a jej terytorium zostało w znacznym stopniu zajęte przez wojska niemieckie, bułgarskie, austrackie i tureckie, jednak ze względu na to, że była sprzymierzona z państwami zachodnimi po zakończeniu I wojny światowej poszerzyła swe granice, kosztem Węgier i Bułgarii. Rumunia była państwem niepodległym od drugiej połowy 19 w. (1861)

str. 225. Autor nie wspomina, iż Ukraina pod koniec I wojny światowej została w całości zajęta przez wojska niemieckie i austro-węgierskie, które na jej czele osadziły hetmana Skoropadskiego. Traktatem brzeskim 1918r. państwa centralne zmusiły Rosję Radziecką do rezygnacji z Ukrainy. Dopiero po klęsce państw centralnych w Europie Zachodniej, rozpoczęła się walka o Ukrainę między bolszewikami a innymi ugrupowaniami politycznymi, w tym z petlurowcami. Wtedy też nastąpił desant floty francuskiej i angielskiej w Odessie. Autor pominął zupełnie okres rządów na Ukrainie Niemców i Austriaków i związanego z nim hetmana Skoropadskiego, a także traktat brzeski, podpisany na początku 1918r.

str. 249. Stalin nie skończył seminarium duchownego, gdyż został z niego usunięty za swoją działalność rewolucyjną.

str. 250. Okres NEP-u był za czasów Lenina a nie Stalina.
251

str. 278. Twórczość Puszkina, Lermontowa, Turgieniewa, Tolstoja nigdy nie była w Rosji Radzieckiej czy później ZSRR zakazana. Zaliczano ich do klasyków literatury rosyjskiej, a ich dzieła były wznawiane. Natomiast zakazani byli ci literaci rosyjscy, którzy po rewolucji udali się na emigrację np. Michaił Dunin,

Tom drugi

str. 315. Królem Szwecji w czasie "wojny północnej" był Karol XII a nie Gustaw XII.

str. 336. Hasła internacjonalizmu były i są propagowane przez wszystkie partie komunistyczne i socjalistyczne, a nie tylko przez Żydów.

str. 372. - repatacje w stosunku do pokonanych Niemiec zostały ustalone traktatem wersalskim, zawartym w czerwcu 1919r., natomiast traktat w Rapallo został zawarty w 1922r. między Niemcami a Rosją Radziecką. Oba te państwa nawiązały ze sobą stosunki dyplomatyczne i rozpoczęły ożywioną wymianę gospodarczą.

str. 402-403 Hitler doszedł do władzy w Niemczech w styczniu 1933r., a nie 1934.

str. 411. Chiny Ludowe powstały dopiero po II wojnie światowej, w latach trzydziestych na czele Chin stała partia Kuomintang, kierowana przez marszałka Czang Kai-Szeka.

str. 420. Stalin nie posiadał starannego wykształcenia, był synem szewca. W roku 1888 wstąpił w Gori do szkoły przygotowującej do seminarium duchownego, którą ukończył w 1894, po czym wstąpił do seminarium duchownego w Tyflisie. W 1899 został wydalony z seminarium za propagandę marksizmu i odtąd nie kształcił się już, lecz pogłębiał swą wiedzę drogą samokształcenia, lektur dzieł klasyków marksizmu itd.

str. 430. Stwierdzenie, iż hitlerowcy byli uzbrojeni po zęby w 1939r. przez Anglosasów jest uproszczeniem. Dysponowali oni

własnym arsenałem broni rozbudowanym po złamaniu przez Hitlera postanowień traktatu wersalskiego, a także uzyskali uzbrojenie czeskosłowackie i austrackie po zajęciu tych państw.

str. 431. Polskie samoloty "Łosi" /a nie Liny"/ i "Karasi" nie były wcale ciężkie i mało zwinne. Były to samoloty b.dobre, lecz Polska posiadała ich niewiele.

str. 434. Turcy w czasie II wojny światowej zachowywali pełną neutralność i nie byli związani z "osią"-Berlin-Rzym-Tokio.

str. 449. Wojkow nie był ministrem lecz posłem radzieckim w Warszawie, o czym autor już raz pisał.

str. 449-450 Prezydent Warszawy Stefan Starzyński nie był w 1939 roku członkiem PPS, lecz czołowym działaczem Obozu Zjednoczenia Narodowego. Socjalistą był on w okresie swojej młodości, podobnie jak znaczna część zwolenników Piłsudskiego.

str. 456. Na terenie ZSRR poza armią rumuńską i fińską walczyły również armie włoskie, węgierskie i słowackie.

str. 467. Wojska japońskie nie walczyły przeciw ZSRR. Japonia poprzez ministra spraw zagr. Matsuokę zawarła z ZSRR pakt o nieagresji, który był respektowany do końca działań wojennych w Europie. Japończycy walczyli tylko przeciw wojskom USA i angielskim na Dalekim Wschodzie.

str. 474. Wojska radzieckie nie mogły być wyparte z półwyspu Kurez w połowie maja 1941r., gdyż wojna niemiecko-radziecka rozpoczęła się 22 czerwca 1941r.

str. 505. Gen. Sikorski dążył na emigracji do sojuszu z Czechami i podpisał odpowiedni układ, który nie wszedł w życie. Natomiast Węgry w tym czasie były sprzymierzone z państwami Osi, a ich wojska walczyły na froncie wschodnim.

str. 506 - Gen. Sikorski został usunięty z czynnej służby wojskowej w roku 1928, a nie w sierpniu 1927r.

str. 509 - koncepcja zachodnich granic nowej Polski nie była dziełem gen. Sikorskiego, lecz głównie lewicy polskiej, popartej przez Stalina. Sikorski nie miał tak dokładnych planów poszerzenia granic Polski na Zachodzie.

str. 310. Sikorski do końca życia wierzył państwu anglosaskim, a nie był kompletnie zawiedziony jak pisze autor.

str. 524. Trzecia Międzynarodówka została rozwiązana przez Stalina w 1943r. pod naciskiem mocarstw zachodnich: USA, Wielkiej Brytanii, które uzależniały od tego aktu dalsze dostawy broni i żywności dla walczącej Armii Radzieckiej.

str. 525. Gen. Władysław Anders nigdy nie sympatyzował z Hitlerem, nie pochodził również z Prus Wschodnich, lecz z Łotwy. W czasie I wojny światowej był dowódcą szwadronu kozaków naczelników, stacjonujących w Nachiczewanu koło Rostowa n/Donem. Ze swoim oddziałem wkroczył na teren Prus Wschodnich, walcząc dzielnie i uzyskując krzyż Sw. Jerzego. W 1919r. był szefem sztabu Powstania Wielkopolskiego.

str. 526. Nie było żadnych rozmów poufnych prezydenta Władysława Raczkiewicza z Churchillem przeciwko polityce gen. Władysława Sikorskiego. Anglicy popierali raczej Sikorskiego, a zajmowali stanowisko krytyczne wobec Raczkiewicza, który wywodził się z obozu piłsudczyków.

str. 527. Gen. Anders nigdy nie należał do legionistów, jak wspomniałem, wywodził się z armii rosyjskiej i był krytycznie nastawiony do obozu legionowego.

str. 527. Churchill nie mógł być zadowolony, iż nadchodzi "caput" dla Rosji bolszewików, gdyż oznaczałoby to konieczność zwiększenia wysiłków wojennych Anglików na froncie zachodnim. Anglia nie była przygotowana do wojny i przez cały czas II wojny światowej nie prowadziła działań wojennych na wielką skalę. W końcowej fazie wojny armia brytyjska walczyła na zachodzie obok armii amerykańskiej, która tam odgrywała główną rolę.

str. 529. W operacji berlińskiej brały udział niektóre oddziały I Armii Wojska Polskiego a nie II Armii.

str. 568-569 Instytucja komisarzy politycznych nie została w czasie wojny zlikwidowana, jedynie rola ich uległa zmniejszeniu na korzyść dowódców wojsk liniowych, którzy mieli większe uprawnienia.

Część trzecia

str. 582. Autor nie podaje nazwiska starego feldmarszałka niemieckiego, co powinien uzupełnić.

str. 602, 603, 604, 605, 606, 607, 608, 609, 610, 612 Niepotrzebne powtórzenia.

str. 611. Karol Kautsky /1854-1938/ nie był myślicielem burżuazyjnym, lecz socjaldemokratycznym. Był działaczem Socjaldemokratycznej Partii Niemiec, w której zajmował pozycję centrystowską. Był autorem dwutomowego dzieła p.t. Materialistyczne pojmowanie dziejów / 1^o wyd. 1927/.

str. 617. Francja nie mogła brać udziału w montowaniu drugiego frontu na zachodzie, bowiem w czerwcu 1940r. kapitulowała i była częściowo okupowana. Drugi front mogły tworzyć tylko wojska amerykańskie od chwili włączenia USA do wojny /grudzień 1941/ i angielskie.

str. 620-621 Stalin nigdy nie był radzieckim attaché wojskowym w Japonii, od 1917r. do czasu konferencji w Teheranie w 1943r. nigdy nie opuszczał swojego kraju.

str. 630. Herman Göring nie miał tytułu hrabiowskiego, pochodził z rodziny mieszczańskiej i był od roku 1918 zawodowym oficerem wojsk lotniczych Wehrmachtu.

str. 632 Niemcy złamali traktat wersalski, a nie genewski.

str. 633. Misja korespondentów wojskowych zachodnich w ZSRR mogła się składać wówczas tylko z Anglików, bowiem Francja była częściowo okupowana, częściowo we władzy rządu Vichy, który był zależny od Niemiec.

str. 634, 635, 636, 639, 640 Powtarza się.

str. 640 Ruch partyzantcki w latach II wojny światowej był silny i dobrze zorganizowany w Jugosławii, ZSRR i w Polsce, natomiast we Francji był słaby.

str. 640 Gen. Falkenhayn był przez pewien czas naczelnym wodzem armii niemieckiej w czasie I wojny światowej, gen. von Seeckt naczelnym wodzem Reichswehry do roku 1933. Obaj ci generałowie nie brali udziału w II wojnie światowej.

str. 641. Wojska niemieckie zostały wysłane do Chin w celu tłumienia tam powstania bokserów w 1901 roku, a w nie w 1910r.

str. 641. Trzecim wieszczem był Zygmunt Krasiański a nie Krasicki.

str. 642-643. Tekst nie wiąże się z poprzednim i powtarza się. Trzeba go wyeliminować.

str. 646. Nazwisko Komisarza Rzeszy Szikiendacza jest nieznane.

str. 647, 568 Powtarza się.

str. 648. Frank nie był gauliterem III Rzeszy, lecz Generalnym Gubernatorem w General Gouvernement i ministrem sprawiedliwości Rzeszy.

str. 650 Tekst nie łączy się z poprzednim. Trzeba go wyeliminować.

str. 661, 662 - Powtarza się.

str. 670 - Autor nie mógł czytać odezwy niemieckiej o rozwiązaniu Komitetu w ^{III Rzeszy} 1942r, skoro ten fakt miał miejsce w 1943r.

str. 671. Fragment niepotrzebny. Sułkowski, adiutant Napoleona w Egipcie, nie posiadał tytułu księcia, bowiem był nieślubnym synem księcia Sułkowskiego, właściciela Rydzyny.

str. 672. Trudno pisać o naśladowaniu przez Armię Czerwoną - Polski walczącej. Walka na ziemiach polskich toczyła się w zupełnie innych warunkach konspiracyjnych niż ZSRR.

str. 674 - Powtarza się.

str. 675 - Powtarza się.

str. 680-700 Brak stron.

str. 700. Gall Anemim nie mógł pisać o bitwie Grunwaldzkiej, bowiem wtedy jeszcze nie żył.

str. 707 Hunnowie byli dzikim narodem wczesnego średniowiecza i nie mieli żadnej filozofii.

str. 708 Większość ludności Abisynii to chrześcijanie a nie muzułmanie. W Abisynii walczyli tylko Włosi a nie Niemcy. Gen. Mackensen - postać w czasie II wojny światowej ^{niem.} ~~muzułman~~, podobnie jak fakt przyjęcia przez niego mahometanizmu. Zrany był feldmarszałek Mackensen w czasie I wojny światowej, walczący na terenie Galicji, gdzie wspomagał wojska austro-węgierskie.

str. 709. W czasie powstania warszawskiego walczyły przeciw powstańcom między innymi oddziały gen. Kamińskiego z R/O.N.A., a nie gen. Własowa.

str. 710. Mazepa - hetman Ukrainy nie zdradził Polaków, lecz walczył po stronie króla Stanisława Leszczyńskiego i Karola XII szwedzkiego przeciw Rosjanom.

str. 711. Polacy na terenie Ukrainy i Kubania nie potrzebowali nosić znaczka P w czasie okupacji niemieckiej, jedynie Żydzi byli zobowiązani do opasek z gwiazdą. Również w obozach koncentracyjnych litera P nie oznaczała Polaków, lecz więźniów politycznych.

str. 715 i 719 - Powtarza się.

str. 722. Zakończenie bitwy pod Stalingradem miało miejsce 2.II. 1943r, a nie w połowie grudnia 1942r.

str. 725 - Besarabia należała do Rumunii w latach 1919-1939, później w latach 1939-41 na mocy odpowiednich umów włączono ją do ZSRR, w roku 1941 zajęta przez wojska rumuńskie i niemieckie i znowu włączona do Rumunii. Od 1945 należy do ZSRR, jako republika mołdawska.

str. 728. Zdziwienie wywołuje posługiwanie się ^{prol}wywiad rumuński Deklaracją Praw Człowieka. Rumunia była związana w tym czasie z Niemcami, a na tę deklarację powoływały się wówczas państwa anglosaskie.

str. 732-733 - Powtarza się.

str. 735. Rola floty ^{wojennej} radzieckiej w czasie II wojny światowej była niewielka /w przeciwieństwie do armii lądowej/. Niemcy zatopili znaczną część okrętów radzieckich, stąd marynarze walczyli jako piechota na froncie południowym.

str. 736. Mała Ententa została utworzona, z poparciem Francji, w roku 1919, i obejmowała trzy państwa - Rumunię, Jugosławię i Czechosłowację, a nie 14 państw kapitalistycznych.

str. 739. Wojska włoskie znajdujące się w Rosji /korpus Armira/ zaprzestały działań wojennych w wrześniu 1943r, z chwilą kapitulacji Włoch, dokonanej przez rząd marszałka Badoglio. Żołnierze włoscy w Rosji zostali internowani przez armię niemiecką.

Natomiast ^{dymizja} Hiszpania /błękitna dymizja/ i ^{hiszpańskie} oddziały lotnicze walczyli nadal.

str. 741. Carem Bułgarii był wówczas Borys III, a nie Borys II.

str. 742. Król rumuński Karol II nawiązał romans z panną Lupescu w latach dwudziestych, a nie w czasie II wojny światowej. W 1941r. abdykował powtórnie, gdyż nie chciał by Rumunia należała do Osi. Wówczas Michał objął tron i panował do roku 1947.

str. 747, 745, 746 Powtarza się. Niepotrzebne.

str. 752. W czasie I wojny światowej tylko część Polaków walczyła po stronie Rosji, to jest ci, którzy posiadali dbywactwo rosyjskie /Królestwo Polskie i ziemie wschodnie/. Polacy pochodzący z Galicji walczyli w szeregach armii austro-węgierskiej. Polacy z Wielkopolski, Pomorza i Śląska w armii niemieckiej przeciw Rosji. Również legiony, złożone z ochotników, walczyły po stronie państw centralnych przeciw Rosji.

str. 754. Piłsudski nigdy nie wyznaczał gen. Sikorskiego na swego następcę. Miał nim być Smigły-Rydz, co zostało zrealizowane.

str. 755. Pogląd, iż gen. Anders przyczynił się do zamachu na życie gen Sikorskiego nie znajduje odbicia w dzisiejszej literaturze. Olgierd Terlecki w swej obszernej pracy o Sikorskim stoi na stanowisku, iż był to tragiczny przypadek, niektórzy historycy i publicyści przypuszczają, iż przyczynił się do tego Churchill. Pogląd o Andersie jako sprawcy, lansował publicysta Strumph-Wojtkiewicz, którego prace ostro skrytykował Terlecki, odmawiając im wartości merytorycznej.

Wniosek końcowy:

Pamiętniki Stefana Zubczewskiego są interesujące, dotyczą zagadnień mało u nas znanych i mogą być opublikowane jednak pod warunkiem dokonania w nich poprawek postulowanych w niniejszej recenzji oraz znacznych skrótów - Pamiętniki powinny być przeredagowane przez fachowego redaktora. Należy dokonać w nich również szczegółowej korekty stylistycznej, wskazane byłoby również opracowanie do nich odpowiedniego wstępu przez fachowego historyka oraz słowniczka, wyjaśniającego niektóre nazwiska i fakty historyczne. Do skróconych znacznie pamiętników można dobrać materiał ilustracyjny, którym dysponuje autor. Po dokonaniu odpowiednich skrótów i korekt publikacja znajdzie zapewne wielu czytelników, interesujących się okresem II wojny światowej.

RECENZENT:

J. Danielewicz
Jerzy Danielewicz

Sydgoszcz, dnia 14. III. 1985r.

Recenzja wydawnicza wspomnień Stefana Zubczewskiego
entytułowanych "Wojna - ludzie - ziemia ojczyzna"
cz. I - III, ss. 768.

Autor, który proponuje czytelnikowi tekst o tematyce różnorodnej, pozbawionej jednej myśli przewodniej, ma obowiązek wytłumaczyć się z takiej propozycji. Stefan Zubczewski, znalazłszy się w podobnej sytuacji, próbuje - aczkolwiek niechętnie i nie całkiem przekonująco, to uczynić. Jest świadom, że samier to niełatwy, że niełatwo ^{od/} dzielić ~~z~~ osobowe wyjaśnienia od nie samierszonych, niwielnych osobistych doznań i przeżyć. Wyjaśnia więc i tłumaczy, że jego wspomnienia z lat I i II wojny światowej, z okresu międzywojennego i pierwszych lat po bezwzględnej kapitulacji III Rzeszy w maju 1945 r., to "kronika rodzinna" utrwalona w piśmie; kronika ściśle powiązana z osobistymi przeżyciami, te zaś powiązane zostały z dziejami narodu, życiem państwa w dniach jego osiągnięć, ale także i niepowodzeń i klęsk ./ s.1./

Recenzowane "szkice" Stefana Zubczewskiego, w dalszym ciągu nazywane zamiennie "wspomnieniami" bądź "pamiętnikami" mają pewną cechę wspólną: stawiają pytania dotyczące dosyć istotnych spraw naszej wiedzy i świadomości historycznej o dawnych Kresach Wschodnich i ziemiach południowego pogranicza polsko-radzieckiego w przededniu i podczas obu wojen światowych, na którym po agresji Niemiec hitlerowskich w dniu 22 czerwca 1941 r. na ZSRR toczyły się zażarte boje. Szkice silnie eksplorują sprawy osobiste i rodzinne

Autora i) wiązą je z treściami dotyczącymi faktów i wydarzeń militarnych, politycznych, narodowościowych i gospodarczych narodów i państw prowadzących wojnę o zasięgu światowym.

Jako szkice o charakterze nie tyle historycznym co publicystycznym udzielają one odpowiedzi zarówno niepewnych, jak i często arbitralnych; reprezentują także różne konwencje stylistyczne, lub może - po prostu - różny stopień rzeczowej i stylistycznej poradności. Szkice nie stanowią tekstu ściśle naukowego. Są to raczej rozważania, często połączone z analizowaniem faktów, wyderkami, szejwisk lub z rozmyśleniem o przeszłości i współczesności. Treści przedstawione w szkicach nie opierają się na ogół na systematycznie zbieranym materiale archiwalnym; Autor nie ustosunkowuje się też do bogatej literatury przedmiotu, nie formułuje udowodnionych tez, lecz podejmuje supozycje, refleksje bądź wypowiedzi będące wynikami zastanowienia się, namysłu. Czwarte tu szkice Zubczewskiego udzielają niekiedy odpowiedzi na pytania sformułowane mimochodem; odpowiedzi zarówno niepewnych, jak i często stanowczych, arbitralnych, nie podlegających wątpliwości; reprezentują różne konwencje stylistyczne, lub może - po prostu - różny stopień nie tylko stylistycznej poradności.

Szkice traktują o mechanizmach politycznych i administracyjnych, wojskowo - personalnych, batalistycznych i gospodarczych, niedawnych czasów I i II wojny światowej. Autora niekiedy mniej interesują konkretne wydarzenia; więcej zdaje się go ciekawić sam fenomen życia społeczno-politycznego i jego przekształcenia wywołane I i II wojną światową. A więc sukcesy dotychczas armii hitlerowskiej i siła patriotyczna

Armii Czerwonej, rola tzw. politruków w wojsku i sekretarzy partyjnych w życiu cywilnym, kształtowanie się opinii publicznej i możliwości schronienia się przed inwigilacją i espionowaniem niemieckim, przeniesiony w poglądach i postawach promienników partyjnych. Autor rozmyśla też o tym w swoich wspomnieniach o sprawach różnorodnych, choć zaspolonych przekonaniem o ich jeżeli nie bezpośrednim, to na pewno pośrednim powiązaniu z losami poszczególnych członków rodu Zubczewskich i ich kraju ojczystego. Różnorodność ta zdaje się wynikać z przekonania Autora o tym, że publicystyka ma prawo harcować na przedpolu i pograniczu różnych dziedzin, że ma prawo stawianie pytań dyktowanych sytuacją i ciekawością czytelnika.

Różnorodność poruszanych w szkicach spraw i kwestii oraz rozległość smutnych w nich refleksji tłumaczy się myślą o różnorodnej recepcji ich przysałych czytelników. Autor jest świadom tego, że kto brał udział w wojnie, kto miał kontakt z niemieckim najazdem, z życiem konspiracyjnym i z konspiracyjnym funkcjonowaniem instytucji, z "państwem podziemnym", z tajną pracą itp. ten niewątpliwie konkretniej patrzeć będzie na niejedno wydarzenie z przeszłości. Kto sam był poszukiwany przez hitlerowską policję, kto otarł się o partyzantkę, kto przeżył pacyfikację wsi, kto w huraganowym ogniu piechoty i czołgów niemieckich i niemieckich samolotów nacierał na niemiecką armię - ten inaczej pojmuje odwagę i postawę polskich czy radzieckich żołnierzy i cywilnej ludności niż ten, który z tymi wydarzeniami się nie zetknął. Obserwacja zmagających się sił, walki dokoła zbliżających się decyzji, współgrania czynów przemyślanych i zaplanowanych z działaniami spontanicznymi, działań jednostek i grup z działaniami mas - wszystko to niewątpliwie oddziaływało na

64166

ocbiór informacji dziś czytanych o tych wydarzeniach.

Zasadną Autora jest i to, że uwzględnił w swoich szkicach krótki dystans jaki jego i potencjonalnego czytelnika dzieli od opisywanych wydarzeń. Zakładając, że historia jest nauką wyjaśniającą kontekst współczesności na podstawie jej związków genetycznych z przeszłością, Autor przyjmuje, że spotkanie z Eislerzyńskim, dywagacje o dyrektorze szkoły Smirnowie, masowe aresztowania Polaków przez Niemców to wydarzenia niezbyt odległe; Autor stara się więc usilnie o obiektywne przedstawienie tej najbliższej przeszłości i jej współzależności z teraźniejszością. Nie idzie Autorowi przy tym tylko o prostą współzależność, o związki genetyczne między przeszłością a teraźniejszością w sensie czysto instytucjonalnym, ale także o oddziaływanie całej spuścizny dzisiejszej w sensie czysto światopoglądowym, skoro wiadomo, że świadomość historyczna jest nadal, tak jak w poprzednich epokach, jednym z podstawowych składników współczesnej świadomości społecznej. Autor wie i daje temu wyraz, że współczesne znaczenie minionych wydarzeń jest mocno związane z funkcją otwierania dzięki nim pełniczących szeregu paradygmatów historycznych, których z kolei w ścisły sposób nie można oddzielić od przeszłości.

Ze znajomością faktów i wydarzeń, co jest zadaniem pierwowzoru i podstawowym, Autor opróżga możliwie szeroką wiedzę ogólną, znaczący zasób poglądów, znajomość metod właściwych nauce i myśleniu naukowemu i kategoriami. Wychodząc z założenia, że wartość istotnego wykształcenia - dla przyszłości - nie polega li tylko na ilości oparowanych faktów

i dat, lecz przede wszystkim na informacji o świecie, na tym skąd się wziął i dokąd zmierzal, Autor podaje swe spostrzeżenia, refleksje i rozważania czerpane z różnych dziedzin rzeczywistości otaczającej człowieka. Przy czym takie czy inne informacje podaje w ten sposób, że bardzo często rozstrzygnięcia przedstawianej przez Autora kwestii pozostawia czytelnikowi.

Szkice obejmują różne dziedziny - głównie zawodową i wojskową - i różne okresy życia Autora, członków jego rodziny i ich znajomych. Zawsze jednak idzie o działania indywidualne i zbiorowe, i zawsze dotyczą znajdujących się w różnym stanie cywilizacyjnym i kulturalnym niektórych regionów Polski i Kraju Rad.

Problemasz osobnym jest próba upowszechnienia przez swe szkice znajomości najnowszej historii Polski w jej powiązaniach z dziejami Europy i świata. Autor rozwiązuje go okazjonalnie w sposób fragmentaryczny, zwykle w formie indywidualnego wyświadku i konceptu. Rzecz prosta, że szczególnie interesujące go upowszechnianie wiedzy historycznej - w niektórych partiach szkiców także - i naukowego myślenia nie "w ogóle", lecz o określonym regionie Polski względnie ZSRR. Autor wyraża, niekiedy chyba w sposób niezamierzony, zachędzając w obserwowanej rzeczywistości przemiany. Ich wybór pobudza wywołanie się aktywnych refleksji - być może także i działań, budzi pomysłowość czytelnika, współdziała w mobilizowaniu wielu sił jeszcze ustajonych, wznosi dągnięcia do harmonizowania osobistych interesów i potrzeb z wymaganiami ogółu. Inny aspekt wartości szkiców Stefana Zuborowskiego tkwi w tym, że stanowią one swoiste dodatkowe źródło dla poznania

niedawno minionych wydarzeń. Wiadomo, że w przypadku bazy źródłowej, odnoszącej się do czasu przed I wojną światową, a także do dziejów II Rzeczypospolitej i II wojny światowej istnieje duże rozproszenie i zniekształcenie jej zasobów; to też tym większe zainteresowanie znajduje stwierdzenie w stosunku do możliwości poznania spraw polskich okresu drugiej wojny światowej. W tej sytuacji każdy pamiętnik, wszelkie wspomnienia obrazujące różne strony minionego życia społeczno-politycznego, wojskowego, gospodarczego i kulturalnego są szczególnie cenne, bo wzbogacają i poszerzają naszą wiedzę o tej stronie rzeczywistości, o której niewiele mówią oficjalne dokumenty. Wartość wspomnień Zubozewskiego zakwalifikowanych do druku jest tym większa, że liczne pamiętniki pozostały nadal w rękopisach, przechowywanych bądź w instytucjach archiwalnych, bądź pozostających w rękach prywatnych. Dużo materiałów pamiętnikarskich znajduje się w zbiorach polskich za granicą, tymczasem recenzowane wspomnienia mają szansę ukazania się drukiem, zatem zostaną udostępnione szerszym kręgom opinii publicznej.

Należy podnieść, że Autor szkiców, Stefan Zubozewski urodzony 16 kwietnia 1908 roku w Lubnie nad Ilwą / s.204/ w czasie I wojny światowej ewakuowany wraz z rodziną na Kijowszczyznę, odtwarzając dalej własne, dzieje ziem polskich i zachodnich Kraju Nad na przestrzeni pierwszej połowy XX stulecia, jest także w pewnym sensie elementem źródłotwórczym; przekazuje bowiem takie czy inne fakty z autopsji, z własnej obserwacji lub przez siebie zasłysane. Czytelnik łatwo dostrzeże, że własne odczucia Autora dotyczące niedawno minionych czasów,

stanowiących zarazem niemałą częśćkę jego życia, oddziaływały w takim czy innym stopniu na sądy i oceny sformułowane później przez niego w jego tu recenzowanych wspomnieniach.

Cesura rzeczowa, terytorialna i czasowa pamiętników Zubczewskiego jest bardzo rozległa i ciekawa. W literaturze naszej nie mamy chyba wspomnień Polaków mieszkających w ZSRR, chroniących się na ziemiach Północnego Kaukazu, tudzież uczestniczących w wojnie na różnych odcinkach rejonu Korza Azowskiego, by po przedostaniu się do Transjordanii, robycie w obozie rumuńskim, po pracy przyrasowej w majątku arystokraty rumuńskiego, w roku 1945 wrócić do Polski.

Podczas nauki szkolnej, studiów rolniczych, walk w Armii Czerwonej i pracy zawodowej, kształtował się stosunek Zubczewskiego do przeszłości i teraźniejszości. Zubczewski - dokumentując to jego pamiętniki - widzi w całym otaczającym go świecie przebogate, niewyczerpane źródło wiedzy historycznej. Przy czym za źródło historyczne uznaje wszystko, co ukształtowane w przeszłości dotrwało w takiej czy innej postaci do naszych czasów. Trzeba tylko te przebogate źródła umieć czytać. Uczy się tego po dziś dzień.

Stefan Zubczewski najchętniej drąży teraźniejszość. Widzi w niej nie tylko źródło historyczne, ale także przedmiot najżywszego zainteresowania, a także podatne pole działania, czego ślady czytelnik znajdzie i na kartach emwionej pracy. W obserwacji i przeświadczeniu współczesności szuka i znajduje sposoby pogłębionego zrozumienia przeszłości. Przykładem sarkazmu opisa umagać się z chytrnością, sarkazmem i wściekłością głodnych wilków /s. 164, 263 / czy niezapamiętanego polowanie na ślepniki / s. 164 / , jak i przeżyć z powstającymi się stalinowskich czystek / s. 136 / - zwłaszcza tej z 1937 r.

/ s.275/ lub omówienie doświadczeń kierownika stacji agronomicznej / s. 363 / albo przedstawienie strachu przed groźbą gestapowskiego aresztowania / s.364/ lub ukazania ucieczki podczas śnieżycy / 367/. Oficer Armii Czerwonej - ale nigdy nie oficer liniowy - nie może uwolnić się od rozpamiętania nad sylwetkami cywilnych i wojskowych palladynów Hitlera / s.525 /. O sposobach poszukiwania materiału źródłowego w teraźniejszości mówią jego tkliwe słowa o miłości / s. 317/. Podkreślić trzeba, że Autor nie zawsze wspomina, co "właściwie", a o czym tylko "słyszał". Jednakże na ogół wszystko, na co potrafi w tragicznych dniach wojny, dostrzeżać i przedstawia obiektywnie. Nie kryje się jedynie swoim karliwym przywiązaniem do przeszłości, swego narodu, a trudnością ukrywa swój podziw dla Stalina /s.374,432,522,527, 563,568,600, 506 / i gen.Brucilowa /s.135, 141 /, otwarcie mówi o swoim głębokim przywiązaniu do swego ordynansa Petrowa /s.101, 106 /. Równie subiektywnie mówi o Władysławie Sikorskim i jego rodzinie /s.4,182, 642/

Nie tu miejsce, by polemizować z poglądami Autora na bieg wydarzeń kreślonych na kanwie dziejów swego rodu. Radziłbym jednak Autorowi sięgnąć do polskich heraldyków, zwłaszcza do 4-o tomowego herbarza "Korona Polska" Kazimierza Niesieckiego i jego "Herbarza polskiego" / t. 10 / jak i do Bartoza Paprockiego herbarza "Herby rycerstwa polskiego". Po wglądnięciu do wspomnianych herbarzy z pomocą Autor spojrzaj innymi oczyma na rzekome szlacheckie pochodzenie Władysława Sikorskiego herbu kopaszyn /s.182/. Warto również, aby Autor nim ostatecznie wykrystalizuje swoje poglądy na problemy rodowodu, w tym również rodowód Sikorskiego, wspomnieć się z pracami Romana Karpiańskiego i Walentyny Korpalekiej o biografii Sikorskiego.

Ze względu na zasadę wiarygodności doradcałbym Autorowi, aby niekiedy podkreślał hipotetyczny charakter niektórych z wypowiedzianych przez siebie twierdzeń i zawsze był gotów zmienić swe poglądy w miarę rozwoju własnej pracy naukowej i napotykanym kontrargumentów.

Losy przytoczonymi welerami szkiców uzasadniających wydanie ich drukiem wspomnieć warto także o erudycji autora i z niej wynikających ciekawych dywagacji np. o Misji Jana Sobieskiego / s. 267/, Przejście Skrzetuskiego, bojuwaniu Czarnieckiego / s. 126/, albo wzmianek o lekarzu Józefie Piłsudskiego /s.754/ A. Mickiewiczu /s.19/, F. Dzierżyńskim /s.182/ czy Litwinowic /s.203. Równie interesujące są anegdoty /s.390/. Wartość dokumentalną mają informacje o Jaworskim, Pawłowski /s.423/, Andersie /s.525/, Hołotwois /s.605/ czy "wazzechwałacy" Ukrainy Lejbini /s.337/.

Zwraca uwagę, że Autor prócz wydarzeń, w których sam brał udział, chętnie rozprawia o polityce ogólnej, w tym także wojskowej Kraju Rad, nie szczędzi wrog o bitwie pod Moskwą, Stalingradem czy Żukow Kurckim - w których nie brał udziału - a które mają już opracowania nie tylko w językach Krajów Układu Warszawskiego. Budzą zastrzeżenia opinie o przywódcach radzieckich, nierazko pełnych sprzeczności.

W grupie uwag szeregówkowych wymieniam poniższe:

s. 5. "Anders, znany cynik, karierowicz i intrygant, dla którego drobnością było postawienie kogoś na byle co przed plutonem egzekucyjnym ..." Czyaby rzeczywiście tak było?

Warto raz jeszcze nad tym sądem się zastanowić.

s. 7. Opuścić tekst całej 7-nej strony. Jest na boki i artystyczny. Także głębią myśli nie grzeszy.

s. 16. Opinia o gen. Zajacaku chyba jednostronna.

n. 12. "Świetny rozwój /atków/ majątków rodziny Sollehub - Zubczewskich na Litwie umożliwił wkrótce roku 1831 - uzbrojenie własnym sumptem pułku wybraniych strzelców, całej służby lądowej do tysiąca ludzi...- pisze autor, chyba znova przesada. Jakie jest źródło tych informacji ?

n.13. Łandarn Europy, od roku 1825 car Rosji, w maju 1865 roku już nie żył. Zmarł w 1865 roku. Nie mógł zatem wyreku kr. Brzóska Popisać.

n.16. Autor szkiców stwierdza, że główną przyczyną rezygnacji gen. Chłopińskiego z funkcji dyktatora powstania listopadowego było "odwołanie prof. Szama /?/ ze stanowiska dowódcy Gwardii Narodowej i powołanie na to stanowisko oddanego sobie samofanego zawodowego", co wywołało bunt Gwardii. Tymczasem literatura przedmiotowa stwierdza zgodnie, że główną przyczyną rezygnacji Chłopińskiego były niepowodzenia w rokowaniach prowadzonych z carem.

n.33. Śledstwo hr Beckendorfa zasługuje na staranne rzeczowe i językowe opracowanie.

n.39 "Ignacy Daszyński był członkiem działaczem PPSD, następnie PPS, w latach 1897 - 1918 posłem do parlamentu austriackiego, premierem Rządu Lubelskiego w latach 1920-1930". Nie, Daszyński był premierem i ministrem spraw zagranicznych rządu lubelskiego w dniach od 1 do 11 listopada 1918 r., a następnie w 1920 - 1921 wicepremierem w rządzie Wincentego Witosa, a od 1928- do 1930 marszałkiem sejmu.

n. 46- 50. Egzekucja Szymona Zuboszewskiego, ks. Sierocińskiego i Józego Szkalakiego i in. w 1837 r. / chyba w Omsku ?/ wymaga staranniejszego opracowania.

n.50. Opis egzekucji Malodina ze str. 50. powtórza się na stronie 51.

s. 98- 100 .Sceną pojedynku Zubczewskiego seniora z esaulem Ikwajskim trzeba także staranniej opracować. Doradzem przeczytać Sienkiewiczowski opis pojedynku Kmicia z Wołodyjowskim.

s. 109. Sarny, miasteczka położonego w widłach Horyna i Stuczny nie można sytuować w "Nadwiślańskim Kraju".

s. 109- 110 .Wiersz "Kto ty jesteś? - Polak mały" niećci się w "Zastępie polskim dzieciaka", którego autorem jest Władysław Bejza.

s. 111. Z wymagowanego dialogu Potockiego z Sikorskim lepiej zrezygnować. Słowa młodszego Sikorskiego rzekomo wypowiedziane w rozmowie z Potockim brzmią bardzo nieprawdopodobnie.

s. 116. Szczegóły z życia pułkownika Nikołaja Zubczewskiego /.. "brat mój nazajutra stanie się ze zdobytym wozem i z rekami kierowcy w stable jednostki itd...order Lenina .. / sąmatwane. Nie wiadomo kto i co zrobił. Wyjaśnić.

s. 123. Lapidarny opis zakupu koni w Nowocerkaskiej ziemi nasącza na rozbudowanie i staranniejsze opracowanie oraz na logatuzę nie niczas.

s. 133. Porównanie Nikołaja II do Iwana Cezarza jest nie- trafne. Sylwetki duchowe tych dwojgu carów są biegunowo różne, w niektórych aspektach przeciwstawne. Całość brzmie sztucznie.

s. 137 ." ... ze Lwowa i Podola - wywołano Ięleków masowo na wschód w głąb Rosji .." Przeciwnie te obszary należały do 1914 r. do Austro - Węgier i mieszkający tam Polacy - w pierwszej fazie wojny - uciekali przed wojskami carskimi na zachód.

s. 139 ." ... w dniu 14 czerwca 1807 roku dywizja gen. Henryka Dąbrowskiego odegrała decydującą rolę w zwycięstwie nad Niemcami i Austriakami ". Nieprawda :neutralnych w tym czasie

Austriaków pod Frydlandem nie było.

s. 156 s. " ... romansowi króla Augusta Poniatowskiego z Wielką Księżną , a następnie cesarową Rosji , Katarzyną II, romansowi którego następstwem było przyjdzie na świat ich syna Pawła I-go - ten ostatni będąc wyrodniałym już junakiem swrcał się do Stanisława Poniatowskiego , wtedy już "papierowego " króla polskiego, słowami : " non pare - mój ojciec " . Pomysł , Stanisław August Poniatowski nie był ojcem cara Pawła I .Pawł I, od 1796 r. cesarz rosyjski , był synem Piotra III.

s. 196. W r. 1919 o " antybulasewickiej sanacji " w tym czasie się nie mówiło. Sanacja jako nazwa obozu zwolenników Józefa Piłsudskiego pojawiła się po jego wojennym zamachu w 1926 r. który dokonał pod hasłem " sanacji moralnej " .

s. 198. "Działo się to w tak swym okresie " komunizmu wojskowego " .Wyjaśnić bliżej to określenie .

s. 200 . Podsię imiona Zubczewskich " ... i tych w kraju i tych , którzy przebywali poza jego granicami ... " .

s.205 . Piotr B. Wojkow od 1924 r. poseł ZSRR w Warszawie , zamordowany przez rosyjską emigrację , nigdy nie pełnił funkcji ministra spraw zagranicznych ZSRR .

s. 211 . Maurycy Maeterlinck, pisarz belgijski tworzący w języku francuskim, napisał prozę : " Życie paszcół " i " Życie termitów " .

s. 214 . Bitwa wojak polskich pod dowództwem Chłopińskiego w 1831 r. pod Grochowem z armią rosyjską dowodzoną przez Dybieca nie została rozstrzygnięta.

s. 214. Nie " Polaka " , lecz " Wolaka " reduka .

s. 221 " ... wśród nich są i prostytutka polityczna Teodor Nikołajewicz Kiereński .." Nie można tymi słowami kwalifikować Kiereńskiego .

s. 227. Jakie były dalsze losy Grzegorza Kotowskiego po jego drugiej ucieczce ?

s. 233 - 234 . Scenę zatargu z rosyjskim nauczycielem Jakowlewem warto by wspomnieć innymi podobnymi epizodami i następnie uogólnić.

s. 249. Stalin został relegowany z seminarium duchownego.

s. 290. Nową ekonomiczną polityką - NEP - wiąże się z Leninem , a nie ze Stalinem .

s. 259 . Autorem słów " panta rei " - " wszystko płynie " - jest Heraklit , a nie Kartezjusz .

s. 279 . I te sceny z życia studentów zasługują na poszerzenie .

s. 278 " Nowe twórczość ludzi tej klasy , literatów i pisarzy tej miary co Puskin, Lermontow, Tokstoj, Turgienie ... i in podobnych była zakazana ..." Nieprawda .

s. 278 . Podać więcej szczegółów o polskich studentach z zakresu rolnictwa .

s. 342 . Własny ślub zasługuje w pamiętnikach na obszerniejsze i bardziej staranne opracowanie.

s. 373 . Pisode z przedstawicielami Urzędu Bezpieczeństwa wycisnąć .

s. 430. " W końcowych dniach sierpnia 1939 r. wojska ... hitlerowcy uzbrojeni po zęby przez kapitał światowy Anglosasów ". Przesada. Niemcy hitlerowscy dysponowały własnym rozbudowanym arsenalem broni i uzbrojeniem zagarniętym w Czechosłowacji i Austrii.

s. 434 .Aby nie było nieporozumień warto wyraźnie napisać , że Turcja w czasie II wojny światowej formalnie była neutralna , de facto sprzyjała III Rzeszy .

s. 456 .Autor podaje , że ZSRR w dniu wybuchu II wojny światowej posiadało 6 500 samolotów- natomiast w Encyklopedii II wojny światowej , Warszawa 1979 r. strona 779- czytamy - że ZSRR w dniu wybuchu miał 1540 samolotów bojowych . Podobne sprzeczności występują w danych dotyczących armii radzieckiej i niemieckiej.

s. 620 .Stalin nie pełnił obowiązków ambasadora w Japonii .

s. 641 .Wojaka niemieckie Wilhelma II wysłał do Chin w 1901 roku .

s. 641. Autor myli nazwiska : Ignacy Krasicki i Zygmunt Krasicki.

s. 642 , 643 , 647 , 569, 661, 662 , 674 , 675 , 713 , 719 , 732, 733 podobnie jak wcześniej na str. 602,603, 604, 605 , 606,607,608,609 ,610 i 612 mają miejsce niepotrzebne powtórzenia .

s. 642 .Nikotne dane z życia Karola II, króla rumuńskiego są błędne .

s. 648 .Frank nie był gubernatorem GG. Był natomiast w GG generalnym gubernatorem.

s.648 . Fryderyk III nie podbił Szczecina . Szczecin za garnęli Prusacy już w 1720 r., a więc wtedy , gdy Fryderyk II miał 8 lat ; na tronie zasiadł w 1740 roku.

s. 754 " ... koterie nie wykonywały testamentu Ziuka - Piłsudskiego , który wyznaczył gen Władysława Sikorskiego na swego następcę po jego zgonie ". Błąd .Piłsudski nie wyznaczył Sikorskiemu stanowiska następcy.

s. 757. Obeszeraliej należało potraktować swój powrót do kraju
Brak też informacji o najbliższej rodzinie.

Ostatnia uwaga szczegółowa dotyczy tytułów i objętości
rozdziałów. Struktura szkiców syka, gdy Autor rozczłonkuje
obszerna partie swych wspomnień, na mniejsze, objętości-
wo zbliżone do siebie rozdziały.

Zamykając uwagi recenzyjne proponuję :

- usunąć powtórzenia ,
- zastanowić się nad możliwością uwzględnienia sugestii
recenzenta ,
- napisać książkę zakończenie .
- poprawić język, niekiedy styl i narrację,
- sporządzić indeks nazw miejscowości i indeks osobowy .

wniosek końcowy :

Jak wcześniej wskazane wartości wspomnień , że dają okazję do
bardzo pogłębionej i erudycyjnej analizy osobistych ,
rodzinnych i ojczystych dziejów i dlatego uzasadniają
wniosek o wydanie ich drukiem. Prezentowana w pamiętnikach
wiedza potoczna jest tą wiedzą , która przez stulecia
była prawie jedyną wiedzą o społeczeństwie , a i dzisiaj
ograniczone obszary praktyki życia codziennego są kierowane
tylko taką wiedzą . Warto więc, by pamiętniki Zubczewskiego
znalazły się jak najwyżej na półkach "Ismów Książek",
tym bardziej , że w omawianych wspomnieniach znajdują
wiele problemów kwestii i spraw, które w literaturze polskiej
dotyczącej naszej niedawnej przeszłości pojawiły się po raz
pierwszy.

Toruń, dnia 12 kwietnia 1985 r.

B. Plebaniak
Prof. dr hab. Bolesław Plebaniak
67-100 Toruń, Mostowa 21/ a 2

Recenzja wydawnicza - szczegółowa pamiętnika Pana Stefana ZUBCZEWSKI
GO pt. "WOJNA, LUDZIE, ZIEMIA OJCZYSTA"

Pamiętnik Pana Zubczewskiego ma aż 763 str. druku maszynowego, i jest podzielony na trzy części. Właściwie jest to obszerna biografia rodu Zubczewskich połączona z pamiętnikiem osobistym a u t o r a.

Ród Prawdziwów Sołtuch Zubczewskich jest bardzo starą rodziną. Znany przed wszystkim historycznymi postaciami są Jerzy Prawdziw Zubczewski, który jako dowódca w wojskach Witolda brał udział w bitwie pod Grunwaldem i za waleczność otrzymał dobra ziemskie w Dubnie. Drugą postacią historyczną jest płk Wojsk Polskich - Szymon Zubczewski, który po upadku powstania 1831 r. został zesłany do Omska i tam po usiłowaniu wzięcia powstania, został skazany na śmierć przez Czarów. Został zastrzelony rógami.

Trzecim był prof. Julian Zubczewski dyrektor seminarium w Rzeszowie i Lwowie, znakomity pedagog, przyjaciel młodzieży i działacz społeczny, który pomógł gen. Władysławowi Sikorskiemu w zdobyciu wiedzy i był jego opiekunem. Np. gen. Sikorski ożenił się z przybraną córką Zubczewskich Helena, która była również spokrewniona z rodziną Daszyńskich.

Ojciec autora był oficerem wojsk carskich, który wyróżnił się rajdem na tyłach Niemców w I wojnie światowej. Potem już będąc inwalidą pracował w Kraju Rad jako specjalista. Sam autor ukończył wyższe studia w Związku Radzieckim i pracował też jako specjalista /entomolog/ w rolnictwie. Podczas II wojny światowej był oficerem Armii Radzieckiej i brał czynny udział w wojnie w służbie kwatermistrzowskiej i sanitarniej.

-2-

W czasie działań wojennych autor wydestakuje się z hitlerowskiego okupacji i ukrywając fakt, że jest oficerem, zostaje w rejonie Krasnodaru kierownikiem farmy kurzej.

Zaufanie Niemców znajduje podarunkami i powołaniem się na siótkę von Lemnitz mieszkającą w Niemczech. Pomaga partyzantom. Ostrzeżony o możliwości aresztowania, ucieka po drodze podpalając "fosfor" wielki transport wojskowy. Zostaje jednak pojmany i przebywa w obozie jenieckim. Z obozu ucieka do Rumunii, gdzie jest torturowany w więzieniu. W 1945 r. wyzwolony przez Armię Radziecką przyjeżdża do Polski, ale w r. 1950-1951 zostaje aresztowany i przebywa w obozie w ZSRR. Został po przesłuchaniach świadków uniewinniony. Po roku 1956 wraca do Polski.

W pamiętniku autor obszernie opisuje sylwetki swoich przodków, rodziny własnej, zarówno bliskiej i dalekiej, jak i rodziny swojej żony. Bardzo duża ilość nazwisk, informacji kto i jak był spokrewniony

czy spowinowaty czy spokrewniony zajmuje znaczną część pamiętnika. Nie zawsze te postacie mają znaczenie historyczne i będą mogły zainteresować czytelnika. To, że autor o swoich antenatach mówi w samych superlatywach, może być zrozumiane, a nawet sympatyczne. Ale autor wspaniałym Zubczewskim, dalszym i bliższym krewnym wystawia wyjątkowo pochwalne laurki, pisze często tonem podniesionym, patetycznym aż do panegirycznego właśnie.

Pełnie jednak jest niezrozumiałe, że autor powtarza te pochwały wielokrotnie, np. aż 6 razy wspomina, że ród wywodzi się od Ruryka.

Nikt nie neguje, że z rodu Zubczewskich pochodzi wielu uczeńców, znanych i dzielnych ludzi, z tym że podkreślenie nawet własnych zalet autor mógłby już pozostawić osobom trzecim np. temu kto napisze słowo wstępne. /zgodzam się całkowicie-autor/.

Dalej pisząc o języku i stylu powieści wskażę przykłady ilustrujące to zjawisko. Sądzę, że wydawnictwo powinno rozważyć następującą sprawę

Biografia czy tego typu monografia będzie miała dużo mniejszy krąg czytelników. Wydanie jej jest korzystne w wydawnictwie specjalizującym się w monografiach, jak np. "Wydawnictwo Literackie" w Krakowie czy "Wydawnictwo Lubelskie".

Ja rozumiem rodzinne przywiązanie autora i dumę ze swego rodu, ale monografia czy biografia wymaga spokojnego i naukowego spojrzenia na problem prezentowany. Emocje wpływające nawet z najbardziej szlachetnych i osobistych uczuć, nie są z reguły prezentowane w tego typu wydawnictwach, a dopiero same fakty historyczne mają swoją rangę, i jeżeli na podstawie faktów i obiektywnych, naukowych analiz rodzi się ocena wydarzenia, zjawiska czy człowieka.

W wydawnictwie specjalizującym się w biografach mogą sobie z tym poradzić, by monografia przestała być "pamiętnikiem rodzinnym", a stała się dobrą materiałną historyczną.

Autorem dał sporo cennego i ciekawego materiału, szczególnie gdy chodzi o postać wspomnianego już p. k. Szymona Zubczewskiego i innych wydarzeń związanych z rodem Zubczewskich.

W Pamiętniku wiele miejsca zajmują obszernie fragmenty, dotyczące bardzo różnych wydarzeń historycznych na przestrzeni wieków.

Najwięcej miejsca Pan Zubczewski poświęca ogólnym informacjom o I i II wojnie światowej. Autor dużo czytał, z tym że wiedza zdobyta tą drogą nie jest zbyt uprzedkowaną.

Many więc informacje ciekawe, najczęściej czerpane ze źródeł rodzimych, informacje powszechnie znane, które tylko rozsadzają pamiętnik, rozrywają tekst narracji, zwiększają sztucznie objętość pamiętnika.

Również można znaleźć informacje nieznane i nie podawane do wiadomości w ZSRR, a odnoszące się do tego kraju. Są wreszcie informacje uproszczone, czasem nieścisłe, jak np. informacje o roli gen. Andersa, są też komentarze autora pisane często językiem agitacyjno-propagandowym, używanym w ZSRR i u nas w latach 44-52.

Bywają też oceny niespójne, uproszczone. Pan Zubosewski ma ambicje, aby dać ocenę historyczną wydarzeń II wojny światowej. W pamiętniku nie jest to konieczne. Autor wie nawet o tym, o czym rozmawia? w esteryce ze Stalinem z Beria, czy z Bułdionym. Skąd czerpał tę wiedzę? z opowieści o byłym komendancie Kraju pułkownika Wieniedina, represjowanego w 1937 roku. którego poznałem w obozie odosobnienia Nr. 312/

Zachowanie Stalina można znać częściowo z pamiętnika Żukowa, zachowanie Hitlera z "Dzienników Haldera". Ale bezkrytyczne powtarzanie pewnych poglądów bez zbadania wielu źródeł i dokumentów to dość ryzykowna sprawa. Autor nie jest historykiem, a dostępu do materiałów i szeregu dokumentów, szczególnie w ZSRR, chyba nie miał - najwyżej do tego co opublikowano. Pewne fakty historyczne historiografia radziecka omawia oszczędnie, np. trudności w kolektywizacji na Ukrainie, głodu i wydarzeń początku lat 30, obozów, przesiedleń, Kosaków, Kazachów i Tatarów. Sądzę, że ocenę wielu faktów i wydarzeń historycznych w ZSRR warto jednak pozostawić historykom radzieckim, w tym również ocenę Stalina, którą nieustannie autor podejmuje. Tę radę podpowiada recenzentowi wyobraźnia polityczna. / z g o d a /

Pamiętnik staje się ciekawszy, gdy autor pisze o przeżyciach ojca, swojej nauce, pracy w rolnictwie, szkolnictwie, własnych przeżyciach na froncie. Mały wtedy obrazowe, barwne opisy.

Opisując swoją pracę w rolnictwie w początkach lat 30, autor mniej jednak uwagi poświęca pracy rolnictwa Kraju Rad, mimo że zajmował się tymi sprawami, więcej uwagi poświęca sprawom kadrowym, a najwięcej wypaczeniam ustroju radzieckiego i to one dominują. Mały więc nieustannie podkreślanie negatywnej roli NKWD, morderców, szyk, procesów, rozstrzeliwań, represji.

O tych sprawach i to ostro, wypowiedział się już XX Zjazd KPZR, pisano w ZSRR i u nas. Tu jednak autor koncentruje przykłady.

Zagęszczenie tych informacji przesłania inne wydarzenia, pozytywne w Kraju Rad i tworzy ten osobliwy klimat. Powstaje wyłącznie czarny obraz. / zgoda, dotyczy to okresu wypaczeń / . Kasano mi kopiec dół na własny grób!.

Nie można też powiedzieć, że autor piętnuje wyłącznie wypaczenia i błędy, a pochwała to co dobre. Tu nie wystarczy recenzja.

Konieczne jest przeczytanie całych fragmentów pamiętnika, które dalej podaje. Czasem znajduje się i ciepłe słowo dla Kaledina, Kornilowa, czy zabójcy Czapaiewa. Inne oceny też bywają dwuznaczne.

Autor daje zdecydowanie negatywną ocenę Żydów, którzy byli członkami Partii, czy aparatu władzy radzieckiej i nie nie rozumie, że to program ideowy partii wykluczający rasizm i dyskryminacje różnych narodowości do partii, którzy zawsze byli w Rosji carskiej prześladowani. W pamiętniku są pokasane jako karierowicze i bezideowi internacjonalisci /wielka przesada- dotyczyło to Żydów pokroju, Ajzensztajna, Rubina, a u nas? Na bliższym terenie- Bajk, Swiatko, Rurak, Kuligowski obecnie w Iarselu, również prokurator z Torunia Szarow, nota bene w ZSRR-Szarow/

Autor stale podkreśla, która osoba poznana jest Żydem, jak i fakt negatywnego ich wpływu w Partii, władzy, sądownictwie, prokuraturze, wojsku. Nawet w stosunku do tych Żydów, którzy go protegowali też zachowuje dwuznaczna postawę i podkreśla ich żydowskość /przesada/ Pragnę przypomnieć, że domniemy antysemityzm, czy prawdziwy to ulubi ona bród Syjonistów./zgoda/.

Dlatego też unikamy w naszych wydawnictwach publikowania akcentów pokasujących, że ktoś jest pochodzenia żydowskiego i łączenie z poch. odświeżeniem funkcji przez niego zajmowanej. Wynika to z zasadniczego faktu, że jesteśmy państwem socjalistycznym./Zgoda całkowita/

Autor otacza również pogardą komisarzy i politruków, oficerów NKWD i sądownictwa/Przesada i to bez tenady, byłem ranym na jednym pojedyku z Miasą Trunowym, kapitanem NKWD, z którym zmasłem kromką chleba/

Są niekonsekwentne oceny "komunizmu wojennego" wojskowej dyscypliny, surowości, stam. wojennego+postać Stalina porównywanego z C. G. Gygis-Chanem, linii WKP/b/. Ale wszystko się zmienia od str. 589./to prawda, przy ewaluacji wartości były dokonane kiedy poznałem "wartości" na wega porządku nieśnętego przez faszyzm, po odbiciu Rostowa, kiedy zobaczyłem stopy rozstrzelanych przy kamienicy na ulicy Sałowej, a wśród nich zwłoki dziecka w wieku jak moja córeczka z lalką w zastygłych już rączkach/. Ale wszystko się zmienia od str. 589.

Autor zostaje kandydatem na członka Partii i teraz wiele rzeczy zaczyna mu się podobać za wyjątków Żydów.

Te co było złe, niejasne, zbredniczo, staje się "koniecznością i celowym działaniem dla umocnienia ZSRR i wygrania wojny z Niemcami". Oceny stają więc niekonsekwentne. Te sprawy omówię podając przykłady.

Przykłady uproszczonych, bądź niekonsekwentnych ocen nieścisłości spraw wymagających wyjaśnień.

I. Bardzo ważną sprawą jest biografia gen. Władysława Sikorskiego

jako bardzo ważnej postaci historycznej.

Na str. 2a-3 autor podaje że generał Sikorski był wychowankiem jego stryjecznego dziadka Juliusza Zubczewskiego. Jest to prawda, z tym, że to co podaje autor, nie we wszystkich szczegółach pokrywa się z naszą wiedzą historyczną. /nb, Juliana! /

Tak pisze wybitny nasz historyk, członek Prezydium PAN prof. Roman Wapiński, w monografii "Władysław Sikorski" PIW, 1978.

"Upłęga byłaby najpewniej saga rodu Sikorskich gdyby jakiś dzień jopis podjął się jej opracowania. W obu napisanych biografiami Władysław Sikorskiego wspomina się wprawdzie o domniemanym stryjecznym dziadku bohaterze Tomaszu - Kopaszynie Sikorskim, dwukrotnie odznaczonym Orderem Virtuti Militari, oficera artylerii konnej w czasie powstania listopadowego, ale bardziej wiarygodne informacje o środowisku rodzinnym pozwalają na szukanie jego rodowodu raczej poza salacheckim. Ale Pan Zubczewski takich wątpliwości nie ma i pisze o "Kopaszynie" na str. 2a, a na str. 182, rzekomy herb generała. /zgoda, ostatnia informacja - Osmipres z dnia - 5 lipca 1985r.: Władysław Sikorski urodził się dnia 26 maja 1881 roku w Tuszowie Narodowym pod Mielenem. Był synem Tomasza Sikorskiego nauczyciela szkoły ludowej. Stryjeczny dziadek Władysława, również Tomasz, herbu Kopaszyna, oficer artylerii w powstaniu 1831 roku i walczył w bitwie pod Olszynką Grochowska i otrzymał Krzyż Virtuti Militari/.

Dalej prof. Wapiński pisze, że "Ojciec Władysława syn tkacza z Przeworska, był organistą i nauczycielem szkoły ludowej w Hymnem, a w r. 1881 w Tuszowie pod Mielenem urodził mu się syn Władysław późniejszy generał. W r. 1885 zmarł ojciec generała i matka wróciła do Hymnego, gdzie generał ukończył szkołę podstawową. Cały czas aż do wieku 17 lat opiekowała nim się matka i dziadzie Jędrzejewski, o którym Pan Zubczewski nie wspomina. To Jędrzejewicz ułożył na naukę w Rzeszowie. Generał miał przerwać naukę w gimnazjum, bo Jędrzejewski przestał go finansować, i wstąpił do seminarium w Rzeszowie, gdzie były stypendia. Wtedy dyrektorem seminarium w Rzeszowie a nie w Łancucie jak pisze autor, właśnie był wspomniany profesor Julian Zubczewski, wielki przyjaciel młodego, co potwierdza we wspomnieniach Stanisław Brokowski.

Po przeniesieniu się dyr. Zubczewskiego do Lwowa, zabrał ze sobą chłopca, a później mu w ukończeniu gimnazjum i w studiach. Władysław mieszkał u Zubczewskich i nawet ożenił się z ich przybraną córką Heleną.

Pan Zubczewski tylko na str. 182 wspomina o rodzinie generała i to daje małą wzmiankę. Autor pisze tak jak by generał od małego był wychowywany przez Zubczewskich, /Właśnie tak, potwierdza to dla ścisłości załączane do wglądu zdjęcie rodziny, z około 1888r/ Był adaptowany przez dziadka Juliana Zubczewskiego.

a wiadomo że do ukończenia 16 roku życia opiekowała się nim matka i Jędrzejewicz./Czy ten "blondynek" siedzący obok mego ojca wygląda na junaka lat 16?/. *Jednym z operatów był Stasiem, Starszym brakiem*
Witajciecie *Się poróżniło*
Zasługi prof. Zubczewskiego są i tak niewątpliwe, choć mówienie o tym, że generałowi "wpojono cechy rodziny Zubczewskich" brzmi trochę przesadnie. Na pewno patriotyczna, atmosfera domu prof. Zubczewskiego sprzyjała rozwojowi przyszłego generała, który już nie był dzieckiem.

/Uwaga O. Terlecki nazwisko dziedzica - opiekuna podaje Jędrzejewski/.

2. Na str. 84 mamy niezwykle pozytywną i uproszczoną ocenę generała Dowbór-Musnickiego. Autor nie wspomina o wyczynach jego żołnierscy Przez wiele lat pamięć o okrucieństwach wojsk Dowbór-Musnickiego żyła wśród chłopców rosyjskich./Nieścisłość, fakty opisane w pamiętniku o okrucieństwach żołnierscy w polskich mundurach, podane mi przez *M. Kozłowa* *Su* Kowalego-Jachowkowskiego - reżymistrza Wojska Polskiego uczestnika w wojnie w roku 1920, są autentyczne. Opowiadał mi jak oddziały polskie były salane "białogwardystami" z generałem D u b a s o w e m, na czele, stąd mordy i represje, uścili się okrutnie, ale przed 1920 rokiem stanowczo odmawiali Polsce samostanowienia się, stąd układ marszałka Piłsudskiego z Leninem, który uznał samostanowienie Polski, Litwy i państw przybałtyckich. Orzesiony Lenin był z córką generała gubernatora Moskwy i moskowskiej guberni, hrabianką Nadeżdą Krupakow/
3 Autor ma ten zwyczaj, że prawie każda decyzja członków swego rodu nawet ta normalna życiowa motywuje względami patriotycznymi, również wybór zawodu oficera w armii carskiej.

Na str. 71 mamy opisaną następującą historię. Sześciu synów stryja cznego pradziadka autora, wspomnianego już p.łk Szymona Zubczewskiego, który po nieudanym wnieceniu powstania w C m s k u został zamorowany przez carat, wstąpiło do ekskluzywnych szkół wojskowych w Rosji carskiej. Ukończyli je z wyróżnieniem i dosłużyli się nawet stopniapulkowników armii carskiej. Nie ma nic aż tak bardzo dziwnego, że synowie ziemianina pozbawieni przez carat szansy wybierali zawód oficeraki. Taki były losy Polaków./zgodą, gen. Sikorski był w Galicji wjeść służby w Armii Austriackiej, był protegowany przez Namestnikową, generałową Salomeję Potocką z Sołżonów Zubczewskich i ojca matki mego ojca pułk. Armii Austriackiej Daszyńskiego, sakoła że fotografie rodzinne zostały skonfiskowane przez władze ZSRR/.

Czasem ich synowie, a również tak było z Zubczewskimi zostawali żołnierzami armii carskiej, potem Armii Czerwonej, a następnie potomstwo broniło Kraju Rad w latach II wojny światowej.

Rodzina Łubczewskich w większości żyła w Rosji. Nic więc nie ma przeciw takiemu wyborowi zawodu. Napewno byli to dobrzy oficerowie, prawnicy i uczeni.

Ale autor uzasadnia wybór zawodu wyłącznie względami patriotycznymi i pisze: "Cel uświęca środki, a służba wojskowa nawet w szeregach armii rosyjskiej jest jednak zawsze przygotowaniem do zbrojnej walki o odzyskanie niepodległości" /podkr. rec./. Nie zwróciłbym większej uwagi na ten fragment, gdyby na str. 133 autor pisząc o swoich starszych braciach, którzy wybrali też karierę wojskową pisał: "byli kastytami na członków specjalnej kasty przyszłych dowódców wojskowych, czyli właśnie na zawodowych zabójców - ku chwale ojczyzny". Gdzie się więc po dziła ten walenrodzyna ze str. 71? Daje to jako przykład nieniekwestionowanych scen, które dość często dotyczą wielu osób i spraw, jak np. Stalina, roli Partii, "Komunizmu Wójennego" itd.

Również pobuiki patriotyczne leżą u podstaw wyboru żony który dokonał ojciec autora.

Na str. 109-111 ekliwy i patetyczny opis spotkania przyszłej narzeczonej z przyszłym mężem. Dialog jak z czytanki przedwojennej, aś szeleć i papierem. Słowo Polska odmienione przez wszystkie przypadki /to prawda, szczerza prawda, widać w swoim życiu szanowny autor szczególnej recenzji nigdy w życiu niebył: polaczisaka, polskaja mord, polaczek-takowaka twoja mać, itd. Wcale tego nie wstydzę, będąc przez długich lat 40, na uchodźstwie zawsze pozostawałem Polakiem, którzy w okresie "wojennego komunizmu" byli na szczególnym i a d e k s i e. Przeżyłem pogromy żydowskie i polskie przez "rizunów" wszystkich barw i odcieni, więc o odświeżaniu uczucia które przaczyłem w tęsknocie do Kraju, które uwiłdowiłem w wierszu który "popożniłem po raz pierwszy w życiu, str 7/4. Na str. 99 jest nowa o pojedynku, "ojciec stanął mając ^{prz} szczerze szczerzące słońce, którego promienie go oslepiły / podkr. rec. /.

Na str. 105 jest nowa o tym, że sekundantem był ordynans Petro. Chyba, że mówiąc "sekundant" autor miał na myśli, że ten kibicował, bo nie mógł być sekundantem w pojedynku oficerskim lub szlacheckim, a nie był szlachcicem bo był ordynansem. Szlachta w carskiej armii nie pełniła służby "pucybutów". /zgoda całkowicie, pisałem w ciężkiej scenarii demospersalizowana moja Bohianka-Bogdanke, niedosypane noce, ustawiczne pranie i gotowanie, więc przemienzenie i zamiast "sekundował" czyli jak słusznie zauważył szanowny pan recenzent nie mógł być sekundantem. Petro to była osobowość szczególna, szlachetność jego postępowania i oddanie swemu paniczowi mówi same na niebie, jego inwencje i wobrażenia do mego dziadka i karku, na rękach którego umarł od ran ojciec Petra Jagasa W

partii księdza Stanisława Brzóska w której dziadek Mikołaj lekarz wojskowy wytrwał aż do roku 1865go, więc opiekował się ojcem nie jako "pucybuda" ale jak rożonym bratem, stąd sasalniczy, główny tytuł pamiętnika "Erwia i blizna" podtytuły - "Wojna, ludzie, ziemia ojczyzna" /.

5. Na str. 112 - 113 jest cytowana rękopisowa rozmowa między gen. Alfredem Poteckim a Sikorskim, który wtedy był studentem. Sikorski miał podkreślać wyższość i szlachetność rodu Zubczewskich i wytykać Poteckiemu, że należał do obozu konserwatywnego. Autor pisze "przytyk młodego Sikorskiego trafił w sedno w jednego z tych którzy złęczeni w obczynie księcia Czartoryskiego właśnie do tego rozdrapania doprowadzili". Obóz Czartoryskich został już oceniony i to wszechstronnie, a wywyższenie rodu Zubczewskich w stosunku do rodu Poteckich tu nie brzmi poważnie, bo jeszcze herb Poteckich nosili hetmani, wielcy mężowie stanu, senatorowie, wojewodowie, naukowcy itd. A i z tym "rozdrapaniem Polski z winy Czartoryskich czy Poteckich to bardziej skomplikowana sprawa."

6. Na str. 123-124 pochwała gen. Kaledina chyba bardzo przesadna, /biorąc pod uwagę jego "działalność". "Wzruszające" przeniesienie Kaledina i jego samobójstwo nie może wzruszyć potomków samordowanych bestiala ko chłopów i to z polecenia Kaledina. Nawet o gen. Kornilowie znalazło się ciepłe słowo jako "o znany" i "szanowany generale" Szanowanym - przez kogo? /wartości generała były "kultem" na Donie, Kubaniu, i jak wiadomo był to generał - kozak który salwował się jako jedyny z niewoili Kajszerowskich Niemiec po rozgromie armii gen. Samsonowa, a było tam znacznie więcej generałów którzy tego nie robili. Ocenę gen. Kaledina podał ten ze znajomości syna generała, a którym pracował w "Kurortach Kaukazu" nosił przybrane nazwisko ^{swojej matki /saba, Alexander Myzkin.} Prasa radziecka jednak podawała że samobójstwo Kaledina, przyczyniło się do rozwalu "Armii Białych" gdyż Kozacy Donu, Kubania i inni - rozjechali się po domach, czyli pomogli Leninu w opanowaniu sytuacji na froncie, i utrwaliło zdobyczy Paździerznik a" /.

7. Na str. 173 autor pisze, że za zniszczenie armii Samsonowa i klęskę pod Tannenbergen winę ponosi... Francja /? / . tu szerszy wywód.

8. Na str. 175-176 autor daje uproszczoną ocenę "Upił Polski i Ukrainy a w następstwie "wspólne wystąpienie armii polsko-ukraińskiej przeciw wrogiem wrogiem wrogiem bolszewizmowi". Przez kogo zniechędzonym, tego autor nie wyjaśnia.

9. Na stronie 188 mamy opisanie przypadkowe spotkanie ojca autora /w lipcu lub sierpniu 1920r. / z Dzierżyńskim w Zmerence. Nie mamy poważniejszych danych, aby kwestionować fakt, że takie spotkanie kiedyś się odbyło. Ale w początkach lipca trwały tam jeszcze działania wojskowe

o tym był Sikorski dobiegający do niego w Smoleńsku w 1920 roku.

Nikodym

me i odwrót wojsk Piłsudskiego./jak opowiadał mi rotmistrz Sułkowski-Jachowicki z 16 pułku ułanów było to w okresie odwrotu wojska polskiego przed "Czerwem nad Wisłą" kiedy porucznik Stefan Pogonowski na rozkaz generała Sosonkowskiego z swoimi zbrojami przedostał się na tyły armii Dudionego i wnieśli panikę i popłoch w taberach. zginął sam, pochowany w Stanisławowie z honorami wojskowymi i pośmiertnie wyróżniony złotym krzyżem Virtuti Militari, i stopniem kapitana, a jego matka była zepomiana i utrzymywała się z pracy, wyjąc podłogi i piorąc u rodzin Izrailewskich. Rotmistrz Sułkowski-Jachowicki posiadał swe majątki w Kobryniu, a jego małżonka, hrabianka Teba czynszka posiadała piękny Pałac w Łużycach pod Włocławkiem, siostra jej była za Włochem-Baccarellin, znanym malarzem króla Romiatowskiego. Taka a nie inna prawda historyczna. Właśnie on mi podał wiele ciekawych szczegółów z tego okresu, kiedy zginął pułkownik Adam Borowicz oficer Ligianów i jego syn, podchorąży Władysław, pod rozkazami którego służył Sułkowski-Jachowicki/ Później Dzierżyński był w Moskwie, gdzie kontrowersyjny Komitet Rewolucyjny Polski, który od 2.VIII-22.VIII, działał już na terenie Białegostoku. Był przecież obok Marchlewskiego najważniejszą postacią sterującą tymi sprawami. Chyba po 24.VII i w sierpniu nie mógł się ojciec autora chwalić swym pokrewieństwem z Daszyńskim, bo stanał on z Witosem na czele Rady Obrony Kraju i Rządu. Nie sądzę by Dzierżyński byłby zachwycony Panem Zubczewskim i krewniakowi Daszyńskiego oferował wtedy swoją protekcję./zgoda ale trzeba pamiętać że towarzyszy Józef-pseudonim Feliksa Dzierżyńskiego, również pochodzenia szlachecko-ziemiańskiego był człowiekiem o szerokiej wyobraźni, kiedy mówił do mego ojca "że do Polski teraz towarzyszy z SKŁL nie może już kontynuować podróży. A co do Polski? To niewiadomo jeszcze jaka Polska będzie!..." *Znał Feliksa*

W sprawie Daszyńskiego, SKŁL to.
Takie rzeczy trzeba sprawdzić w ZSRR nia się w kraju wydrukują. Być może można będzie znaleźć, kiedy Dzierżyński był w Żmerence. Wyklucza on miesiąc sierpień bo wtedy Daszyński nie miał uszanowania w Kraju Rad. /zgoda te da się łatwo sprawdzić, bo wymieniony już Sułkowski-Jachowicki mówił mi że kiedy nasze wojska polskie wstąpiło do Szepetówki, to jego szwadron w siedzibie sztabu Dudionego, zostali na stole jeszcze ^{winę} gorący samowar i cukier połączony z dużej głowy, który był produkowany w cukrowni Bohryńskiego-fabrykanta, ziemianina i kapitalisty, więc Dzierżyński, Marchlewski i Dudioncy musieli w pośpiechu opuścić Szepetówkę, później uszanując przez Układy wschodnią granicę zmarłych wstającej Polski/.

10. Na str. 203 autor pisze "bękart wersalski nigdy z martwych nie powstał, jak to podpisał Mołotow z Ribentropem" Mołotow tego nie

powąpisać, a powiedziasz 31 października 1939 Traktat był w zasadzie /podkr. rec./ Bardzo ryzykowne z punktu widzenia historycznego jest napisanie, że "potrzebny był wówczas Litwinów, mający za sobą potężne poparcie światowego i rodzimego syjonizmu". Co na to historycy w ZSRR? By właśnie pojawia się po raz pierwszy akcent antyżydowski, który już od tego momentu będzie się pojawiać często. /Maks Litwinow o proangielskiej orientacji prowadzi? przy ulicy Spiridonowskiej w Moskwie, petrakcji z Anglikami i nagle został zdysmisjonowany kiedy petrakcje zaszyły w ślepy zaułek, on już nie mógł brać udziału w pakcie wojennym ZSRR i wysłanikami z Londynu, którzy chcieli nie umowy o pomocy wojskowej i sojuszu, lecz anglijskiej deklaracji. Rosja do wojny nie była gotowa, potrzebnym był c s a s, który był potrzebny Stalinowi żeby uruchomić przesmyk wojskowy Uralu, Syberii, Kazachstanu, Polacy w myśl sugestii Anglików prowadzili kontatęską politykę nie przepuszczenia Armii Czerwonej przez swoje terytorium w celu wejścia z odnobilizowanym Wehrmachem hitlerowskim godziła wojeną, więc był potrzebny polityk o proniemieckiej orientacji z tą tą zmianą, dopiero po 22 czerwca - stał wybuch II wojny światowej Litwinow znów powraca do pracy dyplomatycznej, był to wytrawny polityk o orientacji proangielskiej. Nie jestem politykiem i historykiem, więc tak oddawałem fakty jak je rozumowałem/.

11. Na str. 206 autor podaje stosunek rodziców do wychowania dzieci. Mieli słusne poglądy na wychowanie dzieci i wierzyli, że to obowiązuje z dziećmi ludu wyjdzie mi raczej na dobrze.

Wyznawali zasadę, że dobrego i karcenia nie sepsuje, a złego nigdy nie naprawi" /podkr. rec./ Te zasady wyznaje ojciec autora - funkcyjnik rządu radzieckiego, który przed Dzierżyńskim się chwalił, że należał do SDKPiL. Dość zabawne jest to stawianie znaku równości między niebezpieczeństwem przebywania z dziećmi wiejskimi, a przebywaniem w knajpie. /Nęprawa, w tym okresie czam ojciec mój był nadleśniczym w Sarnach a nie funkcyjnikiem rządu radzieckiego. Przed tow. Dzierżyńskim nie chwalił się, że należał do SDKPiL, tylko na pytanie Dzierżyńskiego, inwalida siedzący w wózku odpowiedział "za przoproszeniem towarzyszu Józefie, nie jestem żadnym jaśnie p a n e m, lecz znam towarzysza z działalności partyjnej w Polsce, moja matka z Daszyńskich a małżonka córka akademika D. mińskiego z nawodu nauczył elka itd./ Dość zabawne jest to stawianie znaku równości między niebezpieczeństwem przebywania z dziećmi wiejskimi, a przebywaniem w knajpie.

12. Na str. 255 autor podaje na podstawie opowieści gen. W. Aniedina /autor chyba spotkał się z nim w 1950r. w obozie, gdzie był osadzony/

o zamachu na Stalina, strzelania z karabinu maszynowego kutra Stalin
a w Pucundzie i wiąże to ze śmiercią i procesem Tuchaczewskiego.
Brak szerszych danych. Recenzent nie zna źródeł radzieckich, które
by podały interesujące szczegóły i nie zna stosunku do tych "infor-
macji" historycznych wojskowości w ZSRR./zgoda, Byłem w tym okresie w
"Domie Odycha" w Pucundzie, z tych źródeł autopsji podałem ten nie zna-
ny szczegół. Wila Stalina była pilnie strzeżona i dostęp do niej był
ograniczony, dla wezasowiczów z a b r e n i o n y. Nadpisy informowały
"teren wojskowy, wstęp zabroniony" do tego funkcjonariusze w cywilu
pilnowali drogę dojścia a intruzów legitymowali/jak wszystkich w
strefie przygranicznej-"granica na s a n k i e s/.

13. Na str. 255 autentycznie podałem że Wojkow był ministrem Spraw Zag-
ranicznych, w istocie był posłem ZSRR w Polscei został zamordowany 7
stycznia 1924r. przez poturkawa,

15. Na str. 265-267 określałem negatywny klimat władz na Ukrainie do
Polaków przez funkcjonariuszy tej władzy a klimat ten był negatywny
Faktem historycznym jest że Narison oświaty na Ukrainie Skypnik odob-
rał sobie życie w momencie wkroczenia do jego gabinetu G.P.U. Starosta
Grigorij Iwanowicz Pietrowski był represjowany-a dzięki właśnie nim
otrzymałem świadectwo ukończenia Średniej Szkoły R. Iniczej w Czerkas-
ach. Zachowałem świetlaną pamięć o tych właśnie Leninowcach, którzy mi
powiedzieli: To co jesteście Polakami nie nie szkodzi, ja miałem B. w
ole przyjechał Polaków, a że Lenin powiedział "uczitsia, uczitsia" więc bę-
dziecie się uczyć. To autopsja a nie wymysł.

14. str. 323 krytykuje obłudę stanowisk "głównie w sądownictwie. prokur-
atura, więziennictwie z szeregów działaczy izraelskich, może być odchy-
tane jako akcent antyżydowski, ale wiem z doświadczenia i autopsji że
prokurator Szaraki w Rosji był, i występował jako Rosjanin Szarow, a
ja, posławszy go w Toruniu już Szarakini. Stąd te sugestie, odzawa jest
w Izraelu, jak i D a j a n, S w i a t ? e, K u l i g o w s k i - o d n i e
dawa jak i Nieckaś są w Izraelu, jak widać z faktów byli "internaci-
onalistami" kiedy podpisywał Kuligowski w Jastrzębiu umowę z Solidarn-
ością w Jastrzębiu, a Nieckaś gromadził Polskie dywisy na kontaktach za-
granicznych, według mnie ? e b u s y l l... Właśnie typu Ajsensstajna, Ru-
bja i innych podanych w autopsji w pamiętniku, jak i w ciepłych słowach
pokazane sylwetki: Szeja, Lejbina, K r s u n s k i e g o i innych. Skąd to prz-
efaskrawienie u recenzenta, n. b. który nie ujawnił swego nazwiska?...
A wyciął jego z szczegółowej recenzji.

Również. Córka Szarowa vel Szarakiego pisała do mojej córuchy, z któr-
ą ukończyła gimnazjum w Toruniu "że tata na dwa lata jest odosobnion-
y w obozie, uczy się Hebrajskiego a mama chodzi myć podłogi i prać do

linią u b e g a t y c h, jak nam bardzo ciężko, tęskniąc za naszą ukochaną Ojczyzną - Polską!

Moje przewartościowanie i przekonania przeszły b. drugą ewolucję i oceny historycznych przeobrażeń w ZSRR, zwłaszcza kiedy Partia, Stalin wystąpili z otwartym listem do narodów Kraju Rad. o "Zawrotach głowy" Ukoronowaniem przewartościowania ideologicznego było wstąpienie do Partii, kiedy w odbitym R₀stowie, na głównej ulicy S a d o w o j sobaczyłem stopy trupów zerwanych ze snu a wśród nich dzieci, szczególnie utkwiała w pamięci dziecko w wieku mojej córeczki, trzymające w już za stygłych rączkach gumową lalkę i niebieskich wciśniętek jak u mojej córeczki.

Wprowadzającymi byli -kapitan NKWD-Nikołaj Diakov, naczelnik-dyrektor T₀chniku Państwa w R₀stowie i Komisarz Kwatermistrzostwa Galkin do wybuchu wojny -sekretarz Partii w ~~1940~~ 1941. Takie były bycie i takie a nie inne były f a k t y. A co teraz robi Gorbacow?, jakieś uszło uwagi r e c e n z e n t a.

16. Na str. 335 pozytywna ocena cara Aleksandra II, n. Bezabitego przez Polaka Griniwieckiego przy wykonywaniu samego sam zginał, Bogdan od bierał i myślał z pozycji cara Aleksandra a nie Lenina.

Na str. tejże nigdy nie poddawałem krytyce posunięć Lenina i nie osądzałem Dzierżyńskiego i Budionego, Wierchowa że zniszczył ston kosackiej. Część kosaków była zesłana bez sądów na Sybir i Werkiutę, a teść przez -właśnie pułkownika NKWD i jego prawidłowej ocenie starego bohatera I wojny światowej, na swoje ryzyko zmienił ~~W~~ Wierchutę na Kasachstan. O tych ciepłych słowach recenzent widzi samo "c s a r n o" obrasy. Nieprawda. Przed wyświeceniem "Pamiętnika" do Krajowej Agencji Wydawniczej w Rzeszowie, jako Zubekowski zamieszczałem swoje "dzieła" które popełniłem ku przestrodze wnuków i prawników do Komitetu Wojewódzkiego Partii w Toruniu, a po bliskim roku czasu przyznano mi S t a t u t, zasłużonego działacza ruchu robotniczego. Na posiedzeniu plenarnym w Komitecie partii Komitetu miasta Torunia powiedziałem tylko tyle: byłem panie, ale byłem i b a t r a k i e n i D s i ę k u j ę - b a r d o.

A co robi recenzent, słowa prof. dr. hab. Jerzego Daniłowicza prawidłowo odczytane pamiętnika, wkłada swoje wyniszczone sądy o antysemicie autora, być może dla tego nie podaje swego nazwiska a występuje anonimowo. Unas - w Polsce smieniny idą do k o s s a.

17. Na str. 237 pisałem o dyskryminacji Tatarów, to prawda tak było Pracowała u mnie agronom Achmedet, która w celach wysiedlenia z Krymu przedko wysłała na Gora, israelitę, który już jak jej mąż rów ~~nie~~ pracował na Stacji Maszynowotraktorowej w Beresaniu, pod Odessą

18. Na str. 375 autor ostrzeżony, że może być aresztowany przez NKWD i zesłany, ucieka a następnie chroni się pod skrzydła Lejbina, który daje mu kierowniczą funkcję w rolnictwie, a więc skąd ten antysemityzm? Przypomnienie o powiedzeniu Świętochowskiego: "każdy dziś kocha gruby portfel swojego Żyda, a nie kocha jego pejsow".

Właśnie, szczególnie kiedy Szymon Zubesewski zastawiał swe dobra i oddawał za bezcen dzieła sztuki, potrzebując kasobów na broń proch, amunicję. Zostawiam to bez komentarza.

19. Na str. 371-374 mają nieswykły klimat, aby zdać sobie sprawę z reakcji radzieckich historyków, i tym również tych, którzy waleczyli o kul ten jednostki. Właśnie podają za "Literaturną gazetę" że dzieła Aleksandra Szażeniceła Archepożag Gużag, będą wygane w ZSRR, podaje bez komentarza. Borys Pasternak pośmiertnie został przywrócony do honorów. Poł koniec pamiętnika autor już chwali Stalina, i Partię za mądre działania, kiedy autor będzie już kandydatem na członka WKP/B/.

Właśnie tak było. Poznał on Kulturalny naród Gruziniński z autopsji. Naród który podobnie do Polaków był przez carat wyniszczeny, i wcielony do służby w pułkach "Ochotniczych", a tereny zagarnięte pokryte lasem byli wyrąbywanym, żeby był dobry ostrzeż kartaczami z twierdzą. Był tam, szukał się jak swój, nigdy nie okazywał się że coś miał tam może spotkać tego, same słowo "Lachistan" było tarczą ochroną. Stąd te ciepłe słowa pełne sympatii. Stalin, jaki był, taki był.

Polaka zawzięta na powrót ziem odsypanych i granicę "na sankie" po linii Nysy Kuzyckiej, Odrze i Bałtyku. Dzięki właśnie Stalinowi mamy co b r e n i ć i esya - B r e n i ć i. Chodziło o "być-albo, nie być". ZSRR zawzięta właśnie Stalinowi że "b y ć" i dla tego my Polacy tu jesteście, bo byli i przesłani już na zawsze, na wieki. Jakoś recenzent wstydliwie zapomina że Polaka Ziemia - ochroni szesć tki przesła - 636.000 zabitych, młodych, odważnych "R u s s ó w" którzy szli jak i Polacy za - r e s k a s e n i w n y ó l r e s k a s u" Za ~~N a s s a i~~ ~~W a s s a w e l n e ó~~ ". Prsytyk nie smaczny.

20. Na str. 400-402 kiedy opisuje wygląd Korsunskiego i podkreśla ten wygląd izraelicki swego opiekuna. Zgoda taki właśnie był, co do szyderczego wywołań "państwo w państwie" wielkie przejawskrowienie - pisał ten że caratu - Żydam nie wolno było nie tylko się osiedlać na terenach - DONU-KUBANIA-Kaukazu, a wstęp do Moskwy i Petersburga był zakazany. Są Żydzi i żydki pokroju Ajzenstajna i et cetera.

24. Na str. 400-402 autor szczegółowo itd-głód lat 1932-34 w kraju Adygejskim rejonach Rostowa i Krasnodaru. "Ludzie mrą jak muchy, a ulice ustawicznie usuwane są zwłoki zmarłych ściercią głodową ludzi... dochodzą do wypadków ludobójstwa" Autor obrasowo opisuje takie wypadki. Autor nie mówi wyraźnie dlaczego powstał ten głód, mimo że sam

by? pracownikiem kierowniczym służby rełnej, tylko b. krótko na str. 443 mówi o błędnej decyzji kolektywizacji na siołach kosańskich, a na str. 401 o krytyce pięcioletki" /podałam fakty takie jakie widziałam i jak je odbierałem/.

Natemniast szeroko pisze...o wywózkach i terrorze, rozstrzelaniach, pełnych elewatorach i głodzie. Opisuje sklep, w którym za złoto i do wisy można było kupić żywność/401 str/

Wspomina o swoim bracie, który wystąpił w Komsomolu, jak dżrsz? sceny ludobójstwa /podkr. rec./...Wadnician, że do dziś historycy i publicyści w ZSRR kategorycznie zaprzeczają, aby w owym czasie były przypadki ludobójstwa./Właśnie tak było, trupami i zwłokami, byli karzeni świn stąd rozstrzelanie ^{krasnodarskich} grabarzy przez Sąd - grabarzy z esentarsu komuna lnego w Krasnodarze, którzy sprzedawali "pierożki z farosem ludzkim" /o historycy i publicyści w ZSRR kategorycznie zaprzeczają, aby byli przypadki ludobójstwa./**Te ich b i d a, a n i e w i a n a !.**

Autor wydaje się nie rozumie ciężaru gatunkowego informacji i komentarzy, które podaje. Na str. 402 autor pisze, że "kte wie czy nie takie właśnie przeżycia doświadczane przez wielu ludzi sprawiły, iż powódź wojsk hitlerowskich z taką łatwością ogarnęła w pierwszych latach wojny 1941r. ogromne obszary Rosji", /właśnie tak odbierałem przejście generałów do Wehrmachtu w Białymostku, kiedy kilka dywizji przeszło z bronią w ręku na stronę Niemiec z IO Armii Czerwonej/Dalej też podaje rewelacje o rywalizacji Stalina z Kirewem "musiał sginąć bo miał za sobą flotę Leningradzką i poparcie sił szrojnnych"/Opis tych tragicznych wydarzeń tych lat przekazała mi Tatiana Stiepanowna Protasowa z domu kniaźów G e l i e y n a, po mężu P r o t a s o w, w hotelu w Arzwirze, po wydostaniu się z oblężonego Leningradu, gdzie straciła swe dzieci i matkę, która nie wyjechała do Szwajcarii z mężem/.

Od str. 403-405 oskarżenia Stalina i NKWD. Takie komentarze można tylko spotkać w wydawnictwach antyrządniczych wydawanych na Zachodzie. /Takich wydawnictw nie czytalem, nie jestem historykiem, przekazałem tylko tych wydarzeń i postępowania BERII, JEZOWA ^{Agody} i innych. Zamiast do wydawnictw Zachodnich, właśnie wróciłem się do wydawnictw Krajowych a przed wysłaniem "pamiętnika" przekazałem go do przegladu Partii, o czym już wspominałem/.

25. Na str. 374 autor pisze: "Jak głosiła fama - oser Iwan Groźny miał oprychników z Malutą Skuratowem na czele. Stalin miał do dyspozycji Korpus NKWD z JEZOWEM, który trzymał cały kraj jak długi i szeroki w jeźowych rękawicach". /Zgoda by? z e b u s e m, został rozstrzelany Sąd po rozprawie wydał taki a nie inny w e r d y k t, bo właśnie tak ci jeźowi i berije hanbili dobre imię Rosji Radzieckiej/.

Na str. 343 podaje ostre uwagi o niesłuszności kolektywizacji na ziemiach kozackich, wszechwładzy NKWD, zsyłkach Kozaków /podkr.rec./

Na str. 337 autor demonstruje kto rządzi w ZSRR. /Żydzi i Partia/, pokazując swoją nominację podpisaną przez Lejbina. Autor również wytyka swojemu protektorowi Lejbinowi pochodzenie jego, mimo że ten do kilka razy wyswobodził z opactw. "Liczyłem na niezawodnego Izzaakowicza Lejbina". /Nieprawda, Właśnie z Lejbinem łamałem kromkę chleba, i byłem mu wdzięczny za okazaną solidarność narodową. Recenzent sam pochodzenia żydowskiego, celowo zgęszcza i przejawskrawia fakty. Leżałem w cieli Sigurancy, właśnie z Sonią Szwareman, która ogrzewała mnie swym ciałem po przedostaniu się do Transnistrii?.

Na str. 375 autor ostrzeżony, że może być aresztowany przez NKWD i zesłany - ucieka i ukrywa się u specjalist Anglika w Odessie w 1932 r., a następnie chroni się pod skrzydła Lejbina, który daje mu kierowniczą funkcję w rolnictwie w innym regionie. /Właśnie tak było, bo nigdy niebyłem judofobą/. Przypomina mi się powiedzenie Świętochowskiego: "każdy dziedzic kochał gruby portfel swojego Żyda, a nie kochał jego pejsów". /Złosliwa bzdura, pradziadek Szymon w Roku 1831, oddawał za bezcen, w zastaw swój majątek ruchomy, biżuterię, parcelanę i dzierżawę ziemi, właśnie Żydam, którzy bez sumienia korzystując z okazji, jego "obdierali z lichwą/.

21. Str. 350 - atak na zmuszenie do szybkiego tempa pracy w ZSRR w latach trzydziestych. Nowa o traktorzystach "Już po 15 latach pracy wysiadali stając się prawie inwalidami, bez zdrowia i chęci do życia. Nie liczone się wtedy z konstytucją zdobycami świata pracy" Autor wskazuje na morderczy wysiłek ludzi pracy, bezlitośnie eksploatowanych. /Pisałem z autopsii. Chroniczny głód, i niedojedanie, Brak tłuszczów, cukru, soli + blokada przez państwa kapitalistyczne, areszty i zsyłki, towarzyszyły tej pracy. To były lata 1931, 32, 33. Głód na powołzu kraju, Ukrainie i Kubaniu.

Str. 355 autor opisuje sekretarza partii w zakładzie Ajzensztajna i określa jako donosiciela NKWD "żydowskiego geszefciarza i spryciarza, biblijnego Judasza". Mógł być łobuzem, ale po co autor celowo informuje, że był

Żydem?/Właśnie takich Jódawców wśród Żydów i nie Żydów było bardzo wiele, choćby zaufany Stalina Lew Mechlis, który przyczynił się do zagłady marszałka Tuchaczewskiego-Dowódcy Przywódzkiego Okręgu Wojskowego. Będąc usposobienia apadoktycznego nie przebierał w środkach. Zawsze był pierwszy i niezastępowany. Właśnie Krym był oddany Wehrmachtowi, bo odmienił decyzję generała Kuzniecowa, który polecił wszystkie rozdrobione siły zebrać w "pięść" i bronić - P e r e k o p u!... A jak było z lokalizacją głównych magazynów wojskowych-uzbrojenia, pocisków, umundurowania w Minsku, który w piątym dniu natarcia wpadł w ręce Wehrmachtu. Był tym który głosił "bić wroga na jego terytorium" sprzeciwił się Borysowi Szaposznikowi który proponował na przyłączone tereny zachodnie wydzielić lekkie przykrycie, jak i kraje przybaltyckie, a nie rozbrajać umocnień na starej granicy. Pisz o tym marszałek Mereckow. Te fakty mówią same za siebie.

22.Str.371-374 mają niezwykły klimat. Wystarczy mieć tylko trochę wyobraźni, aby zdać sobie sprawę z reakcji radzieckich historyków, w tym również tych, którzy walczyli z kultem jednostki.

26. Na str. 405-406 uproszczony wywód o tym, jak "stał się" widział Stalin drogę do stworzenia Rosji Socjalistycznej. /Właśnie w tym wielkość Stalina, że wybrał drogę G O ? g o t y i m o z e n i s t w a, żeby ocalić Kraj Rad od podziału, a ludności od obozów śmierci i łagrow kromatorii. Był wybawicielem nas S L O W I A N, od brunatnej dżumy, dzięki Stalinowi my przetrwali Oświęcim, Majdanek, Sobibór i Studzów.

27. Na str. 407-409 szczegółowy opis represji, rozstrzeliwań różnych funkcjonariuszy radzieckich w rejonie Krasnodaru. Na tych stronach i poprzednich autor odsądza Stalina od czci i wiary, co wcale mu nie przeszkadza, że na str. 409-410 cytuje obszerne przemówienie Stalina, i że "wygłosił wspaniałe toast i że były burzliwe owacje". Każdego można krytykować za złe, które czyni, a chwalić za dobre, a tu mamy do czynienia z niekonsekwentnymi ocenami i kłóstką nastroju. /To nie żadna kłóstka nastroju, takie było życie, takie były fakty tych pełnych grozy czasów. Stalin prawidłową wdrożył na drogę I N D U S T R I A L I Z A C J I Kraju Rad, poświęcił wiele, bardzo wiele, żeby wygrać czas i przygotować przemyśl wojenny żeby wygrać wojnę i to bez II frontu. Funkcjonariusze w rejonie Krasnodaru byli rozstrzeliwani w myśl wyroków za udział w przemyśle broni z TURCJI, oraz zabójstwa-mordu politycznego nad Prof. dr. hb. WOROBIOWYK, pediatra światowej sławy. Jakiś leśnik spotkał kapitana NKWD-NIKOLAJEWA, zabójcy-mordu politycznego już pisarzem, tę przekaz otrzymałem od Dr. FROTASON T.S. w Armaswirse, a w Krasnodarze procesy były zamknięte, tylko ogłoszenie Werdyktu Sądu Wojskowego-Publicznie/. O wspaniałym nastroju na bankiecie Stalina podaje historycy radzieccy, oraz pisarze, a SIMONOWEM, ERNBURGEM na czele. Sakoła że ten tego nie wie!.

28. Na str. 428 autor po raz któryś zbędnie wakażuje kto był IZABELITA, i wspaniała o V Kolumbie. W roku 1933-1934 te słowa nie było jeszcze znane. V kolumna to termin z wojny domowej w Hiszpanii/zgoda/ byli procesy pokazowe, "Prospartii" i inne.

29. Na str. 418 i 419 autor pisze o ujęciu zabójcy Czapaiewa białogwa rdzisty Tytarenki i o jego egzekucji. Autor jest pełen sympatii dla mordercy bohaterkiego radzieckiego dowódcy Czapaiewa, rzekomo zabił tego w pojedynku, a w istocie rannego i dobitego. Autor cytuje co powiedział Tytarenko do rozstrzeliwających go "strzelajcie, taka owaka wassa mać!... Widać że mało wam jeszcze krwi utęszonej z narodu". Autor patetycznie pisze na str. 420 "tak ginęły ston kosaaki, tak ginęli przywileje, prawa wolnościowe, zwyczajne odwieczne, tak się zmieniał świat pod churzałym krzyk czerwonoarmistów dajesz Jewropu" /zachowałem autentyczną pisownię autora./. /Zgoda co do pisowni cała kawią, Polskiego się nie użyjęm, Chciałem tę "pamiętnik" pisać w języku R. syjskim, który opanowałem.

Stąd to "b y k i" Język Polski to Kultura Polska!/. Byłem pod wrażen-
iem filmu "Czapajew" gdzie jego śmierć pokazana w falach rzeki Uralu,
stąd pokazana jak było faktycznie. O bezycenstwach gen. Kapełowa, pi-
sałem jak torturowali jeńców czerwonarmistrzów, wycinając na żywego
na plecach pojasnych "gwiazdy pięcioramiennie", szkoda że recenz. tego ni-
e dostrzegł. Dalej autor pisze, że Stalin tłumił wszelkie ruchy niepod-
ległościowe, domagające się przestrzegania generalnej linii, jego parti-
i?/Właśnie że Stalina za Rodim, szli miliony ludzi radzieckich, więc
odali swe życie z jego imieniem na ustach, jak ci dwoje górniczy, syno-
wie górników, autentyczny robotnik, rozstrzelany w Abińskiej w myśl
Werdyktu Sądu Wojskowego, - "Dzieło Jasnowa" on by? takim Jasnowem
jak ja, PUSZKINEM. Ostatnie słowa ich przed plutonem egzekucyjnym byli
"Da zdravstvujet S T A L I N" tygodnie później był ogłoszony komunikat
o zastosowaniu nowej broni-pociągów zapalających, użytych przez lotni-
ka w czasie nalotu na obóz w Abińskiej, co jakoś uszło uwadze recenzje-
nta/. A szkoda!.

30. Na str. 430, Uproszczona ocena Stalina do Polski "Polska nie dawa-
ła Stalinowi nic, więc oddawał ją: /Zgoda że Polakę na Spiridonowkiej
reprezentowali politycy BEKA, który powiedział że z Niemcami Polska
straci niepodległość z Rządzą Sowietów - swoją duszę!./ tak podawali
źródła informacyjne w ZSRR.

Mowa o uzbrojeniu Niemców przez kapitał światowy anglosusów" do
1939 r. jest uproszczeniem, chętnie powtarzany w prasie lat 1946 -53
u nas i w ZSRR.

Na str. 431 autor podaje nieprecyzyjne dane o naszym lotnictwie w 1939
r. Wystarczy spojrzeć na str. 36 bardzo popularnej książki Jurgi "Uokr-
esu II Rzeczypospolitej. "Karasi" miała Polska tylko 117, "Lin" by? ty-
lko prototypem. Dane o ilości samolotów też niezbyt ścisłe. /zgoda, a-
le recenzent nie nie podaje że przeszło 100 - w czasie "Linów" zarzą-
dek Rydz Smigły sprzedał Turcji, samoloty te przewyższały "Messery"
luftaffe!?. I do tego w same wgile wybuchu wojny, pisze o tym autor
"Ciekociemnych Stanisław Aleksandrowicz.

31. Na str. 432 autor argumentuje, że musi dać obszerną ocenę Stalina.
Autor nie jest historykiem. Dostęp do dokumentów w ZSRR nie miał i
nie ma. Czyżby nie byłoby lepiej, żeby to uczynili historycy radzieccy,
którzy już taką ocenę podejmowali? /zgoda/.

Na str. 432-438 cytuje nawet prywatne rozmowy jakie Stalin prowadził
z Berią /?/ Źródło? autor nie podaje. By?o to opowiadanie gen. Winie-
dina, b?ego Komendanta Kremla, podpadł pod czystką lat 1936-1937, był
bardzo inteligentny, czytany, znał języki obce, a więc - było źródło
z pewnych, może subiektywnych odczuć generała, ale oddawał Stalinowi
nalobno/.

32. Str. 460 - krytyka politruków "Ros'ca pogarda powszechna dla tych politruków, co to pchają brutalnie oddziały, pułki, dywizje do walki z Niemcami - sami od tej walki stremili, kryli się i dekowali" /zgodę o tym pisał Simonow, Lwa Pietrowa i gen. Gordonow zostali przez sąd skazani, Pietrow z Armii generała Nasonowa, Gordonów i tenże Pietrow na nie udzielenie przykrycia ^{10 listopada} 1-iej Dywizji Wojska Polskiego pod Leningo, gdzie żołnierze polskie stracili tylko 40% w zabitych pod wsią Trygubowo, i zginął mój szwager - czołgista Mikołaj Bartczak/.

32. Str. 460 - krytyka politruków. Ciesze się mogli się znaleźć i tego nie, ale autor uogólnia. Tylko w roku 1941 poległo "politruków" ponad 20.000. Z reguły szli na samym czole i odznaczali się wielką odwagą i poświęceniem. /Zgodę/ Przecież w sumie to obelgalić wytarosy nie kuracja, że chodzi tylko o t y c k e e byli tekuzami. Tematy wśród nich było bardzo mało /awiało zdradę gen. Własowa i jego sztabu? - to już więcej niż tekórzestwo/

Dalej autor pisze o pogardzie, jaka staczała komisarzy, wspierając antysemitską dewocję /autentycznym, Armia Czerwona popełniona z obozów i więzień, więc komisarzy nie dążyli szafaniem, choć byli to sporadyczne wypadki /czerwiec 245.000, marszałków, Bluchera, Tuchaczewskiego, Egorowa, wielu generałów i starszych stopniem Korpusu Oficerskiego, leżała u podstaw niepowodzeń pierwszej nawały faszystowskiego Wehrmachtu, z tam źródło informacji autentycznej/ Pisała o tym L.G. Dąbrowski str. 495 Pan Zubozewski pisze o procesie Deserterów i zgóry zakłada, że ci co sądzą sami dekuja się na tyłach. Obszerny wywód oskarżający ludzi z dowództwa, ekspertów, lekarzy, prokuratorów, i to bez dowodów - autor sam ich ocenił? "NIEPRAWDA", byłem na pokazowym procesie w obozie Abińskim, takie były fakty tych dni i miesięcy, a ECZNE pisze o DEZERTERACH, to nie jest prawda, Sądzeni byli za dokonane popełnione uszkodzenia swego ciała - jagodę, a nie deartarstwo./

35. Na str. 507 autor pisze, "gen. Anders doprowadził do wycofania Armii Polskiej" /Chodziło o I-ą dywizję Wojska Polskiego, ekipowaną przez rząd ZSRR, a która pod Moskwą w krytycznym okresie walk nie wsparła Rokossowskiego, tak pisała prasa radziecka/

Ciesze się Anders nie wierzysz w zwycięstwo ZSRR i przyczynił się do wyprowadzenia wojsk, ale nie on je spowodował. Ochoa obozu londyńskiego też uproszczona. /zgodę/

Napisanie na str. 509-510 "wyprowadzenie przez Andersa armii polskiej z Rosji na Srodkowy Wschód zostało dokonane poza plecami gen. Sikorskiego i rządu emigracyjnego, dokonane w wyniku decyzji właśnie oso bistej polityki Andersa" - jest nonsensem informacja /podkr. rec./

Pierwszy raz Rosjanie dowiedzieli się o tej propozycji 17 listopada 1941r /własnie szpicy Wehrmachtu na przedpolach Moskwy/

z listu z Waszyngtona do Moskwy. Po raz pierwszy rozmawia w tej sprawie Sikorski ze Stalinem w Moskwie między 2 - 4.XII.1941 r. To 23.VII.1941 rozmawiał Churchill z Sikorskim. Polskie obozy wojskowe były ułokowane między Wołgą a Uralem w rejonie Orenburga i Saratowa. Dopiero 4.XII. Stalin podał wstępne propozycje aby w sytuacji, w której chciałby rząd polski wyprowadzić wojsko można rozważyć jako ośrodki zakwaterowania Uzbekistan, Turkistan, Zakaukazie. II.XII.1941 r. gen. Sikorski gościł w Duszuku, a 12.XII. w Troickoe, 14.XII. w Tekszezewie. Pan Zybuzewski tymczasem pisze na str. 526 o wyprowadzeniu wojsk "A odbyło się to właśnie w tym okresie, ściśle 16 października 1941r. gdy szpice IV osobliwej dywizji niemieckiej z marszu wkroczyły do Orła i Klina o 50 km. odległego od Moskwy. A w Moskwie powstała panika. Przeszło milion mieszkańców stolicy Kraju Rad opuszczało w pośpiechu na łeb na szyję swoje miasto... Właśnie wtedy gen. Władysław Anders swoją armię... /I-Dywizję Wojska Polskiego odsłowił wyprowadzić na front moskiewski, a wyprowadził na Błiski Wschód" Nie jest też data 16 października 1941 roku błędem maszynowym. Uściślona jest data zdobycia Orła i przerwania Brytańskiego frontu. / Np. Orzeł, ważny punkt strategiczny, przez Wehrmacht nie był zdobywany, obojętni Guderiana do miasta wkroczyli bez strzału. Tak pisze Simonow i inni w Kraju Rad. Anders nienawidził gen. Sikorskiego, ale Anders był Kawalerem Orderu św. Jerzego i Złotej Szabli nadanej na rajd w Prusy w okresie trwania I-jej wojny światowej. Jako dowódca Wojska Polskiego mógł I-ą Dywizję, wyposażoną i uzbrojoną przez Stalina, bos II frontu sojuszników, kiedy obchodziło o lasy Moskwy - tego nie uczynił, ale dwa Araby pełną krwi i wspaniałą "Mercedes" od Stalina przyjął. Jest to więc dezinformacja historyczna. Przecież jeszcze w grudniu 1941r. Sikorski wysyłał oddziały w Duszuku i Tatiszczewie, t.j. - między Wołgą a Uralem. Cały grudzień 1941 r. aż do marca 1942 r. trwały rozmowy na temat ewakuacji. Jeszcze 13 maja 1942 r. Stalin wysłał notę, że kontynuowanie naboru jest bezcelowe i zakaznikował smierć rasie rasy żywcociawych /Zgoda, Stalin był oburzony postępowaniem Andersa, który wiedział że najkrótszą drogą do Polski nie jest Persja. Stąd decyzja pułkownika z Legionów Zygmunt Berling i jego niektórzy oficerowie z Wpłdą i silewską, również córka Legionisty pułkownika, przyjaciela marszałka Piłsudskiego podjęli decyzję pozostania w Rosji. /

Ewakuacja zaczęła się w końcu marca 1942 r. ito jeszcze bez 5.6.7 dywizji. Ostatnia ewakuacja zaczęła się w lipcu 1942r. /wraz z e o to mi chodziło/a zakończyła się w końcu sierpnia 1942 r. Nie można podawać informacji tak nieścisłych i tendencyjnych. Wystarczy wziąć każde nasze opracowanie wydane po 1956 r. a można to znaleźć

Na str.431 autor podaje nieprecyzyjne dane o naszym lotnictwie w 1939r. Wystarczy spojrzeć na str.36 bardzo popularnej książki Jurgi " U kresu II Rzeczypospolitej!"Karasi" miała Polska tylko 117,"Lin"był tylko proto typem.Dane o ilości samolotów też niezbyt ścisłe./Zgoda,ale recenzent - nie pisze że właśnie Sto tych samolotów-Rydz Smigły z Bekem spieniędzyły za dolary do Turcji.Działo się to w wigile 1939r/.

31.Na str.432 autor argumentuje, że musi dać obszerną ocenę Stalina. Autor nie jest historykiem.Dostępu do dokumentów w ZSRR nie miał i nie ma.Czyż nie byłoby lepiej, żeby to uczynili historycy radzieccy,którzy już taką ocenę podejmowali?/Zgoda całkowita/

Na str.432-438 cytuje nawet prywatne rozmowy jakie Stalin prowadził z Berią!?!/Źródło autor nie podaje./Mówił mi o tym generał Wadim Wienied in,były komendant Kremła w jednym z obozów ZSRR.Został w 1937 roku-usunięty i zdegradowany,ale oddawał Stalinowi należne.Stalin był bardzo podejrzliwy,gdyż strzelano nie tylko do Lenina,ale i do Stalina!..

~~Będę str.460~~ ~~pkh~~ ~~g~~ ~~kar~~ ~~po~~ ~~lit~~ ~~ruk~~ ~~ów~~ "Ros"ła pogarda powszechna dla tych politruków ~~po~~ ~~sz~~ ~~ła~~ /pogarda/powszechna/ co to pochają brutalnie oddziały,pułki,dywizje do walki z Niemcami sami od tej walki stronili,kryli się i dekowali! Oczywiście mogli się znaleźć i tchórze,ale autor uogólnia.Tylko w roku 1941 poległo "politruków"ponad 20.000.Z reguły szli na samym czele i odznaczali się wielką odwagą i poświęceniem.Przecież w sumie to obelga! Nie wystarcza asekuracja, że chodzi tylko o tych co byli tchórzami.

Tchórzy wśród nich było bardzo mało.Dalej autor pisze o pagardzie,jaka otaczała komisarzy,wspierając antysemitycznym dowcipem.Jak to dwóch Żydów na wezwanie "naprzód orły"nie idą do ataku,bo twierdzą, że są łwami.

A ponieważ komisarz też jest lwem,więc wybacza.

Takie dowcipy napewno u nas nie do druku,Na str.486 autor opisuje sekretarza partii, jego wygląd zewnętrzny,podkreślając, że jest Żydem./Pisze o tych komisarzach i Simonow,Erenburg,Tołstoj.Takie było życie,uzupełnienie z obozów i więzień,nie darzyło Żydów zaufaniem,a piszący te stroki musiał sam sobie kopać dół - na własny grób!.

Z tego więc źródła informacji, to robimy już od lat, więc skąd takie spóźnione "odkrycie"? Może istnieje inna przyczyna, którą w języku psychologii nazywa się "p r o j e k c j ą" jest to taka sytuacja, gdy jeden człowiek przypisuje innym własne motywy, myśli, tendencje, które recenzent przypisuje a u t o r o w i /... Skąd jednak czasu na swoją "mąką twórczą", a w konkluzji pisze: konieczna jest duża praca nad formą i stylem pamiętnika, aby uzyskać większą rangę literacką. Brak konsekwencji!

41. Na str. 586 na podstawie incydentu, który miał Pan Zubosowski, rozpisyfuje się jako Polak był źle traktowany w służbie Ujaskowej! Wszędzie się pełno Polaczek twoja mać! "Ja Polak będę odpowiadał głową". Na str. 552-558 mówi autor o karykaturze z gen. Cygnowym, który skończył się dla niego pozytywnie, nawet umieszczeniem o awans do stopnia majora. Na str. 585 wspomina że jego szef mjr Rubin był izreelitą. /Nie wolno z pojedynczego faktu dopuszczać uogólnień, choć to mówi sekretarz Partii Ludzin, był podpity jak zwykle, więc z tą go "poniesło". Do Cygnowa owa sędzia pod lufą automatu, o tym że będą odpowiadać swą głową mówi i nie Polak a Rosjanin gen. Nasonow, kiedy Iew Pietrow, jego decydującemu Stalinowi. Pisz o tym szeroko prasa w ZSRR, nawet wydając decyzje o pełnej rehabilitacji Pasternaka, tyjacego 50-letniego /

42. Na str. 589-592 następuje zmiana klimatu i dowiadujemy się dopiero na str. 599, że autor stał się kandydatem MKP/b/. Mamy więc od razu pochwałę Stalina, pochwałę "pięciolatek", i pochwałę MKP/b/, wysiłku zbrojnego ZSRR, nawet ocean karierewiczów jest łagodniejsza niż poprzednie. /Właśnie, wiele tych że byli apoteozami komunizmu z nim zerwało, a tu recenzentowi nie w smak że autor dokonał stanowczych przewarstwociowań i zostaje nie s g ó r y a n d e z u - właśnie przez Komisarza Galina i NKWD, kapitana Diakowa wprowadzony w poczet członków Partii- Lenina- Stalina, więc skąd te przesoczenia??... /

Na str. 592 protegujący żydzi Lejbis i Szacim tu doczekali się ciepłych słów. Autor uznaje już "konieczność mobilizacji wszystkich sił ludzkich" zaczyna rozumieć potrzebę ofiar ludzkich, nawet deportacje. Nie mamy już bezmyślnych represji NKWD, a celowe działanie w warunkach kapitalistycznego otoczenia. Ta sama recenzja nie może oddać tej kulturalnej oceny i klimatów. /Właśnie to trzeba umieć prawidłowo odczytywać a nie przelepić a n t y s y m i t y k m. Ciepło pisał o śmierci 26 KOMISARZY w Daku jesze przez Anglików a wśród nich Polaka Józefa Biętkowskiego. Właśnie to co było i wrócił do Polski - bez winy i kary, szwadziącemu SMERSZU i jego inteligentnym oficerom, a w Polsce Ludowej zostaje uhonorowany najwyższymi odznaczeniami i przyznaje się mu - Statut Zasłużonego Dla Ruchu Robotniczego - działacz!

43. Na str. 533 informacja o likwidacji wybitnych dowódców w ZSRR podana po raz trzeci :procedy moskiewskie/

44. Negatywny opis mjr Koniga i jego panicznych nastojów z podkreśleniem, żeby? żydem./Nieprawda opisywał moment psychologiczny Koniga, który mi podziękował i przyszedł do równowagi. Był Konig jeszcze żyje w Kalbrzyżku, kiedy jego spotkałem i nie rozpoznałem ów Konig podszedł do mnie w Polonicy w Sanatorium, uściskał mi rękę, i my z Konigiem trochę lużyli konia, określenie żyd używane niewłaściwie bo w ZSRR żyd było obelgą a u nas określenie narodowości- wigo pisarza żydzi, a nie Izraelici. Jeszcze w Gimnazjum w Spiciele miałem wiele kolegów żydów w Jurojów/.

45. Na str. 505 i dalej autor opisuje, jak szef mjr Rubin występując w otoczeniu Izraelitów podstępnie zabrał im samochód co spowodowało, że znalazł się w okrąganiu./Nieprawda, był w towarzystwie kapitana Izraelity a nie żydów, skąd te dewolucje? Czy świadomie to pisze roz, ?!/"Uciekli sobacze syny Izraela satiorając podstępnie mój wóz" Dalej podaje, że ratowali rodziny żydowskie i że groziło już ze strony Niemców rozstrzelanie. Pisze z szyderstwem i z nienawiścią "Fama że? niemiecka niesie, że nasze żydki zdobyli szturmowa gorod chłobny - Tass kent. Autor pisze sastrzegając "i, gdy nie byłem "judofoba"-antysemita /pod. re. /i nawet znów szczyną chwalić swoich opiekunów Lejbina i Karsunskiego./ To niebyła pochwała, lecz autentyczne uczucia hołdu ich solidarności do mnie i mnie do nich./Jednocześnie wytyka? im pochodzenie./Nieprawda - życie, narodowość i honor jest jednym. Tu trzeba przypomnieć, że te myśli obwieszcza wtedy młody członek WKP/b/, który mógł? przecież pokazać, że trafił na zwykłych Żobusów, którzy wprawdzie mieli bardzo poważne powody, aby jak najszybciej znaleźć się poza okrąganiem/możliwość rozstrzelania przez Niemców/, ale którzy mogli zabrać ze sobą autora. Tu jednak autor podkreśla, że byli to żydzi./Właśnie, o ich obecności do spotkania Rubina nie nie wiedziałem, powiedzieli mi to kuzany i ich dzieci, mówili że byli w "jermu?kach i pajasach i czarnych chabotach./na str 551 autor dalej kontynuuje swój wywód o perfidii żydów" włączając w to również Tjoc kiego i jego naśladowców z podnaku kanalii/org. pisownia autora/. Na 559 znów powtarza "moje żydki podstępem uprowadziły samochód". /re. oświadczenie przejawia tę szeregów?, bo właśnie Miśsa Trunow mi powiedział, a był to oficer AKD, "kanalii, jeśli zostaną żywi, s wasi mi żydkami będzie wasie w poriadku. To byli Żobusy, a co na bliższym terenie, kiedy taksa za legitymację członkowską wynosiła od 10. tys. a po wykryciu tych faktów ów Żobus-izraelita powiesił się w Toruniu.

46. Na str. 659 autor pisze "ze wstąpił do Partii i zaraz dodaje" jak przewidywał swój horoskop urodzony pod znakiem Zodiaka - Barana uwiełbia walkę, niebezpieczeństwo, ryzyko" i dodaje jakie to zalety niezwykłe mają ludzie urodzeni pod tym znakiem. Skojarzenie ryzyka, niecierpliwości z wstąpieniem do WKP/b/ jest dość zabawne.

48. Autor zabija Niemca o nazwisku von Jungengen i jest przekonany, że zabił potenta Ulricha von Jungengen "wielkiego Mistrza Zakonu Krzyżackiego, który poległ w 1410 r. pod Grunwaldem. W rzeczywistości nie nazywał się on Jungengen a Jungingen /str. 665/ to nie błąd maszynowy. Autor cytuje nazwisko z dowodu osobistego zabitego i potem powtarza jeszcze raz. /Zgoda, ale pisowni niemieckiej jak podkreśla re.t nie znam, było to 35 lat temu, a chyba inteligencja recenzent nie grzeszy, choć dobrze mu jest wiadomo że pamięć bywa zawodna. Jednak był to tylko błąd w pisowni, przecież piszę również von. Lamitz, a nie Lounitz, jak poprawia pisze re.t. Nastawałem życie swoje i towarzyszących mi kuzaków nic więcej. Było to jedynie wyjście w tej sytuacji./

~~59. Na str. 701 autor podaje, że do noszenia gwiazdy Dawida Żydzi byli zmuszeni później niż Polacy opasek z literą "P" wywieziono na roboty do Niemiec. Nieprawda! W III Rzeszy hitlerowskiej zmusili Żydów do noszenia "gwiazdy" przed 1939r. /Zgoda ale tak podał na Interprescom 6 No wa książka w RFN~~

Znak "P" był wcześniej niż gwiazda Dawida. Bonn /FAF/ Żenia napożono w III Rzeszy na Żydów obowiązek noszenia w miejscach publicznych na Żydów gwiazdy Dawida, znak "P" musieli nosić Polacy, robotnicy przymusowi na roboty do Rzeszy. Spośród obywateli oni byli pierwsi, którzy mieli być napiętowani wśród rasy panów. /Książka autora Ulricha Herberta, zatytułowana "Robotnicy obywatelskiej, Polityka i praktyka zatrudnienia obywateli w gospodarstwie wojennej III-Rzeszy, ukazała się kiedyś w chwili, gdy RFN trwa dyskusja nad sprawą odszkodowań dla robotników przymusowych i wogóle dla ofiar narodowego socjalizmu. Książka wykazuje m.in. że Polacy byli pierwszymi i najliczniejszymi ofiarami hitlerowskiej polityki ciężeń i wyzysku cudzoziemców, tego recenzent poprostu nie chce wiedzieć. /Wycinek z gazety załączony./

50. Na str. 599-600 autor pisze, że /.../ entuzjastyczna ocena Stalina. W świetle tego co autor pisał o Stalinie, nie zupełnie jest jasna wzmianka na str. 734 nawiązująca się do St. "więc nie winna Stalina że sławy śmierci i nienawiści... /.../ kiedy dzień przeżyty na froncie stawał cieniem podwójnie, byłem młodym i uproszczono obchodzenia ocenę wrogów Stalina, z Trockim na czele. Stał przewartościowania

51. Na str. 724-743 autor omawia zbrodnię katyńską/wersję, która do dziś jest oficjalna/. Dosyć uproszczona, ocena Komisji /Cz. działającej pod lufą faszystowskiego poistoletu, sugestia że było to "być albo nie być państwowości Szwajcarii". Właśnie prasa ZSRR podawała że "Międzynarodowy Czerwony Krzyż-odmówił wysłania Komisji do Katynia, a wysłał taką Komisję Szwajcarski Czerwony Krzyż. Nigdy nie wątpięm że te te co wykryte w Katyniu - dzieło ZSRR, jak podawała zapewne dobrze naoliwiona propaganda mistrza - kłamstwa Dr. Goebbelsa. Poruszenie jakie powstało ze sprawa katyńska wiadomo, aż do zerwania stosunków Rządu Sikorskiego z ZSRR. "Internacja o rozprawie dokonanej jesienią 1941 roku w lasach katyńskich pod Smoleńskiem. Potwierdza to również prasa Włoska Rzym/PAP/ o rozprawie w lasach lwowskich z formacjami Włoskimi którzy odnowili przysięgi Hitlerowi w wyniku czego zostało rozstrzelanych 3 generałów, 27 wyższych oficerów i ponad 3000 żołnierzy Włoskich, i to w takiej samej scenarii jak w Katyniu i taką samą armią Wehrmachtu. Nad grobami rósł 1 a s... Wice z tą śródziemną polityką "Espania zbrodnieja, pisze o tym Strafbajtkiwicz. Minister Obrony Włoch Giovanni Spadolini, który wcześniej określił jako "błędne" inferencje radzieckich środków masowego przekazu, pod naciskiem faktów zmuszony był przyznać, iż "istnieje możliwość" masowej likwidacji żołnierzy i oficerów Włoskich przez hitlerowców w 1943 roku w rejonie Lwowa. Wice skąd my to znamy?... Przecież w roku 1943 tam Rosjan nie było. Wiadomo że wżaki ludzkie ulgają, rozkładowi w ciągu jednego roku, a w Katyniu piszą. Komisja Szwajcarskiego Czer. Krzyża, na zwłokach ofiar zbrodni "był na skurze ciężki wołkowy nalot pokryty płaszcizną. Nigdy nie wątpięm że tego dokonali hitlerowcy/.

Dalej ocena str. 744: wysiłek zbrojnego żołnierza radzieckiego dość patetyczna, a język gazetowy z czasów wojny, Egoda ualkowityg, jestem dumny że byłem żołnierzem własnie Armii Czerwonej, która przywróciła nam Polakom Wolność, Swobodomę i Niepodległość narodową, bo - wgineliby polacy tak jak Izraelci w Obozach śmierci masowej zagłady. Za język przeproszar/.

52. Na str. 749 autor pełon rozważenia pisze o rozstrzelaniu jego teścia Kazka Kuzny Bogdana, który z zapasów wojskowych dał trochę żywności głodnej kobiecie. Kazek Bogdan umrze ze słowami "wiadac wam jeszcze mało przelanej krwi w zagrach śmierci"/ Kuzna Bogdan, rósł waz rosyjskie dzieci od śmierci, a nie kobietę wdowę po żołnierzu poległym pod Salingradem, oddałem sugestywnie. przeżyła rodziny Bogdanów-Syn Nikołaj, ochotniczo poszedł po całkowitym zwolnieniu go po zranieniu pod Bieściami. 2^o qó Michał Licholitow-Komisars

Oddziałów samoobrony Moskwy, oddziałów którzy stanowili załóżek
Gwardii Armii Czerwonej. Polina Ilichitowa, córka Kuźny i Anastasji
kapitan-lekarz wojskowy, Zięcia Busok i Tubasewski, w armii czynnej
na froncie, więc po ogłoszeniu werdyktu właśnie tak powieźnia? Taka
była prawda tych dni i nocy, kiedy Stalingrad wisiał na włosku/.
"Straszne to były okresy i losy jak że wielu - bez winy winowatych".
Te słowa "bez winy-winowat" autor dość często w powieściu używa.
Dalej następuje ostrzy atak na "sędzy wojem i ich morale", To też je
dną z głównych błędów Stalina"/Właśnie tak zginał gen. Halsew za
oddanie Smolensko, morderca Bgorow i stał to uproszczenia/
Autor jest rozdzalony choć uprzednio na str.738 był Panogiryk na
czasie Stalina./Uważam i teraz że właśnie Stalin uratował ZSRR od
rozczłakowania a Polskę od wytarcia z mapy Europy już na zawsze, o
tym jakoś recenzent nie nie napisał./.

53.Str.755 -756.Opis przygotowań do zamachu w G,braltarze na gen.
Sikoraskiego jest dowolnym zbierem pogłosek o tragicznym locie.
Trzeba wyjaśnić że Intelligence Service, czy MI-5 nie ma obowiązku
publikowania dokumentów "po 30 latach"jak to sugeruje autor.Propo-
uje jednak uważnie przestudiowanie II tomu książki "Generał Sikorski
Tan O'gier Terlecki omawia wszystkie pogłoski i te które znamy doha-
ntuje, bądź wykazuje ich bezzasadność./Właśnie o to mi chodzi, w pas-
ażerkiowym Przekroju jest spisły przekonujący faktami katastrofę
G,braltarską właśnie Intelligence Service podaje dokładnie :że lamp-
ka w kabinie pilota nie wykazała że drucik od sterów wysokościowych
został zerwany.że podwoje samolotu przez to nie było wciągnięte
isc.I konstatuje S a b o t a ż.Komisja specjalna jakoś nie wymeni-
ła tych faktów, a zdjęcie fotograficzne umieszczone w Przekroju b.wi-
docznie to stwierdza, nie pamiętam już całości tego opisu ale sugest-
ia że to było dzieło Abwory i to w dwóch etapach wykonane.Więc to
był jednak sabotaż!./

Nie można oczywiście wykluczyć całkowicie sabotażu/właśnie/co też
podkreśla i prof.Wiński ale też nie można powiedzieć, że Anders stał
na ciele spisku mającego na celu zamordowanie gen.Sikoraskiego.Dow-
odów żadnych nie ma!A jednak/sa w PRZKROJU./

Widocznie, że Anders nie cierpiał Sikorskiego, ale to wszystko!Recenzent
eż nie przepada za Andersenem, ale co z tego!

54.Na str.568 autor napisał , że "Stalin naprawił błąd likwidując
komisarzy wojskowych "i dalej na str.569 "Instytucja komisarzy sa-
wiedza całkowicie w wojsku z hitlerowskim najeźdźcą".To co autor
nie kocha Komisarzy to już uprzednio nam zażenostrował i jest jego
sprawą, ale osena jest nieprawdziwa.Decyzja Stalina na to nie napra-

wienie błędu, o unowocześnienie systemu dowodzenia na polu walki, stworzenie tego systemu bardziej operatywnym. Komisarze nie znikli, a zamienili się w oficerów polowych, zastępców dowódców, mając również swoje plany kierownicze. Nikt w 25th nie ocenia, że komisarze zawiedli.

UWAGI DOTYCZĄCE WARSZTATU LITERACKIEGO, JĘZYKA I CIEBŁI, STYLISTYKI
Tytuł wzmianki nie zawsze jest zgodny z zasadami warsztatu literackiego. Pierwszą część można uważać za próbę napisania biografii rodu Zubczewskich. Ta właśnie część jest dość rozwlekła, choć można w niej znaleźć bardziej interesujące fakty historyczne.

Z tym, że autor nie lubi się trzymać chronologii wydarzeń stwarza to pewną kłopoty. Pojawia się wiele postaci, które raz się pojawiają, potem znikają, aby znów się za kilkadziesiąt stron - np. str. 115 mamy gwałtowne przejście od XIX w. do czasów ostatniej wojny /str. 117-120/. Powrót do 1905 r. i opis blokadę Leningradu. O⁴is ciotek, które studiowały w I⁴stytucji Maryjskiej i na str. 122 opis zakupu koni. To przeskakiwanie z tematu na temat jest dość powszechnie przez autora stosowane.

Do str. 200 jest mowa o latach od 1917-1922, a od str. 200 jest mowa o I wojnie światowej i dopiero na str. 232 autor wrócił do lat 1922-23 mamy zwięzłe krótkie fakty historyczne niewiele wnoszące do pamiętnika i to informacje z różnych źródeł, dowodząca w Niemczech, interwencja aliantów w Salsie, walki na Ukrainie - zwięzłe różnych wydarzeń historycznych/rakich przykładów można wymyślić wiele. Często powstają długi zdania. np. na str. 55-56 autor dość patetycznie rozpisa się o Marykowińszczyźnie od których jego ród ma pochodzenie/. Aby udowodnić wielkość rodziny cytuje pisma Saprockiego i Długosza, jak wiadomo dość trudne do czytania i to aż 12 stron wstępów. Dygresje są często przez autora wprowadzane za co czasem przeprasza, ale co z tego?

2. Trudno żeby nie wspomnieć, że jest jeszcze coś co przeszkadza w tym pamiętniku, a mianowicie swą urodę literacką, a dzięki czemu zasłużonej rodziny budziły pełną sympatię./przecież o to chodzi/. Autor na str. 54-56, 81, 150, 120, 274, a na str. 133, 155, 232, 235, 500, 523, 560, również swoje zalety i wysokie przymioty charakteru.

Wystarczy tylko podać to co napisał autor o sobie na str. 660* szaro niebieskie oczy, zdradzały bystrość i spostrzegawczość. Byłem wysoki ego wzrostu, a wrodzoną inteligencją, poręczny i śmiały do szaleństwa. Piszę tylko dlatego, że niejednokrotnie przekonałem się o niechęci czytelników do tego typu informacji.

zalety i wysokie przyniety charakteru.

Wystarczy tylko podać to co napisał autor o sobie na str. 660.

3. Druga i trzecia część pamiętnika też ma szereg dłużyzn.

Tworzą je już wspomnienia na wstępi liczne szerokie informacje na tematy historyczne, które autor z upodobaniem wprowadza.

Pamiętnik miałby lepszą budowę i był ciekawszy gdyby tek narracji nie był przerywany różnymi dywagacjami. Są one zupełnie zbędne. Sam ~~z~~ materiał czysto pamiętnikarski jest bogaty i mógłby wypełnić np. 300 stroniceowy osobisty ciekawy pamiętnik.

4. Wszystkie te partie pamiętnika, w których autor opisuje przeżycia swojego ojca i swoje, są bardziej interesujące.

Język użyty jest obrazowy. Zgarsza się jednak, i to bardzo często, że autor od razu daje komentarz, który przerywa narrację i przeradza się w emocjonalny pośen pasji wywód. Występuje wtedy język agitacyjny - propagandowy używany u nas w latach 1944-1954, pojawiają się również obelgi w stosunku do wrogów np. Niemców. Stylistycznie pamiętnik nie jest równy. Są partie lepsze i gorsze i konieczna jest a tył-korekta. Błędów stylistycznych /ewidentnych/ też jest sporo, jak i dość żenujących błędów ortograficznych, o maszynowych nie mówię.

W przedstawionym do recenzji pamiętniku 138 stron jest prawie nieczytelnych lub mało czytelnych /druk maszynowy/ co mocno utrudnia pracę.

W pamiętniku można spotkać pewną ilość "rusycyzmów" w języku i składni. Zbyt dużo jest ponad konieczną potrzebą zdań i wyrazów w języku rosyjskim. Pisownia wyrazów i nazwisk niemieckich z reguły niepoprawna.

REASUMUJĄC: Pamiętnik w stanie w jakim został przedstawiony do recenzji, do druku nie nadaje się!

1. Sugeruję zachęcenie Autora, aby spróbował go wydać w wydawnictwie specjalizującym się w monografiach i biografiach, dysponującym sztabem historyków, w tym historyków specjalizujących się, specjalistów od XIX w. historii ZSRR, historyków wojskowości, znających dobrze historię radziecką, dotyczącą szczególnie lat 1917-1939, aż do 1945 r.

2. Pamiętnik wymaga znacznych skrótów, poprawek, usunięcia uproszczonych ocen i komentarzy, właściwej selekcji politycznej materiału informacyjnego, zlikwidowania niekonsekwentnych ocen i usunięcia nieścisłości.

3. Ze względu na polityczny charakter pamiętnika, konieczne jest sprecyzowanie postaw politycznego i społecznego jaki on niesie.

Sądzę, że trzeba się liczyć z realiami politycznymi i te nie tylko u nas.

4. Książeczka jest smutna praca pod formą i stylem pamiętnika, aby uzyskać rangę literacką. Będzie to praca bardzo trudna i nie sądzę by autor sam ją mógł wykonać.

W pamiętniku jest zawarty bogaty materiał informacyjny i również historyczny, ale wymaga on ogromnej pracy, aby mógł już jako w pełni wartościowy pamiętnik pojawić się w księgarniach.

Warszawa, 10 lutego 1937 r.

Nazwisko recenzenta - w y s t ę t e t -

Za zgodność z oryginałem

autor Stefan Tubaszewski.

J. Dulęga

(19)

Red. Naczelny
II/520/k
WPLWNELO
Nr dziennika
*z jakimi
pomysłami?*

Toruń, dnia 28.II.1989r.

© ARCHIWUM WSCHOĐNIE

WP

Redaktor Naczelny Łomżyńskiego Tygodnika Społecznego -
"K O N T A K T Y"
ul.Gen.Karola Swierczewskiego - 7a,18-400 ŁOMŻA.

W ślad za wysłanym Waszemu Tygodnikowi Społecznemu, na hasło
"Wschodnie Losy P O L A K Ó W" Pamiętnika, pod tytułem :
"Wojna, ludzie, ziemia ojczysta" - pozwalam sobie wysłać re-
szczę wspomnień dotyczących się sylwetki Stalina dla wyko-
rzystania i zakończenia Pamiętnika w razie jego wydania.
Łączę wyrazy głębokiego szacunku i serdecznie pozdrawiam.

Autor- Zasłużony Działacz Ruchu Robotniczego,
Stefan Z u b c z e w s k i.

S. Zubczewski -

Toruń, ul. Buszczyńskich 13e/63.
K8d - 87-100.

Podwójny Portret - Józefa Stalina

Wspomnienia pisane przez Stefana Zubczewskiego

Każda wiadomość dotycząca Kraju Rad a szczególnie Sił Zbrojnych-Armi Czerwonej i jej Wodza - Generalisimusa Józefa Stalina, ułatwiła prze życie niezapomnianych dni po śmierci Organizatora pierwszego w Świecie - państwa socjalistycznego-Włodzimierza L e n i n a. Kraju Radzieckich Republik Socjalistycznych. Pierwszego Państwa Socjalistycznego na globie - Ziemi!

Spuszczoną i ster Państwa odebrał i kontynuował Józef S t a l i n. Panorama szerokiej działalności i posunięcia na Światowej Szachownicy - Politycznej i przeobrażeń wewnętrznych Kraju Rad na zawsze weszły do historii i są w większym lub mniejszym stopniu związane z osobą S t a l i n a. Który odsadzony obecnie od czci i wiary, opluwany i dopływany obecnie, pomimo wszystko był człowiekiem nieprzeciętnym choć bardzo okrutnym i który posobnie zostawił wielką spuszczoną - Kraj Republik Socjalistycznych. Kraj - który posiada pięć mórz i trzy oceany, a powierzchnia Kraju Rad sięga 1/5 globu Kóli Ziemskiej.

Stalin jaki - był, taki - był, ale był!

Autor również zanim nieprzepada, jego Chłopcy kazali mi za życia kopać własny dół - na grób.

Pomimo wszystko zostawił posobnie równowagę się co w ostateczności doprowadziło do układu - Gorbaczow - Regan!

W obecnej "Perestrojce", w tej masie rozpraw, traktatów, pmfletów gromadzi się powoli społeczne doświadczenie, które legło u podstaw "Perestrojki".

Zawiera ono wiedzę i doświadczenie klasy robotniczej i całego narodu - Kraju Radzieckiego.

Jego moralność i politykę perestrojki. Rosja Radziecka, wyrastała z praktyki i bolesnych doświadczeń zrodzonej Październikiem rewolucji L e n i n a. Z praktyki społecznej nowej klasy, z opowiadań rzeczowych ludzi w konkretnych warunkach, z opisów prawdziwych zdarzeń i faktów historycznych.

Stalin musiał dokonać skok, którym była industrializacja i kolektywizacja Kraju Rad. Szedł ciernistą drogą G o ł g o t y, cierpień i niepowetowanych strat i ofiar ludzkich istnieć w jedynym celu - który stanowił niedopuszczenie rozczłakowania Kraju w warunkach ogólnej blokady, głodu i kapitalistycznego okrażenia.

Działał nie w próżni, a w realnych warunkach. Przemysł Kraju Rad - leżał w gruzach. Koleje nie funkcjonowały, rolnictwo leżało odłogiem a skarbiec był próżny i pusty.

Przemoc pieniądza nad społeczeństwem burżuazyjnym pokazał B a l z a k.

Ale dla Balzaka pieniądze to: renty, akcje, korzystne zapisy i intercyzy.

Pieniądz jest tylko tytułem własności, posiada te walory że pieniądz można wziąć do ręki, a potem t o w a r y : sztuka aksamitu czy zwój kosztownej koronki.

Stąd okrucieństwa tych obrazów i czasu, kiedy żył i działał Stalin i jego najbliższe otoczenie: Berija, Kaganowicz, Mechlis i et cetera.

A Mołotow-Skriabin, tak dobrze zapisany w naszej pamięci narodowej z słynnym "B e n k a t t e m E u r o p y"!..... Pomimo wszystko my Polacy udowodniłi że tak nie jest, a ile to kosztowało??!!...

Stąd zrujność obozów, łagrów, czystki i milion niesłusznie deportowanych i zesłanych do obozów, którzy stanowiły niewyczerpany rezerwuuar siły roboczej.

Stalin, był okrutny i podejźliwy nieprzypadkiem. Do Włodzimierza Lenina strzelała eserka Zofia K a p ł a n i to tylko raz.

Na Stalina były próby zamachów kilkakrotnie, nawet w najbliższej rodzinie, kiedy jego małżonka Aliżujewa podjęła próbę jego otrucia!... Więcej skoczyła strzałem samobujczym!

Dla mnie tamten okres to nie tylko przeszłość a i historia :

_patrzę na te lata przez pryzmat dnia życia dziesięcjszego i powracam do niego z pozycji życia współczesnego.

Przeżyć takie zagadnienia w Kraju Rad - jak Kolektywizacja Rolnictwa, Industrializacja w pierścieniu kapitalistycznej b l o k a d y, przy zaburzeniach wewnętrznych-powstań zbrojnych : Masłowa, Czernowa i innych eserów, menszewików i anarchistów pokroju - M a c h n o i et cetera!...

Podziwiałem odwagę Stalina w podejmowaniu decyzji w skomplikowanym pierścieniu blokady Kraju Rad i sił wrogich przeobrażeniom wewnętrznym Kraju - to nie funt Malin zjeść, jak mówią rosjanie!...

Przeżycie przez Stalina kilku prób zamachów, do tego nieudanych, aż po T a g e r a n.

Odwaga, tchórzostwo, koleżeńskość, sprawiedliwość, a szczególnie u Stalina były cechowane i te cechy jego charakteru, które decydują o jego szlachetności lub podłości, to są elementy natury ludzkiej tworzącej społeczeństwo. Więc był okrutny i bezwzględny.

W czasie trwania pierwszej wojny światowej i w późniejszej - Stalin przeżył siedem zsyłek, i tylu również udanych ucieczek. Jak mówił o sobie "chciałem zostać księdzem, ale oni nie chcieli, więc zostałem r e w o l u c i o n i s t a"?! Cechy wymienione w okresie bratobujczej wojny domowej - występowały one w bardzo ostrej formie, bo opłacane były największą ceną - ż y c i e m.

Fenomen Stalina, jego dojrzałość, odpowiedzialność i podejźliwość za los Kraju Rad i życie osobiste, wyniesione z więzień Rosji carskiej oto były cechy szczególne i najbardziej charakterystyczne w jego trwałym życiu i były wpajane w świadomość społeczeństwa radzieckiego od zarania wczesnego

- dzieciństwa "Stalin nasze znamie bojoweje"..." Osły jemu po notam po jut - Barany, barany - stuczat - b a r a b a n y! Tak był tworzony "Kult-Stalina"

Że pokazuje w tych wspomnieniach selwetkę Stalina z surową rzeczewistością wynika z własnego mego doświadczenia, przeżyć i doświadczeń - przy wózkach, kilofie i łopacie, po D e p o r t a c j i Polaków i szczególnie likwidacji KPP, kiedy Zinowjew oświadczył Marji Kostrzewie, albo towarzyszka cofnie swą opinię o Trockim, lub - My, połamamy wam kości. Więc ten los jego nieomniótł, jak i wiele innych, którym połamano k o ś c i !... A Międzynarodówka do konała pod dyktant Stalina - likwidacji KPP. Połamano kości i Bucharinowi, Kamieniowowi i wielu innym. Nawet nie wiemy gdzie jest grób Marji Kostrzewy. Takie było życie i takie a nie inne fakty tego okresu rządów Stalina.

Że pokazuje w tych wspomnieniach selwetkę Stalina z zestawieniem z surową rzeczewistością wynika z własnych moich przeżyć i doświadczeń życiowych, zwłaszcza, że świadomość prawdy zdarzenia staje się punktem wyjścia osobistych przeżyć, doświadczeń tak gorzkich i bolesnych, ale przecież ludzkich.

Lenin dobrze wiedział czego chce, realizując Program Partii, której był założycielem. Program mówił i uczył że... "Kiedy się wróg nie poddaje, będzie zniszczony"!

Takie a nie inne fakty tych dni w a l k i, g ł o d u, Ł a g r ó w, z s y ł e - k "...Kak mnogo my proszli dorog, kak mnogo zdełali oszibók"!

Pomimo wszystko - Stalin nie tylko chciał, ale i umiał, co prawda za każdą cenę! Trocki i jego paladyni bardzo chcieli usunąć Stalina ze sceny politycznej Kraju Rad. Sam Lew Trocki, szykował się do roli następcy L e n i n a, będąc wysmienitym mówcą, nie cierpiał Stalina.

Nikt nie napisał o Stalinie tak wiele złośliwych, obelżywych słów jak właśnie Trocki.

Jak bumerang - wracało to i biło w samego Trockiego. Wiązoromny "Czingischan" pisała wdowa po Bucharinie - Łarisa!...

Stalin - najbardziej kontrowersyjna postać w historii ZSRR, a być może w całej historii, pisze profesor W o ł k o n o g o w.

Sam Józef Stalin zapisał się głęboko w pamięci nie tylko jako - t y r a n, ale i jako ojciec zwycięstwa nad hitlerowskim-imperializmem - zrodziwszym F a s z y z m!

Z imieniem Stalina szło w ogień walki i oddało swe młode życie przeszło 22.000.000, młodych ludzi radzieckich, takie a nie inne fakty historyczne.

Byli to: Rosjanie, Ukraińcy, Polacy, Białorusini, Gruzini, Tatarzy i inni na rodowości wielkiego Kraju Rad!

Stalin - jak nasz wspaniały Król-Wojownik Jan III - S o b e s k i, kochał się w młodości.

Kapitan-Białorus G a s t e ł k o-stalinowski Sokół, kiedy jego bombowiec został trafiony i objęty ogniem z ładunkiem bombowym, mógł skorzystać z spadochromu, tego jednak nie uczynił, świadomie skierował w skupisko faszystowskiej kolumny czołgów i cysterń z paliwem swój pałac bombowiec, sam ginąc, co pociągnęło za sobą zniszczenie kolumny faszystowskiego Wehrmachtu nacierającego do zienawiedzonej Stolicy "bolszewików"-M o s k w y!.

Takie, a nie inne fakty historyczne.

Za ten ^{czw.} został posmiertnie wyróżniony tytułem Bohatera Związku Radzieckiego, jak mój starszy brat-Polak, Mikołaj Zubczewski, który przyczynił się do rozgromu zgrupowania Wehrmachtu hitlerowskiego pod Korsun-Szewczenkowskim, pod Czerkasami, i wielu innych.

Właśnie dla tego dyskusja wokół Stalina nie jest w Związku Radzieckim sprawą teoretyczno-historyczną, nie jest próbą wymazywania "białych-plam", jest to debata nad przyszłością, będącą integralną częścią procesu demokratyzacji i przebudowy w Kraju Rad, rozpoczętej przez Michała Gorbaczowa.

Pierestrojka to fakty tytanicznej pracy i życia pokoleń narodów-Wielkiego Świata, Wielkiej Dzierżawy o ustroju socjalistycznym, i Leninowskiej realizacji polityki narodowościowej tak długo niewiezczony, właśnie przez tych- "Kto łutsze znajet!-Kto d u r a k !...Po notam spiewającym, właśnie tak było za Stalina.

A u nas, na bliższym terenie, są próby - wylania "polskiego dziecka-socjalizmu, razem z kąpielą", próby opluwania pośrednio już nie Stalina a Lenina?!. Ciekawie, skąd my - to znamy?!...

Należy pamiętać że Stalin, usuwając Lwa Trockiego z kraju rad, który nigdy nie miał programu działania i nie szedł Stalinowi - krytycznych, obelżywych uwag. Trocki mówił o Stalinie jako o "najwybitniejszej przecietności" na szczytach partii.

Był głównym celem ataków Trockiego. Nikt nie napisał o Stalinie tak wiele złosliwych, obelżywych słów, jak Właśnie Trocki.

W swoim czasie John Ried, dziennikarz amerykański i naoczny świadek-obszerny wybuchu i przebiegu rewolucji w Rosji, pisał w swej świetnie napisanej książce pt. "10-dni, które wstrząsnęły światem", o tych marzeniach Lenina, nazywając go "szlachetnym fantastą i marzycielem", gdyż leninowski plan elektryfikacji i industrializacji - wydawał się jemu, pochodzącemu przecież z kraju -ju śmiałych i wielkich dokonań przemysłowych - nie do zrealizowania...a jednak! Właśnie zawdzięcza to Stalinowi, wcielone w życie. Ocaliło Kraj-Rad od u d u s z e n i a zagłady faszystowskiego Wehrmachtu.

Stalin nie przyznawał się nigdy, nawet w obec samego siebie, że czuł ukłucie ościenia wówczas kiedy wściekał się, że jego program industrializacji kraju i rozwoju ciężkiego przemysłu czasami się załamывał ichwieje - co czynić?? ...drżał cały i nie był w stanie wyważyć wszystkich "pro i kontra" wynikających w takich momentach.

Stawał się wtedy bardziej nieobliczalny. Stawiał te trudne zagadnienia na obrady "krągłego stołu", scisłego grona C.K. Partii.

Podawał je wszechstronnej dyskusji i słuchał, sam nie zabierając głosu-uważnie nie słuchał, a był mistrzem w sztuce wsłuchiwania się w argumenty, intonacje głosu, brzmienia przekonania i zakamania się niepewności.

W tych chwilach uważnego słuchania i wsłuchiwania nie palił nieodłącznej fajki, tylko cmokał ją ustawicznie, a najbliższe otoczenie wiedziało, że to cmokanie jest oznaką wielkiego jego zdenerwowania, tak właśnie maskowanego przed zebranymi.

Szpecially trudne były zagadnienia-obroności Kraju Rad. Kraj posiadał granice lądowe i morskie sięgające ponad 6.500 kilometrów, które trzeba było pilnie strześć, pilnować, gdy: granice te graniczyły z krajami wrogo ustosunkowanymi do Kraju Rad.

Niby neutralna T u r c j a w czasie pokoju, dokonywała przeżutów broni i przemytników, a w czasie trwania II-j wojny światowej formalnie była neutralna, de fakto - sprzyjała III-j Rzeszy Niemieckiej. Trzymając na pograniczu Rosji - 44, gotowych do wejścia do akcji dywizji, za przeobcany - jej - K r y m !... Ion Antonesku, wszedł w posiadanie O d e s y i Transtrystrii po rzekę Boch, takie a nie inne były fakty tego okresu toczącej się wojny napastniczej.

Wykazał to nieudany zamach na Stalina w Ficundzie, kiedy został ostrzeżony z karabinu maszynowego kuter spacerowy, i tylko wielka fala na morzu uratowała jemu życie. Ten epizod znam z autopsji, seria z ciężkiego karabinu przeszła o metr od stojącego na pokładzie Stalina.

Proces Sądowy- był zamknięty, spowodował serie masowych rozstrzelań spiskowców. Stąd chorobliwa podejliwość Stalina do toczona, był - samotnikiem!. Właśnie nie przypadkowo od strony granic Turcji, był wykryty i zniszczony tajemniczy samolot, bez znaków rozpoznawczych, który został stracony-właśnie przez Sokołów-Stalina.

Rozwelt znalazł schronienie w Tageranie w Ambasadzie Z.S.R.R. i dzięki temu uszedł z ż y c i e m!. Skorceneliowi-wyzwolicielowi Musoliniego z pilnie strzeżonego więzienia, był prawą ręką Arcyszpiega C a n a r i s a, dzięki czujności "Sokołom" Stalina, ponósł dotkliwą porażkę, samolot eksplodował z "nową bronią", na pokładzie. Kiedy Skorczeniego i załoga zgineli Hitler się wściekał...bo to kosztowało!.

Ten epizod szeroko komentowała prasa światowa. Przecieków z Ficundy-gdzie Stalin posiadał swoją Wilę-nie było! - G r a n i c a n a z a m k i e!... Przypomina mi się okupacja Kaukazu i Zakawkazia przez Anglików.

Okupanci angielscy-dokonują ohydny mordu-politycznego w Baku!... Rozstrzeliwując - 26 "Bakińskich Komisarzy Ludowych" w tym Polaka Józefa Bienkowskiego, takie są fakty historyczne.

Aleksander Blok - poświęcił ich swetlanej pamięci swój utwór, oto on:

Słońce - wschodziło

Słońce - nieznano

Utro takoję, prekrasnoje było!

Ticho swierkali srebristyje - dali

Kogda Angliczanie - ich rastrelali!...

Ludowy Komisarz Józef Bienkowski, zaufany Fielixsa Dzierżyńskiego, był przez niego i L e n i n a - wydeligowany do pracy partyjnej w Zakawkażu.

Stalin-szedł drogą chłodnego wykalkulowanego realizmu, nie licząc się z ofiarami ludzkimi.

Mawiał-ludziej u nas m n o g o, kiejując się tylko logicznymi wnioskami i wnioskowaniem, wymownym językiem cyfr, a umiał liczyć zasoby nie tylko Rosji ale i -III - Rzeszy hitlerowskiej! Stale posługiwał się językiem cyfr-gromażnik rezerwa, posługując się intelektem, statystyką, polityką i męża stanu, jak jego określił i ocenił - Generał Szarl de Gaulle!

Dobrze wiedział że musi dogonić, przegonić i zwyciężyć świat kapitalistyczny - knujący wciąż zamiary wojny totalnej z Hitlerem na czele, otaczający murem zmywy i spisków Kraj Rad!...

Kraj ten za wszelką cenę chcieli z g n i e ś ć, ale nie wyszło! Bo trzeba nie tylko chcieć i mieć chęci a czegoś znacznie więcej, także za tę wolę u. m i e r a ć, a Stalin - umiał.

Siły wsteczne, chcieli z Trockim na czele, wypłenić z Kraju Rad wszystkie s l a d y i s k u t k i Rewolucji - Lenina, realizując hasło - K r a j i w ł a d z a l u d o w a - t a k! Komunizm i socjalizm - n i e!...

Chcieli i to bardzo, taka prawda historyczna, ale nie wyszło.

Stalin - u m i a ł, umiał przegrywać bitwy i to do czasu i umiał groma-
dzić okrucy r e z e r w y dla wygrania wojny napastniczej, i dla tego
tę Wojnę wygrał!.

Swoją politykę zapoczątkował-drogą zwycięstw kolektywizacji i co głów-
nie -industrializacjikraju rad, co pociągnęło milion ofiar ludzkich, ale oca-
liło kraj rad, a w koncu bitwami o M o s k w ę, o S t a l i n g r a d, o Ł u k
K u r s k i, L e n i n o, W a r s z a w ę, wał P o m o r s k i, aż nareszcie -
B E R L I N E M i P O C Z D A M E M.

Takie są nieodwracalne fakty historyczne, w której Stalin nie był pionkiem
- lecz m o t o r e m.

Za nieuzasadnione i niepowetowane straty Polaków w bitwie o Lenino,
gdzie zginął mój szwager Nikołaj Bartczak z całą załogą zwycięzkiego
czołgu-zywcem spalony, Stalin ni minuty nie wagał się postawić-pod pluton
ekzekucyjny Generała GORDONOWA i jego Komisarza - PIETROWA!

To właśnie zrobił - Stalin!!.

-Oni nie dali przykrycia lotniczego Wojsku Polskiemu, Choć je posiadali.
Jak wspomina marszałek ŻUKOW, pomimo chwilowego załamania się w dniu 22.VI.
1941 roku, i przeżytego szoku, pod ciężarem osobistej odpowiedzialności prz-
ed Partią i Narodem Kraju Rad, potrafił wziąć w garść innych-panikierów i
"mazgajew", pomimo tragicznego rozpoczęcia W o j n y napastniczej i jego wymowy
Wojny przez zaskoczenie, które było PEŁNE, tylko Flota Kraju Rad - tego unik-
-nęła, zadziałało jak że znane - a w o ś, czyli nasze polskie - jakoś tam bę-
dzie.

Pomimo dokonanych represji Korpusu oficerskiego i zgładzenia wielu wybitny-
ch osobowości wojskowych - w tym Marszałków: Tu chaczewskiego, Egorowa, i
Bluchera, który wydelegowany do spółki z zaufanym Stalina, szefem Politycz-
nym Armii - Lwem Mechlisem do Priwołżgżskiego Kraju i Okręgu Wojskowego, spo-
wodowały tragiczną śmierć Michała Tu chaczewskiego, a później i Bluchera.
W życiu prywatnym - Stalin był welbicielem róż jak i Szarles de Gaule, i
czerwonego wina Słonecznej Gruzji - Kachetyńskie.
Gruzja - wydała nie tylko Wielkiego Ru stawielęgo, ale również - Szamila i
Kniazia Bagrationa, który w swoim czasie cofania się Armii Marszałka Micha-
ła Kutuzowa, skutecznie powstrzymywał 30.000 tysięczną Armie " małego kapra-
ła, zfrancuzoniałego Włocha Napoleona-Bonapartego! Bagration wówczas stał
na czele 5000 tysięcznego K o r p u s u Armii Rosyjskiej, powstrzymywał Armie wr-
oga, i to bardzo skutecznie.

Stalin - wywodził się i pochodził z Gruzji, swej ojczyzny, zwanej w języku
gruzinów - S A K A R T E L E - Co znaczy Ziemia Gruzinów!.

Trzeba przyznać, że Kraj ten rzeczwiście bogato obdarzony i obdarowany prz-
ez matkę naturę. Urodzajna ziemia, słoneczne plaże, góry, wielkie rzeki z głów-
ną - Kurą na czele! Zriadła lecznicze i Uzdrowiska o wybitnych walorach le-
czniczych, gdzie ja, Z bczewski pracowałem w charakterze Głównego Agronoma
-Uzdrowisk Kaukazu, gdzie z autopsji poznałem - Kulturalny, gościnny naród,
jego losy i dzieje, w tym walkę o niepodległość narodową. Naród ten za Kult-
Stalina wydał 18000 tysięcy swych synów i córek na - ś m i e r ć!...

W 1943 roku, pod naciskiem mocarstw zachodnich-USA, Wielkiej Brytanii zosta-
ła rozwiązana Trzecie Międzynarodówka, uzależniały oni od tego aktu dostawy
-broni, żywności, i głównie statków dla walczącej w odosobieniu Armii Czerwo-
nej. Drugiego frontu pomimo przyrzeczeń i podpisanego porozumienia jak dotąd
nie BYŁO.

Antykomunista W. Czehrczół pisał do Ruzwelta: "Ty za wodą, ja za wodą, niech te
dwa BYKI - b o d ą!... Liczył na osłabienie Hitlera i Stalina.

Wehrmacht - był u bram M o s k w y!...

Już w 1942 roku, dobrze naoliwiona propaganda arcykłamcy - Goebbelsa, korz-
ystając z przecieków prasy w USA i sieci szpiegowskiej, zasypywała cofające
-Armii Czerwonej z półokrażenia na Północnym Kaukazie-ulotkami, a głównie
na Stalingrad. Byli to wybiegające w czasie, zpreparowane przez Abwerę-Cana-
risa i Goebbelsa prowokacja, informująca ze został rozwiązany KOMINTERN i
III Międzynarodówka. Było to oficjalne ogłoszenie o już rozwiązany przez
Stalina w Moskwie - KOMINTERNU?!

Faszystowska gadzinówka brutalnie głosiła że "Stalin spieniżył Rosję -
amerykańskim i angielskim plutokratom i Ż y d ę m ". Za transakcję Ameryka

dostaje -B a k u, a Anglia - K a m e z a t k ę i M u r m a n s k"!...
Wszystko zostało sprzedane za amerykańskie i angielskie - ZŁOTO!
BOLSZEWICY wyrzekli się hasła - PROLETARIUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW Łączę
Się"dla ugody z Anglią i Ameryką - rozwiązali KOMINTERN!...Treść tej
falszzywki kończyły słowa -"Bagnet do Ziemi!Smierć Stalinowi!...

Komunistyczna Partia Polski jak wiadomo została rozwiązana przez Komin
tern w 1938 roku.Pod bezzasadnymi, prowakacyjnymi zarzutami.Jej kierown
iczą kadrę zdiestkowano.Rząd Polski a później londyński i związane z
nim siły działające w okupowanym kraju cechował antykomunizm i szczegó
lnie antyradzieckość.

Po trwającej 123 lat niewoli narodowej, w obliczu konieczności zintegro
wania ziem trzech zaborów, wykorzystując dominujące nasroje w Kraju Pola
ków siły antyradzieckie, antytęwolucyjne i nacjonalistyczne pchnęły mar
szałka Piłsudskiego do nieszczęsnej wojny z Rosją Radziecką, z Rosją
która proklamowała ustami Lenina, i uznała pierwsza samostanowienie naro
- dów: Polski, Litwy, Łatwii i Estonii!.

Uwczesne okoliczności - tak Ukłanów polskich w Kijowie i w odpowiedzi
obecność Armii Czerwonej pod dowództwem Tuchaczewskiego i Budionego -
pod Warszawą wywołały fatalne skutki, wywarły na dalsze stosunki polsko
- radzieckie negatywne wpływy i skutki.Był zachomowany proces przewycię
żenia przeżytków przeszłości i zbliżenia się naszych narodów, a było nas
w wyniku exschodusu narodów na Wschód - w okresie trwania pierwszej woj
ny światowej ponad 8.000.000 , łącznie z Litwinami i Białorusinami, i
Żydami.

Polityka i kierownicze koła, kierowane przez Kołczaka, Denikina i Wrang
la - głoszących integralność dawnego Imperoium Romanowów - pchnęła Pił
sudskiego do podpisania układu z Leninem!Podpisało Traktat - ryski!
Balast wzajemnych nieufności, stawka władz polskich na odległe sojusze
i w konsekwencji nieznałazienie wspólnych dróg przeciwdziałania hitle
rowskiemu zagrożeniu odcisnęły piętno - wielką plamę i legli u podstaw
przegranej napaści Wehrmachtu hitlerowskiego na Polskę i stworzyła real
ne zagrożenie najazdu na Z.S.R.R.

Wpłynęła na to także błędna ocena wojny obrony POLSKI przeciwko naja
zdowi niemieckiemu jako "obustronnie imperialistyczna"!

Rydz Smigły - wypowiedział znamienne słowa -"Z Niemcami utracimy niepod
ległość!-Z moskalami swoją duszę!".

Kołotow, promotor antypolskiej polityki, przeforsował układ z Hitlerem,
wypowiedział znamienne słowa:...że "Benkart Wersalski już nigdy nie
powstanie"!...Był popierany przez Kaganowicza, Mechlisa i innych człon
ków - Biuro Politycznego Partii.Towarzyszyła i spryiała temu układowi
antyleninowska frazeologia, sprzeczna z prawem P o l s k i - do niepod
ległości.Osobowość Stalina stanowiła, który o sobie wiedział tylko SAM!"

Było odzwierciadlenie skomplikowanej dialektyki jego epoki.I odwrotnie:
świadectwem złożoności tamtych czasów, świadczy o tym FAKT, że taka właśnie
osobowość mogła przez lat trzydzieści stać na czele narodu i partii.

Pomimo wszystko - wkład Stalina w walkę urzyczeszczenia socjalizmu był
bеспorny, zarazem Stalin jest winny niewybaczalnym błędów, i co głównie
Z b r o d n i , sformułował błędną t e z ę o zaostrzeniu się walki klaso
wej w miarę rozwoju socjalizmu co wiąże się z tragicznym rokiem 1937.

Falszzywka Abwery- Canarisa, zadziałała, ale to tylko półprawdy.Zabujstwo
polityczne - Trybuna Rewolucji - K o s t r i k o w a - K i r o w a, za którym stał Ple
num partii i Flota, oparta o Kronsztadt, forty " Sieraja Łoszađ'i Biełaja
Łoszađ' ".Kirow z całą energiją i zaangażowaniem występował przeciw lu
dobujczej polityce Stalina i Berii!.

Stalin dobrze wiedział, a głównie zapamiętał, że Lenin w "Liście do zjazdu"
z grudnia 1922 roku określił jego- Stalina, jak i Trockiego mianem"wybitn
ych przywódców.Ale zapamiętał fałsz że Lenin ostro krytykował negatywne
cechy jego charakteru.W odpowiedzi na to Stalin wmawiał Leninowi że jest
faktycznie takim, ale tylko dla wrogów narodu!.

Więc, kapitan NKWD ^{na miejscu} 7. Nikolajew zabójca S.M. Kirowa, rzeczwiście został
-zastrzelony, jak i inni uciekające ciężarówką. A nie jednego żywego
świadka mordu politycznego, przez "chłopców" - ... Pawłowicza! ...
Stalin wiedział o rozmiarach i masowym charakterze stosowanych represji
był regularnie informowany przez przewodniczącego Sądu Najwyższego -
Ulricha!

Wynika z nich że ofiarami ortodoksji i gwałtu padło również 20 tysięcy
funkcjonariuszy aparatu NKWD, między innymi żona Mołotowa i brat Kagano
wicza!

Wobec Polaków również zastosowano represje i deportacje, nie uniknął
i piszący te stroki. Dzięki świetlanej pamięci Władysława Gomułki, pow
róciło nas do Polski przeszło 900.000 tysięcy!?. Bez winy i kary!!...
P wracający z reguły zachowały szacunek dla patriotyzmu i ofiarności
narodu radzieckiego, oraz pamięć do zwykłej ludzkiej życzliwości.

Pietianów i Qiuskingów w Polsce nie było, a ziemia polska chroni
szczątki ponad 645 tysięcy żołnierzy i oficerów Armii Czerwonej!
Propozycję Hitlera o wymiana syna-lotnika Bazylego-Stalin skwitował
słowa "dostał się do niewoli, niech radzi sobie sam, odrzucając ofer

-tę, rządzącej za niego pięciu generałów Wehrmachtu, podkreślając że
żołnierzy Armii Czerwonej, którzy dostali się do niewoli - on Stalin
niewymienia, nawet za własnego syna, który został zamordowany jak milio
ny innych w obozie.

To również fenomen - S t a l i n a!

Na trybunie Mawzoleju L E N I N A na Placu Czerwonym miasta Bohatera
Stolicy Zwycięzkiego Kraju Rad ^{Moskwy} - po odebraniu Paradu Zwycięstwa, obok
siebie stali: Stalin, Rokossowski, Żukow - stratedzy i mistrzowie sztuki
Wojskowej Kraju Rad, i właśnie w tym momencie w Euforii tłumów publicz
-ności i co GŁÓWNI - Kolumn Armii Czerwonej, Stalin wyczuł że jemu sta
ło jakoś za C I A S N O na Trybunie Mawzoleju KORYFEUSZA i TWÓRCY -
MARKSIZMU-LENINIZMU WŁADZIMIERZA L E N I N A, więc wkrótce po history
cznej defiladzie, zwekslował MARSZAŁKÓW ŻUKOWA i ROKOSSOWSKIEGO.

Żukowa do PERŁY południa ROSJI - ODESSY, powezając mu Dowódstwo OKRĘGU,
a Rokossowskiego do POLSKI na wniosek Bolesława BERUTA, bo "licho" nie
-spi!!... Właśnie do POLSKI gdzie wówczas mówiono że to "rusek" w pols
kim mundurze, jak i o generału Wojciechu Jaruzelskim, bardzo głośnie szcz
ekał o tym polskojęzyczne rozgłoszenie na cały świat.

Sam Konstanty Rokossowski mówił o sobie że w ROSJI, mówiono onim że
-to Polak, a w Polsce - że Rosijanin!... jak i opiszącym te wspomnienia.
Stalin, umysł miał bystry i liczył się tylko z faktami, a fakty te wymo
-wnie mówili że czerwonoarmisci którzy szli do walki za "Rodinu-za Sta
-lina" w rzeczywistości szli do walki o swiatlaną przyszłość Kraju Rad
i legli u podstaw PERESTROJKI.

Takie a nie inne są fakty historyczne, i tych twardych csaów, kiedy cho
dziło o Szekspirowskie - "BYĆ, albo NIE BYĆ" pierwszego w świecie Kraju
Rad - RADZIECKICH REPUBLIK SOCJALISTYCZNYCH?!

Autor - Stefan ZUBCZEWSKI, Zasłużony Działacz Ruchu
Robotniczego!

S. Zubczewski

Toruń, w lutym 1989r.

(18)

Stefan Zubczewski
ul. Buszczyńskich 13e/63
87-100 T o r u ń.

Toruń, dnia 21.XI.1988r

II/520/L

© ARCHIWUM WSCHODNIE

WP
Redaktor Naczelny Łomżyńskiego Tygodnika Społecznego
" KONTAKTY " ul. K. Sierczewskiego - 7a. 18-400 Łomża.

Stosownie do hasła "Wschodnie losy Polaków", dnia 27.XI.1988r
wysłałem Waszemu Tygodnikowi Społecznemu, swój Pamiętnik "Wojna,
ludzie, ziemia Ojczyzna".

Maszynopis zawiera 583 strony, załączając trzy recenzje Wydaw
nicze. Odpis listu do Rządu PRL w sprawie eshumacji ciała gen.
Władysława Sikorskiego do Polski., i zdjęcia Rodzine.

Proszę uprzejmie o potwierdzenie odbioru całości.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i serdecznie pozdrawiam

Autor - Stefan Zubczewski. *S. Zubczewski*

odp. wysłano

II/520/k

Toruń, dnia 27.X.1988r.

W. Pan

Redaktor Naczelny

Łomżyńskiego Tygodnika Społecznego "KONTAKTY"

ul. K. Swierczewskiego - 7a. 18-400 ŁOMŻA.

© ARCHIWUM WSKRÓCILE

Stosownie do hasła - "Wschodnie Losy Polaków", ogłoszony w Trybunie Ludu, dnia 26.X.b.r. pisze do Was Stefan Zubczewski, zasłużony nauczyciel w stanie spoczynku i kombatan II- wojny światowej, autor interesujących pamiętników p.t. Wojna-ludzie-ziemia ojczysta, w których przedstawiam na szerekim tle historycznym dzieje swej rodziny młodość oraz udział w II wojnie światowej w szeregach Armii Radzieckiej.

Pamiętniki te zamierza Autor wydać w wydawnictwie bydgoskim - "Pomorze", jednak ta powołana niedawno oficyna specjalizuje się niemal wyłącznie w dziejach regionu pomorsko-kujawskiego, a wspomnień nie publikuje.

Ale właśnie dzięki temu - Pamiętnik uzyskał dwie pozytywne recenzje wydawnicze pracowników naukowych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu: Prof. dr hab. Bolesława Pleśniarskiego oraz Prof. dr hab. Jerzego Danieliewicza, które załączam.

Pamiętnik zawierający pierwotnie stron - 763, został skrócony w/g, zaleceń Recenzentów i zawiera stron - 583, wymaga skrucenia oraz przeredagowania w świetle - PIERESTROJKI.

Sam już tego nie potrafię dokonać. Adekwatny - Tytuł "ERWIA i bliźną" miał być wydany po jego przeredagowaniu w myśl załączonych Recenzji - Wydawniczych. Dotąd nigdzie nie publikowany.

Pamiętnik zawiera losy pojedynczych Polaków z lat: 1916-1956. Oparty na autopsji i autentycznych przeżyciach autora, załączam - Uwagi autora odpis listu do Prezesa Rady Ministrów generała W. Jaruzelskiego.

Redakcja Waszego - Tygodnika "Kontakty", wykorzystując również Recenzję szczegółową z Warszawy może dokonać przeredagowania, skrucenia, oraz uzupełnienia Pamiętnika w świetle zmian dokonywujących w ZBRR.

Pamiętnik był piany 15 lat temu, z tą niedomówienia, i dwuznaczności
które należy wyeliminować w świetle likwidacji "Białych plam".
Proszę uprzejmie o potwierdzenie odebrania całości pamiętnika, oraz
o jego zwrot w razie niewykorzystania całości.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i

serdecznie pozdrawiam

Stefan Zubczewski

Autor Stefan Zubczewski.

Stefan Zubczewski, ul. Buszczyńskich 13e/63 87-100 t o r u ń.

I/520/t
S T E F A N Z U B C Z E W S K I .

===== © ARCHIWUM WSCHODNIE

Tej co nie zginęła, a odrodzona
krwią, blizną i pracą - poświęcam

Autor.

Krwia i Blizna

W O J N A

===== - L U D Z I E

+ Z I E M I A O J C Z Y S T A .

" Cokolwiek Ojczyzny się tyczy - zgromadzić i od niepamięci
ocalić, szczególnie zaś przywiązanie do niej w rodakach
ożywić , utrzymać , wzmocnić. "

/ Z ksiąg Towarzystwa Przyjaciół Nauk - Warszawa , rok 1809/.

J. G. G.

W S T Ę P .

=====

Nigdy w mym pracowitym życiu nie myślałem o pisaniu kroniki rodzinnej i utrwaleniu w piśmie mych przeżyć osobistych związanych z życiem narodu, często tak bolesnych zarówno w latach trwania drugiej wojny światowej jak i po jej zakończeniu - ujętych poniżej pod tytułem : "WOJNA - LUDZIE - ZIEMIA OJCZYSTA".

Jeżeli nabrałem ochoty do pisania, i w 65-ym roku życia odważyłem się na krok tak śmiały, zawdzięczać to mogę wnikliwemu zapoznaniu się ze znanym dziełem historycznym W. Jana, dziełem opisującym żywot słynnego Temudżyna zwanego Dżyngis-Chanem, który w latach 1162-1227 był największym wodzem i zdobywcą w dziejach Azji, założycielem wielkiego ówczesnie państwa mongolskiego sięgającego od Oceanu Spokojnego po Morze Czarne.

Szczególną zachętę do rozpoczęcia pisania kroniki rodzinnej dało mi motto wyżej wymienionej książki - a brzmiało ono :

" Jeśli zdarzy się człowiekowi przypadek nadzwyczajny - przeżycia czy dokonania spostrzeżeń związanych z wybuchem wulkanu, trzęsieniem ziemi, wielkim najazdem - skutkiem czego było zniszczenie miast i wsi, powstanie przeciw zaborcom ludu tyrańsko okupowanego, liczne ofiary i niedola mas - winien zdarzenia te opisać na papierze, a jeśli sam tego nie potrafi dokonać winien użyć do tego człowieka odpowiedniego, wprawnego w pisaniu , opowiedzieć mu swoje bolesne wspomnienia , by człowiek ten utrwalił grozę i chwałę tych wspomnień dokładnie ku nauce i przestrodze wnuców i prawnuków".

Postanowienie spisania kroniki rodzinnej zawdzięczam również w dużej mierze moim krewnym, członkom rodziny ZUBCZEWSKICH , zamieszkującym przed drugą wojną światową na terenie Polski, a zwłaszcza ciotce mej , Helenie Zubczewskiej, która, dożywszy sędziwego wieku, zachowała w pamięci wiele szczegółów i przeżyć z dziejów rodziny oraz fotografii rodzinnych. Pozwoliło mi to znacznie poszerzyć i uzupełnić wiadomości z tragicznych dziejów rodzinnych przekazane mi przez ojca mego, ^{Sergijana} STEFANA PRAWDZIC - SOŁŁOCHUB - ZUBCZEWSKIEGO, które teraz porządkując odtwarzam z pamięci.

S. Anz

Pamięć bywa zawodną , lecz mimo to wszystko co opisuję w tej kronice polega na prawdzie, szczególnie już to co dotyczy spraw rodzinnych i przeżyć moich osobistych lub osobiście znanych mi członków niegdyś licznej rodziny Prawdziców-Solłogub-Zubczewskich, rodziny znanej i na Litwie i w Koronie , rodziny figurującej w Trylogii Henryka Sienkiewicza.

Z osiągniętej przeze mnie wiedzy o ludziach i dziejach rodu Zubczewskich wynika, iż członków tego rodu prawie powszechnie cechowała stanowczość, wybuchowość i gwałtowność działania ale również duże poczucie obowiązku wobec kraju i rodziny , cechy wpajane członkom rodziny od pokoleń drogą staannego wychowywania od dzieciństwa w duchu patriotyzmu, zaprawiania do twardego trudu i życia żołnierskiego.

Przykładem takiego wychowania jest Władysław ^{Flomajna} Sikorski, późniejszy generał i Wódz Wojsk Polskich. Na zdolnościach i pracowitości jego poznał się dziadek ~~Wój~~, Juliusz Zubczewski, profesor i wieloletni dyrektor Seminarium Nauczycielskiego w Łańcucie na Rzeszow²²czyźnie. On to właśnie zabrał wyróżniającego się swą postawą i zachowaniem chłopca z bursy do swojego domu i kształcił go dalej na swój koszt, otwierając przed zdolnym chłopcem drogę życiową przez studia politechniczne. Dyrektor Juliusz Zubczewski, pedagog mądry i uspołeczniony, uczynił to w związku z tragiczną śmiercią swego własnego syna, inżyniera-leśnika, który zginął w²²czasie polowania, ale oddał całe serce starannemu wychowaniu Sikorskiego. Od rodziny Zubczewskich przejął przyszły generał, wódz i mąż stanu już tu wymieniane cechy Zubczewskich, a oprócz nich także ~~zaprawę~~ do działalności politycznej i patriotycznej, szacunek dla wartości i godności człowieka, pragnienie czynu dla społeczności i Ojczyzny; przejął także wiarę w człowieka i dużą dozę łatwowierności, która to cecha, ^{któ}wie czy nie była główną przyczyną jego tragicznej śmierci u stóp Gibraltaru. W domu dyrektora Zubczewskiego poznał też Sikorski późniejszą swoją małżonkę, Helenę, córkę brata dyrektora, Augusta Zubczewskiego, wieloletniego dyrektora IV-go Gimnazjum męskiego we Lwowie, następnie adoptowaną przez samego dyrektora Juliusza. Sąd generałowej Sikorskiej, tej wielce szanownej mojej ciotki, małżonki generała i wiernej jego towarzyszki w pracach i walkach o dobro Ojczyzny, sąd o przyczynach tragicznej śmierci generała, której 30-a rocznica przypada właśnie w dniu 4 lipca bieżącego /1939/ roku, wyraża w książce pod tytułem "Polskie spotkania"

S. Dm²²

na wyspach Brytyjskich", wydanej przez "Interpres" jej autor, mój zresztą osobisty znajomy, redaktor gazety "Polska Zbrojna" i wieloletni korespondent prasy polskiej w Londynie, Kuźmiński, współtowarzysz mój w smutnych dniach pobytu w obozie dla osób internowanych i uchodźców z Polski, który to obóz był utworzony w Bukareszcie jesienią 1939 roku.

Redaktor Kuźmiński składając generałowej Sikorskiej, wspólnie z redaktorem Monieckim, wizytę na krótko przed jej śmiercią, w dniu 1 lutego 1972 roku, wiedział iż Helena Sikorska wciąż powracała pamięcią do dni przeżytych przy boku tak wielkiego człowieka- obu też redaktorów w drodze do posiadłości Ramohacide nurtowała natrętna myśl jak po upływie tylu lat od katastrofy spogląda na świat ta, którą gibraltarski cios ugodził najbardziej. Jakby nie było dość, iż zabrał tych dwoje jedynych i najdroższych, otworzył jeszcze piekło niepewności i podejrzeń co do rzeczywistego przebiegu wypadków i wydarzeń, przygniótł zbolalą wdowę ciężarem wielkiej polityki wojennej, a potem omotał i skrępował siecią politycznych gier i grymasów emigracji. Zagraniczni "bossy" i rekiny-pseudohistorycy wkładali przecież w jej usta słowa, których nie mówiła, opinie i myśli, których nie wyrażała.

Redaktorzy znaleźli Helenę Sikorską w pięknym jasnym wielookien-pokoju starego domu, dworu otoczonego cienistymi drzewami na końcu krętej drogi do tego domu wiodącej. Z fotela podniosła się na ich przywitanie elegancka, piękna pani, której lata nie pozbawiły wdzięku i żywości ruchów i której wygląd potwierdzał słowa wyrzeczone kiedyś przez tak kochaną jedynaczkę- córeczkę Zosię "Mama dzielnie się trzyma". Pani Sikorska pogodnie i bezpośrednio pełniąc obowiązki gościnności, poczęstowała redaktorów herbatą i papierosami. Po wymienieniu ogólnych wstępnych uwag, redaktorzy poprosili aby generałowa opowiedziała pokrótce jak upływają jej lata od czasu owej tragicznej nocy z dnia 4 na 5 lipca 1943 roku. Pani generałowa, mówiąc cicho i wyraźnie, snuje swoje przeżycia i wrażenia : " -- Początek mego życia po katastrofie był bardzo ciężki- nie mogłam mówić o tym co się stało, nie mogłam przyjąć tego do świadomości. Byłam tak ogłuszona ciosem, iż przez wiele miesięcy pozostawałam na pół przytomna. Jak mąż wyjeżdżał w tę ostatnią podróż byłam zupełnie spokojna: wierzyłam zawsze , że nic mu się stać nie może gdyż pracuje dla Polski. Żegnałam ich oboje z takim spokojem, iż córka powiedziała z uznaniem: "Mama dzielnie się trzyma". Katastrofa załamała mnie

J. Anz -

kompletnie, straciłam wiarę we wszystko, także w polską sprawę. Chociaż nie oskarżałam nikogo, żadnego kraju, żadnego kręgu politycznego oto że jest winny katastrofie - nie wierzyłam jednak wówczas, i nie mogę dzisiaj, że był to wypadek To był s a b o t a ż? - są na to poszlaki!.... "

I wreszcie pada pytanie ze strony redaktorów: " Czy chciałaby wrócić do Polski? - czy tęskni za krajem? " - Generałowa milży długo, potem mówi wolno: " Czy tęsknię? Mój Boże, tęsknota za Polską nie opuszcza mnie ani na moment. Tęsknota do ziemi, zapachów, mowy, ludzi. Jestem ze wsi. Mieszkaliśmy wiele lat w resztówce Parchanie koło Inowrocławia. Jak tam pachniało zboże. trawa, liście jesienne. Tutaj nic nie pachnie tak pięknie., ~~ani~~ ani kwiaty, ani ziemia, ani trawy. Mieszkam tu tyle lat, ale myślami żyję zawsze w Polsce. Czy chciałabym wrócić?. Tak!. Czy wrócę?. Nie wiem. Przy jednym trwać będę jednak zawsze: ciało mego śp męża winno wrócić do kraju, do Ojczyzny, do Narodu Polskiego, którego był bardzo wiernym sługą i przywódcą, któremu poświęcił w pracy całe swoje życie i dla którego zginął. On musi być między swoimi. Pragnę dla tego aby prochy Sikorskiego zostały przewiezione z Newerck do Polski".

W przytoczonych tu słowach Heleny Sikorskiej zawarte jest jednak, w podtekście i w świetle wznoszącej się wiedzy o ówczesnych stosunkach w kołach wojskowych i politycznych, oskarżenie generała ^{-Waldmanna} Andersa jako jednego z głównych spiskowców na życie generała Sikorskiego. Anders, znany cynik, karierowicz i intrygant, dla którego drobnostką było postawienie kogoś za byle co przed plutonem egzekucyjnym, stanowił poważne również zagrożenie dla życia jeszcze jednego członka rodu Zubczewskich. Bowiem mój stryjeczny brat Stefan- Mikołaj Zubczewski, syn Dionizego, prawnik, miał wytoczone przez gen Andersa postępowanie karne grożące poważnymi konsekwencjami. Postępowanie to zostało jednak umorzone przez generała Sikorskiego, który nie znalazł uzasadnionych podstaw prowadzenia dochodzeń przeciwko pułkownikowi Stefanowi Zubczewskiemu, szefowi Sądownictwa Wojskowego i członkowi aparatu Rządu Emigracyjnego.

Jeśli już wspominam Zubczewskich okresu II Wojny Światowej, muszę ze czcią, wspomnieć o majorze Armii Czerwonej Mikołaju Zubczewskim, jednym z moich ^{starszych} braci, który ranny już w walkach roku 1941, wyleczony, walczył nadal z faszysmem i w wieku lat 40 zginął bohaterską śmiercią w roku 1943. Ten z Zubczewskich został pośmiertnie odznaczony gwiazdą "Bohatera Związku Radzieckiego".

S. G. -

Wracając do drogiej mi postaci generałowej Heleny Sikorskiej pragnę w tej kronice nadmienić, iż wiadomość o jej zgonie wyczytałem w gazecie "Trybuna Ludu" z dnia 1 lutego 1973 roku. Gazeta ta, w krótkiej wzmiance na przedostatniej stronie, donosiła: "Zmarła Helena Sikorska". Londyn./PAP/. 1 lutego w Great Brokham pod Londynem zmarła Helena Sikorska, wdowa po premierze Rządu Emigracyjnego i Wodzu Naczelnym Wojsk Polskich w latach 1939 - 1943."

W wielkim smutku udałem się natychmiast do Urzędu Telegraficznego w Toruniu i nadałem depeszę następującej treści:

" Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Warszawa. W związku ze zgonem Heleny Sikorskiej z Zubczewskich pragnę za pośrednictwem Ambasady PRL w Londynie złożyć dwa białe-czerwone goździki, jako wyraz głębokiego bólu, żalu i smutku, u stóp zmarłej. Stefan Zubczewski, były wizytator oświaty rolniczej, z rodziną".

Na tę depeszę nigdy nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Odeszła na zawsze w wieku lat 84.

Kiedy w przeszło półtora roku później, w październiku roku 1974, przebywając wraz z żoną na "wczasach sanatoryjnych" w Zakopanym, udaliśmy się już w pierwszym dniu pobytu pod Tatrami, z kwiatami na cmentarz przy ~~ulicy Katedrańskiej~~ ^{Nowoarskiej} znajdującym się przy ulicy Katedrańskiej, ujrzałem ze zdziwieniem duże zmiany w grobowcu rodzinnym dziadka mego, księckiego dyrektora, Juliusza Zubczewskiego i jego żony. Nie było już na płycie grobowca wielkiego krzyża z czarnego marmuru, sama płyta natomiast była jakby powiększona i odnowiona. Przy bliższym rozesznaniu źródła tych zmian wyjaśniło się, że zostały one dokonane przez przybyłego z Londynu przedstawiciela mieszkających jeszcze na obczyźnie członków rodu Zubczewskich, którzy byli świadkami ostatnich dni i zgonu generałowej Sikorskiej. A stało się to zgodnie z wolą ostatnią generałowej i jej życzeniem złożenia jej ciała na wieczny spoczynek tu właśnie, w zakopiańskim grobowcu, przy swoich najbliższych. Właśnie to spowodowało przebudowę grobowca, powiększenie jego płyty i umieszczenie u jej szczytu pionowo ustawionej płyty z danymi dotyczącymi wszystkich osób tu spoczywających.

W chwilach zadury nad życiem i losami tych moich bliskich, w czasie parokrotnych odwiedzin tego grobowca, wiele przemyślałem, przeżyłem, wspominałem, odczułem - i tych wzruszeń moich ślad wierszami utwaliłem w wierszu, pierwszym w moim życiu,

Nie saliczam tego pierwszego mego wiersza, który "popokniłem"
oczywiście, do poczyj wysokiego lotu, wysokiej rangi i nieprze-
mijającej wartości - ale też nie wstydzę się go, jest on bowiem
wyrazem uczuć nurtujących mnie nad tym grobem. Oto on:

Refleksje - Na Dzień Wszystkich Zmarłych.

Gibraltaru cios bolesny i dotkliwy,
Pamięć kochanych, najbliższych i najdroższych zakuta w skale -
- jedyną pozostała Jej pociechę w życiu.

Koninek życia zgasł przedwcześnie,
Tak raptownie ! - Niespodzianie !
Swiecy życia, zgasłej już - przedwcześnie -
nie dopali nic - już na wieki - i na zawsze....

Już nigdy nie zobaczy Wisły brzegu,
i bystrej wiernej rzeki czystego nurtu, rzeki modrej,
Królowej polskich rzek !.

Już nigdy nie usłyszysz Dubieńskich, Janowskich i Parohańskich
pól i lasów wiosennego śpiewu -

Jak na Kujawach pachną trawy, zboża, kwiaty,
jak szumi wiatr

I mój koninek również dogorywa - /kiedy zgaśnie ?- Niewiadomo...
I jak daleki, tkliwy, mowy śpiew, przypomina mi : "Memento mori"..
Że życie już przeżyte - i jesień życia już mągnęła,
- raz na zawsze - dla Polaki !

Dla tej co zmarłychwstała, nie zginęła!
A krwią, blizną i pracą ludu swego
z pożogi wojny, gruzów i cmentarzy
odbudowana - ocalała !.

Kapłanem wiecznym której był bochenek chleba powszedniego.
Symbolem walki i pracy : Orzeł w locie ! Orzeł biały !...

Bo sztandar Orła Białego zawsze był przewodnią pochodnią ! !.
Niech pamięć moja zawsze będzie ci miła !.

Zakopane, 1 listopada 1974 roku.

R O Z D Z I A Ł I.

===== Wspomnienia z KRONIKI RODZINNEJ. =====

Pochód na Sybir i katorgę.

Rok 1831 dla Rzeczypospolitej Polskiej walczącej o odzyskanie - przez rozbiory dokonane przez koalicję państw sprzymierzonych : Niemcy, Austrię i Rosję - utraconej wolności , państwowości, suwerenności i niezawisłości narodowej, był rokiem niepowodzeń, ciężkich prób, klęsk oraz gorzkich doświadczeń i rozczarowań.

Był to rok zawiedzionych marzeń i niespełnionych nadziei.

wojską Po okrótnym zmiążdżeniu powstania listopadowego przez okupacyjne satrapy, cara Mikołaja I-go, kraj był zalany 100.000-ym korpu-
sem wrogiego żołdactwa pod wodzą generała kniazia Paskiewicza, odznaczającego się szczególnym okrucieństwem i bezwzględnością w postępowaniu z oddziałami powstańczymi. Oddziały rosyjskie masakrowały twarze zabitych powstańców celem uniemożliwienia rozpoznania zwłok przez bliskich krewnych.

Po drodze na Sybir i katorgę zaroilo się od pierwszych kolumn i kibitek wiozących chorych i ciężko rannych zesłańców, byłych uczestników wypadków nocy listopadowej. Byli to /głównie wojskowi, księża , wybór inteligencji, ziemian oraz szlachty. Nie brak było również i działaczy ludowych pochodzenia chłopskiego, skazanych przez specjalnie powołane doraźne sądy wojskowe, na stały lub czasowy pobyt i osiedlenie się w odległych i słabo zaludnionych regionach imperium rosyjskiego, głównie w Omsku, Nierczyńsku, Krasnojarsku i Irkucku oraz innych okręgach wschodniej Syberii.

Pierwsze kolumny pędzone były przez konnych kozaków - zesłańców szczerzo psami i okładano nahajami, opieszających i odstających. Kolumny zesłańców pędzono o głódzie i chłódzie do Krasnojarska, Irkucka i Tobolska , gdzie mieściły się główne punkty rozdzielcze / pieresylnyje tiurny/ oraz innych miejscowości na Uralu i do dalekich osad przy przy rozwijającym się przemyśle kopalnianym - kopalniach rud, miedzi , cyny i żelaza.

Skazanym ogromnie dokuczał chłód i robactwo. Lekko ubrane kolumny zesłańców często miały konne podjazdy kozackie, których uzbrojenie stanowiły strzelby, pistolety, szable i lance.

Podjazdy te lustrowały okolice położone wzdłuż głównego szlaku, którym posuwał się powolnym krokiem długi wąż kolumn skazańców. Odzienie uczestników powstania listopadowego z terenów Litwy było lepsze, gdyż na Litwie od dawnych czasów używane były powszechnie kozuchy szyte ze skór owczych, które zarówno dobrze chroniły od zimna jak i wilgoci przez stosowanie specjalnej wyprawy tych skór, przez co były one też lekkie i trwałe w użyciu codziennym, co było ważne ze względu na ciągłe zmiany aury i klimatu panującego na Litwie. Jak mówi podanie i historia sam król Władysław Jagiełło lubił używać kozucha jako powszedniego, codziennego odzienia. Szczególnie nasi wodzowie lubili też baranki, to też przyodziewali w nie zastępy swoich wojów. Takie kozuchy wyprawiane były ze skór jagnięcych/ t~~x~~zw. Jarki/. Krótkie kozuszki kazał też wyfasować dla swego wojska, w czasach Insurekcji, naczelnik Tadeusz Kościuszko - i kto wie, czy to nie naczelnik Kościuszko zapoczątkował modę na półkożuszki. Jak donoszą stare zapisy, naczelnikowi policzono za nie tylko po 14 złotych polskich za sztukę, a nie po złp 20, jak za długie kozuchy.

Droga na Sybir prowadziła uczęszczanym oddawna szlakiem świętego Włodzimierza - była ona bardzo długa, uciążliwa, męcząca i trudna. Ciężkie kajdany na nogach zesłańców przykuwane były do żelaznych pasów, a do celu uniemożliwienia ucieczek, utrudniało to bowiem poruszanie się w terenie i wymagało stałego przytrzymania łańcuchów rękami, to też nieszczęśliwi zesłańcy dorabiali sobie ~~same~~ do kajdan specjalne szelki w celu podtrzymywania ich. Żelazne pasy były zakute na stałe bez możliwości ich zdejmowania skutkiem czego na nogach skazańców powstawały otarcia naskórka przechodzące w otwarte rany i owrzodzenia, co z kolei za każdym krokiem lub ruchem sprawiało nieszczęsnym ból nie do zniesienia. Kolumny zesłańców, pędzonych o chlebie i wodzie, pozostawiały na świeżo spadłym śniegu ślady krwi, gdyż na nogach, zamiast obuwia pozostawały po pewnym czasie tylko jego strzępy, zawinięte w szmaty związane paskami skóry lub sznurkiem. Dokuczliwe zimno, a szczególnie silny wschodni wiatr dmący w twarze, powodował liczne odmrożenia kończyn i twarzy. Droga dla wyczerpanych, słabych i chorych ludzi stawała się z każdym dniem trudniejsza i cięższa. ~~x~~ to też chorych i rannych wieziono w nielicznych kibitkach pod przykryciem. I tak pędzono zesłańców codziennie od postoju do postoju po 20, a nawet 30 wiorst.

P. Dm.

Przed noclegiem wydawano, raz na dobę, gorącą zupę z brukwi lub kaszy jaglanej, oraz pajdę czarnego, żytniego chleba. Szkorbut i inne choroby, a szczególnie dokuczliwy głód codzienny, zbierały w tych warunkach swoje obfite żniwo śmierci z osobników najbardziej słabych i wycieńczonych podczas przebywania w uciążliwej i długiej niewoli. Umierali licznie słabi fizycznie i załamani psychicznie. Carscy kwatermistrowie pozbawieni kontroli fałszując wykazy zaopatrzeniowe i dopisując zmarłych, pobierali kwoty na zaopatrzenie pełnej kolumny i kwoty te przywłaszczali sobie. Umarłych nie grzebano. Przemarznięty grunt nie ustępował wysiłkom przemęczonych ludzi, a pogrzebu towarzyszy bołowego zrywu nocy listopadaowej dokonywały wilki, kruki i sępy stepowe, stale towarzyszące kolumnom marszowym. To też na poboczach męczeńskiej drogi widniały kości padniętych koni, wielbłądów oraz liczne piszczele i czaszki ludzkie; wypalone słońcem, i wysuszone stepowym wiatrem do białą, straszyły pustymi otworami oczodołów.

Mój pradziad pułkownik Szymon- Stefan- Ignacy
Prawdziec Zubczewski- Sołłohub.

Wśród pierwszych kolumn zesłańców na dożywocie i ciężkie roboty w kopalni miedzi w Nierczyńsku i odlewni dział znajdował się, między innymi, mój pradziad trójga imion Szymon- Stefan - Ignacy Prawdziec Zubczewski-Sołłohub. Używał on pospolicie przydomka Sołłohub, wywodzącego się od nazwy wielkiej wsi rodowej, liczącej przeszło 550 "dymów" i jako jeden z pierwszych wypowiedział posłuszeństwo carskiej Rosji, wprowadzając uformowany własnym sumptem pułk do walki z caratem i jego oddziałami, ~~w jego oddziałach~~ zalewającymi i uciemniającymi lud Polski i Litwy na rozkaz cara Nikołaja I.

Po upadku powstania został pradziad mój pozbawiony stopnia wojskowego, szlachectwa, posiadanych odznaczeń bojowych, a także majątków ziemskich znajdujących się w Dubnie nad Ikwą, w Turowie i Turości oraz innych mniejszych folwarków położonych na Wołyniu.

Ród pułkownika Szymona Zubczewskiego wywodził się z Litwy, gdzie było jego gniazdo rodowe i rodzinne, istniejące do dziś w Rosieniach i okolicach Rosień oraz w Trokach. W okolicach tych oprócz rodu Sołłohub-Zubczewskich było w sąsiedztwie jeszcze tylko kilka większych szlacheckich rodzin i domów.

J. Józ

Między nimi był też Hanuszkiewiczów² ród¹, z którego małżonkę pojął Henryk Sienkiewicz, a liczne przygody teścia pisarza, Hieronima Hanuszkiewicza były kanwą twórczą "Trylogii". Sołłohubowie-Zubczewscy byli rodem starym, znanym na Litwie, wywodzącym się od znanego na Litwie książęcego rodu Ruryków, a patronem rodu Prawdzic-Sołłohub-Zubczewskich był św. Jerzy Zwycięzca.

Na szczęście dla rodziny kilka kluczków majątków ziemskich nie zostało zabranych przez władze cesarskie po upadku powstania. Majątki te położone były na Litwie, nie na Wołyniu. Główną siedzibą osiadłej tam rodziny był kluczek w Rosieniu, do którego należało kilka folwarków wyspecjalizowanych w hodowli ogierów pełnej krwi i koni znanych z wysokiej jakości w Litwie i Koronie. Konie te rok rocznie odstawiane były na potrzeby wojska.

Oprócz hodowli koni uprawiano tam także znaczne łany zbóż, prowadzono też w dużym zakresie hodowlę bydła i owiec. Jednakże hodowla koni była dominującym kierunkiem gospodarczym ze względu na wagę społeczną tego zagadnienia w owych czasach kiedy to, wg przysłowia : "koń musiał wozić wodę i wojewodę". Wyborowe czambuliki tych pięknych i pożytecznych zwierząt wypasano w leśnych duktach pod nadzorem doświadczonych i dobrze uzbrojonych koniuchów, gdyż o napad wilka bądź koniokrada nie było wówczas trudno. Dorodne klacze, głębokie i szerokie w piersiach, w miarę długie i wysokie, o ładnych, cienkich nogach, zwłaszcza w pędzie, chodziły w okólnikach, a przy nich źrebięta uprawiały harce. Nie brakło też w tych leśnych ostępach licznych barci pszczoł.

Ojciec pułkownika Szymona, Stefan, uwłasciwszy 4000 chłopów nadziałami użytków rolnych - ziemią orną łąkami i pstwiskami - uwolniwszy ich w roku ogłoszenia Konstytucji 3-go Maja /1791/ od poddaństwa, był uważany przez ziemiaństwo i szlachtę za dziwaka i "czerwonego". Ziemiaństwo, a szczególnie szlachta, jak ognia bali się rewolucji społecznej, woleli targowicę niż niepodległość kraju. Za to uwłaszczenie chłopów, tak niezrozumiany i niesłychany w tedy czyn, ród Sołłohub-Zubczewskich był znienawidzony przez ziemiaństwo, szlachtę i część kleru, którzy traktowali to posunięcie jako zamach na ich przywileje szlacheckie, rodowe oraz wolność osobistą, wg zasady, że "szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie". Prorokowano też Sołłohub-Zubczewskim rychły upadek dóbr i ruinę. Czas i przebieg wypadków wykazał jednak w rzeczywistości skutki odwrotne.

S. Dzi

Wolny człowiek uwłaszczony godziwym nadziałem użytków rolnych na każdą rodzinę, pędząc za wynagrodzeniem stawiał się na każde wezwanie, lepiej pracował, pracą swą i troską o dobro wywdzięczał się swemu panu. Przyczyniło się to ~~także~~, że majątki "Dziwaka" nie tylko nie podupadły, lecz odwrotnie, korzystnie się rozwijały i dodatnio wyróżniały od majątków ziemian i szlachty okolicznej, dawały też wyższe zbiory i większe wpływy. Szczególnie pomyślnie rozwijała się hodowla koni, była i owiec. Odbiło się to korzystnie również na gospodarce chłopskiej; zagrody stały się zasobniejsze i schludniejsze, odrodzone poczucie godności ludzkiej zdało egzamin w praktyce życia. Wolny człowiek na wolnej ziemi stawał się współobywatelą swego kraju. Świetny rozwój majątków rodziny Sollohub-Zubczewskich na Litwie umożliwił właśnie w roku 1863 uzbrojenie własnym sumptem pułku wyśmienitych strzelców, składającego się przeważnie z ludu leśnego, wyborowych myśliwych. Pułk ten, jak już wspomiałem, brał pod wodzą ^{prze} mego dziadka, pułkownika Szymona-Stefana, udział w powstaniu ^{listopadowym} ~~listopadowym~~ Wśród tego leśnego ludu cieszyło się ^{niezwykle} powstanie pełnym zrozumieniem i poparciem, to też "partia" powstańcza, której przywódcą był ksiądz i patriota Brzóska, jeszcze prawie przez dwa lata po zgnieceniu powstania 1863 roku prowadziła na Litwie wojnę z caratem. W "partii" tej brał udział mój dziadek Mikołaj-Szymon Zubczewski, z zawodu lekarz, ^{stracony} w roku 1865 przez dowódcę oddziału karnego ścigającego rozbitków partii księdza Brzóska. Oddział rozbitków tej słynnej na Litwie, i w Polsce partii powstańczej, pozbawiony już był wówczas - prochu i amunicji, składał się z "ludzi-cieni", głodnych, chorych i wycieńczonych, dla których życie nie przedstawiało już ^{większej} wartości, a którzy woleli jednak śmierć niż niewolę. Ostatnie słowa, które usłyszał dowódca "partii", ksiądz-patriota Brzóska, były słowami dowódcy oddziału ^{wybrał się i} ścigającego uparcie powstańców, który powiedział: "Ty Brzóska no to i zawiśniesz na Brzozie" - jako bowiem duchowny, a nie stanu wojskowego, ksiądz Brzóska nie podlegał rozstrzelaniu. Unicestwienie tej "partii" było spełnieniem rozkazu cara Mikołaja, który obawiając się by w Polsce ^{i Litwie} znowu nie chwycono za broń, wydał rozkaz bezwzględnego i ostrego skończenia z rebelią.

Pamięć o tym wiernym synu Kościoła i kraju, wywodzącym się z ludu i oddanym służbie dla ludu, który swoje młode jeszcze życie oddał dla dobra ludu polskiego, przetrwała do dziś i żyć będzie w wiecznej pamięci odrodzonego kraju i narodu. Oddają te uczucia najlepiej wiersze uczestnika powstania listopadowego Wincentego

J. Duf -

Pola, a wśród nich przede wszystkim ten:

" Leci liście z drzewa co wyrosło wolne ,
z nad mogiły śpiewa jakieś ptasze polne.

Nie było nie było, Polsko, dobra Tobie !

Wszystko się prześniło, a Tve dzieci w grobie.

Popalone sioła , rozwalone miasta,

■ w polu dokoła zawodzi niewiasta.

Wszyscy poszli z domu, wzięli z sobą kosy,

robić nie ma komu, w polu giną kłosa.

Współczesny Polowi powieściopisarz Kaczkowski tak pisał o tej poezji: " ... to pieśni, które nie mają równych ani w naszej ani w żadnej innej literaturze, które kraj nasz umiał na pamięć, a które, czego sam byłem świadkiem, śpiewano zarówno we dworach szlacheckich, w rzemieślniczych warsztatach miejskich, i w chatach włościańskich, postawiły Pola odrazu na piedestale tak wysokim, na jakim nie stał żaden z naszych poetów". Miał prawo Kaczkowski wyrazić takie swoje zdanie , przytaczając też do dziś jeszcze powtarzane słowa Pola :

" A czy znasz ty, bracie młody, Twoją ziemię, twoje wody ?

Z czego płyną, kędy giną, w jakim kraju i dunaju ?

A czy znasz ty, bracie młody, twojej ziemi bujne płody?

Pola bitew, ojców groby, i pomniki starej doby ?

Poznaj, pókiś jeszcze młody , co kochane było wprzód,

By twe serce krwią dziedziczną kochać mogło ziemię śliczną".

Wincenty Pol, urodzony w Lublinie, podchorąży Dziesiątego Pułku Ułanów w dywizji generała Chłapowskiego, po upadku powstania listopadowego członek Sztabu Gwardii Narodowej w okresie Wiosny Ludów - zasłużył się dobrze Ojczyźnie i pamięci potomnych.

Wracając do wysoce patriotycznego i obywatelskiego czynu uwłaszczeniowego rodziny Sołłohub - Zubczewskich należy wspomnieć, że niejaki Tadeusz Grabianka , szlachcic , wyzwolił również swoich chłopów z poddaństwa, i obdzielił ich ziemią słusznie mniemając, iż tylko tą drogą uzyska ich pomoc dla kraju w walce zbrojnej o niepodległość. Były to , niestety, pojedyncze i sporadyczne wypadki, i tak jak jedna jaskółka nie czyni wiosny , tak te niezwykle w tych czasach posunięcia , nie znalazły naśladowców na większą skalę - co mogło się stać jedyną słuszną drogą do wiodącą do niezawisłości i niepodległości Polski i Litwy, czyli odtworzenia Unii z czasów Jagiełły. Droga ta prowadziła do przełamania konserwatywnego stosunku do chłopstwa poddanego i do pozyskania go dla walki zbrojnej o byt i niepodległość *Kraju*

S. Zuj -

Prawdziwość i zbawienność tej idei potwierdziły niezbitcie wypadki powstania styczniowego z 1863 roku. Zagłębiając się nieco w przebieg tego powstania trzeba tu przypomnieć, iż kiedy generał Chłopicki, obwołany dyktatorem, postanowił pozbyć się Gwardii Narodowej i wszczął stanowcze kroki zmierzające do jej pełnej likwidacji, zaczął od odwołania prof. Szrame ze stanowiska dowódcy Gwardii Narodowej i powołania na to stanowisko oddanego sobie zaufanego oficera zawodowego. To posunięcie dyktatora wywołało otwarty bunt Gwardii, co, między innymi, przyczyniło się i chyba zmusiło gen. Chłopickiego, do rezygnacji z dyktatury. Jeszcze dalej posunął się były bohater legionów Dąbrowskiego gen. Zajączek. Będąc namiestnikiem generał ten płaścił się przed Wielkim Księciem Konstantynem, ożenionym z piękną Polką Joanną Grudzińską. Generał Zajączek kierując akcją ścigania związków patriotycznych przykładał się osobiście do wyskich wyroków skazujących, wprowadził też surowy reżim tajnej policji, a szczególnie ostrej cenzury. Dyrektorem policji w tym czasie był generał Roźniecki, w przeszłości zasłużony oficer Księstwa Warszawskiego, ustanowił on system donosicielstwa i szpiegostwa, znany też był z brudnych spraw i afer szantażowych w stosunku do kupców i rzemieślników, terroryzując ich przez zaufanych swych agentów, werbowanych głównie ze sfer przestępczych.

3/ Hrabia Aleksander Wielopolski widział jakie postępy poczyniła germanizacja w obu zaborach zachodnich Niemiec i Austrii, zagrażająca już pełnym wynarodowieniem tych zaborów. *wolności 4/* Pomimo to wierzył, że wspólne pochodzenie słowiańskie obu narodów, polskiego i rosyjskiego, przyczyni się z pewnością do wzajemnego ich politycznego zbliżenia się, a sojusz pomiędzy Polską i Rosją stworzy wielką potęgę słowiańską., do której będzie należał świat. Marzył i działał w kierunku wprowadzenia unii z Rosją jak za czasów Jagiełły Unii Polski z Litwą. Taką unię uważał za korzystną dla obu stron, a szczególnie dla Polski, która odrzuci nareszcie swoje niewolnicze stanowisko i postawę żebraczą, podłączą naród i poniżającą, prowadzącą do zjawisk tak okrutnych jak mordowanie polskiej szlachty rękami polskiego chłopca - jak to miało miejsce w Galicji. Wielopolski wskazywał jedyną rzekomo drogę oddania się pod opiekę "najszlachetniejszego z nieprzyjaciół" monarchy rosyjskiego, cara Mikołaja I-ego. Będąc jednak okrutnikiem i samolubem, odrzuca wszelkie współczucie dla rodaków, i jako namiestnik

1) Chłopicki, którygo widzenie chłopskiego i polskiego państwa. To jego postawa była powód do buntu i on, gdy był wielkim naradającym na niebezpieczeństwo niemieckie i polski Gwardii. Wskazywał na polski i rosyjski. W tym czasie...

P. Dm

posyła na szubienicę tak zwanych "belwederczyków", studentów i i podchorążych, młodzieńców w wieku lat 19, 20, 23 , a innych skazuje na dożywocie, Sybir i katorgę.

Między innymi zesłanie spotkało też mojego dziadka Mikołaja-Szymona Prawdzica-Sokłohub Zubczewskiego, będącego lekarzem wojskowym. Został on jednocześnie pozbawiony tytułów szlacheckich datujących się jeszcze z czasów Władysława Jagiełły, przy czym skonfiskowano jego majątki rodowe położone na Litwie, w Rosieniu i koło Trok. Samych lasów było tam na przeszło dwa i pół miliona rubli w srebrze wg ówczesnego szacunku.

Wprawdzie Mikołaj Szymon Zubczewski został objęty amnestią w roku 1872, przywrócono mu prawa szlacheckie, znacznie nawet rozszerzające uprawnienia magnatów i szlachty, lecz dóbr ziemskich amnestia ta nie przywracała. Co gorzej zabroniony mu był powrót do Litwy i Polski, a na miejsce stałego zamieszkania wyznaczono mu miasto Żytomierz , położone blisko Kijowa.

Od tego czasu ^{wodkiana} Zubczewskich zaprzestała używania tytułów rodowych potwierdzonych przez króla Jagiełłę , a na następne pokolenia Zubczewskich przeszło znane porzekadło : " cóż po tytule kiedy pustka w szkatule".

Będąc w Żytomierzu lekarzem pułkowym przyjaźnił się Mikołaj-Szymon Zubczewski z Tadeuszem Wieniawskim, ojcem znanego w kraju i zagranicą skrzypka i kompozytora Henryka Wieniawskiego i jego ^{brata} ~~brata~~ Józefa, również muzyka-pianisty, lecz ^{niez} mniej Henryk sławnego i znanego. Józef Wieniawski brał czynny udział w walce zbrojnej podczas powstania styczniowego , udało mu się jednak uniknąć zsyłki na Sybir i katorgi, gdyż zdążył zbiec na emigrację do Paryża. Po upływie lat uzyskał przebaczenie i darowanie winy - brat jego bowiem , Henryk, występując w pałacu cara Mikołaja , wywarł swą grą niepowtarzalne wrażenie na carze, uchodzącym za miłośnika sztuki i muzyki. Mikołaj obdarował skrzypka skrzypkami słynnego lutnika włoskiego Stradivariusa, które miały przepiękne brzmienie i wartość kilkudziesięciu tysięcy rubli w złocie, a oprócz tego wysłał Henryka na stypendium do Paryża celem odbycia studiów w klasie skrzypiec przy Konserwatorium muzyczny. Właśnie ten szczegół przysłużył się również do ~~de~~ darowania winy Józefowi Wieniawskiemu.

M/Hrabia Aleksander Wielopolski przez całe swoje długie życie żywił pogardę dla rewolucjonistów z Polski i Litwy, a jeszcze bardziej obawę przed spiskami prowadzącymi do powstań narodowych. Po nieudanym zamachu na niego, i powieszeniu uczestników tego zamachu - nie skończył bowiem namiestnik z przysługującego

J. Sulz-

ru w "kraju prywiślańskim" prawą łaski. Po zrzeczeniu się stanowiska wyemigrował Wielopolski za granicę, a później powrócił do swego majątku rodowego Chrobrze, gdzie zmarł jako osamotniony i pogardzony stary okrutnik. Wśród renegatów należy chyba jeszcze wymienić generała Rozłuckiego - kiedy podległe mu jednostki wojska rosyjskiego pochwyliły niedobitków ściganej partii partyzantów, wśród których znajdował się przyrodni brat Rozłuckiego, nie tylko palcem nie ruszył żeby go ratować, a odwrotnie, rozkazał rozstrzelać, jak i resztę pojmanych. Ten tragiczny epizod przejmująco opisał nasz wielki pisarz, socjalista Stefan Żeromski, w powieści "Uroda życia".

Grobową ciszą, posępną i złowieszcza zaległa kraj cały jak długi i szeroki. Niedawno jeszcze rozbrzmiewający pieśnią wolności, rozgwarem zgiełku bojowego i szczękiem tak często zwycięskiego oręża polskiego - teraz pogrążony w żałobie. Stutysięczna armia rosyjska wzięła polską ziemię w żelazne kleszcze, a życie narodowe znalazło się w zupełnej zależności ^{od} tego żołdaka a carskiego faworyta generała kniazia Iwana Paskiewicza oraz licznej zgrai czynowników, nienawidzących wszystkiego co polskie, lub ich pomocników, nieszczęśliwych renegatów-Polaków. Majątki tych rodów, które naraziły się władzy carskiej podczas drugiego powstania/ 1863/ zostały skonfiskowane na rzecz skarbu carskiej Rosji.

Pułkownik Szymon, Ignacy Sołłohub Zubczewski, do którego postaci i dziejów wracam po powyższych dygresjach malujących fragmenty tła dziejów ówczesnych, wyróżniał się wysokim wzrostem i silną budową ciała. Szeroki w ramionach, oprócz żelaznego zdrowia posiadał wrodzone zdolności ujmowania i jednania sobie ludzi. Przebywając stale w wyprawach i ekspedycjach wojskowych, nawykły do komenderowania i rozkazywania, w ciężkich warunkach marszu od etapu do etapu na zesłańczym szlaku, znajdował powszechny posłuch i posłuszeństwo towarzyszy broni i niedoli, posłuch płynący nie z musu lecz z własnej i nieprzymuszonej woli tych towarzyszy.

Łatwiej od innych znosił trud i niewygodę połowe życia zesłańczych kolumn, w miarę możliwości śpieszył z pomocą i dobrym słowem, krzepiąc towarzyszy broni na duchu i uracniając wolę przetrwania u osób załamanych psychicznie. Na jednym z postojów wymusił pułkownik Szymon starszego dowódcy konwoju polecenie zaopatrzenia osób nie posiadających obuwi w łapcie - chodaki plecione z łyka .

J. Suf -

Widząc zaś, że śmierć zbiera coraz obfitsze żniwa wśród pędzonych na Sybir skazańców wymuszała swoją stanowczą postawą od dowódcy i podległych jemu oficerów dłuższe postoje w stanicach, gdzie znajdowały się obozy przejściowe. Narażając się stale na szykany i obelgi ze strony niektórych konwojentów uzyskał pułkownik miano buntownika, ale celu swego dopięł, nastąpiła poprawa warunków uciążliwego marszu przez wprowadzenie zezwolenia na dłuższe przerwy wypoczynkowe. Goiły się rany w czasie tych przerw i dalsze przemarsze kolumn stawały się bardziej znośne, co uratowało niejedno życie ludzkie. Skazańcy odczuwając stałą opiekę człowieka dzielącego ich niedolę, poczuli się lepiej, nabrali otuchy i solidarniej znosili wszystkie niewygody i udręki, pomagając sobie nawzajem - słowo człowiek nawet w tych warunkach mogło jednak zabrzmieć szczególnie dumnie.

Pułkownik Szymon nie był sam w swym opiekunstwie nad zesłańcami, działał wraz z towarzyszami, wśród których byli przede wszystkim: lekarz Jerzy Szokalski, i ksiądz proboszcz z Owruca na Wołyniu, ~~Jerzy~~ Sierociński. Wkrótce też, niosąc pomoc i otuchę uciemiężonym rodakom osiągnęli wymienieni duchową władzę nad kolumną., w czym przodował ksiądz Sierociński, odprawiając ciche ale uroczyste msze, i odmawiając śpiewaną modlitwę "Boże coś Polskę" - mieli też zaufanie i posłuch prawie bezgraniczny.

Stanowczość i odwaga tej grupy robiła swoje, a komendant klnąc "po matuzknie" zmuszony był do rekwizowania dodatkowych kibitek kirgizkich - zdawał sobie bowiem sprawę, że żądania "buntownika" są słuszne i sprawiedliwe. Chorzy i ciężko ranni zesłańcy byli teraz rozlokowani na dodatkowych kibitkach, lepiej znosili przemarsz, a kolumny pieszych zwawiej poruszały się po drodze do następnego przystanku. Pomimo to wschodnie wiatry i mróz nadal dokuczały bardzo i życie w tych warunkach stawało się coraz trudniejsze. Okrutny los był jednak niemiłosierny, i na postojach przejściowych nierzadko z kibitek zdejmowane były zwłoki zmarłych od ran i z wycieńczenia zesłańców na wieczne osiedlenie w Sybirze i katorgę, skazanych w myśl sentencji doraźnych sądów wojskowych.

Podczas jednego z dłuższych postojów w stancy, pułkownikowi Szymonowi Zubczewskiemu nasunęła się myśl ucieczki po dotarciu do Omska i Nierczyńska. Planami swoimi i rozważaniami podzielił się pułkownik z doktorem Szokalskim i księdzem Sierocińskim, wiosną roku 1833 proponując jako czas możliwości ucieczki - narazie jednak były niespełnione marzenia, cudowny sen.

J. Duf -

Niemniej wspomniana grupa przywódców snuła nadal śmiałe plany ucieczki gdyż sama myśl o perspektywach odzyskania wolności oddziaływała mobilizująco na ich stan psychiczny, w myśl optymistycznego powiedzonka : "jakoś tam będzie".

Z nadejściem wiosny sama matka przyroda ulżyła nieco skazańcom, ciepłe wschodnie wiatry i słońce opaliły twarze, a rany szybciej zaczęły się goić. Nareszcie kolumna dotarła do celu swj drogi do Omska i Nierczyńska a inne kolumny do Irkucka i Krasnojarska.

T a j n e s t o w a r z y s z e n i e .

Omsk i Nierczyńsk w owych czasach stanowiły poważny ośrodek przemysłowy - tutaj właśnie znajdowały się kopalnie miedzi oraz huta wytwarzająca działa i moździerze na potrzeby rosyjskiego wojska, sprzęt wojenny znany z e znakomitego wykonania i siły ognia. Po osiedleniu się w Nierczyńsku i zapoznaniu się z panującymi tutaj warunkami życia i pracy, oraz po nawiązaniu kontaktów z zesłańcami przybyłymi tu wcześniejszymi transportami, zamieszkałymi w barakach należących do zakładów przemysłowych, barakach strzeżonych przez najemnych wartowników wojskowych, pierwotne plany ucieczki zostały zmienione. Po wspólnej naradzie przywódców różnych grup zesłańców zdecydowano założyć tajne stowarzyszenie, wtajemniczając w plany i zamiary wyższych oficerów powstańczych oraz byłych uczestników powstania grudniowego w Rosji z roku 1825, zwanych "dekabrystami", z rosjanami, byłym porucznikiem Teodorem Mielodinem i Saninem na czele. Program działania zakładał wciągnięcie do tajnego stowarzyszenia ludzi cieszących się pełnym zaufaniem. Rolę decydującą w nawiązaniu kontaktów z zesłańcami z roku 1825 miał spełnić znający dobrze swych towarzyszy Teodor Mielodin. Był on potomkiem starej rodziny szlacheckiej / dworiana / i bliskie mu były losy i ideały nie tylko dekabrystów, lecz także losy i narzeka uczestników powstania listopadowego w Polsce. Mielodin posiadał dobre przygotowanie wojskowe i jako były oficer zawodowy, zdegradowany do stopnia szeregowca wojska jego cesarskiej mości, znał panujące w tym wojsku stosunki i nastroje. Losy rosyjskich chłopów pańszczyźnianych również były mu bliskie, widział bowiem heznar trudów i ciężarów ludu pracującego oraz przepych życia i rozpustę szlachty, ziemiaństwa i "złotej młodzieży". Dręczył go szczególnie ciężki los zesłańców i robotników pańszczyźnianych pracujących w koszmarnych warunkach hut i kopalni w warunkach anty-sanitarnych, głodowych i bytowych powodujących dużą śmiertelność robotników.

J. Dąb

Znalazłszy oparcie nie tylko wśród zesłańców , lecz także u szerokich mas niewolniczo zatrudnionych w przemyśle, u ludzi którym po pracy nakładano na nogi kłody w celu zapobiegania ucieczkom i zamykano ich na noc w ciasnych i brudnych barakach, przewodnicy tajnego stowarzyszenia udoskonalili plany ucieczki, których pierwotnym założeniem była ucieczka do morza Białego , a następnie, po zbrojnym opanowaniu jakiegoś statku czy szkuny rybackiej , powrót do utęsknionego kraju, lub w innej wersji planów: drogą lądową do Chin , następnie do Norwegii i dalej przez Szwecję do Polski, do bliskich sercu rodzin, krenych i bliskich. Z biegiem czasu plany te uległy zasadniczym zmianom - na kolejnym posiedzeniu kierownictwa stowarzyszenia za cel główny postawiono ~~xx~~ już nie ucieczkę z niewoli, a oderwanie wschodniej Syberii od reszty imperium rosyjskiego drogą zorganizowania masowego zbrojnego powstania wszystkich uciśnionych, wyzyskiwanych i zniewolonych. Członkowie organizacji rozpoczęli wytrwałe wielokierunkowe przygotowania do rewolucji, która stała się teraz głównym celem stowarzyszenia. Założyciele tajnej organizacji boleśnie przeżywali niepowodzenie powstania listopadowego, a szczególnie utratę niepodległości ~~państwa~~ Państwo Polskie , losy którego zostały zaprzepaszczone głównie przez egoizm i bezmyślność magnatów i szlachty. Ludziom tych sfer bliższa była ich własna kieszeń niż dobro Ojczyzny, a w kraju rządziła pycha, flaszką i kielich, dukat i fałszywe ambicje, co udowodniał w swoim memoriale, skierowanym do cara Mikołaja, książę Paskiewicz , który po wybuchu powstania tak oceniał stosunki społeczne w Polsce : "-... powstanie upadnie, gdyż rozbije się o masy ludowe, które przejawiają więcej zaufania do rządu rosyjskiego niż do magnatów i szlachty". I była to smutna prawda.- szczególną nieufność do zbrojnych poczynań powstańczych wodzów okazywały masy chłopskie. Nawet wówczas gdy księża z ambon szerzyli wiadomości i odczytywali listy pasterskie w których papierz Grzegorz XVI ogłosił cara Mikołaja I wrogiem cywilizacji - masy chłopskie pozostawały nadal niufne i objętne , a powstanie przegrało przez egoizm magnatów , panów, szlachty i ziemiaństwa.

Tajna organizacja pracowała wytrwale - nasiona padały na podatny grunt, do stowarzyszenia licznie przyłączali się i wolni i niewolnicy. Trzon organizacji stanowili nadal ^{Polacy i Litwini} zesłańcy oraz robotnicy zatrudnieni w odlewni dział i młóźnie, kozacy, kirgizi i rosjanie, uczestnicy powstania grudniowego z roku 1825, którym przewodzili : Pestel, Murawiew-Apostoł, Rylejew, Dawydow

i inni przedstawiciele rodowej szlachty rosyjskiej, którzy po zgnieceniu powstania grudniowego skazani zostali wyrokiem doraźnego sądu wojskowego na karę śmierci przez powieszenie, jako przywódcy buntu. Pozostałą resztę uczestników powstania pozabawiono stopni oficerskich i zesłano na dożywocie w katorgach Sybiru - nic też więc dziwnego, że rosła w nich nienawiść do panujących satrapów, a z drugiej strony mocno zakorzeniała się nadzieja odzyskania wolności - i to właśnie powodowało liczne ich zgłoszenia do szeregów tajnego stowarzyszenia.

W celu zachowania jakanajdalej idącej ostrożności i konspiracji tylko nieliczni z członków stowarzyszenia znali jego faktycznych przywódców. Liczba sprzymierzców stowarzyszenia powiększała się bardzo szybko i oprócz Polaków sięgała dziesięciu tysięcy ludzi gotowych na wszystko, zdecydowanych i odważnych, dla których zabicie nożem człowieka nie stanowiło żadnego problemu, gdyż woleli śmierć niż dalszą niewolę i zakucie w kajdany. Organizacja stosowała system trójek członkowskich i bezwzględną karność.

Nad Nierczyńskiem, Omskiem i w innych dzielnicach przemyślowych zawisło ciemne niebo bez gwiazd i chmur, a nad całym imperium rosyjskim, spowitym mgłą ucisku i wyzysku, górował powszechnie bał szubienica i topów. Szczególnie okrutnie szalał terror w t.zw. "kraju prywiślańskim". W myśl doktryny inicjatorów rozbiorów Polski, cesarza Niemiec Fryderyka II Wielkiego, carycy Rosji Katarzyny Wielkiej i cesarzowej Austrii Marii-Teresy, terror ten stosowano bezwzględnie, władcy ci bowiem twierdzili, że dobry Polak - to martwy Polak. Szczególnym wyznawcą wcielania tej doktryny w życie był Fryderyk Wielki, który zgodnie ze swymi zasadami dokonał zaboru Śląska, Prus i wybrzeża Bałtyku. Fryderyk często powtarzał: "Jeśli Wam się podoba obcy kraj lub jego część, i posiadacie dostateczną przewagę wojskową, należy ten bezzwłocznie napaść i przyłączyć do swego państwa. Jak tylko tego dokonacie, zawsze znajdzie się dostateczna ilość prawników, którzy udowodnią, że Niemcy, czy inne państwo ościennie, posiadały wszystkie podstawy i prawo na zajęcie obcego terytorium i jego przyłączenie - w szczególności dotyczy to Niemiec potrzebujących przestrzeni życiowej. /Lebensraum/".

A w katorgach Sybiru upływały szare tygodnie, ciężkiej pracy w kopalniach i wytwórniach broni - ale mimo tej bezradnej atmosfery stale rosła liczba członków tajnego stowarzyszenia, przez werbunek powiększały się szeregi oddziałów /trójek/ złożonych z ludzi wolnych i niewolnych, Polaków i Rosjan,

S. Duf-

kirgizów, tatarów, kałmuków, mongołów oraz innych narodowości koczowniczych zamieszkujących stepy Kirgizji.

~~Garnizon wojskowy Omska~~

Garnizon wojskowy Omska składał się z kilku kompanii piechoty oraz pułku jazdy kozaków "jalickich". Arsenał w Omsku był słabo strzeżony i wydawało się że mógł być łatwo opanowany przez bojowników zrzeszonych w tajnej organizacji, przygotowanych na wszystko i zdecydowanych, którym przewodził Teodor Mielodin. Dowódca ten nawiązał kontakty z częścią garnizonu składającą się z byłych dekabrystów, i zlecił im zadanie ułatwienia opanowania twierdzy omskiej i arsenału, co w dużej mierze decydowało o powodzeniu powstania. Mielodin był w tej pracy pomocnikiem oddanym szczerze dowódcy całości akcji.

Na czele zamierzonego i przygotowującego się powstania stanął pułkownik Szymon Stefan Sołłohub-Zubczewski, jeden z głównych inicjatorów i organizatorów planu tego odważnego zamierzenia. W pierwszym rzędzie chodziło organizatorom o zdobycie uzbrojenia - w tym celu Mielodin wspólnie z Saninem usilnie pracowali nad pozyskaniem części członków załogi kompanii wartowniczej, w której pełnił służbę szeregowiec Sanin. Z biegiem czasu pozyskali oni wielu sympatyków w szeregach tej kompanii, ludzi ryzykantów gotowych na wszystko. Zdobycie dział, moździerzy i prochu, i opanowanie arsenału stało się już teraz najważniejszym zadaniem spiskowców i umożliwieniem rozpoczęcia akcji powstańczej.

Ksiądz Józef Sierociński jako duszpasterz, i doktor Jerzy Szokalski jako lekarz, korzystając ze względnej wolności poruszania się przy niesieniu pomocy chorym i umierającym, byli głównymi łącznikami i pośrednikami pomiędzy szeregowymi spiskowcami a rozkazodawcami. Byli oni również doradcami pułkownika Zubczewskiego w sprawach najważniejszych.

Organizacja była zbudowana w ten sposób, że poszczególne jej komórki / trójki/, na czele których stał przewodnik, na dany sygnał miały przystąpić do działania według uprzednio otrzymanych rozkazów. System trójek miał na celu zabezpieczenie na wypadek wykrycia spisku przez władze wojskowe. Nie zaniedbano oczywiście posunięć czysto taktycznej i strategicznej ^{natury} pracując między innymi, usilnie nad wykonaniem podziemnego tunelu prowadzącego do bramy znajdującej się w wierzy fortecy i mieszczącej wartownię. Podkop był prowadzony w opuszczonego fortu / paniętającego t.zw. Rebelię Pugaczowa/ co pozwalało na usuwanie ziemi w sposób niezauważalny dla wartowników i strażników.

S. Duf-

Tunel miał mieć około 30 m długości, a na jego końcu miał być umieszczony materiał wybuchowy, przy pomocy którego miano wysadzić w powietrze wieżę, a następnie zdobyć twierdzę. Wybuch miał nastąpić, celem uniknięcia zbędnych ofiar, podczas zmiany warty. Oromadzono prochy i przygotowywano lont aby dokonać wybuchu w oznaczonym terminie.

Tymczasem w kopalniach, wśród nieludzko traktowanych robotników często wybuchaly niszaki i zamieszki spowodowane złym traktowaniem i niedostatecznym wyżywieniem, t.zw bunty głodowe. Były one tłumione bez litości i skrupułów, przynosiło to jednak skutki wręcz odwrotne do planowanych ^{przez} carskich sługusów, a rozkazy władz zwierzchnich wciąż przynosiły żądania wykorzenienia zła z korzeniem. Jednakże wzmaganie represji i okrucieństwa stosowane przez cieniężycieli było tylko dolewaniem oliwy do ognia. W tym samym czasie w zagłębiu przemysłowym na Uralu również wybuchły strajki, o których wieści docierały do Omska i Nierczyńska. Wieści te powodowały w sztabie tajnego stowarzyszenia zwiększenie wysiłku w kierunku sabotażowania i opóźniania prac zleconych przez władze carskie. Wrogie nastroje stawały się powszechnie. Zaniepokojeni właściciele kopalń, hut i innych zakładów przemysłowych, jak hrabia Szuwałow, dwaj bracia hrabiowie Woronieccy, hrabia Jaguszyński, słynni Demidowie, zakłady których wyrabiały znane z dobrej jakości działa, moździerze, i inny sprzęt wojskowy, żądali od cara Mikołaja podjęcia stanowczych kroków, przy użyciu wojska, dla zgaszenia pożaru zanim się nie rozpowszechni na inne obiekty przemysłowe na terytorium Rosji. Pamiętano bowiem, o powstaniu kozaka dońskiego Emieliana Pugaczowa, które wstrząsnęło podstawami całego imperium. Zaniepokojony car wydał rozkaz wojsku: "strzelać kartaczami do buntowników!".

"Rozchodzić się i stawać do pracy!" - krzyczeli dowódcy oddziałów wojskowych ściągniętych w pośpiechu do tłumienia buntów na Uralu i w innych rejonach przemysłowych Rosji.

Przywódcy robotników wołali: "do pracy nie stawać" - odpowiedzią im były salwy karabinowe niosące śmierć i kalectwo w szeregi robotników. Tę krew przelaną zapamiętał caratowi lud pracujący po wszystkie czasy.

Wiosna roku 1933 były bardzo ciepła i w pełni barw. Szerokie stopy, tuż-tuż potantej stronie rzeki Irtysza, wabiły niepohamowane pragnienie wolności, z myślą o której zarysowywał się w wyobraźni powrót do kraju i rodzin - w skazańców, którzy ciężko przeżywali rozłąkę z krajem, tak upragnionym *J. Sm.*

i tak dalekim. Woń ciepłych wiatrów, przepojona była zapachem kwiatów polnych/tak bujnych w stepach kirgizkich, i przynoszona z za rzeki potęgowała jeszcze bardziej pragnienie odzyskania tak upragnionej wolności. Klucze żurawi ciągnących wysoko po niebie były też jej zwiastunami. W powietrzu zawisło poczucie niepokoju i wyczekiwania. Praca nad wykonaniem podkopu żwawo postępowała naprzód, jakoby wykazywały pomiary dokonywane zwykłym sznurem, a o prawidłowym kierunku podkopu świadczyły wskazówki busoli. Praca nad tunelem widocznie zbliżała się ku końcowi: zgromadzono już dostateczną ilość prochu i sporządzono na 31 metr. lont nasiąknięty siarką i prochem - uzbrojono też, w miarę posiadanych możliwości, grupy bojowe.

Bóg grzmotów, Emitai, jednak nie zagrział. W wigilię bowiem powstania traf zrządził, że dwaj Polacy, Knak i Gajewski, przez przypadek wykryli wąż do tunelu i przygotowania do eksplozji miny. Wiedzeni osobistą korzyścią natychmiast zgłosili się do komendanta twierdzy pułkownika de Grave, politycznego uchodźcy z Francji z czasów Republiki i Konsulatu, i złożyli mu meldunek o wykryciu tunelu i miny. Pułkownik de Grave, człowiek z natury despotyczny, rozkazał kozakom zakuć w dyby Knaka i Gajewskiego i przypiec ich gorącym żelazem. Zdrajcy, sami nie będąc członkami tajnej organizacji, nie wytrzymali tortur, załamali się fizycznie i psychicznie, i wskazali na przypuszczalnych głównych przywódców buntu, a mianowicie na pułkownika Szymona Zubczewskiego, byłego porucznika Teodora Mielodina, księdza Józefa Sierocińskiego i lekarza Jerzego Szokalskiego. W twierdzy natychmiast został ogłoszony alarm, unieszkodliwiono ładunek wybuchowy, a komendant rozkazał świątynię do twierdzy posiłków z okolicznych stanic i zarządził masowe aresztowania. Według rozkazów pułkownika de Grave chwytano na ślepo winnych i niewinnych, gdyż przestraszony francuz był tu bardzo stanowczy i działał szybko i sprawnie. Z pewnością paliła go też zawzięta niechęć do byłych sprzymierzeńców Republiki Francuskiej i jej byłego Pierwszego Konsula, późniejszego imperatora Francji, gdyż sam de Grave był markizem i rojalistą - postradawszy majątności i tytuły, zbiegł do carskiej Rosji i, będąc bez środków do życia, przyjął zaofiarowaną mu posadę gubernatora Omskiego. Sama myśl, że on mógł by, przez brak czujności, zawieść zaufanie jego cesarskiej mości, doprowadzała de Grave do furii. Biegał jak szalowiec po salach i korytarzach krzycząc na każdym kroku: " a zdrajcy ! - a szelmy ! a pludraki ! " . Bolało go niezmiernie

J. Anz

że stało się to pod jego rządami, tuż obok niego i że sam z tej przyczyny mógł postradać życie - zwłaszcza, że pozostawało mu zaledwie kilka ^{lat} miesięcy do ~~de~~ przejścia w stan spoczynku i otrzymania wysokiej emerytury, a z nią miły jego sercu powrót do Francji.

J. Inf -

zw stało się to pod jego rządami, tuż obok niego, i że sam z tej przyczyny mógł postrząść życie - zwłaszcza, że pozostawało mu zaledwie kilka miesięcy do przejścia w stan spoczynku i otrzymania wysokiej emerytury, a z nią miły jego sercu powrót do Francji.

W międzyczasie konne podjazdy kozaków obstawiły ośrodki przemysłowe, a inne podjazdy kozaków jeleckich penetrowały okolice i przeczesywały wąwozy, jary i wszystkie możliwe kryjówki stepowe i zatrzymywały każdego podejrzanego - wykryto bowiem kilka magazynów i kryjówek broni palnej, Lanc, kul i prochu, a także maczug wyrabianych z kości końskich i wielbłądzich umocowanych na długich kijach. Była to straszna broń przeciw wilkom, którą masowo używali doświadczeniu czabanowie, nierzadko w owych czasach używający jej przy napadach i rabunkach karawan kupieckich i wszelakich rozbojach.

W pierwszą noc aresztowano i osadzono w kazamatach twierdzy i ostrogu / więzienie w Omsku / przeszło 1000 osób, głównie Polaków, jako przywódców tajnego stowarzyszenia i rebelii.

Wśród aresztowanych nie zabrakło i rosjan z rozwiązanych jednostek powstania grudniowego, byli to przeważnie zdegradowani oficerowie niższych stopni, i żołnierze "wolnowyśliciele" stanowiący główny człon tajnego stowarzyszenia, przy pomocy których planowano opanować arsenał i twierdzę w Omsku.

Schwytany w koszarach Paweł Iwanowicz Sanin został zбитy i skopany do nieprzytomności, wrzucony do lochu i tam przykuty do ściany, gdzie sznury i wilgoć zwiększały jego niedolę.

Na rozkaz komendanta twierdzy został Sanin opatrzony przez lekarza pułkowego i położony na wiązce słomy, ~~XXXXX~~ przykrytej deską na której wniesiono go do lochu. Dzban z wodą i chleb były odtąd jego pożywieniem codziennym, wiadro służyło mu za kibel, a przytomność odzyskał po wylaniu na niego kubła zimnej wody.

Wkrótce została powołana rozkazem pułkownika de Grave specjalna Komisja i rozpoczęła ona pilnie badania schwytanych, segregując akty sprawy według stopnia przewinienia i szkodliwości działania badanych, przy czym odmawiających zeznań przypiekano rozpalonym żelazem.

Po sporządzeniu ściśle poufnego sprawozdania z przebiegu wydarzeń gubernator wysłał do Sankt-Petersburga specjalnego kuriera pośpiesznego, zaufanego oficera, któremu powierzył przekazanie dokładnej swej relacji wydarzeń carowi Mikołajowi.

Oczywiście markiz de Grave do niebios wychwalał w tej relacji swą czujność, stanowczość oraz szybkość odważnego działania przy zastosowaniu ostrych i bezwzględnych środków podjętych w celu stłumienia rebelii, której wybuch groził nieobliczalnymi konsekwencjami, a którą dzięki niemu i sztabowi oddanych mu, Rosji i carowi Mikołajowi, oficerów, stłumiono w zarodku. Sprawozdawca nie żałował przy tym barw jaknajjaskrawszych dla odmalowania grozy tego co mogłoby się stać w kraju Omskim, i jeśli by to spowodowało dalsze skutki w imperium rosyjskim, w którym jeszcze przecież wśród mas robotniczych i chłopskich nie całkiem wygasła pamięć o zuchwałych wyczynach Emieliana Pugaczowa którego pamięć ciągle jest żywa wśród wolnego ludu. W relacji gubernatora pułkownik Szymon Sołłohub-Zubczewski był wykazany jako założyciel i główny przywódca tajnego stowarzyszenia rebeliantów, szeroko rozrośniętego wśród mas zesłańców z "kraju nadwiślańskiego", wśród wolnych i niewolnych robotników, wśród byłych uczestników powstania grudniowego z roku 1925 w Rosji, wśród załóg kopalni miedzi, odlewni i fabryk broni. Podkreślając że stowarzyszeniowcy byli przeważnie ludźmi prostymi i szeregowymi, sprawozdawca z żalem zaznaczał, iż niestety wśród rebeliantów znalazło się i kilku oficerów, na czele z Teodorem Mielodinem, nie tylko przecież byłym poręcznikiem ale i szlachcicem, które to fakty szczególnie szkodliwymi czyniły jego aktywność w rebelii. Wyrażał tu de Grave przekonanie, że Mielodin i inni przywódcy, jeszcze nie schwytani, w razie ich ujęcia zasługują bezwzględnie na karę śmierci. Co do siebie to zaślepiony pychą z ważności stłumienia powstania w zarodku, oczekiwał de Grave rychłego awansu do stopnia generała i dużej nagrody pieniężnej. Jednakże głównym przywódcą tajnego stowarzyszenia udało się, w tę pierwszą noc masowych aresztowań, ukryć i zbiec. Stało się to, z dużą dozą odwagi i śmiałością decyzji, uczynić przy wykorzystaniu herbowego powozu kniazia Demidowa, właściciela kopalni miedzi i odlewni. Książ ten wywodził się z pospólstwa, a dorobił się majątków i zakładów przemysłowych drogą bezwzględnego wyzysku, okrucieństwa graniczącego z sadyzmem., zaś tytuł książęcy poprostu kupił w Nierczyńsku. W ucieczce tej lekarz Szokalski odgrywał rolę lekarza, ksiądz Sierpiński felczera, pułkownik Szymon Zubczewski lokaja, a Mielodin stangret. Wszyscy oni byli uzbrojeni w krucice, posiadali jeden garłach i spory zasób kul i prochu.

W siódmym dniu tej szaleńczo odważnej ucieczki porwanym powozem magnata przemysłowego, powozem którego herby na drzwiczkach wskazywały na "błagonadiożność" pasażerów, zostali jednak uciekinierzy wytropieni przez patrol kozaków jeleckich, i, pokrótce jeszcze pościgu otoczenia przez liczny, specjalnie nadesłany oddział kozaków, na przedpolu stacji Krasno-Prisnienskaja. Rozpoznanych poschwytniętym rozbrojono, zakuto w kajdany i tą samą kareta, pod silną strażą odstawiono do Omska, jako głównych ^{przywódców} buntu i rebelii przygotowanej przez tajne stowarzyszenie.

Sledztwo w Omsku było już w pełnym toku; schwytniętym przesłuchiwano dniem in nocą w kazamatach twierdzy, przesłuchiwanych wyjątkami byli specjalnie dobrani znani z tępoty i okrucieństwa, oficerowie; kat w masce, przysłany z Irkucka, stosowała ~~cały~~ w torturach cały bogaty arsenał środków, z przypiekaniem rozgrzany do białego żelaznymi prętami, jako środek zasadniczy. Ów specjalny kurier z pismami de Gravé, po zagnaniu kilku koni, dotarł do Sankt-Petersburga i natychmiast zameldował się w carskiej tajnej kancelarii, na czele której stał znany z despotyzmu i okrucieństwa, hrabia Beckendorf, z pochodzenia Niemiec. Kuriera wezwano ~~natychmiast~~ natychmiastowe posłuchanie celem uzyskania od niego dodatkowych informacji uzupełniających pisemną relację gubernatora de Gravé, oczekiwano bowiem szczegółów wydarzeń od ich naocznego świadka.

Wysłannik gubernatora, zaufany jego oficer, w sposób przekonujący stwierdził, że rewolucja miała duże szanse powodzenia, była przygotowana bardzo starannie i w ścisłej konspiracji przez ludzi wybitnych, doświadczonych i zdecydowanych, na których czele stał ^wzaodowy pułkownik wojsk polskich Szymon Sołkohub Zubczewski, a jego bezpośrednim pomocnikiem był również oficer zawodowy, Rosjanin, ze znanej w Rosji starej rodziny szlacheckiej, były "dekabrysta", Teodor Iwanowicz Mielodin. Według opinii komendanta de Gravé on był, jako najlepiej znający rosyjskie i sybirskie stosunki, głównym doradcą spiskowców i prawą ręką pułkownika Zubczewskiego. Mielodin był też głównym organizatorem akcji gromadzenia, przechowywania i konserwowania broni, amunicji i prochu zdobywanych z arsenału i różnych magazynów i pracowni różnymi drogami przez zaufanych spiskowców. Również Mielodin był autorem planu podkopu, planu tak znakomicie technicznie opracowanego że budziło to później zdumienie doświadczonych saperów, specjalistów od budowy fortyfikacji i fos, którzy byli zatrudnieni przy modernizacji twierdzy.

Szczególnie podziwiano system wentylacyjny tunelu , tak przemyślnie wmontowany w obudowę sufitu i ścian, że był całkowicie niezauważalny przez niewtajemniczonych, gdyż wietrzniki te były wniami drzew wydrążonymi wewnątrz , podobnymi do rur odwadniających , i przeprowadzone były do tego samego rowu otaczającego fort co rury odwadniające , i uważane właśnie za nie. Wykryta mina składała się z trzech beczek prochu dymnego, po 120 funtów wagi każda, co dawało siłę wybuchu wystarczającą na wysadzenie bramy głównej twierdzy i pomieszczenia dla części załogi , t.zw. "kordegardę" znajdującą się w wieży, przy której, na wałach w "aproszach" / koszach z ziemią/ stały działa i jaszczce z amunicją. Wybuch ładunku w podkopie automatycznie spowodowałby wybuch amunicji i prochu znajdującego się w specjalnych skrzyniach umieszczonych obok tych dział i moździerzy, skutkiem czego miały być nieuniknione straty w części załogi wartowniczej i części samej załogi twierdzy. Ładunek wybuchowy był uzbrojony w długi sznur przepojony prochem i siarką, którego koniec był wmontowany w miejscu czopu do napełniania beczek prochem, szybkość palenia się tego sznura-lontu była równa jednemu "arszynowi" / około 71 do 81 cm/ na sekundę , tak że cała akcja spowodowania wybuchu miała trwać tylko około pół minuty, a trzeba było do tego tylko skrzesania ognia krzesidłem i zapalenia huby - system taki był ówczesnie powszechnie używanym sposobem stosowanym przez palaczy tytoniu.

Stało się jednak inaczej. Ogień nie został skrzesany, lont nie zapłonął, mina nie wybuchła - i nie wybuchło niestety powstanie tak starannie przygotowane przez garstkę zapaleńców, powstanie, które mogło skończyć się oderwaniem Syberii wschodniej od Imperium Rosyjskiego, zachwiać podstawami "łaskawie panującego" domu Romanowych i osiągnąć to, co nie udało się też "lichodziejowi i złodziejowi" Emilianowi Pugaczowi, tak przecież niedawno.

Wysłannik de Gravé, a uważał taką możliwość oderwania części Syberii za w pełni realną, biorąc bowiem pod uwagę że liczba stowarzyszonych rebeliantów, ludzi gotowych na wszystko i przygożowanych do walki, wynosiła ponad 10.000 stwarzało to poważne niebezpieczeństwo.

Po wnikliwym przesłuchaniu wysłannika, i nagrodzeniu go kwotą pieniężną i stopniem porucznika, hrabia Beckendorf wyprawił go niezwłocznie do Omska zaopatrując szczególną instrukcję dalszego postępowania.

Posiadając teraz dokładne wiadomości o zamierzonej rebelii i jej stłumieniu hrabia Beckendorf udał się osobiście do cara Mikołaja z meldunkiem o wydarzeniach syberyjskich - i rezultatem tej wizyty było powołanie "Główniej Specjalnej Komisji do spraw politycznych i państwowych przestępców", która miała podlegać "generałowi en-chef" hrabiemu Beckendorfowi, który pośpiesznie wydelegował do Omska, ekstra-pocztą kurierską, senatora kniazia Szczerbatowa.

Trzeba tu nadmienić, dla całkowitego zrozumienia ówczesnych stosunków społecznych, że wielka ilość byłych wojskowych, członków tajnego stowarzyszenia i uczestników wydarzeń w roku 1825 na Placu Senatorskim w Sankt-Petersburgu, była zobowiązana do 25-letniej służby wojskowej odbywanej w warunkach ostrego rygoru, co pojmowane było jako obowiązek patriotyczny, ale było również uważane za karę. W owych latach nawet drobne objawy nieposłuszeństwa i zuchwalstwa wobec "dziedzica", właściciela czy dzierżawcy, były uważane za przestępstwo, a objawy te niejednokrotnie powodowały były jaskrawym znieważaniem godności ludzkiej. Tej godności ludzkiej swych poddanych ówczesni właściciele "dusz" nie odczuwali, nie uznawali ani nie rozumieli - toteż objawów jej nie tolerowali, likwidując ją oddaniem "w rekruty". Nic dziwnego że taki stosunek szlachty i "pomieszczyków" do "dusz", którymi można było handlować, rodził u tych poddanych sprzeciw i bunt. Gehenna marszu na Sybir i katorgę szczególnie powypadkach 1825 roku stała się masowa. Nie tylko polacy, ale i liczni rosjanie, rusini, białorusini, przecierali teraz ~~szlak~~ przez wiele lat szlak Sw. Włodzimierza wiodący na Sybir i katorgę. Cała ta desstrukcyjna robota nowożytnych mongołów zaciążyła szczególnie na losach braci bezdomnej, bezrolnej, ludu koczowniczego, kirgizów, kałmyków, kazachów, tatarów i mongołów, którzy licznie garnęli się do tajnych stowarzyszeń otwierających przed nimi jakieś perspektywy sprawiedliwości i poprawy losu.

Zorganizowane w Sankt-Petersburgu w tak poważnych rozmiarach śledztwo w sprawie przewodników tajnego stowarzyszenia i powstania ciągnęło się w nieskończoność - bez liku pędzili do Sankt-Petersburga i z powrotem kurierzy nie szczczędzający koni poczty pośpiesznej, nie dający wytchnienia ani sobie ani zapędzonym zaprzęgom i wierzchowcom, ani eskortującym kozakom jeleckim; zaprawionym przeciw do konnej jazdy od najmłodszych lat dzieciństwa, a czas podróży w jedną stronę trwał w tych warunkach kilka miesięcy.

Przywódcy powstania zostali uwięzieni w bastionie twierdzy W Omsku, w pojedynczych celach o powierzchni sześć kroków długości na trzy-cztery szerokości. Cele były wilgotne, ściany ~~ich~~ ich pokryte grzybem i pleśnią, nawpół ciemne gdyż okienka umieszczone u góry oprócz grubych krat miały jeszcze do połowy pokrycie z blachy miedzianej. Sufit dławiał swym ciężkim sklepieniem, a powietrze wstrętne, przepojone wilgocią i wyziewami z "przaszy" - kibla stojącego w kącie u drzwi celi. Na umeblowanie celi składał się tapczan z drzewa, przymocowany do podłogi i ściany nieruchomo, i dzbanek z wodą. Cele zamykały drzwi ciężkie, jednoskrzydłowe, obite blachą i zaopatrzone w otwór wychodzący na korytarz, którym wyprowadzano więźniów pod eskortą na przesłuchania ^{pojedynczo} na półgodzinne przechadzki po specjalnie odosobnionym dziedzińcu. A do tego poczucie że się jest w ręku hrabiego Beckendorfa, Niemca, odwiecznego wroga polskości. Skazani na odosobnienie i samotność dającą możliwość skupienia myśli i pogrążenia się w modlitwie, która przynosiła ulgę i uspokojenie, tak więźniom pożądane.

Pożywienie jednostajne: chleb żytni i woda rano i wieczorem, na obiad zupa jaglana lub pęczakowa z ochłapani mięsa, gotowana na kościach baranich. Ta jednostajność pożywienia stawała się powodem częstych zachorowań na skorbut, a widok zastygłego tłuczczu baraniego wywoływał wstręt i obrzydzenie. W tych warunkach więźniowie gnili żywcem pogrzebani w kamiennych celach twierdzy Omskiej.

Wszyscy inni aresztowani uwięzieni byli w tak zwanych ziemiankach, gdzie mieściło się ich po paręset osób. Stanowili oni w takiej ziemiance zbiorowisko ludzi, którzy osobiście nie znali się wzajemnie - ten takiemu zgromadzeniu nadawali Polacy, świadomi podjętych obowiązków, zamierzanych celów i potrzeby zjednoczenia wokół przewodników, stanowiących trzon stowarzyszenia. Polacy ci pojmowali i tłumaczyli, że siła nasza z życiodajnych wywodzi się źródła, z pracy rąk mas ludowych i z rzeczywistej przyjaźni z ludem Rosji, cierpiącym niedolę ucisk i katorgę tuż obok Polaków i Litwinów. Polaków w ziemiankach bolało niezmiernie, że zawiedli, okazane im jako narodowości walczącej o lepszy świat, zaufanie przez zdradę dwóch niegodziwców z kraju ojczystego, przez zdradę właśnie wtedy kiedy byli pewni powodzenia swej wielkiej sprawy i widzieli już jutrzeńkę wolności i swobody.

Co dzień brano do sądu doraźnego kilkudziesięciu ludzi i po przesłuchaniu skazywano ich na różgi lub spiczuty i wysyłkę na dożywotnie ciężkie roboty do kraju Turuchańskiego. Kraj ten był jeszcze bardziej dziki niż ziemie Omskie i klimat miał znacznie surowszy, to też skazani wymierali tam masowo z głodu i chorób oraz spotęgowanej tęsknoty za krajem. Sprawy uczestników mniej winnych - zaliczanych do trzeciej kategorii stowarzyszonych - były rozpatrywane zaocznie i kończyły się wyrokiem 500, 1000 oraz 1500 różg i również skazaniem na dożywocie.

Wiosną 1835 roku śledztwo zostało zakończone, a dochodzenie zamknięte - stowarzyszeni mieli stanąć teraz przed specjalnym wojskowym sądem doraźnym. W czasie dochodzeń śledczych podzielono ich na 3 kategorie! Do pierwszej zaliczono pięciu głównych przywódców tajnego stowarzyszenia; pułkownika Szymona Sołłohub-Zubczewskiego, organizatora i prowodyra tajnego stowarzyszenia, "zaczinszczyka", księdza Józefa Sierocińskiego i doktora Jerzego Szokalskiego - Polaków, bezpośrednich pomocników pułkownika i przedowników stowarzyszenia, oraz dwóch Rosjan: byłego porucznika Teodora Mielodina i Pawła Iwanowicza Sanina.

Tych pięć osób uznano w śledztwie za szczególnie niebezpiecznych organizatorów i przywódców tajnego stowarzyszenia, za organizatorów politycznych i wojskowych, których działalność wymierzona była przeciw odwiecznie ustanowionemu porządkowi społecznemu i "pomazańcowi Bożemu" Carowi Wszechrosji, zwierzchnikowi Kościoła Prawosławnego, Mikołajowi I-emu; działalność ich godziła w same podstawy Imperium Rosyjskiego - a była tym więcej zbrodnicza, że ludzie ci, przywódcy rewolucji i zamierzonego powstania, wywodzili się z klasy szlachecko urodzonych, a nie z pospólstwa - a dla takich ludzi nie mogło być przebaczenia czy łaski ze strony dworu panującego. Topór i szubienica były w tych czasach powszechnie stosowane jako środki odstraszające od podobnych przestępstw nie tylko dla pospólstwa, ale i dla szlachty i bojarów rosyjskich. Car Mikołaj dobrze pamiętał godziny grozy, które przeżył podczas trwania wypadków grudniowych, pamiętał, że w ostatnich chwilach przeżywanej wtedy rozterki i strachu o swoje życie, uratował swą głowę i tron wyłącznie z braku decydującego działania "wolnomyślicieli". Dekabryści wtedy przez siedem godzin, przy silnym mrozie i wietrze, trzymali pod

bronieją na Placu Senatorskim w Petersburgu ~~osiem~~ tysięcy żołnierzy, wyprowadzonych z koszar przez swych dowódców i należących do spisku. Car Mikołaj, usłyszawszy wtedy kroki na korytarzu otoczonego płacem, wychylił głowę i zobaczywszy "korneta" / młodsze stopniem oficera-podchraźego/ z Preobrażeńskie pułku, odezwał się do niego w te słowa: "... mianuję cię swoim Fligiel-Kapitanem!...rozkazuję ci natychmiast udać się do szefa artylerii, wytoczyć działa i wystrzelać kartaczami buntowników!". Kornet Izłomkin sam należał do grona spiskawców, lecz mimo ^{to} zwyciężyła w nim w tej chwili prywatna, widoki na osobistą karierę, więc, nie bacząc na los stojących na placu, w szeregach żołnierzy i oficerów pułku Preobrażeńskie / przybocznego pułku gwardyjskiego cara/, nie bacząc na więzy z dekabrystami i poczucie honoru, kornet Izłomkin zasalutował "po efrejtorsku" /odstawiając prawą rękę trzymającą naładowany karabin na prawo, na całą długość ręki-podczas gdy kolbę karabinu przystawiała do prawej stopy", i zawołał: "Tak jest, ~~waszemu~~ Wasze Wieliczesstwo!- rozkaz będzie wykonany choćbym postradał własne życie!". Niegodziwiec i zdrajcę, rzeczywiście wykonał carski rozkaz zdecydowanie i szybko, zmuszając szefa artylerii, pod grozą pistoletu, do wytoczenia dział kilku baterii i otworzenia, bez uprzedzenia, ognia do szeregów powstańczych i żołnierskich. Kartacze wystrzelone z bliskiej odległości szerzyły śmierć i panikę w zwartych szeregach i kolumnach pułku gwardii carskiej i dokumentowały upadek powstania 1825 roku. Padło na placu przeszło 600 zabitych i 1289 lżej i ciężiej rannych. Całą noc zwożono ciała wojskowymi platformami o konnym zaprzęgu i wrzucano do kanału mającego ujście do rzeki Newy - spływały poza to razem z krą ciała zabitych i żywych, bowiem rannych także traktowano jak zabitych - przez całą noc znywano z pruku placu Senatorskiego krew zabitych i rannych. Tak jeszcze raz zwyciężyła nikczemność i zdrada zbierając obfite żniwo śmierci wśród uczestników powstania 1825 r. Na Sylwestra 1825 roku plac Senatorski przyjął już swój normalny wygląd, a kolumny żołnierzy, którzy z masakry uszli z życiem, pędzono, skutych kajdanami, pod silną eskortą kozaków dońskich i jeleckich na Sybir i katorgę.

niejaki Fieodor Lwowicz Tucholko, pułkownik żandarmerii wyrefinowany dręczyciel Polaków.

Wreszcie, po "naturalnym" wyniszczeniu wielu więźniów, pozostałych przeniesiono z ziemianek, już po ukończeniu dochodzeń, do bastionu w twierdzy omskiej, który to bastion był już "zamieszkały" przez około 1000 więźniów. W niedalekiej wieży północnej znajdował się odwach, kamera oficerów i więzienie celkowe, na pobyt czasowy przy obostrzonym regulaminie, dla więźniów zbuntowanych przez przedowników tajnego stowarzyszenia. Więzienia te nie opróżniały się w okresach lat 1830-31, 1833-39, 1846-63, gdyż zapełniane były przez władze rosyjskie dla usprawiedliwienia samowoli przy wykorzystywaniu nieprawym swoich prerogatyw służbowych i przeróżnych dochodów pieniężnych. Stan taki był istotną plagą dla narodu polskiego i litewskiego w dobie porozbuicowej, a sądy wojenne stawały się już prawie tak normalną instytucją jak sądy cywilne, zaś sędziowie wojskowi używali szyderstw i wyniosłego tonu jako wzoru "właściwego tonu" w postępowaniu wobec "buntowników" z Polski i Litwy. Oczywiście ten ton stosowali i władcy życia i śmierci w Omsku. Zdażyło się, że pułkownik de Grave, gubernator Omskiego obwodu, w towarzystwie członków Komisji specjalnej powołanej rozkazem generała en-chef, a Beckendorfa, zwiedzał cele bastionu, w których więziono przywódców tajnego stowarzyszenia. Po wejściu do pojedynczej celi zajmowanej przez pułkownika Zubczewskiego pułkownik de Grave wskazał na więźnia uwagę przewodniczącego Komisji Specjalnej senatora kniazia Włodzimierza Szczerbatowa - ten odezwał się do więźnia w te słowa: "A! to ty jesteś głównym buntownikiem, przywódcą rebelii!!!" ... Padła na te słowa odpowiedź pułkownika Szymona: "To ty nim jesteś - a ja jestem pułkownik Szymon Prawdzic Sołłohub-Zubczewski, żołnierz wolności i równości społecznej, katorżnik Jego Cesarskiej Mości!" - - Nańco Szczerbatow: "Nie szkodzi - my i takich wieszać potrafimy!".

Si non e vero... mówią włosi! Przebieg tego zdarzenia dotarł do rodziny z relacji naocznego świadka, lekarza więziennego, sprzyjającego doktorowi Szokalskiemu, który później uratował życie doktorowi Jerzemu. Nazwisko tego doktora, świadka zdarzenia, niestety nie zachowało się w mojej pamięci, a szkoda, bo był to człowiek szlachetny.

W czerwcu 1835 roku podsądni stanęli wreszcie przed doraźnym sądem wojskowym, przewodniczącym którego był wspomniany już senator książę Szerbatow, wyznaczony również na stanowisko szefa sądownictwa wojskowego w Irkucku, gdzie znajdowało się główne centrum władzy administracyjnej na wschodnią Syberię. Irkuck, położony nad Bajkałem, będącym największym w świecie zbiornikiem słodkiej wody, i to wody krystalicznie czystej, - jezioro otoczone pięknem niepowtarzalnym przyrodą surowej i dzikiej, obramowane górami pokrytymi lasem i niemal pionowo spadającymi ku lustru wody, przeczystej a jednak bardzo bogatej w ryby, zwłaszcza w łososia, osmula i inne łososiopochodne. Zesłańcy zobaczyli tu po raz pierwszy piękno Bajkału, wielkiego obszaru wód prawie nietkniętych ręką człowieka - zrobiło to na nich olbrzymie wrażenie uroku przyrody i majestatu jej twórcy. Bajkał, położony na wysokości 455 metrów nad poziomem morza, zbiera wody 330 rzek mających w nim ujście podczas gdy wypływa z niego jedna tylko, ale potężna, rzeka Angara. Temperatura spada tu zimą do 35 stopni, lecz Bajkał nie zamraża, tworzą się jedynie olbrzymie sople lodowe na wystęпах przybrzeżnych skał i ścinają się w powietrzu bryzgi rozhuśtanych fal jezira. Piękno Bajkału podziwiał również przez długich dziesięć lat, oprócz pułkownika Szymona, jeszcze jeden z Sołłohub-Zubczewskich - był to mój dziadek Mikołaj-Stefan, syn Szymona, Zubczewski, który jako lekarz wojskowy pułku podporządkowanego rządowi powstańczemu na Litwie, znalazł się tu w roku 1863. Nad Bajkał skierowywani byli w większości powstańcy z więzienia kowieńskiego, gdzie gubernatorem był Murawiew-Amurski, syn słynnego "wieszatki" z Wilna. Ci im podobni satrapi rosyjscy chętnie wykorzystywali energię i zdolności aresztowanych powstańców zsyłając ich nad Bajkał celem zagospodarowania surowych ale bogatych terenów wschodniej Syberii. Był tu, między innymi, i wyróżniał się swoją postawą Zenowicz, członek głośnego "spisku Pietraszewskiego", do którego należał też znany pisarz rosyjski Dostojewski, również zesłany w gronie swoich wybitnych a "nieprawomyślnych" rodaków. Dostojewski był nawet skazany na karę śmierci, lecz, pod naciskiem opinii publicznej został przez cara

ułaskawiony i skazany na Sybir i katorgę - przeżycia pisarze z tego okresu niewątpliwie wpłynęły na jakość jego twórczości literackiej, mającej i do dziś walory i aktualność humanizmu i znajomości duszy ludzkiej. Zdolności administracyjne i energia Zenowicza sprawiły że awansował on po pewnym czasie na naczelnika miasta Kiachty. Na tym stanowisku zapisał się chlubnie zesłaniec-naczelnik zezwoleniem na zorganizowanie, wyłącznie dla zesłańców politycznych, kantyny i szpitala. Szpital ten obsługiwany był przez lekarzy Polaków, wśród których był również i mój dziadek Mikołaj-Stefan, ten zaś był bratem Stefana -Szymona Prawdzic Sołłohub Zubczewskiego, a idąc dalej, ze związku małżeńskiego Stefana-Szymona z Małgorzatą Daszyńską urodził się w Dubnie na Wołyniu mój ojciec-Gezgiusz-Stefan Prawdzic Sołłohub-Zubczewski.

Rodzeni bracia mojej Babci, z domu Daszyńskiej, reprezentowali dwa jakżeodmienne odłamy ówczesnego działania politycznego. Starszy, Feliks Daszyński, urodzony w 1864 a zmarły w 1890 roku, reprezentował skrajną lewicę / la gauche extreme/ i z zawodu był publicystą - pisywał artykuły w "Przedwiośniu", "Walce klas", "Równości", był działaczem polskiej emigracji w Genewie, członkiem zagranicznej, socjalistycznej i rewolucyjnej organizacji "I- Proletariat", na czele której stał Ludwik Waryński. Feliks był współredaktorem Waryńskiego w wydawaniu pisma, Lewicowego tygodnika "Równość" i towarzyszem wielu akcji propagandowych "Proletariatu".

Feliks wywarł ze swej strony znaczny wpływ wychowawczy na swego młodszego brata Ignacego / ur.1886/, a szczególnie na wyrobienie światopoglądu Ignacego Daszyńskiego. Jednakże Ignacy Daszyński w ostatecznych swych poglądach reprezentował prawicę socjalizmu - nie uznając rozwarstwienia klasowego : " Polska jest jedna - naród jest jednością". Ignacy Daszyński był czołowym działaczem P.P.S.D. następnie P.P.S., w latach 1897-1918 posłem do parlamentu Austriackiego, premierem Rządu Lubelskiego z roku 1918, wicepremierem w r.1920. posłem na Sejm RP w okresie lat 1919-1935, marszałkiem Sejmu w latach 1928-1930, - upamiętnił burzliwe dzieje swego twórczego życia w książce p.t. "Pamiętniki, Sejm, Rząd, Król, Dyktator". Jedyna jego ukochana córeczka Wanda zginęła w powstaniu warszawskim w roku 1944,

a sam zasłużony dla socjalizmu, postępu i polskości polityk i mąż stanu zmarł w Krakowie i został pochowany na cmentarzu Rakowieckim - ostani list od niego otrzymała moja rodzina w roku 1935, na krótko przed śmiercią ojca mego Jezgiusza. *d.c. na odwrócić* →

Tak się już składała w tej kronice rodzinnej, że hasła: powstanie - Sybir - spisek - ofiarność i działalność patriotyczna - wywołują konsekwentnie we wspomnieniach nazwisko Sołłohub-Zubczewscy, ich krewni, powinowaci zaprzyjaźnieni - przed powrotem jednak do sprawy tematu zasadniczego, sprawy pułkownika Szymona, wspomnę jeszcze kilka nazwisk polskich działaczy społecznych i gospodarczych, którzy, podobnie jak wymieniany już Zenowicz, duże usługi oddali ludom wschodniej Syberii. Z wybitnych zesłańców tych lat chlubnie zapisali się w pamięci podobnych tacy jeszcze jak Konstanty Ciołkowski, Przewalski i wielu innych.

A więc, jak już wspominałem, 17 października roku 1835, punktualnie o godz. 10-ej, w obszernej sali rozpraw z wysokimi oknami i ciężkim umeblowaniem rozpoczęła się rozprawa przeciwko organizatorom i przewodnikom tajnego stowarzyszenia i tak szeroko zaplanowanego buntów. Już na godzinę przed rozpoczęciem rozprawy wszystkie krzesła były zajęte przez publiczność wpuszczaną na salę tylko za zaproszeniami gubernatorskiej kancelarii, okazywanymi żandarnom i kozakom stanowiącym wzmocniony kordon ochrony gmachu sądowego. Setki zaproszonych na rozprawę z niecierpliwością oczekiwali chwili jej rozpoczęcia, a oczy ich ciekawie błędziły po sali, po wysokim podium na którym stał wąski stół sędziwski, pokryty aksanitem, obsztyty złotą frędzlą, za którym stały krzesła sędziwskie, zaopatrzone na oparciu w dwugłowe czarne orły trzymające w szponach kulę symbolizującą glob ziemski z krzyżem, i insygnia cesarskie, ustalone od trzech już wieków panowania Domu Romanowych. Nie mniejsze zainteresowanie publiczności budziły też ciężkie ławy stojące za barierą, przeznaczone dla podsądnych. Na przeciw głównego wejścia na salę, nad krzesłami sędziwskimi wisiał portret Cara Mikołaja I w pełnej gali i całym wzroście, malowany farbami olejnymi i ujęty w złotą, ozdobioną ornamentami ramę. Wyżsi przedstawiciele wojska i administracji, właściciele i dyrektorzy kopalni, odlewni i fabryk broni wraz z żonami

Młodszemu Daszyńskiemu, Feliksowi, proletariackowemu
skazanemu na 10 lat katorgi, udało się w latach dziewięć-
dziesiątych zmylić czujność żandarmów i zbiec z etapu.
W otrzymanej od rodziny paczce znalazł buty z cholewami ,
a w obcasach tych butów ~~20 zł~~ ukryte 20 złotych dukatów -
/dziesięciorublowek/ i to pomogło mu w przedostaniu się
" przez zieloną granicę" do Szwajcarii., gdzie pozostawał
już do śmierci, pracując jako publicysta w dziennikach i
innych pismach emigracji polskiej w Bazylei.
Zmarł w roku 1890 i tam został pochowany.

zajęli pierwsze rzędy krzesel, nie brakło też w tych rzędach kapłanów obrządku wschodniego z archijerejem /biskupem/ na czele. Wszystkie przejścia i przyległy hall były szczelnie wypełnione publicznością, wśród której dużo było osób z administracji, palestry, sądownictwa. Na stole sędziowskim leżała Biblia oprawiona w skórę, bogato zdobiona srebrem i złotem, a obok obraz Chrystusa i palące się w srebrnych świecznikach woskowe świece. Świece te i obraz, przygotowane do złożenia przysięgi, przez winnych i świadczących, mruganiem swoim jak by mówiły: "Mówić prawdę, tylko prawdę i całą prawdę!".

W takiej właśnie scenerii, tu na tej sali, miał zabrzmieć ostatni akord bohaterskiego zrywu Nocy Listopadowej - miał zapasć wyrok ^{na} uczestników tego powstania, powtarzających jego próbę na ziemi syberyjskiej. Wyrok ten miał zapasć w otoczeniu wrogiego żołdactwa i nienawidzącej wszystko co polskie klasy panującej, klasy bezwzględnie stosującej w obronie swych przywilejów topór i szubienicę, klasy dla której życie ludzkie warte było jeden grosz - tyle bowiem kosztował w tych czasach jeden nabój do karabinu wojskowego. Punktualnie o godzinie 10-ej zuchowaty adiutant sądu specjalnego, wszedłszy na podium sędziowskie, dobitnym, silnym głosem zawołał: "Proszę wstać! Sąd idzie!". Trzech wojskowych w odświętnych paradnych mundurach lśniących od szamerowań, złotych akselbantów i pokrytych licznymi medalami, orderami, krzyżami i gwiazdami, o twarzach tępych, czerwonych, w perukach na głowach - zasiadło za stołem sędziowskim. Twarze ich tępe ale wypielęgnowane mówiły same za siebie - kto zaczął i kogo reprezentuje: Wysoki Sąd Łaskawie Panującego Cara Wszech-Rosji, Króla Polski, Wielkiego Księcia Finlandii, Kurlandji, Księstwa Litewskiego, Łotewskiego, Estońskiego, "wsiej bielej i małej rusi", et cetera- et cetera- et cetera... W głębi sali, w oddaleniu od sądu i publiczności, stały szeregi żołnierzy, z bronią nabitą kulami, gotowe do strzału. Na karabinach mieli bagnety, które odbijały stalowym połyskiem w mdłym świetle wpadającym przez okna tego pochmurnego dnia. Kiedy szeroko otworzyły się boczne drzwi zandarmi w żelaznych "kaskach" /chełrach/ i wyciągniętymi szabłami ^{or oltoni} opartymi na ramionach, wprowadzili, na rozkaz przewodniczącego sądu, podsądnych - wszyscy na sali znieruchomili. Wygląd "buntowaczyków i rebeliantów"

zadziwił zebraną publiczność szlachetnością postawy, spokojem i dumą wyrazu twarzy - po sali przeszedł szmer podziwu i jakby rozterki, przerwany jednak natychmiast przez przewodniczącego sądu Szczerbatowa i sędzącego obok niego hrabię de Grave, awansowanego już w międzyczasie do stopnia generała brygady - Trzecim członkiem sądu specjalnego był wysłannik gubernatora Irkucka, któremu podlegały obszary Wschodniej Syberii - był to generał żandarmerii Bibikow, znany z despotyzmu i sadyzmu. Nawiasem mówiąc, syn tego Bibikowa, również później generał żandarmerii, krwawymi zgłoskami zapisał się w pamięci powstańców z roku 1863 i ich rodzin, okrucieństwa jego bowiem przewyższały sadyzm jego Ojca, i Cytadela Warszawska w której dopuszczał się swych bestialstw, słynny była z nich. Ironia losu sprawiła że imieniem tego okrutnika nazwano ongiś jeden z najładniejszych skwerów pięknego miasta Kijowa, "Bibikowski Bulwar". Jest to dzisiaj jakby symboliczne podkreślenie brzydoty i nieludzkości czynów jakich dopuszczają się niejednokrotnie ludzie mocni i ważni. Kiedy, rozpoczynając przewód sądowy, komendant twierdzy de Grave wezwał "buntowników, politycznych przestępców i rebeliantów" do złożenia przysięgi na Ewangelię, wszyscy podsądni powstałi i zgodnie odmówili, z godnością podkreślając, iż jako żołnierze podbitego kraju złożyli przysięgę żołnierską i ślubowanie na wierność Ojczyźnie i tylko tej przysiędze byli i pozostaną wierni - a poza tym nie poczuwają się do żadnej winy wobec Kraju Ojczystego i Boga. "Patrzcie"-powiedziała półgłosem jakas dama w sobolach - "oni chcą, żeby ich uniewinnili!". "O! to nie jest wcale takie głupie!" -szepnął siedzący obok damy świeżo upieczony "arystokrata", świecący kupionym niedawno tytułem "kniaź" Demidow. Przewodniczący sądu wezwał zebranych do ciszy i spokoju, i rozkazał stojącemu obok adiutantowi odczytać akt oskarżenia podsądnych.

Napisany w suchym tonie, urzędowym i urzędniczym językiem, akt oskarżenia zwięźle i szczegółowo ^{wyliczał} załozenia i plany tajnego stowarzyszenia i spowodowane przez nie fakty i czyny, z naciskiem podkreślając, że tylko przypadek i czujność wpa^dadz wojskowych, oraz ich stanowczość i radykalne środki zapobiegawcze, udaremniły powtórzenie się okropności jakie spowodował bunt wielkiego Pugaczowa, prostego kozaka świętokradczo porywającego się na majestat Piotra III-go

męża łaskawie panującej Matki Wszechrosji, Carycy Katarzyny II giej.- zresztą Niemki z pochodzenia.

Akt oskarżenia specjalnie i tendencyjnie przypominał wydarzenia ówczesne, nie zatarte jeszcze w pamięci tych licznych, którzy wtedy uszli z życiem; przypomnieniem grozy tamtych wydarzeń i ewentualnych ich skutków akcentowano bowiem pewną analogię epoki pugaczowskiej z okresem i wydarzeniami zamierzonego powstania omskiego i szkodliwością sądanego tajnego stowarzyszenia i jego przywódców, ukazując perspektywy tego co stać się mogło w wypadku powodzenia rebelii, która przecież mogła zachwiać samymi podstawami Imperium Rosyjskiego. Nie mówiono tego zbyt wyraźnie, ale przecież w okresie prowadzenia dochodzeń i zbierania faktów zamierzonej rebelii, w szeregach nawet tak wiernych kozaków jak kozacy jaliccy panował niepokój, niebezpieczny niepokój, który był odczuwalny nie tylko w "priomskim kraju" ale i w rozległych stepach po tamtej stronie rzeki Irtysza.

Trzeba tu wyjaśnić nieco strukturę społeczną i polityczną ludów zamieszkałych na tych ziemiach - otóż Kirgizi, Kałmcy, Baszkirowie, Mongołowie i Tatarzy wypasali na tych stepach niezliczone tabuny dzikich koni, bydła, wielbłądów, a także owiec i kóz, a cała ta ogromna przestrzeń stepowa była kontrolowana przez narody koczownicze, głównie kozaków Jalickich, Po powstaniu pugaczowskim ziemie te uznane były przez władze carskie za podległa nadzorowi kozaków Jalickich, których "gródek Jalicki" nazwano Uralskiem, rzeki tych ziem Irgiz i Jałk przemianowano na rzekę Urał, i tak też nazywano odtąd całą tę ziemię Urał. Postawiło to kozaków, pierwszych zdobywców tych ziem i zwycięzców plemion tu zamieszkujących i koczujących, na stopie wojskowej. Zostali oni teraz podporządkowani władzy wojskowej, i rozkazom wydawanym przez Petersburg, lecz pomimo to że "atamani" kozacy byli wybierani przez ich ogół na zebraniach zwanych "kręgiem kozackim", nie chroniło to szeregowych kozaków od nadużyć dokonywanych przez tych właśnie "atamanów", nadużyć polegających głównie na przywłaszczaniu przez atamanów poborów wypłacanych kozakom przez Skarb Państwa., co, między innymi, powodowało rozłam w szeregach kozackich. Władze carskie pamiętały także fakt, że na obszarze zajęтым przez Pugaczowa, wojska kozackie zdradziły rząd carskiej

i przeszły na stronę Pugaczowa, który zorganizował z nich specjalny pułk "Dubowski". Ten początek spowodował długą reakcję łańcuchową, i różne jednostki kozackie coraz częściej zaczęły przechodzić na stronę Pugaczowa - tak więc w Kamy-szewie przeszło do niego przeszło sześćset ukraińskich kozaków, pod Saratowem pięćset Dońskich, przy zdobywaniu Dubowki, centrum kozactwa wołżańskiego, przeszło do powstańców 3000 uzbrojonych przez władze wojskowe kirgizów i sześćset kozaków wołżańskich, i tak dalej.

Po tych wyjaśnieniach specyfiki wojsk kozackich, a specjalnie jalickich - wracam do sali rozpraw w Omsku.

Po odczytaniu przez adiutanta aktu oskarżenia, przewodniczący książ Szczerbatow zarządził przerwę w rozprawie do dnia następnego, gdyż dalsze przesłuchiwanie podsądnych miało się odbywać przy drzwiach zamkniętych dla publiczności.

Na początku rozprawy następnego dnia, odywającej się już bez tłumu ciekawskich, przewodniczący sądu zawołał: "Oskarżony Szymon, Stefan Prawdzic Sołłohub-Zubczewski!"

Podsądny Zubczewski wstał - nie był bynajmniej z wyglądu i postawy podobny do aresztanta i ~~głupoty~~ - wysoki, dobrze zbudowany, świeżo ostrzyżony i ogolony, w starym alęczyńskim i schludnym mundurze wojskowym Wojska Polskiego, bez dystynksji i orderów, przemówił głosem przekonywującym i ujmującym, miękki, ale wyraźnym, słyszalnym we wszystkich zakątkach sali:

" Nie mogę nic powiedzieć o sobie, co nie jest związane z krajem, z którego pochodzę, i któremu składałem przysięgę na wierność i bezgraniczne posłuszeństwo. Nie uczyniłem nic co byłoby sprzeczne z honorami obowiązującym człowieka, wojskowego pochodzącego z kraju podbitego przez wrogie żołdactwo ~~tych~~ państw ościennych. Sądźcie nas jako politycznych i państwowych przestępców, jako buntowników i rebeliantów, banitów i złodziei - i osądzicie!. Ale my nie jesteśmy przestępcami! Jesteśmy tylko żołnierzami walczącymi o ludy Polski i Litwy, ludy związane przed wiekami Unią Lubelską, ludy podbite ale nieupharzmione! Jesteśmy żołnierzami i nikt nie zwolnił ^{nas} od przysięgi wojskowej złożonej w kraju ojczystym, w kraju któremu ofiarowaliśmy najwyższą ofiarę - swoje życie. Nikt z nas nie sshańbił honoru, nie złamał przysięgi złożonej przed Bogiem i sztandarami wojskowymi, bojowymi sztandarami Wojska Polskiego, które zawsze śpieszyło na ratunek chrześcijaństwa i kultury zachodniej - zawsze, od czasów

Wspaniałego naszego króla Jana III-go Sobieskiego !
W waszych rękach dzisiaj władza i siła - możecie nas osądzić i stracić , skazując na śmierć , ale zastraszyć nas i naszych rodaków przebywających w kraju , wam się nie uda - nie uda ! Nigdy ! !. Prawdą jest że kraj mój i ojców moich, jest podbity przez trzech najeźdźców, rozdarty i okupowany przez trzy zabory, ale prawdą jest ^{też} że naród nasz będzie nadal prowadzić walkę o swą wolność i niezależność państwową , że naród nasz nigdy nie przebaczy wam naszej śmierci! Ostatnie słowo należeć będzie nie do was, lecz do narodu, na glebach którego my zostaliśmy zrodzeni i wychowani i wykształceni - przyszłość będzie należeć do tego narodu. Pamiętajcie, że siejąc wiatr, zbierzecie burzę, a ostatnie słowo należeć będzie do historii i do narodów , do ludów Polski, Litwy, Rosji ! ! ! ".

Po wysłuchaniu z napięciem tego pełnego szczerości, odwagi i prawdziwie ludzkiej dumy przemówienia wszyscy na sali milczeli jak zakłęci - a senator-przewodniczący książę Szczerbatow zamknął ^{posiedzenie} na ten dzień posiedzenie sądu. Pod sądni, buntownicy i rebelianci, opuszczali salę z dumnie podniesionym głowami , niugięci i nieustraszeni. Proces trwał , z przerwami, do 28 października, a 29 rano jak błyskawica rozeszła się po mieście wieść, że wszystkich pięciu oskarżonych skazano na karę śmierci !. Topór i szubienica.

Odrazu po zakończeniu sądu przewieziono skazanych na śmierć do wojskowego więzienia i zamknięto w pojedynczych celach: " śmiertnikach".

Sentencja wyroku Specjalnego Doraźnego Sądu Wojskowego brzmiała jak następuje :

" Głównych organizatorów i sprawców tajnego stowarzyszenia i przywódców zamierzonej rewolucji /"Smuty i Buntu"/, a szczególnie niebezpiecznych przewodników i kierowników Sąd skazał na karę śmierci - z tym, że Polacy : Pułkownik Szymon, Stefan, Ignacy, Prawdzic-Sołohub-Zubczewski, ksiądz Józef Sierociński , były proboszcz parafii w Owróczu na Wołyniu , lekarz medycyny Jerzy Szokalski - przez powieszenie na szubienicy.

Rosjanie : były porucznik Teodor Mielodin, jako zdrajca Stanu i Ojczyzny, oraz niebezpieczny buntownik , na karę śmierci przez ścięcie głowy! Paweł Iwanowicz

Sanin, były podchorąży - na śmierć przez powieszenie na szubienicy. ".

Do wszystkich skazanych zastosowano więc wyrok hańbiący - topór i szubienicę, gwałcąc tym samym zwyczaj, że jako wojskowi podlegali rozstrzelaniu przez pluton egzekucyjny. Wszyscy skazani zostali też pozbawieni praw honorowych i obywatelskich. Ciała straconych miały^{pe} zostawać na szubienicach przez trzy dni - straconym na hańbę, ludowi na postrach. Po upływie tych trzech dni ciała ich miały zostać spalone na stosie razem z szafotem. Wyrok był ostateczny, prawomocny i nie podlegający rewizji - skazanym przysługiwało jedynie prawo odwołania się do łaski C cara Wszech Rosji Mikołaja I-go Romanowa.

Ferując te wyroki śmierci Specjalny Sąd Doraźny ściśle zastosował się do wytycznych udzielonych w tej sprawie Sądowi przez tajną kancelarię generała en-chef-a żandarmerii hrabiego Beckendorfa, wszechwładnego wtedy "wielmoży" - magnata, radcy dworu panującego - wytyczne przekazał sądowi senator książę Szczerbatow.

Po publicznym odczytaniu tego wyroku w sądzie, po sali sądowej przeszedł szmer aprobaty i ulgi - szmer wydany przez zgromadzonych na sali dostojników, którzy przecieź zdawali sobie sprawę, podobnie jak i cały skład sądu, że skazani to ~~przecieź~~ nie "buntownicy", nie "zdrajcy", lecz ludzie odważni, ofiarni, społecznie wyrobieni, którzy w Noc zrywu listopadowego poderwali się do walki z "maczugą w rękę", o nic innego jak o wolności społeczne dla ludu uciemiężonego i gnębnego, za nic innego jak "za Wolność naszą i waszą". Mówiła przecieź o tym sama ^{bez} postawa oskarżonych, którzy prosto i ograńdek, solidarnie powiedzieli sądowi o co chcieli walczyć i do czego dążyli. Lecz ci, którzy z taką ulgą i aprobatą przyjęli wyrok, ci z łaski wszechwładnego cara opływali w łaski i dobrodziejstwa, obsypywani urzędami, godnościami i majątkami, ci jak ognia ~~z~~ bali się rewolucji społecznej, bali się Polaków i nienawidzili naszego poczucia wolności i dążenia do niej, tępilli wszystko co pachniało polszczyzną - z nienawiścią i jedynym pragnieniem - "byleby nam było dobrze"...

Skazani przyjęli wyrok spokojnie. Lecz trudno wyrazić słowami wzruszenie, które przeżywali razem i każdy z osobna.

Bowiem hasła Bóg - Honor - Ojczyzna - Wolność, którym tak wierni byli przez całe swoje młode jeszcze życie, spędzone

w żołnierkach trudzie i w wilgotnych ciemnych lochach twierdzy, wszystkie bohaterstwa, nadzieje, zawody - wszystko zostało za nimi. Ojczyzna nie mogła nic już uczynić dla ich ratunku - sama leżała w gruzach i ruinach - pobojuwisk, rozdarta na kawały, udręczona - padli więc sobie wzajemnie w ramiona, znów złączeni po długim okresie odosobnienia, i płakali zmorzeni psychicznie tyłoma tak silnymi przeżyciami.

" Jeszcze Polska nie zginęła..." zawołał pierwszy, opanowawszy wzruszenie, pułkownik Zubczewski - "-- póki my żyjemy" - podchwycił doktor Szokalski! - "Amen!" - podsumował ksiądz Sierociński".

Przyglądający się tej scenie, stary, wysłużony, po 25-cio letniej służbie żołnierz rosyjski, doświadczony niedolą życia, dobrze wiedzący i rozumiejący gdzie prawda, otarł mimowolną, nieproszoną, ale jakże ludzką łzę.

Po osadzeniu skazanych w "ostrogu" wojskowym zmienił się dla nich tryb życia codziennego - pozostając w pojedynczych celach otrzymywali teraz wikt z kotła żołnierskiego, przeważnie gorące potrawy, barszcz rosyjski z kaszą jaglaną lub grecką, z mięsem i tłuszczem z mrożonej słoniny, mogli się wykąpać w parowej łaźni żołnierskiej, otrzymali też żołnierskie ubrania i czystą bieliznę oraz buty z cholewami. Prędko też zmienili się nie do poznania; dobry obfity wikt, regularne spacerowanie odbywane codziennie po więziennym podwórzu, czas ~~uważający~~ spędzany na rozmyśleniach o bliskich w kraju, i modlitwie - wszystko to zrobiło swoje: wkrótce odzyskali siły i poprawę nadwyżężonego zdrowia, poprawiali też swoje usposobienie, równowagę psychiczną i sprawność psychiczną. Władze, jak by z wyrafinowaniem, podkreślały tymi korzystnymi zmianami bytu skazańców, wartość, piękno i radość życia, które nieli wkrótce postradać. Jednakże z przysługującego im prawa łaski nie skorzystał żaden ze skazańców.

Dużo czasu w samotności poświęcali teraz na przypominanie szczegółów i okoliczności przygotowań do powstania, momentu zdrady, następnie śledztwa, tortur i poniżenia. Ubolewali ogromnie nad tym, że głupi przypadek i nikczemność roślaków zdrajców zaprzępaściły ostatnią, tak realną i bliską szansę odzyskania wolności, a doprowadziły na szubienicę.

E G Z E K U C J A .

=====

Rankiem dnia 17 października 1837 roku miała być dokonana egzekucja skazanych. Na placu przyległym do arsenału i twierdzy omskiej został zbudowany wysoki szafot z przestrzennym pomostem i szubienicą na nim. Stał tam też wielki pniak ze świeżo ściętego drzewa, a obok pniaka ustawiono duży kós wiklinowy wypełniony trocinami. Z szubienicy zwisała dobrze wysmarowana zwykłym mydłem linka z zawiązaną pętlą, a pod nią ustawiono stołek, który miał być usunięty nagłym kopnięciem z pod nóg ustawionego na nim skazaniec w chwili gdy mu już założono stryczek na szyję. Cały plac był otoczony wojskiem gotowym do strzału, które tworzyło jakby żywe ogrodzenie. Za to ogrodzenie, stojące jak mur, wpuszczane były tylko osoby z "wyższego naczalstwa" i wojskowi. Nieprzeliczony tłum ludzi stał za tym "carre" utworzonym przez wojsko, i, ^{wie} mieszcząc się już na placu straceń, tłum ten wypełniał ulice i zaułki przylegające do placu. Karny batalion, złożony z żołnierzy garnizonu, ustawiono w ten sposób iż tworzył on dwuszeręg ludzi stanowiący korytarz po którym mieli być prowadzeni skazani na chłostę Polacy. Za tym ludzkim korytarzem stały szeregi jazdy kozackiej uzbrojone w karabiny, szable i lance. Na placu od wczesnych godzin porannych było rojnie. Wszystkie możliwe miejsca zajęte były przez tłumy gapiów, dachy domów i kamienic obsadzone były przeważnie przez młodzież, która wykorzystywała również każdy wyższy płot. Byli to młodzi i dzieci z rodzin mieszczan i drobnych sklepiarzy z Omska i przyległych okolic zamieszkałych przez lud wolny i niewolny, lud żądny krwawych widowisk i wrażeń. Na szafocie stał kat, krępy i silny mężczyzna w masce, ubrahy w czerwony kaftan i tego samego koloru kołpak, który przykrywał głowę i długie kędzierzawe, czarne włosy, spadające na jego ramiona i z dradżające nierosyjskie pochodzenie kata. Rękawy czerwonego kaftana były podwinięte po łokcie, obnażając silnie zbudowane ręce o szerokich dłoniach i krótkich, grubych palcach. Oparty nogą ostojący pień stanowił obraz nie lada mistrza w swoim katowskim rzemiośle. Popisując się swoją postawą człowiek ten trzymał ~~na~~ ramionach katowski topór o zaokrąglonych końcach szerokiego, dobrze naostrzonego ostrza tego narzędzia śmierci. Sam mistrz i jego akcesoria wywierały na tłum niesamowite wrażenie - ten rodzaj kaźni był jeszcze w tym czasie pewną nowością w Rosji. Wprowadziła go

carowa Katarzyna II-ga jako jeden ze środków podniesienia swego prestiżu w Europie zachodniej, polecając stosować go powszechnie zamiast stosowanego do jej czasów "ćwiartowania", polegającego na ~~kolejnym~~ odcinaniu od ciała ofiary kolejno: rąk, nóg i głowy.

Kiedy, ku zadowoleniu wszechwładnej szlachty, ziemiaństwa i przemysłowców, przygotowania do egzekucji zostały ukończone i zgromadzone tłumy z niecierpliwością oczekiwały na widowisko, na szafot weszli jeszcze pomocnicy kata w maskach i czarnych kaftanach, wtedy rozległ się nagle nieoczekiwany strzał z działa fortecznego, szeroko otworzyła się brama "ostroga" fortecznego i, punktualnie o godzinie dziewiątej egzekucja się rozpoczęła.

Pod miarowy warkot werbli i bębnow, i równy krok kompanii żołnierzy trzymających w rękach gotowe do strzału karabiny, w sercach tłumu zaczęła narastać groza. Łoskot butów żołnierskich na wyłożonym "kocimi łbami" placu straceń, powaga wiodącego kompanię oficera i towarzyszących mu niższych stopniem oficerów dyżurujących oraz kapłana wyznania prawosławnego, trzymającego w złożonych dłoniach srebrny krzyż, wzmagaly tę grozę.

Za kompanią żołnierzy prowadzono skazanych rozebranych do koszul, z wyciągniętymi rękami mocno przywiązanymi do kolby karabinu z bagnietem, podtrzymywanego z obu stron przez żołnierzy z plutonu egzekucyjnego, Skazanych prowadzono jednego za drugim w odstępach jednego sążnia /około 2 metrów/.

Jako pierwszego prowadzono mego dziadka, pułkownika Szymona Zubczewskiego, za nim szedł ksiądz Sierociński i następnie Jerzy Szokalski.- czyli wszyscy główni przywódcy stowarzyszenia i rebelii. Za nimi ciągnięto trzy platformy załadowane różgami wiklinowymi.

Teodora Mielodina i Pawła Sanina wieziono w "rozłogach", rodzaju sanekno szerokich płozach, również rozebranych do koszul i skrępowanymi do tyłu rękami, a za każdym z nich stali z tyłu żandarmi w chełmach i z obnażonymi szablami w rękach. Za tym całym pochodem jechał w charakterze eskorty szwadron kozaków Jaleckich.

Wszyscy w tłumie patrzyli na skazanych nie odrywając wzroku, a cichy szmer jak fala łagodnego przypływu w morzu

tań w sobie niepokój i uśpione, do czasu, siły i wolę walki klasowej zebranych tłumów poddanych i uciskanych, ich budzącą się świadomość polityczną i ból serdeczny. W drodze do szafotu trzymali się dzielnie, zachowując spokój ducha i godność narodową, w czym pomagało im ciche odmawianie litanii.

W chwili dojścia skazańców do szafotu ustał raptownie grzmot bębnowy i zapadła cisza, cisza nie do zniesienia, zwiastująca ostatecznie chwile życia ludzi tak młodych i tak odważnych. Ta cisza i spokój ogarnęły również dusze skazanych - odmawianie modlitwy przyniosło ulgę ich nerwom, napiętym do ostatecznych granic wytrzymałości.

Szczególnie dzielnie trzymał się porucznik Melodin, którego razem z Saninem wprowadzono na szafot.

Melodin miał włosy ostrzyżone tak krótko / pod grzebień / by nie zasłaniały szyi - był w białej, czystej koszuli wpuszczonej po pas w spodnie. Żołnierskim krokiem podszedł do środka szafotu, i, starym rosyjskim zwyczajem, zrobił głęboki po pas ukłon na wszystkie cztery strony świata, kłaniając się tak żołnierzom i tłumowi otaczającemu szczelnie plac straceń, rodaków, którzy w tej chwili unikali jego wzroku. Młody jeszcze, i młodo wyglądający, choć z twarzą czerwoną od napięcia ale o szlachetnych rysach, twarzą typowo rosyjską rozjaśnioną szaro-niebieskimi oczami i wzrokiem przenikliwym, był powszechnie lubiany i poważany przez bractwo żołnierską i prostych ludzi.

Ostry, przerażający dźwięk fanfar przerwał ciszę i na podwyższeniu szafotu stanął dyżurujący przy egzekucji oficer, który głośno odczytał wyrok na skazanych, wydany przez specjalny sąd wojskowy.

Gdy przebrzmiały ostatecznie słowa wyroku do Melodina cichym krokiem zbliżył się kapelan wojskowy z krzyżem w ręku - Melodin jednak odmówił przyjęcia ostatecznego nanieżenia, z powagą i godnością, jednym tylko słowem - "Nie!".

Znowu raptownie zabrzmiały bębny i werble. Skazany podszedł do ustawionego pnia, uklęknął, i przed położeniem głowy na pień, zwrócił się do towarzyszącego mu w tych ostanich krokach kata, ze słowami: " ...proszę bracie! zrób to tylko szybko! jednym cięciem!" - następnie zwrócił głowę w stronę szeregów żołnierskich i doniosłym głosem krzyknął: " Ludu rosyjski! -oddaję swe młode życie za naszą i waszą wolność!" - i natychmiast złożył głowę na pień.

W tym momencie błkawicą błysnął w słońcu topór kata spadając na szyję skazanego, i tym jednym uderzeniem oddzielona od ciała głowa Melodina spadła do wiklinowego kosza z trocinami stojącego obok pnia. Natychmiast też została ta nieszczęsna głowa porwana z kosza rękami kata za włosy i podniesiona wysoko zawisła nad koszem, a strugi krwi spływały z niej jeszcze, a powieki oczu już zamkniętych drgały w ostatnim refleksie życia.

Widok był tak przerażający że tłum zamarł ze strachu i przerażenia, niektórzy pomdleli, wielu spadło z dachów i płotów okłajających plac straceń. Gluchy warkot werbli tłumiał szmer rozlagający się w szeregach żołnierskich.

W szybkim i sprawnym działaniu kat podszedł natychmiast do Sanina, ustawionego już uprzednio przez pomocników na stołku pod szubienicą, jednym ruchem zarzucił skazanemu na szyję stryczek i jednocześnie wprawnym kopnięciem wybił mu z pod nóg stołek. - szarpnięte ciało Sanina miękko obwisło ~~pod~~poprzeczką szubienicy.

Po dokonaniu aktu egzekucji nad Melodinem i Saninem przystąpiono do drugiego aktu egzekucji, tym razem do kary chłosty na skazanych Polakach. Batalion żołnierzy liczący 500 ludzi, stał już uformowany w dwuszereg tworzący korytarz; każdy żołnierz był zaopatrzony w pręt wiklinowy, pręty te były dobrze przez noc wymoczone w wodzie dla utrzymania ich giętkości, i wytrzymałości, zaś grubość prętów była taka, iż trzy pręty swobodnie wchodziły do lufy karabinu - spreparowane w ten sposób posiadały wielką trwałość, elastyczność i giętkość, a ich uderzenia musiały być bardzo bolesne i nie do zniesienia, gdyż przecinały skórę jak nóż.

Pierwszym wchodzącym w ten okrutny, bolesny korytarz chłosty był ^{pra}działdek mój, pułkownik Szynon Żubczewski, który jako główny organizator stowarzyszenia i rebelii, skazany był na dziesięć tysięcy uderzeń. Drugim był ksiądz Józef Sierociński, skazany na osiem tysięcy różg, i trzecim lekarz Jerzy Szokalski, który miał otrzymać sześć tysięcy różg.

Wyciągnięte ręce skazanego na chłostę przywiązane były do klby karabinu wojskowego z bagnetem, ten karabin zaś był z obu stron podtrzymywany za lufę przez dwóch żołnierzy, którzy marszowym, odbijanym w takt bijących werbli

krokiem prowadzili skazańca ~~przez~~ drogą kaźni. Obok skazanych w czasie egzekucji szedł lekarz miejscowego ostrogu wojskowego w Omsku, w towarzystwie dwóch sanitariuszy, powiększając w ten sposób tragiczny orszak męczeństwa Polaków.

Pułkownik Zubczewski, tak prowadzony, ruszył pierwszy, powoli, w takt bębnow i werbli, miarowym żołnierskim krokiem, lekko pochylony do przodu skutkiem unieruchomienia rąk, a na jego ramiona i ~~z przodu~~ plecy zaczęły padać, w rytm werbli, ciężkie, ostre uderzenia pętów wiklinowych. Dał się słyszeć charakterystyczny dźwięk sieczonego różgami powietrza, a pułkownik szedł pochylony, ustawicznie smagany przez rosłych, silnych mocno podpitych żołnierzy. Biała, wpuszczona w spodnie koszula żołnierska, prędko pokryła się plamami krwi, ~~która~~ która, po każdym przejściu korytarza męki, co raz obficiej przenikała przez koszulę. Wkrótce z koszuli pozostały tylko strzępy, które zwisały razem z płatami odciętej skóry. Krew coraz obficiej strugami plamiła śnieg właśnie świeżo spadły tej nocy.

Po otrzymaniu czterech tysięcy uderzeń skazany nie wytrzymał kary i, ~~wpadł~~ straciwszy przytomność, upadł głową do przodu i zawisł na rękach żołnierzy trzymających karabin do którego ~~dotychczas~~ był przywiązany - z ust spływała mu struga krwi i krwawej piany. Lekarz wojskowy zbadał pułkownika i urzędowo stwierdził jego zgon.

Nie wytrzymał okrutnej egzekucji i ksiądz Sierociński - padł, podobnie jak jego towarzysz i przyjaciel, ofiarą nieludzkiego traktowania ludzi odważnych przez carat. Doktor Jerzy Szokalski, przetrzymawszy połowę kary, to jest trzy tysiące uderzeń, uzyskał zezwolenie władz wojskowych na odbycie drugiej połowy kary w terminie późniejszym. Stało się to na wniosek towarzyszącego skazańcom lekarza wojskowego twierdzy. Lekarz ten, o nieznanym, jak już wspominałem, nazwisku, nie mógł wniosku takiego postawić w stosunku do wszystkich skazańców, uczynił to jednak dla kolegi pofachu, mając to na myśli już wtedy, gdy idąc obok smaganego Szokalskiego szeptał do żołnierzy bijących go: "mieście litość - jest słaby i nie przetrzyma".. Na wpół żywego doktora Szokalskiego sanitariusze złożyli na noszach wojskowych i pośpiesznie zanieśli do szpitala wojskowego na rekonwalescencję.

Po zakończonym tym epizodem akcie egzekucji zaczął padać, na odchodzące wojsko i władze, na rozpraszający się w ponurym milczeniu tłum i na skrawiony plac, co raz obfitszy śnieg, jak by sama natura chciała przykryć tym białym dywanem miejsce tak okrutnego, nieludzkiego mordu, dokonanego w wyrafinowany sposób przez cara Nikołaja i jego zufanych sługusów typu Beckendorfa, Bibikowa i innych.

Dokonawszy w ten "przykładowy" sposób ostatecznej rozprawy z przywódcami tajnego rewolucyjnego stowarzyszenia i uczestnikami powstania listopadowego, car nakazał dalej bezlitośnie tłumić i surowo karać powstańczy duch "czerni" oraz gasić najdrobniejsze płomyki oporu i nieprawomyślności, zagrażające zawsze wybuchem poważnej pożogi, które raz po raz ujawniały się na obszarze Wschodniej Syberii.

Dla ^{mu}dziadka mego, księdza Sierocińskiego i bohaterskich Rosjan Melodina i Sanina skończyło się wszystko na ziemi - została tylko wieczna po nich pamięć, wśród bliskich i dalszych krewnych i znajomych, towarzyszy i przyjaciół, wśród tysięcy tysięcy, którzy o tych ludziach wiedzieli, spotykali się z nimi, a nawet tylko słyszeli z opowieści i legend.

Losy doktora Szokalskiego potoczyły się dalej też niezbyt pomyślnie. Po półrocznym pobycie w szpitalu i odzyskaniu sił w czasie rekonwalescencji, koniecznej dla zrekompenso-
nia załamania fizycznego spowodowanego utratą dużej ilości krwi, ~~mu~~ musiał odcierpieć drugą połowę karę, dostał się ponownie do szpitala wojskowego pod troskliwą opiekę owego przyjaciela lekarza, odbył ponowną rekonwalescencję, i odzyskawszy słabe już zdrowie, udał się na zesłanie do Tobolska. W Tobolsku doktor Szokalski korzystał, jako lekarz ze względnej wolności i wykorzystywał ją dla niesienia ofiarnej ~~pomocy~~, bezinteresownej pomocy miejscowej ludności, czym zaskarbił sobie szacunek i wdzięczność mieszkańców tych napół dzikich obszarów. Jednak myśli o zamęczonych towarzyszach, myśli o bliskich jego sercu pozostających w kraju, i tęsknota za krajem, przechodząca w nostalgię, załamała jego energię i chęć do życia. Skończył życie wygnańca na dalekiej Syberii odbierając je sobie śmiertelnym strzałem z myśliwskiej dwururki naładowanej zamiast kuli zardzewiałym gwoździem.

Reszta ujawnionych i skazanych uczestników tajnego stowarzyszenia, po odbyciu i wytrzymaniu kar chłosty po trzy, dwa i jeden tysięcy różg , została wysiedlona do kraju Turuchańskiego na wieczne osiedlenie, ~~do wieczności~~ tęsknotę i niedolę. Niech pamięć o nich będzie wiecznie żywa w sercach prawdziwych patriotów, Polaków i Litwinów.

St. ul. by

PRADZIEJE RODU BRAWDZICÓW - SOŁŁOHUB - ZUBCZEWSKICH.

wydaje mi się, że dobrze będzie teraz, po przypomnieniu potocznych dziejów życia i śmierci najszlachetniejszego męża w rodu naszego, pradziadka mego pułkownika Szymona Zubczewskiego, wrócić raz jeszcze i poszerzyć wiadomości o pradziejach Rodu Zubczewskich. Jak już wspominałem Ród Prawdziców - Sołłohub - Zubczewskich wywodzi się z Litwy, gdzie było i do dziś jeszcze istnieje gniazdo rodzinne i rodowe Rodu w miejscowości Sosienia i w okolicach Kosiel i Trok. Stary to był ród, znany powszechnie na Litwie jako wywodzący się ze sławnego na Litwie, na Rusi i w Koronie legendarnego rodu RURIKOW.

W starych kronikach i zapisach z początków piętnastego wieku można znaleźć wiele jeszcze szczegółów dotyczących dziejów tego ważnego dla naszej Ojczyzny okresu historycznego, a przede wszystkim związanych z przebiegiem sławnej dla polskiego oręża bitwy pod Grunwaldem. Bitwa stoczona z Krzyżakami któremu przewodził Wielki Mistrz Ulrich von Jungingen mający pod swoją rozkazami doborowe rycerstwo zakonne i świeckie z różnych krajów ówczesnej Europy, a na swoim zapleczu potężny samok na Nogata - Balbożk, bitwa ta zakończona całkowitym pogromem pychy, pogardy, okrucieństwa i zaborczości, dokonanym przez rycerstwo polskie i litewskie przy dużym współdziałaniu prostego ludu naszych narodów zjednoczonych w tej walce pod wodzą Króla Władysława Jagiełły, przez pięć wieków już przepaja naszą świadomość narodową mocą prawdy, słuszności i woli w dobrej sprawie użytej.

Właśnie w tej bitwie, jak piszą stare kroniki i notatki, jak przechowuje to legenda, niepospolite usługi i bohaterstwo okazał Jerzy Prawdzic - Zubczewski, za co został przez Króla Jagiełłę szczerze nagrodzony i obdarowany ziemiami i posiadłościami na wschodnich rubieżach Polski, między innymi i w Dubnie nad rzeką Ikwą na Wołyniu.

Te wschodnie rubieże Rzeczypospolitej często były wówczas najeżdżane przez Orde Tatarską i koników Siczowych, Dubno zaś leżało na drodze strategicznej do Polski wiedzącej przez Podhorce, Skoczów, Lwów, następnie przez Krasiczyn, Przewyśl, Gusiętku, Tarnów, do Sandomierza, miasta, które jak mówi historia, trzykrotnie było oblegane przez hordy tatarskie, a ludność broniała się i kręła wraz z dobytkiem w obazerbach lochach podziemnych o których napastnik nie wiedział.

Dubno, położone nad brzegiem leniwie w płaciu terenie płynącej rzeki Ikwy, leżało w kraju "mlekiem i miodem płynącym" na żyznej równinnej ziemi jakimi są i były ziemie Podola i Wołynia. Ziemie te, stopniowo ku zachodowi zmieniając swój charakter, przechodzą w laso-stepy i tereny pagórkowato-chołmskie pokryte lasami i kagajnikami. Corocznie, w czasie trwania roztopów wiosennych rzeka Ikwa przybiera i rozlewa się szeroko tworząc miedzianą i noczary, obficie porośniętą trzcina i rogózną, trzcianką żółtą, skrzypem wodnym, szaszawem kołokim i kędzierzawym. Rdesty ziemnowodne, mięta wodna i inna roślinność noczysta i barwna czarują oko ludzkie podczas kwitnięcia barwnymi dywanami swych kolorów i upajają zapachem. Niewysychające bagna i noczary tworząc rozległe płaszczyzny wodne, i przegrzebi rzeki porośnięte przez szuwary, pełne są przeróżnego ptactwa wodnego i stanowią naturalny rezerwat przyrody, gdyż są niedostępne dla człowieka, a warunki wylęgu i rozwoju są tu znakomite. Nad rzeką obfitują w ryby, głównie karpie, karacie i liny, a na głębokich dołach i jamach wodnych buszują niepodziębnie duże szczupaki i sumy. Ryby są tu smaczne i pożywne, waga ich przekracza często 10-15 kilogramów a długość metr.

Przyposiadam sobie spędzane tu na rozdzelu i wolności lata mego nieokreślonego dzieciństwa, kiedy to z wnętrza złapanego na błyskawicę sumy wydobywało się niepodziębnie dziką kaczkę, perkoz lub innego wodnego ptaka, pokłniętego przez tego sumo-olbrzyma, a do tego niosło się jeszcze do domu zdobyczkę w postaci paru pokładnych szczupaków, nie licząc późniejszych oboni i płotek.

Za czasów panowania króla Władysława Jagiełły, w latach 1386 - 1434, w okresie sprawowania przez niego rządów nad Litwą i Księstwem Krową, ród Prawdziców-Sółtkub-Zubczewskich osiągnął szczyt swej potęgi i rozwoju. Ród nasz zawdzięczał to nie tylko szczerym darowiznom ale i faktowi, że po zwycięskiej grunwaldzkiej bitwie, król Jagiełło potwierdził specjalną "gratją" rodowód Prawdziców-Sółtkub-Zubczewskich, dodając również na pamiątkę czynów naszego przodka Jerzego, do pieczęci Buryłowiczów, której ród nasz się pieczętował, dwugłowy lwa umieszczono w złotej nitrze książęcej, trzymającego w łapach przednich wieniec "zwycięstwa i prawdy" z liści laurowych. Poprzedni herb rodu miał wizerunku nitry książęcej otoczonej liśćmi dębu, w środku zaś na tle tarczy lwa stojącego na tylnych łapach na murze kamiennym i trzymającego w przednich łapach laurowy wieniec prawdy.

Dodając do wizerunku herbu naszego Rodu w roku 1410 drugiego Iwa, król Jagiełło rozkazał celowo umieścić go w złotej nitrze książęcej - miało to na celu upamiętnienie po wieczne czasy wyczynu bojowego i rzetelności wodza, jakimi wykazał się w tej bitwie Jerzy Sołłohub - Zubczewski, który będąc rannym nadal nacierał na zwarte szranki krzyżackiego zakutego w żelazo rycerstwa, a następnie potrafił zebrać znaczny zespół rozproszonej na początku bitwy lekkiej jazdy litewskiej i ruskiej i uderzyć tym oddziałem na flanki krzyżackie, właśnie w momencie najbardziej istotnym dla rozstrzygnięcia bitwy na korzyść oręża polskiego dla walnego zwycięstwa.

Odąd właśnie wywodzi się pełna nazwa i wizerunek herbu Prawdziwów-Sołłohub-Zubczewskich, znak szlachecki i czczony w rodzinie, znak o którym mówi się z dumą i powagą jako o słowie i znak zdobytym odwagą i dzielnością i krwią własną przelaną na polu bitewnym.

Zakończony i zbudowany w Dubnie zamek obronny miał formę ~~trójkąta~~ trójkąta podstawa którego oparta była o brzeg jeziora a strona wschodnia o rzekę Ikwę, której wody wypełniały fosę i ponad którą zbudowany był most prowadzący do zamku. Zamek w Dubnie był przez całe wieki opoką obroną wschodnich granic Polski, a szczególnie za panowania króla Władysława IV-ego. W czasie tym, w latach 1632-1648, Władysław, syn Sygmunta III-ego, zapoczątkował ^Krzędy szczęśliwym zakończeniem wojen z Rosją, uzyskaniem ^{Przek}zrzeczenia się Moskwy, Inflant, Estonii i Kurlandii, następnie zaś zawarł korzystny pokój z Turcją i Tatarami po zwycięstwie nad Złotą Ordą.

Zamek w Dubnie był też niejednokrotnie oblegany przez ~~przechagony~~ i "kurenie" kozackie Bogdana Zabobiusza Chmielnickiego.

Opisuje tych lat / 1648/ barwnie opisał pisarz Nikołaj Gogol, ~~kałakoprasz...~~ również nawiasem, syn polskiego szlachcica Pawła Jagińskiego ożenionego z ruską z domu Gogol.

Opisując wypadki z okresów buntów kozackich i spowodowanego przez pychę szlachty ówczesnego upadku Polski, osnuł fabułę znanej swej powieści pod tytułem "Taras Bulba" na zdarzeniach w czasie oblężenia zamku w Dubnie i cierpieniach zamkniętej tam rodziny Zubczewskich, szlacheckiej i ludności, którzy odczuwali ostrą ~~...~~ głód i niedolę. Rzeka Ikwę bowiem z jednej strony utrudniała wrogowi dostęp do zamku, z drugiej zaś jej wody i rozlewiska umożliwiały zdobycie w bogatych okolicach Dubna żywności oraz dostęp do zamku oddzieleny z Polski.

Kiboraj Bogol pisał w języku rosyjskim i poświęcił się do narodowości rosyjskiej, podobnie jak i wielki poeta i pisarz Kiboraj Niekrasow, którego matką była Polka - i ten właśnie wgląd, łącznie ze społeczną wartością twórczości Niekrasowa, powoduje poniższą dłuższą dygresję moją dotyczącą tego pisarza. Twórczość Niekrasowa bezlitośnie biczowała gnębicieli wschodniego poddaństwa i nawoływała do walki "o wolność naszą i waszą", do walki o szczęście dla ludów Polski, Litwy i Rosji gnębionych w poddaństwie. Niekrasow był owym "szurmanem" przyszłego wielkiego strachu, rewolucji społecznej, ucieszonych narodów. Pisarz nawoływał do walki z klasą sytych obiboków, z szlachtą i bezprawną szlachtą polską i rosyjską. Urodzony na Podolu miasteczku Niekrowie w roku 1821 -ym był synem biednego szlachcica / potomstwieńskim / ożenionego z Polką, Stefanią z domu Zakrzewskich. Ojciec pisarza, szlachetny szepeta i oszust podstępnie uzyskał podpisy na t.zw "Kabalnej" umowie przedkującej o dwa lata poddaństwo chłopów w jego majątku Griasino pod Jarosławiem - co poskutkowało w czasie jego synowi jako główny temat do poematu szeroko znanego w postępowej Rosji pt "Kamu ng Rusi żył choroczno". Właśnie w tym rodzinnym Griasinie pisał Niekrasow o tym jak nauczyła się nienawidzić wszystkich co było i rikosano, bez różnicy czy byli to syty i bogacy w Rosji czy w Polsce. To poczucie prawdy i słuszności, brzydki i potrzeby walki zadziwił Niekrasowa swoją matką Polką, bezgranicznie bocheną i szanowaną, /okrutnie szanowaną/ maltretowaną przez wyrodnego ojca. Wracając teraz do zasadniczego tematu, do kroniki rodzinnej, przechodzę do lat 1914 - 1916, które szczególnie żywo utrwaliły w mojej świadomości, i do wspomnień mojego ojca przekazanych mi w tym czasie. Ojciec mój, Sergiusz, Stefan Zubczewski, ze starego zawodu inżynier leśnictwa, był jeszcze w tym czasie zawodowym oficerem, porucznikiem Czugujewskiego pułku ułanów, pułku stacjonującego w Równem na Wołyniu, i brał w latach 1914-1915 udział w I-iej wojnie światowej jako dowódca eskadronu szwadronowego tego pułku.

Odpowiadając na dociekliwe moje pytania dotyczące dziejów rodziny Zubczewskich, wspominał mój ojciec ówczesnie, że wiadomo mu iż na czasów panowania Władysława Jagiełły oszkarobnie rodziny Zubczewskich brał również czynny udział w pracach polityczno-społecznych - między innymi w przygotowaniu i uchwaleniu Unii Korodoleckiej w roku 1413, podpisanej w Hieście Herolda Koło Lwowa na śląskich kresach Kresyepolitej.

Pragnę teraz bardziej szczegółowo ująć, odgrzebane w aktach i wspomnieniach rodzinnych i soich własnych, dzieje licznej rodziny pozostałej po bohaterkiej i męczeńskiej śmierci pradziadka tego pułkownika Szymona Ignacego.

Wdowa po pradziadku, Olga z Podhorodeckich, znanej na Podolu z gościnności i gospodarności średniozamożnej rodziny ziemianckiej wyróżniającej się również bardzo "ludzkiem" traktowaniem poddanych i pracowitością trybu życia codziennego, otrzymawszy z dalekiego Łucka wiadomość o tragicznej śmierci ukochanego męża i ojca licznej gromadki dzieci nie zakarała się jednak. Zdecydowała się wprowadzić nie do poznania głęboko przeżywając ból i troskę o przyszłość ośmiu synów, a także obawę czy potrafi nalegąco wychować tych młodych jeszcze chłopców na obywateli polskich takich jakimi byli ich wierny i dzielny syn ojczyzny ojciec. Synowie ci: Juliusz, August, Bionisy, Kirokaj, Włodzisław, Konstanty, Stefan i Ignacy i ich dzielna matka postanowili byli przeciwko temu rodzinnego gniazda i majątku Łucko, wszystko to bowiem zostało skonfiskowane przez siepaczy Imperium Rosyjskiego jako majątek "buntowniczy". Wyciągając wdowę Olę Zubczewską i jej synów z Łucka pozwolono im zabrać ze sobą tylko garderobę i niezbędne rzeczy codziennego użytku - nie zawróciło to jednak doświadczonej Matki-Polki, która przewidując co może nastąpić, potrafiła weselej uchronić cały starczyk rodzinny i najwarteściowsze rzeczy, przez weselejszego wazystriego tego na Litwę, gdzie przecież pozostawało rdzennie gniazdo rodowe i rodzinne: Rosienie i Troki. Udali się też nieco cenniejszych przedmiotów ukryć przed okrucieństwem zaborców w zamurowanych piwnicach zamku Lubieckiego. Matka i ośmiu młodych, obiecujących ludzi udali się powozami konnymi do Rosien, znanych wtedy na Litwie dobrze zagospodarowanych majątków rodzinnych, szczególnie słynnych z narodowej hodowli ogierów i koni. Na odbytych w Rosieniu sejmiku rodzinnym długo się zastanawiano w jakich kierunkach kontakować dzieci pozostałe po pułkowniku Szymonie Ignacym. Pomimo że strona materialna zagadnienia nie nasuwała zbyt trudności, sprawa nie była tak prosta jak by to się mogło wydawać - przeżywszy utratę ukochanego męża wdowa Olga w żadnym wypadku nie chciała rozstać się z synami, a więc ich wysagał oddania do szkół.

Matka chłopców dobrze sobie jednak zdawała sprawę z tego że nie tylko staranne wychowanie patriotyczne otrzymane w rodzinie wystarczy młodym ludziom w życiu, że przecież samo życie wymaga wykształcenia ich, wyposażenia ich w solidną wiedzę wszechstronną o kraju, świecie, warunkach wyrobienia sobie pozycji i stanowiska w społeczeństwie - w podjęciu decyzji o losach młodzieńców zwyciężył *Gedwałk* więc rozsądek.

Zdecydowano przy tym, że należy brać pod uwagę wrodzone upodobania i uzdolnienia młodych ludzi i rozwijać je dalej umiejętnie, systematycznie i wytrwale. Zgodnie więc z tą generalną zasadą dwaj najstarsi synowie pułkownika Skyszona, Juliusz i August zgodnie przyjęli kierunek kształcenia i toru życiowe poświęcone boginiom "Minerwie, Weście i Bienie" i rozpoczęli studia humanistyczne, tym samym zaś wybrali równie²ż życia rodzinnego, a polowanie jako odprężenie i rozrywkę. Zdawali sobie przy tym sprawę z sytuacji kraju, w której oświata stawała się tamż pierwszoplanową bronią z uciskiem, wynaradawianiem i upośledzaniem, a wychowanie przepojone patriotyzmem środkiem ukształtowania i przygotowania odpowiedniej kadry ludzi zdolnych do wielokierunkowej walki z zaborcami o odzyskanie utraconej wolności. O sukcesach życiowych jakie osiągnęli ci dwaj moi "działkowie" wybierając książkę i pióro, działalność oświatową uznawaną ówczesnie jako pracę dla kraju ojczystego działalność nie łatwą i leką, uważaną i przez zaborców jako niebezpieczną dla ich celów - wspominałem już przy obrazowaniu postaci generała Sikorskiego i jego żony. Pozostała szóstka braci: Dionizy, Mikołaj, Włodzisław, Stefan, Konstanty i Ignacy, młodszych, bardziej rozbudanych "rozbójników", chętnych do wyszynów fizycznych, ruchu, szawoli, jazdy konnej i szwadów rycerskich, zgodnie wybrała bogów wojny i grzmotów, "Marsa i Bgita" jako swoich patronów. W świadomości ujarzmionego narodu trwało bowiem utajone przekonanie że "cel uświęca środki", a służba wojskowa nawet w szeregach wojsk rosyjskich, jest jednak zawsze przygotowania do walki zbrojnej, walki która kto wie czy nie będzie mogła być skierowana w tej oczekiwanej podświadomości, odpowiedniej chwili, dla odzyskania niepodległości. Wybór ten zdecydował więc o drodze i sposobach kształcenia się - a drogi te ówczesnie ~~to~~ były powszechne i jedyne: pański korpus kadetów / pański korpus kadetów/, i szkoła podchorążych w Sankt-Petersburgu, tak zwane

"Nikołajewskie Wojenneje Učilišczese", które bracia Zubczewscy ukończyli, wszyscy z wyróżnieniem za czasów cara Aleksandra II-go. Tu znowu nasuwa się konieczność nadświetlenia tej historycznego czasu życia i działalności dziadków nich - synów Pułkownika Bazyrona - a więc : panowanie cara Aleksandra skończyło się w roku 1881 jego śmiercią spowodowaną przez bombę rzuconą na carę, karate jadącą przez most na Kanałie Carowej Katarzyny przez snowu Polaka, szlachcica, Ignacego Bryniewickiego, który sam również zginął przy wybuchu tej bomby. Zamachowiec Bryniewicki był synem wygnanca z Litwy na Sybir i Katorgę, brał czynny udział w powstaniu styczniowym i całe swe świadome życie i pracę poświęcił walce z caratem. Należał on, jak i Polka Maria Kohnanowicz, do rosyjskiej Socjal-^{Revolucyjnej} Partii "Ziemia i Wola", wchodził też w skład Centralnego Komitetu tej partii, na czele której stał syn chłopca Andrzej Żelabow, a w skład której wchodziły jeszcze dwie Polki : Wiera Zaulicz i Sofia Perowska, ta ostatnia kresztą córka hrabiego Perowskiego, szarego gubernatora Sankt-Petersburga. Po zamachu odszedł oczywiście pan gubernator, jako pozbawiony zaufania i łaski władz, opuścił Petersburg i udał się dożyłotnio na daleką prowincję. W dochodzeniach przeprowadzonych po zamachu wzięli udział dwaj z aresztowanych prawie-wszystkich członków-Centralnego-Komitetu-"Ziemia-i-Wola"-Rusaków-i-Nichajłow, - są szeregowych członków partii, robotnicy stoczniowi z Kronstadt, Rusaków i Michajłów, i na torturach wydali władzom cały Komitet Wykonawczy i Komitet Centralny Partii. 29 marca 1881 roku wszyscy ci aktywiści partyjni zostali w myśl wyroku Specjalnego Sądu straceni na dziedzińcu twierdzy Petropawłowskiiej położonej na wyspie na rzece Newie. Niektórzy tylko, między innymi Polakom : Nikołajowi Kibalcziszowi, Jakimowowi i Kohnanowiczowi udało się zbiec na czas i uratować życie. Tak to w dziejach narodów naszych drogi ofiarnych patriotów polski i Rosji łączyły się we wspólnej walce o zerwanie kajdan niewoli społecznej.

W takich to czasach i nastrojach polityczno-społecznych uczyli się wojskowości bracia Zubczewscy, z tym że służyli "Państwowej Korpus" i "Nikołajewskie Wojenneje Učilišczese" służył z nich Włodzimierz, Konstanty i Ignacy ukończyli już za panowania cara Aleksandra III-go, wszyscy jednak zdobyli ostrogi oficerskie, przebywając z wyróżnieniem drogą nie zawsze usianą różami, a przecież i róża nawet mają kolce.

Przeżywali te dni pełne pracy i twórczości, nie pozbawione też i porzęblysków nadziei i przygnębienia zawodów bracia August i Juliusz Zubczewscy, którzy po ukończeniu Uniwersytetu Jagiello

zostali profesorami, a później dyrektorami - Juliusz w Tarnowie, a następnie w Łańcucie Seminarium Nauczycielskiego, zaś August również początkowo w Tarnowie a następnie wieloletnim dyrektorem III-go Gimnazjum Męskiego we Lwowie, z którego to miasta wywodziła się już moja bliższa rodzina, osiadła tam po wydarzeniach powstania styczniowego, salwując się od Sybiru i katorgi ucieczką do ówczesnej Galicji przez zieloną granicę. Obaj pedagogowie Zubczewscy wywarli wielki wpływ wychowawczy, i samą swoją osobowością i postawą obywatelską, na niezliczone szeregi młodzieży polskiej zagrożonej i w tantiach stronach naciąkiem obcości. Byli też zaprzyjaźnieni jak wspominałem ze szczerze polską i patriotyczną rodziną Daszyńskich, z której pochodziła żona młodszego ich brata - Stefana, jego dziadka, z którego to związku urodził się mój ojciec Sergiusz - Stefan Zubczewski.

Warto tu wspomnieć, że w owych czasach było zwyczajem w wielu rodzinach nadawanie rodzącem się dzieciom imion swych przodków - tak że imiona z dziadków przechodziły na synów, a zwyczaj ten w rodzinie Zubczewskich stosowany był od zarania jej dziejów.

Zubczewscy - oficerowie wojsk rosyjskich, odznaczyli się solidną wiedzą fachową z zakresu wojskowości, a mając przy tym dużo wiedzy ogólnej i widoczne staranne wychowanie, awansowali dość szybko i dochodzili do stopnia pułkownika; szlify takie otrzymali więc Dionizy, Stefan, Konstanty, Mikołaj, Włodzimierz i Ignacy.

Pułkownik Dionizy Zubczewski był dowódcą 36-go pułku Jegierskiego, który wchodził w skład ~~w~~ armii generała Skobielewa, zwanego "Białym generałem" w latach 1868- 1878.

Dziadek Dionizy zginął żołnierską śmiercią podczas ostatniego, ósmego już, szturm twierdzy tureckiej Karsu.

Ojciec mój, Sergiusz Zubczewski, zaledwie 13-letni młodzieniec w tym czasie był kadetem korpusu Świętego Włodzimierza w Kijowie. Panięta jak dzisiaj opowieść ojca, w którą rocznicę śmierci dziadka Dionizego, że obudził się wtedy nagle ze snu cały pokryty potem od przeżytego we śnie przerażenia. Śniło mu się mianowicie że widzi dziadka Dionizego jak klęczy na kolanach ~~z~~ podłóży głową wśród obszernego pola walki, i mówi coś do niego ojca czego ojciec już nie paniętał. Ojciec mój pod wrażeniem tego snu był przejęty i ogarnięty podświadomym niepokojem przez pół dnia, zaś w godzinach obiadowych został wezwany do kancelarii korpusu gdzie doręczono mu telegram od ojca //a//mego/dziadka// Stefana-Szymona Zubczew-

skiego

shyj!

będącego wówczas pułkownikiem Ochotackiego pułku strzelców, /stałe stacjonującego w Równem na Łęzinie, w pobliżu Dubna/ że jego brat, a dziadek jego ojca, pułkownik Dionizy, został zabity na murach Karsu. Jak się następnie wyjaśniło, okoliczności tej bohaterkiej śmierci były następujące: w momencie gdy Jegorzy 56-go pułku wdarli się na mury twierdzy i zatknęli na nich sztandar, pośpieszył na pomoc obrońcom murów Deja, komendant twierdzy, z oddziałem janoszarów i milicji, i na nowo, już bezcelowo rozpoczęła się rzeź po obu stronach; pułkownik Zubczewski wdarł się na drabinę pragnąc wezwać Deja do poddania się i zaprzestania bezcelowej walki, oszczędzenia życia i żołnierzy i ludności, Deja dostarczył do pułkownika i oddał strzał śmiertelny prosto w czoło. Widząc to żołnierze 56-go pułku, rozjątrzeni pragnieniem zemsty za pułkownika, natarli z całą furją, w ognieniu oka ~~na~~ rozszarpali Deja na strzępy, wytkuli resztę załogi i dokonali rzezi mieszkańców twierdzy, męcząc się okrutnie za śmierć swego oddanego im i lubianego dowódcy. Pułkownik Zubczewski, jak wielu Polaków, wiedział że Porta Ottomańska, dawniejszy odwieczny wróg "Lechistanu", nie uznawała jednakże rozbiórów Polski, manifestując to przy okazji każdorazowej uroczystości przyjęcia przedstawicieli obcych państw, głośnym stwierdzeniem na wezwanie posła z Polski że "posel z Lechistanu jest w drodze". Nie godziła się również z poczuciem humanitaryzmu pułkownika Dionizego perspektywą niepotrzebnego przelewu krwi tak dzielnie kłoniącej się załogi i mieszkańców twierdzy i miasta Kars - i za te swoje uczucia i przekonania zginął.

Analizując bliżej szaleńcy ^{by} zdawało się czyn Deja Karsu, który zdając sobie chyba sprawę z beznadziejności ostatnich zrywów obrony, podniósł jednak do kontrataku ostatnie dwie rezerwy nie szesząc ani swych żołnierzy ani ludności cywilnej - nie było to szaleństwo lecz konsekwencja stosunków w wojsku Port. . Było tam bowiem przyjęte, iż przegrany czy wracający z niewoli wódz, otrzymywał od sultana "prezent", ~~z~~ inkrustowaną szkatułką z drzewa nigdłowego zawierającą wewnątrz zielony jedwabny sznur, długi ponad dwa metry, sznur będący symbolem bezwzględnego wyroku na śmierć przez samopowieszenie ~~na~~ na tym sznurze, lub uduszenie przez oddawców szkatułki. Ten wyrok oznaczał równocześnie przepadek mienia szlachy na rzecz państwa, nędzę jego rodziny i pogardę wszystkich wyznawców Koranu. Ginęc natomiast śmiercią męczeńską, jak to Deja Karsu świadomie uczynił, uzyskiwał miano bohatera Islamu i szacunek dla pozostałych

raz członków rodziny za czyn i śmierć poniesioną dla wiary mahometańskiej i sułtana.

Na swój specjalny wyraz fakt historyczny z owych czasów, który warto tutaj przytoczyć. Niejaki Iliński z Litwy, którego matka pochodziła z tatarskich Lipków (świątnej jeździe wiernie służącej Rzeczypospolitej i cenionej bardzo przez króla Jana Sobieskiego, rozważanego w junactwie i szaleńczej odwadze) musiał uciec z kraju po powstaniu styczniowym w którym brał udział, udał się do Turcji, przyjął tam wiarę mahometańską, ożenił się z tureczką i właśnie w tym okresie dowodził świetnie wyszkoloną jazdą turecką jakoznany i słynny Stander-Passa. Tak to polski generał, nie znajdujący dla siebie miejsca w kraju potrafił wyszkolić i doprowadzić do takiej odwagi i śmiałości jak za dawnych czasów kiedy to jazda turecka stawiała, głównie i z dobrym skutkiem, czoło słynnej niegdyś husarii polskiej. I taka jest prawda i rzeczywistość życia żołnierskiego, i życia Polaka. Tragedia porobierowej Polski polegała i na tym że Polak niejednokrotnie stawał w walce przeciw Polakowi, brat przeciw bratu. Jakże trafnie ujął ten tragizm Polaków Henryk Sienkiewicz, laureat Nagrody Nobla, w swym świetnym opowiadaniu pod tytułem "Bartek Szwyciżel".

Warto też, kończąc wspomnienia o dziadku Dionizym, zwrócić uwagę na to że w owej wojnie zdobycie miasta Kars było nie lada wyczynem, całego twierdzy bowiem broniła się zaciekłe i odważnie, w świadomości walki o słuszną sprawę, o wolność najechanego i napażniętego kraju, za Ojczyznę, za wiarę swych ojców i. Miasto Kars leżało na krańcach południowo-wschodnich imperium rosyjskiego, było bramą wejściową do Porty Otomańskiej, było warto krwawych ofiar siedmiu odpartych szturmów armii generała Stobielewa, było warto decyzji dokonania jeszcze jednego szturmu przez ostatnie oddziały armii jakimi był 56 pułk Jegierski, pułk gwardii.

Upadek twierdzy i miasta Kars zmusiły Portę do zawarcia, na przełomie lat 1788 na 1789 rozejmu z Rosją. Rozejm ten przynosił Rosji zagarnięte już tereny Kaukazu i narody tam osiedlone; narody te jednakże długo prowadziły walkę partyzancką pod wodzą sławnego rodzowego przywódcy Szamila, prowadziły nieustająco wojny z Rosją, wspierane w tych wojnach wolnościowych przez Portę, popierane i wyposażane bronią /nooczesną karabiny wielostrzałowe- Winchester / przez Anglię i Francję.

Zryw te, jakże bliskie naszemu poczuciu i uporczywemu dążeniu do wolności, pomimo dużych ofiar ludzkich wszystkie były krwawo tłumione przez cara Aleksandra II -go, zwanego "wyzwolicielem", który w takich oto znamienitych słowach ujął swoje pojęcie wolności i wyzwolenia: "Lepiej lud poddany wyzwolić z poddaństwa z góry, niż żeby on sam wyzwolił się z dołu", to znaczy bez zniezwadzonej magnaterii i szlachty.

Drugi z moich dziadków, ten właśnie mój przodek w prostej linii, wspomniany już przez mnie w związku ze śmiercią dziadka Dionizego, Stefan-Szymon Zubczewski, był pułkownikiem Ochotkiego pułku strzelców. Formacje te, jak mówi ich nazwa, składały się z ochotniczo wstępujących do służby wojskowej, czasokres tej służby wynosił 7 lat i żołnierze otrzymywali żołd w wysokości jeden rubel i 13 kopiejek miesięcznie.

Jeśli dodać do tego dobre wyżywienie, gdyż dziadek Stefan-Szymon nie przepuścił żadnego w wyżywieniu nadużycia czy okradania żołnierskiego kotła, dobre i staranne wykształcenie żołnierskie bez stosowanego powszechnie wtedy w innych formacjach wojskowych bicia postrzawy - wszystko to sprawiało, iż nie brakło ochotników i z pośród ludu poddanego i wolnego.

Mój ojciec opowiadał mi, że w jego pamięci utkwiał pewien szczegół charakterystyczny dla humanitaryzmu i poczucia sprawiedliwości dziadka Stefana-Szymona. Mianowicie w czasie dokonywania codziennych czynności, inspekcji odbywanych na placach i dziedzińcach ćwiczeń wojskowych, dziadek mój spostrzegł, że jeden z podoficerów, niejaki Karas, znęca się nad świeżo przybyłym do oddziału rekrutem, bijąc go mocno po twarzy i klnąc "po matuskie" ohydnie - w tym momencie znieważony rekrut uderza Karasia kijem trzymanym w ręku, używanym do ćwiczeń, z taką wściekłością i siłą po głowie że podoficer Karas traci przytomność i pada jak długi na ziemię. Dzieła się to na oczach całego świeżego przez Karasia oddziału. Sprawca tego niebываłego w wojsku czynu, jak się okazało z pochodzenia czerekie, słabo znający język rosyjski, członek narodu świeżo podbitego z którego do służby wojskowej przydzielano przemocą, stał błady i drżący z przerażenia. A wypadek taki pociągał za sobą poważne konsekwencje: sąd wojskowy i zasadniczo kara śmierci.

Dziadek Stefan-Szymon, postawiwszy oddział na "bacznosc", rozkazał dwóm żołnierzom zanieść podoficera Karasia do lekarza pułkowego, a następnie zwrócił się do rekruta, rzekomego "ochotnika" z pytaniami: dla czego to zrobił i czy

zdaje sobie sprawę że regulamin wojskowy za tego rodzaju przewinienie, pobicie w służbie przełożonego, każe bardzo surowo - karą śmierci ?.. Ochlonewszy tymczasem i z pasji i z przerażenia rekrut odpowiedział, że wosił i cierpiął bicie potwarzy stojąc karnie na baczność, choć nie rozumiał dokładnie rozkazów podoficera, nie znając dobrze języka rosyjskiego, ale gdy przekleństwo, bicie i zniewagi dotyczyły tylko jego - gdy zaś podoficer zaczął znieważać jego matkę, jego kochaną "Nes" nie mógł już tego znieść - w jego narodzie jest zwyczaj że za tego rodzaju obelgi i zniewagi matki odpowiada się kindżakem, szablą, kulą, matka jest u nich odwiecznie istotą jak świętą; jeśli zawinił może go pan pułkownik postawić przed plutonem egzekucyjnym !...

Ponieważ wypadek ten stanowił niezwykle wydarzenie i trudny problem, pułkownik Stefan-Szyson rozkazał^u winowajcy odpaszerować do pułkowego aresztu, wezwanemu chorążemu rozkazał prowadzić dalej tak nieczęsteliwe przerwane ćwiczenia oddziału, sam zaś wrócił do kancelarii pułkowej i rozkazał wezwać na naradę starszych stopniem oficerów, pragnąc wysłuchać ich opinii choć decyzja i życie winowajcy zależało od jego ostatniego słowa. Na naradzie, po opisanu przebiegu zdarzenia rzucającego cież na nieexplanioną dotychczas opinię pułku i nawiązaniu do regulaminu wojskowego, z naciskiem pokreślił iż okoliczności zdarzenia, nieludzkość postępowania Karasia, nieznanomość języka rosyjskiego przez czertkiesza i jego niezrozumienie żądań podoficera, wysokie poczucie honoru i miłości ku matce cechujące podbite narody Kaukaskie - wszystko to, a przede wszystkim fakt formalny iż kompania rekrutów nie służyła jeszcze przysięgi wojskowej i nie podlega regulaminowi wojskowemu w pełni, wszystko to sprawia że winowajca nie powinien stanąć przed sądem wojskowym. Następnie pułkownik zapelował do oficerów o wyciągnięcie wniosków ze zdarzenia dotyczących wzmoczenia uwagi nad pracą wychowawczą i szkoleniową żołnierszy powierzonych podoficerom, z których nie wszyscy, jak to okazało się w osobie Karasia, który przecież w istocie spowodował swoim postępowaniem czyn czertkiesza, obowiązki swoje rozumieją i spełniają należycie. Wezwany do wypowiedzi lekarz pułkowy stwierdził iż Karas w wypadku odniósł trwałe uszkodzenie ucha wewnętrznego, jest niezdolnym do dalszej służby wojskowej i winien być przeniesiony na emeryturę,

co się zaś tyczy winowajcy-rekruta, lekarz pułkowy całkowicie

podziela pogląd pułkownika i nie należy oddawać go pod sąd wojenny, nie powinien od jednak w żadnym wypadku pozostać nadal w pułku, gdyż podlegałoby to dyscyplinie wojskowej, lecz winien być przeniesiony do innego pułku. Pewne światło na tę całkowitą zgodność przeszedł w tej trudnej sprawie lekarza z pułkownikiem Stefanem-Szyronem, suca fakt, iż owym lekarzem był Polak z Litwy, Edanowicz, a przy tym kolega pułkownika z korpusu kadetów w Sankt-Petersburgu. Łowoszechnie przyjęte było w tamtych smutnych czasach, iż Polacy w miarę uprawnień i możliwości popierali się nawzajem i trzymali się solidarnie. Pozostali uczestnicy narady również uznali za słuszny ten sposób zakończenia sprawy, po czym pułkownik wraz z lekarzem udali się do szpitala gdzie w prostych, ludzkich słowach wytknęli oszczędnie już Karasiowi całą niegodność jego postępowania, które mogło przynieść i dla niego jeszcze gorzej niż głuchota rezultaty, oraz zakomunikowali Karasiowi iż przysługuje mu podwyższona emerytura wojskowa, ponieważ utracił możliwość dalszej pracy skutkiem gorliwej służby dla "Jedyni Panującego". Wiadomość tę Karas przyjął z zadowoleniem, dobrze zresztą wiedząc że niesłusczne postępowanie i sądym w stosunku przesłanego do podległego w wojsku może skończyć się dużo gorzyszys wynikiem, niejednokrotnie przecież zdarzało się, że taki despota czy dyktator w pierwszej potyczce dostawał śmiertelny postrzał w tył czaszki, otrzymując ją jako nagrodę za swe nieludzkie postępowanie 7 gram ołowiu zawartego w pończyciu kuli.

Wezwany do kancelarii pułkowej rekrut-widowajca otrzymał urzędowy rozkaz przeniesienia do Hieronimowskiego pułku strzelców stacjonującego w Kowniu na Wołyniu, oraz osobny list polecający do dowódcy tego pułku, którym był pułkownik Włodzimierz-Szyron Prawdziej Sołchub Zubczewski, przyrodni brat pułkownika Stefana-Szyrona. Dubno, Równe i Kowno były to wówczas trzy miejscowości tworzące trójkąt o znaczeniu strategicznym na Wołyniu.

Podaję w tej kronice dość szczerze uświadomiony z dzieciństwa fakt jako przykład właściciwego postępowania z podległymi ludźmi i sprawiedliwego ich traktowania, do czego nas Zubczewskich od dzieciństwa przyzwyczajano, uświadamiając że nie majatek i pochodzenie stanowi o moralnych zasadach postępowania, lecz odwrotnie szlachetność postępowania stanowi o wartości człowieka. "Życie przeżył to nas pola przejść" mówiło się w naszej rodzinie, od jej zarania, od czasów przodka rodu Jerszego-Wikinga, dodając: "Kto chce niech wierzy, a kto nie chce niech nie wierzy, Święty Jersy był najdzielniejszy i najszlachetniejszy z rycerzy i."

spaniowalska

Dziadek mój, Stefa-Szymon Prawdzic Sołłohub Zubczewski ożeniony był z Izagorzą z Daszyńskich, matka której pochodziła ze znanej na Litwie rodziny Góreckich - ta ^{klas} ^x ^{rodzina} rodziną Mickiewicza, ojca Wieszcza Adama, matka poety była bowiem z domu Górecka - trudno mi jest teraz przypomnieć sobie czy była to matka mojej babki Daszyńskiej, czy też jej siostra - faktem jest jednak, że rodzina Góreckich pozostawała w bliższej koligacji z matką mego ojca, urodzonego z Daszyńskiej Sergiusza Stefana Zubczewskiego. Spawdzenie i ustalenie szczegółów tych rodzinnych powiązań pozostawiam zym wnukom: Robertowi-Stefanowi Zubczewskiemu i i Piotrowi-Zdzisławowi Piotrowskiemu. Ten wnuczek ma jeszcze przed sobą dodatkowo ^{zadanie} potwierdzenia swego pochodzenia po kądzieli od znanego z wynalazku lampy naftowej chemika i farmaceuty Ignacego Łukasiewicza - siostra tego pioniera polskiej nafty Marianna Łukasiewicz była matką ojca mego wnuka Zdzisława - Romualda Piotrowskiego, prawnika, syn którego pojął za żonkę ukochaną córkę swoją Tatianę-Stefanię Zubczewską, lekarza medycyny.

czyli babka
wnuka autora?
cos tu me fue!

Dziadek Stefan-Szymon Zubczewski zeszedł z tego świata w roku 1910 mając lat 86, wtedy gdy ja miałem zaledwie dwa lata, i chociaż nie pamiętam go z osobistego wspomnienia, ale pamięć o nim, który był też goim ojcem chrzestnym i ofiarował mi na pamiętkę chrztu złoty krzyżyk na łańcuszku, zachowałem do dziś. Przypominam też sobie przeżycie związane z tym krzyżykiem gdy miałem już lat 7-om. Otóż podczas kąpieli w Ikwie, krzyżyk ten pozostawiłem na ubraniu złożonym nad brzegiem rzeki i ktoś mi go kraść. Gdy splebany i przerażony stratą drogiej mi pamiętki po dziadku pobiegłem do ojca, ten wziął mnie na kolana, uspokoił i, pamiętam te słowa, powiedział: "...nie straszanego drogi synu - ten Krzyś Pański, który ty miałeś nosić w syciu, wziął na siebie i ponieście go ten który ci go skradł!" - ty zaś musisz zapamiętać to zdarzenie i zachować w swym sercu pamięć tego dziadka na zawsze!". I tak się stało. Pamiętam!

m. in.

Następny z synów bohatera i męczennika z Ostia, ^{Konstanty-Szymon} ^{Łukasiewicz} Sołłohub Zubczewski, z wykształcenia inżynier wojskowy, był w randze pułkownika dowódcą Dywizjonu saperów, i jako wojskowy został odznaczony najwyższymi odznaczeniami wojskowymi - był Kawalerem Złotej Szabli i oficerskiego Orderu Świętego Jerzego. Do Polski powrócił w roku 1918 z korpusem generała Dowór-Budnickiego i zmarł na rodzinnej ziemi, w stanie kawalerskim, w wieku lat 85, a spójby wieczny znalazł w grobie rodzinnym na cmentarzu parafialnym w Pereśpie koło Dubna.

Na cmentarzu w Perecpie spoczywa liczna gronada zmarłych z tak licznej niegdyś rodziny Zubczewskich. Leży tam więc Sona pułkownika Legionów Adama Borowicza, który, wraz ze swym synem również Adamem, pochorzący, został rozstrzelany po spadnięciu do niewoli w roku 1920, dzieląc los prawie 200 legionistów I Brygady / czasie odrotu z Kijowa - gdyż ta brutalniejsza wojna nie szczędziła nikogo, w myśl zasady: "kto nie z nami - ten nasz wróg!". Pułkownik Adam Borowicz, były zastawa-kapitan armii carskiej, powrócił do kraju wraz korpusem Dowbora-Buśnickiego.

Jeden z młodzieńców synów emigracyjnego "buntowniczym" Ignacy-Bajzon Szlachetko Zubczewski, był w czasie I-oj wojny Izmailowskiego pułku Gwardii na froncie nie odleciał, i agnając, wraz ze swym synem, pochorzący Ignacy, w walkach czerwoowych roku 1916 na froncie zachodnim, nie doświadczył się upragnionego powrotu do ojczyzny.

A oto leży dalszych potomków prawnika Bajzon-Ignacego. Pułkownik Andrzej-Nikołaj Frawdzio Szlachetko-Buśczewski, wnuk Dionizego a syn Nikołaja i Anny z domu Pokaciewicz, był wieloletni komendant Kawaleryjskiej Szkoły Podchorążych w Elizawietgradzie, na Kijowszczyźnie, powrócił do kraju na czele licznej grupy swych wychowanków - Polaków w składzie korpusu Dowbór-Buśnickiego, wydatnie zasilał wojnę polską. Zmarł we Lwowie, gdzie było gniazdo rodzinne pedagoga Augusta Zubczewskiego, a grób swój znalazł w Zakopanem, w rodzinnym grobie Augusta i Juliusza Zubczewskich, sony tego ostatniego Olgi i córki Heleny Wiktorowej Z Zubczewskich. Brat pułkownika Andrzeja-Nikołaja, o imionach Borys-Nikołaj, z zawodu sześcianin a z upodobania miłośnik nauki, książki i twórczości pisarskiej, posiadający rezydencję w Perecpie koło Dubna, ożeniony z panną von Frejmark, niemiecką z pochodzenia, zmarł w roku 1946 mając lat 71 i leży również na tym perecpelskim cmentarzu.

Drugi z smutków Dionizego Zubczewskiego, Wołosziern-Nikołaj Frawdzio Szlachetko-Buśczewski, również pułkownik, ożeniony z siostrą sony swego brata, Marią von Frejmark, ~~urodzoną~~ pochodzącą z Kurlandii, ostrogi oficerskie zdobywał w Korpusie Kadetów ~~Swego~~ Włodzimierza w Kijowie i "Aleksandrowskiej Szkole Wojskowej", służył a następnie doszedł Pułkownika pułkiem ułanów. Do Polski powrócił w roku 1918 na czele szwadronu kawalerii swego pułku

Na cmentarzu w Perespie spoczywa liczna gromada zmarłych z tak licznej niegdyś rodziny Zubczewskich. Leży tam więc żona pułkownika Legionów Adama Bobowicza, który, wraz ze swym synem również Adamem, podchorążym, został rozstrzelany po wpadnięciu do niewoli w roku 1920, dzieląc los prawie 200 legionistów I Brygady w czasie odwrotu z Kijowa - gdyż ta bratobójcza wojna nie szczędziła nikogo, w myśl zasady: "kto nie z nami - ten nasz wróg!". Pułkownik Adam Borowicz, były sztabs-kapitan armii carskiej, powrócił do kraju wraz korpusem Dowbora-Łuśnickiego.

Jeden z młodszych synów omskiego "buntowszczyka" Ignacy-Szymon Sołłohub Zubczewski, był w czasie I-^{o wojny}ej wojny Izmajłowskiego pułku Gwardii na froncie nie-mieckim, i zginął, wraz ze swym synem, podchorążym Ignacym, w walkach czerwcowych roku 1916 na froncie zachodnim, nie doczekawszy się upragnionego powrotu do ojczyzny.

A oto losy dalszych potomków pradziadka Szymona-Ignacego. Pułkownik Andrzej-Nikołaj Prawdziec Sołłohub-Zubczewski, wnuk Dionizego, a syn Nikołaja i Anny z domu Pokasiewicz, były wieloletni komendant Kawalergardzkiej Szkoły Podchorążych w Elizawietgradzie, na Kijowszczyźnie, powrócił do kraju na czele licznej grupy swych wychowanków - polaków w składzie korpusu Dowbór-Łuśnickiego, wydatnie zasilając swymi podchorążymi z rartwych powstaje Wojsko Polskie. Zmarł we Lwowie, gdzie było gniazdo rodzinne pedagoga Augusta Zubczewskiego, a grób swój znalazł w ^{Żakopanach} Zakopanach, w rodzinnym grobie ^{Zubczewskich} Augusta i Juliusza Zubczewskich, żony tego ostatniego Olgi i córki Heleny Sikorskiej z Zubczewskich. Brat pułkownika Andrzeja-Nikołaja, o imionach Borys-Nikołaj, z zawodu ziemianin a z upodobania miłośnik nauki, książek i twórczość pisarskiej, posiadający resztówkę w Perespie koło Dubna, ożeniony z panną von Frejmark, niemką z pochodzenia, zmarł w roku 1946 mając lat 71 i leży również na tym perespejskim cmentarzu.

Drugi z wnuków Dionizego Zubczewskiego, Włodzimierz-Nikołaj Prawdziec Sołłohub Zubczewski, również pułkownik, ożeniony z siostrą żony swego brata, Marią von Frejmark, ^{zawiedzioną} pochodzącą z Kurlandii, ostrogi oficerałskie zdobywał w Korpusie Kadetów swego Włodzimierza w Kijowie i "Aleksandrowskiej Szkole Wojennej", służył, a następnie dowodził Futiłowskim pułkiem ułanów. Do Polski powrócił w roku 1918 na czele szwadronu kawalerii swego pułku

Batalionu złożonego wyłącznie z Polaków i wchodzącego w skład Korpusu Dowbór-Prusnickiego. Był lat 63 - zmarł 25.VIII, 27.VIII.1925 roku. Jak wiadomo powatersa się ostatnio w tych wspomnieniach nazwisko Dowbór-Prusnicki, był on ^{Łowicki} ~~istotnie~~ w tym czasie dowódcą jednostki wojskowej stanowiącej odrodzone ramię powstałego z martwych Wojska Polskiego, ^{warcił} ~~zaczęła~~ o losy Narodu i Polski.

gotowe do walki

Przedstawiając w ostatnich, krótkich, jak by stylem telegraficznym ujętych, fragmentach ^m życia, osiągnięć, doli i niedoli potomstwa pułkownika Szymona-Ignacego Prawdzic Sołichub Zubczewskiego, chciałem zobrazować jak spełniły się założenia wychowawcze podjęte na sejmiku rodzinnym w Rosieniu na Litwie w roku 1851, chciałem pokazać drogi jakimi ówczesni Polacy szli i doszli w swoich dzisiejszych pokoleniach do Polski. A drogi te nie były przecież łatwe, prowadziły od Sybiru i katorgi, od przyległego do twierdzy Omskiej placu straceń, po przez pola wielu walk na wielu różnych frontach Europy, po przez duchową rozterkę starych bratobójczych, po przez Hajdnok, Oświęcim, Gibraltar, ale także i Lenino i Wał Porski, i Monte-Cassino, Berlin rzucony w proch i na kolana, po przez wiele cmentarzy i pomników poległych bohaterów - doprowadziły jednak do wymarzonej, wyślubionej, wolnej i sprawiedliwej, potężniejszej z dnia na dzień, z roku na rok Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

szwadroni szoszonego wyjącznie z Polaków i wchodzącego w skład Korpusu Dowódczo-Technicznego. Był lat 63 - zmarł ~~27.VIII.1935~~ 27.VIII.1935 roku. Jak widać powatarga się ostatnio w tych wspomnieniach nazwisko Dębór-~~Winiński~~ Winiński, był on ^{bowiem} ~~Winiński~~ ^{osobnie} w tym czasie dowódcą jednostki wojskowej stanowiącej odrodzone ramię powstałego z martwych wojska Polakiego, ^{vamiz} ~~szwadronu~~ z losy Narodu i Polski.

gotowe do walki

Przedstawiając w ostatnich, krótkich, jak by stylem telegraficznym ujętych, fragmentach życia, osiągnięć, doli i niedoli potomstwa pułkownika Szymona-Ignacego Przewdzie Rokobub Zuboczeńskiego, chciałem zobrazować jak spełniły się założenia wychowawcze podjęte na sejmiku rodzinnym w Benianiu na Litwie w roku 1831, chciałem pokazać drogi jakimi ówczesni Polacy szli i doszli w swoich dzisiejszych pokoleniach do Polski. A drogi te nie były przecież łatwe, prowadziły od Bytóra i katorgi, od przyległego do twierdzy Czeskiej placu straceń, po przez pola wielu walk na wielu różnych frontach Europy, po przez duchową rozterkę starł bratobójczych, po przez Hajdauk, Oświęcim, Sibraltar, ale także i Lenino i Smł Pomorski, i Ponte-Cassino, Berlin rzucony w proch i na kolana, po przez wiele cmentarzynek i pomników poległych bohaterów - doprowadziły jednak do wymarzonej, wytkniętej, wolnej i sprawiedliwej, potężniejszej z dnia na dzień, z roku na rok Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Wydało mi się, że trzeba i w tych wspomnieniach przytoczyć choć fragment tej pieśni, która była wówczas symbolem walki klasowej, buntem głodnych przeciwko sytem skierowanym, zwłastunem burzy, "buriewieścinnikiem" - oto słowa jej :

"Szaleństwu śmiałych śpiewamy chwałę ! W szaleństwie śmiałych twój zdrość życia. O śmiały Sobole ! Tyś krew swą oddał w śmiertelnej z wrogiem walce - lecz przyjdzie czas i krople krwi gorącej jak iskry zabłądną wśród mroków życia , i dużo śmiałych serc zapłonie szaleńczym pragnieniem wolności i światła !"...

Słowa te były dla młodych wezwaniem do walki przeciw odwiecznej krzywdzie społecznej, do walki długiej i wytrwałej i wyprowadzały młodych i odmądzonych z bierności, zrywały do otrząśnięcia się z naraznu ludzi biernych, ludzi "stadnych" ..

I młody człowiek, mój przyszyły ojciec, rozumiał te słowa, skuszanie uważając sprawy polskie jaknajbardziej uzależnione od panującego w Rosji reżimu. Życie dowiodło że nie mylił się. Zamożną młodzież tamtych czasów można by podzielić na dwie liczebno nierówne grupy : większość stanowili wojskowi i studenci pochodzący z arystokracji polskiej i rosyjskiej, z szlachectwa o szlacheckim rodowodzie , z rodzin wysokich dygnitarzy, przemysłowców i kupców - ci gromadnie wypełniali szkoły wojskowej; druga grupa, pochodząca z rodzin biedniejszych, kończyła uniwersytety lub szkoły przemienne wyższego typu.

Ojciec mój, po ukończeniu z wyróżnieniem podchorążówki, otrzymał przydział w stopniu podchorążego kawalerii do Czugujewskiego Pułku Ułanów. Kawaleria uchodziła w armii rosyjskiej za broń elitarną ze względu na swój odrębny " esprit de corps", źródło tego innego niż w innych rodzajach broni " ducha" tkwiło w pewnym luzie ^{związanej} wojskowej przy równoczesnej dużej tej służby obowiązkowości. Żołnierz miał tu więcej czasu na styczność z pułkiem, na przywiązanie się do swojej jednostki - stan liczebny jednostek był wyższy w czasie pokoju, rzadziej też niż w pułkach strzeleckich stosowane były w kawalerii zadany w składzie korpusu oficerskiego. W takim więc rodzaju broni rozpoczął swoją drogę życiową mój ojciec , radając sobie dobrze sprawą ze specyfiki tej broni, polegającej na dużej ruchliwości kawalerii tak przydatnej w ewentualnych przedziwianych wojnach ruchowych w tamtych czasach. Również dla stopienia i zahamowania pierwszego uderzenia wdzierającego się do kraju wroga jedynie kawaleria mogła być skuteczna - niebicie potwierdziła to niedawno ukończona kampania turecka w czasie której właśnie dywizja kawaleryjska Skinder-Paczy / byłego generała Ilińskiego/

nie tylko ścięła kliny wdzierających się w głąb Turcji wojsk rosyjskich i zahamował ich ofensywny ruch, ale nagłym i skutecznym uderzeniem z boku, odcięła te kliny od głównej armii rosyjskiej i zniszczyła je.

Czugujewski pułk ułanów, do którego skierowano mego ojca, miał swoją siedzibę w Równem, a więc niedaleko od gniazda rodzinnego Zubczewskich Dubna. Równe posiadało świetnie wyposażone koszary i bardzo dobrze urządzone stajnie, boiska i manerze ćwiczebne oraz inne urządzenia niezbędne dla tego rodzaju wojska, jak np. pola do cięcia łoży. ~~W~~ Gałęzie łoży były wtykane w specjalne stojaki, t.zw. Kozły/a takie pola kozłów miały bardzo ważne znaczenie dla ułanów i ich koni, stanowiły bowiem warunki zbliżone do pól przyszłych walk. Na wyćwiczenie dobrego cięcia łoży kładziono duży nacisk i wiele wysiłku wkładano w zdobycie tej umiejętności gdyż zaprawiało ono ułanów do sprawnego władania szablą trzymaną nie tylko prawą ręką, ale także i lewą, dłoń której musiała mieć również dużą siłę do cięcia łoży pod kątem udeźrzenia 45 stopni. Właśnie zajechanie wroga koniem z lewej strony powodowało jego zaskoczenie i upadek, przy czym ^{ułan} musiał mieć dobrze ułożoną rękę do takiego rodzaju ciosu, by nie obciąć ucha własnemu koniowi, odbywało się to przecież w szalonym pędzie, a oko/ułana musiało czujnie/obserwować nie tylko wroga ale i teren w którym nacierał, a na/którym sytuacja ciągle się zmieniała. Ta umiejętność decydował często i o pokonaniu wroga i o ochronie własnego życia, bo przecież wróg również mógł posiadać i tę i inne umiejętności, zwodu, uniku i ataku. Do specyficznego ukształtowania się sylwetki psychicznej ułana, żołnierza jazdy, przyczyniał się również w nierazłej mierze i jego koń, to zwierzę szlachetne, posłuszne i cierpliwe.-pieczę nad tą słabszą sycną istotą należała zawsze do najszlachetniejszych cech człowieka. Koran, święte pismo mahometan, zaczyna się od takiego psalmu: "szczęście człowiek może osiągnąć na grzbiecie górskiego konia - lub na piersiach rozoberanej kobiety".

Ojciec mój był w tym okresie młodym mężczyzną, silnie zbudowanym, o pociągającej postawie i sylwetce, zwłaszcza na koniu, z którym stanowił nierozdzielalną całość; od 7-go roku życia zaprawiany był do władania szablą i pistoletem i już w korpusie kadetów i szkole podchorążych znany był z wrodzonej sprawności obu rąk, do czego doszedł pilnymi lekcjami we władaniu nie tylko szablą, ale i pałaszem i floretem. Te prywatnie pobierane lekcje były

dla niego ojca wielką przyjemnością i obejmowały również
znajomość i sztukę władania różnego rodzaju bronią palną,
od pistoletu do 7-o strzałowego rewolweru bębnowego typu
"Ragan", produkowanego w Belgii i znanego ze świetnej jakości
i niezawodności działania. Rozwój duchowy, dojrzałość i
wyrobienie życiowe, a szczególnie osobowość ojca jego,
wywierły na otoczenie, kolegów ojca i jego ułanów, wpływ
dotatni - nie był też szarogumielym czy ~~innym~~ pyzonym, cechowała
go prostolinijność i bezpośredniość w stosunkach z ludźmi, ^{był}
wysagającym od siebie i od ludzi, ^u ~~du~~ stanowczym, sprawiedliwym
i towarzyskim - czesani tylko wybuchowym i gwałtownym w działaniu
Władał przy tym w nowie i pięknie, i to białe, językami,
po za ojczystym polskim: angielskim, francuskim, niemieckim,
rosyjskim, ukraińskim i litewskim. Ojciec jego i matka,
Katarzyna z Daszyńskich, nie oszczędzili ani środków dla
jego wykształcenia i przygotowania do przyszłej kariery
w wojsku, był bowiem jedynakiem, "Oczkiem w głowie" całej
rodziny, nie miał brata, i tylko cztery siostry: Lidkę,
Ludmiłę, Katarzynę i Marię - wszystkie wychowane w "Marij-
skim Instytucie dla szlachetnie urodzonych panien" w
Petersburgu. Władnie Ludmiła Zubczewska została żoną wetera-
nanego już poprzednio pułkownika Legionów Adama Borowicza, który
zginął w roku 1920 i spoczywa wraz z synem, również zabitym,
w Praspie. Mówiąc już o tej rodzinie weteranów, że w rodzinie
Borowiczów było siedmiu synów i osiem córek, zamieszkiwali
zimą na Podolu, na kresach wschodnich Polski gdzie posiadali
majątki ziemskie.

Ten więc dziarekif wiele obiecujący młodzieńcy udając
się na służbę kawalerystą do Równego, wstąpił po drodze
do swego dziadka Bikołaja-Szyrona Zubczewskiego lekarza,
którego bardzo kochał i przez którego był kochany. Oczekiwał
już tam ^{na} niego świetnie zbudowany bachmat - "inochołdziec", ko-
szący tę ^{na} radą i cenioną przez hodowców cechę, że tylną
nogę stawiał dokładnie w ślad przedniej, przez co janda stawała
się mniej męcząca. Wspaniałe też i pełne do niego wyposażenie
"rząd kowski", stanowiły present dziadka na pamiątkę lat jego
tragicznej młodości, kiedy to będąc właśnie w wieku obdar-
owanego wnuka, brał aż do roku 1855 czynny udział w walce
zbrojnej na Litwie w litewskim korpusie Gieyastera, stojącego
wtedy na czele rządu powstańczego, a następnie przez okres
2 lat w bohaterkiej partii partyzanckiej księcia Brzóska.

Wręczając kochanemu wnukowi ten cenny prezent - dziadek
likołaj powiedział : " ... bierz i pamiętaj, że dobry koń
bojowy jest tym najbliższym przyjacielem w walce i dociecze -
nigdy nie zdradzi aż do śmierci, a nie raz może przyczynić
się do uratowania twego życia - uważaj na siebie i na konia,
gdy może przyjdą lepsze czasy i będziesz służył w odrodzonym
Wojsku Polskim, śpiącym w letargu od roku 1831 -ego, od roku
śmierci twego dziadka, pułkownika Szymona - Stefana - Ignacego,
mego ojca, którego niedawno skąpo pamiętam - niech ci ten koń
służy długo i wiernie ... a kiedy przyjdzie czas, i będziesz
nasadzielnym dowódcą, bierz do swego oddziału, szwadronu czy
pułku, bierz tatarów krymskich, którzy tak jak ty czekają na
jutrzonką wolności i są dobrymi żołnierzami - ucz się też,
a masz do tego zdolności, ich języka ... stanowiska dowódców
obsadzaj w miarę możliwości rodakami, Polakami i Litwinami, a
także i Tatarami, oni już będą wiedzieli co czynić w chwili
odpowiedniej, chwila taka niechybnie nadejdzie a wtedy
najważniejsze jest mieć na czele oddziałów oddanych ludzi,
którzy pójdą za tobą wszędzie gdzie ich poprowadzisz - bądź
ostrożny i przebiegły, w służbie się nie zaniebaj - bądź
czujny, zaradczujny, nawet we śnie - bądź wymagający, ale zawsze
sprawiedliwy - dbaj o żołnierski wikt i opatrunek, a przede-
wszystkim o ich broń i zaopatrzenie, ufaj im ale sprawdzaj
wykonanie poleceń ... mówię ci to, bo sam przeszedłem przez
wir walki sbrojnej, przez Sybir i Katorgę - straciłem wszystko
oprócz honoru, bo honor, jak życie, jest tylko jeden !...."
Wysłuchawszy tych doświadczonych rad dziadka, ojciec mój
serdecznie mu podziękował za wspaniały dar - bachmat był
istotnie niezwykły : piękny gniady, szeroki i długi wałach, o
łanięcej sierści, puszystym ogonie i delikatnej, cienkocwałej
grzywie - był tak wspaniały, że na jego grzbiecie, mówił
dziadek Likołaj, można się nawet przespać.
Zegnając mogo ojca, dziadek zaopatrzył go nuro w wiktuały na
drogę, do gotówki, i powierzył "panier" oddanemu rodzinie ^{ruskiemu}
władcy inżenierowi, który miał od tam być ordynansem ojca,
dbać o niego i o bachmata - dobór ordynansa był wtedy przywi-
lejem podchorążego - a po za tym Petro miał za zadanie przeka-
zywanie rodzinie wiadomości o życiu i powodzeniu młodego
kawaleryisty.
Po przyjeździe do pułku ojciec mój zameldował swoje przybycie
u pułkownika-dowódcy, którym był wtedy von Berg, Niemiec z
pochodzenia, uzyskał od niego kilka dni przepisanego urlopu

Petro

przeznaczonego na urządzenie się i załatwienie swoich spraw osobistych, załatwił też służbowy przydział Petro jako swego ordynansa, porośbawił mu troskę o wynajęcie i urządzenie mieszkania i o buchata, zaінkasował przysługującą szkodemu oficerowi 500 rubli na urządzenie się w pułku - w co wchodziło też kupno konia, który stanowił osobistą własność babycy - i natychmiast, pierwanym pociągiem udał się do Dubna do rodziny.

Dubno w niedzielnym czasie zostało oducupione, przez podstawioną osobę, od generała rosyjskiego za kwotę 56 tysięcy rubli srebrna, jednak bez sanku i twierdzy przejętych przez "winstwoje wiadomstwo" /zarząd wojskowy/ celem wykorzystania obżernych lochów twierdzy na składki pocisków artyleryjskich, i innego sprzętu wojskowego, a nał sanku na koczary dla garnizonu i szpital wojskowy. Dubno stało się ważnym punktem strategicznym i służyło zaborezej Rosji jako punkt wypadowy w kierunku zachodnim, ^{all} dom - dworek rodziny Zubesewskich w Dubnie stał ^{sił} teraz znova gniazdem strupiającym i żaczącym członków rodziny - sprzyjało temu jego znakomite położenie nad samym wybrzeżem Itwy lóniącej czystą wodą, a miejscami zielenią zarastającą brzegi sawarów. Krótą drogą wiodącą przez park starych drzew dochodziło się do domu przed obżerną werandą, poschodach mających z każdej strony trzy kolunny podpiorające dach werandy; ściany domu osłaniało festonami daktie wino, a z okien odkrywał się malowniczy widok na rzekę, łąki i ciemniejący na horyzoncie las; z grządek i kłombów kwiatowych, starannie uprawianych przed domem, przenikał do wnętrza domu zapach rozedy, groźków pachnących i innych kwiatów, wól maciejki wypełniała powietrze z zachodem słońca, a szmer listowia wierzb pączących uzupełniał urok tego miejsca, zakłtka ojczyzny, w którym spędził swoje dzieciństwo - nie wątpię, że i ojciec mój, spędzając tam parę urlopowych dni przed rozpoczęciem służby wojskowej w ułańskim pułku w Równem, nie mniej żywo i głęboko odczuwał i przeżywał urok, spokój rodzinną atmosferą gniazda rodzinnego.

Równem, do którego wkrótce musiał wrócić, również pięknie położone i zabudowane, nazwą swą zawdzięczało Alfredowi Potockiemu, syn^{owi} Rosana, było jednym ze stu majątków wchodzących w skład olbrzymiej fortuny Potockich, pomnożonej ostatnio przez małżeństwo z Lubomirską, która w swym wianie wniosła Potockim także i śliczny pałac w Łucaciu na Bieszczowczyźnie.

Ostatni przebywający w Polsce przedwojennej członek tej magnackiej rodziny, Alfred syn Romana, bardzo towarzyski, muzykalny i ruchliwy, zorganizował swój własny chór i zespół taneczny złożony z oficjalistów dworskich i okolicznych chłopów, czyniąc sobie z tego rozrywkę i chyba jedyny cel próżniaczego życia; w roku 1944 opuścił kraj wywożąc z Łańcuta i innych swych pałaców najcenniejsze okazy ze swych wspaniałych zbiorów dzieł sztuki, a także 30 członków chóru i orkiestry. Jego ojciec, Roman, powstaniec z roku 1863, żył w bliskiej przyjaźni z moim dziadkiem Juliuszem ówczesnym dyrektorem łańcuckiego Seminarium Nauczycielskiego, a zapoznał ich ze sobą brat Juliusza, Nikołaj Zubczowski, towarzysz doli i niedoli Romana Potockiego na Sybirze i katordze, gdzie przebywali aż do roku 1872, do chwili amnestii dla skazańców pochodzenia szlacheckiego, amnestii nawet rozszerzającej prawa szlacheckie, lecz nie przywracającej prawa własności skonfiskowanych majątków.

Korpus kadetów i szkołę podchorążych opuścił mój ojciec w licznej grupie Polaków, w której byli, między innymi: Eustachy Sanguszek, syn powstańca z roku 1863, Aba Radziwiłł z Nieświeża / ożeniony z artystką-Nienką, z którą wkrótce uzyskał rozwód, ale unierajac zapisał jej milion rubli na pamiątkę, że była księżną Radziwiłłową /, i Rajewski - ta trójka trzymała się solidarnie i ojciec niejedne wakacje spędzał w ich majątkach na polowaniach, a szczególnie często bywał w tych czasach w majątku Sanguszków w Sławutach, gdzie nile zawaze był widziany jako młodzieniec dobrze wychowany, muzykalny, świetnie tańczący, przystojny i z dobrej rodziny. W domu Sanguszków zapoznał się z siostrą Eustachego, Eleonorą, panną bardzo zgrabną i muzykalną, lecz niestety oszpeconą przez częstą ówczesnie chorobę "czarną" ospę, która pozostawiała na ciele, a specjalnie nagwarzy liczne dołki i blizny. Sławuty Sanguszków były bardzo ładnym majątkiem ziemskim leżącym między Dubnem i Kijowem i stanowiły fortunę nie do pogardzenia, lecz ojciec mój zachowywał się z rzewną w stosunku do widocznie chętnie widzianej przez rodziców panny perspektywy mariażu, co tym lepiej świadczyło o osobowości mego ojca, że przecież Sanguszkowie wiedzieli iż kawaler nie posiada żadnego majątku, odkupiona bowiem resztówka w Dubnie przynosiła tylko tyle by wystarczało na skromne życie rodziny. Najbliższym jednak towarzyszem zabaw i figlów dziecinnych a potem studiów w korpusie kadetów i

pochoyżówce był rówieśnik ojca, o rok zaledwie starszy Adam Borowicz, który wszystkie swe wakacje spędzał w rodzinie Zubczewskich, kochając³¹² w siostrze ojca, Ludziele, która później została jego żoną. Było to małżeństwo bardzo udane i dobrane, małżeństwo "z prawdziwego zdarzenia", w którym miłość przerozdziła się w silne uczucie miłości rodzicielskiej z czasem kiedy na świat przyszło z tego małżeństwa piętnaścioro dzieci, potrzebujących tej miłości i troski o ich zdrowie, rozwój, wykształcenie i przyszłość.

Życie codzienne mego ojca w Czugujewskim pułku ułanów nie było zbyt urozmaicone, ale i wcale nie nudne dla żołnierskawychowawcy z powołania jakim był ojciec. Z zapałem więc prowadził ojciec codzienne ćwiczenia we władaniu szablą, w strzelaniu na strzelnicy, a także z po za leżącego konia, stosował w tych ćwiczeniach swoje specjalne środki i metody, starannie analizował codzienne meldunki z wyników nauki strzelania składane przez wachmistrzów, a z ułanów nie osiągniętych dobrych wyników tworzył odrębne grupy i obserwował ich postępy często sam wstawiając prawidłowość pozycji strzelca stojącego, kłęczącego czy leżącego na koniu. Wprowadził też pewien system "sportowych" zawodów wypłacając z własnej kieszeni 10 kopiejek strzelcowi za udany trafny strzał, przy czym ta nagroda udzielana była natychmiast. Uporczywość i pokysłowość ćwiczeń, a i ów system rywalizacji doprowadziły w krótkim czasie składający się z trzech plutonów szwadron ojca do zajęcia pierwszego miejsca w pułku w czasie odbywanych manewrów, i to zarówno w strzelaniu pojedynczym, salwami ale i w cięciu łoży. Dokonujący oceny przebiegów i wyników manewrów przedstawiciel "wojennego wladomstwa" generał Dragonirow z uznaniem podkreślił wazzechstromność i wynobi poziom osiągnięć szwadronu, a dowódca pułku von Berg wręczył memu ojcu przed stojącym na baczność pułkiem, swoją fotografię jako pamiątkę i wyraził służbowe specjalne podziękowanie - zwróciło to oczywiście na mego ojca uwagę generała.

Można sobie wyobrazić jak wielkie było zdumienie i rozczarowanie pułkownika Berga, kiedy ten w chwili nieobecności na kwaterze ordynansa Petra, wstąpił do pokoju ojca i zobaczył swoją fotografię przybitą nad drzwiami i całą potrzellaną kulami z Nagana. Ojciec mój sianowicie, nie lubiąc Niemców, użył fotografii pułkownika jako tarczy strzelniczej a miał zwyczaj zaraz po przebudzeniu i z poręcei leżącej, wyciągać z poduszki rewolwer, i dla wprawy wazytkie siedzieć

siedem kul z bębna umieszczając nicomal w tym samym środku fotografii wziętej akurat na wprost "tahty" i tapczanu na którym spał. W strzelaniu był mistrzem, a doskonałość tę osiągnął tak w drodze dziedziczności, Zubczewscy wszyscy byli znakomitymi strzelcami, jak i przezowienia trwające od siódmego roku życia. Po tym wypadku popadł oczywiście znakomity strzelec w niełaskę dowódcy pułku, ale nie bardzo się tym przejmował, bo służbowo przedował i nic nie można mu było zarzucić a prywatne życie oficerów nie podlegało ingerencji pułkownika.

I tak przeszło kilka lat w życiu mego ojca. W roku 1898 był już porucznikiem, a w 1900 został mianowany kapitanem świetnego pułku Czugujewskich ułanów. Rodzina, z racji częstych odwiedzin w Dubnie, nalegała na zawarcie przez ojca związku małżeńskiego z Eleonorą Sanguszkówną, ale ojciec kończył rozmowy na ten temat z rodzicami i siostrami stanowczym oświadczeniem, że nie jest przecież francuzem ale polakiem, i że żaden kęs strawy nie przeszedł by mu przez gardło na samą myśl że ożenił się nie z kochaną przez siebie kobietą ale z majątkiem.

Jedną z takich rozmów skończyła się rozstaniem z rodziną bez pożegnania, bo ojciec wyszedł w gniewie z gabinetu swego ojca gdzie odbywała się rozmowa, kazał osiodłać baczka i udał się w drogę do Równego.

Droga była długa więc ojciec mój wstąpił po pewnym czasie do majątku ziemskiego, którego właściciel, znajomy z jakiegoś spotkania, zaprosił go na odbywającą się właśnie w dworze jakąś okolicznościową zabawę. Przedstawiono ojca gościom, zabawa była świetna, przygrywała znakomita orkiestra dęta stacjonującego w pobliżu pułku kozaków Dońskich, ojciec był znakomitym tancerzem więc, chcąc się wyładować i rozproszyć przykre wrażenie z rozstania się z rodziną, pierwszy raz w życiu bez pożegnania się z kochanym i szanowanym ojcem, bawił się i tańczył "na całego", uwodząc w tańcu panienkę za panienką. Na jego nieszczęście ostatnią panienką z którą tańczył i w tańcu flirtował, była córką właściciela majątku w której rozkochany był esauk Iłaiłow - esauk to stopień oficerski w wojsku kozackim odpowiadający randze kapitana. Ojciec mój przez cały czas pozornie beztroskiej zabawy dręczony był myślą, że nie jest w porządku w stosunku do ojca swego, który był jakby typowym feudałem dużego formatu: namiętny myśliwy, pewny siebie, rycerski, uprzejmy, zachowujący czerstwość do późnej starości, wielbiciel książek

wielbiciel tradycji godzący ją jednak z umiłowaniem postępu, znający kilka języków, umiejący zjednywać sobie wszystkich, swobodny w obcowaniu z ludźmi różnych, nawet wysokich sfer, wrażliwy, niezależny, pozbawiony pychy - wszystko to tkwiło w świadomości nego ojca, uśmęconej poczuciem winy, gdy odprowadzał na miejsce swoją tancerkę, ładną i uroczą córkę gospodarza domu Wandę Zakrzewską. I w tym właśnie momencie został napadnięty z nienacką przez dobrze już podpitego, wspomnianego esauła Izmaikowa, który przyskakując do ojca zerwał mu z ramiion epolety / naramienniki / oficerskie. Nie znający bliżej podłoża tego czynu, ani jego sprawcy, ojciec mój wręczył esaułowi swój bilet wizytowy i powiedział mu że zachowuje się ^{jak} w tajemnicy nie jak przystoi oficerowi "w jego carskiej Wysokości". Na to esauł porwał się do szabli i wyciągnął ją już do połowy, nie zdążył jednak dalej, gdyż ojciec mój chwycił go jedną ręką za dłoń trzymającą gardę szabli, a drugą za kark i wyrzucił podpitego kozaka za drzwi.

W tych czasach równało się to pohańbieniu munduru, co dotyczyło całego pułku, i pomimo zakazu odbywania pojedynków powinno być zmyte krwią.

Po tym niespodziewanym i bardzo przykrym wypadku ojciec przeprosił gospodarza za niezawinione zajście i udał się do wskazanego mu gościnnego pokoju, gdzie zasiadł zaraz do pisania listu do ojca z przeproszeniem za odjazd bez pożegnania, z zawiadomieniem o przemyślonym przed chwilą wydarzeniu i o spodziewanym pojedynku z esaułem kozackim. Tak wesoły, gościnny dom uciszał się - uczestnicy zabawy szybko rozjeżdżali się do domów pod przykrym wrażeniem zajścia.

Rankiem zjawiko się w pokoju ojca dwóch oficerów z pułku Kozackiego Wojska Dońskiego celen uzgodnienia miejsca, czasu i warunków pojedynku, do którego wyzywał ojca esauł. Piotr Izmaikow. Ojciec zwrócił się do obecnego w pokoju pana Zakrzewskiego z prośbą o przyjęcie funkcji jego sekundanta i dobranie sobie jeszcze jednego odpowiedniego człowieka na drugiego oraz uzgodnienie szczegółów pojedynku z oficerami sekundantami esauła. Innego, jakiegoś pośredniego sposobu załatwienia sprawy nie było, nie przyjęcie wyzwania było bowiem równoznaczne z opuszczeniem szeregów wojska, rozgłos zajścia był olbrzymi, świadków było przecież wielu, wokolicy szumiło jak w ulu.

Pojedynek miał się odbyć tego samego dnia na krótko przed

zachodem słońca, wybór broni należał, zgodnie ze zwyczajami, do haniebnie wyrzuconego z sali balowej Izmaitowa. Ponieważ ojciec był znanym na całym Podolu i Wołyniu szermierzem, esauł wybrał broń palną - rewolwer belgijski typu "Nagan". Po załatwieniu tych formalnych przygotował do pojedynku i po pożegnaniu państwa Zakrzewskich, udał się ojciec do urzędu pocztowego gdzie nabrał list do swego ojca po czym wstąpił do przyboszcza parafii, z którym razem skierowali się do kościoła, i tu, przy konfesjonle ojciec wypowiedział się i wyspowiadał przed księdzem Sokolnickim oraz prosił go, by w razie jeśli zostanie zabity, zawiadomił o tym pułkownika Stefana-Szymona Zubczewskiego w Równem, gdzie także zakwaterowany był Ochotski pułk strzelecki.

Na godzinę przed zachodem słońca, chcąc się nieco odprężyć nerwowo i uzyskać równowagę, udał się ojciec na wyznaczone miejsce. Leżało ono o parę kilometrów na skraju lasu i zagajnika brzoźowego. Wkrótce podjechała też do tego miejsca kawalkada konnych oficerów pułku kozaków Dońskich z oficerem-lekarzem pułku. Po złożeniu wzajemnych ukłonów z daleka, jeden z sekundantów rzucił w górę srebrnego rubla - w czasie wzbijania się monety do góry esauł powiedział: "wybieram ~~rubla~~" - "rowers", podchwycił mój ojciec. Srebrny rubel spadł na polaną orłem do góry - tym samym prawo oddania pierwszego strzału zostało wylosowane dla esauła Izmaitowa.

"awers"

Sekundanci odmierzyli teraz 25 kroków i w środku tego odcinka wetknęli dwie szable - lekarz wyjął z kufra i rozłożył na skraju zagajnika bandażę, marłę i watę. "Proszę zająć pozycje i rozejść się!" wydal polecenie sekundanci, po uprzednim sprawdzeniu dokładnym rewolwerów, broni osobistej pojedynkujących się i jej nabożów. Esauł, ~~który~~ przysługiwano prawo, oprócz wyboru broni i oddania pierwszego strzału, jeszcze prawo wyboru miejsca, czyli strony odcinka, ojciec zaś stanął mając ~~przy~~ sobą zachodzące słońce, którego promienie nieco go oslepiły. Stojąc tak w obliczu niewiadomego postanowił sobie w duchu, że jeśli nie zostanie zabity, to swój strzał odda w powietrze - zajął więc pozycję bokiem do przeciwnika, przykrywając w ten sposób swoją twarz i skroń trzymanym w rękę rewolwerem - duszę swą polecił Bogu. Wiedział bowiem że kozacy, a szczególnie ich oficerowie, są mistrzami w strzelaniu z tego rodzaju broni. Czekał. Izmaitow w uczuciu pragnienia swej zemsty, przesadził i celował na zmianę to w głowę to w pierś mego ojca, którego

tak zdenerwowało to oczekiwanie ześcisniętymi zębami na śmiertelny strzał, że nie usłyszał huk strzału oddanego przecież z tak bliskiej odległości 25 metrów, usłyszał natomiast, tuż koło prawego ucha, świst kuli, która miała mu przynieść śmierć - i wtedy, prawie nie celując, z podniesienia ręki uzbrojonej w rewolwer oddał jeden strzał, był to jednak strzał śmiertelny, gdyż pomimo odlepiających w tym momencie promieni słońca kula trafiła pod brodawkę lewej piersi esauła przeszywając serce nieszczęśnika. Opowiadał mi ojciec, iż stało się to w zapomnieniu o postanowieniu oddania swego strzału w powietrze, w zdenerwowaniu do którego doprowadził ojca Izmaïłow celując to w głowę ojca, to w pierś, i tym powodując poprostu odruchowe drgnięcie ręki ojca i jego śmiertelny strzał.

Skutki tego pojedynku dla mego ojca były fatalne: wyrokiem Sądu Wojskowego został skazany na rok i sześć miesięcy twierdzy Piotropawłowskiej / nad Newą w Petersburgu/, pozbawiony stopnia i rangi kapitana kawalerii i przeniesiony do rezerwy w stopniu porucznika. Tak więc nieposzanowanie woli ojca przyczyniło się pośrednio do radykalnej zmiany sytuacji życiowej mego ojca, do utraty zdobytego stopnia wojskowego i tak odpowiadającej mu pracy - nie stracił ^{otuchy} mój dzielny ojciec jednak i w warunkach odsiadania kary w więzieniu twierdzy Piotropawłowskiej, nie zakamzał się, zgromadził potrzebne książki i rozpoczął intensywne przygotowania do studiów w Akademii Piotrowsko-Razumowskiej - był jeszcze kawalerem, był zdrowy i młody, był Polakiem, czuł się niewinnym, widział przed sobą przyszłość w pracy dla kraju i rodaków.

Nie jednak rozpoczną relację z przebiegu dalszych dni i lat
o jego ojca chce teraz nieco szerzej, smikliwiej i głębiej
narysować sylwetkę wspomnianego już sługi- przyjaciela ojca,
Petra, jako reprezentanta dość powszechnego ówczesnie typu
"wiernego sługi", który tę służbę postrzega jako wierne i bez
reszty oddanie rodzinie, panu, pani czy paniczowi.

Petro Jagas był s. n. litwinem i ż. rusinki imieniem Katarzyna.
Ojciec jego brał czynny udział w walkach wywołanych partią
powstańczej księdza Brzóska, aż do momentu ostatniej bitwy tej
partii i jej rozbitku w roku 1965 na terytorium Litwy. Został
wówczas ranny i w warunkach ucieczki i krycia się, pozbawiony
możności uzyskania specyfików lekarskich, dostał gangreny i
był bliiski śmierci. Dzielny zwiadowca, świadomy swej zbli-
żającej się śmierci, opiekował się mój dziadek, również członek
partii księdza Brzóska, lekarz lichołaj - Szymon Zubczewski -
i jego właśnie konający partyzant Jagas uprosił o opiekę nad
jedynym synem, nieletnim jeszcze Petrom, trochę o którego
losy zatruwała ostatnie dni Jagasa. Dziadek lichołaj Szymon
przyrzekł swemu towarzyszowi broni, że jeśli tylko zachowa
się przy życiu opiekując się chłopcem i jego matką.

Złożyło się też tak szczęśliwie, że dziadek lichołaj przetrwał
niewolę, Sybir i katorgę, skąd listownie jeszcze usilnie
prosił swoją rodzinę w kraju o zaopiekowanie się wdową i synem
zmarłego Jagasa. Spełniając tę prośbę dziadka bliższa rodzina
jego zabierała matkę Petra i chłopca do swego domu i zatrudniła
Katarzynę jako gosposię. Dzielna ta kobieta potrafiła należycie
wychować zdrowego i ładnego chłopca w szacunku i miłości dla
opiekunów, a nie znając prawie wcale języka litewskiego, rozma-
wiała z nim swym ojczystym, jako pięknym językiem rusińskim.
Język ten był językiem powszechnie używanym wtedy na wschodnich
rubieżach Polski nawet w dworzach szlacheckich, a edukację w języ-
ku polskim rozpoczynały dzieci szlacheckie dopiero po urodze-
niu 7-ego roku życia. Rósł więc Petro i uczył się z dziećmi
rodziny dziadka lichołaja, nabierając przywiązania do rodziny
Zubczewskich, do dzieci, a szczególnie do panicza Sergiusza-
Stefana, nego ojca, od którego był o siedem lat starszy.
Linaż już wtedy Petro, jak to się mówi: "swój rozum", znał
życie i wiedział, że buki z masłem nie spadają same z nieba,
lecz trzeba na nie pracować - wyrabiał się w nim patriarchalny
stosunek do nego ojca, a szczególnie do dziadka, w którym
widział człowieka, którego tyle zawdzięczała jego matka i on.

Z tego poczucia głębokiej wdzięczności i oddania dla rodziny, w której znalazł swój dom, wpływało też poczucie odpowiedzialności za dobro, zdrowie, powodzenie i szczęście swego panicza Sergiusza, któremu w służbę oddał jego, Petra, Pan Doktor Nikołaj.

Już pierwszy objaw zrozumienia tej troski o panicza przejawiał Petro w parę dni po przybyciu Panicza, do pułku w Równem. Ojciec mój obudził się rano po tym dniu bogatym we wrażenia i zakończonym oczywiście "oblewaniem szlifów oficerskich" w gronie nowych kolegów - oficerów w kasynie oficerskiej, z nieznośnym bólem głowy, niesmakiem w ustach i złym samopoczuciem - zawoławszy więc Petra udał się z nim do studni z zórawien gdzie, po zdjęciu koszuli, kazał Petrovi wylać na siebie, na głowę i plecy, parę ^{wiadły} ~~studni~~ zimnej studziennej wody, co prawie natychmiast przywróciło mu równowagę ducha i pogodny nastrój. Po ogoleniu się i wystrojeniu w parady mundur, udał się więc poręcznik Sergiusz, korzystając z wolnego dnia, do miejskiego parku, wynalazł zaciszną ławeczkę i zażywał rozkosznego wypoczynku i betroski tego pięknego majowego dnia. Palił papierosa i obserwował kółeczka unoszącego się dymu z takim zainteresowaniem, że nie zauważył nawet kiedy podeszła do ławki i usiadła obok niego młoda cyganka. Była młoda i zgrabna, w barwnej chustce na plecach, z naszyjnikami i koralami, a w małym uszku miała srebrny kolczyk. Nim zdążył jeszcze te kuszące szczegóły i uśmiech wiele obiecujący zaobserwować, usłyszał propozycję że: "cyganka powróży - cyganka prawdę powie - niech tylko pan oficer poda lewą rękę, lewą bo ta bliżej serca". Poręcznik Sergiusz, w dobrym nastroju podał jej rękę, wysłuchał z uśmiechem świetnych perspektyw swego losu i romantycznych przygód, dał cygance trzy ruble za znakomitą wróżbę, i odchodząc zaprosił cyganczką do siebie na kwatere, dziś jeszcze wieczorem, obiecując też jej wznanie powróżyć i prawdę powiedzieć. Cyganka z zalotnym błyskiem w oczach obiecała przyjść. Po powrocie z parku i spaceru poręcznik Sergiusz wezwał do siebie Petra i dając mu rubla, zwolnił go na wieczór aby mógł się trochę w mieście zabawić; a rano na się stawić bo na jutro zapowiedziane są ćwiczenia w rąbaniu żoły szablan, a dzień zapowiada się gorący i uciążliwy. Po odejściu Petra do miasta, młody poręcznik przygotował stół z zakuskami wśród których nie brakło i znakomitego astrachan-skiego kawioru, no i oczywiście baterii butelek z trzygwiazdkowym koniakiem Szustowa na czele. Oczekiwanie na cyganką jednak

denewrująco się przedłużało, ponętna cyganczka nie radcho-
dziła choć zapadł już zmierzch i wreszcie noc.

Nie doczekawszy się gościa doczekał się porucznik powrotu
Petra i z nim razem, sam bowiem nigdy alkoholu niepił, w
sali w saliście Petra spalałszy przygotowane smakołyki i
zakąski zakrapiając je zlebką koniakiem. Petro przyjął
poczęstunek spokojnie i zwyczajnie, sprzątnął po kolacji
i życząc ponieczowi dobrej nocy odszedł do przedpokoju gdzie
miał swoje łożo i kąt. Po kilku tygodniach spędzonych w codzien-
nej pracy szkoleniowej na poligonie, pułk opuścił koszary
i udając się na manewry zamieszkał w namiotach, porucznik
wraz ze swoim ordynansem udali się konno do Równego.

Tutaj ^{ojciec} spotkał przypadkowo znaną cyganczkę uroczą i usłyszał
od niej że: "pan oficer jest kpiarzem, zażartował sobie ze
mnie w perfidny sposób, zaprosił na wieczór, a ordynans
spotkawszy ją w drodze zapowiedział żeby nie zbliżała się do
kwatery oficera bliżej niż na odległość strzału z karabina,
bo ją tak zbije, że jej rodzony ojciec i matka nie poznają".
Domyślił się wówczas mój ojciec w czym rzecz, rozosił się
i dał cyganczce, na pocieszenie, rubla. Po powrocie do
pułku, oddając Petrovi rachmata, zapytał go jak on śmiał tak
znieważać cyganczkę - na co Petro odpowiedział: "a szczerze to
panycz sobie myśli? - przyjdzie takie coś, za przeproszeniem
przyniesie pańkudnej choroby - nie, mój panyczu, moja ty
detyno - łatwa zabawa, ale długie leczenie, a ona jak
przyozła do panycza to miała już innych - a jak bym ja wyglądał
w oczach nego chlebobawcy, Starszego Pana? "

Tacy bywali wtedy ordynansi, niadka, a przede wszystkim
cskowiok, przyjaciel panycza.

Nie ma co gadać, powiedział ^{wtedy} mój ojciec, "dziękuję ci
bracie serdecznie, bo ja nawet nie pomyślałem o tym - nie ząsta
nowikiem się nad tym że każda taka przygoda może skończyć się
tragicznie - nasz rację: lepiej gnąć po śmierci niż za życia".

Ta przestroga pozostała na zawsze w naszej rodzinie, i kto
wie czy, opowiadając mi kiedyś tę historię, nie uczynił tego
mój ojciec świadomie, byłem bowiem wówczas w okresie dojrze-
wania płciowego.

W czasie pojedynku ojca mego z esaułem Izmiłowem, Petro
sekundował memu ojcu i drżał cały z przerażenia na widok
sadyzycznych prób esauła doprowadzenia ojca do zdenerwowa-
nia celowaniem to w głowę to w pierś ojca, rodził się też
gorąco do "Proczytanej Bogorodcy" o łaskę dla młodego pana

o darowanie życia . Ale kiedy pojedynek zakończył się szczęśliwie dla mojego ojca Petro nie odessał wytknąć swemu paniczowi całą szkodliwość porywczoności i gwałtowności w jego postępowaniu : " ... mój Boże ! - i trzeba było tego nieszczęścia ! - a wszystko to przez nieposzanowanie woli rodziców i brak pokory u panicza ! ... " , na co otrzymał również charakterystyczną dla młodego Zubczewskiego odpowiedź : " Przecież nie jestem ani księdzem ani aniołem ! " .

" Było i niema - przeminęło z wiatrem ... " - takim słowami młody jednak dodawał sobie otuchy - odczuwał jednak że zabicie człowieka, nawet w pojedynku władzie na niego powie piętno, stawał się teraz bardziej powściągliwy , zamknięty w sobie, choć Petro przyznawał, że śmierć esuka była w dużej mierze skutkiem jego zapalczywej nęciwości , że ta przesada w pragnieniu zabójstwa spowodowała drgnięcie ręki i niecelny strzał.

Przytoczę tu jeszcze jedno wydarzenie świadczące przekonująco o głębokości przyjaźni i mocy poczucia odpowiedzialności za swego panicza jaką odznaczał się Petro.

Otóż w okresie epidemii cholery , nie rzadko w tych czasach pojawiającej się i w Równem , ojca mego, jako podejrzanego o tę chorobę, zabrano , zgodnie z surowymi nakazami separacji chorych i podejrzanych o chorobę, do szpitala garnizonowego w Równem. Zaskoczenie przez tę epidemię było całkowite , chorych umieszczano już w hallach, na korytarzach, budowano pośpiesznie baraki gdzie można by było pokonać chorych szeregowców . Huczelnny lekarz szpitala, wspomniany już tutaj Zdanowicz, umieścił ojca mego w osobnym pokoju, gdzie leżał już tylko jeden na pół przytomny oficer piechoty. Powietrze w pokoju było gorące i ciężkie, przesączone zapachem, a raczej odorem, liżolu i karbolu używanego w szpitalach dla celów dezynfekcyjnych; pomiędzy łóżkami w szpitalnym trójnogu stała lampa t.zw. " nożnica " czyli " białawica " typu naftowo-śarowego. Ponieważ że ojciec mój miał bardzo silny organizm i nigdy dotychczas nie chorował dobrze jednak zdawał sobie sprawę że cholera to nie przelewki, i że z masową śmiertelnością przez cholere zwykle powodowaną niema żartów. Gdy więc obudziwszy się o północy i nie słysząc żadnych oznak życia , ani nawet najbliższego oddechu ze strony sąsiedniego łóżka, domyślił się że ów oficer piechoty już skonał, ojciec mój zaczął intensywnie myśleć nad tym co by zrobić aby uniknąć podobnego losu - w tym momencie wzrok jego padł na lampę naftową stojącą między łóżkami, co przypomniało

mu że nafta ma również właściwości środka dezynfekującego - wyciągnął więc rękę, ujął lampę i przykrciwszy pionien odkręcił kurek zbiornika nafty i wypił kilka sporych łyków tego płynu. O dziwo, wkrótce po odstawieniu ~~lampy~~ ^{lampy} na stół poczuł się lepiej, rzeświej, nabrał otuchy i czołżył na dalsze skutki tego impowizowanego jako ostatnia deska ratunku, płynu. Nad ranem do pokoju szpitalnego wśliznęła się jakaś wielka postać w białym fartuchu, z owiązanymi chustą ustami i nosem, a znajomy i tak przyjazny głos Petra odezwał się tyimi słowami: "Niech panicz prędko wstaje, nałoży ten chłałat i opaskę na usta i nos, dla niepoznaki ~~po~~ ^{po} uszy, ; trzeba się ratować i uciekać z tego przeklętego ogniska zarazy i śmierci!". "Dobrze - ale jak?" - zapytał nój ojciec. Petro rozejrzał się po pokoju i dostrzegłszy sztywnego już oficera piechoty na drugim łóżku, wybiegł z pokoju, mówiąc "już wiem jak!" - niech panicz pośpieszy się z przebieraniem!". Po chwili wrócił niosąc nosze szpitalne i gumowe reżawiczki używane w szpitalu przy pracy, takie jakie miał również sam. Następnie podniósł zmarłego oficera i ułożył zwłoki na noszach, przykrył je prześcieradłem i polecając ^{ojcu} ująć rączki noszy od strony głowy ruszył do drzwi. Tak ponieśli zwłoki oficera do kostnicy, nie zwracając tym zwykłym i częstym pochodem uwagi ani personelu szpitala przeciążonego pracą ani żołnierzy wartowników. Po złożeniu zwłok w kostnicy obaj udali się następnie z noszami do Bloku Sanitarnego gdzie poddali się gruntownej zapobiegliwości higieniczno-odkażającej, gorącej kąpieli pod prysznicem, przebrali się w czystą bieliznę, a ojciec także w przygożowane przezornie przez Petra odpowiednie ubranie - i tak zabezpieczeni, przez boczne wejście, stworzone dorobionym również przez Petra kluczem, wyszli po za teren szpitala, wsiadli na konie, bachmeta i klacz Petra, i pojechali do mieszkania. Tutaj ojciec nój, przekłamawszy już zbawczą naftą tak odważnie wypitą, najgorszą falę cholery, w krótkim czasie powrócił do zdrowia i sił, a po paru dniach zdrów jak ryba i do swego pułku. Tajemnicze zniknięcie ojca ze szpitala doprowadziło do wielkiego zamieszania cały szpitalny personel, który wreszcie, nie mogąc dociec prawdy, uznał że Sergiusz Zubczewski zmarł w trwałym stanie i został pochowany z innymi licznymi ofiarami epidemii. Taki był Petro Jagas, który dla swego panicza, dla swej "detyny" zdobył się na tyle inwencji, poświęcenia, odwagi i samozaparcia.

Wracając teraz już do sycia i łonów ojca mego Sergiusza Stefana Sołkohub-Zubczewskiego, bynajmniej nie sążnanego na skutek nagłego i radykalnego zwrotu jaki nastąpił po pojedynku z szulcem, z satyrafską synowską muszę tutaj stwierdzić, iż po odbyciu kary w twierdzy Petropawłowskiej i posylnym złożeniu egzaminu w charakterze eksterna na Wydziale Przyrodniczo-Matematycznym w Akademii Rolniczej znajdującej się w miejscowości Pietrowsko-Bazumowskoje pod Moskwą i po otrzymaniu dyplomu i tytułu inżyniera leśnictwa, ojciec mój udał się do rodzinnego Dubna. Pragnąc jaknajprędzej poświęcić młode siły i dużo zapaku pracy dla rodaków, postarał się i otrzymał wprost, przy pewnej pomocy Prezesa Urzędu Ziemińskiego Borysa, Nikołaja Frawdzie Sołkohub-Zubczewskiego, państwową posesję nadleśniczego w Sarnach na Wołyniu. Tutaj poznał ojciec pannę Eugenię Dymińską, nauczycielkę 2-klasowej szkoły, córkę akademika Józefa Dymińskiego i Olimpii domu Markowskich. Poznanie było romantyczne i patriotyczne zarazem, niłość była prawdziwie wielką i przecywiście wzajemna od pierwszego spojrzenia, że też w krótkim czasie młoda para stanęła na słubnym kobiercu, małżeństwo trwało 36 lat, a owocem jego było: czterech udanych chłopców: Nikołaj, Wład^zimir, Stefan i Jerzy - i jedna tylko córka Maria.

Nie mogę tutaj oprzeć się chęci przeżycia czytającą tę kronikę okoliczności tego właśnie romantyczno-patriotycznego zapoznania się meich rodziców - a było to tak:

Do przybycia do Sarn, siedziby swego nadleśnictwa i miejsca swej pracy ojciec miał obowiązek złożenia wizyt służbowych miejscowym notablom, a w pierwszym rzędzie staroście, /"nacelnikowi ujezda"/, inspektorowi /konendantowi policji/ i burmistrzowi miasta Sarny. Wizyty te składał nowy nadleśniczy wystrojony w przepiękny mundur i dobrze strojony płaszcz z paskami i naraniennikami nadleśniczego, płaszcz ³⁴zapinany na dwa rzędy złożonych guzików z drugowym ortem, z lewej kieszeni płaszcza wystawała garda szpady, przykutującej do paradnego stroju, szpady której pochwa ukryta była po przeciw otwór w kieszeni, pod spodem płaszcza. Na głowie miał ojciec ciemno-granatową furaczkę z zielonym otokiem i kokardą. Ciężkie wąsy i szaro-niebieskie oczy na twarzy tego młodego jeszcze, dojrzalego-liczącego 31 lat, mężczyzny jego elegancka sylwetka, ujmujący uśmiech i wytworna postawa rzucała się w oczy mieszkańców Sarn.

Młody nadleśniczy właśnie wraca z odbytych, nie bardzo przyjemnych i "smacznych" ale obowiązujących, wizyt złożonych przedstawicielom władz Cera Mikołaja II urzędujących w "Nadwiślańskim Kraju", wraca z ulgą do swej nadleśniczówki i przechodzi obok 2-klasowej Szkoły, już na przednieściu Sarn, szkoły miejskiej, w której niedawno zaczął się nowy rok szkolny 1901-1902. Jesień jest ciepła, pogoda ładna, słońce świeci - okna szkoły są otwarte, a przez okna bardzo dobrze słychać recytowany na dwa głosy wiersz Wincentego Pola - recytowany z wdziękiem i uczuciem, recytowany w pięknej wzruszającej polszczyźnie - pomimo istniejącego zakazu używania w szkołach języka polskiego. Zaskoczony tym niezwykłym na ówczesne czasy "słuchowiskiem" ojciec przystanął i z zachwytem słuchał pięknego i dźwięcznego języka wiersza - a pierwszy głos recytującego brzmiał specjalnie młodo, a dźwięcznie i donośnie: "Kto ty jesteś?" - "Polak mały" - brzmiała odpowiedź drugiego ucznia - "Jaki znak twój?" - pytał pierwszy głos. "Orzeł biały!", cienkim, dziecięcym głosikiem odpowiadał głos drugi. "Gdzie ty ~~zabawiasz się~~ mieszkasz?" - "Między sweni" - "W jakim kraju?" - "W polskiej ziemi" - "Czym ta ziemia?" - "Mą ojczyzną!" - "Czym zapyta?" - "Krwia i blizną!" - przeplatały się pytania i odpowiedzi.

"Ach jak to dobrze" - myślał ojciec słuchając tych wzruszających słów - "... więc żyje - więc nie zginęła - jest gdzieś tutaj wśród tych dzieci?" - myśli, i impulsywnie wchodzi przez furtkę, przez drzwi szkolne, do sali o otwartych oknach, przez które usłyszał głos ojczyzny. Pierwsze wrażenie było piorunujące; sylwetka i ¹ ~~pa~~ ² ~~pa~~ ³ ~~pa~~ ⁴ ~~pa~~ ⁵ ~~pa~~ ⁶ ~~pa~~ strój ze szpadą ⁷ ~~pa~~ ⁸ ~~pa~~ ⁹ ~~pa~~ ¹⁰ ~~pa~~ ¹¹ ~~pa~~ ¹² ~~pa~~ ¹³ ~~pa~~ ¹⁴ ~~pa~~ ¹⁵ ~~pa~~ ¹⁶ ~~pa~~ ¹⁷ ~~pa~~ ¹⁸ ~~pa~~ ¹⁹ ~~pa~~ ²⁰ ~~pa~~ ²¹ ~~pa~~ ²² ~~pa~~ ²³ ~~pa~~ ²⁴ ~~pa~~ ²⁵ ~~pa~~ ²⁶ ~~pa~~ ²⁷ ~~pa~~ ²⁸ ~~pa~~ ²⁹ ~~pa~~ ³⁰ ~~pa~~ ³¹ ~~pa~~ ³² ~~pa~~ ³³ ~~pa~~ ³⁴ ~~pa~~ ³⁵ ~~pa~~ ³⁶ ~~pa~~ ³⁷ ~~pa~~ ³⁸ ~~pa~~ ³⁹ ~~pa~~ ⁴⁰ ~~pa~~ ⁴¹ ~~pa~~ ⁴² ~~pa~~ ⁴³ ~~pa~~ ⁴⁴ ~~pa~~ ⁴⁵ ~~pa~~ ⁴⁶ ~~pa~~ ⁴⁷ ~~pa~~ ⁴⁸ ~~pa~~ ⁴⁹ ~~pa~~ ⁵⁰ ~~pa~~ ⁵¹ ~~pa~~ ⁵² ~~pa~~ ⁵³ ~~pa~~ ⁵⁴ ~~pa~~ ⁵⁵ ~~pa~~ ⁵⁶ ~~pa~~ ⁵⁷ ~~pa~~ ⁵⁸ ~~pa~~ ⁵⁹ ~~pa~~ ⁶⁰ ~~pa~~ ⁶¹ ~~pa~~ ⁶² ~~pa~~ ⁶³ ~~pa~~ ⁶⁴ ~~pa~~ ⁶⁵ ~~pa~~ ⁶⁶ ~~pa~~ ⁶⁷ ~~pa~~ ⁶⁸ ~~pa~~ ⁶⁹ ~~pa~~ ⁷⁰ ~~pa~~ ⁷¹ ~~pa~~ ⁷² ~~pa~~ ⁷³ ~~pa~~ ⁷⁴ ~~pa~~ ⁷⁵ ~~pa~~ ⁷⁶ ~~pa~~ ⁷⁷ ~~pa~~ ⁷⁸ ~~pa~~ ⁷⁹ ~~pa~~ ⁸⁰ ~~pa~~ ⁸¹ ~~pa~~ ⁸² ~~pa~~ ⁸³ ~~pa~~ ⁸⁴ ~~pa~~ ⁸⁵ ~~pa~~ ⁸⁶ ~~pa~~ ⁸⁷ ~~pa~~ ⁸⁸ ~~pa~~ ⁸⁹ ~~pa~~ ⁹⁰ ~~pa~~ ⁹¹ ~~pa~~ ⁹² ~~pa~~ ⁹³ ~~pa~~ ⁹⁴ ~~pa~~ ⁹⁵ ~~pa~~ ⁹⁶ ~~pa~~ ⁹⁷ ~~pa~~ ⁹⁸ ~~pa~~ ⁹⁹ ~~pa~~ ¹⁰⁰ ~~pa~~ ¹⁰¹ ~~pa~~ ¹⁰² ~~pa~~ ¹⁰³ ~~pa~~ ¹⁰⁴ ~~pa~~ ¹⁰⁵ ~~pa~~ ¹⁰⁶ ~~pa~~ ¹⁰⁷ ~~pa~~ ¹⁰⁸ ~~pa~~ ¹⁰⁹ ~~pa~~ ¹¹⁰ ~~pa~~ ¹¹¹ ~~pa~~ ¹¹² ~~pa~~ ¹¹³ ~~pa~~ ¹¹⁴ ~~pa~~ ¹¹⁵ ~~pa~~ ¹¹⁶ ~~pa~~ ¹¹⁷ ~~pa~~ ¹¹⁸ ~~pa~~ ¹¹⁹ ~~pa~~ ¹²⁰ ~~pa~~ ¹²¹ ~~pa~~ ¹²² ~~pa~~ ¹²³ ~~pa~~ ¹²⁴ ~~pa~~ ¹²⁵ ~~pa~~ ¹²⁶ ~~pa~~ ¹²⁷ ~~pa~~ ¹²⁸ ~~pa~~ ¹²⁹ ~~pa~~ ¹³⁰ ~~pa~~ ¹³¹ ~~pa~~ ¹³² ~~pa~~ ¹³³ ~~pa~~ ¹³⁴ ~~pa~~ ¹³⁵ ~~pa~~ ¹³⁶ ~~pa~~ ¹³⁷ ~~pa~~ ¹³⁸ ~~pa~~ ¹³⁹ ~~pa~~ ¹⁴⁰ ~~pa~~ ¹⁴¹ ~~pa~~ ¹⁴² ~~pa~~ ¹⁴³ ~~pa~~ ¹⁴⁴ ~~pa~~ ¹⁴⁵ ~~pa~~ ¹⁴⁶ ~~pa~~ ¹⁴⁷ ~~pa~~ ¹⁴⁸ ~~pa~~ ¹⁴⁹ ~~pa~~ ¹⁵⁰ ~~pa~~ ¹⁵¹ ~~pa~~ ¹⁵² ~~pa~~ ¹⁵³ ~~pa~~ ¹⁵⁴ ~~pa~~ ¹⁵⁵ ~~pa~~ ¹⁵⁶ ~~pa~~ ¹⁵⁷ ~~pa~~ ¹⁵⁸ ~~pa~~ ¹⁵⁹ ~~pa~~ ¹⁶⁰ ~~pa~~ ¹⁶¹ ~~pa~~ ¹⁶² ~~pa~~ ¹⁶³ ~~pa~~ ¹⁶⁴ ~~pa~~ ¹⁶⁵ ~~pa~~ ¹⁶⁶ ~~pa~~ ¹⁶⁷ ~~pa~~ ¹⁶⁸ ~~pa~~ ¹⁶⁹ ~~pa~~ ¹⁷⁰ ~~pa~~ ¹⁷¹ ~~pa~~ ¹⁷² ~~pa~~ ¹⁷³ ~~pa~~ ¹⁷⁴ ~~pa~~ ¹⁷⁵ ~~pa~~ ¹⁷⁶ ~~pa~~ ¹⁷⁷ ~~pa~~ ¹⁷⁸ ~~pa~~ ¹⁷⁹ ~~pa~~ ¹⁸⁰ ~~pa~~ ¹⁸¹ ~~pa~~ ¹⁸² ~~pa~~ ¹⁸³ ~~pa~~ ¹⁸⁴ ~~pa~~ ¹⁸⁵ ~~pa~~ ¹⁸⁶ ~~pa~~ ¹⁸⁷ ~~pa~~ ¹⁸⁸ ~~pa~~ ¹⁸⁹ ~~pa~~ ¹⁹⁰ ~~pa~~ ¹⁹¹ ~~pa~~ ¹⁹² ~~pa~~ ¹⁹³ ~~pa~~ ¹⁹⁴ ~~pa~~ ¹⁹⁵ ~~pa~~ ¹⁹⁶ ~~pa~~ ¹⁹⁷ ~~pa~~ ¹⁹⁸ ~~pa~~ ¹⁹⁹ ~~pa~~ ²⁰⁰ ~~pa~~ ²⁰¹ ~~pa~~ ²⁰² ~~pa~~ ²⁰³ ~~pa~~ ²⁰⁴ ~~pa~~ ²⁰⁵ ~~pa~~ ²⁰⁶ ~~pa~~ ²⁰⁷ ~~pa~~ ²⁰⁸ ~~pa~~ ²⁰⁹ ~~pa~~ ²¹⁰ ~~pa~~ ²¹¹ ~~pa~~ ²¹² ~~pa~~ ²¹³ ~~pa~~ ²¹⁴ ~~pa~~ ²¹⁵ ~~pa~~ ²¹⁶ ~~pa~~ ²¹⁷ ~~pa~~ ²¹⁸ ~~pa~~ ²¹⁹ ~~pa~~ ²²⁰ ~~pa~~ ²²¹ ~~pa~~ ²²² ~~pa~~ ²²³ ~~pa~~ ²²⁴ ~~pa~~ ²²⁵ ~~pa~~ ²²⁶ ~~pa~~ ²²⁷ ~~pa~~ ²²⁸ ~~pa~~ ²²⁹ ~~pa~~ ²³⁰ ~~pa~~ ²³¹ ~~pa~~ ²³² ~~pa~~ ²³³ ~~pa~~ ²³⁴ ~~pa~~ ²³⁵ ~~pa~~ ²³⁶ ~~pa~~ ²³⁷ ~~pa~~ ²³⁸ ~~pa~~ ²³⁹ ~~pa~~ ²⁴⁰ ~~pa~~ ²⁴¹ ~~pa~~ ²⁴² ~~pa~~ ²⁴³ ~~pa~~ ²⁴⁴ ~~pa~~ ²⁴⁵ ~~pa~~ ²⁴⁶ ~~pa~~ ²⁴⁷ ~~pa~~ ²⁴⁸ ~~pa~~ ²⁴⁹ ~~pa~~ ²⁵⁰ ~~pa~~ ²⁵¹ ~~pa~~ ²⁵² ~~pa~~ ²⁵³ ~~pa~~ ²⁵⁴ ~~pa~~ ²⁵⁵ ~~pa~~ ²⁵⁶ ~~pa~~ ²⁵⁷ ~~pa~~ ²⁵⁸ ~~pa~~ ²⁵⁹ ~~pa~~ ²⁶⁰ ~~pa~~ ²⁶¹ ~~pa~~ ²⁶² ~~pa~~ ²⁶³ ~~pa~~ ²⁶⁴ ~~pa~~ ²⁶⁵ ~~pa~~ ²⁶⁶ ~~pa~~ ²⁶⁷ ~~pa~~ ²⁶⁸ ~~pa~~ ²⁶⁹ ~~pa~~ ²⁷⁰ ~~pa~~ ²⁷¹ ~~pa~~ ²⁷² ~~pa~~ ²⁷³ ~~pa~~ ²⁷⁴ ~~pa~~ ²⁷⁵ ~~pa~~ ²⁷⁶ ~~pa~~ ²⁷⁷ ~~pa~~ ²⁷⁸ ~~pa~~ ²⁷⁹ ~~pa~~ ²⁸⁰ ~~pa~~ ²⁸¹ ~~pa~~ ²⁸² ~~pa~~ ²⁸³ ~~pa~~ ²⁸⁴ ~~pa~~ ²⁸⁵ ~~pa~~ ²⁸⁶ ~~pa~~ ²⁸⁷ ~~pa~~ ²⁸⁸ ~~pa~~ ²⁸⁹ ~~pa~~ ²⁹⁰ ~~pa~~ ²⁹¹ ~~pa~~ ²⁹² ~~pa~~ ²⁹³ ~~pa~~ ²⁹⁴ ~~pa~~ ²⁹⁵ ~~pa~~ ²⁹⁶ ~~pa~~ ²⁹⁷ ~~pa~~ ²⁹⁸ ~~pa~~ ²⁹⁹ ~~pa~~ ³⁰⁰ ~~pa~~ ³⁰¹ ~~pa~~ ³⁰² ~~pa~~ ³⁰³ ~~pa~~ ³⁰⁴ ~~pa~~ ³⁰⁵ ~~pa~~ ³⁰⁶ ~~pa~~ ³⁰⁷ ~~pa~~ ³⁰⁸ ~~pa~~ ³⁰⁹ ~~pa~~ ³¹⁰ ~~pa~~ ³¹¹ ~~pa~~ ³¹² ~~pa~~ ³¹³ ~~pa~~ ³¹⁴ ~~pa~~ ³¹⁵ ~~pa~~ ³¹⁶ ~~pa~~ ³¹⁷ ~~pa~~ ³¹⁸ ~~pa~~ ³¹⁹ ~~pa~~ ³²⁰ ~~pa~~ ³²¹ ~~pa~~ ³²² ~~pa~~ ³²³ ~~pa~~ ³²⁴ ~~pa~~ ³²⁵ ~~pa~~ ³²⁶ ~~pa~~ ³²⁷ ~~pa~~ ³²⁸ ~~pa~~ ³²⁹ ~~pa~~ ³³⁰ ~~pa~~ ³³¹ ~~pa~~ ³³² ~~pa~~ ³³³ ~~pa~~ ³³⁴ ~~pa~~ ³³⁵ ~~pa~~ ³³⁶ ~~pa~~ ³³⁷ ~~pa~~ ³³⁸ ~~pa~~ ³³⁹ ~~pa~~ ³⁴⁰ ~~pa~~ ³⁴¹ ~~pa~~ ³⁴² ~~pa~~ ³⁴³ ~~pa~~ ³⁴⁴ ~~pa~~ ³⁴⁵ ~~pa~~ ³⁴⁶ ~~pa~~ ³⁴⁷ ~~pa~~ ³⁴⁸ ~~pa~~ ³⁴⁹ ~~pa~~ ³⁵⁰ ~~pa~~ ³⁵¹ ~~pa~~ ³⁵² ~~pa~~ ³⁵³ ~~pa~~ ³⁵⁴ ~~pa~~ ³⁵⁵ ~~pa~~ ³⁵⁶ ~~pa~~ ³⁵⁷ ~~pa~~ ³⁵⁸ ~~pa~~ ³⁵⁹ ~~pa~~ ³⁶⁰ ~~pa~~ ³⁶¹ ~~pa~~ ³⁶² ~~pa~~ ³⁶³ ~~pa~~ ³⁶⁴ ~~pa~~ ³⁶⁵ ~~pa~~ ³⁶⁶ ~~pa~~ ³⁶⁷ ~~pa~~ ³⁶⁸ ~~pa~~ ³⁶⁹ ~~pa~~ ³⁷⁰ ~~pa~~ ³⁷¹ ~~pa~~ ³⁷² ~~pa~~ ³⁷³ ~~pa~~ ³⁷⁴ ~~pa~~ ³⁷⁵ ~~pa~~ ³⁷⁶ ~~pa~~ ³⁷⁷ ~~pa~~ ³⁷⁸ ~~pa~~ ³⁷⁹ ~~pa~~ ³⁸⁰ ~~pa~~ ³⁸¹ ~~pa~~ ³⁸² ~~pa~~ ³⁸³ ~~pa~~ ³⁸⁴ ~~pa~~ ³⁸⁵ ~~pa~~ ³⁸⁶ ~~pa~~ ³⁸⁷ ~~pa~~ ³⁸⁸ ~~pa~~ ³⁸⁹ ~~pa~~ ³⁹⁰ ~~pa~~ ³⁹¹ ~~pa~~ ³⁹² ~~pa~~ ³⁹³ ~~pa~~ ³⁹⁴ ~~pa~~ ³⁹⁵ ~~pa~~ ³⁹⁶ ~~pa~~ ³⁹⁷ ~~pa~~ ³⁹⁸ ~~pa~~ ³⁹⁹ ~~pa~~ ⁴⁰⁰ ~~pa~~ ⁴⁰¹ ~~pa~~ ⁴⁰² ~~pa~~ ⁴⁰³ ~~pa~~ ⁴⁰⁴ ~~pa~~ ⁴⁰⁵ ~~pa~~ ⁴⁰⁶ ~~pa~~ ⁴⁰⁷ ~~pa~~ ⁴⁰⁸ ~~pa~~ ⁴⁰⁹ ~~pa~~ ⁴¹⁰ ~~pa~~ ⁴¹¹ ~~pa~~ ⁴¹² ~~pa~~ ⁴¹³ ~~pa~~ ⁴¹⁴ ~~pa~~ ⁴¹⁵ ~~pa~~ ⁴¹⁶ ~~pa~~ ⁴¹⁷ ~~pa~~ ⁴¹⁸ ~~pa~~ ⁴¹⁹ ~~pa~~ ⁴²⁰ ~~pa~~ ⁴²¹ ~~pa~~ ⁴²² ~~pa~~ ⁴²³ ~~pa~~ ⁴²⁴ ~~pa~~ ⁴²⁵ ~~pa~~ ⁴²⁶ ~~pa~~ ⁴²⁷ ~~pa~~ ⁴²⁸ ~~pa~~ ⁴²⁹ ~~pa~~ ⁴³⁰ ~~pa~~ ⁴³¹ ~~pa~~ ⁴³² ~~pa~~ ⁴³³ ~~pa~~ ⁴³⁴ ~~pa~~ ⁴³⁵ ~~pa~~ ⁴³⁶ ~~pa~~ ⁴³⁷ ~~pa~~ ⁴³⁸ ~~pa~~ ⁴³⁹ ~~pa~~ ⁴⁴⁰ ~~pa~~ ⁴⁴¹ ~~pa~~ ⁴⁴² ~~pa~~ ⁴⁴³ ~~pa~~ ⁴⁴⁴ ~~pa~~ ⁴⁴⁵ ~~pa~~ ⁴⁴⁶ ~~pa~~ ⁴⁴⁷ ~~pa~~ ⁴⁴⁸ ~~pa~~ ⁴⁴⁹ ~~pa~~ ⁴⁵⁰ ~~pa~~ ⁴⁵¹ ~~pa~~ ⁴⁵² ~~pa~~ ⁴⁵³ ~~pa~~ ⁴⁵⁴ ~~pa~~ ⁴⁵⁵ ~~pa~~ ⁴⁵⁶ ~~pa~~ ⁴⁵⁷ ~~pa~~ ⁴⁵⁸ ~~pa~~ ⁴⁵⁹ ~~pa~~ ⁴⁶⁰ ~~pa~~ ⁴⁶¹ ~~pa~~ ⁴⁶² ~~pa~~ ⁴⁶³ ~~pa~~ ⁴⁶⁴ ~~pa~~ ⁴⁶⁵ ~~pa~~ ⁴⁶⁶ ~~pa~~ ⁴⁶⁷ ~~pa~~ ⁴⁶⁸ ~~pa~~ ⁴⁶⁹ ~~pa~~ ⁴⁷⁰ ~~pa~~ ⁴⁷¹ ~~pa~~ ⁴⁷² ~~pa~~ ⁴⁷³ ~~pa~~ ⁴⁷⁴ ~~pa~~ ⁴⁷⁵ ~~pa~~ ⁴⁷⁶ ~~pa~~ ⁴⁷⁷ ~~pa~~ ⁴⁷⁸ ~~pa~~ ⁴⁷⁹ ~~pa~~ ⁴⁸⁰ ~~pa~~ ⁴⁸¹ ~~pa~~ ⁴⁸² ~~pa~~ ⁴⁸³ ~~pa~~ ⁴⁸⁴ ~~pa~~ ⁴⁸⁵ ~~pa~~ ⁴⁸⁶ ~~pa~~ ⁴⁸⁷ ~~pa~~ ⁴⁸⁸ ~~pa~~ ⁴⁸⁹ ~~pa~~ ⁴⁹⁰ ~~pa~~ ⁴⁹¹ ~~pa~~ ⁴⁹² ~~pa~~ ⁴⁹³ ~~pa~~ ⁴⁹⁴ ~~pa~~ ⁴⁹⁵ ~~pa~~ ⁴⁹⁶ ~~pa~~ ⁴⁹⁷ ~~pa~~ ⁴⁹⁸ ~~pa~~ ⁴⁹⁹ ~~pa~~ ⁵⁰⁰ ~~pa~~ ⁵⁰¹ ~~pa~~ ⁵⁰² ~~pa~~ ⁵⁰³ ~~pa~~ ⁵⁰⁴ ~~pa~~ ⁵⁰⁵ ~~pa~~ ⁵⁰⁶ ~~pa~~ ⁵⁰⁷ ~~pa~~ ⁵⁰⁸ ~~pa~~ ⁵⁰⁹ ~~pa~~ ⁵¹⁰ ~~pa~~ ⁵¹¹ ~~pa~~ ⁵¹² ~~pa~~ ⁵¹³ ~~pa~~ ⁵¹⁴ ~~pa~~ ⁵¹⁵ ~~pa~~ ⁵¹⁶ ~~pa~~ ⁵¹⁷ ~~pa~~ ⁵¹⁸ ~~pa~~ ⁵¹⁹ ~~pa~~ ⁵²⁰ ~~pa~~ ⁵²¹ ~~pa~~ ⁵²² ~~pa~~ ⁵²³ ~~pa~~ ⁵²⁴ ~~pa~~ ⁵²⁵ ~~pa~~ ⁵²⁶ ~~pa~~ ⁵²⁷ ~~pa~~ ⁵²⁸ ~~pa~~ ⁵²⁹ ~~pa~~ ⁵³⁰ ~~pa~~ ⁵³¹ ~~pa~~ ⁵³² ~~pa~~ ⁵³³ ~~pa~~ ⁵³⁴ ~~pa~~ ⁵³⁵ ~~pa~~ ⁵³⁶ ~~pa~~ ⁵³⁷ ~~pa~~ ⁵³⁸ ~~pa~~ ⁵³⁹ ~~pa~~ ⁵⁴⁰ ~~pa~~ ⁵⁴¹ ~~pa~~ ⁵⁴² ~~pa~~ ⁵⁴³ ~~pa~~ ⁵⁴⁴ ~~pa~~ ⁵⁴⁵ ~~pa~~ ⁵⁴⁶ ~~pa~~ ⁵⁴⁷ ~~pa~~ ⁵⁴⁸ ~~pa~~ ⁵⁴⁹ ~~pa~~ ⁵⁵⁰ ~~pa~~ ⁵⁵¹ ~~pa~~ ⁵⁵² ~~pa~~ ⁵⁵³ ~~pa~~ ⁵⁵⁴ ~~pa~~ ⁵⁵⁵ ~~pa~~ ⁵⁵⁶ ~~pa~~ ⁵⁵⁷ ~~pa~~ ⁵⁵⁸ ~~pa~~ ⁵⁵⁹ ~~pa~~ ⁵⁶⁰ ~~pa~~ ⁵⁶¹ ~~pa~~ ⁵⁶² ~~pa~~ ⁵⁶³ ~~pa~~ ⁵⁶⁴ ~~pa~~ ⁵⁶⁵ ~~pa~~ ⁵⁶⁶ ~~pa~~ ⁵⁶⁷ ~~pa~~ ⁵⁶⁸ ~~pa~~ ⁵⁶⁹ ~~pa~~ ⁵⁷⁰ ~~pa~~ ⁵⁷¹ ~~pa~~ ⁵⁷² ~~pa~~ ⁵⁷³ ~~pa~~ ⁵⁷⁴ ~~pa~~ ⁵⁷⁵ ~~pa~~ ⁵⁷⁶ ~~pa~~ ⁵⁷⁷ ~~pa~~ ⁵⁷⁸ ~~pa~~ ⁵⁷⁹ ~~pa~~ ⁵⁸⁰ ~~pa~~ ⁵⁸¹ ~~pa~~ ⁵⁸² ~~pa~~ ⁵⁸³ ~~pa~~ ⁵⁸⁴ ~~pa~~ ⁵⁸⁵ ~~pa~~ ⁵⁸⁶ ~~pa~~ ⁵⁸⁷ ~~pa~~ ⁵⁸⁸ ~~pa~~ ⁵⁸⁹ ~~pa~~ ⁵⁹⁰ ~~pa~~ ⁵⁹¹ ~~pa~~ ⁵⁹² ~~pa~~ ⁵⁹³ ~~pa~~ ⁵⁹⁴ ~~pa~~ ⁵⁹⁵ ~~pa~~ ⁵⁹⁶ ~~pa~~ ⁵⁹⁷ ~~pa~~ ⁵⁹⁸ ~~pa~~ ⁵⁹⁹ ~~pa~~ ⁶⁰⁰ ~~pa~~ ⁶⁰¹ ~~pa~~ ⁶⁰² ~~pa~~ ⁶⁰³ ~~pa~~ ⁶⁰⁴ ~~pa~~ ⁶⁰⁵ ~~pa~~ ⁶⁰⁶ ~~pa~~ ⁶⁰⁷ ~~pa~~ ⁶⁰⁸ ~~pa~~ ⁶⁰⁹ ~~pa~~ ⁶¹⁰ ~~pa~~ ⁶¹¹ ~~pa~~ ⁶¹² ~~pa~~ ⁶¹³ ~~pa~~ ⁶¹⁴ ~~pa~~ ⁶¹⁵ ~~pa~~ ⁶¹⁶ ~~pa~~ ⁶¹⁷ ~~pa~~ ⁶¹⁸ ~~pa~~ ⁶¹⁹ ~~pa~~ ⁶²⁰ ~~pa~~ ⁶²¹ ~~pa~~ ⁶²² ~~pa~~ ⁶²³ ~~pa~~ ⁶²⁴ ~~pa~~ ⁶²⁵ ~~pa~~ ⁶²⁶ ~~pa~~ ⁶²⁷ ~~pa~~ ⁶²⁸ ~~pa~~ ⁶²⁹ ~~pa~~ ⁶³⁰ ~~pa~~ ⁶³¹ ~~pa~~ ⁶³² ~~pa~~ ⁶³³ ~~pa~~ ⁶³⁴ ~~pa~~ ⁶³⁵ ~~pa~~ ⁶³⁶ ~~pa~~ ⁶³⁷ ~~pa~~ ⁶³⁸ ~~pa~~ ⁶³⁹ ~~pa~~ ⁶⁴⁰ ~~pa~~ ⁶⁴¹ ~~pa~~ ⁶⁴² ~~pa~~ ⁶⁴³ ~~pa~~ ⁶⁴⁴ ~~pa~~ ⁶⁴⁵ ~~pa~~ ⁶⁴⁶ ~~pa~~ ⁶⁴⁷ ~~pa~~ ⁶⁴⁸ ~~pa~~ ⁶⁴⁹ ~~pa~~ ⁶⁵⁰ ~~pa~~ ⁶⁵¹ ~~pa~~ ⁶⁵² ~~pa~~ ⁶⁵³ ~~pa~~ ⁶⁵⁴ ~~pa~~ ⁶⁵⁵ ~~pa~~ ⁶⁵⁶ ~~pa~~ ⁶⁵⁷ ~~pa~~ ⁶⁵⁸ ~~pa~~ ⁶⁵⁹ ~~pa~~ ⁶⁶⁰ ~~pa~~ ⁶⁶¹ ~~pa~~ ⁶⁶² ~~pa~~ ⁶⁶³ ~~pa~~ ⁶⁶⁴ ~~pa~~ ⁶⁶⁵ ~~pa~~ ⁶⁶⁶ ~~pa~~ ⁶⁶⁷ ~~pa~~ ⁶⁶⁸ ~~pa~~ ⁶⁶⁹ ~~pa~~ ⁶⁷⁰ ~~pa~~ ⁶⁷¹ ~~pa~~ ⁶⁷² ~~pa~~ ⁶⁷³ ~~pa~~ ⁶⁷⁴ ~~pa~~ ⁶⁷⁵ ~~pa~~ ⁶⁷⁶ ~~pa~~ ⁶⁷⁷ ~~pa~~ ⁶⁷⁸ ~~pa~~ ⁶⁷⁹ ~~pa~~ ⁶⁸⁰ ~~pa~~ ⁶⁸¹ ~~pa~~ ⁶⁸² ~~pa~~ ⁶⁸³ ~~pa~~ ⁶⁸⁴ ~~pa~~ ⁶⁸⁵ ~~pa~~ ⁶⁸⁶ ~~pa~~ ⁶⁸⁷ ~~pa~~ ⁶⁸⁸ ~~pa~~ ⁶⁸⁹ ~~pa~~ ⁶⁹⁰ ~~pa~~ ⁶⁹¹ ~~pa~~ ⁶⁹² ~~pa~~ ⁶⁹³ ~~pa~~ ⁶⁹⁴ ~~pa~~ ⁶⁹⁵ ~~pa~~ ⁶⁹⁶ ~~pa~~ ⁶⁹⁷ ~~pa~~ ⁶⁹⁸ ~~pa~~ ⁶⁹⁹ ~~pa~~ ⁷⁰⁰ ~~pa~~ ⁷⁰¹ ~~pa~~ ⁷⁰² ~~pa~~ ⁷⁰³ ~~pa~~ ⁷⁰⁴ ~~pa~~ ⁷⁰⁵ ~~pa~~ ⁷⁰⁶ ~~pa~~ ⁷⁰⁷ ~~pa~~ ⁷⁰⁸ ~~pa~~ ⁷⁰⁹ ~~pa~~ ⁷¹⁰ ~~pa~~ ⁷¹¹ ~~pa~~ ⁷¹² ~~pa~~ ⁷¹³ ~~pa~~ ⁷¹⁴ ~~pa~~ ⁷¹⁵ ~~pa~~ ⁷¹⁶ ~~pa~~ ⁷¹⁷ ~~pa~~ ⁷¹⁸ ~~pa~~ ⁷¹⁹ ~~pa~~ ⁷²⁰ ~~pa~~ ⁷²¹ ~~pa~~ ⁷²² ~~pa~~ ⁷²³ ~~pa~~ ⁷²⁴ ~~pa~~ ⁷²⁵ ~~pa~~ ⁷²⁶ ~~pa~~ ⁷²⁷ ~~pa~~ ⁷²⁸ ~~pa~~ ⁷²⁹ ~~pa~~ ⁷³⁰ ~~pa~~ ⁷³¹ ~~pa~~ ⁷³² ~~pa~~ ⁷³³ ~~pa~~ ⁷³⁴ ~~pa~~ ⁷³⁵ ~~pa~~ ⁷³⁶ ~~pa~~ ⁷³⁷ ~~pa~~ ⁷³⁸ ~~pa~~ ⁷³⁹ ~~pa~~ ⁷⁴⁰ ~~pa~~ ⁷⁴¹ <

tu wdzięcznym gestem zgrabnej młodej rączki wskazała na chyba ponad 30 dzieciaków patrzących na "pana" uważnie ale spokojnie. ... " Mam tych oczu i uszu o wiele więcej !". I była to prawda bo kościół i szkoła były tymi ogniskami przy których skupiali się ujarznionej ziemi ojczyznej. *wielu sywowie i córki*.

" Niech się pan leśniczy nie dziwi - u nas kobieta osiemnastoletnia dorównuje mężczyźnie 35-letniemu często i rozwojem umysłowym i dojrzałością intelektu" - mówiła dalej młoda nauczycielka - " a jeśli pan chce dorównać ilością moich wiadomości o panu wiadomości o mnie, to powiem panu, że nazywam się Eugenia Dymińska, jestem córką profesora - historyka Józefa Dymińskiego, a znalazłam się tu, w tej młodej sarneńskiej szkółce, z własnej woli, z pełną świadomością potrzeby kształcenia i wychowywania tej polskiej dzieciarni, za wiedzą i aprobatą rodziców, ^{nosili} u których przecież na niczym mi nie zbywało, oprócz poczucia potrzeby pracy wśród ludu, któremu trzeba pomóc w przetrwaniu, ocaleniu ich dla polskości, dla tej właśnie co NIE ZGINIEŁA; dla niej ich ożywić, utrzymać, umocnić w świadomości ojczyzny - przecież Rządy przychodzą, odchodzą, zmieniają się, a naród jest, jest wciąż, jest ten sam - jest wprawdzie w letargu ale przyszłość należy do nich i do tej co NIE ZGINIEŁA -!!".

Taka to była wypowiedź, szczerą, śmiałą, ujawniającą i ufna i takie było niepospolite zapoznanie się przystojnego pana leśniczego Sergiusza Stefana Prawdzic - Sołkhub Zubezewskiego z młodzieńką polską nauczycielką-społeczniką wierzącą w przyszłość ludu w przyszłej Polsce. Przyponina mi się tutaj, że jedna z ulic Warszawy nosi, chyba zaskówienie, imię jego dziadka po kądzieli, Józefa Dymińskiego.

Czas płynął, przyjaźń dwojga młodych ludzi, ich miłość i pełna harmonia poglądów na życie doprowadziła do ślubu, który odbył ^{się} w lecie 1904 roku w rodzinnym Dubnie. Ejazd rodzinny był duży, przybyli na ślub: dziadek Juliusz z małżonką, przybraną córką Heleną i młodym wychowankiem-sięcią, dopiero 24 lata wtedy liczącym Władysławem - Eugeniuszem Sikorskim, herbu Kopaszyna, późniejszym generałem i Wodzem Maczelnym Wojsk Polskich na emigracji, przybyli bracia: August, Mikołaj, Włodzisław, Konstanty i Stefan Ignacy ~~synowie~~ synowie bohatera omskiego, pułkownika Szymona, z rodzinami - odczuwało się dotkliwie i teraz jeszcze brak dziadka Dionizego, ojca chrzestnego, poległego w wieku lat 50 na murach twierdzy Kara. Wśród wielu zaproszonych gości byli: Ignacy Daszyński, o którym wiele już pisałem, siostra ojca *Sally* ~~Sally~~ ^{hubs} Sołkhub Zubezewskich, z mężem generałem Alfredem Romanem Potockim,

który raczył "zaszczycić" uroczystość rodzinną sw^{ej} małżonki, i wiele innych osób z rodzin bliskich i zaprzyjaźnionych. Drużbami na weselu byli : wspomniany już były sztabs-kapitan Adam Borowicz i ~~on~~ - tak : Petro Jagas. Już od szeregu lat ~~był~~ był Petro administratorem resztówki rodzinnej w Dubnie, która pod jego rządami świetnie prosperowała : Petro wykorzystał rozlewiska rzeki Ikwy , urządził tam prawidłowe stawy i zaprowadził w nich hodowlę karpi , hodowla ta była rentowna i wydatnie powiększała dochody z resztówki. Teraz Petro ^{prętko} prętkował się świetnie w charakterze drużby , był w dobrze skrojonym fraku z kokardą weselną w klapie, mówił dobrze po polsku - nikt by nie poznał , ba , nawet nie donyślał się / nikt z po za rodziny/ w tym postawnym panu sługi i syna dawnego sługi , chłopca z tak bliskiej sercu Litwy, który swe młode życie złożył jako najwyższą ofiarę w służbie kraju.

W czasie przejazdu do kościoła zdarzyła się ciekawa rozmowa charakteryzująca dwie postawy Polaków , obywateli stanowiących do pewnego stopnia o losach narodu i Państwa. Złożyło się mianowicie tak, że Potocki z małżonką i młody inżynier Sikorski z ^{małżonką} ~~małżonką~~, obie panie przecież z Zubczewskich, jechali jednym powozem typu "lando" i w czasie drogi na ślub przejeżdżali obok głównej bramy zanku dubieńskiego prowadzącej w jego obszernej obejścia, i w tym momencie rzucił im się w oczy wykuty w piaskowcu nad bramą wielki kartusz herbowy książąt Rurykowieców , Prawdźców Sołłohub- Zubczewskich. Potocki wskazując Sikorskiemu ten kartusz powiedział : " Taka była potęga za Jagielly i jeszcze za Władysławem IV-ego.- od morza do morza !- a teraz rozdrapana leży w gruzach !.I do tego od przeszło stu lat jest w szponach saborców!." Sikorski na to powiedział: " To prawda , bolesna prawda - a leży tak w gruzach za przyczyną magnatów i szlachty - szlachty z nielicznymi wyjątkami, jak ci do których kiedyś należała ta twierdza i zamek + . Niestety , bliższa magnatom szlachcie i ziemiaństwu była włądza koszuła niż "Pro publico bono - niż integralność Ojczyzny!". Po tej wymianie zdań zapadło uciążliwe milczenie gdyż przytyk Sikorskiego trafił w sedno, w jednego z tych , którzy skłonieni wóbozie księcia Czartoryskiego właśnie do tego rozdrapania potęgi Polski doprowadzili.

W międzyczasie obżęły orszak ślubny zatrzymał się u szeroko rozpartych wrót kościelnych , a młoda parę nowożeńców krocząca po czerwonym chodniku wiodącym od bram kościoła aż

uczestniczyły tłumy ludzi znających wartość jej ofiarnej pracy, i liczne grona jej współpracowników, przyjaciół i znajomych - w tej bolesnej żałobnej uroczystości rodzinę naszą reprezentował mój starszy brat Włodzimierz-Sergiusz.

Po trzech miesiącach podróży, oglądania wspaniałych miast, teatrów, muzeów, pałaców, rzek i gór, syci wrażeń i wdzięczni Petrowi, którego zapobiegliwa przezorność pozwoliła im wykorzystać na tę podróż już od dawna gromadzone zasoby, stęsknieni do kraju, nowo ojczyźnej, naszych zwyczajów, a także i pracy - młode małżeństwo wróciło do Dubna, a następnie do Sarn,

Rozpoczęło się codzienne pracowite życie moich rodziców, życie jak życie: i radości i smutki, i słońce i pogoda, i uniesienia i przygnębienia - ale dla matki mojej było to uparte konsekwentne deptanie kamienistej ścieżki do Tej "co nie zginęła", było to troskliwe sianie dobrego ziarna na zawsze wdzięczną glebę. Ziarno to kiełkowało wolno, wolniutko ale dało pomysłne już wachody w roku 1918, zakwitło i bujniejszym plonem objawiło się pod Lenino i^W Lubelskim Manifestie Lipcowym roku 1944. Odeszła na zawsze w roku 1963 w wieku lat 76 ta, której słońce biło tak gorąco dla wszystkich jej dzieci - grób matki mojej znajduje się na cmentarzu komunalnym w Odessie - w orszaku żałobnym mogła jej towarzyszyć jedynie córka Maria Bartczak, Syn Włodzimierz Zubczowski i trzy wnuczki, córki Marii.

Maria Bartczak, moja siostra, była żoną czołgisty, uchodźcy z Polski w roku 1939, Nikołaja Bartczaka, który spłonął zyciem wraz ze swoją żoną w roku 1941.

Nie dożyła matka moja niestety, ~~zmarła~~ do wiadomości ~~zmarła~~ o pośmiertnym zaszczycie jaki spotkał jej kochanego pierworodnego syna Nikołaja-Sergiusza. W swoim czasie dotarła do niej wiadomość że syn Nikołaj został ciężko ranny w głowę w walkach jego batalionu pod Wielkimi Łukami, na wzgórzach wai Czernuszki. Czerwona Armia odchodziła wówczas pod silnym naciskiem Wehrmachtu z Wielkich Łuk na wschód, a okoliczności jakie wytworzyło to odejście zmusiło dowództwo do decyzji pozostawienia ciężko rannych i "nietransportowalnych" / nie pozwalających ze względu na stan zdrowia na transport/ na miejscu. Niescy deptali po piętach, odpowiednich środków transportu nie było i decyzja ta, choć bolesna, była słuszna - droga odwrotu była bez przerwy bombardowana, brat mój był bez przytomności po przebytej operacji czaszki - wiadomości te otrzymałem od komendanta szpitala już po odbiciu Rostowa nad Donem i przekazaniem je matce.

Brat mój Mikołaj jednakże wówczas nie zginął. Ciężko ranni żołnierze i oficerowie zostali wyniesieni na noszach przez ludność okolicznych wiosek i miasta Wielkie Łuki i ukryci w okolicy. Otoczony opieką ludności i pomocą lekarską brat mój wyzdrowiał i wkrótce utworzył z podobnych mu ozdowieńców oddział partyzancki, który szybko rozrósł się w brygadę. Działalność dywulsyjna tej brygady przyniosła poważne plony, między innymi: 8 wysadzonych mostów i dwa wiadukty, zniszczone 36 transporty z paliwem, amunicją, czołgami i ~~siłą~~ żywą siłą wroga. Mikołaj Zubczewski działał śmiało i odważnie - jak jego ~~brat~~ pradziad Szymon-Ignacy, lecz z jakże odmiennym skutkiem. Wykorzystując swoją znajomość języka niemieckiego przebierał się nawet w mundur hauptmana wehrmachtu i dokonywał na froncie i na tyłach wroga wywiadów i dywersji. Przy tej działalności, przed planowaną akcją w Starej Osocie, został jednak pojmany i rozeznany. Jako dowódca partyzantów tyle szkody Niemcom przynoszących, został skatowany i w trybie doraźnym, ze związanymi drutem kolczastym rękami, został wywieziony na skraj lasu i zabity typowym dla Niemców charakterystycznym sposobem - strzałem z parabellum w tył czaszki.

Ekshumacja jego zwłok i uroczystości pogrzebowe odbyły się w roku 1963, a Rada Najwyższa Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich nadał mu pośmiertnie tytuł Bohatera Związku Radzieckiego i związane z nim najwyższe odznaczenie: Order Lenina ~~oraz~~ i Złotą Gwiazdę.

Grób brata Mikołaja znajduje się w Starej Osocie w pobliżu Czerkas - odszedł na zawsze przeżywszy lat 40, czyli w tym wieku co i jego bohaterski pradziad Szymon-Ignacy, ale w odmiennych warunkach walki: zginął za "naszą wolność i waszą" na jedynie słusznej drodze do wolności Polski, jaką otworzyła przed nami Rosja Radziecka.

Ponieważ objąłem już wspomnieniami rodzeństwo mojego ojca i dość wyraźnie odmalowałem postać najdroższej mi z moich ciotek, ciotki Marii, myślę że dobrze będzie w tym miejscu uzupełnić ~~niektóry~~ obraz tego rodzeństwa, naświetleniem postaci ciotek Lidii i Małgorzaty.

Ciotka Lidia była najstarszą siostrą ojca mego, była też chyba najładniejszą, nic więc dziwnego, że już na balu wydanym przez dwór carski w Pałacu Zimowym dla panien kończących "Instytut dla panien szlachetnie urodzonych" wpadła w oko generałowi en-chef żandarmerii, Niemcowi z pochodzenia baronowi Schmidtowi von der Launitz. Zakochał się on w Lidii od

pierwszego spojrzenia, oświadczył się pannie i rodzicom, i ,
choć starszy od wybranki swego serca o 18 lat, został przyjęty.
Otrzymała więc Lidia bardzo szybko to czego chciała ,czego
pragnęła z pewnością ~~ona~~ większość jej ówczesnych koleżanek,
przyjaciółek : męża na stanowisku i z pozycją. majątek
Miedwiediówkę pod Charkowem - 580 hektarów ziemi pszenno-
-buraczanej, 86 ha lasu, rafinerię spirytusu- piękną willę
w ~~Chark~~ Tuapse nad morzem Czarnym. Małżeństwo to jednak nie
przyniosło ciotce Lidii szczęścia - mając dobrobyt miała jednak
męża despotę i zazdrośnika, zażywającego pięknej, a tyle lat
młodszej żonie, życie swymi podejrzewaniem. Z małżeństwa tego
mieli Launitzowie syna Aleksandra i dwie młodsze córki.
W roku 1905, w czasie rewolucji, straciła Lidia męża: został
on zabity dowodząc oddziałem żandarmerii szturmującej barykadę
robotniczą. Syn ~~Aleksander~~ zginął również w tym samym roku - był
on bowiem "michmanem" / najniższy stopień oficerski / ^{w marynarce} na pancerniku
"Potiomkin" , stał na czele rewolucyjnej załogi pancernika
i objął jego dowództwo - w konsekwencji zgniecenia rewolucji
został rozstrzelany wyrokiem sądu doraźnego wojskowego w
Kronsztadzie. Wyrok wykonano na wyspie Tiligulka-Biereza na
Morzu Czarnym pod Odessą, a ostatnimi słowami młodego michmana
- rewolucjonisty, ~~których~~ skierowanymi do plutonu egzekucyjnego
były słowa! "Niech moja śmierć, i ten słup do którego jestem
przywiązany, padnie hańbą po wszystkie czasy na oprawców Rosji,
Polski i Litwy".
Tak zginęli po przeciwnych stronach barykady ojciec i syn -
ojciec służa i narzędzie caratu - syn rewolucjonista.
Generał en-chef baron Schmidt von der Launitz został pochowany
z przepychem i wszystkimi honorami wojskowymi w Soborze
Isaakowskim w Sankt-Petersburgu : dębowa trumna, wstawiona w
metalową została umieszczona w krypcie ołtarza głównego soboru,
w przepięknym sarkofagu rzeźbionym w białym marmurze.
Znając te dzieje rodzinne, i będąc w roku 1939 w Leningradzie,
wstąpiłem do soboru Isaakowskiego - nad sarkofakiem Launitza
ujrzałem wówczas tablicę z napisem : " Tak burżuazja grzebała
swych satrapów". W soborze mieściło się muzeum antyreligijne.
Gdy jako uczestnik "pociągu przyjaźni" zwiedzałem w roku 1967
Leningrad , wstąpiłem znowu do soboru z wycieczką, i po skoń-
czonej prelekcji przewodnika zapytałem go gdzie się podział
ten piękny biały sarkofag-otrzymałem odpowiedź : " Ach to
pan znał ten sarkofag ? - traf chciał, że w czasie bohaterskiej

obrony Leningradu, kolebki Wielkiej Rewolucji, obrony która trwała 888 dni i nocy, traf chciał że hitlerowska bomba lotnicza przebiła kopułę soboru i eksplodując rozerwała sarkofag i jego zawartość w drobny mak ! ". . . .

Tak przenija chwała świata.

Ciotka Lidia zmuszona była po tak bolesnych dla niej i tragicznych przeżyciach roku 1905 do opuszczenia Petersburga i wyjechała wraz ze swymi nieletnimi córeczkami do Frankfurtu nad Menem gdzie posiadała piękną i okazałą willę przy ulicy Wilhelmstrasse 68. Tam też zmarła przed wielu już laty. Ostatni raz przybyła ciotka Lidia w rodzinne strony / do Kijowa / w roku 1918 na pogrzeb matki swej Małgorzaty z Daszyńskich. Skorzystała wtedy z faktu iż Ukraina pozostawała pod okupacją wojsk niemieckich, i wywiozła do Frankfurtu masę cennych ruchomości, stołowe srebra i porcelanę, a także fortepian koncertowy firmy Bechstein, pozbywając w ten sposób swego brata a mego ojca, w tym czasie inwldię wojennego znajdującego w muzyce i właśnie w doskonałej grze na fortepianie wiele ulgi psychicznej i rozrywki. Pozostawiła zaś swemu bratu nieruchomość w postaci ładnej willi pod Kijowem. Zachowałem w swej pamięci ciotkę Lidie jako osobę wyrafinowaną, zimną, samolubną egoistkę, pozbawioną żywszych uczuć rodzinnych, za co przez siostry swoje i brata nie była lubiana. Średnia siostra ojca, Małgorzata, została żoną pułkownika Sztabu Generalnego starej armii, rosjanina Aleksandra Smiełkowa, który w roku 1917 stanął po stronie Rewolucji Październikowej i przeszedł do służby w Gwardii a później Armii Czerwonej. Będąc wybitnym specjalistą w dziedzinie organizacji wojsk oddał duże usługi w unacnianiu Armii Czerwonej. Ta jego postawa, będąca wynikiem wpływu żony Małgorzaty spotkała się z uznaniem, nie skonfiskowano mu więc willi w Leningradzie gdzie zamieszkiwała cała rodzina. Jeden z synów ciotki Małgorzaty, Borys, reżyser teatralny i filmowy, poległ na froncie w roku 1943, drugi, Jerzy inżynier poległ w czasie blokady Leningradu, a prochy jego spoczywają we wspólnym grobie na cmentarzu Piskarzowskim, gdzie spoczywają zwłoki miliona sześciuset tysięcy ofiar tej bezprzykładnej walki o stolicę, walki wiernych synów i córek tego pięknego miasta, i tej naprawdę ludowej, sprawiedliwej socjalistycznej Ojczyzny.

A młodej parze Sergiuszostwu Zubczewskim czas szybko upływał w codziennej pracy w szkole i nadleśnictwie - nadleśniczy był już teraz także łowczym, i to nakładało na niego dodatkowe obowiązki przy organizowaniu polowań, utrzymywaniu i szkoleniu licznej psiarni, a było tego nam kółka smycz i trzeba było gotować codziennie samej tylko kaszy jaglanej 16 kilogramów dla ich wyżywienia, trzeba było obmyślać, urządzać i prowafzać polowania z psami na zwierzynę lówną lub na ptactwo wodne, w które okolice Sarn obfátowały. Zdawało się, że takie spokojne beztróskie życie będzie trwało wiecznie - a jednak: pewnego pięknego popołudnia ojciec mój powróciwszy z inspekcyjnego objazdu lasów, będąc w wysnienitym humorze po zjedzeniu smacznego ábiadu, został nagle i niespodziewanie wezwany do "Wojskiego prisustwia" / Komendy uzupełnień/ w Sarnach, a był to rok 1905. W "prisustwii" wręczono mu, jakże nieoczekiwanie i nie na czasie, wezwanie do stawienia się w terminie natychmiastowym w pułku Czuguńewskich ułanów w Równem. Kwitując odebrany rozkaz zrozumiał ojciec, że przypominano ~~sebie~~ sobie gdzieś u góry, w krytycznym momencie, że jest on przecież porucznikiem rezerwy i dowódcą świetnie wyszkolonego szwadronu. Poczyniwszy więc niezbędne do wyposażenia wojskowego zakupy wrócił ojciec do nadleśnictwa, przekazał swemu następcy sprawy służbowe i kancelaryjne nadleśnictwa, i wraz z żoną udał się na dworzec kolejowy w Sarnach, Tutaj nastąpiło serdeczne pożegnanie się małżonków, pełne nie tylko czułości i łez rozstania ale także i zaleceń dotyczących ostrożności, szanowania zdrowia i pisania, pisania do niej, *Cecylii*, często, jaknajczęściej, jakby na wojnie, na którą został powołany można było te zalecenia nawet najbliższej i najdroższej istoty wykonywać bez przeszkód. Po przybyciu nazajutrz do Równego zameldował się porucznik Sergiusz Zubczewski w dowództwie pułku, otrzymał tam należną mu broń, umundurowanie i konia, przydzielonego mu również ordynansa oraz rozkaz stawienia się o godzinie 9-ej dnia następnego u dowódcy pułku, znanego mu dobrze pułkownika von Berga, celem otrzymania osobiście od niego dalszych wytycznych dotyczących czynnej służby ojca w pułku. Następnie udał się porucznik Sergiusz do hotelu oficerskiego, gdzie oczekiwał już na niego wezwany w międzyczasie przez ordynansa krawiec, mający w krótkim czasie, bo do wieczora, dokonać niezbędnych przeróbek i poprawek w otrzymanym w kwatermistrzostwie mundurze I i dopasować go do figury ojca. Zostawiwszy poinstruowanego majstra igły przy robocie udał się ojciec do stajen pułkowych i wybrał tam sobie młodą trochę nerwową klacz oraz pełny runsztunek, a następnie, już w "ceg-hauzie" /zbrojowni/, przyszykował znanemu i lubianemu w pułku

nie zapomnianemu porucznikowi, znajomy również rusznikarz, broń i amunicję - stąd do pracowni szewskiej po dobrze uszyte buty z cholewami, i oczywiście ostogami obowiązującymi w pułkach kawaleryjskich.

Nazajutrz, punktualnie o 9-ej rano, w świetnie przez zdolnego krawca dopasowanym mundurze, z szablą, krótką bronią i odznakami Szkoły Podchorążych w Kijowie i Akademii Leśnictwa, ojciec mój zameldował się u pułkownika Berga. Wbrew oczekiwaniu został przyjęty bardzo uprzejmie i serdecznie, jak by nigdy nie ~~wizyta~~ było niefortunnej wizyty pułkownika Berga na kwaterze ojca i jego zdumienia na widok postrzelanej fotografii ~~fotografii~~ Berga. ~~Za~~ istniałe wówczas lody roztopiły się w zestwieniu z postawą ojca w okresie pojedynku z esauem - ojciec przecież obronił wtedy honor świetnego pułku, na czele którego stał przecież nie kto inny tylko świetnym wychowawca i dowódca pułkownik von Berg!. Przecież to właśnie porucznik Zubczewski jako dowódca wyróżnionego przed frontem pułku szwadronu zwiadowczego - oczy i uszy pułku - przyczynił jemu, pułkownikowi Bergowi sławy i chwały, zaszczytów i odznaczeń!.

Rozmowa więc z pułkownikiem odbyła się, przy kawie i koniaku, spokojnie i nawet dostojnie - dotyczyła ona głównie dalszej służby porucznika Zubczewskiego w pułku, którego stan liczbowy doprowadzany był właśnie do pełni etatów, w trakcie czego dał się odczuć ostry brak koni. Pułkownik Berg dobrze się orientował że nie kto inny, a właśnie świeżo przywrócony do służby czynnej porucznik Zubczewski, jest nie tylko świetnym kawalerzystą, szermierzem i strzelcem / fotografia !/ ale także i świetnym znawcą i hodowcą koni, zaproponował więc memu ojcu, znając również jego uczciwość, wydelegowanie nad Cichy Don celem zakupienia tam dla pułku około 700 koni. Tak poważnego zakupu dobrych koni można było dokonać właśnie tam nad Donem i na Manycczu w cichych stepach sięgających rzeki Wołgi, w Stepach Salskich hodowali kozacy w fermach i stadninach liczne stada doborowych koni. Transakcja finansowo była poważna, wymagała i znawstwa, i zaufania, i uczciwości, więc wybór pułkownika nie był przypadkowym lecz dobrze rozważony, i to było główną przyczyną serdeczności i nawet wylewności pułkownika okazanej w czasie rozmowy przy kawie i koniaku. trzygwiazdkowym.

Ojcu memu, miłośnikowi koni, wielbicielowi przyrody, przestrzeni i swobody również odpowiadała ta propozycja, podziękował więc za zaufanie i wyróżnienie i wyraził zgodę na podjęcie się tej misji. Wezwany przez adjutanta skarbnik pułku wręczył ojcu

książeczkę czekową na okaziciela opatrzoną podpisem pułkownika i pieczęcią pułku oraz ~~złotą~~^{złotą} kwotę gotówki jako zaliczkę do rozliczenia, a pułkownik życząc powodzenia i dobrej drogi zawiadomił ojca, że pojedzie z nim również pułkowy lekarz weterynarii, który przebadając wybrane przez ojca konie przed uiszczeniem za nie należności - natomiast dobrać sobie oddziału gospodarczego, jazdowych i koniuchów, pozostawił pułkownik wyborowi ojca. Zaopatrzony w dokumenty urzędowe i pieniądze uzyskał jeszcze mój ojciec zgodę pułkownika na parę dni urlopu dla należytego przygotowania siebie i całej ekipy do wyprawy, po czym uprzejmie podziękował dowódcy i odmeldował się u niego. Wyprawiwszy ~~stę~~ ekipę kolejną do Nowoczerkaska porucznik, wraz z lekarzem weterynarii, udał się do Żytomierza, do swego dziadka i ojca chrzestnego, lekarza Nikołaja Zubczewskiego, którego nie widział od dnia swego ślubu.

Dalsza droga kolejną południowo-zachodnią prowadziła przez Kijów, Fastów, Briańsk, Rostow nad Donem do Nowoczerkaska, który był centrum administracyjnym Wojska Dońskiego, i gdzie miał otrzymać szczegółową dalszą marszrutę, odpowiednie wytyczne do podróży po stadninach i fermach hodowlanych, oraz wyznaczony rozdzielnik zakupów koni różnych kategorii, a więc nadających się pod siodło, do artylerii, i obozowych - do tych ostatnich kategorii należały konie rosłe i typu nieco pogrubionego.

Po przybyciu do Nowoczerkaska, odpocząwszy i zmieniawszy mundur na paradny, udał się porucznik do Kancelarii Sztabu mianowanego atamana Wojska Dońskiego, którym był wówczas generał Kaledin.

Generał Kaledin był to wysoki, poważny, dostojnie prezentujący się, z wysokim, czolemi przenikliwym wzrokiem mąż stanu, typowy feudał - był przy tym bardzo inteligentnym statystą i politykiem zdolnym do przemyślenia i zrozumienia każdej sytuacji, a również i do wyciągnięcia z niej konsekwencji. Przytoczę tu pewną historycznie jego wypowiedź, ~~gdy~~ gdy po przegranej walce po stronie kontrrewolucji przemawiał do zebranych ~~na~~^{na} ~~aparacie~~^{szkiele}, ostatnią już w jego życiu, pułkowników i niedobitków ~~jego~~^{jego} białogwardyjskiej armii. Powiedział wtedy tak: "Panowie! Rewolucja Lenina wygrała, gdyż ma ideały za które warto było walczyć, przelewać krew bratnią i umierać - ~~teraz~~ teraz proponuję rozwiązać oddziały kozackie i rozpuścić ludzi do ich stanic nad Cichym Donem - i tak się już burzą, i nie zdradzając chęci do walki o obce im ideały, do tej walki bratobójczej, przechodzą masowo pod sztandary Armii Czerwonej, do niegdyś mego wachmistrza, a dziś dowódcy I-ej Armii Konnej, Siemiona Budiennego - ja już swoją drogę życiową przeszedłem i przemyślałem - drogę, która była

tak bolesna, tak brzemenna w tragiczne skutki, a , co najważniejsze , tak niesłuszna!. Związany przysięgą nie mogłem z tej drogi zbroczyć ,nie mogłem zdradzić!. Stojąc teraz na krańcu swej drogi życiowej pozostawiam dalsze decyzje dotyczące Wojska Dońskiego ~~wam~~, pułkownikom i delegatom białej armii!." Powiedziawszy to skłonił się zebrany głębokim do pasa rosyjskim ukłonem , wyszedł do sąsiedniego gabinetu, i tam, celnym strzałem w głowę z dobytego z kabury browninga, przerwał bieg swego życia.

Umarł twardo, jak żył, żołnierz i oddany syn Rosji - umarł pod ciężarem splotu okoliczności, najbrdziej znany i szanowany, obok generała Kornikowa, dowódca widzący beznadziejność sytuacji i zapobiegający tym swoim strzałem samobójczym dalszemu rozlewowi krwi. Zgromadzeni bowiem na naradzie pułkownicy i delegaci przedstawicieli "Białej Rosji", wojsk Denikina, Krasnowa i innych uchwalili rozwiązanie wojsk kozackich - co, mówiąc nawiasem, w dużym stopniu umożliwiło młodej jeszcze "Republice Rad" jej ostateczne zwycięstwo.

Przez takiego więc człowieka został przyjęty po za kolejką i pomimo dużego tłoku oczekujących na przyjęcie przez generała, kilkanaście lat przed opowiedzianym strzałem samobójczym, porucznik Sergiusz Zubczewski. Wyróżnienie zawarte w tym bezzwłocznym przyjęciu zawdzięczał mój ojciec, jak się wydaje, znajomości nazwiska, pozytywnie przy jakiejś okoliczności zapisanego w pamięci generała. Generał wskazał gościowi, oddającemu dostojnemu gospodarzowi należyte honory wojskowe, stojący w pobliżu biurka fotel i powiedział: " Już wiem - to pan, poruczniku, jest tym byłym kapitanem czugujewskiego pułku ułanów, który pojedynkował się z moim esaukiem Izmaikowem !. Dobry to był esauk, ale zły człowiek : zawadiaka i awanturnik-trafiła kosa na kamień !- nie na co dalej o tym mówić!"... Przeczytawszy pobieżnie wręczone mu przez petenta listy i zapotrzebowania, generał mówił dalej : " Te sprawy ostatecznie załatwimy jutro, pan porucznik rozumie, że nie jest w tej sprawie jedyny - inne pułki również awizowały przybycie swoich przedstawicieli- ponieważ pan jednak zgłasza się pierwszy to zobaczymy jak będzie można najlepiej zaspokoić potrzeby słynnego pułku Czugujewskiego! Kwatermistrzostwo przygotowuje na jutro rozdzielnik i marszrutę podróży do stadnin i stanic - a na dziś pan porucznik będzie moim gościem!, Dziś właśnie odbędzie się okolicznościowe przyjęcie "ku chwale Ojczyzny" i na tej zabawie pozna pan kwiat oficerstwa Wojska Dońskiego". Porucznik podziękował uprzejmie za zaproszenie i otrzymawszy od generała jego

liet wizytowy upoważniający dwie osoby do wejścia na przyjęcie /porucznik upomniał się bowiem o swego towarzysza delegacji, weterynarza/, oddalił się na kwaterę.

Wieczorem ~~znowy~~ odświętnie ubrani w białe paradne mundury bawili się obaj z Sergiuszem Konstantym Kuźmińskim i tańczyli zapamiętali przy dźwiękach doborowej orkiestry wojskowej, a roznoszony na tacach szampan dodawał jeszcze animuszu do płaśów z miłymi czarnulkami-kozaczkami, a że tańczyli obaj świetnie partnerek do tańca nie brakowało. W pewnym momencie, pod koniec walca "Na sopkach Mandżurii" świeżo właśnie skomponowanego i modnego, gdy ojciec odprowadzał na miejsce swoją zgrabną i śliczną partnerkę, został przez nią zapytany: "czy nie jest ^{pan} przypadkiem tym porucznikiem Zubczewskim, który zabił esauła Izmaïłowa?" - na co ojciec ze smutkiem odpowiedział: "Tak, miałem nieszczęście zabić go w pojedynku!..." "Nienawidzę pana! - niech pan natychmiast odejdzie!... jestem jego przyrodnią siostrą!" powiedziała kozaczka, przeszywając ojca nienawistnym spojrzeniem swych ~~ciemnych~~ ciemnych, głębokich piwnych oczu, i tak odświętnie i wesoło rozpoczęta zabawa "ku chwale oręża rosyjskiego" ~~zakończona została~~ została zepsuta tym niezwykłym, i bądź co bądź niecodziennym spotkaniem, przypadkowym z siostrą nieżyjącego już esauła Izmaïłowa.

"Drogi Pana" są rzeczywiście "niezbadane".

Następnego dnia ekipa pułku Czugujewskiego, z porucznikiem Sergiuszem Zubczewskim na czele, mającym w kieszeni rozdzielnik i marszrutę, ruszyła w drogę do dziewiczych stepów, których od zarania istnienia globu ziemskiego nie ruszył pług oracza. Jechano kozackimi "linijkami", rodzajem bryczek używanych powszechnie na Kubaniu i nad Donem, do których wsiadało się z obu stron, jechano bezkresnym stepem porośniętym trawą wysoką zwaną Konylem "Stoppa Penata"/, którego sułtany /kiście/ w czasie kwitnięcia stwarzały jak sięgnie oko ludzkie, olbrzymi przepiękny biały dywan, falujący jak morze i przepojony zapachem traw i kwiatów.

Ojciec mój, młody / 33 lata / silny i zdrowy mężczyzna odczuwał całym swym jestestwem radość, czar życia i całe piękno otoczenia - marszruta prowadziła do stadniny Połtawskiej, skąd pochodził marszałek Budienny, dalej do stadniny Trubieckoj, położonej na przedpolu staniczki kozackiej Trubieckaja i dalej do miasta Salska na Manyczu gdzie na rozdołu grasowały, pod przewodnictwem ogierów pełnej krwi samodzielne tabuny pół dzikich ~~koni~~ pół szlachetnych koni oświetłej budowie i prezencją, a co najważniejsze zupełnie zdrowych.

Nierozżliwością wprost jest powtórzenie tych wielu wrażeń i spostrzeżeń jakich doznał mój ojciec w tej fachowo-ukrańskiej podróży po konie, ale przecież żyli tu ludzie, ciekawi, wolni, szczerzy, bohaterscy, mający ciekawą historię i swoich rodów, i swoich stanic i wodzów, mający w pamięci żyjących i legendzie bohaterskie czyny swoich przodków w walkach z tatarami, z chanem Krymskim, ze Złotą Ordą, w przymierzu i nienawiści, różnie to bywało, i z Rzeczpospolitą, i z Moskwą, i z Portą Otomańską. Ciekawe były ich obyczaje i wierzenia, ~~ukrańskich~~ ich ustroj oraz podstawy i zasady ich wolności i zależności - wszystko to młody jeszcze, ale doświadczony już przez życie porucznik Sergiusz Zubczewski, z zainteresowaniem obserwował i badał, wiele mi z tego opowiadał; zapamiętałem z tych opowieści dużo ~~szczęśliwych~~ interesujących wiadomości o specyfice barwnego życia w tamtych czasach i na tamtym terenie "nie objętym ludzkim okiem" - czas jednak wracać do przedstawienia dalszego toku życia młodego małżonka, dzielnego ukrańca i zaufanego oficera, uważnego i wytrwałego podróżnika Sergiusza Zubczewskiego.

A więc : misję swoją wykonał porucznik w końcu znakomicie, dokonał jej finansowego rozliczenia, potwierdzonego przez Sztab Wojska Dońskiego ~~na~~ konie w międzyczasie, w miarę dokonywania zakupu, wysyłane były koleją, w wagonach z boksami dla koni i pod opieką doświadczonych koniuchów i stajennych z oddziału gospodarczego ekipy, do Mandżurii do czynnej armii generała Kuropatkina. W tym miejscu muszę jednak przytoczyć pewne anegdotyczne zdarzenie rzucające światło prawdy na wartość i "oddanie carowi i Świętej Rosji", jakie cechowały wielu ówczesnych wyższych oficerów armii carskiej. Otóż gdy ojciec mój dokonał już rozliczenia ze swej, bądź co bądź wcale nie błachej i nie drobnej materialnie misji, przyjmujący to rozliczenie oficer, nie kwestionując żadnej pozycji, zastanowił się jednak, przeprosił "na chwilę" ojca, i z dokumentami rozliczeniowymi udał się do szefa kwatermistrzostwa generała Smierdziajewa. Po kilku minutach wrócił nieco zakłopotany i zdenerwowany i poprosił ojca do gabinetu szefa. Gdy wszedł tam w asyście oficera z którym dokonywał już rozliczenia, i oddał generałowi należne pozdrowienia wojskowe, ten ostani zapytał mego ojca gdzie ~~on~~ to nabywał konie po tak niesłychanie niskiej cenie - są to chyba jakieś zdechlaki?... Na to ojciec uprzejmie ale stanowczo odpowiedział, że zakupione konie nie są bynajmniej zdechlakami, stan ich jest bardzo dobry i za taki jest uważany i przez niego i przez lekarza weterynarii, który

Uwaga i silna ręka milionów ludu pracującego , wznagała się fala strajków, rozgorzała łuna ^omajątków obszarniczych palonych przez chłopów • W odwet za to, i dla stłumienia ruchu ludowego, wojska carskie dokonywała krwawych rozpraw z mieszkańcami miast i wsi, między innymi w Petersburgu, Warszawie , nad Leną i w wielu innych miejscowościach! Przerażony car wydał klanliwy " manifest" przy rzekający wolność, zgromadzenie prawodawcze i Rady / Duni/ wszystkich klas - o manifestcie tym jednak fama powszechna mówiła, że manifest ten daje: " miotwym swobodu- żywych pod arest".

Na dalekim wschodzie, po klęsce ~~przez~~ marynarki wojennej pod Cuszimą, upadku Port-Artura i wielu innych niepowodzeniach wojsk carskich zawarto rozejm, ~~na~~ wojska rosyjskie były pośpiesznie ewakuowane do Rosji, a w ich składzie i pułk ułanów czugujewskich.

Porucznik Sergiusz Zubczewski, który boleśnie przeżył i odczuł śmierć swego siostrzeńca "niczmana" von Launitz-a, bohatera krążownika Potiomkina , został zdenobilizowany w roku 1906 i powrócił do rodzinnego Dubna nad Ikwą , gdzie spotkał się ze swą rodziną , żoną i rocznym już synkiem Mikołajem, troskliwie wychowywanym przez matkę i dziadka Stefana Szymona.

Po spędzeniu tego powojennego urlopu w Dubnie, w ścisłym gronie rodzinnym , nastąpił powrót do Sarn, do pracy w nadleśnictwie i szkole, do oczekiwania na przyszłe losy ojczyzny.

Nadszedł pamiętny rok 1914. Pięknego słonecznego dnia 1 sierpnia jak piorun z jasnego nieba, po całym kraju zabrzmiało jedno tylko słowo : WOJNA !. Gazety : Kijowska Myśl, Kijowski Wiestnik i inne, wydzierane poprostu z rąk rozprzedających je wyrostków przynosiły wezwanie Wodza Naczelnego Wojsk Rosyjskich do Polaków :

" Polacy !. Pomna swej misji historycznej Rosja, jednej krwi i wiary ze słowiańskimi narodami, nigdy nie była objęta na ich losy. Pála nienawiści do Niemców szeroko ~~rozlała się~~ i głęboko rozlała się po przez wszystkie stany i narody Imperium Rosyjskiego. Wybiła godzina, w której święte marzenie Waszych ojców i dziadów może się ziścić. Przed półtora wiekiem żywe ciało Polski zostało rozszarpane na kawały , ale dusza jej nie umarła!. Żyła ona nadzieją, że nadejdzie godzina zmartwychwstania Narodu Polskiego bratersko pojednanego z Wielką Rosją. Wojsko rosyjskie niesie Wam błogą wieść owego pojednania!. Niechaj się zatrać granice rozcinające na części Naród Polski! Niech połączy się on w jedną całość pod berłem Cesarza Rosyjskiego !. Pod berłem tym odrodzi się Polska , swobodna w swej wierze , języku, samorządzie !. Jednego tylko spodziewa się Rosja od was : takiegoż samego poszanowania praw tych narodowości, z którymi związały Was dzieje. Z sercem otwartym, i z dłońią wyciągniętą po bratersku, kroczy na spotkanie z Wami Wielka Rosja - wierzy ona, iż nie zardzewiał miecz , który raził wroga pod Grunwaldem !. Od brzegów Oceanu Spokojnego do mórz północnych ciągną zastępy rosyjskie - zorza nowego życia dla Was wschodzi !. Niech zajaśnieje na tej jutrzni znamię krzyża - godło męki i zmartwychwstania narodów !.!

Zwierzchni Wódz. Naczelnny Geherał-Adjutant

Nikołaj."

Dnia 1/14/ sierpnia 1914 roku.

Społeczeństwo polskie odezwę tę przyjęło chłodno i z rezerwą - sam fakt, iż była ona podpisana nie przez cara Nikołaja II Romanowa, lecz przez Wielkiego Księcia Nikołaja , budził uzasadnioną nieufność. Było już przecież w przeszłości tyle obietnic , choćby i niejak dawny "manifest" z roku 1905. Nawet sam margrabia Zygmunt Wielopolski, który wiele dla uzyskania realnych perspektyw niepodległości w swej dobrej wierze poczynił starań, ocenił ją bardzo nisko i tanio, mówiąc " obiecanki- cacanki!", dając tym również wyraz błędności swych przekonań w uznawaniu carów za królów polskich, i służąc tak niesłusznej sprawie i polityce jak ugodowość.

Po Wielkim Księciu Rosyjskim przemówili również w tej samej

S. Dm.

inniz aborcy

sprawie, chcąc w tej licytacji podobnymi kłamliwymi obietnicami, i jeszcze wyraźniejszymi ale iluzorycznymi oświadczeniami uznać prawa Polski do niepodległości, i pozyskać dla siebie współudział narodu polskiego w tej wojnie narodów, a wiedzieli przecież że przez dziesiątki lat naród polski modlił się: "o wojnę narodów prosimy Cię Panie!". Przetargi te o siłę, wolę walki i krew Polaków, choć oficjalne wyraźnie jednak były położnicze, kłamliwe, złudne i naród nasz, jako całość, za takie je uznał.

Dopiero rewolucyjny rząd rosyjski, pod przywództwem Włodzimierza Lenina, w swym dekrete o prawie samostanowienia narodów o swym losie przyznał Polsce prawo do niepodległości. Bez tego poparcia i uznania sprawa Polski, walkowna na Kongresie Wersalskim, byłaby jeszcze trudniejsza - trzeba jednak było na to rewolucji, trzeba było wyraźnej postawy Partii bolszewickiej, trzeba było krwi wielu bohaterów, jak już wspomniany mieczman Szmidt von Launitz, siostrzeniec mego ojca, jak wielu innych "sokołów zwiastujących burzę i walczących z huraganem".

Ojciec mój widział i odczuwał ówczesnego ducha dziejów, obserwował jak w tych czasach jakiś prąd gwałtowny pchał ludzi do, wydawało się co raz bliższej, niepodległości Polski. Wiedział że klęski ponoszone dotychczas przez kraj nie były "przypadkowe", jak to głosiły koła nacjonalistyczne, zatruwając swym fatalizmem, nacjonalizmem i szowinizmem wolę walki i świadomość jej konieczności zgodnie z rozpędzającym się kołem historii, walki uwzględniającej i porażki i ofiary, ale z nadzieją na zwycięstwo - "vietrix causa, diis placuit, sed victa Catoni" / bogowie byli po stronie zwycięzcy, ale Kato - po stronie zwyciężonych/, mówi przysłowie rzymskie stwierdzając że klęski i zwycięstwa zależą od ludzi, a nie odwrotnie, jak to chcieli wmówić narodowi polskiemu możnowładcy, episkopat i kler. Tak więc krew siostrzeńca przelana w czasie kaźni na wyspie Tieleguło-Bierezań, nie była przelana na marnie, była krwią przelaną w słusznej sprawie, i między innymi i ona doprowadziła ojca mego, dojrzałego już mężczyznę, leśniczego sarnieńskiego, do szeregów bojowników o tę słuszną sprawę.

Ojciec mój był wtedy dla mnie wzorem i ideałem, patrzyłem w niego jak w słońce - był człowiekiem, musiał więc mieć i wady, ale ja ich nie dostrzegałem - postępował i żył tak jak żyć można było w owych czasach: "Żyjąc blisko piekła, trzeba było i diabła w kuny prosić". To też odezwę Wielkiego Księcia Mikołaja potraktował mój ojciec jako nędzną jałmużnę podaną ubogiej sierocie, a nie za jaką chciał ją mieć jej autor - za akt przymierza narodów słowiańskich w walce z germanizmem, za akt równości i prawa do niepodległości.

S. Amz

A więc wojna, pierwsza Wojna Światowa, powołała ojca mego znowu do czynnej służby w wojsku cara Mikołaja II-go, cara który był typowym epigonem rządów swego ojca - sam rządów nie sprawował, zarządzili za niego różni ministrowie, w dodatku narzuceni przez różne koterie i środowiska dworskie. Właściwie był to typ rządów carskich od czasów cara Iwana Groźnego, założyciela "samodzierżawia" w Moskwie, a następnie w całej Rosji. Z pośród 24 panujących od tego czasu carów, tylko sześciu naprawdę i istotnie panowało - pozostali byli tylko epigonami wypełniającymi luki pomiędzy sprawowaniem władzy przez rzeczywiście panujących carów, a okresami buntów, powstań i rewolucji, które z reguły poprzedzały w Rosji pojawienie się nowego prawdziwego, dzierżącego władzę "samodzierżcy".

Lato tego pamiętnego roku 1914 było upalne, gorące i prawie bezdeszczowe od czerwca do późnej jesieni - ojciec mój był w tym okresie zaaborbowany wychowaniem trzech już swoich zdrowych i ładnych synów Mikołaja, Włodzimierza i mnie, Stefana, wychowaniem w duchu i tradycji rodu Zubczewskich. Mikołaj był już wtedy kadetem I roku w Korpusie Kadetów, a Włodzimierz w klasie przygotowawczej tego Kijowskiego Korpusu - obaj poszli tą drogą już od 7-go roku życia. Jako chłopcy zarejestrowani w Głównym rejestrze potonków Rurykowiczów w Kijowie, gdzie figurowali też synowie szlacheccy z terenu Wołynia i Podola, korzystali z przywileju kształcenia na koszt państwa i mieszkali w internacie. Chłopcy ci, oderwani od rodzin i tylko w czasie wakacji i urlopów okolicznościowych utrzymujący ze swymi rodzinami kontakty, byli wychowywani i kształceni w Korpusie na członków specjalnej kasty przyszłych dowódców wojskowych, czyli właściwie na "zawodowych zabójców - ku chwale ojczyzny". Wychowanie to i kształcenie przebiegało pod staranną opieką doświadczonych oficerów, wychowawców-pedagogów pochodzących z dobrych ale biednych rodzin szlacheckich. Kadeci byli skoszarowani i odizolowani od reszty młodzieży w ich wieku, podlegali specjalnie opracowanemu dla korpusu kadetów regulaminowi, w którym specjalny nacisk położony był na sprawność fizyczną, ginnastykę, musztry i ćwiczenia na placach, zaś z nauk na nauki ścisłe jak: matematyka, fizyka, geodezja, ~~metoda~~ kartografia; dbano również o wysoki poziom nauki języków obcych, a przede wszystkim francuskiego i niemieckiego. Oczywiście nie zaniebawiano wdrożenia dokładnej znajomości wszelkiego rodzaju broni siecznej i palnej / aż do armaty włącznie/, a wszelkie ćwiczenia wojskowe przeprowadzano bez względu na pogodę i warunki atmosferyczne - zaprawiało to młodzież w posługiwaniu się mapami, busolą, w spostrzegawczości, bystrości orientacji i decyzji

J. Iny

Młodym kadetom dopisywały apetyty, i to co w klasie przygotowanej nie specjalnie smakowało świeżo przybyłym z domów rodzicielskich paniczom, po pierwszych paru tygodniach zajęć i ćwiczeń terenowych było pałaszowane bez względu na wymogi podniebienia, bo wikt był rzeczywiście smaczny i treściwy. Czujnie też obserwowano prawidłowość równomiernego rozwoju fizycznego i umysłowego kadetów, a każde odchylenie od normy było umiejętnie regulowane przez lekarzy wojskowych.

Ja również, jako figurujący też w Głównej księdze potomstwa Rurykowiczów, miałem właśnie w tym 1914 roku pójść śladami moich braci, nie odpowiadało to jednakże moim upodobaniom i zainteresowaniom książkami i lasem, lasem żyjącym swym specyficznym życiem ciszy, spokoju, woni i barw. Unikałem też braci w czasie ich urlopowych dni w domu spędzanych, gdyż dokuczali mi, urażeni niechęcią do ich trybu życia i nauki. Poszedłem więc nie do korpusu kadetów, lecz do tak zwanego "gorodskiego uczyliszcza" miejskiej szkoły w Sarnach, przy czym na tę moją rozstrzygającą o kierunku nauki decyzję duży wpływ wywarła moja mama przypominając powodzenie życiowe i zadowolenie jakie było udziałem moich dziadków-pedagogów Juliusza i Augusta Zubczewskich, choć nawet i drogiej mojej mamie nie łatwo było przełamać opór ojca, który zapytywał: "jakiż będzie z ciebie Zubczewski jeśli nie chcesz ~~być~~ być wojskowym?"

Wezwanie mego ojca do stawienia się w Dowództwie Korpusu Okręgu Wojskowego w Kijowie, a nie w macierzystym pułku ułanów Czugujewskich, i zameldowania się u dowódcy Korpusu generała Dragomirowa było nieoczekiwanym piorunem z jasnego nieba dla naszej rodziny. Jak się okazało gen. Dragomirow został wyznaczony na dowódcę armii południowo-zachodniej, rozpoczął organizowanie swego sztabu i śpieszne kompletowanie pułków i dywizji z rezerwistów. Generał Dragomirow był człowiekiem wykształconym i niezwykle zdolnym organizatorem wojskowym, co, mówiąc nawiasem, rzadko zdarzało się w tych czasach kiedy o doborze kadr decydowało zasadniczo, oprócz pochodzenia, poparcie jakiejś koterii dworskiej łaskawie panującego Monarchy. Warto tu chyba wspomnieć iż gen. Dragomirow był autorem planu strategicznego wojny polegającego na wciągnięciu nieprzyjaciela głęboko w obszary Rosji, aż do linii Wołgi, po to by rozproszonego na ~~dużych~~ dużych obszarach i oderwanego od zaplecza rozgromić, a w odwrocie zniszczyć całkowicie. Plan ten uwzględniający siłę uderzenia 16 milionów ludzi będących już wtedy pod bronią, mający wszystkie warunki powodzenia, nie został jednak zrealizowany na skutek wybuchu Wielkiej Rewolucji - wykorzystany jednak był

przez Józefa Stalina w czasie II-giej Wojny Swiatowej, i to jak wiadomo, ze znakomitym skutkiem - - Stalingrad!...

Generał Dragomirow więc kompletując 13 Dywizji swojej Armii i dokonywując jej koncentracji w lasach pod Równem, do obszaru których należały też lasy sarneńskie, napotkał w przeglądanych listach i wykazach oficerów rezerwy wydawało mu się znajome nazwisko porucznika ułanów Czugujewskich, i odszukał w pamięci, że to jest właśnie nazwisko tego dowódcy zwiadowczego szwadronu, który był przez niego wyróżniony przed frontem pułku w Równem po zakończeniu manewrów wojskowych. I ta właśnie dobra pamięć generała oraz jego zamiłowanie do dobrych dowódców / co cechowało również i naszego znakomitego wodza, króla Jana Sobieskiego/, była powodem wezwania porucznika Sergiusza Prawdzie Sołłhub Zubczewskiego do stawienia się w sztabie Armii.

W oznaczonym czasie, punktualnie i w pełnej gali z odznakami mówiącymi o ukończeniu z wyróżnieniem Kijowskiej Szkoły Podchorążych oraz Akademii Rolniczej w Piełnowsko-Rozumowskoje stanął mój ojciec przed generałem. Z życiorysu porucznika znał już generał zarówno jego stare rodowe pochodzenie, w dodatku z Litwy, co nie było dla generała bez znaczenia, umiejętność władania w mowie i piśmie obcymi językami, a poznając teraz w osobistym zetknięciu się z porucznikiem jego znajomość wojskowości, swobodę zachowania się, inteligencję i wdzięk postawy, potwierdził generał swoją wstępną decyzję mianowania porucznika swoim pierwszym adiutantem - co też porucznik z podziękowaniem przyjął. Obowiązki swoje objął ojciec mój natychmiast i spełniał je tak, że generał już w krótkim czasie przywiązał się do swego adiutanta i nabrał pewności że z całkowitym zaufaniem może mu powierzać do dyspozycji i decyzji wiele spraw do załatwienia. Codzienne poranne zaneldowania się adiutanta u swego generała przebiegały w pogodnej i przyjaznej atmosferze i pogwarce, po czym generał po przyjacielsku i ojcowsku zwracając się do adiutanta na "ty" / a było to w tych czasach nie małe wyróżnienie dla oficera, szczególnie Polaka/ prosił go do krótkiego zreferowania spraw i, nie wnikając bliżej w ich treść, kładł na tych "bumażkach" swój zamaszty podpis z adnotacją "Zatwierdzam".

Nadszedł rok 1915. Armie rosyjskie ustawicznie cofały się na całej linii frontu, od Bałtyku do Karpat. Trapiiony niepowodzeniami Zwierzchni Wódz Wielki Książę Nikołaj Nikołajewicz wydaje jakże potworny rozkaz przymusowego wysiedlania

ludności polskiej, litewskiej i białoruskiej razem z cofającą się armią rosyjską. Wódz Naczelny nie był bynajmniej strategiem choć prasa wypisywała cuda o jego rzekomych talentach strategicznych - był tylko wodzem, który nie liczy się ze stratami w ludziach przy planowaniu i prowadzeniu operacji wojskowych, był tylko wodzem podpisującym bezkrytycznie opracowane przez swoich, również bardzo miernych generałów, plany strategiczne, był też osobą raczej tchórzem niż mężnym i odważnym oficerem, jak głosiły służalcze i panegiryczne artykuły w gazetach. Takim go widział mój ojciec i takim opisuje go w swoich wspomnieniach historyk i współuczestnik tej wojny, hrabia Witte, pisząc bez ogródek o Nikołaju Nikołajewiczu jako o: "tchórze podszytym mistycyzmem i z "zajęczkiem" w głowie". Rozgromienie armii gen. Renenkampa w Prusach Wschodnich (pod Tannebergiem niedaleko Grunwaldu), a następnie zniszczenie armii generała Sansonowa i w następstwie jego samobójcza śmierć - to były skutki i cena wywiązywania się przez Rosjan z zobowiązań wobec swych francuskich sojuszników, gdyż sytuacja na froncie zachodnim wymagała odciążenia i niemy przerzucili w tym czasie dwa korpusy z Francji właśnie na Prusy Wschodnie. Wytworzona przez klęski w Prusach Wschodnich sytuacja ^{Sponadonalia} wzmożenie ewakuacji ludności ze Lwowa, Wołynia i Podola - wywożono Polaków masowo na wschód w głąb Rosji, nie zaniebując "przy okazji" nawracania tantejszych unitów na prawosławie. ~~Ważnym~~ Armie rosyjskie nadal cofały się we względny porządku, ale nikt nie mógł przewidzieć gdzie i kiedy ^{się} zatrzymają, kopano więc w pośpiechu okopy i budowano zapory od Brześcia aż do Wołgi, pędzono liczne stada krów, koni, i owiec - ludność ewakuowano pośpiesznie i bezwzględnie zezwalając na zabranie w w nieznaną drogę skromną tylko część dorobku. Resztę tego dorobku, domy i zabudowania gospodarcze, pola i sady palono i niszczone. Drogi były ^{ultraizolowane} niekoczącymi się taborami powódź uchodźców przemieszanych z taborami wojskowymi - słowa Nikołaja Nikołajewicza z "Manifestu do Polaków" o historycznej misji Rosji troski o losy narodów słowiańskich, ziszczały się teraz w jakże odmienny sposób, Rosja istotnie "nie była obojętna" na losy ludności polskiej, litewskiej i białoruskiej, pędząc ją ~~teną~~ drogą zarządzanej ewakuacji "w nieznaną" i na tej drodze narażając na trudy i udręki, na głód i choroby zakaźne szerzące się w tych nieludzkich warunkach ~~wieloletniej~~ beznadziejnej wędrówki.

Wielki "exodus" nie oszczędził również i naszej rodziny - matka moja wraz ze mną zmuszona była do śpiesznego

Jan

opuszczenia Sarn i wyjazdu do rodziny nieżyjącego już dziadka do Kijowa, gdzie siostra ojca Maria, będąca lekarzem, mieszkała wraz ze swą Matką /Małgorzata z Daszyńskich/ w swej posiadłości Wasilkówce pod Kijowem. Właśnie podczas tej podróży koleją, pod miejscowością Fastowem, nad ~~nową~~ bagnistą rzeką Tietierewem, wydarzyła się groźna w skutkach katastrofa kolejowa.

Rozpędzony pociąg pospieszny uległ katastrofie z przyczyn niewiadomych i prawie cały uległ zniszczeniu - lokomotywa, i idące za nią wagony, bagażowy i pocztowy, wypadły z torów i spadły z mostu do rzeki, tworząc w dole jedną wielką gmatwaninę olbrzymią żelastwa i stali, zaś trzy następne wagony, zatłoczone ewakuowaną z Wołynia ludnością, najechały jeden na drugi i wybuchł w nich pożar spowodowany przez ogień z pieców węglowych, którymi były opalane. Na szczęście matka moja i ja znajdowaliśmy się w wagonie I klasy, który zatrzymał się tuż tuż nad filarami mostu kolejowego i zostaliśmy ocaleni. Pożar i jęki rannych dochodzące z gruzów zdruzgotanego żelastwa były przerażające i wzniewały jeszcze większą panikę i strach wśród uchodźców. Było bardzo wielu zabitych i dwukrotnie więcej rannych. Cały nasz dorobek wieziony w tej podróży uległ oczywiście zniszczeniu, lecz my z moją matką byliśmy niezmiernie ucieszeni, że wyszliśmy cało z tej przerażającej katastrofy, bowiem, po za szokiem nerwowym i powierzchownymi potłuczeniami, nie odnieśliśmy żadnych poważniejszych obrażeń. To był prawdziwy dla nas "cud" jak mówią mama.

Uzupełniając zasady tak bezwzględnie przeprowadzanej ewakuacji wypada tu jeszcze nadmienić, że rodziny wojskowych ^{oficerów} znajdujących się w służbie czynnej, zwłaszcza rodziny oficerów, podlegały ewakuacji przymusowej w ciągu 24 godzin, gdyż traktowane były jako zakładnicze. O braci moich, Ikołaja i Włodzimierza, przebywających wówczas w Korpusie Kadetów w Kijowie, matka moja była względnie spokojna, choć dobrze zdawała sobie sprawę z tego co może ich czekać w przyszłości, mówiąc: "... niech chłopcy wiedzą co winni ojczyźnie, co należy im przez całe życie robić aby jej bronić i dodawać jej sławy". Te słowa wypowiedziane i napisane przez znakomitego pisarza, polityka i reformatora szkolnictwa, Stanisława Konarskiego, a także pedagoga i publicystę mającego duże zasługi w zwalczaniu zacofania pozostałego z epoki saskiej, znane były mojej mamie i z głęboką tkwiły w jej sercu i świadomości, jej, która z zapałem wstąpiła i szła tą właśnie drogą kamienistą oświaty ludu polskiego do wolnej Polski.

S. Dufy

A armie rosyjskie nadal cofały się ustawicznie - zwłaszcza po wielkiej przegranej pod miastem Frydland niedaleko Królewca, właśnie tam gdzie w dniu 14 czerwca 1807 roku dywizja generała Henryka Dąbrowskiego odegrała decydującą rolę w zwycięstwie nad Niemcami i Austriakami. Teraz kajzerowskie Niemcy całą parą ~~potęgą~~ swej potęgi, pod miarowy krok uzbrojonych pojęby prusaków, bawarczyków i weszalczyków parły, po odniesionym zwycięstwie wojskowym i strategicznym, na wschód - w głąb Rosji.

Pod naciskiem ustawicznych niepowodzeń, i pomówienia nawet o otwartą zdradę, dwór carski stracił głowę: Nikołaj II na gwałt odwoływał generałów i pułkowników szczególnie pochodzenia niemieckiego. Generała Dragomirowa zastąpił wówczas generał Brusilow, a pułkownika von Berga, dotychczasowego dowódcę pułku ułanów Czugujewskich, polak Rajewski, były kolega i przyjaciel porucznika Sergiusza Zubczewskiego jeszcze z czasów studiów w Korpusie Kadetów i Szkole Podchorążych. Pułkownik Rajewski, spotkawszy adiutanta porucznika Sergiusza, natychmiast zaproponował mu powrót do pułku ułanów Czugujewskich, na co ojciec mój chętnie wyraził zgodę, a zmiana w kierownictwie armii nie stawiała w tym wypadku przeszkód. Porucznik Sergiusz Zubczewski przejąwszy swój zwiadowczy szwadron pośpiecześnie go skompletował, wykorzystując przy tym, pamiętny pouczenie swego dziadka, rozbitków z armii generałów Renenkampa i Samsonowa, z pośród których dobierał Polaków, Litwinów i Tatarów na stanowiska wachmistrzów.

Nadszedł rok 1916. Generał Brusilow doprowadziwszy już wtedy do stworzenia potężnej pięści uderzeniowej, armii złożonej głównie z kawalerii i artylerii, świeżej artylerii rosyjskiej - powtórzył z tą armią słynną Somosierę z roku 1808.

Generał Brusilow, dobry strateg i człowiek zdolny a uparty, wiedział, że przed natarciem należy zabezpieczyć swe tyły, przystąpił ^{więc} do skrytego gromadzenia swych rezerw w lasach pod Równem, Kowlem i Dubnem. Ruchy wojsk dokonywane były wyłącznie nocą i o świcie ^{pułki} zaszywały się w lasach. Pułki kozaków Dońskich, Kubańskich i Terskich oraz pułki ułańskie przeprowadzały ustawiczne podjazdy i lokalne utarczki zaczepne, celem zdezorientowania przeciwnika na całej długości frontu gdzie się znajduje i szykuje miejsce głównego uderzenia nas kawalerii - teren tantejszy, przez swą konfigurację, liczne zagajniki i laski, dawał po temu świetne możliwości i warunki do użycia manewru, obejścia, zaskoczenia, uderzenia. Niemcy oczywiście też nie byli "w ciemną bicie" i przy pomocy artylerii dalekosiężnej ciężkiego kalibru prowadzili bezustanny obsługa wszystkich

Ryzyko przyjętego zadania podniecało porucznika Zubczewskiego wracającego do swego oddziału w towarzystwie wachmistrza i zwykle mu towarzyszącego oddziału tatarów. Nieco ochłonawszy pod mżącym ciepłym deszczem rozważał porucznik wszystkie "za i przeciw", wszystkie aspekty wypadu. Wprawdzie fakt, że jeszcze nigdy dotąd nie uczyniono wypadu kawaleryjskiego na tak głębokie terytory nieprzyjaciela, do pewnego stopnia ułatwiało zadanie stając się korzystnym czynnikiem zaskoczenia, jak również topografia terenu, zwłaszcza delta rzeki Ikwy, gdzie na bagnistych rozlewiskach, pleskach i mieliznach niezliczonych dopływów linia frontu nie była ciągłą niemy, jak donosili zwiadowcy, utrzymywali tam tylko swoje "sekrety" - czujki, a odwody zakwaterowywali w okolicznych wsiach i posesjach położonych na dogodniejszym, wyższym i suchszym terenie rzek, strumyków, i potoczków. Ludzie, którymi dowodził, byli to tatarzy nawykli do niewygód, zdolni do przebywania po 10 i więcej godzin w siodle bez wytchnienia, przesiadając się jedynie w biegu na konia zapasowego /t.zw. luzaka/, a czyniło to ich prawie nieuchwytnymi dla wroga - zwolniony bowiem koń przechodzi na prawą stronę swego władcy i biegnie obok, aby jego pan mógł po pewnym czasie dosiąść go w biegu. Wytrzymałość fizyczna pozwalała im przy pośpiechu ^{na}obywanie się bez pożywienia, a gdy głód mocno już dawał się we znaki zeskakiwali z konia, otwierali nożem arterię na brzuchu konia i, przysiadając ustami do rany, pili do syta ciepłą krew konską, i tak orzeźwieni i nasyceni ~~wskazywali~~ znowu sprawni do dalszej długiej jazdy. Ten rodzaj żołnierzy - zwiadowców w ręku swego dowódcy nawykły był do chwytania w lot i wykonywania jego rozkazów.

Rozważywszy wszystkie możliwości i sposoby rajdu porucznik Zubczewski postanowił działać na sposób tatarski. Oddział swój składający się z 400 ludzi rozdzielił na cztery pododdziały - każda sotnia z wachmistrem na czele kierowana była w ustalonym kierunku i miała za cel skrycie przedostać się przez rzekę Ikwę i jej bagniska aż w rejon rzeki Styru, tam winna się rozdzielić na 3 jednostki po 33 ludzi każda, następnie przed linią frontu miał nastąpić dalszy podział na 11 osobowe grupy jeźdźców i wszystkie te grupy miały zdążać różnymi wyznaczonymi drogami, drózkami i przesiekami leśnymi do wyznaczonego miejsca zbiórki, położonego już na tyłach wroga. Ślad pozostawiony przez 11-tu jeźdźców, jadących gęsiego jeden za drugim, zacierał się prędko i był nieuchwytny ~~dla przeciwnika~~, co gwarantowało względne zabezpieczenie przed wykryciem przez przeciwnika. Trzeba tu zaznaczyć że porucznik Zubczewski dalekowzrocznie przewidując przeróżne trudności i sposoby ich uniknięcia zawczasu wysłał wyznaczonych

Byli

S. Dufy

ludzi w górę prądu rzek ^{Stuczny} ~~Stuczny~~, Styru i Ikwy z zadaniem puszczenia z powolnym biegiem tych rzek pływających wyspek i wysp złożonych z poszycia błotnej roślinności, co miało ułatwiać innym jednostkom przedostanie się na drugą stronę tych rzek i na tyły frontu. Jak to było przewidywane czujką niemieckie początkowo ostrzeliwały te spływające w dół wysepki ogniem z karabinów maszynowych, a nawet badały przy pomocy łodzi to obce im i niecodzienne zjawisko, lecz po pewnym czasie, uspokojone, zaniechały ostrzeliwania. Ruchy wroga były pilnie obserwowane przez dobrze zamaskowanych tatarów zwiadowców, a meldunki o spostrzeżeniach były natychmiast przekazywane dowódcy. Pora deszczowa sprzyjała zamiarom i planom porucznika, woda w rzekach wzbierała, a coraz gęściej spływające z prądem wysepki nie budziły już u Niemców żadnych obaw, uznane za zjawisko naturalne związane z przyborem wód i wartością nurtu rzek.

W odpowiedniej chwili, w dniu kiedy mżył deszcz, a księżyc był zakryty chmurami, porucznik Zubczewski wystrzeleniem trzech zielonych rakiet dał sygnał rozpoczęcia akcji. Sygnał ten powtórzyły oddziały konnych żołnierzy - co oznaczało wejście ich do akcji. Każdy oddziałek pozostawiał konie z jazdowymi na brzegu i w szybkim tempie załadowywał ~~nie~~ do zwykłych beczek "bednarskich", na jakieś łodzie rybackie lub ^{drudny} ~~platformy~~, wszystko to uprzednio obszyte błotną roślinnością i sprawiające wrażenie znanej już Niemcom pływającej wyspy, na nie więc załadowywano broń, amunicję oraz specjalnie dużą liczbą francuskich granatów ręcznych, zwanych "cytrynkami". Granaty te były znakomitą bronią i w natarciu i odwrocie, były łatwe w użyciu, wymagały tylko odbezpieczenia, stuknięcia poprostu o kolano i natychmiastowego rzutu po odliczeniu do trzech. W miejscu wybuchu działały jak szrapnele. Kiedy więc wysepki te z bronią i amunicją, lekko popychane przez płynących tatarów, spływały do milczącego i ciemnego, górującego nad rzeką brzegu, reszta zwiadowców ^{wpływ} ~~wpływ~~ zdażyła w tym samym kierunku.

S. Dziw-

Przedstawiono się więc pod wysoki brzeg, co z jednej strony utrudniało akcję wdarcia się na ląd, z drugiej jednak było momentem sprzyjającym w opanowaniu tego brzegu w sposób niewidoczny dla wart i czujek niemieckich. Wkrótce też przekonali się pierwsi tatarzy-zwiadowcy, że brzeg ten nie był na szczęście zaninowany i, po unieszkodliwieniu na wieki, ciosem sztyletu lub noża, pierwszych czujek wroga, przekazali oczekującym już w zaciemnionym brzegu rzeki konnym ułanom wiadomość o "wolnej drodze". Pierwszy etap operacji przeszedł pomyślnie i porucznik Zubczewski rozglądał się w terenie i naradzał ze swoim adiutantem Iustafą Achmedem, wachmistrzem i zastępcą dowódcy tego 66 osobowego oddziału / a nawiasem mówiąc ów wachmistrz wywodził swój ród z chanów Krymskich, i jak oni nosił nazwisko Girej/ nadał planem dalszego postępowania. Na wachodzie zarysowywał się już świt, i w świetle budzącego się dnia widok bezładnie porozrzucanych ciał zasztyletowanych czujek niemieckich zastygłych już z przerażenia w otwartych zaskoczonych oczach, budził wstręt i podświadomy lęk. Porucznik był młody, silny nerwowo, zdrowy na ciele i duszy, szybko więc opanowawszy nastrój będący i skutkiem pewnych mdłości z napięcia się niezbyt czystej wody w czasie przeprawy, i widoku porażonych Niemców i chłodu poranka rozkazał pokrzepić się kilkoma łykami spirytusu z manierką a następnie zebrać niemiecką broń i amunicję a trupy odciągnąć na bok. Następnie wyznaczył miejsca ogniowe dla karabinów maszynowych i miotaczy rln, i udał się w kierunku szlaku czujek niemieckich skąd dochodził dźwięk telefonu. Znając dobrze niemiecki porucznik przeprowadził / przez słuchawkę owiniętą dla zamaskowania brzdania głosu/ rozmowę z pułkownikiem niemieckim, w której zameldował temu ostatniemu, że wszystko na linii wart w porządku, tylko ludzie są przemoknięci do skóry - co było zresztą prawdą bo jego ludzie po przeprawie przez rzekę istotnie odciekali wodą. Otrzymawszy od pułkownika zapowiedź iż za parę godzin nastąpi zmiana warty, porucznik Zubczewski służbiście odpowiedział "jawohl!" i odmeldował się. W ten sposób los znowu przysłużył się porucznikowi Zubczewskiemu pozwalając w związku z tą przypadkową rozmową w zorientowaniu się w sytuacji i czasie. Pozostawiając teraz, na zdobytych na wrogu podstępem i odwagą pozycjach wzmoczone posterunki, sam na czele ułanów ruszył znany mu wąwozem, jeszcze sągłonymi przegrannymi oparami, na tyły wroga. Oddział dowodzony przez ojca, jeden z wielu jak wielu, skierowany przez niego różnymi drogami w tym samym kierunku i tym samym celu, na tyły wroga, był oddziałem liczącym wprawdzie tylko 66 ludzi, ale każdy z tych ludzi

deszczu

wart był na wojnie i w boju co najmniej dziesięciu. Wszyscy byli ubrani w kożuszki tatarskie wyweócene wełną do góry, na głowach mieli czapki / czapy/ baranie, t o też nie byli podobni do żadnej formacji wojskowej, a przypominali raczej swoim wyglądem czambuł^M górskich mołdawskich ~~kozaków~~ lub ^{rumuń} tatarskich koniuchów zwłaszcza. że krótkie karabinki kawaleryjskie i inną broń palną i sieczną mieli sprytnie ukrytą . Przedostawszy się więc wąwozami na tyły wroga zaszyli się w napotkanym zagajniku, przy czym koń nie zarżał , strzemię nie brzękło, i wystawiwszy wzmocnione posterunki zażywali zasłużonego odpoczynku . Spali wszyscy snem kamiennym pokrępiającym snem ludzi sprawiedliwych , spali tuż obok dróg którymi przemykały patrole niemieckie penetrujące przejścia na tyły. Obudziwszy się po paru godzinach mocnego zdrowego snu i odzyskawszy nadwyrężone wysiłkiem nocy poprzednich siły fizyczne i psychiczne porucznik Zubczewski poczuł się dobrze , ale powaga/sytuacji jak również wykonanie najbliższego zadania, przedostania się oddziału złożonego z 66 jeźdźców przez otwarty teren , wydawały się nie do pokonania. Wydawało się że tu i myśz się nie prześlizgnie. Wyglądając jednak z zarośli na skraj^u zagajnika zauważył porucznik stado wołów , krów i jałowice na wypasie - było to , wypasając trawę powoli podchodziło do skraju zagajnika, w którym ukryty był oddział. W tym czasie dała się słyszeć wybuchła zniemacka w oddali strzelania z karabinów maszynowych i miotaczy min gdzieś na tyłach oddziału. Bezwątpienia była to utarczka ^{niemców z} ^{mi} pozostawionych przez porucznika na brzegu rzeki zwiadowcami, którzy zostali wykryci tam przez wroga. Wykorzystując tę okoliczność w cichym porozumieniu z wachmistrem Iachnudem Girejem, który rzekł tylko "efendi - na nas czas !" i wskazał na pasące się stado, oddział utworzył na rozkaz porucznika wachlarz okrążający stado, i zmieszany wśród niego, poganiając batogami było , zawrócił stado na główną drogę wiodącą do Kołomyji. Zwiadowcy, jak wspominałem, podobni wyglądem do czabanów świetnie pasowali do tego czambułu, a/jego dwóm prawdziwym koniuchom Lemkom, porucznik, pokazując broń , powiedział iż muszą się w ten sposób przedostać do okolicznych lasów , tam zostanie im zwrócone ich było i zostaną wynagrodzeni. Lemkoie na to przystali i poprowadzili stado , a z nim zmieszany oddział zwiadowczy, do lasu odległego o około 9 wiorst, skręcając przy tym z ttraktu i klucząc znanymi im jarami i dołami.

Po oderwaniu się od stada, oddział zwiadowczy ruszył w dalszą swą drogę, a zwiadowcy z zachwytem spoglądali na swego dowódcę, który znowu dowiódł że swą ^{zimą i wiosną} odwagą, sprytem i pomysłowością potrafi ich wyprowadzić z najtrudniejszych sytuacji i niebezpieczeństw. W pierwszych dniach czerwca /2.VI.1916/ oddział , podzielony teraz

znowu na jedenastki zbierał siły do dalszej akcji, gdyż do wyznaczonego czasu akcji ofensywnej armii rosyjskiej pozostawała niecała doba, a oddziały musiały pokonać jeszcze odległości od 30 do 60 i nawet 90 kilometrów, aby dotrzeć w okolice Kołomyji, Stanisławowa i Czerniowiec w pobliżu których miały swe stanowiska ciężkie działa burzące niemieckie i austro-węgierskie.

Po wypoczynku i dokonaniu starannej lustracji oddziału a szczególnie jego koni, oddział teraz już 33-osobowy ruszył w drogę lasami i zagajnikami do wyznaczonych celów. Pod Kołomyją zapadł w lasach jedenastoosobowy oddziałek pod dowództwem wachmistrza Machmuda Gireja Gireja, porucznik Zubczewski ruszył dalej, a dotarłszy pod Sataniśławów pchnął dalej, aż pod Czerniowce następną 11-kę pod dowództwem drugiego doświadczonego wachmistrza - tatarą swego adiutanta, Mustafy-Achmeda - sam porucznik zapadł w lasach Stanisławowskich. Stąd rozpoczęto piesze zwiadowcze wypadły w pobliże zamierzonych konkretnych obiektów dywersji na głębokim zapleczu wroga. Celem głównym były baterie dział ciężkich i składy amunicji oraz pocisków a usytuowane one były na jakby cyplu wklinającym się we front rosyjski, i były bardzo starannie chronione wzmożonymi wartami. Działając na tym cyplu miał porucznik również możliwość przyjscia, w razie potrzeby, oddziałom obu wachmistrzów z odsieczą, gdyż działali oni obaj na jego skrzydłach., i nieco głębiej na tyłach armii niemieckich i susteriackich. Również obaj wachmistrze mieli za zadanie, na trzykrotny sygnał dany czerwoną rakieta, śpieszyć z odsieczą porucznikowi działającemu przeciw, niemal samobójczo, prawie w samej paszczy lwa - a Niemcy byli okrutni i bezwzględni dla wywiadowców schwytanych na tym newralgicznym dla wyniku walki terenie.

W okresie szeroko tu omawianego rajdu samodzielnego oddziału zwiadowczego na tyły wroga wszystkie wydzielone oddziały i grupy wykonywały z pożądanym skutkiem swoje zadania: penetrowały tyły wroga, pęliły co się dało, niszczyły drogi, linie kolejowe i połączenia telefoniczne, siały zamęt, niepokój i dezorganizację. Pościg kawalerii niemieckiej za ukazującymi si nieoczekiwanie w różnych miejscach grupkami zwiadowców porucznika Zubczewskiego napotykał na ogień karabinów maszynowych z niezliczonych zasadzek, ogień tak należycie przygotowany i celny, że niszczył podjazdy i nawet szwadrony przeciwnika, który z siły tego zmasowanego ognia obliczał siły tej dywersji na pułki, a nawet dywizje. Obsadzone przez zwiadowców przyczółki na brzegach rzek skutecznie odpierały natarcia nieprzyjaciela wspierane skutecznie w tym oporze ogniem zaporowym swej własnej artylerii. Przemówiła też rosyjska ciężka artyleria pokrywając swym ogniem bliższe i dalsze fortyfikacje

wroga. Zwiad lotniczy niemiecki ustawicznie donosił o koncentracji oddziałów desantowych rosyjskiej piechoty i środków saperskich - tak działo się w dzień, gdy niedbale maskowano pontony i sprzęt saperski im towarzyszący, i działo się prawie każdego dnia. Niemcy dziwili się niezmiernie tym przeprawom desantowym dokonywanym w miejscach nawet najmniej sprzyjających, ale meldunki ich zwiadowców i obserwatorów powietrznych i lądowych potwierdzały ciągle to samo: masowa koncentracja oddziałów desantowych rosyjskich oraz środków transportowych dła nich. Te meldunki powodowały przenoszenie i ustwiczne przemieszczanie przez Niemców swoich odwodów na coraz to inne, ich zdaniem bardziej zagrożone tereny, osłaniając równocześnie tereny pozornie nie przydatne i niedostępne dla rosyjskich desantów. Nie wiedzieli jednak Niemcy jednego: że maszerując w dzień Rosjanie nocami skrycie przerzucali te ujawnione dniem oddziały szybkim marszem na miejsca właściwe i wygodne do przepraw, i tam je koncentrowali - a nad prawidłowym wykonaniem tych ruchów czuwał przez swych zwiadowców, oficerów łącznikowych, nie kto inny lecz ojciec mój, porucznik Zubczewskich, który przebywając na tyłach wroga bacznie obserwował wszystkie jego posunięcia. Wojska rosyjskie miały teraz możność sprawnego i szybkiego dokonywania tych manewrów dzięki doskonałemu sprzętowi saperskiemu otrzymanemu w potrzebnej ilości od sojuszników-aliantów, właśnie w odpowiednim terminie, w czasie kiedy oddziały zwiadowcze porucznika Zubczewskiego, prowadzące już teraz akcję zaczepno-dywersyjną, potrzebowały wsparcia i współdziałania przez podrzucone im oddziały piechoty z różnych pułków armii rosyjskiej nadciągającej coraz bliżej do linii frontu.

Sam porucznik Zubczewski, skryty w lasach Stanisławowskich, z niecierpliwością oczekiwał na rozpoczęcie akcji dywersyjnej przez jedenastki obu wachmistrzów: Mochameda Gireja i Mustafy Achmeda. Zapadła noc z 3 na 4-ty czerwca, zbliżała się znana porucznikowi godzina rozpoczęcia właściwej ofensywy wojsk rosyjskich dowodzonych przez gen. Brusilowa, więc, nie czekając już na żony pożarów na swych skrzydłach południowych, porucznik Zubczewski o godzinie 12.30 rozpoczął operację podpalając wypatrzone przez zwiadowców sterty zeszłorocznej słomy i trzciny, używanej przez tubylców na pokrycie dachów, podając tym ogniem i dymem jedyny możliwy sygnał, że przedostał się na tyły wroga i jego zaplecze zaplanowane przez dowództwo rajdu. Artyleria rosyjska natychmiast niespotykany dotąd zmasowany ogień ze wszystkich rodzajów dział i moździerzy. Pod osłoną nocy i pod akompaniament

Wskazywa

huku salw artyleryjskich zwiadowcy porucznika Zubczewskiego, przebrani w przygotowane zawczasu mundury austriackie ~~z~~ na czele ze swym porucznikiem, teraz wstępującym w charakterze "obersta", z bronią gotową do strzału, wyruszyli do upatrzonych w dzień stanowisk dział ciężkich i magazynów pocisków artyleryjskich.

"Halt! - wer da?" zabrzmiało zniecałkowane twarde wezwanie wartownika. Porucznik, oświetlając latarką twarz wartownika, równocześnie oznajmił mu w czystej niemożności, że w związku z rozpoczęciem ofensywy rosyjskiej, według rozkazu komendanta odcinka przyprzewadził swój oddział celem wzmożenia ochrony stanowisk artyleryjskich i magazynów - tłumacząc to wartownikowi porucznik oświetlał równocześnie latarką elektryczną szereg stojących w karnym ordynku rzekomych żołnierzy austriackich. Stanowczy głos i pewna siebie ~~postawa~~ postawa oficera speszyły wartownika, a wtedy porucznik rozkazał mu sprowadzić podoficera "rozprowadzającego" z oddziału wartowniczego i, kiedy wartownik gwizdkiem wzywał owego "rozprowadzającego", porucznik zadał mu kantem dłoni silny cios w kark, a gdy wartownik upadł jak rażony piorunem, rozkazał natychmiast zakneblować mu usta i związać go. Gdy wezwany gwizdkiem podoficer zbliżył się w asyście dwóch żołnierzy porucznik zaskoczył go wycelowaniem mu w prosto w pierś i okrzyk "Hande hoch!" i gdy ten uczynił to porucznik, po poleceniu rozbrojenia i związania żołnierzy, rozkazał podoficerowi, przystawiając mu rewolwer do pleców: "... prądź do wartowni - tylko bez kawałów, bo będziesz karnik robaki w ziemi!". Dalszy przebieg akcji był nieoczekiwanie łatwy: zerwani ze snu wartownicy z przerażeniem w oczach dawali się wiązać i kneblować jak barany co zwiadowcy porucznika czynili zwinnie i szybko. - podczas gdy pozostali zwiadowcy zakładali ładunki wybuchowe w ciężkie działa i stosy zgromadzonych pocisków i amunicji. Cała operacja trwała około pół godziny, a po jej ukończeniu porucznik z dwoma zwiadowcami skierował się do pobliskiego domu, kwatery dowódcy baterii. Dowódca, oberst von Kluge, spał w najlepsze po libacji wieczornej, o której świadczyły resztki potraw i liczne pozostałe na stole puste butelki po wódkach i koniakach. Wyjąwszy uprzednio z kabury leżącej na krześle parabellum obersta, porucznik obudził go i kazał mu ubrać się, a następnie związał go, narzucił mu na ramiona płaszcz i zakneblował usta jego własną chusteczką. Nie zapominając o mapach i pismach porucznik zgarnął ^{niek} mapki i inne papiery obersta ~~porucznika~~ wraz ze swym oddziałem ~~z~~ udał się do ~~stajen~~ ukrytych w pobliskim lesie koni pozostawionych pod opieką koniowodów. Na stanowisku baterii pozostało tylko dwóch zwiadowców którzy mieli zleczone ~~podpalenie~~ podpalenie "sznuru bickforda" ~~z~~

wiodącego do założonych ładunków dynamitu i trotylu, co miało spowodować zniszczenie dział i amunicji. W niecałe dziesięć minut po tym, do leżących w ukryciu zwiadowców doszedł grom silnej detonacji, świadczącej o dokładnym wykonaniu zlecenia i jednego z celów rajdu. Olbrzymia kłosa, rozchodząca się równocześnie po niebie była też sygnałem do rozpoczęcia ofensywy rosyjskiej na wszystkich właściwie wyznaczonych i przygotowanych miejscach przepraw przez rzeki, bagna, rozlewiska.

Samodzielny oddział zwiadowczy porucznika Zubczewskiego utracił w tym rajdzie ponad 37 procent swego składu, w zabitych, rannych, utopionych i zaginionych w bezdożach i trudach tej ważnej wojskowo imprezy - ale doczekał się wreszcie wkroczenia na te tereny wojsk rosyjskich i połączenia się z macierzystym pułkiem ułanów Czugujewskich. Liczni zwiadowcy zostali w pułku odznaczeni żołnierskimi Krzyżami Świętego Jerzego, a porucznik Zubczewski został udekorowany Orderem Św. Włodzimierza z mieczami.

Nie był to jednak bynajmniej jeszcze koniec walk dla Samodzielnego Oddziału Zwiadowczego i jego dowódcy. Już w dniu 18 czerwca /1916/ oddział wszedł w składzie 13-ej Dywizji kawalerii rosyjskiej do rozwijającej się ofensywy. Zdarzyło się, w tym dniu właśnie, że oddział znalazł się nagle w celnym ogniu zaporowym świetnej zresztą artylerii austriacko-węgierskiej, która tym ogniem zahamowała szarżę oddziału, a wiodący atak porucznik Zubczewski został w tym ataku ciężko ranny. Ułanek szrapnela przebił hełm porucznika i utkwiał w jego czole, ~~w~~ równocześnie koń porucznika został ~~również~~ zabity - nieprzytomny już porucznik nie zdążył wyswobodzić nóg ze strzemiion i i padający w szalonym biegu ~~u~~ koń runął na ziemię i przygniótł całym swym ciężarem i impetem ciało porucznika. Skutkiem tego fatalnego upadku było złamanie kręgosłupa, czterech żeber i otwarte złamanie lewej ręki. Jak ojciec później mi opowiadał to wydarzenie, uratowało go to od stratomania przez konie pędzących za nim ułanów, a z tej opresji jego wachmistrz Muchamed Girej, który zawsze miał baczenie na swego porucznika. Po doraźnym opatrzeniu porucznika i udzieleniu mu pierwszej pomocy wachmistrz Girej wyniósł ojca z pola walki i natychmiast odstawił go do szpitala polowego ~~gdzie~~ gdzie jeszcze nieprzytomnego ojca operowano. Poświęcenie wachmistrza spowodowało powtórne odznaczenie go Krzyżem Św. Jerzego. Po operacji został mój ojciec wysłany z transportem ciężko rannych do Kijowa gdzie już serdecznie zaopiekowała się ojcem

jego siostra , w tym czasie będąca lekarzem wojskowym, wspomniana już kochana ciocia Maria. Po 5 miesiącach spędzonych w szpitalu ~~Wł~~ Kijowski na rekonwalescencji , utraciłszy bezpowrotnie ruchy nóg, posługiwał się mój ojciec już dość sprawnie krzesłem inwalidzkim, a na czole miał wszytą pod skórę platynową płytkę uzupełniającą ubytek kości czaszki - żebrał ~~z~~ ręką srosły się prawidłowo. Do rodziny, przebywającej w tym czasie na stałe w pewnej miejscowości pod Czerkasami powrócił mój ojciec dopiero wiosną roku 1917 jako ozdrowieniec - przywieziono go na chłopskim wozie drabiniastym wynoszonym sianem, pod opieką ~~swego~~ adiutanta i ordynansa Iustafy Achmeda, który troskliwie opiekował się ojcem przez cały okres pobytu "swego szkoła" w szpitalu. Po pewnym czasie, sownie wynagrodzony przez ojca i rodzinę , wyjechał ^{Iustafa} na północny Kaukaz i otworzył tam bufet kolejowy, a następnie restaurację, na węzłowej stacji kolejowej skąd często pisywał do ojca,

W roku 1917 Tymczasowy Rząd przyznał ojcu, jako oficerowi starej armii, inwalidzie, rentę inwalidzką I grupy, wynoszącą wówczas - dosłownie - 9 rubli i 50 kopiejek miesięcznie , podczas gdy cena pudełka zapalek wynosiła 50 kopiejek. Faktycznie więc był kaleką bez środków do życia i utrzymania swej rodziny , która w dodatku cały swój ruchomy podręczny majątek utraciła, jako to już opowiadałem , w katastrofie pociągu pośpiesznego pod Fastowem. W tej sytuacji konieczność otoczenia pomocą i opieką naszej rodziny spadła całym swym ciężarem na moje barki, na wątłe jeszcze barki 9-o letniego, choć już wyrosniętego chłopca.

6

W tej trudnej sytuacji materialnej rodziny Zubczewskich było jasnym promieniem i jedyną radością rodziców moich i moją przyjście na świat mego brata, młodszego ode mnie o o osiem pełnych lat Jerzego, który urodził się w lecie roku 1916 -ego, właśnie w czasie gdy mój ojciec przeprowadzał swój wielki rajd na zaplecze wroga.. Po namyśle więc podjęli moi rodzice decyzję sprzedania należącej do ojca mego majątności, willi letniskowej znajdującej się w Wasiljówce pod Kijowem, w pobliżu drugiej nieruchomości tegoż rodzaju, willi letniej, będącej również w posiadaniu rodziny Zubczewskich i zamieszkałej wcześniej przez babcię moją /matkę ojca, Ialgorzatę z Baszy/skich, i ciocię moją Marię, lekarkę w szpitalu wojskowym d-ra Botkina w Kijowie. Decyzja tej sprzedaży, konieczna w obliczu ^{potrzeby} ~~ważności~~ leczenia ojca i utrzymania powiększonej rodziny była słuszna i uzasadniona, a następujący ~~po~~ sprzedaży willi wyjazd naszej rodziny do miejscowości Stara Osota położonej pod Czerkasami na Kijowszczyźnie okazał się konieczny ^{realiz.} ponieważ w dawnym miejscu zamieszkania, jak i w Darnicy i w innych okolicach pod Kijowem nie mogła mama moja znaleźć pracy w swoim unielowanym zawodzie nauczycielskim, pracy która teraz stawała się ~~koniecznością~~ jedynym źródłem utrzymania rodziny. Szkoły były wtedy zajęte pod szpitale wojskowe, a tu zbliżała się jesień, ujawniały się potrzeby odzieży i utrzymania spowodowane utratą wszystkiego skutkiem działań wojennych, a /cały dochód rodziny składała się kwota 100 /sto/ rubli przekazywana nam co miesiąc przez matkę i siostrę ojca, Marię. Mama moja była cały czas zadowolona i skłopotana trudnymi warunkami pielęgnowania synka swego Jerzego, ja zaś cały swój pozaszkolny czas poświęcałem ojcu, któremu byłem w tym pierwszym okresie jego kalectwa ustawicznie potrzebny stale mu coś podając, przynosząc, przygotowując, sprzątajac i spełniając wszystkie usługi pielęgniarskie ~~przy zniechęceniu ojca~~. Spełniałem je chętnie i wytrwale kochałem i podziwiałem mego ojca tak mężnie znoszącego swoją niedolę.

Ciocia Maria, droga i kochana moja ciocia, czyniła wszystko by pomóc naszej rodzinie i umożliwić mojej matce pracę nauczycielską - dzięki swoim szerokim stosunkom i znajomościom, a także stanowisku lekarza wojskowego udało się jej wreszcie uzyskać dla mojej mamy etat nauczycielski w szkole w Starej Osocie, ~~gdzie~~ ~~która~~ ~~została~~ ~~przejęta~~ W szkole tej i ja byłem uczniem mamy od początku roku szkolnego 1916-1917, a całe gospodarstwo domowe przejęła wtedy wraz z opieką nad małym Jerzym, przejęła wtedy nasza Usteńka / Justynka/ służąca, którą, jak ją pamiętałem jeszcze z rodzinnego Dubna, nigdy nie opuszczała mojej mamy, a traktowana

była przez nas wszystkich prawie jak członek rodziny.

Stara Ossota było to małe miasteczko, raczej duża wieś, położone na prawym brzegu rzeki Tłasińny, dopływu potężnego Dniepru i należała do Branickich, znanej rodziny magnackiej Polski. Franciszek - Ksawery Branicki, herbu Korczak, początki swej kariery i bogactwa zawdzięczał ~~swemu~~ osławionemu romansowi króla Augusta Poniatowskiego z Wielką Księżną, a następnie cesarową Wszechrosji, Katarzyną II-gą, romansowi którego następstwem było przyjście na świat ich syna Pawła I-ego - ten ostatni, będąc ~~już~~ wyrosniętym już junakiem zwracał się do Stanisława Augusta Poniatowskiego, wtedy już ~~przezornego~~ "papierowego" króla polskiego słowami: "mon pere" - mój ojciec. Tenże Franciszek-Ksawery Branicki pomagał carskim wojskom, i generałom stojącym na ich czele, w rozgromieniu wojsk Hetmana Wielkiego Koronnego, Jana-Klemensa Gryfa Branickiego, a za utopienie w krwi konfederacji Barskiej i wysyłkę niedobitków konfederacji na Sybir i katorgę otrzymał stopień generała i buławę Hetmana Polnego, a niebawem i Wielkiego. Ożenkiem z córką carycy Katarzyny i Grzegorza Potionkina, Aleksandrą Engelhardtówną, uzyskał w wianie wielką fortunę i jednocześnie przemożne wpływy polityczne na dworze carycy. Już jako hetman uczestniczył na czele wojsk kozackich w wojnie rosyjsko-tureckiej, a następnie został jednym z pierwszych organizatorów i założycieli nieszczęsnej Konfederacji Targowickiej. Po Sejmie Grodzieńskim złożył w roku 1793 buławę i osiadł na stałe w Białej-Cerkwi na Ukrainie, która stała się jego stałą rezydencją.

Stara Ossota, a głównie wielka cukrownia i rafineria, wytwarzając cukier w kostkach i tak zwanych "głowach", przynosiła Eric⁹kim krociowe zyski ale dawała również chleb i pracę licznym rzeszom biedoty bezrolnej i małorolnej. Trzon personelu cukrowni i dużego przy niej folwarku stanowili Polacy zatrudnieni w charakterze mechaników, aparatowych, placowych, brygadzistów, wagowych i na innych funkcjach, zamieszkujących w domkach przyfabrycznych tworzących całe zwarte osiedle nazywane tu "kolonią Polską". Administratorem pięknego folwarku był, jak się wkrótce okazało, Teofil, Józef Szpakowski, Polak i kolega mego ojca z korpusu kadetów w Kijowie. Szpakowski dowiedziawszy się o ojcu zaproponował i oczywiście od razu zatrudnił mego ojca na stanowisku księgowego w administracji folwarcznej, dając tym samym ojcu i jego rodzinie dach nad głową i źródło jej utrzymania. Ojciec mój otrzymawszy pracę oddał się jej z całym zapalem, odzyskał równowagę psychiczną i poczucie przydatności i pożytku dla rodziny a to wpłynęło i na polepszenie stanu jego zdrowia fizycznego,

Posługiwał się już dość zręcznie swym wózkiem inwalidzkim , odzyskał humor i rozpoczął nawet studiować na korespondencyjnym kursie księgowości włoskiej w Kijowie, prowadzonym przez znanego ekonómistę Pawła Burenko. Odbyło się to/wszystko znowu przy pośrednictwie i zabiegach nieocenionej suostry ojca Marii, która stale okazywała dużo troski i serdeczności naszej rodzinie. Studiując zasady księgowości zaskakiwał mnie często ojciec nieoczekiwanymi pytaniami - jak na przykład : "... powiedz, synku, kto to był mnich Pacciollo?" - " nie wiem - skąd mogę wiedzieć, tatusiu !" - ~~Właśnie~~ ja tego też nie wiedziałem dopóki nie zacząłem uczyć się księgowości podwójnej , włoskiej ! -właśnie ten mnich Pacciollo był wynalazcą tego systemu polegającego na podwójnym zapisie - pamiętaj, to może ci się w życiu przydać!" Więc pamiętam, pamiętam to i inne zdarzenia pouczające z tego okresu , bo niejedno przydało się w życiu , gdyż tylko wiedza w tych warunkach i okolicznościach była jedynym majątkiem i skarbem rodzinnym . Klimat rodzinny i ciepło domu rodzinnego robiły swoje , niepokój i niepewność o byt codzienny dnia jutrzszego pomalą odchodziły z domu Zubczewskich - pamiętam wieczory spędzane w obsternym gabinecie ojca, będącym równocześnie jego sypialnią - pamiętam ojca siedzącego w świetlnym kręgu lampy naftowej stojącej na jego biurku, pamiętam stosy zeszytów uczniowskich , którymi był obłożony, pomagając systematycznie mamie w ich poprawianiu, odciążając ją nieco w tej "koronkowej" pracy nauczycielskiej, a mama moja była zawsze prawdziwą nauczycielką z powołania, pracowitą i wymagającą.

Przyjazdy braci moich Nikołaja i Włodzimierza na wakacje letnie i ferie zimowe , początkowo z korpusu kadetów w Kijowie a potem z podchorążówki w Niżnim Nowgorodzie, wносиły zwasze dużo ożywienia w życie rodzinne. Mama starała się od strony obfitej kuchni i snakołyków ~~zwiększyć~~ im pobyt w domu , a ojciec, choć inwalida przynosił nad organizacją atrakcyjnego spędzania dni dla młodych chłopców. Korzystając z tego że Teofil Szpakowski był również jak i ojciec zapalonym i namiętnym myśliwym , w każdą wolną niedzielę organizowane były wyjazdy na polowania w okoliczne lasy, polowania z psami na zwierzynę łowną przeróżnych ras i przeznaczenia , albo czółnami i łódziami na rozlewiska rzeki Tiaśminy na strzelanie kaczek i ptactwa wodnego. Rzeka Tiaśmina wpadała do Dniepru w okolicach 35-6 tysięcznego miasta Kryłowa odległego o około 85-90 wiorst w dół rzeki , rzeki o wielkim uroku brzegów zarośniętych lasem lub borem sosnowym pełnym ~~życia~~ swoistego życia zwierząt i ptactwa, rzeki przebiegającej dalej przez Smiełę, Czechryń , Kryłów, Kremieńczug do Jekatierinodaru

/obecnie Dniepropietrowsk/ do słynnych "porohów" -/progów/ Dnieprowskich z " Nienasytcom" na czele , który swą potęgą i siłą spenionych fal Dniepru wywierał niezatarte wrażenie - mówiąc nawiasem i ta potęga pokonana została geniuszem i uporem nowego ~~radzieckiego~~ człowieka, człowieka Rad, który ujarzmił ją "Dnieprogesem:". Wodny szlak Dniepru odegrał ważną rolę w dziejach nie tylko kozaczyzny ale i naszej , polskiej historii. Sicz Zaporoska, wyspa Chortyca, Czechryń - pierwsza stolica kozackiej Niezależnej Ukrainy , miasto Chmielnickiego, Subotówka jego rozległa rodzinna włość, leżąca nad brzegiem Tiaśminy wśród lasów ją okalających, na skraju historycznego leśnego uroczyska zwanego Chołodnym Jarem - wszystko to poznawaliśmy w owych latach, my młodzi Zubczewscy , adepci Nenroda szkoleni w sztuce polowania przez tak doświadczonych myśliwych jak mój ojciec i "wujek" Tefil Szpakowski. Pamiętam, że szczególną grozą przejmował nas Chołodny Jar, gdzie według ludowych opowieści przywódca powstania chłopskiego Iwan Gonta/ Honta/ dokonywał rytualnego obrzędu poświęcenia noży i siekier chłopów ukraińskich przed rozpoczęciem straszliwej rzezi "lachiw" w Humaniu, należąca zresztą również do Branickich. Do dziś brzmią w uszach ~~xxx~~ złowrogie słowa-nazwiska : Honta - Żeleźniak - Bohun - Nalewajko - Doroszenko.....Właśnie te potężne masywy lasów liściastych i mieszanych penetrowane były ustawicznie przez braci moich, Nikołaja i Włodzimierza , uzbrojonych w fuzję, karabinek myśliwski lub w sztucer z lunetą. Szczególnie dobrze znał wszystkie krąjówki tych uroczysk najstarszy mój brat Nikołaj, który w czasach wakacji zapadał w ~~te~~ lasy na kilka dni i dłużej. Również częste wyprawy w te strony na czółnach lub łodziach odbywał mój ojciec w towarzystwie Tefila Szpakowskiego, rosłego i barczystego przystojnego mężczyzny. Wybór czółna czy łodzi zależał wtedy od rodzaju zamierzonego polowania : na wieczorowe przeloty kaczek wypływano zwykle łódką o okrągłym dnie z żaglem, zaś na trzęsawiska i plessa wodne zwykłymi czółnami rybackimi wydrążonymi z jednego pnia dębu, gdyż był to najlepszy niezawodny środek poruszania się wśród szuwarów, trzcin i tataraków. Gdzie nie przejdzie ~~xxx~~ łódź, tam łatwo prześlizgnie się czółno rybackie. Kilku dniowe wyprawy na Dniepr odbywały się zawsze i łodziami i czółnami gdyż pierwsze służyły do zabrania bagaży i sprzętu myśliwskiego, amunicji prowiantu, nas, chłopców, i psów myśliwskich , a na czółnach, na przedzie płynącej kawalkady, wodzowie wyprawy : na pierwszym zwykle mój ojciec, a na drugim lubiany przez nas Teofil Szpakowski, zwany przez nas /drugie imię/ wujkiem Józefem.

Biada tej krzyżowce / rodzaj kaczkę / która podrywała się na odgłos wiosła z otaczających brzegi rzeki bagien i szuwarów - zazwyczaj padała martwa od pierwszego celnego strzału, a w tym momencie, spłoszone przerywającym ciszę poranku strzałem, zrywały się z sitowia masowo kaczkę i kaczkę-wyvodki i zaczynała się prawdziwa kanonada, gdyż i my, płynący na łodziach, również włączaliśmy się do polowania, wprawdzie z nie takim skutkiem jak ojciec i wujek Józio, mistrzowie celnego i efektownego strzału. Od czepła gromiono nas wtedy: "nie psuć prochu - opanować się i dobrze celować - spokój i bez zdenerwowania, od tego zależy celność strzału !!". Były to jednak "wołania na puszczy" nie odnoszące żadnego skutku - kto by tam potrafił się opanować i x strzelać celniej w naszym wieku chłopięcym, kiedy policzki piekły z podniecenia, oczy pałały ogniem i rzucały niesamowite błyski, zwłaszcza gdy trafiał się udany strzał i wybuchał spór o to z czyjej to fuzji !. Spór taki zwykle rozstrzygał spokojny głos ojca: "spokojnie, spokojnie ! - twoja kaczkę też spadła, tylko trochę dalej - puście psa !" - i kiedy "Biana", "Vesta" lub "Lord" piękne angielskie setery, lub "Balon" - ~~pańsz~~ niemiecki, ^{wyżli} przynosił zabita kaczkę radość i entuzjazm były niezmiernie, nie do opanowania - czuliśmy się dumni, czuliśmy się prawdziwymi ryśliwymi.

Właśnie w czasie takiego polowania, tym razem jednak bez udziału braci lecz z wujkiem Apoloniuszem Dzierżanowskim, na krótko przed bestialskim zamordowaniem go przez ukraińską hordę, w chwili kiedy Łódź nasza utknęła w tataraku wujek Apoloniusz dał mi do potrzymania swoją nabitą fuzję a sam chwycił za wiosło i stojąc nieco z tyłu ale tuż, tuż obok mnie pchał Łódź do przodu pomagając drugiemu wiosłarzowi wyrwać Łódź z bagna. Ja w tym momencie siedząc na ławce łodzi podziwiałem wręczoną mi piękną fuzję, a była to bezkurkówka kalibru 12 słynnej niemieckiej produkcji Saurera "trzy pierścienie", nie zdając sobie dobrze sprawy z moich manipulacji, (miałem wtedy zaledwie 11 lat) odbezpieczyłem fuzję i nacisnąłem obydwie spusty, Rozległ się huk eksplozji, powstała nagle nieoczekiwana fala powietrzna i wujek Apoloniusz, szeroki w barach i wysoki na dwa metry / żartobliwie zwany przez mego ojca "malutka" / wpadł z głową do wody. Wkrótce jednak ukazał się na powierzchni, otrzeźwiony niespodziewaną kąpielą, bez ryśliwskiego kapelusza z piórkami czaplin, ~~nieustraszy~~ przenoknięty do ostatniej nitki, ogłuszony, ale cały i zdrowy. Prędko wdrapał się na Łódź, był blady, szumiło w uszach ale na pytanie ojca, który zdążył już do nas podpłynąć, o to "co się stało ?", odpowiedział, bardziej domyślając się treści

pytania niż je słysząc : " ..a nie ! głupstwo !". Wujek Apoloniusz uczynił to ze względu na mnie, gdyż, nie mając własnych dzieci bardzo mnie kochał, jak i jego małżonka pani Janina, która przyjaźniła się z moją matką. Ojciec nasz, jak to ojciec, kochał nas bardzo ale nie tolerował żadnych wykroczeń, wyznając życiową zasadę że " za jednego bitego dwóch nie bitych dają", choć w istocie mało stosował tego "bicia" zastępując je raczej wyśmiewaniem i pouczeniami. Zapewne i tym razem zamierzał dać mi jakąś nauczkę ~~wskazywając~~ rozkazując mi przejść na jego czołno, ale nie dopuścił do tego wujek Apoloniusz widząc że drzę cały z przerażenia i przeżytego strachu zdając już sobie teraz sprawę z tego, że o mało nie zabiłem człowieka, którego tak kochałem.

"Wujek" Apoloniusz Dzierżanowski, syn Stefana, był wieloletnim administratorem pobliskiej 300 dziesięcin liczącej posiadłości ziemskiej Kamionki, położonej obok Tryles należących do rodziny Buradeckich, Aleksandra i Olgi, ~~skazany~~ w roku 1919 Aleksander został rozstrzelany na wygonie w Czechryniu jako wyzyskiwacz i wróg klasowy, choć cała jego wina polegała na tym, że był Polakiem; ~~byłem~~ byłem niewolnym świadkiem tego aktu nienawiści. Historyczną Kamionkę nazywano ~~Wujką~~, pospolicie Dawydówką była bowiem w posiadaniu rodziny Dawydowa, dekabrysty, który jak już wspominałem, był skazany na powieszenie i ułaskawiony przez cara Mikołaja I-ego na krótko przed egzekucją.

Letnie, wakacyjne wyprawy myśliwskie, którym hołdował mój ojciec i "wujkowie" Tofil-Józef i Apoloniusz, odbywały się przeważnie wzdłuż rzeki Tiaśmina i zwykle kończyły się w miejscowości Subotówka należącej ongiś do Bohdana Chmielnickiego i położonej o siedem wiorst od Czechrynia w górę rzeki. Od tego właśnie miejsca rozpoczynali zwykle polowania bracia Mikołaj i Włodzisław asystowanie wujkowi Józefowi w jego wyprawach myśliwskich. Przyjeżdżali tu zwykłym drabiniastym wozem zaprzężonym w parę roboczych koni i stąd udawali się do uroczyska Chołodnyj Jar znajdującego się w pobliżu Subotówki, Jar ten otoczony był gęstwiną lasów liściastych, głównie dębów, których żołądźce dawały obfity pokarm licznym gromadom dzików mających tam, w pobliżu dołem jaru płynącego strumienia o czystej, źródlanej wodzie, swoje legowiska.

Polowania w Chołodnym Jarze odbywały się często w świetle księżycy z t.zw. "ambon", wysokich słupów z platformą u szczytu, na którą wchodziło się po przybitych do słupa szczeblach. ~~na takiej~~ na takiej ambonie trzeba było nieraz godzinami czatować

i czekać na upragnioną chwilę celnego strzału do dzika, jelenia czy daniela, choć lasy te obfitowały w zwierzynę łowną-

Ja zwykle asystowałem ojcu będąc jego prawą ręką w życiu codziennym. Rzuciliśmy się świetnie i przyjaśnili gdyż ojciec traktował mnie jak dorosłego i zwierzał mi się ze swych trosk i kłopotów. Ojciec mój był wyrozumiały i taktowny, czasem wybuchowy ale zawsze sprawiedliwy. Zasadą wychowawczą jego było powiedzenie że: "głowa, chłopcze, jest do myślenia przeznaczona, a nie do noszenia na niej kapelusza!".

Gdy bracia moi z wujkiem Józkiem udawali się na dziki, ja z ojcem i jakimś Konradem, rybakim, stałem towarzyszącym ojcu w wiosłowaniu najczęściej, i mającemu zleczone rybactwo w czasie wolnym od wypraw, penetrowaliśmy ~~barwną i pachnącą~~ obszary przybrzeżne porośnięte przeróżną nadwodną i wodną roślinnością, ~~z~~ barwną i pachnącą w okresach kwitnienia aż do zawrotów głowy. Nad tym dywanem miodówki unosiły się roje pszczoł i ~~max~~ trzmieli zbierających obfity plon nektaru - roje pszczoły były tam silne i w prawie sześciomiesięcznym okresie miodobrania ul pszczeli, szczególnie typu zwanego "leżakowym", dawał do 50 kilogramów pierwszorzędnego miodu.

Penetrowanie czółnem rozlewisk i pless wodnych, będących prawdziwym rezerwatym przyrody na tle okalających Tiaśminę szarzejącego w oddali pasma lasów, w świetle porannych promieni słońca, było wielkim niezapomnianym przyżyciem, było rozkoszą. Było zwykle parno/choć woda nieco chłodziła powietrze przesiąkniętą białymi oparami pary wodnej i gazu błotnego. Komaty lęgące się masowo w płytkich i ciepłych akwenach cięły dokuczliwie i boleśnie. Obfitość żeru i dobre, dogodne warunki lęgu sprzyjały rozwojowi różnorodnego ptactwa wodnego, od kaczek wszelkich gatunków i odmian do pięknych łabędzi. Czyste i leniwie płynące wody Tiaśminy obfitowały w ryby, zwłaszcza na rozlewiskach; czółno płynące często napotykało wnyki i sieci rybackie zwane "jętrzenie" nastawione na karpie i karasie, liny - zadziwiająca była ilość i wielkość w tych wodach raków-olbrzymów.

Polowania na kaczki rozpoczynały się zwykle w okresie ich wieczornego przelotu, kiedy spragnione jak i inne ptactwo, powracały z żerowisk na noc do wody. Po mniej lub więcej udanym polowaniu, częściej właśnie udanym i ~~z~~ obfitym, czółno przybijało do brzegu w miejscu widocznego nieco w oddaleniu stogu siana, do którego zanosiliśmy z rybakim Konradem ojca -inwalidę. Po całodziennej wędrówce rzeką kolacja spożyta przy ognisku smakowała znakomicie, zwłaszcza pieczone w popiele kartofle z cienko krajaną różowobiałą słoninką i czosnkiem dodającym jeszcze apetytu -

a że apetyty były wilcze więc wszystko zniknęło jak kamfora nie wyłączając dnia "uzupełniającego": pszenno razowego chleba z "białą" kiełbasą. Strudzeni i syci zaszywałem³¹¹ w głąb stogu siana, powieki same się zamykały i ogarniał nas beztroski zdrowy sen. Nad ranem, po spożyciu jakichś kanapki i wypiciu szklanki herbaty z ternosu, wpyływałem znowu czółnem na polowanie rozpoczynające się przed wschodem słońca. Świty były szczególnie piękne nad brzegami ~~szarymi~~ rozlewisk szerokich jak jeziora. Na tym tle, na łonie nieskażonej niczym natury człowiek stara się głębiej wniknąć w siebie, staje się szlachetniejszy i wartościowszy, głębiej przenika tajemnice Stwórcy.

Poranne przeloty kaczek i polowania na nie były zwykle mniej udane i ruchliwe - kaczki pozostawały jeszcze w szwarach i na bagniskach rzeki na porannym żerowaniu.

Jak dzisiaj rysuje mi się w pamięci jeden z powrotów z udanego polowania: bryczka-helweczek w zaprzęgu znakomitych rysaków i młodym trzyletnim ^{Łosza} na podciągu, zaprawianym przez fornała do pracy w bryczce, ojciec siedzi z prawej strony bryczki mając obok siebie pierworodnego syna, Nikołaja, ja i mój brat Włodzimierz siedzimy naprzeciwko nich na ławeczce obitej kobierczykiem, tyłem do stangreta, trzymamy w rękach fuzje ryśliwskie, stangret folwarczny trzyma lejce, powozi rysakami. Droga wybiega z liścianostego lasu, prowadzi przez zagajnik, a następnie brzegiem dość niebezpiecznego urwiska, które stopniowo zanienia się w stromy i głęboki jar, dołem którego płynie strumyk. Droga zwęża się, staje się coraz bardziej trudna i niebezpieczna biegnąc teraz cały czas w dół. Ojciec zwraca się ^{do} furmana Nikołaja: "ostrożnie, uważać, cugle kótka!" - Na to odpowiada Nikołaj: "wiem, wiem! nie pierwszy raz tu jedziemy, proszę pana!" - i w tym właśnie momencie z przydrożnego krzaka wyfruwa zniecka kuropatwa,, płoszy konie, spłoszony Łoszak nagłym szarpnięciem orczyka przechodzi w cwał - konie poniosły!..."Trzymać się mocno bryki" rozlega się spokojny głos ojca - obserwuję blednącego, wystraszonego brata Nikoja patrzącego na ojca, który, przecież inwalida, wychyla się nazewnątrz ponad błotnikiem bryczki, chwytając prawą ręką, hamuje. Konie zwalniają bieg, bryczka wjeżdża na lepszy odcinek drogi już w dole jaru, i staje. Ojciec mówi: "nie mieliśmy szczęścia" - "tak jest jasnie panie" odpowiada stangret Nikołaj, a ja zwracam się do ojca i pytam: "Tatusiu, chwyciłeś za szprychę???" "...gdzie tam" - pada spokojna odpowiedź - "za szprychę i sam Herkules nie zatrzymał by w tym pędzie - i byłoby już po wszystkim - chwyciłem za obwód koła

i tak , dzięki Bogu, jesteśmy cali i zdrowi !" - nie licząc oczywiście zdarcia naskórka na dłoni prawej ręki, którą pokazał nam okrwawioną, przyznając przy tym, że trochę obawiał się o wynik tego hamowania nie mając oparcia w nogach , co mogło spowodować jego wypadnięcie z bryczki jeszcze przed jej zatrzymaniem. Tak oto zimna krew, opanowanie i zdolność błyskawicznej decyzji, cechy właściwe memu ojcu, połączone z siłą mięśni ręki, wyrobioną przy ustawicznym posługiwaniu się wózkem inwalidzkim , uratowały nas ~~wszystkich~~ wszystkich od niechybnej w tych warunkach: pędu i stroniemy, śmierci. Taki był mój ojciec - takim był zawsze, aż do śmierci. Kochany i lubiany, przyjaciel i nauczyciel, przykuty do krzesła inwalidzkiego, ale stale powtarzający , że "nie ten inwalida, kto nie ma nóg - ale ten kto nie ma głowy ! "....

Przypominam sobie też jedno polowanie na wilki, ~~im~~^{mój} ówczesny, chłopca ~~zadawał~~^{osmioletniego} letniego, udzielał w tym polowaniu.

Polowanie było tradycyjne - zorganizowane ze skrupulatnym przestrzeganiem pełnego rytuału myśliwskiego, otwierane z pompą pod dźwięki rogów i trąbek myśliwskich, zakończone przy olbrzymim wspólnym ognisku i tradycyjnym bigosie, z uroczystym obwołaniem króla polowania . Cała ta niecodzienna sceneria i jej przebieg ~~na~~ na tle pięknego ^a strego lasu utrwaliła się na zawsze w mojej, wrażliwej i delikatnej duszy chłopięcej. - do dziś widzę to wszystko słyszę kołatanie nagonki, słyszę ujadanie psiarni złożonej ze znakomitych okazów różnych psich ^{ras}, przeznaczonych do odmiennych zadań , słyszę dźwięki rogów i trąbek, śmiech myśliwych i szum lasu. Polowanie odbywało się na opisywanym już uroczysku Chołodnyj Jar , gospodarzem i organizatorem był nadleśniczy i łowczy tantejszych lasów, Polak, Jan Pichła, przyjaciel wujka Teofila Szpakowskiego, a uczestnikami polowania była cała śmietanka okolicznego ziemiaństwa i wyższego "naczalstwa" z całej prawie gubernii Czerkaskiej do której należało nadleśnictwo w Zwienigogodce. Odbywało się to w w grudniu 1916 roku , a w wigilię polowania spadł świeży śnieg sprzyjający polowaniu. Przed polowaniem gajowi jadąc na koniach przeciągali, po uprzednio wyznaczonym i oflagowanym terenie polowania, świeżo zabite i upieczone prosiaki celem znęcenia tym zapachem wilki mające tam swoje legi nory, z których czyniły wyprawy do sąsiednich owczarni i chlewów. Było nas na polowaniu dwóch Zubczewskich: mój ojciec i ja. 8-0 letni wówczas chłopiec.

Po otrąbieniu zagajenia polowania i rozdaniu myśliwym numerów z oznaczeniem ich stanowisk , myśliwi poszli na linię, ^a mego ojca

przeniesiono do olbrzymiego dębu i wygodnie usadwiono u jego podnóża- mnie zaś, jako nieletniego, nie mogącego brać czynnego udziału w polowaniu, usadowiono na bryczce, do której były uwiązane wyjazdowe konie Branickich, spokojnie konsumujące owies z sakw umieszczonych na łbach. Tak się złożyło że furman Mikołaj, który nas tą bryczką przywiózł, nie brał udziału w polowaniu /jako nie należący do stanu "szlachetnie urodzonych/choć miał na bryczce własną fuzję, ale podniecony i zaciekawiony polowaniem wyruszył razem z nagonką, zostawiając mi swoją dwururkę, naładowaną grubym śrutem jak na wilka, i mówiąc na odchodnym: "niech panicz będzie ostrożny i uważny, bryczka stoi na skraju uroczyska, za linią strzelców-myśliwych, i tu obok panicza mogą przechodzić wilki spudłowane przez myśliwych - w innym kierunku nie pójdą bo ich tam odstraszy oflagowanie!". Mikołaj był też zapalonym myśliwym i tropicielem zwierzyny po jej śladach, znał też bardzo dobrze las, jego życie nocne i zwyczaje przeróżnej zwierzyny, której głosy świetnie naśladował nie wyłączając wycia wilczycy wyjącej do księżyca, czy chrapania łosią wcale nie rzadkiego na takich noczarach. Skończywszy więc palić machorkowego skręta i owinąwszy mnie jeszcze w baranicę /rodzaj pledu- skóra barania podszyta czarnym suknom/ wziął przygotowane już dwa suche krótkie klocki z drzewa akacjowego służące do straszącego wilki stukania, ruszył Mikołaj za nagonką. Wypada tu nawiasem nadmienić że bardzośmy się z tym "wujkiem

Mikołajem obaj lubili, gdyż ja wielce rozmiłowany w pięknych koniach jakich sporo było w stajniach Branickich, całe swe wolne od szkoły i pracy popołudnia spędzałem w towarzystwie Mikołaja, który ciągle coś robiąc koło uprzęży, derek, karny, wozów i powozów, bryczek, koni smuł nieprzerwanie ciekawe opowieści i legendy znane i wymyślone, zawsze ciekawe, barwne, pełne fantazji i ludowej mądrości jak np: "szczo było i mynęło. jak jasne welnożny na woronym koniu bły sne buławoju, to more zakypyt i rzeljotsia szyroko, szyroko poza bajrakani, łanani, stopami i jarami - more kozackoje i joho starszizny z atamanem Petrom Doroszenko, zwanym "nieobacznym" szczo promintw żinku za tytuł i lulku - nieobaczny!". Smutny był los tego człowieka urodzonego na tej ziemi jak jego przodkowie, który otrzymywał ~~sz~~ za pracę w okresie kilkunastogodzinnym t.zw. dniówkę słoneczną w wysokości 50 kopiejek, a przy pracy na niezmiierzonych uprawach buraczanych tylko 20-30 kopiejek i utrzymanie z kotła dworskiego. Ta nierówność klasowa i społeczna głęboko zapadła we wrażliwą duszę patrzącego na to i słuchającego o tym chłopca, wyczuliła go na biedę i niedolę ludzi prostych ale szlachetnych

w pracy i postępowaniu życia codziennego.

Siedziałem więc na bryozce, konie przykryte darkami jały owies, chrząpały i przestawiały świeżo podkute nogi. Nagonka ruszyła już na całej szerokości, przez linię myśliwych prześlizgnęło się zauważonych przeze mnie parę lisów z pięknymi kitami ogonów i kilka zajęcy - do których nie strzelano. Nareszcie echo przyniosło pojedynczy strzał, nieco później parę strzałów dubeltowych, i wkrótce strzały te przerodziły się w beładną strzelaninę. Nieco zmarznięty, otulałem się szczelniej w baranicę i ściskając w rękach dwukurkówkę Ikołaja wsłuchowałem się w tę strzelaninę i nieprzerwane ujadanie psów puszczonej już przez nagonkę - usiłowałem przy tym odgadnąć jaką zwierzynę gonią: wilka czy dzika. Niespodziewanie na polanę, na skraju której stała bryczka wyskoczyło kilka sarn ze wspaniałym kozłem-rogaczem na czele, na ich widok z wrażenia cały podskoczyłem, ogarnięty też gorączką myśliwską, nie strzeliłem jednak, pamiętając że reguły myśliwskie tego polowania urządzonego wyłącznie na wilki, zabraniają strzelania do innej zwierzyny. Nagonka to zbliżała się to oddalała i z tych odgłosów mogłem już wnioskować, że spłoszone przez nią wilki kluszą już gdzieś w przestrzeni leśnej oflagowanej sznurem z czerwonymi flagkami trzepocącymi na wietrze, szukając wójnego wyjścia, które prowadziło właśnie na linię ustawionych według wylosowanej kolejności myśliwych. W pewnej chwili padły dwa strzały ze skrajnej pozycji linii myśliwskiej, bardzo zbliżonej do miejsca gdzie stała nasza bryczka i ja na niej, czujny już i podniecony całą słyszaną i wyczuwaną akcją. Nagle z lasu wyskoczył wspaniały wilk-basior, gohiony w odległości 15-20 metrów przez naszego psa "Zagraja". Wilk był ostro widoczny na świeżo spadłym śniegu, rwał susami pozostawiając ślady krwi z podkurezonej tylnej nogą, pstrzelony widocznie słyszany przeze mnie przed chwilą bliskimi strzałami - szedł ostatkiem sił, boki mu grały jak miechy kowalskie. Nagle wilk skoczył w bok, Zagraj z impetem przeszedł obok niego jak kula, a wilk poszedł wprost na bryczkę. Konie poczuwszy wilka zachęły chrapać, rwać się i bić nogami, ja zaś, długi się nie zastanawiając, palnąłem z gotowej do strzału dwururki prosto w ślepią bliskiego już wilka. Wilk padł jek rażony piorunem w odległości około 30 kroków od bryczki, a ja w uniesieniu i zachwycie krzychałem: "zabiłem! - zabiłem - zabiłem wilka!!!". Kilku myśliwych, słysząc nieoczekiwany i nieprzepisowy strzał za linią i okrzyki "zabiłem!" opuściło z zaniepokojeniem swoje stanowiska i ze zdumieniem oglądało wcale niecodzienny widok: 8-0 letniego chłopca z nabijanką w ręku

a w pobliżu bryczki wspaniały okaz zabitego basiora, który im właśnie uszedł żywy. Zrozumieli, że moje entuzjastyczne krzyki były okrzykami tryumfu tak niezwykłego.

W ten sposób, już po ukończeniu polowania, przy bigocie, zostałem przyjęty w poczet myśliwych, czego symbolem było posmarowanie mi czoła i policzków krwią zabitego basiora, a ojciec przyrzekł że natychmiast po powrocie do domu kupi ^{nie} prawdziwą fuzję, wprawdzie łamaną jednorurkę, 16-kę, ze znanej fabryki "Iżewsk".

Najbardziej cieszył się z mego sukcesu lichołaj, mówiąc do mnie poufnie: "a to - nie mówięm paniczowi? - im do prawdziwego myśliwego jak, za przeproszeniem, koziej dupie do trąby! - cóż to za myśliwi co strzelają do wilka, do jego tyłka!". A ja chodziłem jak pyszny, gdyż ustawicznie musiałam opowiadać przy ognisku jak się to wydarzenie odbywało. Dobry bigos, wódka rosyjska do niego i znakomite koniaki, rozochociły myśliwych, gwar wzrastał, śmiech głośniał, tosty sypały się jeden za drugim. Ojciec siedział obok ogniska ^{na} stosie łap świeżo narąbanej sośniny, przykryty baranicą, i był, jak to widziałem, wyraźnie ze mnie zadowolony, że jednak pomimo to że chciałem kariery wojskowej, nie byłem kadetem okazałem się jednak prawdziwym Zubczewskim.

W kręgu myśliwskim wrzało humorem wyzwolonym w wyniku udanego polowania, sypały się kawały, facecje i fantazje myśliwskie., opowiadania doznanych przeżyć i wrażeń. Któryś z myśliwych, mający dar opowiadania i dobrą pamięć, opowiedział całą serię przygód znanego łgarza barona Munchusena, i jego dubeltowych strzałach oddawanych do kaczki z jednorurki. Obudziła się też swada i fantazja mego ojca, mającego w zapasie wiele myśliwskich historyjek - opowiedział on również następującą swą przygodę myśliwską - z chłopięcego jeszcze okresu życia w rodzinnym dubnie nad Ikwą.

... " Jednego razu wybrałem się na słonki - miałem dubeltówkę nabitą nabojami z drobnym śrutem - żeby skrócić drogę powrotną poszedłem przez bagna po ugnanej grobli - była pełnia, księżyc jasno świecił z obu stron grobli ciemniały obszary bagien i trzęsawisk - na trokach zwisa kilka ustrzelonych słonek - robi się dość późno, przyspieszam krok, i nagle spostrzegam na grobli jak długi czarny cień, zbliżający się do mnie - ciepły letni wiatr ciągnął w moim kierunku - cień spostrzeżony przeze mnie przeradza się nagle w trzyletniego dzika-odyńca, który wali wprost na mnie. Przerażony tym nieoczekiwanym spotkaniem padam na jedno kolano i z odległości 15 kroków strzelam prosto w ślepie dzika - dzik się wali!... Co? myślicie że zabiłem? Nie podobnego! jak że można zabić dzika drobnym śrutem, ~~którego~~, wyprawilem się przez cień na słonki!.. Nie mając przy sobie ani kuli dum-dum ani naboju

nabojów z brnekami , rzłcam więc strzelbę i biegnę z powrotem
okrężną drogą do domu do Dubna , wpadam do mego pokójku , znaj-
duję jeden jedyny nabój z kulą , chwytam go i tą samą drogą
wracam na groblę. Już świta , podnoszę swą fuzję ładuję ją
nabojem z dum-dum , rozglądam się i widzę krew na miejscu
gdzie padł dzik. ale samego dzika ~~nie widzę~~ ani śladu ! - jak
by krowa zlizala go językiem !. Rozczarowany i zrezygnowany idę
więc dalej groblą i słyszę nieoczekiwane pochrapywanie jak by
dzika i jakiegoś ^{jakby} towarzyszącego mu warchlaka wtórującego dzi-
kowi. Przyglądam się i widzę warchlaka który prowadzi dzika
olbrzymą , ~~okok~~ trzyma przewodnika - warchlaka pyskiem za ogon.
Domyślam się teraz , że ^{swój} ~~swoją~~ poprzednią ^{strzałką} ~~strzałką~~ wybiłem dzikowi
oczy , ów dzik jest ślepy , a warchlak go prowadzi bo odyniec
szuka zemsty na sprawcy swj ślepoty !. No- myślę sobie - teraz
to już sobie z tobą poradzę - klękam na kolano , strzelam
starannie celując ! - i co myślicie ? że go już zabiłem ?..
Nic podobnego !. Tak celnie strzelałem , że kulą odstrzeliłem
~~ogonek~~ warchlakowi ogonek , za który trzymał się dzik , warchlak
z bolesnym kwikiem uszedł w pośpiechu , a dzik , straciwszy prze-
wodnika , zakręcił się w kółko na grobli ~~wystrzelił~~ ^{upadł} ~~ogonek~~
nie wypuszczając z pyska odstrzelonego ogonka warchlaka.
Stoję teraz i zastanawiam się co robić ? - iść do domu , po-
~~zyskać~~ pomoc ? - ponad trzy kilometry i z powrotem - ? . Ryzykuję
więc ; chwytam ~~włosem~~ ^{włosem} za zwisający z pyska dzika ogonek i , kwicząc
jak warchlak , doprowadzam pomyślnie ^{odwiedca} ~~ogonek~~ do dworu -
szedł jak nie pyszny , a bigos z niego był prawdziwym smakołykiem

Burza oklasków i braw była wynagrodzeniem za to prawdziwie
myśliwskie i ze swadą , barwnie , ~~z~~ ze znajomością rzeczy oraz
umiejętnym naśladowaniem dźwięków i wytworzeniem nastroju , wypo-
wiedziane opowiadania o dziku upolowanym na odstrzelony ogonek
warchlaka. A ja cieszyłem się , że ojciec był w swoim żywiole ,
czuł się znowu pełnowartościowym człowiekiem , człowiekiem
który mężnie znosi swój los inwalidy wojennego - a wielu takich
inwalidów widziało się wówczas dookoła żyjących w w przygnębie-
niu , ^m ~~żałanych~~ , budzących litość.

Samo położenie Starej Ossoty , ówczesnej siedziby naszej rodziny
dawało wiele materiału do myślenia , odnajdywania ciekawych frag-
mentów historii , oceny ludzi i zjawisk aktualnych i dawnych ,
zdobywania prawdziwej życiowej wiedzy o świecie. Obok Ossoty
leżała Kamińska-Dawydówka , ^{Smuła} ~~Korsun~~ należący do hrabiego Łopu-
china - a mówiąc o Korsuniu nie mogę pominąć charakterystyki
postaci żony Łopuchina. Piękny park otaczający wspaniały pałac

xx w głębi z przepychem ogrodzonego ^{parku} odłany z mosiądzu poni psajamnika, ulubienca pani hrabiny, a u wejścia do parku widoczna duża tablica z napisem : " Sobakam i niżnim czynan wchod strogo wosprezczajetsia" . Jakże blisko od tego napisu do hitlerowskich tablic : "Fur hunde, Juden und Polen eintritt verboten" . Dalej były Czerkasy a na południe od ~~ich~~ nich Czechryń wskrzeszający w pamięci dzieje kraju na początku XVII wieku , kiedy ^{to} kresy wschodnie stanowiły ~~nią~~ ustawicznie płonącą granicę Polski szlachecko- magnackiej.

Pyszę że interesującą ilustracją do zrozumienia tamtych czasów i poznania ówczesnych ludzi, będzie przekazane mi przez ojca opowiadanie o niejakiu Stefanie Chmieleckim i jego żonie Teofili z Chocinińskich, zwanej w starych kronikach "Wiczycą Kresową". Otóż ów Chmielecki w początkach wieku XVII gromił najeżdżających Kresy tatarów poprostu "jak chciał", skutecznie i odstrasżająco. Przyczyn jego sukcesów było przynajmniej dwie : jedną było zastosowanie przez niego nieznaney dotychczas taktyki wajskowej - która polegała na uniemożliwianiu Tatarom rozpraszania zagonów zwanych pospolicie "czambułami", przez zmuszanie ich przyjmowania bitwy natychmiast po przekroczeniu granicy. Drugą przyczyną było mistrzow kie utworzenie misternej sieci wywiadowczej sięgającej stolic chanów krymskich , ~~niezależną~~ od Bachezysaraju nad morzem Czarnym a wychodzącej z samego haremu Selima Gireja który , sam świetnie mówiąc po polsku, posługiwał si tłumaczami w swych kontaktach z Polakami , a tą drogą wieści przedostawały się na zewnątrz i dochodziły właśnie do centum, do żony Chmieleckiego, Wiczycy Kresowej. Kronikarz tak pisze ^{o niej}:

"Onaż, w czasach, gdy zadaniem kobiety było dzieci rodzić, domu pilnować, mężowi być uległą wé wszystkich poczynaniach, konno jeżdżąca jak kozak, strzelająca z rusznicy ~~jaką~~ niby rajtar nie miecki towarzyszyła mężowi w wyprawach wojennych i zsádzkach na Tatary " Równocześnie pani Chmielecka sprawnie administrowała majątkiem , pieczołowicie go gromadziła, kierowała przygotowaniem do wypraw wojennych i " ^{z dawa}przenyślnie unykała Tatarom, ^{uważając}wielekroć usiłowali ją w jasyr uchwycić i tym sposobem jej męża ukrócić".

Sposoby i metody postępowania w walkach stepowych podpatrzone przenosiła pani Chmielecka na swój prywatny użytek , używając ich w sprawach różnorodnych. Prawdopodobnie ^{uważając}przychylność i łaskawość jaką okazywał pan Chmielecki nadobnej wdówe Annie Walickiej, Wiczycy Kresowa ucieka pani Annie zgrabny nosek i rzuciła go psom na pożarcie , pozbawiając ~~ją~~ tym rywalkę jednego z wdzików, Po śmierci swego męża Pani Chmielecka nie ustawała w bojach i

i niejednokrotnie sama stawała na czele wypraw wojennych , tyle że organizowanych w celach bardziej przyziemnych - bo gromadzenie dóbr mających na uwadze. Po jednej z wypraw oznajmić raczyła że " w razie powrot chłopów do spalonej przez nią wsi wszystkich wystrzelać każe jak kaczki!". Wypraw tych w pierwszych dziesięciu miesiącach po śmierci męża zorganizowała siedem. W podobny, gwałtowny i skuteczny sposób, przezwyciężyła niechęć rodziny pięknej Katarzyny Sokołowskiej do ożenku jej córki z synem Pani Tofili. Wposiwszy się w gościnę, pod osłoną nocy porwała przyszłą synową i przywiozła ją wprost do ołtarza , stawiając kropkę nad niechęcią jej rodziny.

W zakończeniu prawdziwej historycznie i powszechnie na kresach znanej opowieści, ojciec mój podkreślił że sanowola Kresowej Wilczyicy była następstwem hańsadowania przykładów idących "z góry" od magnatów i szlachty rodowej OPolaki, Litwy i Ukrainy, którzy ustawicznie w podobny sposób i podobnymi metodami " podcinali gałąź na której siedzieli" , bezkrytycznym, bezmyślnym i egoistycznym postępowaniem doprowadzając wreszcie do rozwalenia się gmachu Rzeczypospolitej Szlacheckiej. Nastąpiły rozbiory, nieustające ~~wojny~~ powstania i wojny niosące miraż odrodzenia Państwa Polskiego, a przynoszące tylko rżew bratniej krwi Polaków walczących często w przeciwnych obozach, ugrupowaniach politycznych i armiach , aż wreszcie przyszła I Wojna Imperialistyczna, która w roku 1917 doprowadziła do Wielkiej Rewolucji i wojny domowej. Front rosyjski prysnął od Bałtyku po Karpaty a 16-sto milionowa armia cara Nikołaja II -go Romanowa poszła w rozsypkę.

Rozgorzała terzaka pożarów palonych przez chłopów majątków obszarniczych . Chłopi-dezertery w płaszcach żołnierskich jeszcze nie oszczędzili nikogo. W sąsiednim majątku Branickich, Miljowie, został zabity bestialsko, rytualnym uderzeniem w głowę chłopską siekerą , na progu swego dworku, w którym całe życie pracował dla i tych także chłopów, wielki uczonec , pomolog, Lew Płatonowich Simirienko. Zamordowano go jedynie dlatego że był internacjonalistą , pomagał Polakom i Żydom , których ukrywał w czasie rzezi, i za to że udzielił zezwolenia na wzięcie koni wyjazdowych uciekającemu administratorowi majątku, Polakowi.

Pożogi i mordy bratobójcze trwały długo. Nacjonalistyczne bandy Iachny, Błelonego, Grigoriewa i innych atamanów, jak Syryd Kocur z Subotówki Chmielnickiego, organizator pogromów żydowskich i polskich w Czechryniu, Kryłowie, Kremieńczugu , Koniń-Dawydówce. Kłamliwe hańno okrutnych, zaślepionych band brzmiało : " Biej żydów i panów - spasaj rossiju".

Zły los nie oszczędził również i Starej Ossoty. W czasie pożaru

podążający
przebiegiem
sący i
żelazki
dzwonki

pożaru cukrowni i rafinerii wzniesionej przez bandę nacjonalistów i rozpoczętej już rzezi "lachiw" rodzina Zubczewskich została uratowana dzięki pomysłowi ojca i Teofila Szpakowskiego /wujka Józefa/ którzy pod pozorem polowania ukryli się za

wczasu w sitowiacz rozlewisk rzeki Taśminu, a na widok łuny pożaru pchnęli mnie z rybakiem Konradem do Starej Ossoty, gdzie oczekiwali już przygotowani najbliżsi nasi, mama z Uste^{ka} k^ą, ^{Maryś} Jerzym oraz rodzina wujka Józefa. Do domu ~~przebiegliwym~~ prześlizgnąłem się łakami i ogodami przyległymi do rzeki od tyłu zabudowań fabrycznych u folwarcznych. Kiedy prowadziłem w drodze powrotnej do rzeki znanymi mi już ścieżynami wśród łak i ogrodów naszych najdroższych, Uste^{ka} i Konrad nieśli w wężłach upakowany cały dobytek, który można było uratować, a ja dźwigałem z przejęciem relikwię rodzinną: obraz "Śmierć Hetmana Czarnieckiego", mama zaś niosła swoją małą siostrzyczkę Marię /urodzoną w 1918 roku/ i kuferek z rodzinnymi dokumentami. Tak więc znowu utracony został cały dorobek czteroletniej pracy ojca i mamy, ale znowu uratowane zostało życie. Po paru godzinach dotarliśmy wszyscy czólnami do Subotówki, tutaj nastąpiło rozstanie z wujkiem Józefem i jego rodziną, którzy udali się do Czerkas, a my, Zubczewscy, popłynęliśmy rzeką Taśmin dalej do Czechrynia.

Tutaj osiedliliśmy się, nie mając żadnych środków do życia ani perspektyw jakiegoś ustabilizowania się wśród zamętu i chaosu jaki panował, zmuszeni do zaprzestania używania ojczystego polskiego języka nawet w domu, gdyż tkwiliśmy jak wyspa w zalewie nieprzyjaznego polskości, budzącego się do życia narodu, o którym z pogardą powiedział kiedyś król Jan Kazimierz - mówiąc o kozaczyźnie: "stworzył się jakiś jakoby naród!". Wszędzie wtedy czychało niebezpieczeństwo i prawdziwy to^ć cud, że rodzina nasza przetrwała i ocalała w samej paszczęce lwa rozjuszonego krwią mordów bratobójczych, gdy masowo ginęły rodziny polskie i żydowskie - w tym okresie wojny domowej los ten spotykał niejednokrotnie nawet rodziny rosyjskie i ukraińskie. W tym "ćudzie" uratowania się i przetrzymania dużo było jednak bardzo gorzkich i ogromnie smutnych chwil. Przeżyliśmy więc pogrzeb "wujka" Apoloniusza Dzierżanowskiego, pogrzeb zorganizowany przez mego ojca i kilku jeszcze ocalałych z rzezi Polaków, pogrzeb bez księdza bo takiego w Czechryniu nie było, i bez udziału rodziny zamordowanego, bowiem żona jego Janina ocalała i uratowała się ucieczką aż do miasta Nikołajewa nad morzem Czarnym ~~u~~

Pogrzeb ten był cichy i skromny, niewspółmierny do wartości zamordowanego Dzierżanow kiego, bliskiego przyjaciela mego ojca i ż do jego męki przedśmiertnej. Został ^{cu}schwyty w okolicach stacji kolejowej Znamienka, gdy w przebraniu chłopskim uciekał z Ukrainy. Bronił się zaciekle strzelając z browninga i zabijając jednego i raniąc drugiego opryszka z bandy Grigoriewa. Okrutnicy z tej bandy wytkuli mu najpierw oczy i odcieli nos i uszy, a następnie rozpruli brzuch i wypuścili nazewnątrz jelita - wspominał to tutaj dla ukazania całego bestialstwa do jakiego w tych czasach dochodziło wielokrotnie. Dowiedzieliśmy się też że wujek Józef / Teofil Szpakowski / dotarł szczęśliwie w przebraniu chłopskim do Czerkas, ale w tej ucieczce stracił całą swoją rodzinę.

Na szczęście starsi bracia moi, Włodzimierz i Nikołaj znajdowali się w tym okresie w Niżnim Nowogrodzie /obecnie miasto Gorki/ w szkole ~~podchorążych~~ podchorążych imienia hrabiego Arakcejewy, przemianowaną wkrótce / w roku 1920 / na Drugą Szkołę Radziecką imienia Komuny Paryskiej.

A my, mama, ojciec, dzieciaki i Usteńka żyliśmy dalej zmęczeni moralnie wieściami o nieustających mordach i okrucieństwach, niepewni jutra grożącego i nam śmiercią, żyliśmy w niedostatku, chłodzie i głodzie. ~~Mój~~ dzieci, domagaliśmy się jedzenia ale oboje rodzice nie mogli nic w tych warunkach poradzić. Szkoły nie były czynne, żadnej pracy dostać nie było można, nie było trwałego pieniądza, w handlu kwitła tylko wymiana jeśli kto miał co wymieniać. ~~Władze~~ → zmieniały się ustawicznie w tych wciąż zmiennych warunkach politycznych - było trudno.

Szukając jakichkolwiek źródeł zarobkowania mama moja zorganizowała bufet, który sama prowadziła, a ja stale kręciłem lody, na które był wielki popyt - były smaczne i rozechwytywano je w ngnianiu oka z wózka za którym stałem w białym fartuchu i białym kołpaku na głowie, ja, dwunastoletni wówczas chłopiec. Ojciec był wciąż poddenerwowany i zamyślony poszukując jakiegoś sposobu zarobkowania - i wreszcie, po przestudiowaniu spraw technicznych, postanowił założyć chalupeńską wytwórnię szarego mydła do prania. Chodziłem więc na pobliskie pola, zbierałem łodygi słonecznika i paliłem je, a popioły zbierałem do skrzynki ustawionej na wózku. Był to surowiec potrzebny ojcu, jak i żywica oraz soda kaustyczna - chodziłem więc po żywicy i zbierałem ją z drzew w pobliskim borze, tuż-tuż za rzeką Tiasmin. Podstawowym surowcem jednak do produkcji mydła był tłuszcz

a byli tacy, i ^{dość} tacy, obficie zaopatrzeni w biżuterię,
cenne przedmioty, futra, wartościową odzież, nawet dzieła sztuki
~~i t. p.~~ i przeróżne "dobra doczesne" zdobyte, zgodnie z prawem
odwetu i rekompensaty za wieki ucisku i wyzysku, ~~które~~
drogą powszechnie głoszonego wtedy i chętnie realizowanego
przez tłumy biedactwa hasła : "grabi nagrablionnoje !"

W.

zwierzęcy zdobywany przez ojca przy mojej pomocy na polowaniach na borsuki. Główny ciężar wypraw członem na te polowania leżał na mych, wątkich jeszcze, chłopięcych ramionach. Musiałem mianowicie ojca mago, siedzącego na wózku inwalidzkim dowieźć, raczej dopchać, do miejsca nor borsucznych, gdzie ojciec godzinami nieraz czatował w świetle bladego księżyca, siedząc nieruchomo w wózku - borsuk bowiem jest zwierzęciem wyjątkowo czujnym na wszelkie obce zapachy - Hojnie wyposażyła ~~moją wyprawę~~ go przyroda - matka w silnie rozwinięte i czułe powonienie i bardzo wrażliwy instynkt dla zachowania gatunku. Celny strzał do borsuka można było oddać kiedy wyjdzie ze swej kryjówki - jamy na całą długość swego ciała, a robił to bardzo wolno, ostrożnie, wychylając głowę, wchłaniając zapachy, czujnie nasłuchując, i znów kryjąc się na nieraz kilka godzin. Słuch równie miał bardzo rozwinięty i dobrze wyostrzony. A ojciec mój - dzielny ojciec, siedział i czekał, czekał godzinami, czatując na ten moment kiedy zwierzę wyjdzie z kryjówki i można będzie oddać ten jeden celny strzał - żeby tylko nie chybić żeby nie popsuć całej wyprawy, żeby zdobyć tak niezbędny cenny surowiec, żeby móc robić to mydło, sprzedawać je, żyć, przetrwać z całą rodziną. Strzał niecelny, raniący tylko borsuka, powodował jego ponowne, błyskawiczne ukrycie się w norze, gdzie zwykle ginął zaszywając się głęboko w jej korytarzach, już stracony dla myśliwego. Upolowanie okazałego borsuka jest zawsze nielada wyczynem myśliwskim, a tu było jeszcze życiową koniecznością - tym bardziej, że naszą sytuację życiową pogarszał jeszcze wypadek mego poważnego poparzenia twarzy, i wyłączenia mnie przez to na pewien czas z pomocy w rodzinie. Stało się to przez rozerwanie się zamka berdanki myśliwskiej, z której właśnie oddawałem strzał. Z braku prochów myśliwskich używaliśmy wtedy prochu bezdymnego zdobywanego przez rozbrojenie naboju do karabinów wojskowych - proch ten miał znacznie większą siłę wywoływanej eksplozji, to też tym prochem nabój, mierzony miarką prochu dymnego, powodował w czasie wystrzału wyrwanie "zatworu" zamka berdanki, a wyswobodzone gorące gazy spalinowe dotkliwie parzyły całą twarz, włosy, brwi, rzęsy na oczach. Stało się to i ze mną, więc nie widząc, z bólu i przerażenia krzyczałem wniebogłosy, a ojciec mój, siedzący wtedy na łodzi, pytał mnie z niepokojem czy widzę co, czy nic?... Moje poparzone powieki, obrzękły i nie mogłem ich otworzyć, na polecenie ojca umyłem za burtą i przetrąłem powieki palcami, a ojciec znowu pytał mnie z niepokojem czy co widzę?. Odpowiedziałem, że tak, że widzę światło jak przez gęste sito - "no to dobrze! - wszystko w porządku,

wygoi się jak na psie ! - do ślubu będziesz zdrow jak ryba !"
Tym spokojnym tonem i żartobliwymi słowami ojca uspokoiłem się
niecóż i lżej było mi łagodzić ból przykładaniem okładów z zimnej
wody rzecznej do palącej twarzy . Po pewnym czasie ^{zaczekałem} ~~zaczekałem~~ ^{gdy zagadnąłem} ojca
dlaczego pytał mnie : czy widzę, czy nie - otrzymałem, po chwili
milczenia, odpowiedź: "... dla tego, że gdybyś nie widział to
zmuszony był bym ciebie dobić !.i.ślepotą to jest dopiero praw-
dziwe kalectwo !- w ten tylko sposób oszczędził bym ci męki
i uchronił od żebraczego życia !- w rodzinie naszej nigdy nie
było żebraków!.". Taka była odpowiedź ojca, twarda, szorstka i
bezwzględna, ale męska i szczerą odpowiedź doświadczonego życiem
człowieka, inwalidy wojskowego - bo taka była rzeczywistość.
Smutna była nasza droga powrotna z tego nieszczęsnego polowania-
trwała długo gdyż ojciec mój prowadził łódź pod prąd, wiosłując
jednym wiosłem zawzięcie i wytrwale, w ośdkowitym milczeniu i
przeżywaniu tego co się stało . W nojej głowie snuły się czarne
myśli, że można ^{jałuzi} ~~przebrać~~ ^{chce} ~~chce~~ zabić własne dzieckosyna, nawet
ślepcę ?.... Skulony, zdruzgotany wypadkiem, zboleły fizycznie
i moralnie siedziałem w tej ciszy przerywanej tylko uderzeniami
wiosła i zaczynałem rozumieć życie, jego twardość i ciosy niespo-
dziane, że nie jest ono tylko rozkoszą i zabawą, że wymaga ciężkiej
pracy, nauki, zdobywania wiedzy potrzebnej jak chleb codzienny
gdyż stanowi ~~oręż~~ ^{oręż} do walki o ten chleb codzienny. Zaczynałem
po przeżytych wypadku rozumieć że nie jestem już dzieckiem, że
spoczywa na mnie obowiązek pomagania w utrzymaniu rodziny i ojca-
inwalidy.

Dla mnie tamten okres to nie tylko przeszłość rodziny Zubczewskich
i jej historia, patrzę na te lata przez pryzmat dnia życia dzi-
siejszego i powracam do niego pisząc z pozycji życia współczes-
nego. Przecież takie zagadnienia jak :odwaga, tchórzostwo, kole-
żeńskość, sprawiedliwość, odpowiedzialność, obowiązkowość - to
istotne cechy człowieka, cechy jego charakteru, które decydują
o jego szlachetności lub podłości, to elementy natury ludzkiej
tworzącej społeczeństwo. W czasie pierwszej wojny światowej, i
później w okresie trwania okrutnej, bratobójczej wojny domowej,
występowały one w bardziej ostrej, jaskrawej formie, bo opłacane
były często najwyższą ceną - życiem. Dojrzałość moralna, odpowie-
dzialność mego ojca - oto były cechy najbardziej charakterystyczne
w jego życiu, - i były wpajane w nas starannym wychowaniem od
wczesnych lat dzieciństwa . Że pokazuję je w tych wspomnieniach
w zestawieniu z surową rzeczywistością wynika to z własnych moich
przeżyć i doświadczeń, zwłaszcza, że świadomość prawdy zdarzenia

piechoty zawarł w tym okresie bliższą ~~przyjaźń~~ znajomość, a następnie przyjaźń, z dowódcą V-tej armii generałem Władysławem, Eugeniuszem Kopaszyną-Sikorskim, który podobnie jak Ciałowit ^{studia} oficerskie odbył równie w ~~w~~ szkole austriackiej, uzyskując w niej stopień porucznika. Właśnie ten szczegół obudził w generale szczególną sympatię do swego podwładnego, a drugiej zaś strony, wierne i głębokie przywiązanie Ciałowita do osoby generała Sikorskiego wyznaczyło Ciałowitowi ^{na} orientację polityczną na całe jego życie, życie człowieka, który w służbie Polsce położył nie małe zasługi. Pani Helena Sikorska, jak już pisałem z Zubczewskich, darzyła Ciałowita ^{na} zaufaniem i przyjaźnią, polegając w pełni na opinii swego niezapomnianego męża.

Wracając jeszcze do losów naszej rodziny w Czechryniu pamiętam że pomimo wysiłków i poświęcenia mamy oraz próbojca stosującego ^{przez} różne usiłowania polepszenia warunków naszego bytu, nadeszły wreszcie i takie boldsne dni kiedy ojciec przeciął materac wypchany trawą morską, wyciągnął z niego niewielkie zawiniątko, o którym ja dotąd nic nie wiedziałem, i polecił mi przyprowadzić żydka-sklepikarza, powszechnie zwanego Lejzorkiem - a działo się to ^w nieobecności mamy. Lejzorek po przybyciu do pokoju ~~ojca~~ zapytał ojca, a mówił ^{sułta} w czystej dawniej używanej polszczyźnie: "jestem jaśnie panie, co za interes ma jaśnie pan do Lejzorka?" - Ojciec, przed tym jeszcze zobowiązując Lejzorka do utrzymania "interesu" w całkowitej tajemnicy, zwłaszcza przed mamą, rozwinął wspomniane zawiniątko, wyjął z niego i położył na stojącym obok stoliku swój szczerzo złoty order Świętego Włodzimierza. Zapytany o wartość tego przedmiotu Lejzorak z zachwytem prawie zapomniał że jest tu w charakterze kupca, i wprost rozpląwał się nad pięknem orderu, jego wysoką 96-~~6~~ próbą szmerwonogo rosyjskiego złota, nazywając order cackiem, rarytasem itp. "Interes" doszedł wtedy do skutku, Lejzorek zobowiązał się dostarczania za moim pośrednictwem, mąki, cukru i innych środków ^{spożywczych}. Sytuacja była już taka, że ojciec nie zawahał się od sprzedania tak cennego dla niego odznaczenia, otrzymanego przecież za swój śmiały rajd na tyły wroga przygotowujący słynną ofensywę wojsk Brusilowa, nie zawahał się pomimo uprzednich sprzeciwów mamy, która stanowczo odmawiała zgody na wyzbycie się tak cennej dla ojca i całej rodziny pamiątki-relikwii, odmawiając, oświadczając że woli zginać z głodu niż wyrzec się tak pięknego odznaczenia świadczącego

o tym domu

o bohaterstwie jej męża i ojca jej dzieci. Pamiętam dobrze ten dzień, dzień niecodziennego "handlu" odbywającego się pierwszy raz w życiu mego drogiego ojca, który chcąc ulżyć namie w jej niemylnej i nieodpowiedniej zajęciu poświęcił tak drogą dla niego pamiątkę czynu wojennego. Przeżywam jeszcze dziś nastrój tego dnia, uczucie smutku i żalu powiększone jeszcze przez słotę tej nieszczęsnej jesieni, lęzące z drzew pożółkłe liście, wznagający się chłód i nekające ssanie niedsytu. Lajzerek parokrotnie jeszcze zagabywał mnie o ~~nie~~ podobnie "dobre interesy", parokrotnie też jeszcze korzystaliśmy z jego chętnych usług, wyzbywając się z domu nie tylko złotej oprawy okularów ojca, ale również i tak drogich pamiątek jak ślubne obrączki, czy czy kolczyki miarowane jej jako ślubny prezent przez dziarskiego leśniczego ~~sarnieńskiego~~ sarnieńskiego. Pozostał w domu tylko oficerski krzyż Virtuti-Militari, pamiątka po moim pradziadku bohaterze powstania 1831 roku i męczenniku z placu straceń pod Łuskim, Szymonie Stefanie Prawdzic Sołłohub Zubczewskim. A i to, wielce nam drogie i tak zaszczytne odznaczenie, przechowywane następnie, według tradycji rodzinnej, przez najstarszego mego brata Nikołaja, zginęło w czasie II-giej wojny światowej, ~~wówczas~~ kiedy to bomba lotnicza Wehrmachtu trafiła w dom gdzie zamieszkiwała jego rodzina. Zginęła wtedy również wielka pieczętka Rurikowiczów i cenny obraz olejny, oryginalny szkic pędzla Januarego Suchodolskiego "Śmierć Stefana Czarnieckiego", który tak pieczołowicie wynosiłem ze Starej Ossoty, i który tak wielki wpływ w dzieciństwie wywarł na moją osobowość. I tu nieodzowne wydaje mi się opisanie tego obrazu-relikwii, tak bardzo związanego z dziejami naszej rodziny i tak drogiego dla mnie. Obraz ten, wiszący w gabinecie ojca mieszczącym się w sarnieńskiej leśniczówce ~~gdzie~~ rzucał się w moje oczy już w pierwszych latach mego dzieciństwa, gdy dopiero rozpoznawałem ojca siedzącego i pracującego przy biurku, a potem, z latami, widziałem w nim jakby świadectwo byłej potęgi i wolności Polski, chwały jej oręza, a zarazem świadectwo wielkiej krzywdy społecznej poddanego chłopstwa. Zgarbiona postać uskrzydłonego towarzysza świetnej niegdyś husarii, stojąca u wezgowia łoża chorowanego i wycieńczonego Hetmana, a u nóg łoża przedstawiciele wszystkich stanów, z małym Bartoszem, podniesionym do stanu szlacheckiego i obok stojącym chłopem polskim, przejętym zbliżającą się śmiercią wodza i obrońcy. Pośrodku obszernej izby chłopskiej biały koń, bojowy i wierny przyjaciel, cicho rżący i wargami dotykający ręki hetmana - na ławce rząd koński, siodło, czaprak, strzemiona. Ta sceneria symbolicznie przedstawiała

przedstawiała jakby drogę życia wielkiego Wodza i Hetmana Polski, który był Rusinem i wywodził się z ludu a nie ze stanu szlacheckiego, lecz męstwem, patriotyzmem i wrodzoną szlachetnością swoją osiągnął najwyższe godności, zaszczyty i stanowiska w Rzeczypospolitej, której naród tak pokochał, pozostając prostym, bezpośrednim, lubianym człowiekiem, wojskowym o nieprzeciętnych zdolnościach i ~~szlachetną~~ odwadze osobistej w najcięższych dla Ojczyzny czasach, gdy potop szwedzki zalewał cały kraj.

Niema orderów, nie ma pamiątek, nie ma obrazu - są tylko drogie miłe, czasami radosze, czasami smutne wspomnienia - I jest duma że były, że świadczyły o czymś z czego trzeba być dumnym.

Rozpoczęta wojna polsko-bolszewicka czyniła postępy - wojska polskie szły nieustannie naprzód zajmując tereny zabużańskie, Wołyń, Podole. Synkowie ziemian, po zajęciu ich majątków ~~przez~~ przez "białych" będący teraz oficerami wojska polskiego, rozpoczynali samosady, okrutnie i bezmyślnie rozprowadzając się z byłymi przewodnikami reformy rolnej, wieszając ich, a uwłaszczonych chłopów bijąc bezlitośnie wycierami karabinowymi i nóżkami. To samo czynili synkowie przemysłowców kiedy polskie wojska zajmowały miejscowości w których znajdowały się fabryki cukrownie, gorzelnie, krochmalnie, tartaki i inne zakłady ich ojców. Stało się to zjawiskiem powszechnym i bardzo jęczącym krwawiące rany wzajemnej nienawiści.

Kiedy Feliks Dzierżyński składając Włodzimierzowi Leninowi meldunek o tej samowoli i okrucieństwie "białych", ~~Lenin~~ i zapytał go jak ma w tych wypadkach postępować partia / jej członkowie / która działała w konspiracji na zajmowanych przez Polaków terenach, Lenin, wstał z za biurka, ~~z~~ swoim zwyczajem założywszy kciuki dłoni za kieszonki kamizelki ~~z~~ zaczął szybkim krokiem chodzić po swoim skromnym gabinecie, i chwilę zastanowiwszy się nad tym nowym problemem powiedział: "To bardzo dobrze, towarzyszu Feliksie! - ci durnie swym sadystycznym postępowaniem pomagają wygrać wojnę domową - i dla tego rewolucja zwycięży!" - /historyczne/ - ... a wy, towarzyszu wydajcie naszym tamtejszym organizacjom polecenie skrzętnego notowania tych smutnych wydarzeń - szeroko naświetlajcie je też na wszelkich mityngach / wiecach / i w prasie, w "Prawdzie", "Izwestiach" i innych organach partyjnych!".

Taki był to człowiek - koryfeusz naukowego Marksizmu-Leninizmu polityk i strateg bolszewizmu realizowanego w praktyce, ~~prakty~~ który dobrze wiedział czego chciał dokonać i jakie musi się się przy tym ponieść straty.

Tymczasem dzieje wojny polsko-bolszewickiej zmieniają się jak w kalejdoskopie - Bierwsza Armia Konna Budiennego wchodzi w grę, polskie wojska cofają³¹⁴ w popłochu. Przypominam sobie: jest pełnia lata, chyba sierpień 1920 roku, siedzimy w poczekalni dworca kolejowego w Zmerynce dokąd dotarliśmy wozem konnym, czekamy na pociąg. Ojciec siedzi na swoim wózkach inwalidzkim, a mama i Ustetka na kufrach i walizkach, ja stoję obok. Mama zabawia dwuletnią siostrzyczkę Marię, Ustetka uważa na chłopięcą ruchliwość czteroletniego braciszka Jerzego. Nagle słyszemy gęstą strzelaninę i na dworzec wpada oddział "czerwonych" z bronią w rękach gotową do strzału - ktoś podaje komendę: "zachować spokój!" Polacy zwiali! "Przyszykować się do rewizji!!", i właśnie w tym momencie do ojca podchodzi wysoki, szczupły mężczyzna trzymający w ręku Mausera, którego drewniany futerał zwisa mu przez ramię. Był w płaszczu żołnierskim i furaczerce z czerwoną gwiazdką. Zwraca się do ojca w czystej polszczyźnie!... a jaśnie pan, proszę, to dokąd? - i wskazują na mamę i na nas - w tym stanie i z tym drobiazgiem - co? ?.. Na to ojciec spokojnie, ale dobitnie: "Za przeproszeniem, towarzyszu Feliksie, po pierwsze nieładen jaśnie pan, a jak widzicie, inwalida wojskowy, były porucznik^{w pułku} Czugujewskich dragońców - służyłem w dywizji generała Aleksieja Brusilowa, który jak wiecie, sam przeszedł na stronę rewolucji - z zawodu jestem inżynierem leśnictwa, ale już będąc inwalidą skończyłem studium księgowości - to jest moja żona, nauczycielka, a ja się nazywam Bergiusz Stefan Prawdzic Sołkohub Zubczewski. Z wami, towarzyszu Feliksie, spotkałem się jeszcze w czasach przedwojennych, będąc członkiem SDKPiL - matka moja, Małgorzata z Daszyńskich, była ~~sefarką~~ ^{sefarką} znanego Wam Towarzyszu, Feliksa który należał do Pierwszego Proletariatu, a młodszy brat Feliksa, ~~Jan~~ Ignacy, jest, jak wiecie, przywódcą Polskiej Partii Socjalistycznej!".... "W porządku!" odpowiedział uprzejmym i życzliwym tonem Dzierżyński. - bądź co bądź, człowiek nie przeciętny, człowiek trzymający w swym ręku tarczę, miecz i losy rewolucji. "A teraz co myślicie począć z sobą i rodziną, co robić dalej? zapytał po ludzku Dzierżyński. Ojciec rzekł: "Prawdę mówiąc, to teraz i sam nie wiem - jak widzicie jestem tu ~~z~~ ^z całym majątkiem i rodziną jak na dłoni i bez żadnych środków do życia, zwłaszcza, że moi dwaj starsi synowie przebywają w szkole podchorążych imienia Komuny Paryskiej i nie mam od nich żadnych wiadomości już dwa lata!" - "No, cóż..." powiedział Dzierżyński - "do Polski już chyba nie pojedziecie bo wojna, a tu potrzebujemy bardzo dużo ludzi światłych i

w Nizimie
Nowgorodzie

uczciwych - wiem, że nie łatwo Wam się oderwać od Polski, w której się urodziliście i przeżyli dotychczasowe swoje lata, ale widzicie sami co się dzieje!.. Wiecie co? proponuję Wam pracę w charakterze szefa księgowości w tutejszej cukrowni, na miejscu w Żmerynce!. Mieszkanie, opał, światła dużo, dużo pracy!. Wszystko tu trzeba zaczynać od nowa. Tu macie przyszłość, a dziś ci Wasze, dzieci inwalidy wojennego, otrzymają pierszelstwo do studiów - a i szanowna małżonka Wasza może otrzymać pracę w swoim, a przez nas bardzo cenionym, zawodzie nauczycielskim. Co do Polski, to nieśpieszcie się - nie wiadomo jeszcze jaka ona będzie!....

W ten sposób ojciec mój, dzięki nieoczekiwanemu spotkaniu z Dzierżyńskim znów był kimś - skończyła się nasza beznadziejna szarpanina w walce o byt codzienny, skończyła się troska mamy o dzieci i ojca. Wkrótce otrzymał ojciec piękne mieszkanie i pracę którą znał i lubił, więc oddał się jej z zapałem. Mama przy pomocy Ustełki prowadziła, teraz bez specjalnych kłopotów, dom i czekała na swych synów Nikołaja i Włodzimierza.

Czas płynął szybko, była już wiosna 1921 roku, życie rodziny Zubczewskich już się ustabilizowało, a Mama wciąż była zatroskana losem synów - Poczta jeszcze prawie nie funkcjonowała, komunikacja kolejowa była bardzo utrudniona, wysadzone mosty i wiadukty kolejowe wymagały ręk do pracy, materiału i czasu, a Kraj Rad, jak długi iszeroki wegetował w bezładzie organizacyjnym. Przemysł był "w proszku", kopalnie węgla zalane wodą, trwał sabotaż i dywersja - co chwila wybuchały pożary i często dokonywane były mordy na działaczach partyjnych. Partia ogłosiła zaciąg do swych szeregów milionów nowych członków, z których wybrano 25 tysięcy przywódców, przeważnie starych działaczy lewicowych mających często za sobą doświadczenia Sybiru, katorgi, i wojny domowej. Cukrownia w Żmerynce nie pracowała - brak było wszystkiego, miazki, węgla, surowca i fachowców. ~~Życie~~

Życie gospodarcze kraju, obejmującego szóstą część globu ziemskiego, pięć mórz i trzy oceany - było sparaliżowane. Pociągi całymi tygodniami nieraz stały na torach, a pasażerowie uzbrojeni w piły i siekiery rąbali okoliczne lasy aby móc napalić pod kotłem lokomotywy i dotrzeć do miejsca przeznaczenia.

Pewnego pięknego, kwietniowego dnia na dziedziniec cukrowni w Żmerynce wjechała opazaka czarna limuzyna - był to angielski wysokiej klasy samochód o 12 cylindrach, Studebaker, otwarty wóz z dachem składanym w harmonijkę. Za kierownicą tego wspaniałego wozu siedział młody przystojny kierowca w skórzanej

kurtce, i takiejże furaczerce z gwiazdką, aobok niego czerwono-
armista w mundurze trzymający między kolanami karabin bez bagnetu.
Z tylnego siedzenia tego ^{mi}głównego osobowego wozu wysiadł wysoki,
przystojny mężczyzna w bryczesach ^{mi} i butach z cholewami i w zie-
lonym frenczu. Na piersiach miał najwyższe bojowe odznaczenie:
Order Czerwonego Sztandaru - lat miał chyba 45 - 46, niebieski
oczy, twarz nieco podłużną z wąsikiem, był szatynem i nosił
niewielką brodę, która przykrywała nieco energiczny podbródek.
Po dokonaniu tych błyskawicznych spostrzeżeń dopadłem, w liczbę
całej kury chłopców, z wielkim zaciekawieniem do samochodu,
który tu był rzadkim zjawiskiem, w dodatku takiego typu, o szybko-
ści pewno ze 200 km na godzinę. Wsiadłszy w wozu opisany wojsko-
wo grzecznie zapytał, po przywitaniu się ^{z wiewiatką}, czy tu mieszka oby-
watel ^{głazdca}Zubczewski. Odpowiedziałem błyskawicznie, że tak, że ja
jestem jego synem, że tatuś właśnie jest teraz w swoim gabine-
cie i, że ja pana tam zaprowadzę. Jakże wielkie było moje zdu-
mienie gdy ów wojskowy po wejściu do gabinetu ojca odezwał się
do ojca w czystej polszczyźnie: "Serwus Sergiuszu! - jak się
masz!" i chwycił ojca w ramiona, ściskając go i całując. Okazało
się wkrótce, że był to Polak, kolega ojca z pułku w którym razem
służyli i przyjaźnili się, niejaki Włodzimierz Arkadiusz Stan-
kiewicz, wychodząca z Litwy. Był to jeden z tych nielicznych ofi-
cerów pułku Szugujewskich dragonów, którzy weszli w skład 13
-tej Kawaleryjskiej Dywizji; & służył pod dowództwem generała
Brusikowa w stopniu poręcznika - podobnie jak i jego dowódca
przeszedł na stronę rewolucji i równocześnie wstąpił do partii
bolszewików. Obecnie pracował w Kijowskim Specjalnym Okręgu woj-
skowym, w jego Kwatermistrzowskim i wracał właśnie z Charkowa
gdzie znajdowała się wówczas siedziba Centralnych Władz Radziec-
kiej Ukrainy. Adresu ojca dowiedział się od siostry ojca, cioci
Marii, którą odwiedził w Kijowie. Ostatnio był wyznaczony szefem
delegatury na Okręg obejmujący 18 powiatów, od Kremieńczuga do
Czerkas, Smiełoj, Starej Ossoty i Czechrynia. Okręg ten
będący "zielonym zagłębieniem" Ukrainy ^{pranobrytka} miał za zadanie dostarczanie
na potrzeby Armii Czerwonej, głównie Armii Budiennego, owsa &
siana - siedzibą tego okręgu był Czechryń leżący w samym środku
zielonego zagłębienia paszowego, słynnego z trzech pokosów siana
tymotki i innych wysokobiałkowych roślin bogatych w proteinę,
której zawartość sięgała do 38% wagi siana. Dowiedziawszy się
od ukochanej cioci Marii o losach rodziny Sergiusza Zubczewskiego
go przyjechał z Charkowa do ojca specjalnie by ~~zapro-~~ ^{mu} zapro-
ponować ~~ojca~~ stanowisko swego zastępcy do spraw finansowych i
szefa księgowości delegatury. Ojciec, nie widząc bliskich

perspektyw uruchomienia cukrowni bez wahania przyjął tę ^wniepo-
dzianą a tak atrakcyjną propozycję ze strony dobrze znanego,
i lubianego przyjaciela i towarzysza częstych ongiś wypraw
myśliwskich. Obiekcje ojca dotyczące ~~z~~ faktu skierowania go
do cukrowni w Żmierzynie pismem z osobistym podpisem Dzierżyń-
skiego, zostały usunięte autorytatywnym oświadczeniem Stankie-
wicza, iż załatwienie tej sprawy bieżę na siebie - i w ten spo-
~~zostawiając~~ zmiana miejsca pracy ojca została rozstrzygnięta.
A więc pozostaje tylko szybkie spakowanie się i przygotowanie
na pojutrze do podróży - oświadczył Stankiewicz - bagaże zostaną
wysłane ~~z~~ koleją do stacji Znamienka, a tam wojskowy trans-
port ~~ś~~ awsa i siana przejmie je i szybko ~~dotarzą~~ do Czechry-
nia, my zaś wszyscy zabierzemy się moim samochodem - o bagaże
będzie się troszczyć towarzyszący mi czerwonoarmi~~ski~~ ~~o~~.
Przygotowany w międzyczasie smakowity obiad przeciągnął się aż
~~do~~ do kolacji i odbywał się w wesołym, optymistycznym przyjaciel-
skim nastroju. Obok Stankiewicza siedział za stołem jego kierow-
ca - jak się okazało był to Leon Gajewski, jedyny ~~rodzic~~ czło-
nek znanej w kraju rodziny Gajewskich, który uszedł z życiem
z młyna walk bratobójczych. Rodzina Gajewskich była ewakuowana
do Rosji w czasie I- ej wojny światowej, podobnie jak i nasza,
gdyż ojciec Leona był lekarzem wojskowym. Ciężkie przeżycia
życiowe tego młodego, 19 lat liczącego człowieka sprawiły, że
postanowił on jednak zostać na zawsze w Rosji - miał tu bowiem
widoki na przyszłość, gdyż, zdemobilizowany jako robotnik i kie-
rowca miał zapewniony wstęp na wyższe studia inżynierskie i
stypendium. Trzymał się więc Stankiewicza, który znał jego
rodzinę, a w wolnych od pracy chwilach studiował przygotowaw-
czo podręczniki techniczne. Po obfitej kolacji z kawiosem, spre-
zentowanym mamie przez gościa otrzymującego ten przysmak z przy-
działu wojskowego, Stankiewicz wyjechał do niedalekiego Kijowa
skąd miał połączenie telefoniczne z Moskwą, a chciał od razu
~~uzyskać~~ ^{ed}uzyskać władz centralnych zgodę na zaangażowanie ojca.
Władze te nie stawiały żadnych przeszkód czy trudności, gdyż ceni-
ły specjalistów w służbie wojskowości. Ojciec zmienił się po
tej wizycie nie do poznania - czuł się znowu w swoim żywiole
i cieszył perspektywą poważnej pracy, a także i zaufaniem oka-
zany mu przez władzę wojskową radziecką, w dodatku przyjęciem
na tak poważne stanowisko o jakim zdawało się nie mógł nawet
marzyć, on, były porucznik dragonów Jego Cesarskiej Mości.
W oznaczonym terminie ~~uzyskał~~, zgodnie z umową, ten sam wspa-
niały Stdehacker /nawiasem mówiąc zdobywczy - półrozgromieniu
na Krymie białego barona Wrangla/, zatrzymał się przed cukrownią

I, po spożyciu przygotowanego śniadania, cała rodzina Zubczewskich, załadowawszy podręczne walizki do bagażnika, rozlokowała się w komfortowym wnętrzu samochodu, żegnana przez zgromadzonych dookoła pracowników cukrowni, odjechała w towarzystwie sprawcy tej odmiany fortuny, Włodzimierza Stankiewicza, znowu do Czechrynia odległego o około 300 kilometrów.

Był to kwiecień 1921 roku, mknęliśmy z szybkością 90 - 100 kilometrów na godzinę i cieszyliśmy oczy widokiem barw i kwiecica umykającego w tył samochodu. Całe pola, tak żywych tutaj, pokryte były, zamiast zbóż, czerwonym dywanem kwitnących maków, i tylko gdzieś dojrzeć można było nielicznych oraczy, uprawiających ziemię, we władanie której weszli skutkiem reformy rolnej, ziemi, która miała dawać teraz plon bez ucisku i wyzysku uprawiających ją. Był to barwny lecz smutny widok pojedynczych pługów w zaprzęgu których szły, miast koni, krowy chłopskie. Kraj pierwszego państwa robotniczo-chłopskiego po wyniszczającej wojnie światowej, okupacji niemieckiej i wojnie domowej powoli leczyl ciężkie rany, pogłębione w dodatku głodem i masową epidemią tyfusu. Kraj ten postradał dziesięć milionów ^{ludzi} w zabitych, nie licząc rannych i zmarłych na skutek epidemii, tyfusu, czerwonki i nowej ówczesnie "hiszpanki" /rodzaj grypy/, Snując rozważania i gwarząc na te tematy mknęliśmy drogą którą jechała niegdyś historyczna misja od Króla Jana III-ego Sobieskiego, pod przewodnictwem Szumlańskiego i Morsztyna, do hetmana kozackiego Doroszeckiego - i w niedługim czasie dotarliśmy pod Czechryń. Znowu ujrzeliśmy to 35-0 tysięczne miasto położone u stóp góry zwanej Kamienną, z widocznymi na niej ruinami zanku bronionego i obronionego przed najazdami tatarów i Turków przez księcia Korybuta Jeremiego Wiszniowieckiego. ^{Wzniesli} ~~Wzniesli~~ ^{na} ~~na~~ ^{na} tę pamiątkę pomnik w formie wielkiego krzyża wyktego z piaskowca, stojącego na wysokim piedestale i okolo-nego mosiężnymi płytami, na których wyryte zostały opisy tej walecznej obrony granic Rzeczypospolitej, obrony dokonanej przez waleczne kozactwo siczowe i jego gwardię, tak zwanych "sierdiuków", przewyższających jeszcze mężstwem słynnych tureckich janczarów.

Znowu ujrzeliśmy piękną rzekę Taśminę płynącą starym korytem Dniepru wokół góry Kamiennej - Dniepr bowiem cofnął się z wiekami o prawie 18 kilometrów na południowo-zachód od Czechrynia, a najbliższą przystanią żeglugi rzecznej na Dnieprze był Bużyn. Miasto okolone było liściastymi lasami i borem sosnowym, który rozpoczynał się tuż za pięknymi trzypokosowymi łąkami i rósł na wydymach piaszczystych ciągnących się aż do Dniepru.

Siedziba "Delegatury skupu siana i owsa" mieściła się w pięknym domu-pałcyku skonfiskowanym miejscowemu "Gołowi uprawy", to znaczy magistratu, a właściwie należącemu do kupca Łopatina, który nawczasu zwiął z niedobitkami Petlury. Położony był na krańcach miastach, a obok niego rozciągał się wygon, obszerne pastwisko na stokach góry Kamiennej. Arkadiusz Stankiewicz uczynił przy instalowaniu naszej rodziny jeszcze jeden dżentelmeński i przyjacielski gest- wprowadził bowiem naszą rodzinę do swego osobistego, już uprzednio opróżnionego mieszkania, składającego się z 5 pokoi z przynależnościami, a sam zamieszkał /z rodziną/ w domu wynajętym o dwa kwartały dalej, zajmując tam całe piętro. Szlachetny ten gest stworzył ojcu bardzo dogodne warunki pracy, uwalniając ojca-inw. lidę od konieczności udawania się na wózek do miejsca pracy, gdyż biura kwatermistrzostwa i księgowości znajdowały się tuż za ścianą gabinetu ojca. Doceniając to, ojciec mój podjął natychmiast swoje nowe obowiązki z zapałem i poświęceniem całego swego czasu, wszystkich zdolności, umiejętności i wiedzy. Matka moja szybko zaprzyjaźniła się z panią Jadwigą Stankiewiczową, która wychowywała dwoje swoich dzieci z pierwszego małżeństwa z prawnikiem Brzeskim: syna Bolesława będącego w wieku mego najstarszego brata Nikołaja i starszą ode mnie o rok córeczkę Jadzię, z którą oczywiście, jako prawie rówieśnicą, od razu się zaprzyjaźniłem. Oprócz wymienionych w domu państwa Stankiewiczów było jeszcze dwóch ich synów Zygmunt i Bohdan. Państwo Stankiewiczowie tworzyli bardzo dobrane, pomimo 7 lat starszeństwa pani Jadwigi., małżeństwo, i pomimo, że dobrali się, jak dwa ziarenka naku, już w nieco starszym, dojrzałym okresie życia, a może właśnie dlatego, stanowili przykład ~~niezwykłej~~ pary małżeńskiej. Do Polski nie wracali, nie spodziewając się w ojczyźnie niczego pomyślnego, a raczej odwrotnie, obawiając się represji władz dla pana Arkadiusza, za jego probolszewicką postawą, a było na to liczne przykłady. Niestety i w Rosji los tego szlachetnego człowieka nie był szczęśliwy. Został on rozstrzelany w okresie masowych represji stosowanych tam w roku 1937, choć w wigilię swego aresztowania, będąc już na stanowisku dyrektora dużej cukrowni, był udekorowany za zasługi Orderem Lenina. Znam szczegóły tej tragicznej śmierci od mego brata ~~Włodzimierza~~ Włodzimierza, który właśnie w tej cukrowni pracował w charakterze ~~stara~~ głównego ekonomisty. Brat Włodzimierz, będąc również oskarżonym, uratował swoje życie, uparcie nie przyznając się, pomimo stosowanych ~~wielokrotnych~~ do niego tortur, do żadnego z zarzucanych mu czynów

Włodzimierz

sabotażu , i nie podpisał w śledztwie żadnego protokołu przyznania się do winy. Został więc zaocznie skazany przez tak zwaną " Trójkę G.P.U." na dziesięć lat pracy przymusowej w obozie, i wywieziony nad Bajkał, znanym już przez Zubczewskich "szlakiem Świętego Włodzimierza. W obozie przeszedł wkrótce od kilofa i łopaty na funkcję brygadziasty, a po dwu latach powierzone mu stanowisko głównego księgowego i ekonomisty będącej właśnie w budowie drugiej nitki Żelaznej Kolei Transsyberyjskiej - lecz przedłużono mu też, z racji nowego stanowiska , okres wygnania na Sybir o dalsze pięć lat , ale już jako "wolnonajemny". Po śmierci Stalina , w 1953 roku, został, podobnie jak i Arkadiusz Stankiewicz, zrehabilitowany, powrócił do swej rodziny zamieszkałej wtedy na Krymie. Był już jednak załamany okrutnymi losami ~~Włodzimierza~~ i szukał zapomnienia przeżytych koszmarnych dni w muzyce i grze na pianinie. Obu zrehabilitowanym, jak się teraz wyjaśniło, zarzucano, że będąc Polakami, celowo pozostali w Rosji Radzieckiej, żeby w czasie spodziewanej przyszłej wojny polsko-rosyjskiej , wskazywać polskim wojskom drogi przemarszu na Kijów. Bzdurność tych zarzutów była oczywista, i właśnie Włodzimierz Zubczewski, torturowany w śledztwie, wskazywał na to, oświadczając , że Polacy z całą pewnością posiadają dokładne mapy tych terenów, ~~Włodzimierz~~ ^{Włodzimierz} umieją się ^{winy} posługiwać i bynajmniej żadnych przewodników nie potrzebują. Nie bez winy są i polskie ówczesne czynniki polityczne , których fatalna polityka , a szczególnie nieprzejednane i jasne stanowisko antyboiszewicze sanacji, jakże krótkowzroczne i fatalne w skutkach, stworzyło już od roku 1918 poczynając, atmosferę wzajemnej nienawiści której ofiarą padali najlepsi nieraz Polacy i pozostali w Rosji i wracający do Ojczyzny.

Na swym nowym stanowisku w " Delegaturze" ojciec mój wykazywał się znakowitą i efektywną pracą i zdobył pełne zaufanie ^{stadz} obracając wielkimi sumami w gotówce i dokonywując poważnych posunięć finansowych .

S. Druż

Utkwił mi w pamięci pewien incydent z tego okresu życia mego ojca, charakterystyczny dla klimatu tamtych czasów, a także i postawy mego ojca - z tych więc względów warty chyba przytoczenia go tutaj.

Było to wiosną 1922 roku gdy do Delegatury wpadł z impetem dobrze podpity dowódca jednego z przechodzących przez Czechry oddziałów krasnoarmistów domagając się gwałtownie owsa dla koni jego oddziału. Gdy mu w biurze oświadczone że rządanego owsa nie otrzyma ponieważ nie ma go w magazynach, dostanie natomiast wzamian dobre siano z lucerny zmagazynowane w rezerwowym "nietykalnym magazynie", dowódca ów wpadłszy w furję wtargnął do wskazanego mu gabinetu ojca i klnąc "po matuszkie" zaczął krzyczeć, że jego oddział jest oddziałem specjalnym mającym za zadanie ściganie band / jeszcze dość licznych w tym okresie /, że jego żołnierze i on narażają swoje życie dla takich jak wy tu "gryziopiórków i ~~złotańców~~" żądających mu owsa, ~~z~~ i podskoczywszy w tym momencie do biurka, za którym siedział ojciec, w sposób arogancki i obelżywy, wrzeszczał: " -- ty dawaj owsa, bo jeżeli nie dasz, to ja, Łapszyn, twoją krew zroszę swoją szablą - a wtedy na pewno i owies się znajdzie!". Ze strachem obserwowałem ~~z~~, stojąc w pobliżu biurka, jak awanturnik, odznaczony, jak zauważyłem orderem Czerwonego Sztahdaru, do połowy wyciągnął już z pochwy swoją kozacką, pozbawioną gardy szablę, i pochylił się nad biurkiem. "Stać!" - rozległ się w ^{tych} momencie głos ojca, głos nie podniesiony, ale niezwykły w swym brzmieniu, przepojony emocją i decyzją - a w ręku ojca urządzeniem nagle wyszarpięty z szuflady biurka jego nagan oficerski, skierowany wprost w pierś napastnika. Groza wisiała w powietrzu. Odczuł ją i Łapszyn, bo stanął jak ~~w~~tyty, a następnie bez sprzeciwu, choć z ~~o~~ pewnym ociąganiem się wykonywał polecenia ojca: odpinał i składał na biurku szablę, kaburę ze swym naganem, i, przynaglany powiedzeniem ojca że nigdy jeszcze z tego nagana nie chybił, zaczął odpinać swój order bojowy. Gdy przerażony zdecydowaniem ojca, i jego rozkazującą postawą Łapszyn złożył już i broń i order na biurku ~~z~~, ojciec rzekł: "Dobrze, Łapszyn! - powinnuś głowę i miecz nie sieczoł^t - a teraz słuchaj - widać z twego postępowania że ciebie chrześ^t rozumny pop, tylko głupi był że cię przy tym nie utopił! / widno że cię ~~nie~~ chrestił mudryj pip - tolko durnyj buw szto tebe ne wtopiw/- Zrozumiano?... A teraz: dziesięć dni aresztu!". Udasz się teraz do Komendy Wojskowej miasta Czechrynia i powtórzysz komendantowi ten ~~moj~~ rozkaz - bo widzisz, Łapszyn, nie chcę ciebie konpromitować przed twoimi żołnierzami, nie oddam

cię też pod sąd polowy - wiesz, że za tego rodzaju wyczyny dostaje się kulę w łeb! - a teraz - w tył zwrot - odmaszerować!"... Działo się to w tak zwanym okresie "komunizmu wojskowego" i ojciec mój wiedział, że takie przysługują mu uprawnienia, a wiedział o tym i Łapszyn, odszedł więc, nic już nie mówiąc, jak zwyty.

Z zachwytem patrzyłem na swego ojca, który podkłęciwszy z zadowoleniem wąsa, chował wągan do szuflady, i, widząc że oglądam, trzymając go w ręku, piękny srebrny order złożony tak posłusznie przez Łapszyna, odniosłem go do mamy do przechowania na pewien czas, jak mi to ojciec polecił. Po pewnym czasie rozległ się dzwonek telefonu - dzwonił komendant wojskowy i zarazem pełnomocnik Rządu - "... tak" - mówił ojciec w słuchawkę - "jak się prześpi to proszę go do mnie przysłać!"

Nazajutrz, świeżo wygolony i podstrzyżony Łapszyn, skromnie zameldował się przez dyżurującego w biurze czerwonoarmistę u ojca. Przyjęty został grzecznie choć z rezerwą. Oddając Łapszynowi broń i order, ojciec rzekł do niego łagodnie ale wymownie: "Wiem, że szkół nie kończyliście, Łapszyn, żeście ten order otrzymali za rzeczywiste zasługi, nie szczędząc życia - trudno go zdobyć, ale łatwo niestety stracić przez takie właśnie postępowanie, jak wasze w dniu wczorajszym - wierzę, że się coś podobnego drugi raz w życiu, wam Łapszyn, nie przydaży - życie też jest szkołą i to, jak się przekonaliście, dość szorstką. Daruję wam wasze wczorajcze obelżywe postępowanie - byliście pod wpływem alkoholu i nie wiedzieliście, że jesteście inwalidą wojskowym z 1916 roku, że mam syna w waszym wieku, a drugiego o dwa lata młodszego, że są obaj w wojsku i że od dwóch lat nie ma od nich żadnej wiadomości. Właśnie to wasze bojowe odznaczenie uratowało was od degradacji i śmierci, gdyż napad z bronią w ręku, na starszego przełożonego, w ~~były~~ dzień, to przecież rozbój, i tak właśnie postępują ci, których ścigacie! - rozumiano?" - "Tak jest! towarzyszu kwaterymistrzu! Zrozumiałem i przepraszam!" służyście odpowiedział Łapszyn.

"No - to w takim razie, bądźcie zdrowi!" powiedział do niego ojciec z uśmiechem, podając mu rękę - "a jeśli łaska, to proszę do mnie o 15-ej na obiad - czym chata bogata!". Od tego dnia, jak długo ten oddział czerwonoarmistów przebywał w Czechryniu, jego dowódca, Grzegorz Łapszyn był częstym gościem w domu Zubczewskich.

Kalendarz życia ma swoje prawa i właściwości : ukazuje chronologicznie kolejne fakty z całokształtu życia człowieka , ze zestawia jednostkowe fakty osobistego życia człowieka z życiem innych ludzi z bliższego i dalszego otoczenia, z głosami i opiniami tego otoczenia. Przechodzę teraz do odtworzenia najbardziej osobistych pragnień moich związanych z życiem narodu zarówno w latach mego dzieciństwa jak i późniejszych, z okoliczności pierwszej, a zwłaszcza drugiej wojny światowej, a także po zakończeniu tej wojny. Wspominając ~~przez~~ ^{przez} te lata odczuwałem dumę jako Polak z faktu, że pomimo zaborów, targowicy przez magnatów naszych opartej na wrogich bagnietach, pomimo tyrańskiej okupacji hitlerowskiej przetrwalimy jako Naród, a nawet ^{zdołaliśmy} ocalić wiele z wiekowego dorobku Narodu w dziedzinie nauki, literatury, sztuki i kultury, obyczajów narodowych - potrafiliśmy ocalić w narodzie miłość i wierność do Tej Co Nie Zginęła!.

Rozpoczynając teraz osobiste swoje wspomnienia pragnę opowiedzieć je z punktu widzenia Polaka - Uchoďcy, nie tułacza szukającego innej lepszej ziemi, innej, nowej ojczyzny, lecz Polaka-Uchoďcy związanego mocno synowskim uczuciem z krajem ojczystym, uchoďcy przez długich czterdziestu lat zawsze tęskniącego do Polski.

W okresie tych długich lat przebywania na obczyźnie ciągle uczyłem się kochać w ludziach wszystko co jest w nich pozytywne, dobre, szlachetne, niezależnie od narodowości czy wyznania; pogłębiałem w sobie nienawiść do wszystkiego co w ludziach jest podłe, zakłamane, niuczonne - a objawów ludzkiego dramatu i podłości los mi nie poskąpił. Wszystko to co widziałem i przeżyłem uzbroiło mnie w siłę moralną, wzmocniło wytrwałość i upór w pracy dla ludzi, wyostrzyło czujność na niedolę ludzi prostych. Mogę dzisiaj powiedzieć, że była to dobra szkoła życia, że żadne z uczuć ludzkich nie jest mi obce. Nauczyłem się w tym okresie odkrywania w człowieku skarbów moralnych nie spożywanych pod pod pozorem obojętności, często udawanej.

W tym czasie, szczególnie o okresie II-giej wojny światowej, nie było prawdziwego polaka, któryby w swoim kraju, podbitym ale nie ujarzmionym, nie stał w obliczu śmierci - jakież słowa, jakie myśli kołysały ich strach i ból i zniechęcały ich na zwycięstw? - w chwili kiedy gotowali się na śmierć? - jakie ideały napawały ich męstwem?... Patriotyzm był to przenośną siłą,

która podrywała do czynu zbrojnego, umocniała i podtrzymywała w wierze w nieśmiertelność Narodu stojącego, sadowało się, przed nieuniknioną zgnisną biologiczną zagładą.

Wśród takich Polaków nie zabrakło i członków rodziny Zubczewskich, i tych w kraju i tych, którzy przebywali po za jego granicami - istotą naszego losu była bowiem, w ciągu prawie dwu wieków, nie kończąca się walka o odrodzenie i wolność Ojczyzny. Że słuszną była serliwa wiara Polaków-patriotów walczących i nieśląjących ofiar krwi i nienia na ojczystych ziemiach i w wielu armiach tworzonych na Obczyźnie, świadczy o tym pełna krasa 30-letniej już dzisiaj Odrodzonej w Manifestie Lipcowym Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

wpływani astralni miało przebiegać i moje życie, obiecywał iż mieszkańcy Ziemi mogą oczekiwać pomyślnego rozwoju wydarzeń, wygasania konfliktów zbrojnych i społecznych, umocnienia umowy w stosunkach międzynarodowych, i, co chyba widzieliśmy najwężniejsze, "wzrostu zdrowego rozsądku przy rozwiązywaniu spraw o znaczeniu ogólnym". Pewien inny mistrz wiedzy tajemnej i astrologii, niejaki Waldner, taki oto przewidywał dla urodzonych w 1908 roku przebieg życia i rady: "Po okresie pewnych trudności począwszy od marca poprawa sytuacji, lecz od sierpnia do końca roku mogą pojawić się inne przeszkody opóźniające realizację zamierzeń - nasza rada: kierować wysiłki na urzeczywistnienie celów konkretnych i trwałych, unikać działań pozornych, w stosunkach z otoczeniem zachować ostrożność i cierpliwość".

Jak się okazało mój horoskop zaczął się sprawdzać już od chwili urodzenia i spwadał się nadal. Wskazywał pod koniec roku 1908, gdy prawie już siedniediesięczny brzdąc zacząłem chodzić i zapowiadał się na zdrowego, dobrze wyrosniętego chłopca, zdarzyło się, że pozostawiony chwilowo bez opieki piastunki wpadłem do stojącej pod rynną drewnianej balii pełnej deszczowej wody, wpadłem głową w dół i dosłownie utopiłem się. Na szczęście właśnie w tym momencie nadeszła do mojej piastunki jej przyjaciółka z sąsiedztwa i zobaczywszy mnie w wodzie, nie tracąc przytomności, szybko chwyciła mnie za kark i podniosła do góry z głową opuszczoną ku ziemi. Oczywiście spowodowało to odpływ wody z mego organizmu i moje, powtórne już w tak krótkim czasie, ożywienie do życia.

Na cześć bardzo szanowanego w naszej rodzinie mego dziadka nadano mi imię Stefan, a nazwiasto swoje potwierdziłem jakby atawistycznym w rodzic Zubczewskich faktem iż urodziłem się z zębem, i to nie siekaczem lecz trzonowym. Z faktu tego był niezmiernie dumny i zadowolony mój dziadek Stefan Szymon znający tę rodową właściwość, okresowo powtarzającą się co drugie pokolenie, datującą się od czasów pradziadka Szymona-Stefana. Właściwość ta podobno była też powodem uzupełnienia w dawnych latach nazwy naszego rodu, Pędziców, nazwiskiem Zubczewskich, to znaczy rodzących się z zębami. Zęb ten, jak dobrze to pamiętam, straciłem dopiero w wieku 21 lat, gdy został wypchnięty prosto bez bólu przez wyrastający zęb mądrości. Przecho- wywałem go pieczołowicie przez długie lata wraz z innymi pamiątkowymi drobiazgami, lecz zginął i on wraz z wieloma innymi pamiątkami w zawiei lat wojennych 1939-1945.

Moje dzieciństwo.

Jak wynika z metryki mego urodzenia, ujrzałem po raz pierwszy światło dzienne w rodowym Dubnie nad rzeką Ikwą na Wołyniu, dnia 16 kwietnia roku 1908, w godzinach porannych. ~~W~~ Stało się to w domku byłego administratora resztówki posiadłości ci ziemskiej odtrąpionej przez dziadka mego pułkownika Stefana Szymona Zubczewskiego. Jak wynika ~~za~~ zaś z opowiadań rodzinnych urodziłem się "w czepku" a poród odbierał położny-felczer, niejaki Szukler. Dawid Iwowicz Smu'ler był podobno nieładnym mistrzem w swym tak cenionym, pożytecznym i potrzebnym w Dubnie fachu. Praca tego jedyne go w tym zawodzie "unikalnego" położnego cieszyła się ogólnym uznaniem gdyż wykonywał ją z dużą wiedzą i wysoce umiejętnością oraz zdonościami. Nie była ta służba dla rozwoju ludzkości wprawdzie bezinteresowna lecz ciesząca się dużym szacunkiem nie tylko społeczeństwa, ale i nawet i parających się pokątnie położnictwem "babek", z którymi Dawid Iwowicz ułożył wzajemne dobre stosunki na zasadzie "żyj sam ale i innym nie przeszkadzaj". Przy moim porodzie nie obyło się jednak bez komplikacji i mianowicie: w czasie gdy ~~parający~~ ów Szukler zajmował się położną nastąpiło, niezauważone, zagięcie popowiny, a to z kolei zaharowało dopływ krwi i tleniu do noworodka, skutkiem czego znowu była tak zwana "śmierć kliniczna" noworodka, i to noworodka urodzonego w czepku !.. Ale od czego był Dawid Iwowicz Smu'ler? I. Zauważysz, po uwolnieniu noworodka od "czepka" i zawiązaniu już odciętej popowiny, iż dziecko nie oddycha i nie okazuje znaków życia, natychmiast ~~usunął~~ ~~wzrost~~ palec z ust i nosa noworodka pozostały tam jeszcze śluz i szybko opuścił ^{dziecko} ~~je~~ w ~~zawiesz~~ przygotowaną już poprzednio dużą niską- wannę z gorącą wodą - najpierw całego a następnie tylko po szyję - po czym, wyjmąwszy dziecko z tej gorącej kąpieli położył je na swej szerokiej dłoni brzuszkiem do dołu a drugą ręką ~~wlepnął~~ ~~na~~ małego przedstawiciela gatunku "homo-sapiens" kilka-krotnie lekko po tyłeczku. Różowe ciążko małego człowieka po tej gorącej kąpieli zaczerwieniło, krew ruszyła w obieg małe serduszko zaczęło do pracy, płuca chwyciły ~~kur~~ haust powietrza - a ja, Stefan Zubczewski, rozdarłem ciszę pokoju i przerwałem panujące wśród obecnych pewne napięcie ~~nerwowe~~ pierwszym w swym życiu przeraźliwym krzykiem.

Horoskop dnia tego wskazywał że: "Jowisz wróży nieszkadek i słońce pokój, rozważę, konstruktywny postęp", zaś "Baran" znak Zodiaku obejmujący okres 21.III- 20.IV pod którego ~~wskazywał~~

Ten mój "atawistyczny" szał był jednak dla mojej mamy uprzykrzeniem gdyż przy karzeniu mnie piercią boleśnie ją gryzłem i musiała zaprzestać tego bezpośredniego karzenia, stosując, za radą znanego już felczera Dawida Lwowicza Szuklera, powszechnie znany aparat do odcinania nleka, aparat złożony z gumowej gruszki i szklanego zbiorniczka.

Nie mogę się tu powstrzymać od bliższego zapoznania czytelnika z charakterystyczną dla owych czasów i tamtych stron postacią felczera Szuklera. Posiadał on przy prycypialnej ulicy Dubna, prowadzącej do dworca kolejowego i wysadonej wspaniałymi lipami ulicy Panieńskiej okazałą willę z obszernym sadem-ogrodem. Pełno było w tym ogrodzie przeróżnych altanek i fontann okolonych girlandami, rabatami, kłębami przeróżnych kwiatów, głównie róż. "Tak wypada - czego się nie robi dla interesu" - mówił o swym ogrodzie pa Szukler. "Wypadało" mu również nie chodzić do pacj^{ent}ów piechotą lecz jeździć lek^{ci}em, na wózek krytym wiedejskim fiakrem na gumach, zawsze z nieodstępną obciążoną torbą felczerską dobrze wypchaną wszelkimi niezbędnymi w pracy medycznej lekarstwaniami przyrządami. "Jestem przecież nie byle kto, jestem jedyny na miasto Dubno i jego okolice dyplomowany felczer i położony - swój dyplom zdobyłem dużym wysiłkiem pracy w samym Kijowie - mój czas jest drogi, moje stanowisko jest poważne - nie mogę chodzić piechotą - interes wymaga żebym jeździł!". Trzeba przyznać że jeździł dużo i skutecznie - i dzień i nocą śpieszył pomagać ludziom nie zależni od ich stanowiska i majątku - to też był powszechnie lubiany i szanowany. Byli wprawdzie i tacy, a sporo ich zawsze można było znaleźć w ówczesnych małych zażydzonych miasteczkach Wołynia i Podola, którzy z zawiści do tych którym lepiej się powodziło twierdzili, że ów Dawid Lwowiez nie jest wcale Dawidem Lwowiczem lecz zwykłym sądkiem "Davidkiem", synem sklepikarza z Bender w Bessarabii, synem Lejby Szuklera, który dorobił się w Benderach na handlu piersem i jajami.

I była to prawda - ale i to było prawdą że stary Lejba Szukler był bliskim kolegą Iakowa Litwinowa, ojca Iaksina Litwinowa, późniejszego ministra spraw zagranicznych i męża stanu Rosji Sowieckiej, który w czasie swej wieloletniej pracy i działalności oddał nie mało usług dla powstającego Państwa Radzieckiego, szczególnie właśnie w okresie gdy był ministrem po zabójstwie dotychczasowego ministra spraw zagranicznych Wojkowa przez Petlurowca, niejskiego Kowerdę, w drodze powrotnej z Warszawy

Litwinow dość długo miał możność skucia Państwa Chłopów i Robotników na tym i innych odpowiedzialnych stanowiskach i dopiero "Zmiana kursu politycznego", wyrastająca się z zawarciem historycznego paktu Ribentrop-Łożotow w roku 1939, spowodowała wyniesienie Litwinowa "do skrzyni z rupieciami". I dopiero ponowna zmiana poglądów na stosunki w Europie już po najeździe hitlerowskim na ZSRR, stwierdzenie iż nie jest prawdą że "bękart wersalski nigdy z martwych nie wstanie", jak to podpisał Łożotow z Ribentropem, dopiero bolesne doświadczenia narodów doprowadziły do wyciągnięcia Litwinowa z odosobnienia, "odkurzenia" jego poglądów i wykorzystania jego zdolności przy zawieraniu antyhitlerowskiego paktu między Anglią, Ameryką, Francją i Rosją. Potrzebny był wówczas Litwinow mający za sobą potężne poparcie Światowego i rodzinnego syjonizmu.

Przykład Litwinowa wskazuje i uczy że każda jednostka jest niepowtarzalną ^ukażdym społeczeństwie, jednostką która w pewny ^uurzędach nie da się zastąpić, zamienić jak zwykła część mechanizmu. ^uWidać też z tego nauka że częstokroć o funkcjonowaniu i karierze poszczególnych jednostek i całych grup decydują czynniki o charakterze przypadkowym. Jest to chyba skutkiem mechanizmu tak zwanej "oceny totalnej", w systemu który został stworzony w Rosji Sowieckiej w wyniku Wielkiej Rewolucji i jej zwycięstwa na 1/6 globu ziemskiego. Kto był dotąd niczym - stawał się wszystkim. Jak powiedział Lenin "Każda kucharka musi się nauczyć sztuki rządzenia w pierwszym państwie robotników i chłopów!"....

Nieokreślone były moje dziecięce lata spędzone nad Iłwą. Na całym Wołyniu kwiecien kołyszą się łąki, a ciepły wiosenny wiatr przynosi pieśń skowronka. Na łąkach rozpoczęła się pora wyłożonej pracy, rząd za rzędem pada skoszona i barwna soczysta zielenią trawa bogatego pokosu szlachetnych traw - za szeregiem idących gęsiego kosiarzy pozostają ślady skoszonej, równo ułożonej trawy ściętej równo - równiutko i ułożonej grabiami złożonymi z kosą. Powietrze ciepłe i parne przepojone wonią świeżo skoszonego a już podsuchłego siana - za kosiarzami idą se śpiewem rosłe, dorodne, sgrabne, urzędujące pięknie młodoci dziewczęta z grabiami. Ja z chłopcami wiejskimi, równoletkami, wynoszę świeżo skoszoną trawę z dołek wypełnionych wodą pozostałą po roztopach i rozlewach wiosennych Iłwy. Wynosimy tę trawę na suchy brzeg na lekkich noszach - jest tego sporo, a trzeba wszystko zebrać i wynieść na siano bo w przeciwnym razie pozostałe w dołkach i zapadlinach skoszone trawy nie odroją, nie będące dalszych pokosów i łąka zdziesieje.

Z czoła słońcem spływa obfity pot, jestem już mocno zmęczony pracą, upałem i wysiłkiem fizycznym ale nie ustaję obawiając się kpinek chłopców z zagród chłopskich że " panycz już wysiada" - uparcie więc pracuję na równi z innymi. Zbliża się pora posiłku - a więc wytrwałem na równi z innymi nawet starszymi i silniejszymi chłopcami ! Jestem dumny - z apetytem pałaszuję obfity i smaczny choć prosty posiłek , po czym kładę się ocięśzały na wznak z szeroko otwartymi oczami na skraju stogu ustawionego już poprzedniego skożonego siana. Patrzą w bezkresny błękit nieba po którym wolno przesuwają się kumulusy - zwiastuny dobrej pogody , krwawej pogody tak potrzebnej kosiarzom. Słyszę dookoła spokojny szmer rozmów odpoczywających kosiarzy, jestem zmęczony, syty zadowolony z siebie, leżę na pachnącym szczycie stogu stojącego tuż nad Ikwą, oczy mi się kleją, zasypiam. Upojony snem sprawiedliwego nie przewidywałem tak mi przecież znanej wrodzonej potności chłopców i ci, widząc pani cza śpiącego kamiennym snem, i znając jego udejętności pływackie i znakomitą zażyłość z wodami Ikwy, urządzili spłatać paniczowi figla. Chwycili nagle mnie, leżącego tylko w kąpielówkach, za ręce i nogi , mocno rozkuśtali i na szczytach chóralny okrzyk "raz - dwa - trzy !" wyrzucili mnie jak kamień z pracy na głęboką rzekę Ikwy. Niespodziewana kąpiel i silny skurcz lewej nogi spowodowany raptową zmianą temperatury ciała, obozowała rozgrzane słońcem moje ciało do tego stopnia, że nie mogłem wypływać na powierzchnię, nałykałem się wody i utonąłem.

Chłopcy, przerażeni moim , zbyt długim jak na ich wyczucie, przybywaniem pod wodą waczęli lament i zaalarmowali dorosłych. Jeden z młodych kosiarzy, 19-20 letni Janek Lamsza , syn rzeźnika z Dubna skoczył do wody tak jak stak , w spodniach bez koszuli, i po kilku zamurzeniach wyciągnął mnie za włosy na głowie już jednak nie dającego znaków życia. Jednakże doświadczeni nadrzeczni kosiarze nie stracili przytomności , położyli mnie na płachtę do wynoszenia siana i zaczęli podrzucać mnie na tej płachcie dółgóry dółgi woda której się nałykałem, nie odeszła ze mnie i nie chwyciłem pierwszego łyku powietrza. Już ocucony zacząłem zwracać treść żądka, chwyciły mnie torsje, w uszach mi szumiało , było mi mdło i słabo , głowa pękała od bólu nie do zniesienia , a przed oczami majaczyła jakby gęstwa roju drobnych muszek. Były to wszystkie objawy niedotlenienia mózgu, które jednak szybko ustępowały w miarę stosowania sztucznego oddychania dokonywanego przez tegoż mego zbawcę Janka Zamieszę. Po paru godzinach dopiero poczułem się znacznie lepiej, ale jeszcze było mi słabo i nogi nie mogły utrzymać ciężaru ciała.

Winowajcy oczywiście pierzchli na cztery wiatry ze strachu przed karą za swój nieopatrzny czyn, odprowadził mnie więc do dworcu Janek Zamsza, który też opowiedział ojcu, prawdziwie i racjonalnie cały przebieg tego wydarzenia i jego szczęśliwe zakończenie. Został za to przez ojca wynagrodzony i otrzymał gorące podziękowania - do mnie zaś ojciec powiedział: "Wiesz synku, dobrze się skończyło - bo szczęśliwie zakończyło! - a kto wie jak by było gdybyś nosił jeszcze ten krzyżyk, który ci ukradli nad rzeką w przeszłym roku! - niech więc ten krzyż nosi ten co go ukradł przez całe swoje życie!". I nie było ze strony ojca żadnych więcej wyrówek, ani zakazu obcowania z chłopcami ze wsi, z którymi przecież i bawiłem się i przyjaźniłem i nieraz bieżąc wchodząc czasami parę dni z poddaniaczymi oczami.

Rodzice moi, a zwłaszcza dziadek, pułkownik-lekarz Łukasz Szynon, właściciel pobliskiego majątku ziemskiego Głębozyce, nigdy nie krępowali mnie w dowolnym spędzaniu czasu wolnego od zajęć domowych, nie zabraniali zabaw i spędzania czasu z chłopcami rówieśnikami z zagrod chłopackich. Mieli słuszne poglądy na wychowanie i wierzyli że to obcowanie z dziećmi ludu wyjdzie mi raczej na dobre, wyznawali zasadę że "dobrego i karczmę nie zepsuje, a złego i nogi nie naprawi".

Ale wypadek ten, topienie się dobrego pływaką, po raz trzeci był potwierdzeniem mego horoskopu nakazującego ostrożność w stosunkach z otoczeniem. Odtąd jednak, chociaż w dalszym ciągu dużo przebywałem z wiejskimi chłopcami, wchodziłem z nimi na noce wypasy koni, do dziś odczuwam urok całych nocy letnich spędzanych ~~w lasach~~ przy ogniskach, chodziłem i na grzyby i na jagody daleko w lasy, ale zawsze z każdej takiej wyprawy szczególnie wo składałem ojcu sprawozdanie opowiadając co i jak było.

Ojciec żołnierz i myśliwy, a przede wszystkim mądry człowiek umiejtnie, systematycznie i wytrwale w daskusjach, na parę przeżyte tematy, przygody, wydarzenia, wrażenia zaprawiał mnie do samodzielności, zdolności szybkiej decyzji - wszystko to w parze z należywym rozwojem fizycznym i umysłowym. Dużo wtedy czytałem, byłem chłopcem silnym, odważnym, brałem życie tak jak szło - z jego radościami i smutkami, a-cie samo stawało się znakomitą szkołą zachowania się i postępowania.

W wieku 7-8-letnim już znałem życie lasu i jego nieszkodliwych, wyjeżdżałem z dziećmi w pole i wabiłem w nie przepiórki w które obfitowały piękne okolice Dubna, ~~ukrawka~~ ^{ukrawka} ziemi ojczystej po którym pozostało w sercu westchnienie i wspomnienie dzieciństwa.

Jak już wspominałem ojciec mogo ratownika/ż duszących objęć
Ikry również Jan Lanza trudnił się rzeźnictwem i skupem trzody
chlewnej, zaś rodzina Lanzasów żyła dostatnio i była bardzo
liczna. Lanzasowie mieli dziewięciu synów i sześć córek. W domu
Lanzasów przyjmowano mnie zawsze serdecznie i gościnnie, byłem
lubiany przez wszystkich, a specjalnie blisko byłem zaprzyjaźnio-
ny z braćmi-bliźniakami Bazylim i Prokopem., moimi rówieśnikami
a tak podobnymi do siebie że nawet matka ich Justyna nie rzadko
myliła ich imiona. Niezależnie od zabaw i wypraw organizowanych
wspólnie z młodymi Lanzasami w nieznane okolice lasów dubiejskich
bardzo mnie interesowało i pociągało przyglądanie się zajęciom
starego pana Lanzas, który przez kilka dni w tygodniu dokonywał
świniobicia. Często z zapartym oddechem śledziłem cały ten pro-
ces, od momentu błyskawicznego pchnięcia nożem w serce potężnej
lochy lub wieprza, często o wadze 220-260 kilogramów, aż do
zakończenia procesu uboju, do ścierania całej tuszy po
uprzednim jej osmaleniu i dokładnym oczyszczeniu ze szczeciny
grzbietowej, która była starannie wyrwana, myta, suszona i wi-
zana w pęski przeznaczone na wyrób szczotek. Najważniej śle-
dziłem przebieg ścierania podwieszanej na specjalnym wyciągu
tuszy, kiedy to wprawnym ruchem ręki uzbrojonej w dobrze wy-
ostrzony nóż, stary doświadczony mistrz Jan Lanza, w asyście
syna Janka, otwierał przez rozprucie tym ruchem ~~rozprucie~~ całe
wnętrze tuszy. Następnie rozpoczynał mistrz Lanza rozbieranie,
składek tego wnętrza, rzeczowo przy tym objaśniając paniczowi
z grubszą rolą i przeznaczenie każdego wyjmowanego organu i
jego funkcji życiowych i fizjologicznych. Po powrocie do domu
z takiej praktycznej lekcji anatomii zakradałem się zwykle do
gabinetu ojca i z bogato wyposażonej w przeróżne dzieła biblioteki
ojca wyciągałem ^{Kalvina} ~~ważną~~ ilustrowaną, chronioną skórzany
futralem, "Anatomię i fizjologię człowieka", dzieło profesora
Pizona w wydaniu Brockhausa. ~~Skupowałem~~ Bez czytania ale
uwadnie i dokładnie porównywałem wewnętrzne organy świni czy
wieprza niedawno oglądane w warsztacie rzeźnickim, z rysunkami
barwnymi organów człowieka znajdującymi się w atlasie.
Pewnego razu zaszkoczył mi przy tym, niedzącego głęboko w
klubowy fotelu & z atlasem na kolanach, i pochłoniętego
badawczym oglądaniem dziadek, Nikola Szymon. Jako lekarz rad
był chyba z nich zainteresował bo nie tylko mnie pochwalił
ale wiele szczegółów wyjaśnił, konkludując że układ organów
wewnętrznych świni zupełnie nie różni się od organów ludzkich,
a jedyną różnicą między człowiekiem a zwierzęciem jest ludzki

zdolność myślenia, mówienia i przekazywania swych myśli spostrzeżeń i uczuć potornym na piśmie. Bardzo szczegółowo i barwnie opowiadał mi dziadek o swoim tak zaszczytnym i tak pożytecznym zawodzie lekarskim - do dziś pamiętam te np słowa dziadka: " Kochany ! pamiętaj że lekarzem trzeba być nie z zawodu a z powołania i poświęcenia się. Przysięga lekarska to nie czczy frazesa, a norma postępowania i działania!.. Nieść pomoc bliźniemu i ulżyć mu w cierpieniach - ażeby tego dokonać potrzebna jest wiedza. Wiedza i poświęcenie !.. Każdej godzinie dnia lub nocy. A zwłaszcza na polu walki - nawet wtedy kiedy ryzykujesz postrącenie własnego życia !.. Kiedyś, w młodości, będąc studentem medycyny Akademii Wojskowej byłem na lekcji anatomii prowadzonej przez znanego i cenionego akademika Pirogowa w Sankt Petersburgu. Był to twórca pierwszego atlasu anatomii sporządzonego w wyniku wytrwałej i długoletniej pracy.

Profesor, podszedłszy do zwłok przygotowanych na rozpoczęcie sekcji, opowiedział pokrótce o zasadach i metodach postępowania się skalpelem, a przy tym zwrócił uwagę słuchaczy, że lekarza z prawdziwego zdarzenia musi cechować duża wiedza a także i baczna spostrzegawczość - i z tymi słowami profesor włożył do ust leżących zwłok palec prawej ręki, szybko go następnie wyjął i oblizał. Zmieszanie i zażenowanie obecnych lekarzy praktykantów było duże, nie miała była też i ich konsternacja gdy profesor zapytał, kto z obecnych powtórzy ten czyn profesora. Po długiej chwili milczenia wreszcie jeden ze słuchaczy zgłosił gotowość powtórzenia tego co pokazał profesor, podszedł zdecydowanie do stołu sekcyjnego, i przemógłszy obrzydzenie, rzeczywiście powtórzył działanie Pirogowa.

Profesor uśmiechnął się wówczas pobłażliwie i powiedział: "Panie kolego i co do stopnia przezyciężenia przez pana uczucia obrzydliwości to jestem z całym uznamien - natomiast jeśli chodzi o paną spostrzegawczość, to jest z tym gorzej: , popełnił panu tu, jak ^{na} lekarza niewybaczalny błąd! myśle, że więcej pan tego nie zrobi? bo widzi pan, ja mianowicie włożyłem trupowi do ust palec wskazujący, a a oblizałem palec środkowy - a pan wkładając i oblizując ten sam palec popełnił grzech przeciw higienie - wiadomo panu chyba, że jamo ustna ^{jest} siedliskiem przeróżnych, często bardzo trujących bakterii?...."

Wreszcie dziadek mój, po tej dyktoryjce, powiedział: "Pamiętaj mój chłopcze, że nauka nie chodzi do lasu, a żeby na tym zieliskim padole być kimś i coś osiągnąć to do tego nie wystarczy samych zdolności, choćby nawet nieprzeciętnych, muszą być one

podbudowane gruntowną wiedzą , systematyczną pracą i wysiłkiem - bo bez pracy nie ma kołaczy !....A bułki z masłem nie lecą z nieba same , a żeby je jeść trzeba pracować i kochać swój zawód - każdy zawód jest dobry i daje owoce gdy człowiek odczuwa zadowolenie ze sw^ojej pracy i jej wyników. Dla nas, Zubczewskich jest to jedyna słuszna droga. Skarbów i majątków nie posiadamy gdyż utraciliśmy je w przeszłości , często " pro publico bono" - ta resztówka, na której siedzimy odkupiliśmy tylko ze względu na ambicję i dumę rodową , ale sentymenty i uczucia w realną życiową rachubę nie wchodzi !.. Pozostaje nam więc praca i tylko praca- no i ta krzepiąca świadomość że Zubczewscy "sroce z pod ogona nie wypadli . Pamiętaj o tym ty - niech pamiętają twoje dzieci, wnuki i prawnuki!..."

Słowa dziadka realizują się, stają się stylem życia Zubczewskich i w kraju i na obczyźnie - pamiętamy , wspomniamy , zapamiętujemy chlubne karty przeszłości rodu, zawsze związane z dołą i niedołą Ojczyzny -ale hołdujemy pracy i nauce - pracy świadomej, użytecznej , wydajnej , pracy będącej prawem, obowiązkiem i honorem wszystkich obywateli naszej odrodzonej Ojczyzny.

J. Dudy

Moje edukacje .

Wspominałem już poprzednio, że jednym z czynników, które spowodowały moją niechęć do szkolenia się w korpusie kadetów, i przygotowywania się do kariery wojskowej, było postępowanie w stosunku do mnie moich starszych braci, Mikołaja i Włodzimierza. Dwaj ci wyrosnięci chłopcy, prze**bywający** ~~całe~~ ^{już} od siódmego ^{roku} życia w Korpusie Kadetów Świętego Młodzimierza w Kijowie, zdążyli już nasiąknąć stykaniem życia wychowywanej tam szlacheckiej młodzieży, i tę swoją rzekomą wyższość, sprawność fizyczną, wyniosłość postawy, stale dawali mi odczuć w okresach swoich pobytów w domu na wakacjach i ~~z~~ feriach świątecznych. Byłem dla nich tylko nędznym "zpakiem", nie umiałem gimnastyki, nie znałem przeróżnych ćwiczeń fizycznych z ~~ciężarkami~~, ciężarkami, linami, pierścieniami, nie umiałem władać szablą i szpadą, źle strzelałem ~~z broni~~ ^{z tiku} do celownika lub naokalibrowki do tarczy. Wszystko to okazywali mi z pogardą i arogancją i wściekali się, że ja "upartty litwin", nie chcę niczego od nich się nauczyć. Nie dorównując braciom siłą i nabytymi w korpusie umiejętnościami, rywalizowałem u nich pomysłowością i dokuczliwością figlów, które im płażałem. - Wiedziałem że starszym ode mnie o 6 i 3 lata chłopcom nie dotrzymam placu bez odwagi, sprytu, przemyśloności, podstępów. Zastawiałem więc na tych "francików-kadecików" przemyślane pułapki jak kłusownik w lesie na zwierzynę łowną. A więc, uciekając naprzykład przed pościgiem tak silnych przeciwników, wpadałem błyskawicznie do szopy, stajni czy piwnicy, z takim wyprzedzeniem prześladowców by ~~by~~ ^{by} ~~dotrzeć~~ ^{dotrzeć} jeszcze za zamkniętymi drzwiami ustawić jakiś gruby drąg, ciężką drabinę lub coś podobnego, co po otwarciu drzwi przez prześladowców spadało im na głowy i nabijało potężnego guza. A że lepiej od braci znałem zakamarki wokół naszego dworku, dziadkowego majątku w Głębozycach, czy oścowskiej leśniczówki w Sarnach, więc ta znajomość terenu często ratowała mnie w opresji i sprzyjała zasadzkom odwetowym. Pewnego dnia zniecierpliwieni brakiem subordynacji młodszego brata dla nich - kadetów, i w zamiarze dania mi porządnej nauki w odwet za wszystkie sprawiane im psoty, urządzili obaj zasadzkę na mnie w szopie na drzewo znajdującej się w pewnej odległości od dworku w Dubnie, w szopie do której często chodziłem odwiedzać swoje gołębie w zbudowanym na styżysku gołębniku. Miałem już wtedy dość dobrą hohowlę gołębi/różnych ras, przeznaczenia i upierzenia - zachwycałem się ich lotami, zalotami, gruchaniem - wносиły ^{one} dużo piękna w krajobraz dubieński swym ruchem. życiem, barwnością.

Właśnie gołębnik i jego mieszkańcy; światło polne, rzeczne i ~~leśne~~ las, żyjący swym cichym i barwnym specyficznym życiem, motyle, które również z pasją zbierałem, owady i ich larwy, i te szkodliwe i te sprzyjające życiu lasu, życie mrowisk obserwowane nieraz godzinami - badanie i tropienie śladów zwierzyny leśnej, drobnej jak szarak i grubszej, do dzika, sarny, rogacza włącznie, podpatrywanie życia głąszców, cietrzewi, bażantów - to właśnie było dla mnie ciekawe i interesujące, to właśnie co sam widziałem, dotykałem, słyszałem, konfrontowałem z wiadomościami wyczytanymi w takich książkach jak "Życie zwierząt" Brenczy czy "Życie owadów" Meterlinga, - a i praktyczna strona i metoda poszerzania tej wiedzy o przyrodzie, sporządzanie zielników okolicznych roślin, wyszukiwanie rzadkich ziół przy pomocy klucza- przyrodnika p.t. Flora środkowej Europy" Majewskiego. Z każdym rokiem dokładniej i lepiej sporządzałem kolekcje, tablice, zbiory, zielniki i to dawało mi satysfakcję - a nie jakies tam kadeckie "fintifuszki"!!..

Ale bracia kadeci uważali odwrotnie, i zaplanowali należyte "pouczenie mnie" w tym sensie. Wchodząc więc do owej szopy- gołębnika z zamiarem nasypania świeżej karny i zmienienia wody moim ulubieńcom, zostałem w momencie wejścia z rozskonecznionej łaki do mroku szopy, schwytany zniemacka i w zaskoczeniu, w sposób w jaki kadetów w korpusie uczono "brać języka". Napastnicy byli w brojni w tak zwane "harapniki" / plecione bicze do poskramiania psów/ i zrobili z nich ~~właściwy~~ właściwy użytek. Stało się! Nosił wilk razy kilka - ponieśli i wilka. Pamiętam do dziś ten kadecki "tryumf" - pamiętam to wydarzenie z wczesnego przecież dzieciństwa, choć tyle lat już minęło - Ludowe przysłowie mówi słusznie: "Gdy stare lata przykre we znaki się dają, to nad starowinką wszyscy wydziwiają!" , Prawie dwa tygodnie nosiłem na siedzeniu ślady i siniaki po tej otrzymanej "nauczce" - co gorsze: nie mogłem przez te dwa tygodnie siadać do obiadu, tłumacząc się pytającym o powód tego rodzicom tym, że przesiadywałem zbyt długo na wálgotnym brzegu Ikwy i nabawiłem się "czyraków" na siedzeniu, ale już mi to niedługo przejdzie. A gdy troskliwa o zdrowie swego panicza Usteńka, moja niegdyś piastunka, zaofiarowywała się że zrobi ~~ke~~ z upieczonej cebuli zmieszanej ze szarym mydłem okład na ten "czyrak" /wrzód/, a ja jej za to dziękowałem, mówiąc że już mi to samo przechodzi, moi bracia-kadeci i sprawcy tej dolegliwości przerzucali się porozumiewawczymi spojrzeniami i złośliwymi uśmiechami. Tak więc prawdy nigdy starsi się nie dowiedzieli - cierpiałem, ale słowa skłgi nie pisałem.

Ale, mały a twardy Zubczewski często i długo, nad tym przykrym, niesprawiedliwym i bokesnym dla mnie wyrzuceniem ^{do}romyślałem i zastanawiałem się: "więc to tak? - dwóch na jednego i to starsi i silniejsi - kadeci, a rodzeni bracia - czy to jest w porządku - czy to "fair"? Bracia-kadeci, którzy przecież mają w przyszłości być dowódcami-oficerami? - gdzie tu sprawiedliwość? Szlachetność, a postępowanie w życiu to dwie różne sprawy?"... Przeżycie to i jego przemyślenie było chyba jedną z głównych i podstawowych przyczyn mego zupełnego zniechęcenia do korpusu kadetów. Był też w tym jeszcze jeden aspekt: obaj sprawcy byli bardzo zaskoczeni moją dzielnością, ich mniemaniem, postawą; byli pewni, że poskarżę się ojcu - a tu nie? Cierpiało ^{to} przecież mocno, ale słowa nikomu nie powiedział, nie ~~poskarżył~~ poskarżył się?... Czuli się teraz obaj moi starsi bracia zawiedzeni, upokorzeni, skrepowani, zawstydzeni. Gryzło ich sumienie i radykalnie teraz zmienili swój stosunek do mnie - przestałem być w ich mniemaniu, godnym pogardy "szpakiem", okazałem charakter i swoją moralną siłę, dorównałem im, starszym, silniejszym - mówili do siebie "ale twarda ~~człowiek~~ ten nasz młodszy brat!".⁴ *Sztuka*

Nie poszedłem więc do klasy przygozowawczej kijowskiego Korpusu Kadetów, jak to planował i życzył sobie mój ojciec, lecz do "Gorodskiego ucziliszcza", Miejskiej Szkoły w Sarnach, w której w tym czasie była nauczycielką również i moja mama., i której wpływ zaważył wielce na zmianę decyzji ~~mojego~~ ojca co do kierunku mojej edukacji. Do szkoły wstąpiłem już ze znajomością czytania i pisania oraz pewnym opanowaniem tabliczki mnożenia, którą to umiejętność zdobyłem już w domu, a ukończyłem tę szkołę w roku szkolnym 1915-1916, z wynikiem ogólnym bardzo-dobrym, na krótko przed rozpoczęciem pierwszej wojny światowej.

Wkrótce po tym rozpoczęła się szeroko już uprzednio zrelacjonowana generalna ewakuacja Polaków, a przede wszystkim rodzin urzędniczych i wojskowych z terenów Wołynia i Podola. Sytuacja na froncie w tym czasie była bardzo daleka od korzystnej - wojna trwała już trzeci rok i wyczerpywała zasoby Rosji. Na południu Rumunia kunktatorsko przez dwa lata wyczekiwała po czyjej stronie - kto będzie zwyciężcą? - aż wreszcie, w roku 1916 dokonała wyboru: 27 sierpnia wypowiedziała wojnę Austro-Węgrom, a dwa dni później kajzerowskim Niemcom. W następnym dniu, 30.VIII - Turcji, i wreszcie, 31.VIII, Bułgarii króla Boerysa. A już pod koniec września jej armia została doszczętnie rozbita, a terytoria rumuńskie okupowane przez wojska niemieckie

a zwłaszcza odrębnością narodową . Tej idei trzymali się niezłomie, niezależnie od pochodzenia i społecznych przekonań. I kto wie czy mój dziadek, Ignacy Daszyński, nie miał racji kiedy wprowadzał w życie program Polskiej Partii Socjalistycznej, program mówiący, że Naród Polski jest jednością. Sprawdziło się to co do joty, i wytrzymało próbę czasu po dzień dzisiejszy, niezależnie od tego do jakiego kraju Polacy byli wypędzani i rzućani losami wojen na uchoźctwo i poniewierkę. Czego nie można było dokonać w kraju ojczystym, to Polacy zdobywali na obczyźnie i dokonywali czynów wielkich jak Puławski i Kościuszko - wbrew polityce zaborców głoszącej : "devide et impera!". Dotkliwie odczułem to i ja na własnej skórze, jak i cała rodzina Zubczewskich, w okresie lat uchoźctwa i pobytu we Wszech Rosji. Daleszą moją edukację podjąłem w miejscowości Smieła położonej blisko Starej Ossoty , gdzie, dopiero w roku 1917, dostałem się ^{do} Gubierskiej Smiełarskiej Gorodskiej Gimnazjii. Na zarządzenie mamy powtarzałem tam w pierwszym roku ostatniej klasy Gorodskiego Ucziliszcza, gdyż stosunki w rodzinie, wytworzone kaletwem ojca, sprawiły iż moja stała obecność w domu , jako pilęgniarza unieruchomionego ojca, była konieczna.

S. Daszyński

Nigdy dotąd w całym 46-o letnim okresie wykonywania mego zawodu nauczyciela i inżyniera- agronoma, nigdy dotąd ani moje życie zawodowe ani prywatne nie wydawało mi się godne przekazywania potomnym moich przeżyć, doświadczeń, osiągnięć - choć zawsze wysoce ceniłem swój zawód, zawód piękny i pożyteczny związany z wychowywaniem młodzieży, z produkcją surowców podstawowych dla rozwoju wielu innych gałęzi przemysłu, choć zawsze wysoce ceniłem również swoje pochodzenie, pochodzenie społeczne inteligenta pracującego, a dążące^{je} przecież od lat czterdziestych ubiegłego wieku i upamiętnione nie przeciętnymi życiorysami moich przodków Prawdziców Szłochub Zubczewskich. Odkąd pamiętam siebie zawsze moje postępowanie odchowały przejęte z krwią przodków i przyswojone z ich nauk i wskazań cechy: upór, pracowitość, wytrwałość - szczególnie żywo i trwale wyryły się w mej świadomości słowa mego dziadka, lekarza Mikołaja, społecznika, partyzanta z lat powstańczych 1863-1965, człowieka wysoce wykształconego i doświadczonego - a brzmiały one: "... pamiętaj chłopcze, że nauka nie idzie w las - a żeby na tym ziemskim padole być kimś i czegoś dokonać nie wystarczą samych zdolności, choćby nawet nieprzeciętnych!. Muszą one być podbudowane gruntowną wiedzą, systematyczną pracą i wysiłkiem!

Droga moja do zawodu nauczyciela-rolnika nie była usłana różami. Była to brudna i długa droga wymagająca nie tylko samej pracy umysłowej, ale także i pracy fizycznej dla zapewnienia utrzymania nie tylko dla siebie, ale jeszcze wypracowania i oszczędzenia ze skromnego zarobku przynajmniej pięciu rubli miesięcznie tak bardzo potrzebnych mojej drogiej rodzinie: ojcu inwalidzie, zapracowującej się matce i dwojga młodszego rodzeństwa. Te moje 5⁰⁰ rubli nie były wprawdzie dużą porcją, ale stanowiły jednak, przy ówczesnych cenach (chleb pszenny kosztował 10 kpiejek/ i wznoszących potrzebach brata Jerzego, młodszego odemnie o ~~dziesięć~~ osiem lat i siostry Marii, młodszej o całe lat dziesięć, wyraźną pozycję w budżecie domowym.

Jak już wspominałem, początki nauki zdobyłem w domu pod kierunkiem mojej drogiej mamy, która już od piątego roku mego życia wdrażała mi sztukę czytania i pisania, tak że już w roku szkolnym 1915-1916 mogłem wstąpić do Gorodskiego Uczeliszczu w Stare Ossociele powtarzając tam ostatnią klasę. W roku szkolnym 1917-1918, gdy warunki bytowe naszej rodziny już się nieco poprawiły i ustabilizowały, oddano mnie do Gubiernskiej ~~Gorodskiej~~ Smilenskiej Gorodskiej Gimnazji. Do szkoły tej wstąpiłem i dostałem się w wieku lat 9, po złożeniu ~~wstąpiłem~~

egzamina

wstępny. Fakt, że zdałem ten egzamin konkursowy z wynikiem dobrym i jako drugi znalazłem się na liście nowoprzyjętych pierwszoklasistów napawał mnie dumą. Był to już bowiem czwarty rok wojny, "krwawej wojny" aż do zwycięstwa", większość budynków szkolnych była zajęta przez szpitale wojskowe i w tych warunkach dostanie się do szkoły średniej było dużym osiągnięciem. Poje celujące oceny po egzaminach ustnych i pisemnych sprawiły, że "uparty litwin" jak mnie nazywali bracia, "ustąpił" pierwszego miejsca na liście miejsca tylko Miszy Trynowowi, synowi "isprawnika" - komendanta Policji. Ten mój pomysłny egzamin, był dla mnie również jakby spawdzianem, że wziąłem do serca i realizuję życiowe wskazania mego kochanego dziadka. Dalej więc, od początku roku szkolnego, zoczyślałem nad tym jak dorównać kroku tym najlepszym i być stale "w czołówce" pierwszej klasy. Dumą moją powiększał jeszcze ciemno granatowy mundur gimnazjisty, uszyty przez Karlińskiego, krawca-żydka mającego swój "salon" przy ulicy "dworianskiej", co wiele mówiło o kunszcie krawieckim właściciela. Mundur miał sztywno stojący kołnierz obszyty złotym galonem i dwa rzędy guzików, spodnie były z tego samego sukna i miały prawdziwą tylną kieszeń, jak u dorosłych. Uzupełniały go lakierki, kalosze i granatowa czapka z kancikiem niebieskim i "palną", emblematem gimnazjalnym, wpiętą na przedzie granatowego otoku czapki i złożoną z dwóch splecionych posrebrzanych blaszek wyobrażających liście palmy, w środku spięcia zaopatrzonej w literę duże wypukłe litery "G.C.S.C.", co miało oznaczać "Gubernskaja Gorodskaja Snielewskaja Gimnazja". Wyposażenie nowego gimnazjisty uzupełniał płaszcz kroju oficerskiego z szaroniebieskiego sukna, z patkami granatowymi na kołnierzu oraz tornister z wielbłądziej skóry z krótką brązową wełną. Pomimo całej tej mundurowej parady zostałem jednak, tak jak chciałem, nie kadetem, lecz "szpakim", więc radość moja była pełna.

Gmach Snieleńskiego Gimnazjum była to wielka bryła dwupiętrowego czworokątnego budynku zbudowanego z czerwonej cegły, mając wiele dużych, jasnych sal szkolnych znakomicie wyposażonych. Klasy wypełniały dębowe dwuosobowe ławki, a wzdłuż ścian stały także same dębowe zasobne szafy wypełnione pomocami naukowymi. Niektóre z tych szaf były oszklone, a na jednej z nich stał średniej wielkości globus. Stół nauczycielski i stojące przy nim krzesła były utrzymane w tej samej dębowej tonacji, a duża tablica szkolna zakrywała wieszakami prawie połowę ściany. Po środku tej ściany wisiało godło Wszechrosji, wielki, dwugłowy "czarny orzeł."

Moja klasa Pierwsza liczyła 32 nowoprzyjętych "astubaków" którzy codziennie śpieszyli poszerokich do wrót ^{schodach} ginnazjum obramowanych rzędem kolumn piaskowca i wiodących do obszernego hallu wyłożonego marmurowymi płytami w czarno białą szachownicę. Między przeciwległymi do wejścia dużymi oknami znajdował się olbrzymi obraz barwny portret ujętego w dumnej stojącej postawie, prawie pod sam sufit, Imperatora Wszechrosji, Cera i Pomocnika Bożego, Mikołaja II-go Romanowa. Portret był obramowany złotą i bogato rzeźbioną ramą a obok niego, stały, w dużych nienalowanych drewnianych kadziach z nóżkami wspaniałe "Finnikow" palny, których zwisające szeroko gałęzie podpierały na zielone pomalowane specjalne podpórki. Nieco z boku rozpoczynające się schody z białego marmuru, ~~z~~ pokryte czerwonym szerokim chodnikiem przytrzymywany brązowymi prętami, wiodły na piętra, a swoją wspaniałością sprawiały wrażenie wielkości i trwałości rządów łaskawie panującego Imperatora. Z prawej i lewej strony ~~hallu~~ hallu rozpoczynały się wysokie, łukowato sklepione korytarze wiodące do poszczególnych klas szkolnych, a także same na piętrze do kancelarii, pokoju nauczycielskiego i ~~gabinetu~~ obszernego gabinetu "jego wysoko-błagorodia gospożina direktora Smilenkoj Gorodskoj Ginnazji, profesora Smirnowa". Z prawa od pokoju nauczycielskiego znajdowała się wielka ozdobiona dębowa boazeria aula z wieloma wielkimi olejnymi portretami w wspaniałych złotych i rzeźbionych ramach; a z sufitu auli zwisały kryształowe syrandele, światła których wielokrotnie odbijały się w licznych, stojących w przedwitach okiennych lustrach. Lustra te stały na wąskich stolikach o kręconych i złotych nóżkach, w stylu "empire", i znakomicie powiększały wspaniałość całości auli, otoczonej pod ścianami i w środku ustawionymi krzesłami i lekkinami fotelami w tymże stylu "empire" obitymi niebieskim aksamitem z frędzlami. Cały ten przepych, ~~barwność~~ i lenienie auli same przez się mówiły, że to wszystko jest dla "wybrańców bogów" dla dzieci i młodzieży pochodzącej z rodzin szlacheckich. Koncertowy fortepian firmy "Steinway" dawał do zrozumienia że i muzyczne wychowanie jest w tym ginnazjum cenione i stosowane. Nad fortepianem znów budząca uczucia lojalności galeria portretów Romanowych zmarłych i żyjących. Nie było porównania z tą wspaniałością, która teraz była i moim udziałem z dotychczasowymi znanymi mi warunkami szkolnymi w Starej Ossocie, gdzie wprawdzie było wszystko do czysta wyzłoczone, ale jakże szare, skromne i ubogie, i gdzie mama moja niejednokrotnie musiała kupować atrament na potrzeby szkoły ze swojej skromnej pensji, nauczycielskiej.

Z czasem poznawałem coraz więcej bogactwo wyposażenia mego gimnazjum, ~~wzrost~~ a więc : wielkość księgozbioru biblioteki i jej wyposażenie, różnorodność wyposażenia sportowego w sali gimnastycznej i na placu sportowym - gdzie nie żałowano widocznie pieniędzy na wychowanie fizyczne. Stały tu przeróżne kozły, huśtawki, drabiny, równobieżnie, słupy do błyskawicznego wdrapywania się na nie i jeszcze szybszego ześlizgiwania, płotki do skoków i wiele innych pierwszy raz oglądanych przez mnie urządzeń, a między nimi "gigantyczne szagi" /kroki olbrzymie/, które mnie szczególnie zafrapowały. "Gigantyczne szagi" to był wysoki słup^{ki} mający u góry mocno osadzony kołowrót ~~na~~ którego ~~przez~~ zwi-
sały prawie do ziemi ~~grube~~ liny-pasy mające u końca pętlę skórzaną. Gdy się w taką pętlę włożyło jedną nogą i tak siedząc rozpędziło dookoła słupa to siła odśrodkowa unosiła biegnącego w górę wysoko ponad ziemię i dokonywał on istotnie olbrzymiego kroku w powietrzu. Jeśli w zabawie tej brało kilku uczniów równocześnie to siła ich biegu tworzyła w powietrzu cały promienisty krąg pasów od kołowrotka do pętli i wirujących w ten sposób oszalałymi sposobem chłopców. Udoskonalenie maszynowe tej zabawy daje się często widzieć obecnie na placach zabaw cyrkowych - nie daje to jednak chyba tej satysfakcji rzeczywiście tego "kroku olbrzymia" jaką młodzież tamtych lat odczuwała.

Jak się później dowiedziałem znakomite wyposażenie smoleńskiego gimnazjum pochodziło z hojnych darów okolicznej szlachty i potentatów przemysłowych takich jak hrabia Trereszczenko, Bobrzyńscy, ^{Potacy} Branicki i inni, do których potrafił dotrzeć w sprawach swojej szkoły zapobiegliwy i energiczny dyrektor Ilia Dawidowicz Smirnow. Ci "dobrodzieje" mieli ~~przecież~~ z czego subwencjonować szkołę na swoim terenie, na którym przecież posiadali nie tylko olbrzymie połacie pól pszenno-buraczanej ziemi, wielkie obszary leśne, ale i niezliczone cukrownie, gorzelnie i inne zakłady przemysłu rolnego rozmieszczone w Aleksandrówce, Żółtonoży, Starej Ossoce Bobryńskiej, Szerkasach, Smielej, Koziańskie i innych miejscowościach. Nie rzadkie w historii były przecież takie zdarzenia jak wiano w postaci 150 tysięcy ^{ha} użytków rolnych, które otrzymał Branicki od carowej Katarzyny II-giej, żeniąc się z jej córką urodzoną w małżeństwie z Grigoriem Potionkinem. Biegunowość społeczna była szczególnie tu na kresach olbrzymia, zastraszająca : z jednej strony olbrzymie majątki, pieniądzą ~~phi~~ władza w ręku garstki "trutniów"- z drugiej zaś wyzysk, głód i niewola milionów zdruzgotanych nędzą ludzi.- przepaść społeczna była ~~w~~ nie do zasypania. 16 milionów ludzi wywodzących się właśnie z samych podstaw tej ludzkiej "piranidy Pluta^{na} ubra^{nych} ~~urząd~~

w płaszcze żołnierskie i dobrze przez "sprzymierzonych" uzbrojonych bezlitoście pędzono na okopy niemieckie pod hasłem :
"... aż do ostatecznego zwycięstwa " - co właściwie należałoby rozumieć :..." ...aż do ostatniego żołnierza!". A pędzili ich właśnie ciż sami "dobroczyńcy i filantropi", obszarnicy i ziemianie realizujący swe własne cele po przez swoje rządy takich polityków jak Rodzianko, Puryszkiewicz, i najgorza wśród nich szuja i prostytutka polityczna, Teodor Nikołajewicz Kiereński. Po wybuchu i zwycięskiej Rewolucji Październikowej w roku 1917 porwał^o ze skarbcza carów dwie złote korony ufundowane przez obszarników i burżujów z okazji "Trialetia Doma Romanowych" a oprócz tego podręczną, a wcale nie małą walizkę wypchną po brzegi diamentami i biżuterią o nieocenionej wprost wartości historycznej, stanowiącą własność narodu rosyjskiego, i związał z tym majątkiem, w przebraniu maty, na emigrację polityczną do Finlandii. Umarł w USA w roku 1972, mając już 84 lat zapomniany i pogardzany przez ten okradziny przez niego naród rosyjski. Trafnie ocenił tę postać dość typową dla polityków ostatnich lat caratu Maksym Gorkij, mówiąc o nim : "Rozdionnyj polzat' - lietat' nie smoziet !" - co znaczy : urodzony do pełzania nie spotrafi polecieć.

Wracając do osoby dyrektora Ilii Dawidowicza Smirnowa trzeba przyznać że był on i dobrym organizatorem i mądrym pedagogiem; dobierał starannie nauczycieli i umiejętnie nimi kierował, osiągając w ten sposób w szkole ład i porządek oraz dość dobry poziom wyników nauczania - to też gimnazjum smoleńskie cieszyło się w tym czasie powszechnie dobrą opinią. Nie stosowano u nas, jak to miało miejsce w innych gimnazjach, dyskryminacji narodowościowej, i przy rosyjskiej większości uczniowskiej, nie br brak było w szkole Polaków i Żydów. W mojej pierwszej klasie na przykład na 32 uczniów było 5 Polaków : dwóch braci bliźniaków Masłowskich, Łonnicki, Zawadzki i ja. Henel - syn właściciela fabryczki makaronów, Zarliński, syn wspomnianego już właściciela "salonu" Krawieckiego i niejaki Berliński - to byli przedstawiciele Izraela. Zasadą wychowawczą szkoły było stałe stwarzanie ^{sprzyjające} właściwego klimatu i warunków do kształtowania właściwych postaw obywatelskich, a kryteriami oceny uczniów była solidna wiedza i właściwy stosunek wzajemny między uczniem i nauczycielem oraz uczniami między sobą. Postawa, wiedza i autorytet całej kadry dydaktyczno-naukowej musiały w tych warunkach być wysokie - a nam, uczniom, ~~zabliżać~~ dyrektor stale wbijał do głów : "... dobrze, że gęsi uratowały

Rzym, ale wy przecież nie jesteście gęsi! - musicie więc wykazać się postępną w nauce - wiecie, że w moim gimnazjum drugoroczniaków w tej samej klasie nie było i nie będzie!" I rzeczywiście w naszej szkole problem drugoroczności nie istniał. Zastanawiam się czasami jeszcze do dzisiaj, jak potrafił Dyrektor Smarnow stworzyć ten klimat do osiągnięcia wysokich wymagań? - Myślę, że zadadniczą rolę w tworzeniu tego klimatu była osobowość Nauczyciela - przez wysokie "N", nauczyciela z powołania, a nie tylko z "zawodu", a nawet, jak to czasem bywało: z "przypadku". Taki Nauczyciel tylko potrafi być mądrym, sprawiedliwym, artystą w dziele kształtowania młodego człowieka, w delikatnym rzeźbiarskim wykuwaniu w nim Człowieczeństwa ^{tego} - też przez duże CZ.

W miesiącu sierpniu 1918 roku Rada Komisarzy Ludowych, na posiedzeniu, któremu przewodniczył Włodzimierz Iljicz Lenin przyjęła dekrety państwowe anulujące traktaty rozbiorowe i zaborsze i uznające niepodległość ~~krain~~ państw: Polski Litwy, Finlandii, Estonii i Łotwy. Równocześnie przyjęto dekret o "Jedynym, trudowym siedmioletnim szkole" to jest o powszechnym, bezpłatnym obowiązku siedmioletniego nauczania, a tym samym likwidacji gimnazjów. Wniosek taki złożyła, jako przewodnicząca Komisji Oświaty, nauczycielka / też przecież z dużym N w tytule zawodu! Nadieżda Konstantinowna Krupskaja, a komisarzem oświaty ludowej, który przekonywująco wniosek ten uzasadniał był "Komisarz Narodnego Proświeszczenia" - minister oświaty, Anatolij Lunaczarskij.

Przy uchwalaniu tych dekretów Rady Komisarzy Ludowych Włodzimierz Lenin powiedział: " Jest to historyczna chwila. Jeśli za 50 czy 100 lat znajdzie się historyk, który opisywać będzie dzieje stosunków naszych z sąsiednimi narodami, nie pomnie dnia dzisiejszego, gdyż dzisiaj przekreślamy całą przeszłość, likwidujemy spory jakie istniały między narodem rosyjskim, a narodami Polski, Litwy, Finlandii, Estonii i Łotwy w przeszłości. Dotyczy to szczególnie Narodu Polskiego. Otwieramy nowe dzieje, Znam osobiście bardzo dobrze ten wielki Naród Polski. Znam go z gościnności jaką odczuwałem i z pracowitości jaką obserwowałem gdy przebywałem na gościnnej ziemi polskiej, ziemi krakowskiej i w samym mieście Krakowie będącym kolebką Narodu i jego świętością. Dekret, którym Wysocki Izba anuluje traktaty rozbiorowe i uznaje niepodległość Polski będzie stanowił kamień węgielny gdyż zwracany koło historii w dotychczasowych stosunkach wzajemnych, dekret ten i dzień dzisiejszy będzie symbolem wolności i wiecznego zbratania się

narodów : rosyjskiego i polskiego. Nie trzeba chyba przypominać potomny^{xo}, dekret ten przeszedł w Radzie Komisarzy Ludowych przez aklamację - pomimo to jednakże, Leniń, prawnik z wykształcenia formalnie poddał dekret pod głosowanie, które, oczywiście było jednomyślne- /historyczne/. Tak to lata uchodźcy politycznego spędzone na obczyźnie przyczyniły się do uchwalenia wiekopomnego Dekretu z sierpnia 1918 roku, a także do sympatii i zaufania jaką Wódz proletariatu rosyjskiego darzył Feliksa Dzierżyńskiego, Juliana Marchlewskiego, Wiaczesława Rudolfa, Michała i Mikołaja Tuchaszewskich i wielu innych Polaków przebywających na ziemiach rosyjskich.

Wielu z nich

Jednakże dekret o powszechnym siedmioletnim kształceniu młodzieży dopiero w roku 1919 mógł wejść w życie ~~w~~ również na Ukrainie, gdyż dopiero wtedy ostatecznie zwycięstwo rewolucji uwolniło te kresowe ziemie od okupacji wojsk kajzerowskich, okupacji ~~przez~~ ~~erwaną~~ wybuchem rewolucji w Niemczech.

Ten obrót dziejów historii zaważył również na dziejach Rumunii, która w tym czasie odzyskała Bessarabię i uzyskała część Transylwanii z miastem Timiszora, odrywając ten obszar od Węgier - a po klęsce Bułgarii i króla Borysa uzyskując jeszcze prowincję Balczyk z miastem o tej samej nazwie na wybrzeżu morza Czarnego. Tak więc, przegrywając bitwę, o której wspominałem, w ^{wyższej} ~~w~~ ~~kwietniu~~ roku 1916, wygrała Rumunia Wojnę w roku 1918 poszerzając swoje granice o wymienione wyżej obszary, ^u ~~uzyskując~~ ~~niepodległość~~ dzięki swej solidarności narodowej zachowanej nawet w mrocznych latach zaborów.

Jak brudna fala opadającej już, ~~w~~ ~~wezbranej~~ rzeki pozostawiają po sobie brud i nieczystości, tak cofające się armie kajzerowskich Niemiec odwoływane teraz do kraju celem tłumienia tam rewolucji kierowanej przez Karola Liebknechta i Różę Luksemburg, pozostawiały po sobie pohojowska i cmentarzyska pomordowanych w katowniach bojowników o wolność i sprawiedliwość. A już tuż z cofającymi się Niemcami na ich miejsce weszły do portu w Odessie ~~w~~ ~~okrety~~ okręty wojskowe Francji i Anglii - cienne sylwetki pancerników ~~w~~ ~~wspomagających~~ "Mirabeau", "Jule Michel", "Justice" i wspomagających je staków wojennych stojących na ~~raz~~ redzie wyładowały "interwencyjny" desant morski; pięć tysięcy uzbrojonych po zęby żołnierzy, głównie Legii Cudzoziemskich. Desant ten miał na zapleczu groźny ogień dalekosiężnych dział okrętowych i gotową do wsparcia piechotę morską. Obok okrętów francuskich stał włoski "Accordo" i angielski wspierały "Super" demonstrujący mod orężną Wielkiej Brytanii, królowej mórz i oceanów.

Pałac Woronczewski w Odessie stał się podówczas siedzibą konsula Francji monsieur Éano, zaś w hotelu "Tondyński" urzędował admirał angielski Bollard. Cywilizowana Europa nie załowała ani sił ani środków ażeby wspólnymi siłami zdławić rewolucję Lenina. Na czele zblokowanego kontrwywiadu stanął amerykański pułkownik Riggs. Cała Odessa przepełniona była wojakami i zbiegłymi tu z Rosji kapitalistami, obszarnikami i generałami. Nie brakowało tu nikogo z rozkładającego się carskiego imperium - od dworskich frejlin do prostytutek. ^{Bufi ty} Minister ostatniego rządu carskiego Krivoszeina i "leader cesarów", Kulabko-Koreckij, przedstawiciel polskiej "dwójki" pułkownik Dziewałtowski oraz liczni Attache wojskowi i morscy.

A w międzyczasie Centralny Komitet Partii Bolszewików w Moskwie starannie dobierał kadry do konspiracyjnej pracy w Odessie. Lenin polecił skierowanie do Odessy, tak ważnego ówczesnie kotła wrogich międzynarodowych poczynañ, "najlepszych z najlepszych". W ten sposób znalazł się tu, między innymi, Iwan Fiodorowicz Smirnow, brat stryjeczny znanego nam już gospodina direktora Szielańskiej Gorodskiej Ciemazji, szlachcic rodowy, a równocześnie skarbnik partii bolszewickiej, hojnie i bez skrupułów zasilaający kasę tej partii między innymi z datków utrzymywanych przez "gospodina direktora" od magnatów przemyślowych i obszarników. Wydaje się to nie do uwierzenia - a jednak było faktem dziś już historycznym. Dzięki tym także funduszom mógł Iwan Fiodorowicz Smirnow, działający teraz w Odessie pod pseudonimem "Łastoczkin", nieustraszony rewolucjonista i konspirator, mógł odbudować w Odessie podziemny Gubernialny Komitet Partii i na jego czele rozpocząć kontratak przeciw białym. Znalazł się też w tym Komitecie Iwan Klimienko, były dzieł towarzyszki z Polski: Helena Gzela i Helena Sokołowska, było wielu dzielnych ~~działaczy~~ i doświadczonych działaczy podziemnej roboty w samym gnieździe wroga - jednakże interwencji, nawet w tym środowisku przyjaznych rewolucji mas robotniczych kolejarzy z "Depo", marynarzy, robotników portowych i proletariatu odeskiego, spotrafili, przy pomocy swego kontrwywiadu składowa przywódcę podziemnego Komitetu Partii, Smirnowa, sibi go ~~z~~ wrzucić do morza. W dowód hołdu dla życia, oddania rewolucji i całej ofiarnej działalności Smirnowa-Łastoczkina społeczeństwo Odessy nadało nazwę "Pieriołok Łastoczkin" ulicy przy której w owym czasie mieściła się siedziba podziemnej organizacji partyjnej. Ulica ta znajduje się w samym centrum pięknego miasta Odessy, perły południowo-zachodniej Ukrainy, ~~nieopisanej~~ a na domu tej ulicy, w pobliżu wspaniałego w stylu wiedeńskiej secesji zbudowanego gmachu opery, na domu w

w którym "Kastoczkin" pracował w sztabie urażi białych w roli sztaba-kapitana "do specjalnych poruczeń", znajduje się dziś muirowana tablica uwieczniająca pamięć tego niezwykłego szłowika, w ~~tem~~ tych niezwykłych czasach tak oddanego ludowi Rosji.

Proroctwa te były słowa umieszczone przez Aleksandra Siergio-
icza Gribojedowa w jego pamięci i dotychczas grywany w wielu
tetrach całego świata utworze pod tytułem "Gorie ot uma ?" -
/Biada mądremu!/ a brzmiące : "dym ojezycety jest radosny, słodki
i przyjemny". Autor tych słów spisał tragedię śmiercią w Tehera-
nie, stolicy ówczesnej Persji/ Iran/ , podczas rzesi urzędników
teherańskiego poselstwa rosyjskiego, w skład którego wchodził
również Gribojedow, a którego działalność realizująca zaborecą
politykę carską spowodowała zamieszki i bunt miejscowej ludności.
"Dym" ten smukł się stale nad politycznym horyzontem Rosji , na tere-
nach której bezustannie wybuchały powstania i bunty, zamieszki i
rozruchy + Miało to miejsce na całej prawie przestrzeni Rosji,
od buntu legendarnego Szanila na Kaukazie, do nieustannych obja-
wów biernego i czynnego oporu "nawdzięcznych i fałszywych polacz-
ków w kraju przywiślańskim". Wspominając bohaterkie postacie z
czasów swojej młodości nie mogę pominać i nazwiska Kotowskiego,
Legendarnego Polaka. Grzegorz, syn Jana, Kotowski wywodził się z
polskiej i szlacheckiej zubożałej rodziny zamieszkałej w Kiszynio-
wie na Besarabii. Z zawodu agronom, był postępowcem i rewolucjonistą
zaciekle wrogiem cesarstwa. Skazany za dezercję z wojska w roku
1916 na dożywotne zesłanie na Syberię uciekł z zesłania w Nier-
czyński w przebraniu żołnierza-wartownika i z jego karabinem,
wartownika tego poprzednio zabijając. W roku 1917, ponownie schwy-
tany otrzymał już wyrok skazujący na śmierć przez rozstrzelanie-
wyrok ten nie został jednakże zatwierdzony przez generała Brusil-
łowa, ówczesnego dowódcę frontu zachodniego, do którego kompe-
tencji to należało i który pragnął oszczędzać żołnierzy •
Kotowskiemu udało się dokonać ponownej ^{Wap. 263} ucieczki z wojska przy pomocy swych zbrojnych towarzyszy.

~~brojnych towarzyszy~~. Był to już rok 1919 - druga połowa sierpnia. Sowiecka Ukraina od niedawna dopiero wyzwolona z okowów okupacji niemieckiej miała już znowu przeciwko sobie desanty odesskie interwentów. Rozkaz Rewolucyjnego Komitetu ówczesnego brzmiał krótko : "Na tyłach naszej 12-ej armii - biali, w przedzie i na flankach-również biali i niezliczone zastępy Petlury, Machno Grigoriewa i atamanów : Narusia, Serdiuka, Chmary, Tistiunika, Wołyśca, Zabołotnego i innych. A my, 12 - a Armia, aby wyjść z tego okrążenia na zjednoczenie z innymi naszymi armiami pod Kijowem, musimy zebrać wszystkie swoje siły w jedną pięść i przedrzeć się przez ten pierścień okrążenia! Musimy przedrzeć się przez wszystkie przeszkody wroga rozlokowane na przestrzeni 400 kilometrów tej drogi do naszych! Naprzód więc, naprzód w niestępliwej, uciążliwej, zwycięskiej walce! Sprawa robotniczo-chłopskiej Ukrainy musi zwyciężyć i zwycięży!". I właśnie w awangardzie tej 12-ej Armii, przed którą stawiano takie cele szła brygada kawalerii Kotowskiego, mająca na flankach świetną kawalerię i "taczanki" /lekkie, zwrotne wózki z karabinami maszynowymi! I tu właśnie Kotowski dokonywał swych śmiałych wojennych czynów, nie tylko chyba dorównywując słynnemu swemu poprzednikowi w historii Kmicićcowi, ale fantazją i odwagą jeszcze go przewyższając. Ale to już był by cały osobny, pasjonujący rozdział historii wojen tych czasów.

W międzyczasie rodzina Zubczewskich, cudem ocalała z rzezi w Starej Ossocie, znalazła się, jak to już opisywałem w Czechryniu. Pisałem też o stałym niedoświeceniu, prawie głodzie, jaki tu wszyscy odczuwaliśmy, i o bezradności moich rodziców w tej sytuacji. Trzeba więc było mnie, jedynemu paniczowi" jechać się jakiejś zarobkowej pracy. Znalazłem też ją w niedługim czasie w Gałaganówce, wiosce położonej o 5 wiorst od Czechrynia. Rozpocząłem tam pracę na roli u właściciela dużej olejarni, wytwórni skór, głównie skóry podszewkowej, oraz 26-u hektarów ziemi pszennej buraczanej i 12 ha łąk i pastwisk. Mój gospodarz nazywał się Swyryd Iwanowicz Siczowy, był już w sile wieku mężczyzny i posiadał liczną rodzinę. Zatrudniono mnie przy obsłudze koni. Umowa była zawarta "na słowo" - innych umów bowiem w tych czasach nie zawierano - i opiewała, po stronie wynagrodzenia : długie, juchtowe buty z cholewami, trzy pudy mąki zwanej "surtyk" / pół na pół żyta i pszenicy/ oraz 800 kilogramów jadalnych ziemniaków - wszystko to oczywiście za okres rocznej pracy i z przywiezieniem do domu moich rodziców. Po drugiej stronie umowy, krótko : praca - praca tak trudna i wyczerpująca

dla mego młodego wieku i stosunkowo nie wielkich jeszcze sił, że świadomość stanu materialnego rodziny i pragnienie pokazania co umiem / a było tego nie wiele / i co mogę, więc pod koniec pracy całodziennej zasypiałem nocnym, kamiennym ale krzepiącym anem. Przy pracy pamiętałem stale o słowach dziadka Ikołaja, że "nauka w las nie idzie" więc uważnie patrzyłem, podpatrywałem i uczyłem się jak ten mój gospodarz Swyryd Iwanowicz, "chodzi" koło koni, jak ten ^{chłop} przypominający kozaka - zaporożca ze zwisającymi wąsami, zakłada im karmę, siano czy sicczkę, jak tę karmę obficie posypuje pasennymi otrębami, jak poklepuje przy tym konie po szyjach, jak do nich mówi. Widać było odrazu że stary znał się dobrze na koniach i kochał je. Dla mnie nie było to nowością - przez lata spędzone w Starej Ossocie, a stałe przebywanie wtedy i obcowanie z Ikołajem Sikorą ciągle krzątającym się koło koni, uprzęży, wozów i powozów a głównie koni słuchanie ciekawych opowieści starego stangreta o tych "krośskich i jeździeckich" sprawach, bardzo mi teraz okazały się przydatne. Wspominałem też wyczyny dokonywane wspólnie z chłopcami wiejskimi na łąkach nocami dniami pasąc konie nad Ikwą - wszystko to, i zebrane wtedy doświadczenia i wypowiedzi chłopców o koniach składało się na wzrastający we mnie zasób wiedzy "koniowoda". Pewnego jesiennego dnia, przed-wczesnie powróciwszy z pola gdzie ~~prze~~pałaniałem konie założone do pługa, którego czepigi prowadził Swyryd Iwanowicz podpierający się laską - kula urwała mu na wojnie 1905 roku prawą nogę - wróciwszy więc wcześniej na skutek ulewy rozpocząłem rozprzedanie i karmienie koni. Widząc że pięciny koni i ich ogony są brudne i pozlepiane gliniastym gruntem oranego pola, związałem konie do drabiniastego wozu wyłożonego sianem, jak to robił Ikołaj Sikora, i uzbroiwszy się w szmaty i wodę przyniesioną ze studni z żórzaniem, wziąwszy jeszcze szczotkę i zgrzebło podszedłem do koni, przemacając do nich i zlekka poklepując po szyjach i głowach, jak to widziałem i zapamiętałem jeszcze w Ossocie. Po oczyszczeniu pięcin i ogonów z brudów i przginięciu ich szmatą zacząłem te ogony krótko podwiązywać - przy czym mój gospodarz, nie mówiąc, uważnie się przyglądał tym moim czynnościom, wykonywane zresztą, jak na młodego jeszcze chłopca, w ^v prawidłowej kolejności, starannie i spokojnie. Dostrzegłem w oczach gospodarza aprobatę i pewne zdziwienie, a wreszcie Swyryd Iwanowicz odezwał się: "a skąd to "panycz" nauczył się tak dobrze chodzić koło koni?"

Odpowiedziałem, że w domu, w czasie gdy mieliśmy własne konie a i w majątku Branickich, w którym pracował mój ojciec jako księgowy, też była piękna stadnina którą dobrze znałem.

To moje ówczesne zachowanie się i wywiązana na tym tle długa rozmowa utorowała mi ścieżkę, a później szeroką drogę do twardej duszy Swyryda Siczowego, zamkniętego koniarza i ich zwawcy. Odtąd przy wspólnej z gospodarzem pracy, zwykle przy jesiennych orkach snuł stary oracz ~~smutny~~ wspomnienia ze swego życia, a ja, *uwaga* słodki słuchacz, dowiadywałem się z tych pogwarek o przebiegu wojny 1905 roku, o dwudniowej bitwie pod Laolanem, bitwie wygranej ofiarnością krwi i bohaterką postawą żołnierza rosyjskiego, a przegranej przez zdradę generała Stessela - Niemca, o czym wszyscy wówczas wiedzieli, a czemu /świadek/ dał nawet generał japoński Kurakura błagając cesarza "krajny wschodzącego słońca i kwitnącej wiśni" o podpisanie rozejmu i pozostanie jeszcze na jeden dzień na pobliskich wzgórzach, gdzie przegrane wojska japońskie nie będą przez Rosjan nękanę. Słuchałem jak na tym właśnie laolańskim polu porośniętym gaolanem /rodzaj prosa z którego wyrabiano japońską gorzałkę/ Siczowy został trafiony kulą i utracił nogę, jak wrócił po wojnie do swego czeszyńskiego kurenia, któremu w swoim czasie przewodził "sam Chmiel", jak jak wykształcił córkę swoją Marię na nauczycielkę, która uczy, jak i moja mama w szkole czeszyńskiej, a niec Iwan Jabzienko jest kierownikiem tej szkoły. Chwalił się stary kozak swoimi dziećmi i dumny był, że syn jego, inżynier-mechanik, pracuje w majątku Bezdzięckich gdzie prowadzi tartaki i młyny parowe a czasami pomaga w pracy ojcu w jego olejarni. Dumny był stary mój gospodarz że ma w "panyczu-parobku" tak dobrego słuchacza i rozumiejącego towarzysza pracy. Ta nasza obopólna harmonia i wzajemny szacunek spowodowała, że po ukończeniu terminu umowy dodał jeszcze Siczowy do umowionego wynagrodzenia sako-rzutnie pud maki "krupeczki" na gwiazdkę, pięć funtów wybotowej słoniny i trzy litry oleju słonecznikowego. W tych czasach niepowodzenia i niedostatku w rodzinie Zubczewskich dary te były prawdziwym majątkiem który wydatnie przyczynił się do przetrwania złego okresu. Później, już w roku maju roku 1920, zaproszony przez niego ojca za moim pośrednictwem, nawiązał z ojcem bliższą znajomość i zgodził się, na prośbę ojca odwiedzić nas swoim wozem do odległej o prawie 300 wiorst stacji kolei żelaznej Żmierenki, a podróż taka w owych czasach była bardzo ryzykowna i woźnicy groziła strata koni i wozu w drodze rekwizycji na cele transportu wojskowego. Był to bowiem już okres wypadu Piłsudskiego na Kijów i legiony polskie zajęły Korosteń, Berdyczów i Żytomierz. Siczowy w tym wypadku wykazał swój humanitaryzm i wyświadczył przyjaznej rodzinie Zubczewskich, poznanej przecież tylko przez przyjaźń i szacunek dla ich

syna, a swego "panycza-parobka", przyjaźń zrodzoną we wspólnej i dobrze ocenianej pracy i we wspólnym uniołowaniu koni. Nabyte przeze mnie w dzieciństwie umiejętności do bezpośredniego koleżeńskiego współżycia z chłopcami wiejskimi i ich rodzinami, umiejętności tak wychowawczo doceniane przez moich rodziców i dziadka, nieraz w moim życiu obficie owocowały i dawały mi dużo satysfakcji.

J. Indy

syna, ~~axxxa~~ a swego "panycza-parobka", przyjaźń zrodzoną ~~wa~~ we wspólnej i dobrze ocenianej pracy i we wspólnym umiłowaniu koni. Nabyte przeze mnie w dzieciństwie ^{nawyli} do bezpośredniego, koleżeńskie go współżycia z wiejskimi chłopcami i ich rodzinami, umiejętności tak wychowawczo doceniane przez moich rodziców i dziadka, nieraz w moim życiu bardzo przydawały się i dawały mi dużo satysfakcji.

Nadeszła wczesna jesień roku 1922 kiedy to, po ustaniu wojny z kajzerowskimi Niemcami i obcą interwencją, po wygaśnięciu wojny domowej, kiedy przebrzmiały echa ostatniego wystrzału, w całym Kraju Radzieckim zaległa tak upragniona cisza i nastąpił tak potrzebny temu krajowi pokój. Cały kraj leczył swoje ciężkie i bolesne rany spowodowane wojną, głodem i tyfusem - Zagłębie Donieckie zaczęło dawać coraz więcej węgla, uruchomiono zniszczone albo zatopione przez okupantów, interwentów, a także i "białych" kopalnie tego tak życiodajnego dla przemysłu "czarnego złota".

Zaczynał się rok szkolny 1922/1923 kiedy ja, Stefan Zubczewski, 14-letni chłopiec, po przebyciu tyfusu planistego, brzuszego i nawet powrotnego, doszedłem do zdrowia, odzyskałem wigor swoich chłopięcych lat i rozpocząłem znowu naukę szkolną w VI-bj klasie siedmioletniej szkoły w Czechryniu na Kijowszczyźnie - dostałem się do tej szkoły i klasy w mieście historycznym, w dawnej stolicy kozaczyzny Bohdana Zenobiusza Chmielnickiego, na podstawie świadectwa ukończenia II-ej klasy szlenderskiego gimnazjum. ~~Szkola~~ Nowa moja szkoła mieściła się w gmachu byłego gimnazjum znajdującym się przy głównej ulicy miasta Czechrynia, zwanej ówczesnie ulicą Milionową. Był to ładny symetryczny, dobrze prezentujący się budynek. Kierownikiem szkoły był niejaki Metody Rodnyj, ukraińiec pochodzący ze Lwowa, podobnie jak i większość nauczycieli, uciekinierów z Polski Marszałka Piłsudskiego. W gronie nauczycielskim był, między innymi, bardzo lubiany Assentij Sijanko, byli dwaj bracia autochtoni: Stefan i Iwan Jarenczenko, a jedynym Polakiem w tym gronie był matenatyk, Zygmunt Godebski, zaprzyjaźniony zresztą z moim ojcem i wierny jego kompan do brydża, szachów i długich dyskusji. Rusycysta, pełniący równocześnie czynności szkolnego "nadziratiela" - inspektora, niejaki Ilia Dawydowicz Jakowlew, trzymał się jakoś na uboczu grona nauczycielskiego, przy jego zjawieniu się w pokoju nauczycielskim milkły raptownie żywe rozmowy i udawano nagłe zajęcie się zeszytami, lekturą, przygotowaniem następnych lekcji - na obecność "nadziratiela gorodskich ucziliszcz" w pokoju demonstracyjnie nie zwracano uwagi. Zaobserwowałem ten fakt parokrotnie, zjawiając się właśnie w pokoju nauczycielskim w tym czasie z jakimś globusem, dziennikiem klasowym czy zeszytami,

a byłem już wówczas, wiele obracając się między ludźmi, uwrażliwiony na objawy zachowania się obcych i spostrzegawczy. Nie różniąc się wiele od moich kolegów byłem jednak bardzo uważnym podczas lekcji skrzętnie notowałem podawane wiadomości - starych podręczników., za wyjątkiem matematyki i geografii, już wówczas w szkole nie ~~były używane~~ ~~znawyszy język~~ wolno było używać, a nowych jeszcze nie wydano. Pewnego ~~zimowego~~ dnia, na parę dni przed zimowymi feriami, mieliśmy w klasie dyktando z języka rosyjskiego - Ilia Dawydowicz Jakowlew często dyktował nam wiersze jak np Gogola: "Prickrasien dień" i inne. Po skończeniu dyktanda dyżurny uczeń zbierał zwykle zeszyty i kładł je na stole przed rusycystą. I tym razem więc mój dwudziestokartkowy zeszyt podpisany, jak zwykle dotąd, pełnym nazwiskiem i inicjami: S.S.Prawdzie Sołłhub Zubczewski, został przez Jakowlewa wzięty do poprawy. Na następnej lekcji rosyjskiego Jakowlew polecił dyżurnemu rozdać uczniom poprawione zeszyty z wystawioną w nich oceną za pierwszy okres nauczania języka rosyjskiego. Ja swego zeszytu nie otrzymałem, więc powstawszy z ławki ~~zapytałem~~, a siedziałem^a drugiej ławce od stołu nauczyciela, zapytałem co się stało z moim zeszytem. Wtedy Ilia Dawydowicz kazał mi podejść do stołu, i, trzymając mój zeszyt w ręku pokazał go całej klasie i głośno zapytał: "Co to znaczy? ... te litery S.S. przed tak długim nazwiskiem? przed Prawdzie Sołłhub Zubczewski?" ... Gdy odpowiedziałem, że to są inicjały moich imion ~~Stefan~~ Stefan syn Sergiusza, profesor z naciskiem na dwuznaczność powiedział, że "myślał że te litery oznaczają całkiem coś innego". W klasie zapanała ruchliwość i szmer wyrażający zainteresowanie uczniów tym dziwnym "czepianiem się" profesora, a ja wówczas, nie tracąc rezonu, w lot ~~odpowiedzi~~ zwróciłem się do profesora z prośbą o bliższe wytłumaczenie mnie i całej klasie czego to profesor doszukuje się pod tymi inicjałami i co właściwie o nich ~~myśli~~?. Profesor wówczas powiedział żeby ~~on~~ się zwrócił do swego ojca z prośbą o wyjaśnienie, czego to mógł ~~on~~ się on, profesor, doszukiwać w Tym S.S. Na to znowu ja stanowczo stwierdziłem, że nie mam zamiaru pytać ojca, że po to chodzę do szkoły by tu mi wytłumaczono o co chodzi, że oczekuję tu od profesorów wiedzy, a nie jakichś wydumanych przez profesora, zapewne niepochlebnych dla mnie i mojej rodziny domysłów, że znam dobrze obowiązki szkoły i nauczycieli bo przecież moja mama jest także nauczycielką tej szkoły i wreszcie, że jeśli profesor natchniał mi swoich / wydaje mi się obraźliwych, domniemywać nie wyjaśni i nie sprostuje, to zwrócę się zaraz do kierownika szkoły z prośbą o to wyjaśnienie. Ta moja zdecydowana postawa, ta "bezcelność" smarkacza żądającego od niego /profesora i nadziratela" wyjaśnienia i wytłumaczenia się, spowodowała na Jakowlewie wrażenie gronu

z jasnego nieba - twarz jego raptownie się zaczerwieniła, na czoło wystąpiły krople potu, patrzyliśmy na mnie, a ja uparcie ciągnąłem swoje: " ... proszę, panie profesorze! - ja i cała klasa chcemy posłuchać co pan profesor sobie o tych moich S.S. myślał? "...

Sytuacja stała się napięta, bardzo dla rusycysty niekorzystna i trudna - klasa była rzeczywiście wzburzona, bo przecież cała 36-0 "wiara" uczniowska wiedziała, że ja tu mam rację, że dzieje mi się jakaś krzywda, że nielubiany profesor wpadł w potrzask i wije się nieporadnie. Rozładowało tę trudną sytuację nagłe wejście do sali dyrektora szkoły, który spostrzegł niepokój młodzieży ^{WZM} i konsternację profesora i zapytał: " co tu się dzieje, co to za wzburzenie, panie kolego?". Cała klasa oczywiście chaotycznie i jeden przez drugiego zaczęła wyjaśniać dyrektorowi powód "czepiania się" profesora, a ja jednego tylko byłem pewien, że ten profesor nigdy mi nie daruje kompromitacji wobec dyrektora i zemści się dosadnie przy okazji każdej mej "oszybki" w pisaniu litery "ja" i każdego błędu gramatycznego. To "ja" /- jać - z miękko brzmiącym "a" na końcu) było udręką ówczesnej młodzieży uczącej się w rosyjskich szkołach, było to coś jak w polskim języku "h" i "ch", lub "ż" i "rz" - istotnie trudno było zapamiętać jak się pisze takie wyrazy ~~jak~~ jak: "zwiozdy", "cwioł", "priobrioł", "siodła" i im podobne w brzmieniu - czy przez "io" czy tą literą "jać" podobną do "miakkiego znaku"- znaku zmiękczenia. Wprawdzie ja nie miałem z tym dużych trudności, bo pamięć miałem dobrą, lekcji słuchałem uważnie - ale i mnie się trafiały błędy w ortografii, a Ilia Dawydowicz był mściwy i nigdy nie dawał za wygraną. Na koniec roku naprzykład na klasówkę z jęz. rosyjskiego dał nam temat wypracowania: "Staw i rzeka". Uchwyciłem jednak jego intencję i porównałem "staw" do tego co było przed rewolucją październikową: zastój, bezruch, marazm, szuwały, gnicie - a "rzekę" jako wezbrane wody powodzi ^{Revolucji} początkowo niszczącej żyzne pola i zamulającej łąki, następnie zmuszającej ludność do budowania tam, grobli, zbiorników, młynów wodnych i innych urządzeń mechanicznych służących ludowi - i teraz będą zabezpieczone pola i chaty a łąki dawać będą trzy pokosy znakomitej trawy "tymotki"! -....

Trzeba tu chyba jeszcze wyjaśnić sens tego złośliwego "czepiania się" przez profesora tych moich dwóch SS - otóż chciał on w swoisty sobie podły sposób ośmieszyć pełne szlacheckie brzmienie mego nazwiska "Prawdzie Sokłohub Zubczewski" sugerując moim współkolegom, że owe nieszczęsne dwa SS na początku mogą oznaczać dość powszechnie używane wtedy w ~~szkole~~ w mowie potocznej: "sukin syn" /psi syn/. Ten niegodny pedagoga zamiar spalił jednak na panewce, rusycysta wpadł we własne sidła i z wielkim chyba trudem wydostał się z nich w gabinecie dyrektora, do którego został wycofany z przed wzburzonego obliza klasy.

Jak się później okazało ów Jakowlew, "nadziratel szkolny" był równocześnie agentem słynnego "III-go Oddzielenia", tajnej policji, do czasu więc "Października" donosił władzom na rewolucjonistów i elementy postępowe, a po "Październiku" z jego donosicielskich usług korzystało "GPU" /Głównoje Politiczeskoje Uprawlienje/ . W wyniku jego ~~złoty~~, nadgorliwej służby donosicielskiej dla rewolucji nauczyciele mojej szkoły: Modnyj - dyrektor, Sijanko, bracia Jermienkowie, Pogoncow, Topaczewski i inni nie przyszli pewnego dnia do szkoły, zostali bowiem nocą aresztowani i w trybie natychmiastowym zesłani, jako "element politycznie niepewny" na Wyspy Sołowieckie. Sam Ilia Dawydowicz znikł wtedy tajemniczo z horyzontu Czechrynia - skłusznie obowiając się zemsty pozostałych członków rodzin nauczyciel powszechnie szanowanych, a niewinnie zesłanych, wskutek donosicielstwa "kolegi rusycysty", nad Białe morze "na białe niedźwiedzie". W roku szkolnym 1923/1924 ukończyłem ~~XIII-letnią~~, z wynikiem ogólnym bardzo dobrym VII-ą klasę szkoły czechryńskiej, i udałem się, w liście polecającym, do "wujka" Józefa Szpakowskiego, który był wówczas kierownikiem gospodarstwa rolnego średniej szkoły rolniczej w pobliskich Czerkasach.

Miałem się tam udać z takim planem, że do Bużyna, przystani na Dnieprze, odległego od Czechrynia o 13 wiorst, miałem dojechać piechotą, z plecakiem i kocem, a dalej, od Bużyna do Czerkas, miałem płynąć statkiem rzeczny regularnie już wówczas odbywającym codzienne rejsy z Jakatierinodaru / Dniepropietrowska/ do Kijowa i z powrotem. Ponieważ wiele szlaków koczowniczych nie było jeszcze w tym czasie uruchomionych na rzece Dnieprze trwał wzmożony ruch różnego rodzaju statków, barek i tratw, gdyż Dniepr stanowił tanią arterię wodną kraju. Zostałem bardzo skromnie zaopatrzony w gotówkę - miałem ~~wszystkiego~~^{całego} majątku 3 ruble, przy czym bilet na statek miał kosztować 1 rubel i 13 kopiejek, w plecaku zaś ciążyło mi kilo słoniny, bochen chleba i parę główek czosnku, tak zwanej "kozackiej kiełbasy" - przysmaku karaimów. Przy wieczornym pożegnaniu się z rodziną otrzymałem, jak to zwykle w takich razach bywa, wiele napomnień, ostrzeżeń i zaleceń, przy czym ojciec powiedział mi tylko: "trzymaj się synu - bo jak ~~się~~ sobie pościelesz, tak się i wyśpisz!", a mama, moja kochana mama, ~~plakała~~ jak każda dobra matka - płakała. Byłem przecież w jej oczach, mądrym, pięknym, dzielnym, kochanym synem - i oto miałem odejść z zasięgu jej rąk, z jej widoku. Położyłem się wcześniej spać, ale nie ~~zasnę~~ nogłem zasnąć rozmyślając o tym co mnie tam czeka, w tym nieznanym, obcym świecie - myślałem też o tym, że ja, zdrowy i silny chłopiec mam wydać cały rubel i trzynaście kopiejek za bilet na statek - tyle

pieniędzy w czasie gdy funt smacznych i tłustych "kierczyńskich" śledzi kosztuje pięć kopiejek !?... Nie !.. Ja, Stefan Zubczewski, tego nie zrobię !. Postanowiłem : mam przecież młode i silne nogi! Pójdę piechotą te 60 wiorst do Czerkas!.. Jak postanowiłem, tak i zrobiłem. Wstawszy o porannym wezwaniu koguta, zajrzałem jeszcze do pokoju dziecięcego, popatrzyłem na śpiące rodzeństwo :Jerzego i Marię, przeżegnałem ich - i ruszyłem w drogę , rozmyślając co też mi ten dzień przyniesie, i jakie będą dni następne?....

To co w chwili wyjścia z domu wydawało się takie proste, wcale takim prostem nie było, jak to się wkrótce okazało. Przekonałem się o tym już po przejściu pierwszych 7 wiorst : plecak zaczął mi coraz bardziej ciążyć, choć za radą ojca zjadłem ze swego podróżnego prowiantu kawał żytniego chleba dobrze posolonego, i popiłem go szklanką czystej wody ze studni. Szedłem jednak wytrwale dalej w świat na zdobycie ostróg oświaty i wiedzy, wiedzy , która - rozmyślałem jest przecież bronią nie mniej skuteczną niż armaty , a jedna mądra i odważna głowa może, w sprzyjających warunkach i okolicznościach , poprowadzić za sobą tysiące - tak bywało w czasach Rzymu, tego przecież dowiódł ~~zabójcą~~ Mały Kapral Bonaparte, we Włoszech Garibaldi, a tak niedawno i teraz jeszcze - Lenin !. ...

Był początek lipca, szedłem głównym traktem wiodącym wprost ~~do~~ Czechrynia, droga po obu stronach była gęsto wysadzona starymi wierzbami, z okolicznych mijanych wiosek niosły się głosy cerkiewnych dzwonów . Głosy te nasuwały młodemu wędrowcowi przeróżne myśli : o tym że zwiastowały one niejednokrotnie nadzieję ocalenia od niechętnej śmierci w zaspach śnieżnych, na wznagającym się nocnym mrozie i zawiei, przed gromadami wilków goniących podróżnego, wilków kórych pełno było w pobliskich drogi zalesionych jarach, wąwozach i kotlinach - przypominały się słyszane opowieści jak to dawniej, a jeszcze i niedawno, zbierały się razem transporty podróżnych, a każde sanko czy furmanka musiała być musowo zaopatrzona w pochodnię odstraszającą watahy zgłodniałych wilków. Szedłem więc rozglądając się, rozmyślając i wsłuchując w muzykę pól i łąk, w której dominantą był nieustający szmer pracy pszczół znajdujących tu wszędzie na mijanych łąkach i łąkach obfity pokarm. Było już południe, po przejściu około 25 wiorst poczułem się bardzo zmęczony zboczyłem więc z traktu i rzuciłem się w cieniu konarów wiekowego dębu , niemego świadka dziejów tej ziemi. Posiliwszy się z apetytem wziętymi z domu prowiantami popiwszy nieosłodzoną herbatą z termosu , ułożyłem pod głowę plecak , obok ^{sięba} położyłem znaleziony po drodze kij i wyciągnąłem się jak długi - oddałem się całym jestestwem błogiemu wypoczynkowi, tak potrzebnemu młodemu zmęczonemu organizmowi - i zasnąłem krzepiącym snem.

Do jakims czasie obudziło mnie nagle rusnięcie mego policzka czymś szorstkim i wilgotnym - otworzyłem oczy i zrywając się zobaczyłem, że w pobliżu stoi i przyjaźnie merda ogonem znany mi pies "Duszek", szaro-żółty łaciaty kundel należący, jak mi było wiadomo, do niejskiego pana Szula Smileka / Sznilka/ właściciela jedynego w Czechryniu przedsiębiorstwa transportowego. Pan Szmulek czy Smilek posiadał koncesję i uprawnienia na przewóz pasażerów i towarów do pobliskiego Bużyna, Znamienki, Łokotowszy i Kryłowa, zatrudniał przy tym dwóch karzy, furmanów, ładowaczy - w drodze powrotnej z tych miejscowości dostarczał do Czechrynia węgiel, beczki z naftą i przeróżne towary spożywcze. Przenosząc wzrok od Duszka na drogę ujrzałem ~~zatrzymanego~~ stojący tam furgon z ładunkiem, a na jego przodzie, na tak zwanej "kołysce" siedzącego samego przedsiębiorcę, również znanego mi "pana Smileka". Zatrzymane konie oganiały napastujące je baki, a pan Smilek przemówił do mnie: "...aj-waj! co ja widzę? panicz we własnej osobie? i to na piechotę? i z takim wypchanym plecakiem? - przecież to ciężar! - proszę panicza siadać koło mnie - czas w drogę!". Ucieszony tą miłą niespodzianką oczywiście podziękowałem panu Smilekowi, włożyłem swój plecak na furgon i usiadłem w "kołysce" obok woźnicy-właściciela "przedsiębiorstwa transportowego". Kołyska- było to specjalne siedzenie na resorach, przesuwane lub przenoszone w miarę potrzeby, umocowane na przedzie bryczki i przeznaczone dla woźnicy i jego towarzysza. Konie ruszyły parskając, co wróżyło mi szczęśliwe załatwienie przyszłych moich spraw życiowych, a Duszek dzielnie sekundował ich biegowi., a gdy przy przejazdach przez wioski i osiedla atakowały go gromadnie tantejsze psy, chował się przed nimi pod dyszel lub furgon, dowodząc tym że ma spore doświadczenie w unikaniu licznych przykrości psiego życia. Po paru minutach jazdy mój pan Smilek zapytał mnie dokąd to się tak wybrałem, a gdy mu opowiedziałem o moich planach dalszego kształcenia się w Czerkasach, odrzekł: "...uj, to dobrze, proszę panicza! umienie to światło, a nieumienie to ciemnota - teraz wszyscy się uczą. uj-to dobrze! to bardzo dobrze!". Rzeczywiście spadek analfabetyzmu pozostały po caracie sięgał 97% obywateli Rosji, ciemnota i zacofanie nas były wprost zastraszające - teraz zaś otwierały się perspektywy na to, że ten kto był kiedyś niczym mógł być wszystkim!.

Po pewnym czasie zagadnąłem pana Smilka jak to będzie z moją zapłatą za podwiezienie mnie, bo ja już sobie postanowiłem, że pieniądze otrzymane od rodziców na statek chcę zaoszczędzić na dalsze życiowe potrzeby-i dla tego właśnie szedłem piechotą - na co pan Smilek odrzekł: "...aj-waj, proszę panicza! kto tu mówi o jakiejś zapłacie,

Ogrodzenie sadu stanowiły szpalery nie do ~~przekazywania~~ przedarcia się "gladina" takzw. krategusa krzaczastego, nieco podobnego do dziko rosnącej tarnikny z dużymi kolcami - tanie to było, ~~4~~ praktyczne i chroniło drzewa przed wschodnimi, zimnymi wiatrami.

Wstępny egzamin ~~z~~ piśmienny z matematyki zdałem pomyślnie, ~~z~~ Mustne z zoologii, botaniki poszły mi również znakomicie i wreszcie egzamin ~~z~~ urzędowego języka rosyjskiego /ten i ustnie i piśmiennie/ - no i z ~~zostałem~~ ja, teraz już tylko Stefan Zubczewski gdyż nazwisko rodowe i godło herbowe od czasu zajęcia ze szpicłem-nadziratiel'em Jakowlewem, za radą ojca w stosunkach urzędowych opuszczałem - zostałem uczniem pierwszego ~~roku~~ roku trzyletniej średniej szkoły rolniczej w pięknym mieście Czerkasach. Miasto przypominało nieco Kraków, gdyż planty naddnieprzańskie tutaj nazywające się ulicą Tarasa Szewczenki, ciągnęły się od wschodu do zachodu miasta, były przepiękne i bardzo starannie utrzymane. Jak się wkrótce okazało starszym sadownikiem i technologiem do spraw produkcji był Polak, Kacper Jan Piure, doświadczony nauczyciel zawodu mający wieloletnią praktykę w majątku Branickich, Starej Ossocie, który oddawna znał i współpracował tam z uczonym agronomen Teofilem Szpakowskim. Szkolny sad pod kierownictwem pana Piure był prowadzony wzorowo, a my, młodzi adepci rolnictwa, pracowaliśmy pod jego wprawnym okiem przecinając korony drzew, szczepiąc przez oczkowanie szlachetne odmiany w licznych szkółkach drzewnych, obcinając i pielęgnując sad owocowy, bieląc go, na wiosnę i gładząc liczne malinniki i plantacje truskawek i agrestu szczególnie szlachetnych różnych odmian. Bogate ziemię i gleby tutejsze, nasłonecznienie trwające 210-230 dni w roku, stwarzały korzystne warunki i klimat ogrodniczo-sadowniczy. Owoce i jagody były tu doskonałe, bukiet ich aromatu niepowtarzalny, to/też popyt na nie stale przewyższał możliwości podłożenia zapotrzebowaniu, a sadi jagodniki oraz ogród kwiatowy z licznymi plantacjami róż przeróżnych odmian i kształtów, tulipanów, mieczyków, chryzantem i innych kwiatów, cieszyły oczy ludzkie swym barwnym dywanem kwitnącym przez cały prawie rok. Szkółki drzew owocowych i dekoracyjnych przynosiły szkole duże dochody finansowe gdyż robocizna, wykonywana przeciw ~~nieprzekazywania~~ przez uczniów prawie wszystkich roczników szkoły była bezpłatna. Szkoła nasza, jak i położona w pobliżu, ~~została~~ we wsi Sosnówka, średnia szkoła leśna, ~~z~~którąrobie współpracujące z sobą, zawodniczące i dokonywujące wymiany doświadczeń, cieszyły się w dalekiej okolicy bardzo dobrą reputacją.

Syn ~~pana~~ Kacpra Piure, Jan, chłopiec o rok starszy ode mnie,

Imponowałem więc kolegom swymi wiadomościami z entomologii, a szczególnie z życia i budowy pszczół, ich ras i roślin miododajnych. Szkoła obsiewała tych roślin, obszar 15-0 hektarowy i to w kilku terminach, aby w czasie gdy jedno pole forsytii okwitało zakwitało równocześnie ~~w innych~~ inne - w ogóle na glebach naddnieprzańskich wyka i żyto ciągle kwitły i dawały pszczołom duże możliwości zbierania znakomitego miodu.

Tak się z czasem złożyło, że zamieszkałem nie w szkolnym internacie lecz u Prezesa Wojewódzkiego Urzędu Ziemskiego w Czerkasach. Stało się to za pośrednictwem kochanego wujka Józia, który zaproponował mi pracę u uczonego agronoma i zarazem pisarza, pracę polegającą na obrządzaniu krowy, jałówki, paru świnek, drobiu wżaniam za mieszkanie, osobny pokój, pełne utrzymanie i drobne wynagrodzenie pieniężne. Mój pracodawca, Paweł Simercew, zajmował całą willę blisko szkoły, a pani Walentyna, jego małżonka, wdowa po pierwszym mężu zabitym w wojnie domowej, była właścicielką ładnego majątku ziemskiego pod Moskwą, zwanego Korowieńcem, znanego z dobrze zaprowadzonej hodowli bydła mlecznego rasy holenderskiej. Pani Walentyna była bardzo ładna, młodsza od swego męża o prawie 29 lat i przy tym, łagodnie mówiąc, swobodna w zachowaniu się z mężczyznami. Nie było to dobrane małżeństwo, państwo ci poznali się przypadkowo na stacji węzłowej kolei w Briańsku, w chwili gdy pani Walentyna postracie męża, nie mając bliskich i znanych ratowała się ucieczką z zawiei wojny domowej kiedy to "rąbano biały sad". Poznali się i pobrali. Przeżyli oboje z sobą 10 lat, a później pani Walentyna porzuciła swego męża, prosto jak szmatę zabierając z sobą tylko piękne koncertowe pianino Bechsztajna. Nasuwają mi się tu słowa poety dotyczące podobnych losów ludzkich: " Człowieku! od tej drogi odwróć wzrok swój smutny i za trójką koni nie goń już! - i niepokój w sercu swym okrutny jaknajprędzej i na zawsze zgłusz. Ogień w kominie zgasł i świeczka dogorywa!".

Pani Walentyna pięknie grała na pianinie, a pan Paweł świetnie na skrzypcach, co sobotę więc zbierało się u państwa Simercewych dobrane zaprzyjaźnione towarzystwo na koncert w którym brał także udział pomolog Bibikow / nazwisko, ale nie ten, zapisane tak niesławnie w pamięci Polaków/ niezły wiolonozelista. Te kameralne koncerty uzupełniała oczywiście znakomita kolacja i nieodzowny brydż. Ja również byłem słuchaczem wcale niezłej muzyki, ale musiałem też, po rozejściu się gości, pozmywać naczynia, sprzątnąć całe mieszkanie składające się z 5 pokoiów, kuchni, łazienki i dużego hallu. Napalić w piecach, nie wspominając już o obowiązkowym codziennym nafiltrowaniu zwierząt i ptactwa, odwirowaniu mleka i innych drobniejszych robót kuch.

Nie łatwo mi tu było -wszystkie jednak wysiłki i nieprzyjemności pracy wynagradzały mi dobre warunki bytowania, dobry wikt, tak ważny w moim wieku rozwoju fizycznego, dobre towarzystwo - traktowano mnie tu bowiem jak domownika, a nie jak służącego, a przede-wszystkim dobre warunki pracy w ładnym własnym pokju i możliwości korzystania z bogatego księgozbioru mego gospodarza.

Pewnego dnia myjąc ~~podłogę~~ podłogę w salonie nieoczekiwanie ~~na~~ wywlokłem szmatę z pod pianina dość duże ozdobne blaszane pudełko po popularnych cukierkach firmy "Zorż Bortom", z którego wysypało się na podłogę sporo złotych monet⁵ i 10 -cio rublowych - szybko jednak opanowałem swoje zdumienie, zebrałem rozsypane monety, włożyłem je do pudełka, zamknąłem i postawiłem pudełko tam gdzie stało. Myślałem przy tym, że to był jednak znakomity schowek na złoto, bo ktoby się domyślał, przy okazji kradzieży lub częstych w owych czasach rewizji u tak zwanych "bywazych" ludzi, zaglądać pod pianino - świetnie to było przemyślane, i chyba dlatego właś-nie nie trzymano w tym domu obcego człowieka, służącego- do uboju krowy przychodziła sąsiadka, a zakupów w sklepach dokonywała sama pani Walentyna. Kiedy byłem już na drugim roku szkoły zdarzyło mi się niespodziewane zaskoczenie pani Walentyny w czułym "tête à tête" /sam na sam/ ze wspomnianym już Bibikowem. Na szczęście oboje sobą tylko zajęci nie spostrzegli mnie, lecz wdniosłem bardzo niekłe wrażenie: wiedziałem że Paweł Aleksandrowicz był akurat w tym dniu w Charkowie na zjeździe Prezesów Urzędów Ziemskich, a tu taka histo-ria!. Na Litwie, myślałem takie rzeczy się nie zdarzają- żona sąsiada to przecież rzecz święta! a tu, we własnym domu, takie święstwo!...Tak mnie mocno ta niewierność pani Walentyny i nieucz-ciwość Bibikowa rozgoryczyły, że po długich rozważaniach powiedzia-łem wujkowi Józiovi, że "z pewnych względów" nie chcę dłużej pozosta-wać w tym domu. Rzeczywiście nie byłem w stanie wiedząc o tym co tu się działo i dziać może przebywać w towarzystwie Pawła Aleksandro-wicza, którego bardzo lubiłem i szanowałem. Był to przecież czło-wiek znany, poczytny pisarz pokroju Bieszcz-Bieszczowskiego, Lamin-Sybiraka czy Priszwina, był to stary rewolucjonista mający za sobą Sybir i katorgę, był członkiem partii Lenina, dlatego też zajmo-wał obecnie tak poważne stanowisko. Paweł Aleksandrowicz miał ciężkie życie, nie żenił się długo zajęty ciągłą walką o lepsze jutro narodu, był już starym kawalerem gdy ~~ożenił~~^{się} raczej z litości nad bezradną wdową i z przypadku, ja nie zasługiwałem na tak niecną zradę ze strony żony i przyjaciela - nie mogłem zadać mu bólu mówiąc mu o tym, a nie chciałem by to trwało i bym musiał na to patrzeć. Teofil Szpakowski, który rozgryzł wreszcie te moje "pewne względy", potraktował tę delikatną sprawę bardzo taktownie, ~~nie~~

wiedział zapewne więcej niż ja o "wyskokach" owej pani - oświadczył więc Siwercowa, że w związku z moim przejściem do trzeciej klasy i nieoczekiwanym zwolnieniem się miejsca w internacie, stało się koniecznością zamieszkanie razem z kolegami celem wspólnego przygotowywania się do końcowych egzaminów. Paweł Aleksandrowicz ~~nie~~ uznał słuszność tej argumentacji, albo udał że ją uznaje, chyba jednak domyślając się istotnych powodów mego odejścia z jego domu, bardzo życzliwie pożegnał się ze mną wręczając mi jednocześnie, w podziękowaniu za moje sumienne spełnianie obowiązków, dość okazałą kwotę w "czerwoncach", dopiero niedawno wprowadzonych w obieg. Było to w okresie "NEP-u" a pieniądze te miały dużą wartość nabywczą. Później dowiedziałem się, że pani Walentyna po paru miesiącach wyjechała nagle z domu, już z innym osobnikiem, jakimś geodetą, do Konotopu, pozostawiając Siwercowa samego. Po tych przeżyciach i w powstałej sytuacji Paweł Aleksandrowicz złożył rezygnację z urzędu i został ~~zwolniony~~ przeniesiony służbowo do Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego pod Odessą na stanowisko kierownika gospodarstwa dydaktycznego, pola doświadczalnego i wykładowcy agrotechniki. Nie zapomniał o mnie i na nowym stanowisku, i przez cały rok jeszcze co miesiąc przysyłał mi 10 rubli na życie, pod warunkiem, że po ukończeniu szkoły zgłoszę się do niego i, mając już zapewniony byt, będę dalej studiować rolnictwo w Instytucie w Migujewie nad Bugiem. Miał już wtedy lat 72, był zdrowym ale osamotnionym człowiekiem, który do mnie przywiązał się i polubił jak własnego syna.

Stało się zgodnie z jego życzeniami : mając ukończonych 17 lat w roku szkolnym 1925/26 zdałem pomyślnie konkursowy egzamin na Wydział Rolny Wyższej Szkoły Technicznej i uzyskałem wreszcie upragniony indeks studenta pierwszego roku studiów wyższych oraz wyraźnie już wytyczoną drogę własnego życia i pracy w lubianym i tak pożytecznym choć złożonym zawodzie agronoma.

Ale wróć jeszcze na chwilę do roku 1924. Jest początek stycznia, jestem uczniem na 3-cim roku Czerkaskiej Integralnej Średniej Szkoły Rolniczej, jestem dobrze zbudowanym i rosłym, zdrowym młodzieńcem. Stoję jak zwykle w porannej kolejce przed magazynem hurtowni artykułów spożywczych celem pobrania, jako intendent samorządu uczniowskiego, chleba, śledzi, słoniny, cukru i innych artykułów spożywczych na potrzeby stołówki, nad którą sprawowałem opiekę i miałem obowiązek jej zaopatrywania. Stypendium wówczas nie pobierałem i musiałem w ten sposób zarabiać na swoje utrzymanie. Ziemiaki, kapustę, marchew i inną zieleninę, jak również owoce otrzymywała stołówka z gospodarstwa szkolnego /dydaktycznego/ którego kierownikiem nadal jest jeszcze Teofil Józef Szpakowski -

Wujek Józio zmienił się nie do poznania - strata żony i dwóch córeczek zarzadzanych przez bandę białych atamana Parudia, tu właśnie, niedaleko Czerkas, w Czerwonej Słobodzie, zarzadzanych w chwili kiedy on sam, poszukiwany i goniczy, zdążył już skryć się w wysokim życie, przekonany że takich dzieci i bezbronnej kobiety nie spotka nic złego. Stało się jednak inaczej: dziewczynki roztrawiały po polsku co drażniło bandytów, a chęć obławienia się futren karakułowym jakiego miała przy sobie pani Szpakowska, jej kołczykami, obrączką, krzyżykiem i niesionymi w rękach drobnymi przedmiotami, zdecydowała o dokonaniu okrutnego mordu. Nigdy nie mógł wujek Józio przebaczyć sobie, że ratując się ucieczką postradał najbliższych i najdroższych - krzyki mordowanych / zarzadzanych poprostu szablami, gdyż bandyci nie stralali obawiając się osłabienia niedalekich placówek czerwonoarmistów / wciąż brzdąkały w uszach nieszczęsnego ojca i męża, rozdzierały jego serce i paliły go pragnieniem zemsty. Nie mógł przeboleć okrucieństwa losu, że stało się to w momencie gdy wszyscy byli już tak blisko Czerkas gdzie stacjonowały oddziały czerwonych z brygady Kotowskiego, i gdy wydawało się, że oto kończy się znowa ucieczka, obaw, groźby śmierci. Przeżyta katastrofa życiowa dokonała w wujku przemattościowania przekonania; nigdy od tam się nie modlił i stracił wiarę w Boga, przeżywane cierpienia pochyliły go prawie przygarbiły, przygasł, osiwił. Nie zakasał się jednak, nie oszalał z wielkiego bólu - uratowała go praca dla młodzieży, której oddał się bez reszty.

Właśnie w chwili kiedy czekał we wspomnianej wyżej kolejce przed magazynami spożywczymi, z taczanką zaprzęoną w parę ładnych szkolnych koni, odezwał się nagle megafon umieszczony na szczycie stojącego tuż-tuż skupa & dyktor z przejęciemawiadał że: "dzisiaj, dnia 6-ego stycznia 1924 roku zmarł Włodzimierz Iljicz Lenin" i dalej pełną treść odezwy CK Partii Bolszewików i Rządu Radzieckiego.

Zgon Lenina był niezmiernie bolesnym przeżyciem dla wielu milionów ludzi, głęboka, szczerza żałoba ogarnęła nie tylko cały kraj obejmujący 1/6 globu ziemskiego, całą Rosję, lecz i wszystkich ludzi uczciwych i postępowych na całym świecie.

Przywódcą Partii i Państwa został Józef Stalin Dżugaszwili - autor wielu prac^z zakresu teorii i praktyki marksizmu-leninizmu, taktyk i strateg wojny domowej i rewolucji wewnętrznej.

Pochodził ze słonecznej Gruzji, z miasta Gori leżącego pod stopytami Kaukazu pokrytymi wiecznym śniegiem, wywodził się z narodu ^{Ktoży} dał światu Pustawalego i Szamila, z narodu który szczycił się słusznie swoją przeszłością 25 wieków liczącą, starożytną

wspaniałą kulturę, był podświadomym dziedzicem wschodniego świata. Zanim potężny jego umysł wyprowadził go "na szczyty", do stanowiska niekoronowanego króla Kraju Rad, musiał przed tym skończyć seminarium duchowne, zostać "kapłanem bez święceni", zgłębić teologię stanowiącą przeciwieństwo ukoronowanie nauki - filozofii. Stalin był człowiekiem wzrostu małego, lecz dzięki doskonałej swej postawie wyróżniał się w tłumie, twarz miał pociągłą, gęste czarne włosy, krzyczące brwi, a pod typowym orlim kaukaskim nosem nosił czarne wąsy. W głębi swej natury miał Stalin coś okrutnego i bezwzględniego, co chwilami przebijało się w przepastnych piwnych oczach. Wiedział co mu się należy: pierzeństwo przed wszystkimi, pełne szcunku pozdrowienie, znakomite miejsce i posłuch w Partii i Rządzie, ster których objął krzepko i b trzymał twardo, wiedząc że inaczej niczego nie osiągnie. Od ludzi trzymał się z daleka, a swej najbliższe otoczenie traktował z pewnego dystansu. Zawsze irytował go widok człowieka, nieraz nawet o poziomie akademika, obniżającego swój poziom w jego obecności i płaszczącego się przed nim - ludzie szanowali Stalina ale bali się go. Kiedy Lew Trocki wygłaszał swe przemówienia Stalin nie mógł nie zauważać przepaści jaka ich dzieli, a Trocki był przecież po Lloyd George, u i Fiodorze Kiereńskim, świetnym oratorem, krasomówcą w skali światowej, zdawało by się nieodparcie przekonywująco udowadniał swe przekonania i twierdzenia o konieczności wrastania kułaka w socjalizm - ale przekonywał tylko Bucharina, Zinowiewa, Kamieniewa, Enikidze, Rudzutaka Czubara - ale nie Stalina! Stalin uważał argumentację Trockiego i jego kliki za bezsensowną, a drogę do socjalizmu wytkniętą przez niego dla partii za fałszywą. Te przekonania Stalina podzielali, i popierali odrębność jego polityki: Mołotow, Kalinin, Ordżonikidze, Kirow, Mikołaj i teść Stalina Kaganowicz. Stalin ożenił się z jego córką po tragicznej śmierci pierwszej swej żony Alilujewny. To grono ludzi, a szczególnie aparat GPU / Głównego Politiczeskoje Uprawlienie/ i jego przywódca Laurenty Beria / który przejął tę trudną robotę po Dzierżyńskim, Mędrzyńskim i Jeżowie/ starali się w najdrobniejszych szczegółach nawet wypełniać odpowiednie rozkazy Stalina. Ideje Trockiego i jego zwolenników były dla Stalina nie do strawienia, bezwzględnie odsunął więc ich twórcę i jego popleczników, odsunął i unieszkodliwił nie litując się jak zwykle nad tymi, którzy umarli. Osobiście go to właściwie nie obchodziło, znał wartość siebie i swego stanowiska, lecz musiał uznać ich za niebezpiecznych, gdyż stali na przeszkodzie do realizacji programu, któremu przywodziła Partia jego, Partia Stalina. Po unieszkodliwieniu grupy Trockiego Stalin rozpoczął z zapalem walkę z jego argumentami metodą publicznej

dysputy, cieszącej się wówczas ogólnym poparciem partii i narodu i stającej się utartym zwyczajem. Stalin i jego towarzysze tłumaczyli i wyjaśniali, opierając się na wypowiedziach i dziełach Lenina, na czym polega błędność i szkodliwość idei i poczynania grupy Trockiego, która w istocie dążyła do restauracji ustroju kapitalistycznego. Później, objąwszy już ster Kraju Rad dialektycznie wykorzystał świetnie zasady NEPu /Nowej Ekonomicznej Polityki/, stosując w niej leninowską taktykę: "dwa kroki naprzód - krok w stecz". W ten sposób dopuścił Stalin do uruchomienia i wykorzystania kapitałów prywatnych i zagranicznych dla odbudowy zniszczonego kraju i zaradłego życia gospodarczego oraz zrujnowanego przemysłu. Było to trafne i udane pociągnięcie w myśl kupieckiej zasady: "kupiec gra póki się da", a polegało na rozszerzeniu zasad inwestowania, wprowadzeniu spółek akcyjnych i kapitału zagranicznego, głównie niemieckiego. Ale już w roku 1937 dokonał wykluszczenia tego kapitału przez państwo, całkowitej likwidacji kulaństwa jako klasy społecznej, do czego wainie przyczyniło się wprowadzenie w roku 1929 powszechnej kolektywizacji biednego ~~złupnia~~ i średniozamożnego chłopstwa. Była to prawdziwa, druga, bardzo bezwzględna rewolucja "od góry", a w przeprowadzeniu jej oparł się Stalin na świetnie rozbudowanym aparacie służby bezpieczeństwa i jej licznych obozach /lagrach/. Aparat ten miał nazwę NKWD /Narodnyj Komisariat Wnutriennych Dieł - jakby Ministerstwo Spraw Wewnętrznych/ zaś na czele bardzo czynnej wtedy prokuratury stał zaufany Stalina, główny oskarżyciel publiczny Andrzej Krylenko - student drugiego roku prawa z wykształcenia, a kat i sadysta z postępowania. Proces sądowy stał się w jego ręku i tych czasach zwykłą farsą, a wyroki ferowane były już wcześniej na Kremlu. Rozpoczęło się ^{teret} ustawiczne wypychanie przed trybunały któregoś z wyznawców Trockiego: Bucharina czy Zinowiewa, człowieka o nieokreślonym wyglądzie, nieśmiałego i załamane go psychicznie, który w kilku zaledwie zająkliwych słowach do wszystkiego się przyznał, jak by ktoś mu podpowiadał to co ma powiedzieć. Stalin z tego mógł się tylko śmiać, gdyż wszystko działo się tak jak mu nakazywał intelekt, jego reputacja, jego szacunek dla samego siebie, który domagał się od niego by przysięga, którą złożył nad grobem ~~NE~~ Lenina, była przetwarzana w życie, jak również marzenia Lenina o rozwoju komunizmu w świecie. John Ried, dziennikarz amerykański i nacowny obserwator wybuchu i przebiegu rewolucji w Rosji, pisał w swej świetnie opracowanej książce pt: "10 dni, które wstrząsnęły światem" o tych marzeniach Lenina, nazywając go "szlachetnym fantastą i marzycielem" gdyż leninowski plan elektryfikacji kraju wydawał się jemu, pochodzącemu przecież z karaju śmiałch i wielkich dokonań przemysłowych - nie do zrealizowania. ... A jednak ???.

Stalin nie przyznawał się nigdy nawet w obec samego siebie, że czuł ukłucia ościenia wówczas kiedy wściekał się, że jego program industrializacji kraju i rozwoju ciężkiego przemysłu czasami się załamuje i chwieje - co czynić? .. drżał cały i nie był w stanie wyważyć wszystkich "pro i contra" wynikających w takich momentach. Stawał się wtedy bardziej niebezpieczny. Stawiał te trudne zagadnienia na porządek obrad "okrągłego stołu", ścisłego, poufnego grona CK partii, poddawał je wszechstronnej dyskusji i słuchał, sam nie zabierając głosu - uważnie słuchał, a był mistrzem w sztuce wsłuchiwania się w argumenty, intonacje głosu, brzmienia przekonania i załamania się niepewności. W tych chwilach uważnego słuchania nie palił nieodłącznej fajki, tylko cmoktał ją ustawnie, a najbliższe jego otoczenie wiedziało że ^{to} cmokanie ~~to~~ jest oznaką wielkiego jego zdenerwowania tak właśnie maskowanego przed zebranymi. Szczególnie trudne były zagadnienia obronności Kraju Rad, kraju posiadającego pięć mórz i granicę z ^{trzykrotnie} ~~pięcioma~~ oceanami, a granice lądowe wynoszące przeszło 6 tysięcy kilometrów. Groźba nowej interwencji nie wygasła ~~skarbiec był pusty~~ skarbiec był pusty, a wielkie obszary kraju leżały jeszcze w gruzach i ruinie, nie brakło więc powodów do trosk i zdenerwowania. Nie było przy tym możliwości zajęcia się obywatelami kraju, ^{lecz} również przeciw wycieńczonymi niedolą i wyniszczonymi, którym również trzeba było odczuwalnie poprawić warunki bytowe i ukazać perspektywy życiowe. Że nie załamał się Stalin pod naciskiem tych potrzeb i zwyciężył zawdzięcza chyba ~~totalitarn~~ wielkości swej osobowości i wyczuciu czasu - czasu, który prycował na korzyść Kraju Rad. Wiedząc to szedł Stalin drogą chłodnego nieubłaganego realizmu nie licząc się z ofiarami ludzkimi / ~~nawiał~~ : ludziej ^unas ~~u~~mnogo/ kierując się tylko logicznym wnioskowaniem, wymownym językiem cyfr, intelektem statysty, polityka i meża stanu. Wiedział że musi dognać, przegonić i zwyciężyć świat kapitalistyczny knujący wciąż zamiary wojny totalitarnej, otaczający murem zmywy i spisków Kraj Rad. Kraj ten chcieli zgnieść, wypłenić z niego wszystkie ślady i skutki Rewolucji Lenina - chcieli, ale : nie wyszło !. Bo trzeba nie tylko chcieć ale także umieć za tę swoją wolę umierać - a Stalin umiał, umiał przegrywać bitwy i umiał gromadzić ^e rzerwy dla wygrania wojny. Zapoczątkował swoją drogę zwycięstw kolektywizacją kraju a w końcu bitwami o Moskwę, o Stalingrad, o Łuk Kurski, Lenino, Warszawę, Wał Pomorski aż nareszcie Berlinem i Poczdamem - takie są nieodwracalne fakty historii, w której Stalin nie był pionkiem lecz motorem.

W życiu prywatnym Józef Stalin był ascetą : kochał szkarłatne róże i czerwone kachetyńskie wino Gruzji, swej słonecznej ojczyzny.

Spadek

Stalin?... Jaki był taki był - ale postawił po sobie w postaci Wielkiej, Silnej, Niezależnej Rosji: Związku Radzieckich Socjalistycznych Republik - mocarstwo będące oswoobodźcieniem, protektorem, garantem niepodległości całego po wojnie powstałego obozu Państw opartych na zasadzie sprywidliwości społecznej.

Podaną w tych wspomnieniach garść szczegółów i informacji dotyczących postaci Józefa Stalina, uzyskałem w czasie mego pobytu w w obozie „^{Мстислав}” bezpośrednio od pułkownika Wasiewołoda Wiewiedina, byłego wieloletniego komendanta Kremia, który padł ofiarą pierwszej „czystki” z roku 1937, która była następstwem ostrzelania kutra—jachtu Stalina serią z karabinu maszynowego, dokonanego z półwyspu w miejscowości Picunda ~~...~~ w chwili kiedy jacht ten, ze Stalinem na pokładzie, powracał z przejażdżki po lornu Czarnym. Ta zbrodnicza seria przeszła kadłub jachtu zaledwie jeden metr od Stalina stojącego na pokładzie. W Picundzie Stalin posiadał swą okazałą willę gdzie spędzał letnią porę roku, bynajmniej na „dolce far niente”, lecz w nieustającej pracy dla kraju. Prawdą jest że niema dymu bez ognia, więc perfidnie i uniojętnie podrzucona Stalinowi ~~...~~ przez niemiecką Abwehrę wersja o ^{nie} zmachu na jego życie, w którym uczestniczyli jakoby marszałkowie Tuchaczewski i Blucher, trafiła do przekonania „wodzowi czerwonych”. I Stalin uwierzył - nie bacząc na chlubną przeszłość obu marszałków. Michał Tuchaczewski był przecież pogromcą generała Kołczaka schwytanego i rozstrzelanego za zdradę w Irkucku w roku 1920, w czasie gdy wywoził „z kochanej ojczyzny” ^a pamiątki 5134 skrzyń i 1680 wózków wypełnionych złotem - Blucher zaś był w czasie wojny domowej bohaterem dowódcą i zdobywcą Perekopu na Krymie. Fakty te, i inne wspomina^{ne} już przeze mnie przy opisie losów mego brata Włodzimierza, a i wiele jeszcze tym podobnych, rzucają nieco światła na epokę w której żył, działał i przewodził Związkowi Radzieckiemu Józef Stalin, do którego cech zaliczyć trzeba swoistą wszystkim dyktatorom i autokratom cechą chorobliwej wprost podejrzliwości.

S. S. S.

W grudniu roku 1924 jechałem na święta Bożego Narodzenia szerokimi saniami /t.zw. rozłogami/ znanego już "przedsiębiorcy transportowego czechryńskiego", Srula Szmilka, który wioził w turze powrotnej z Czerkas "towary kolonialne" dla szumnie zwanej "sieci handlowej" swego miasta - towarzyszył nam oczywiście i mój przyjaciel Drużok. Zimno było niesamowite, kontynentalny klimat Ukrainy cechowały zimy z prawdziwego zdarzenia, z obfitymi opadami śniegu zawiejami i zamieciami - lata natomiast były słoneczne, ciepłe i długie. Patrzyłem z saś na śnieżny dywan ~~na~~ ^{który} ~~na~~ ^{który} pokrywający bezkresne obszary pól i lasów - w czasie zamieci i wioski bywały tak zasypane, że trzeba je było odgrzebywać ze śniegu sięgającego dachów chat - biada temu podróżnemu, który trafił w drodze na taką zawieję śnieżną. Droga tym razem była przetarta i monotonna, dłużyło się, więc ciekawski i gadatliwy mój woźnica począł rozpytywać mnie o moje dalsze plany życiowe po skończeniu tak wspaniałej szkoły rolniczej w samych Czerkasach?. Takie miasto, zdaniem pana Szmilka, to już było coś, to nie byle wieś, jakaś tam Wólka czy Sroda, a miasto wojewódzkie, duże, piękne miasto, sam Dniepr przecież taki piękny, a ile ~~taka~~ korzyści musi przynosić miastu taka wspaniała droga wodna - aj, waji!. Rzeczywiście stał przede mną wtedy problem przyszłości - za pięć miesięcy miałem ukończyć szkołę, która wydawała mi się wtedy przed paru laty, gdy jechałem do niej na wozie i w "kołysce" tegoż samego pana Szmilka, tak upragnionym celem, mając w kieszeni tylko 3 ruble i cenny list polecający mnie opiece wujka Józia. Od tego czasu, rozważałem, bardzo się zmieniłem, mam już prawie 17 lat, jestem wyrosniętym barczystym, zdrowym chłopcem z ładnymi włosami i niebieskimi oczami, moja ciekawość świata wciąż jeszcze nie jest zaspokojona, a rozbudzone przez mego wychowawcę i opiekuna, Pawła Siwercowa, ambicje zawodowe domagają się dalszego kształcenia. Podziękowałem Szmilkowi za jego zainteresowanie moim losem i filozoficznie odpowiedziałem, zgodnie z Kartezjuszem, że wszystko jest zmienne, wszystko płynie "panta rhei", i chyba w domu ojciec mój zdecyd^{Ukradca}uje o dalszych moich krokach po skończeniu szkoły., nie wiem też jak się obecnie warunki domowe w mojej rodzinie. Mama moja już wtedy nie pracowała jako nauczycielka i była zajęta, po zgonie nieodżałowanej piastunki Ustenki /Justyny/ pielęgnacją ojca i wychowaniem dorastającego do szkół rodzeństwa. O starszych braciach też pewno jeszcze nic nie wiadomo, więc jak będzie ze mną?. Snując dalej swoje myśli i rady pan Szmilek stwierdzał, "że jeszcze nie było, żeby ja ktoś nie było", że zawód agro-technika, to dobry zawód, ale jeszcze lepiej byłoby skończyć Instytut Rolniczy, to daje już coś, i stanowisko i dochód i poważanie - już tam starszy pan Zubczewski napewno

myśli o tym, i wymyśli że będzie dobrze!.. I tak pogadując i rozmyślając dojechaliśmy o zmierzchu do Czechrynia. Podziękowawszy panu Sznilkowi, który znowu nie dał sobie nawet ^{nie} mówić ~~nic~~ o zapłacie, a raczej o wdzięczności z jego strony za towarzysztwo w drodze i ciekawą gawędę, a to jest dużo warte:" " bo widzi panicz, pieniądz to nie wszystko, zwykłej ludzkiej życzliwości za pieniądze się nie kupi, a dla mnie życzliwość pana i zacnego ojca panicza, jest dużo warta!". Przyponiały mi się tu słowa Lwa Mikołajewicza Tołstoja, który na te tematy filozoficznie napisał tak: " ubóstwo /biedność/ to nie wada ale wielkie świństwo!" w życiu ludzi uczciwych. Rozstawszy się więc ze Sznilkiem w dobrej komtywie, pobiegłem szybko do dworku byłego "hołowy uprawy" Łopatina, gdzie mieściła się "Delegatura skupu owsa i siana" na potrzeby wojska, przeorganizowana ostatnio w instytucję zwaną "Łagot-sieno" czyli Państwowe biuro skupu owsa i siana, gdzie ojciec pełnił funkcję głównego księgowego do spraw likwidacji delegatury wojskowej na cały okręg - zmiana ta nastąpiła po ustaniu okresu "wojskowego komunizmu" i wprowadzenia w życie NEP -u. Zarządzenie to znosiło równocześnie zniechęconą przez ludność "pródraszniostkę", wprowadzając zamiast niej wolny handel rynkowy. Radość mojej rodziny z mego niezapowiedzianego przyjazdu była ogromna. Po czułym przywitaniu się ze wszystkimi, przy którym nie obeszło się oczywiście bez łez radości mojej matki, po wręczeniu przywiezionych łakoci Marii i Jerzemu, perfum "Czerwony mak" мамі, ~~cytryny i kieszonki~~ ^{cytryny} a ojcu tytoniu ^{cytryny} /gatunku "wysze srednij" cechującego się średnią mocą, a za to znakomitym smakiem i aromatem, ~~o jakim~~ zasiedliśmy do kolacji - przebiegła ona w miłym rodzinnym nastroju, radosnym gwarze i apetycie. Po kolacji patrząc na mnie poufale, i jak wyczytałem z jego oczu, z zadowoleniem powiedział: " dobrze się składa że jesteś, synu, w domu - bo widzisz, jesteś mi potrzebny do opracowania botanicznej wartości siana i ~~wyrównawczej~~ wyrównkowej ewidencji, czyli inwentaryzacji rocznej siana w odległym o 7 wiorst punkcie skupu, w dużym rozległym siole Styciwkie, bo widzisz mam pewne wątpliwości co do uczciwości kierownika tego punktu skupu - znają bardzo dobrze te okolice i łąki styciwskie przez które przepływa rzeka Tiaśmin, a o parę kilometrów w dół rzeki rżlewa się szeroko, i tu brak jej regulacji powoduje częściowe zakwaszenie gleby łąkowej ~~z~~ tam ^w nagminnie występuje skrzyp łąkowy, szczaw koński i trzcianka-siano jest tam kwaśne i niechętnie jedzone przez konie nadaje się raczej na ściólkę niż na karmę - kierownikiem tego punktu jest niejaki Iwan Bałda, który już nie raz podpadł mi przy przedkładaniu

ojciec

więc

dowodów skupu siana rzekomo samego dobrego i to po zauważonej cenie, z traw tymotki, które również tam rosną— pamiętasz zasadę twego dziadka Mikołaja, który zawsze pouczał, że ludziom należy ufać i wierzyć, ale przy tym trzeba również pamiętać i o umiejętnej kontroli, a nigdy jej nie za wiele - Lenin też powiedział: "dowieraj i sprawdzaj" / ufaj ale sprawdzaj/- więc myślę, że jeśli chcesz to jutro będziesz mi towarzyszyć w podróży do Styciwki, a że jest właśnie okres przedświąteczny, więc furmana, znanego ci Iwana Repetę, zostawimy w domu i wybieżemy się we dwójkę, no i *jedąc* pogadamy ~~o~~ o dalszej twojej drodze życiowej?".... " Droga ustaliła się i przetała więc pojedziemy (wałymi wysokimi sankami o płozach obitych z "podriezami" / ściętymi na ostro/ od dołu, one nie zarzucają w szybkiej jeździe, są lekkie zwinne i mają dużą stateczność - do Styciwki pojedziemy rzeką Tiaśminem po lodzie, a po drodze może trafi się jaki lis, których tam nie brakuje - wracać będziemy już traktem głównym!".

Jak się umówiono, tak się też stało, wyjechawszy rano o 7-ej po skromnym śniadaniu, dotarliśmy po prawie na pół metra zamrożonej rzece Tiaśmin aż do ustawionych na jej brzegach dużych stert siana, już dobre 3 wiorsty za siólem Styciwka, i zaraz wzięliśmy się za pracę. Ja szybko przerzucałem mierniczą taśmę zwiniętą w "ruletkę" / w skórzany pokrowiec, z którego przy rzucie w locie się rozwijała/ dokonując w óten sposób pomiarów, ~~skrajnie~~ długości szerokości i wysokości stogów, a ojciec zapisywał ich objętościowość, obliczając przy tym ich wagę według ustalonych tablic Czerwińskiego-Liskuna. Tablice te podawały zawartość siana w jednym metrze sześciennym z dokładnością do 10 kilogramów i przy uwzględnieniu terminu ułożenia siana w stóg - przeciętnie waga metra sześciennego wynosiła od 300 do 400 kilogramów. Po dokonaniu pomiarów oraz botanicznej klasyfikacji zawartości każdego stogu wyzukałem, że ojciec jest z mojej klasyfikacji botanicznej i pokarmowej bardzo zadowolony - według tej klasyfikacji, zwanej "duńską", 6-8 kilo dobrego łąkowego siana zawierało jedną jednostkę pokarmową równą 1 kg owsa. Pomiarów i obliczeń ~~tak~~ wartości odżywczej stogów zabrakło nam sporo czasu, więc zmarznięci posililiśmy się wziętymi z domu w kuferku prowiantami, popili gorącą herbatą z termosu i dopiero teraz, zadowoleni z siebie, wybraliśmy się do punktu skupu w Styciwce, do którego dojechaliśmy, nakładając nieco drogi od strony traktu wiodącego z Czechrynia. Kierownik punktu skupu, Iwan Bałda, był wyraźnie zaskoczony naszą niespodziewaną wizytą i z zażenowaniem witał nas i zapraszał " w swe niskie progi - ale robisz dobrą minę do złej gry. Ojciec grzeczenie ale

ale chłodną, bez podania ręki, przywitał się z kierownikiem, podziękował mu za zaproszenie i z miejsca, bez ogródek, oznajmił Iwanowi Bałdzie, że ma już dość jego buhajteryjnych i rachunkowych krętaństw, i nie ma chęci ani zamiaru nadal je tolerować - wie dobrze że sterty z kwaśnej trawy, osoki i trzcianki były w raportach i rachunkach wykazywane za siano szlachetne dobrej jakości, a ceny za nie wystawiano w wysokości rzekomo niższej - wie, że kierownik Bałda posiada liczną rodzinę i tylko dlatego nie skieruje sprawy tych oszustw na drogę właściwą, do władz wyższych, ~~gł~~ pod warunkiem jednak, że jutro zostaną dostarczone do biura prawdziwe i rzetelne rozliczenia, po których przedstawieniu będą wycofane oszukańczo "zmajusterkowane" dowody kupna siana, a jednocześnie kierownik Bałda złoży dobrowolną rezygnację ze swego kierowniczego stanowiska - rezygnacja ta zostanie bez dalszych skutków przyjęta jeśli kierownik Bałda przedłoży przy tym pokwitowanie na wpłaconą do kasy całą kwotę niuczciwie uzyskanej różnicy cen powstałej z fałszowanych transakcji. Krótko, zdecydowanie i radykalnie likwidował mój ojciec takie "niepachnące" sprawy, zawsze jednak biorąc pod uwagę humanitarnie dalsze losy człowieka i jego rodziny.

Pożegnawszy ~~mi~~ chłodno kierownika Bałdę ruszyliśmy z kopyt - konie były zmarznięte z przydługiego stania na mrozie - do odległego o ~~7~~ wiorst Czechrynia, drogą wiodącą przez las i wąwozy, prawie stale pod górę. Ja prowadziłem lekkie i zwinne sanki, a ojciec zajął się załadowaniem fuzji - była to fuzja znanej firmy "Sauer", kalibru 16, nabijana loftkami na wilka., lub lisa. Prędko zapadał zimowy zwrok, konie, dobrze nafutrowane w czasie postoju w Sticzywcw owsem z podróżnych sakw, biegły żwawo z parskaniem - na niebie ukazał się, ~~niebieski~~ w chwili wyjazdu z lasu, księżyc w pełni. Konie żwawo rwały do domu, sanki płynnie sunęły wąwozem, którego zbocza porastał stary liściasty las, kiedy w pełnym momencie konie zaczęły okazywać niepokój, zwietrywszy wilki, i nagle, z zakrętu drogi wyskoczyła cała staja tych drapieżników, prowadzona przez wielkiego wspańskiego przewodnika "basiora". Basior ten, odbiwszy się w biegu od ziemi, drapieżnym skokiem rzucał się na prawą klacz by chwycić ją sposobem walców, za gardło - lecz w tym momencie padł jeden celny strzał oddany przez ojca, wilk zwinął się ^w kłębek i padł na miejscu - zabity. Konie w tej chwili pohiosły szalonym pędem, a głodna zgraja wilków zatrzymała się ~~na moment~~ przy trupie zabitego basiora, by błyskawicznie rozerwać na kawały i pożreć ciało swego przywódcy. ~~Wskazywał~~ Dalec to nam kilka minut przewagi,

którzy wykorzystaliśmy pozostawiając ~~widząc~~ wilków nieco ~~dalej~~ za sobą, o jakieś 300 metrów. Szybko jednak załatwiły się zgłodniałe wilki zęścierwem swego przewodnika, i, posmakowawszy już krwi, ~~znowu~~ ^{znowu} rwały w szalonym pościgu za nami. Na nasze nieszczęście w chwili kiedy ojciec oddawał swój przytomny i wspaniale celny strzał do wilka, ~~wystrzał~~ nastąpiło szarpnięcie sanek, ~~właśnie w tym momencie~~, ~~ona~~ skórzany pas z ładownicą i będącymi w niej nabojami, leżący na wierzchu okrywającej nogi baranicy, zsunął się i ~~wypadł~~ wypadł z sanek, a sgraja wilków, rozjuszonych krwią, była tuż tuż. I znowu, na odmianną, utrata pasa i patron-tassa /ładownicy/ powstrzymała na moment pęd wilków - obok-czyli one tę nową zdobycz, lecz rozszarpanie jej ~~wystrzał~~ trwało tylko moment. Lecz i ten krótki moment dał nam znowu pewną przewagę i możliwość ponownego odbicia się od stacji o około 150 metrów. W tym czasie ojciec, nic nie mówiąc, trzymał gotową do strzału swą fuzję z jedynym pozostałym w lufie nabojem, i z napiętą uwagą śledził, czy wilki zbliżają się już tak blisko, by znowu móc zaatakować konie. Szybkim ruchem wręczył mi jeszcze pudełko zapalek, i w dogodnej chwili powiedział: "zapalaj po kilka na raz - złożonych razem i rzucaj na wilki, jak będą się zbliżały do sanek, celuj prosto w ślepią!". Konie niosły już ostatkiem siły, ja zaś zapalałem złożone po dwie i trzy zapalaki raz po raz, i rzucałem je ^{na} doskakujące tuż tuż wilki - za każdym błysnięciem ognia odstawiały one od sanek na jakiś sądek za nami. Nie było, na szczęście, wiatru i zapalaki nie gasły odrazu, a tu już właśnie kończyło się ostatnie wzniesienie i droga poszła dość stromo w dół. Rozpędzone w cwał konie doniosły nas łatwiej teraz, w szalonym pędzie jak wichur na przedmieście Czechrynia, a psy, których tu było nie mało, zwietrywszy wilki, ~~wyszły~~ rozpoczęły gwałtowny jazgot, tak dla nas pożądany i zbawczy. Psi szczelek i lament zaalarmował ludzi, na ulicę wyskoczyli ze strzelbami, przygotowani na takie okazje, okoliczni mieszkańcy, rozległo się parę strzałów. Staja wilków zatrzymała się, ~~cofnęła~~ cofnęła i zginęła w mgłę i mroku. Bardzo byliśmy obaj z siebie zadowoleni - i ja ojciec. Uniknęliśmy niechybnej śmierci w wilczej paści, przeżyliśmy niezapominane emocje, nie stchórzyliśmy, walczyliśmy do zwycięskiego końca. Na zapytanie skierowane przeze mnie do ojca - dlaczego nie strzelał, mając przecież jeszcze jeden nabój w drugiej lufie fuzji?, odpowiedział mi ojciec, już spokojnie i rzeczowo: "dla tego, mój synu, że od niego, od tego ostatniego strzału, od jego celności, zależało życie nas obu - strzał ten był przeznaczony dla tego wilka, który już będzie skakał do gardła

koni, jak to zrobił pierwszy basior - nasze ocalenie więc zależało ~~na~~ całkowicie od naszych dobrych koni, przeznaczeniem których jest przecież "wozić i wodę i wojewodę", i celności tego jedyne go, ostatniego strzału".

Wszystko co dobre, prędko się kończy - mówi przysłowie, zbyt ~~prędko~~ prędko skończyły się też i te moje zimowe wakacje. Wracalem do szkoły, podbudowany decyzją ojca o dalszych moich studiach w wyższych szkołach rolniczych, wracałem do Czerk^{as} kas rozgłaszając o jaknajlepszym przygotowaniu się do egzaminów końcowych, które już tak niedługo oczekiwały mnie, a miały się odbyć przed Państwową Komisją Egzaminacyjną - zbliżający się okres nauki był na wagę złota.

Ocehilem go należycie - wykorzystalem ^wcałkowicie - ~~WYNIK~~ Skutek : ogólny wynik egzaminów złożonych przed Państwową Komisją Egzaminacyjną przy udziale władz nadrzędnych, Kuratorium, i innych - BARDZO DOBRY.

Za parę tygodni miałem otrzymać z takim uporem zdobyte i tak zasłużone świadectwo ukończenia nauki oraz wynagrodzenie za pracę zarobkową, wykonywaną na nocnych zmianach w rafinerii Czerk^{as}kiej Cukrowni przy transportowaniu do wagonów kolejowych małych wózków naładowanych głowami cukru, a tymczasem odpoczywałem, spacerowałem, czytałem.

Był piękny słoneczny czerwcowy dzień kiedy wracałem z pracy w szkółkach drzewnych w towarzystwie polaka Anatola Zabłackiego i dwóch żydków : Hersza Zwiagolskiego i Arona Furmana. Zwiagolski miał piękny baryton i w pewnej chwili rozpoczął śpiewać pełnym głosem popularną wówczas piosenkę o nieco frywolnym i drażliwym brzmieniu tekstu : " Ty nie płacz, moja Jaryna ,! szcze ne wmerła Ukraina, szcze Petlura i Polaci, dobre nam dadut, po sracie!" . Podchwyciliśmy obaj z Furmanem solidarnie rytm i melodię piosenki i jej słowa - zupełnie zapomniałem w tej chwili o życiowych wskazówkach mego horoskołu, który przecież nakazywał dla urodzonych pod znakiem "barana", szczególną ostrożność w sprawach osobistych i przy bliższych kontaktach z ludźmi. Bardzo mnie więc zaskoczył otrzymane po paru dniach wezwanie na wspólne zebranie nadzwyczajne Rady Pedagogicznej szkoły, Rady Komitetu Uczniowskiego i Komsonolu, którego sekretarzem był już od roku wspomniany Hersz Zwiagolski. Punktualnie o godz. 10-ej rozpoczęło się posiedzenie owego kolektynu, któremu przewodniczył ^{kwiercem}nowomianowany dyrektor szkoły Chomienko, dotychczasowy dyrektor, geodeta i pedagog Iwanow, został przeniesiony do innej szkoły. Po zagajeniu zebrania przez dyr. Chomienkę został następnie odczytany, ku memu niezmiernemu

zskoczeniu i zdziwieniu, wniosek szkolnej komórki Komsomolu o wstrzymanie wydania mi świadectwa ukończenia szkoły na przeciąg jednego roku - prosto zawieszenie wydania tego świadectwa. Wniosek był umotywowany tym, że jako Polak szerzyłem szowinizm i nacjonalistyczną propagandę, śpiewając o "Petlurze i Polakach", działałem więc destruktywnie na umysły i ideologię uczniów szkoły, kolegów, którzy mieli za 12 dni opuścić szkołę w charakterze abiturientów. Wniosek zawierał też propozycję pozostawienia mnie na jeszcze jeden rok w szkole w charakterze płatnego magazyniera dydaktycznego gospodarstwa szkoły - wynagrodzenie miało wynosić 25 rubli miesięcznie, darmowe mieszkanie /pokój/, światło i opał oraz utrzymanie /wyżywienie/ w stołówce szkoły. To względnie "łagodne" ustosunkowanie się do mnie komórki komsomolskiej nam rzekowo zawdzięczać nojemu jeszcze młodemu wiekowi, gdyż gdybym był pełnoletnim groziło mi całkowicie wydalenie ze szkoły. Ostateczną decyzję o wstrzymaniu mi na rok wydania świadectwa szkoły ma powziąć Kuratorium na odpowiedni wniosek w tej sprawie, który sporządzić ma dyr. Chomienko. Kuratorium z pewnością, jak mówiono przy tym, dokona przed decyzją wydalenia ze szkoły czy tylko wstrzymania świadectwa, sprawdzenia mojej lojalności politycznej i jakości /oceny/ mojej pracy na stanowisku magazyniera gospodarstwa szkolnego. Od natychmiastowego wydalenia mnie ze szkoły, jako Polaka niepewnego ideologicznie i negatywnie ustosunkowanego do ustroju, uratowała mnie tylko solidarna postawa Arona Furmana i Anatola Zabłuckiego, którzy jednoznacznie oświadczyli i stanowczo potwierdzili zebrany, że inicjatorem i "zapiewajką" tej prowokacyjnej piosenki był nie kto inny, a właśnie sam sekretarz Komsomolu szkoły - Hersz Zwiagolski, i że piosenkę tę śpiewali wszyscy uczniowie gdyż na ostatnich lekcjach ukraińskiej literatury ludowej była ona cytowana jako przykład twórczości ludowej i piosenek z czasów wojen kozackich roku 1648. Zdarzyło się też w tamtych czasach, że schwymano wysłannika króla polskiego Jędrzeja Strykowskiego, a Bohdan Chmielnicki, pragnąc odwdziżyć się Strykowskiemu za uratowanie go w swoim czasie z rąk ludzi nasakynach przez starostę Czaplińskiego z Czechrynia, oddał Strykowskiego Tuhaj-Bejowi, z zamiarem późniejszego wykupienia go z jasyru - a tłum kozaków siczowych samorzutnie i spontanicznie zaintonował na tę okoliczność piosenkę: "Hej-hej, Tuhaj - Bej, razserdywsy duże! - hej.hej, Tuhaj-Bej! ne serdysia družę! - hej-hej, Tuhaj-Bej, pogodysia družę!". Po dyskusji kolektywu, w zarządzonym głosowaniu zapadła decyzja o wstrzymaniu mi na rok wydania świadectwa większością tylko jednego głosu - w tym rachunku zaważyły dwa głosy dyrektora Chomienki, takie były bowiem przepisy, że dyrektor miał głos decydujący liczony za dwa.

Nowy dyrektor, Chomienko" kierował się oczywiście, oddając swe dwa głosy przeciw mnie, chęcią wykażania swej gorliwości i czujności wychowawczej w "jego szkole", gdzie wychowanie ideologiczne stawiane na pierwszym planie i jest głównym celem wychowania młodzieży. Tak więc pospolita podłość człowieka, który nie będąc pedagogiem lecz agronomenem po ukończeniu szkoły w Humaniu, a następnie sekretarzem Komitetu Partii Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego w pobliżu Humania, awansował teraz do stanowiska dyrektora czerkaskiej szkoły i chciał się na tym stanowisku utrzymać za wszelką cenę, nie licząc się z nikim i niczym oprócz władz - nie ważne więc dla niego były i zdania młodzieży przemawiającej za mną, i głosy pedagogów szkoły dobrze mnie znających Osnołowskiego, Piure, wujka Szpakowskiego. Czuję się, siedemnastolatek zamierzający dopiero rozpocząć samodzielne życie, na pół zarżniętym, przetrąconym nagłym ciosem naczugi spadłej mi niespodziewanie na bark celera ogłuszenia. Trzeba tu jeszcze dodać charakterystykę postaci obu zamieszanych w sprawę izraelitów. Otóż obaj, i Furman i Zwiagielski, byli od dzieciństwa wychowankami sierocińca, rodzice ich i całe rodziny zginęli w czasie ~~przez~~ wojny domowej, w powszechnej rzezi "żydów i lachów", a ja, jak dobry kolega, bezinteresownie pomagałem przez całe lata właśnie Zwiagielskiemu w odrabianiu lekcji i zadań z matematyki i fizyki, których to przedmiotów nie lubił Zwiagielski i nie dawał sobie absolutnie z nimi rady - można by tu powiedzieć: wyrodek, wyjątek wśród żydów, będących na ogół zdolnymi matematykami. Tym bardziej nieoczekiwana i bolesna była dla mnie świadomość ciosu z tak brudnej ręki kolegi.

Wykazałem wówczas wiele, jak na moje 17 lat rozwagi i opanowania. Rozmyślałem: co robić - jak postąpić?..Sprawa miała wyraźnie wydźwięk i aspekt polityczny, i wszechstronnie ją rozważając, samodzielnie doszedłem do słusznego chyba wniosku, że ja byłem tu tylko pretekstem i kozłem ofiarnym w zapal^anowanej przez dyrektora Chomienkę ~~w zapalowanej przez niego~~ poważniejszej brudnej robocie, "rozróbce" jak by się dzisiaj powiedziało, na cały regulator. Chomienko, w spółce z paczką zaprzędanych mu komsonolców, nienawidząc Polaków i wszystkiego co polskie, i dążąc do mocnego ~~maximalistycznym~~ bezkonkurencyjnego usadowienia się na fotelu dyrektorskim, rozpoczął ode mnie akcję usunięcia ze szkoły nie tylko lepszych uczniów Polaków ~~za~~ lecz także, i chyba w pierwszym rzędzie, wykładowców polskiego pochodzenia, ciesząc się z reguły szacunkiem i sympatią młodzieży i zastąpienia ich ukraińcami, choćby niewielkiej wiedzy i niewysokiego lotu, ale

ślepo mu uległymi w jego nacjonalistycznej, szowinistycznej robocie. Ustaliwszy już głębszy sens tej niespodziewanej, a perfidnie zaplanowanej napaści na mnie, zdecydowałem: muszę dotrzeć do władz tak wysokich, które mnie wysłuchają, zrozumieją i wezmą w obronę - a przede mną ogół Polaków popędzających na Ukrainie. Więc nie zwlekając, po kolacji tegoż dnia ubrałem się przyzwoicie, ~~nie~~ nie nikomu nie mówiąc, na własną rękę i odpowiedzialność wyjechałem koleją z Czerkas, przez węzłową stację Bobrinskaja, do Charkowa, gdzie jak wiedziałem, miały swą siedzibę Centralne władze Radzieckiej Ukrainy. Moją decyzję podróży koleją "na gapę", pieniędzy nie było zbyt wiele, znakomicie ułatwił mi klucz kolejarski służący do otwierania drzwi wagonów i przedziałów pasażerskich, wypożyczony od kolegi, niejakiego Włodzimierza Bobryńskiego ze Smieły, syna kolejarza. Na stacji Bobrynskaja wsiadłem się niepostrzeżenie od tylnej strony pociągu pośpiesznego mającego wkrótce odejść do Charkowa, przedostałem się do przedziału służbowego wagonu I-ej klasy, przeznaczonych na pościel do wagonów i miejsc sypialnych / t.zw. plackartnych / zaszyłem się wśród koców leżących na górnej półce, od strony ściany - i poduszek wkrótce zasnąłem snem sprawiedliwego, a na rano byłem już w Charkowie. Ze stacji udałem się tramwajem prosto do siedziby Wykonawczego Centralnego Komitetu Ukrainy, organu wykonawczego najwyższej władzy radzieckiej Ukrainy. Na czele tego Komitetu stał w tym czasie Wszechukraiński Starosta / taki był jego tytuł / Grigorij Iwanowicz Pietrowskij, stary działacz partii Lenina, internacjonalista, a przede wszystkim prosty i, jak rzadko jeszcze w tych czasach, dostępny dla ludzi, a przy tym życzliwy i ujmujący. Już przed godziną dziesiątą byłem w posiadaniu przepustki do towarzysza Starosty i informacji o trybie wizyty u niego, o zdobyłem to z niemałym wysiłkiem w biurze przepustek gdzie zapoznawszy się wstępnie z "moją sprawą", próbowano mnie poprostu "spławić" do gabinetu Komisarza Oświaty Ludowej Ukrainy Skrypnika - lecz sprawa była ze mną, upartym litwinem", który kategorycznie domagał się wizyty u Starosty, twierdząc że "moja sprawa" dotyczy nie tylko mnie, ale i całej młodzieży uczącej się w szkołach średnich - wreszcie taka stanowcza postawa ucznia petenta, reprezentującego interesy nie tylko / jego pojedynczej "skromnej osoby" lecz szerokiego ogółu, sprawiła, że dyżurny urzędnik, po telefonowaniu się z gabinetem Starosty, polecił starszemu podoficerowi milicji wystawienie mi przepustki do samego Starosty, a wręczając mi tak upragniony papiersek kiwał głową i dziwił się że: "patrzcie, patrzcie, taki młody i tyl

tupetu - no, no ! - do samego starosty ! ?..." Na co ja, ódziękując i składając szarmancki ukłon, wyszedłem z biura przepustek i udałem się do okazałego gmachu, siedziby Władz Najwyższych Radzieckiej Ukrainy, trzymając przepustkę w ręku. W obszernym, jasnym hallu, wyłożonym pięknym, wachodnim, dużym dywanem w czerwone róże, zatrzymał mnie jeden z dyżurujących tam milicjantów wystrojonych w białe kitle i w białych rękawiczkach, z hełmami na głowach - drugi z milicjantów siedział ~~siedział~~ przy niewielkim sgrabnym mahoniowym biurku, obok którego, w prześwicie międzyokiennym stały okazałe palmy, których odbicia błyszczały we wspaniałym wielkim lustrze stojącym przy przeciwległej ścianie. Po oddaniu przepustki i legitymacji uczniowskiej z fotografią / paszportu jeszcze nie miałem jako małoletni / owemu milicjantowi przy biurku, dotarłem wreszcie do sekretariatu towarzysza Starosty. Przywitała mnie tutaj sympatyczna starsza pani pytając o cel mojej wizyty u starosty - znowu więc musiałem jej powtórzyć, ~~któ~~ ^{skąd} jestem, skąd przyjeżdżam w sprawie, która moim zdaniem dotyczy nie tylko mnie lecz szerokiego ogółu młodzieży szkół średnich ogólnych i rolniczych. Mówiłem głosem ścisłym w tym przybytku władzy, ale stanowczo i przekonująco - nie podając jednak sedna sprawy. W rezultacie owa pani ~~pozwała~~ ^{pozwała} mi usiąść i zaczekać, a sama weszła przez szerokie drzwi białe malowane i ozdobione nosiężnymi ~~szkła~~ ^{szkła} do gabinetu starosty. Po chwili szeroko rozwarły się te drzwi i pani owa, z szerokim zapraszającym gestem powiedziała, że mogę wejść. Zerwałem się więc z fotela, na którym siedziałem i pewnym krokiem weszłem do dużego gabinetu Głowy Państwa. Towarzysz Grzegorz Piotrowski, którego nigdy przed tym nie widziałem, siedział za dużym dębowym biurkiem, ubrany w prostą czarną koszulę / rubaszkę / z jedwabiu, ze stojącym kołnierzykiem, przepasaną jedwabnym pasem z chwościkami. Był to mężczyzna w wieku lat 53-55, z niewielką siwiejącą bródką ściętą w klin, z czarnymi, przyprószonymi siwizną włosami i przenikliwymi, ale zycyliwił patrzącymi na mnie oczami, ukrytymi za zwykłymi okularami w złotej oprawie / podobnymi do tych, które kiedyś z polecenia ojca sprzedawałem Lejzorkowi /. Starosta przyjrzał mi się z zainteresowaniem, uśmiechnął się i spytał witając : "dzień dobry junaku! co cię tu do mnie sprowadza ?." To przyjazne i "ludzkie" zachowanie się władzy odmieliło mnie i ułatwiło rozpoczęcie moich wyjaśnień, które brzmiały jak następuje : " Towarzyszu Starosto ! Lenin, którego portret widzisz tu na ścianie, mówił - uczyć się, uczyć się, uczyć - a tymczasem takie są sprawy, ~~i~~ ^{dalej} opowiedziałem całą tę nieszaczną, celowo sprowokowaną historię mającą zaszkodzić mnie, Polakowi, a jako precedens, zapewne i innym moim rodakom ,

a cała sprawa przecież jest w zasadzie błaża, piosenka była śpiewana na lekcji literatury ukraińskiej, której źródła tkwią w dziełach takich genialnych twórców jak Puszkina, Mickiewicza i Szewczenko - opowiedziałem pokrótce dzieje swojej najbliższej rodziny, o ojcu leśniczym i inwalidzie wojennym, matkę nauczycielką walczącą przy pomocy oręża oświaty o wolność i sprawiedliwość, o moim prapradziadku straconym okrutnie na placu twierdzy Omskiej razem z dekabrystami, Mielodinem i Saninem ... i tak dalej. "Tak - sprawa rzeczywiście interesująca i niecodzienna - ale trzeba będzie zaczekać parę dni na jej dokładne wyjaśnienie!" - odpowiedział Starosta. Wówczas wyznałem że do Charkowa przyjechałem "na gapę", że mam tylko na chleb i herbatę, a nocować chyba będę musiał na stacji kolejowej - ale starosta uśmiechnął się, uspokoił mnie pod tym względem, i podniósłszy słuchawkę telefonu połączył się z Komisarzem Oświaty Skrzypnikiem przekazał mu pod opiekę na parę dni moją osobę, zalecając mu przyzwolite moje zakwaterowanie i wyżywienie do czasu wyjaśnienia sprawy, z którą przyjechałem do niego aż z Czerkas. Przekazując mnie Skrzypnikowi, zaznaczył że sprawa jest również z dziedziny oświaty, i da jej komisarzowi bliższy wgląd w to co się w jego resorcie dzieje na prowincji. Kiedy wstałem pragnąc pożegnać już Starostę, zatrzymał on mnie jeszcze, zadzwonił i wezwanej sekretarce polecił wystawienie na moje nazwisko czeku na kwotę 25 rubli "na drobne wydatki dla tego junaka" - równocześnie też podyktował tej pani treść stenogramu do Komisarza Oświaty w tej mojej i nie mojej sprawie, polecając Komisarzowi dokładne jej zbadanie i przedłożenie mu wyników badania i wniosków z tego wynikłych. Dopiero po załatwieniu tych spraw wyszedł towarzysz starosta z za biurka, i podając mi, stojącemu już na baczność w przepisowej postawie, z uśmiechem rękę, rzekł: " Jesteście dobrze wychowanym i dzielnym młodzieńcem, dzięki Waszemu uporowi w walce o swoją słuszność, zapoznałem się nieoczekiwanie z ważnymi sprawami związanymi ze szkołą i oświatą - tak, jak one wyglądają w rzeczywistości, a nie jak są przedstawiane w sprawozdaniach urzędów szkolnych i kuratorów - przekazana mi przez Was sprawa to sygnał do działania - możecie być dumni że swoich rodziców że potrafili Wam zaszcześcić zapal do nauki, którą będziecie kontynuowali zgodnie ze dwoma planami życiowymi - kraj potrzebuje świątliwych i odważnych ludzi do usuwania niesławnej spuścizny carów - do widzenia, chłopcze, a że jesteś Polakiem to nic nie szkodzi, znam osobiście wielu dobrych Polaków - będziesz się dalej uczył - jak to nakazywał Lenin ! "

Po opuszczeniu gabinetu Głowy Państwa i otrzymaniu wkrótce czeki do Narodowego Banku, który błyskawicznie przyniesiono z Wydziału finansowego, oraz dołączonego biletu do Teatru Wielkiego Opery

i Baletu, a także bilet wstępu do wszystkich muzeów, pożegnałem się z obecnymi w sekretariacie Starosty i opuściliśmy okazałe gmachy WCK Ukrainy. Po odbyciu tego jeszcze dnia wizyty u Komisarza Skrzypnika, wizyty która przebiegła w formie przyjaznej gawędy, wieczór spędziłem w Teatrze Wielkim z wielką przyjemnością oglądając po raz pierwszy w życiu balet Piotra Czajkowskiego "Jezioro łabędzie".

po przyjęciu

Po kilku dniach pobytu w Charkowie, syty wrażeniami i zachwytem po zwiedzeniu muzeów, z listem w kieszeni / od Komisarza Skrzypnika do kuratora Okręgu Szkolnego Czerkaskiego / polecającym natychmiastowe wydanie mi świadectwa ukończenia Średniej Trzyletniej Integralnej Szkoły Rolniczej w Czerkasach i jednocześnie skierowanie mnie na płatną praktykę do Mlejewa / zgodnie z moim wnioskiem /, gdzie mieściła się Stacja Pomologiczna imienia słynnego uczonego Iwa Platonowicza Simiriienki - udałem się w drogę powrotną. Po przybyciu do Czerkas / już nie "na gapę" / Bowiedziałem się z miejsca, że Iwan Ignatowicz Chomienko został zawieszony i nie pełni już funkcji dyrektora szkoły, a sprawa jego postępowania została skierowana do Komisji Dyscyplinarnej - a obowiązki dyrektora pełni Włodzimierz Arkadiusz Osmołowski, pedagog i społecznik - Płak. Radość moja była pełna : i z faktu tej nieoczekiwanej a z aprobatą przez wszystkich w szkole uczniów i nauczycieli, nominacji Osmołowskiego, jak i faktu że przecieź polakożerca Chomienko dopiął swego i rzeczywiście "zwrócił na swoją osobę" uwagę władz szkolnych, i to uwagę nie byle jakiegoś tam kuratora, ale samego Starosty Ukrainy i samego Komisarza Oświaty Ludowej. Niestety obaj ci ludzie padli ofiarami czyski w roku 1937 - Grzegorz Piotrowski został zrehabilitowany w roku 1954, już po śmierci Stalina, i objął po śmierci Kalinina stanowisko przewodniczącego CIK ZSRR, a Skrzypnik, w chwili kiedy do jego gabinetu wchodził "enkawudziści" / pracownicy służby bezpieczeństwa / połączył się telefonicznie z żoną i zdążył jej jeszcze powiedzieć dwa słowa : "Żegnaj, Nadia" - po czym w słuchawce dał się słyszeć suchy odgłos strzału samobójczego strzału z pistoletu. Strzałem tym uniknął ten szlachetny człowiek męki tortur, zniecierpliwienia i poniżenia jakie go oczekiwały na skutek zapewne fałszywego donosu jakiejś kahalii ludzkiej typu i pokroju Chomienki.

Nie mogę tu ominąć paru ~~niekiedy~~ refleksji ogólnych związanych z moim osobniczym, jednostkowym życiem. Historia naszego narodu patrzy na nas z wyrzutem, pokazując zmarnowane okazje, niewykorzystane szanse - ja jednak tej swojej szansy, być może drobnej dla ogółu społeczeństwa, ale nie dla mnie 17-0 letniego młodzieńca, nie zmarnowałem, nie zaprzepaściłem. Chodziło przecieź już nie

tylko o moją osobistą przyszłość ale ważyło też o losach całej pozostałej naszej rodziny. Po przeżytych chwilach zaskoczenia, niesmaku i goryczy, to czego dokonałem ja, młody chłopiec, Polak, wśród odrębnego i walecznego społeczeństwa, napawało mnie dumą i budziło jakiś dziwny sentyment do naszej narodowej przeszłości. To, że Naród Polski w swych upadkach i zrywach przetrwał i ocalał, odzyskał wreszcie niepodległość, zawdzięczał właśnie swemu uczuciu sentymentu dla Ojczyzny, zachowanemu w świadomości przeciętnego Polaka - a mój upór, inicjatywa osobista, samodzielność i wytrwałość zaważyła przecież na losach nauczycieli-Podków, uchroniła ich od nieuniknionego ciosu przygotowywanego przez klikę Chomienki do spółki szowinistycznymi koteriami z kręgów kuratorium szkolnego czernieckiego. Analogicznie chyba zakorzenienie się sentymentu dla Ojczyzny i jej historii w sercach milionów Polaków, stało się i jest świadectwem siły, a nie słabości Narodu, jego nowoczesności, a nie konserwatyzmu. Ta "dialektyka" przeszłości i przyszłości to problem złożony, wymagający głębszej niż dotychczas analizy i potraktowania: cudze chwalić, a swego "nie chcemy znać" - bo posiada tak dużo goryczy -- ale i dumy!. Jestem dziś człowiekiem o dojrzałej i pełnej osobowości, jestem człowiekiem, który był w stanie innych inspirować, pobudzać do czynu, do zrywu, do pracy i walki. Na drgkach prowadzących do granic Ojczyzny, i do przekraczania tych granic, poragałem wielu ludziom, a uzbroiła mnie w tę siłę bogata historia życia wewnętrznego i tradycje kultury polskiej. Jestem przekonany, że od postawy człowieka zależy wszystko, a przede wszystkim losy kraju ojczystego!.

Wydawać by mię mogło że niczego specjalnego wówczas, w tej chwili ciosu losowego i zerwaniu się do walki z nim nie dokonałem. Ale trzeba jednak było hartu, uporu i wytrwałości swoistych Zubczewskim, żeby spełnić swoją powinność w obec siebie i swoich, trzeba było mieć sporą dozę siły moralnej, aby się z nagłym życiowym problemem uporać. Przychodziły mi wówczas do głowy różne myśli: jakim jest człowiek - a jakim powinien być - ?-?. Pytanie to, wychylone w przeszłość jest nie mniej frapujące od pytania dotyczącego już współczesności - zawsze budzi niedosyt naszej świadomości. Fenomen ludzki wynika się bowiem spod wszelkich ograniczających go z natury rzeczy definicji i publicystycznych uogólnień. Pomimo to byłem przepełniony uczuciem satysfakcji - nie pychy - że jednak cwaniactwo nie popłaca, i tym właśnie cechuje się człowiek - jak rano różni się człowiek zasługujący na szacunek i szowinistyczne rozrabiactwo nie popłaca - czego przykładem jest sprawa z Chomienko. Praca zaś, tylko ofiar na twórczą pracę zawodową daje nam pełną satysfakcję i szacunek

powszechny. Więc pełne poświęcenie się tej pracy twórczej i staraniom o ten "chleb powszedni", który przecież nie jest na świecie tak powszedni - rokowały mi w unikatowym rolnictwie całkowitą satysfakcję, uzyskanie poczucia sensu egzystencji, uznanie ludzkie - a przecież te moralne wartości są dla każdego człowieka niezbędnymi warunkami dla szczęścia osobistego, rozwoju rodziny, postępu społecznego.

Tak więc z początkiem 1925/26 roku szkolnego wszedłem po raz pierwszy w posiadanie indeksu studenckiego - zostałem studentem pierwszego roku w Wyższej Szkole Gospodarstwa Wiejskiego, na Wydziale uprawy roślin i roślinoznawstwa w miejscowości Migijewo, obwodu Odesskiego, na dalekich kresach wschodnich dawnej Polski. Byłem wyraźnie zadowolony z siebie, choć nie zarozumiały - warto było żyć na świecie!

Według legendy nazwa "Migijewo" wywodziła się od nazwiska jej pierwotnego właściciela, "stołbowego" /rdzenne go/ dworzanina, członka rodowej szlachty - już od czasów bowiem panowania Piotra Wielkiego, pogromcy Szwedów pod Połtawą /okres historycznej zdrady Polski przez hetmana Jana Mazepę - Kołdyńskiego pochodzącego z Wołynia/, każdy żołnierz za bohaterstwo okazane na polu walki lub szczególne zasługi otrzymywał, na wniosek swych dowódców /zawodowych starszych oficerów - pułkowników/, szlachectwo pospolite, to znaczy nie rodowe. Sam Piotr, kochający się w wojskowości, podobnie jak nasz Jan III Sobieski, był tym Carem, który "wyrąbał okno do Europy" zdobywając na Szwedach Kronsztadt i w ten sposób dojdzie do Bałtyku i na jego wody. A dokonał tego, nie zaniedbując też reform społecznych, ręką zbrojną, siłą orężną, mieczem i tarczą - w którą uzbroił narody Wszechrosji.

Legenda o Migijewie opowiada, że ów szlachcic Migijew miał piękną córkę, jedynaczkę imieniem Olga, która po tragicznej utracie ukochanego zwykłego pasterza, a popełnił on damobójstwo z rozpaczy iż będąc niskiego pochodzenia i żyjąc w nędzy nie będzie mógł pojąć Olgi za żonę, również z rozpaczy postradała zmysły i rzuciła się z wysokiej ^{skali} ~~skali~~ w odnętą szeroką rzekę Bugu /Bohu/ przepływającą u stóp tej skały. Ojciec jej, niepokieszony po stracie jedynaczki, częściowo choć pragnąc złagodzić swój despotyzm, a także dla uwiecznienia pamięci Olgi, postanowił, zamiast wspaniałego dla niej pomnika, ufundować w tym miejscu Szkołę Rolniczą z Pałacem Głównym, zapleczem przemysłnie urządzonej i fermą 385-cio hektarową urządzonej według niemieckich wzorów. Szkoła była zbudowana z głazów skalnych nadbrzeżnych, kryta czerwoną dachówką i stała na tych właśnie nadbrzeżnych skałach, z których rzuciła się w przepaść

zakochana, a skrzywdzona przez upór ojca Olga. Całość, otoczona pięknym parkiem, nazwał nieszczęśliwy filantrop i społecznik, ku czci niezapomnianej córki : " Olgienkoje Sielsko-choziajstwienkoje Ucziliszcze". Po Wielkiej Rewolucji na bazie tego zakładu powstała Wyższa Szkoła Gospodarstwa Wiejskiego w Higijewie - o 7 zaledwie wiorst od tego miejsca przebiegała , okalając szkołę z trzech stron, dawna granica Państwa Polskiego , a niedaleko, po drugiej stronie Bohu, leżały już miasta Owdiopol i Bałta w granicach Porty Otomańskiej.

Rzeka Boh, której obfitujący w pstrągi bystry nurt rwący po łożu skalistym wpadał do "Mare Euxinum" - morza zwanego po rosyjsku "Ewksinskaja Ponta", gdzie według znanej legendy-mitu krymsko-greckiej , bogini wiatrów Artemida , zagniewana na jednego z królów-wodzów greckich, Agamemnona, za zabicie przez niego na polowaniu jej świętej łani , zesłała silny wiatr przeciwny statkom ~~szkaczom~~ mającym pod wodzą Agemnona przewieźć do Troi kohorty wojów greckich. Dalszy ciąg tej legendy wiedzie do Taurydy , gdzie właśnie cudownie uratowana od śmiertelnego ofiarnego ciosu noża Ifigienja, córka Agamemnona, została kapłanką w świątyni Artemidy. Dwóch wielkich wieszczów, Adam Mickiewicz i Aleksander Puszkina, złożyło piękny hołd tej ziemi i Morzu Czarnemu, "Ewksinskomu Pontu", w nieśmiertelnych Sonetach Krymskich i Poematach . Piękne te ziemie głęboko i mocno zaznaczyły się w historii Polski - w dziejach wojen tureckich, tatrskich, kozackich. Dla Polski XVI i XVII wieków Krymskie stepy , góry, skały i morze są silnie powiązane z imionami królów i wodzów : Bolesława Śmiałego, Władysława IV-ego, Jana III Sobieskiego, hetmanów Zółkiewskiego, Chodkiewicza, Czarnieckiego. Odbicie tych historycznych czasów i dziejów bohaterskich zmagania na tej "płonącej granicy" tak przecież prawdziwie, a zarazem wzniosłe, bohatersko, patriotycznie przedstawił ~~przecież~~, i od niepamięci ocalił , a przywiązanie do Ojczyzny i Narodu wzmocnił i ożywił, ^{o kalcyst} sentyment Wielkiego Polaka i Pisarza : Henryka Sienkiewicza.

Cóż się więc musiało dziać w duszy mojej, siedemnastolatka, we wrażliwości i myślach moich, gdy znalazłem się tu, na tej ziemi? Odżywały obrazy i postacie tych czasów , ich losy toczące się w tej widzianej teraz przeze mnie na codzien/scenerii: stepów szerokich, skał nad Bohem, skał Krymskich - odżywała świetność i wielkość Ojczyzny i klęska jej upadków. A miałem spędzić tu, nad Bohem, na jego skalistym brzegu owianym legendą, wiele dni i lat pracy z książką, zeszytem a ołówkiem w ręku. Samo dostanie się tutaj na studia było nawet dla autochtonów , nie lada osiągnięciem, a cóż dopiero dla mnie, uchodźcy?. To właśnie było Szekspirowskie " być albo nie być !". Egzamin wstępny przebiegał przy konkurencji

7-miu kandydatów na jedno wolne miejsce - wszyscy w tym czasie chcieli się uczyć by zostać w przyszłości kimś. Przy samym dopuszczeniu do egzaminu wymagany były jskądś skierowania i polecenia: partii, komsomołu, związku zawodowego czy związku chłopów "biedniaków". A ja żadnej tego rodzaju "bumażki" nie miałem. Nie miałem też tyle pieniędzy by sobie coś takiego poprostu "kupić", bo i takie zwyczaje pozostałe po carskich czasach, jeszcze istniały. Ja byłem jak "parias" przedstawicielem inteligencji pracującej, na którą patrzono w tych czasach z pogardą, nieufnie, podejrzliwie, jako na nosicieli ewentualnych wrogiej ideologii. Nawet twórczość ludzi tej klasy, literatów i pisarzy tej miary co Puszkina, Lermontowa, Tołstoj, Turgieniew, Gonczarow, Leskow, Aksakow i im podobnych, była zakazana, jako piewców i siewców ideologii drobnomieszczańskiej, a może nawet jeszcze gorzej - szlacheckiej!. Były to smutne czasy, ale prawdziwie historyczne - ~~były~~ odbywały się naprzykład stale sądy nad "tużurką i furazerką studentką" - chodzenie w tym stroju nie było wskazane i lubiane, i sądy takie wypełniały pustkę moralną sądującego tłumu. A przecież strój ten był ładny i dużo barwności i elegancji wnosił w szarość życia codziennego szarego człowieka, na szarej, gołej ziemi. Pierszeństwo w przyjęciu na studia dawało pochodzenie robotniczo-chłopskie - stwarzało to nieraz takie zaskakujące sytuacje, że np Polak Gajewski, jedyny uratowany z pogromu jego szlacheckiej i ziemiańskiej rodziny, pracujący ostatnio jako kierowca-robotnik, został bez zastrzeżeń przyjęty. Gdyby nawet taki chłopsko-robotniczy kandydat nie wykazał wymaganych podstaw wiedzy, to i tak został by przyjęty bo ~~z góry ustalona~~ już z góry ustalona była ilość miejsc przeznaczona dla tego typu kandydatów. Egzaminy wstępne stawały się w tych warunkach oczywistą farsą, budzącą tylko obrzydzenie wśród zdolnych i uczciwych kandydatów. Szczególnie było to niesmaczne gdy nie zachowując nawet pozorów, oznajmiano że nieważne jest to czego wymaga program egzaminów, lecz ważne jest "kto" jest egzaminowany i jakie koterie polityczne popierają go i stoją za nim. Błada temu wykładowcowi czy profesorowi, czy nawet doktorowi nauk rolniczych, który nie przepuścił przez sito klasowej eliminacji przeciskającego się na siłę nicuka, "krugom duraka" ale popieranego przez jakąś grupę z tych co ^{to} mówili o sobie: "my boroliś" / myśki walczyli/!. Są tu pewne analogie z nowszymi czasami i bliższymi terenami. Egzaminatorzy więc byli posłuszni i trzymać się musieli zasady! "niżnim czynam razsuźdat niepołożeno! - my łuczczę znałem cziej car durak!". i tak było - byle nam było dobrze!. Takie stanowisko ludzi decydujących mściło się później okrutnie: odsiew był ogromny, a studenci posiadający wiedzę,

musieli z konieczności po koleżeńsku podciągać tych nieuków, i to nie tylko drogą douczania, ale i przeróżnymi podpowiadaniem, ściągaczkami i innymi nielegalnymi sposobami. Ja sam udzielałem takiej pomocy przez dłuższy czas Iwanowi Gładkowowi, sekretarzowi partii na uczelni, liczącemu już lat 29, i Pawłowi Początkowi 38 -o letniemu sekretarzowi związku studentów uczelni - obaj byli właśnie z tych co "boroliś" / a krugom duraki/- miałem już jednak za sobą przykre doświadczenie ze szkoły czerkaskiej, baczniejszważałem na wskazania mego horoskopu, wiedziałem z kim mam do czynienia, i zachowywałem ostrożność i wstrzeźliwość w stosunkach koleżeńskich. Również i to że byłem synem wojskowego, inwalidy wojennego I grupy, starej armii i to z armii generała Brusilowa, który przeszedł w roku 1917 na stronę rewolucji, rzutowało na polepszenie początkowo nieprzychylniej opinii o mnie. Wiedziano również w szkole że ojciec mój, Polak, ale nie brał udziału w historycznym marszu na Kijów /1920/ a pracował właśnie w tym czasie jako księgowy w cukrowni, zresztą nawet za wstawiennictwem Feliksa Dzierżyńskiego, a później służył w Delegaturze wojskowej Armii Czerwonej i to na eksponowanym stanowisku kwatermistrze /1920-1925/, a po likwidacji Delegatury pracował nadal w instytucji powołanej do zaopatrywania kawalerii Armii Czerwonej w siano i owies. Szalę mego przyjęcia przeważało jednak nie tylko to - byłem przecież jeszcze niepełnoletnim i nie odpowiadałem zasadniczemu warunkowi przyjęcia : nie miałem ukończonych 18 lat życia - nie decydowały też jeszcze o przyjęciu mnie na studia pomyślnie złożone egzaminy, a Komisja Egzaminacyjna pracowała pod nadzorem przedstawiciela Koisariatu Oświaty z Charkowa, i nie była zbyt łagodna w stosunku do takich jak ja. Jak dowiedziałem się później o ~~moim~~ dopuszczeniu mnie do egzaminu, a następnie o przyjęciu do uczelni zdecydowała głównie stanowcza postawa mego opiekuna, prawie ojca, członka tej Komisji, Pawła Aleksandrowicza Siwercowa - miał on tak chlubną przeszłość partyjną i tak wielkie zasługi położone dla rewolucji iż mógł, znając drogi którymi chadzały decyzje o przyjęciu na uczelnię, wprost postawić sprawę mego przyjęcia jako swoje życzenie, oparte zresztą na znajomości postawy życiowej mojej, wartości i pilności mojej pracy i zapachu do nauki.

Nigijewo leżało o jakieś 80 -100 wiorst od morza i miasta Odessy - perły południowo-zachodniej Ukrainy i historycznego z nazwy pola Kulikowskiego / Kulikowo Pole/, na którym rozgromiono zstępy Mongołów.

Odessę założyli, równo dwieście lat temu, trzech emigranci polityczni, Francuzi: ^{de Nibas} Derbas, George Armande de Plessi i Jean Gerome, wywodzący się z grona bliskiego markizowi de Gravé, znanego na już komendanta twierdzy i miasta Omska .

Przepiękne to miasto powstało na miejscu starej, zdobytej orężnie na Turkach w roku 1475 twierdzy tureckiej i sąsiedniego aulu / dużej wsi / o nazwie Chadżubiej, a historia Odessy jest nierozdzielnie związana z historią Partii Otomańskiej, z historią Krymu, Chanów Girejów, w prostej linii potomków Wielkiego Mongoła, Dżingis-Chana. Lennikiem potomków Dżingis-Chana pozostawała WszechRosja przez pięć długich wieków - było to tak zwane "tatrakoje igo" - niewola. Łączą się na tej pięknej ziemi turydzkiej legendy stare i nowe, sylwetka Głównego Kapłana świątyni Artemidy, i sylwetka opisanego wyżej "kapłana bez święceń" ale faktycznego władcy i despoty na przestrzeni ~~całej Rosji~~ 1/6 części kuli ziemskiej - nasuwają się refleksje na temat losów odwiecznych mieszkańców tej ziemi, i tych zrodzonych na niej już po zwyciężeniu i wybicciu autochtonów Taurów w roku 1475, tatrów krymskich, kiwnięciem palca wysyłanych "na stos" za każdy zbrojny zryw przeciw znienawidzonej obcej władzy. Znam osobiście niektóre szczegóły tej surowej i tragicznej prawdy pewnego okresu, słyszę jeszcze odgłosy wybuchów wiązek granatów wrzucanych w głąb każdej "saki" /izby-domu/, już po odbiciu Krymu z rąk hitlerowskich i w czasie masowego wysiedlania Tatarów. Zjawiają się przed moimi oczyma wizje: brata mego Włodzimierza Zubczewskiego ~~ukraińca~~ - Polaka, i Ukraińca Piotra Postyszewa, pierwszego sekretarza KC Ukrainy, a Krym terytorialnie do niej należał, których ogarnęła razem powódź okrutnych represji z roku 1937 i zaprzęgała do jednego wózka, kilofu i łopaty przy niewolniczej pracy wykonywanej gdzieś ~~tam~~ w obozie przybajkalskim. Dokąd obaj byli zesłani. Przypominam sobie ich rehabilitację już w roku 1953, po śmierci "Głównego Kapłana", rehabilitację przy poparciu Piotra Szelesta, jednego z sekretarzy Partii, oraz uchylenie okna na Europę w Sinaferopolu, okna dotąd szczelnie zamkniętego. Obwód Odesski przylega i graniczy z obwodem Chersońskim do którego prowadzi, jak szyjka do butelki szampana, wąskie gardło tak zw. "ściana muru tatarskiego" słynny Perekop. Jest to klucz od bramy wejściowej do Krymu, odwiecznej siedziby Chanów Selin-Girejów, w pobliżu którego szeroko rozprzestrzeniają się stopy pokryte ostnicą "stpa penata" zwaną po rosyjsku "kowl'naja stiep". W czasie kwitnienia trawa ta stanowi przepyszny srebrzysty dywan rozciągający się dokąd tylko sięgnie oko ludzkie, po sam horyzont. Po tym wspaniałym dywanie bez przeszkód wędrują stada sahajdaków, antylop, danieli, kozie i kozłów, sarn, muflonów i nawet zebr, i nawet strusi i kangurów!. Bawoży i jaki spokojnie i majestatycznie w dumnej postawie przyglądają się i towarzyszą licznym gromadom dropi, żurawi, dzikich gęsi, i bocianów - a nawet flamingów i

tukanów. Klimat tu jest stepowy ; górzysto-leśny teren, bliskość Morza Czarnego , i sztucznego morza Chersońskiego, zbudowanego utworzonego rękami człowieka radzieckiego, obfitość słońca i błękit wód - wszystko tu sprzyja rozwojowi tych ziem. Uprawia się tu tytoń, winne krzewy, melony, ogórki, ryż, bawełnę i róże. Góry i obszary rolnicze, równiny, pokryte też dywanem, tutaj zielonym przechodzącym w seledyn, utkanym gęsto tęczowo mieniącymi się smugami i kępami przeróżnego kwiecica - wszystko na tej ziemi sprawia wrażenie piękna, spokoju, ciszy, która koi i leczy, rodzi beztroskę i radość życia.

Właśnie tu, w kwietniu roku 1648, Hetman Ukrainy Bohdan Zenobiusz Chmielnicki , w sali Pałacu Bach czy sarajskiego, zwanej "Polską", zawarł przymierze z Chanem Islam-Girejem III-cim, który za obfity "kałym" złożony w darze władzy Krymu, zerwał przymierze z Polską i i wydzielił do dyspozycji Cmielnickiego Tysięczny czambuł wyborowej jazdy do walki z Magnacką Rzeczpospolitą Polską. Dary hetmańskie przyjmował wówczas Chan u "Fontanny Żez", o której Aleksandr Siergiejewicz Puszkina tak pięknie napisał:

" Fontan lubwi, fontan żywoj! Prinioś ja w dar tiebie dwie rozy. Liubliu niemołecznyj gowor twój i poetyczieskieje sliozy....Twoja sieriebriannaja pyl' mienia kriepit rosoju chładnoj! Ach lejsia, lejsia klucz otradnyj, żużczy, żurczy swoju mnie był"

Krymskie państwo Cahanów , "gniazdo szerszeni i os", powstało w roku 1475, po podbiciu i wybiciu autochtonicznej ludności, Taurydów, narzucając pozostałym przy życiu swoje tatarsko-tureckie panowanie. Często bywałem w tych stronach, gdyż w mieście Cherso nie mieściła się również Wyższa Szkoła Rolnicza, z którą nasza uczelnia współzawodniczyła - stąd też notowane w tych wspomnieniach moje miłe wrażenia odniesione na tej ziemi pełnej uroku, piękna i czaru.

Nie zaszkodzi zapewne jeśli przetłumaczę jeszcze na język polski przytoczony wyżej wiersz Puszkina - a więc brzmiało by to tak:

" Fontanno miłości, fontanno żywa ? Przyniosłem ci w darze dwie róże . Kochan nieustający , cichy głos twój i twoje poetyczne , częste, kryształowe łzy.... Srebrzysty pył twój wzmacnia mnie i krzepi, i łagodzi chłodną rosą !
Ach, niech płynie , płynie źródło ukojenia, niech szmerze szmerze o swym losie.... "

W roku 1928, roku zgonu Pawła Aleksandrowicza Siwercewa, byłem już młodzieńcem 20-letnim, miałem spory zasób doświadczeń życiowych, ale odczułem boleśnie pustkę po odejściu tego człowieka, który stał mi się tak bliski, i którego opiece nade mną w mojej drodze życiowej tak wiele zawdzięczałem. Wyższa Szkoła Rolnicza, podobnie jak inne wyższe uczelnie i instytuty naukowe rosyjskie, również stopień podporucznika rezerwy / praporszczyka zapasa/ ze skierowaniem przeważnie do świetnej rosyjskiej artylerii lub służby kwatermistrzowskiej, z tym że co dwa lata przechodziło się ćwiczenia w obozie wojskowym / wojennym łęgiem / znajdującym się w pobliżu Charkowa, pod miastem i stacją węzłową kolei Merefa. Na początku jeszcze moich studiów agronomicznych grono studentów Polaków objęło mnie swoją doświadczoną już paroletnią opieką - między innymi niejaki Konstanty Kostecki, pochodzący z Zolotonoszy, pouczył mnie, że obecnie nie jest wskazane noszenie wszelkich znienawidzonych ze względu na pamięć urzędniczych "form" i wszelkich innych objawów "uniformizacji" za czasów carskich, także noszenie, dość zresztą ładnego, uniformu studenckiego "furażetki i tużurka. Unikałem dzięki tej przestrodze i ubtaniu się po cywilnemu, sądu koleżeńskiego studentów, który "umundurowanych studentów" pozbawiał prawa do korzystania z internatu, stołówki lub nawet stypendium, a czasami zawiesział takiego "paniczyka" na rok czasu w prawach studenta. Tak już było i tutaj, że władza na uczelni należała do ludzi pokroju Chomienki czy Zwiagielskiego, którzy, choć nieliczni, potrafili tę władzę zdobyć i utrzymać w samorządzie uczniowskim, a liczyć się z tą władzą musiał nawet i dzikan Michał Pokutny i rektor Jurij Juruc - obaj, choć przyjaciele znanego już ministra Skrzypnika i Siemaszki, przecież "Komisarzy Rządu Radzieckiej Ukrainy", nie byli obojętni na ustawiczne "naskoki" i wytyczne linii Partii. Moja "pomoc w nauce" udzielana samemu sekretarzowi Komitetu Uczelnianego Partii Gładkowowi i sekretarzowi Związku Studentów Pawłowi Początkowi wyraźnie zaowocowała: otrzymałem bezpłatne talony do stołówki, wzamian za co musiałem pełnić społecznie funkcję kierownika łaźni i pralni studenckiej, ale i to przydawało mi jakiś rodzaj znaczenia i bycia "kims" na uczelni. Ta moja funkcja wcale jednak nie była synekurą - już wkrótce okazało się że jest to pracochłonne i kłopotliwe stanowisko zmuszające do niełatwych ówczesnie starań o drzewo opałowe i węgiel, o mydło i sprawy z przyjęciem i wydaniem odpłatnym / w-g ustalonej taryfy i wykazów/ wypranej i poraglowanej bielizny osobistej i pościelowej. Czynności te dały mi przy tym możliwość wglądu i zorientowania się w stopie życiowej studentów - byłem naogół lubiany przez kolegów za moją solidność

dawato

w postępowaniu i troskę o ich sprawy. Uczelnia nie zaopatrywała studentów ani w pościel, ani w poduszkę, ani choćby nawet w jakiś koc. Otrzymywali oni tylko łożko i jakiś worek na siennik-materac. W pralni zdarzały się więc i niemiłe zamiany np prześcieradek nocnych i lepszego materiału na jakieś stare szmaty, i ja w tej dziedzinie wprowadziłem, za radą i z pomocą Głagkowa i Początko, ład i należyty porządek. Bielizna była teraz znakowana kolorowymi nićmi i wprowadzona ^{zostala} kontrola zużycia mydła, proszku, opołu, a także godzin pracy personelu najemnego pralni. Spowodowało to że bielizna, za moich czasów, była należycie wyprażona, wygotowana, wolna od insektów straciła też "świsły" jej dawniej żółto-szary odcień, była biała i wyglądała jak się należy. Zasada wyniesiona z domu rodzinnego, że "pańskie oko konia tuczy" zdała i tutaj egzamin. A niedawno przecież byłem świadkiem i baczny obserwator sposobu załatwiania takich brudnych spraw - było to w Steciwce z ~~Władem~~ Bałdą, było to i przed tym, i przygotowało mnie należycie do pracy z ludźmi. Zdarzyło się następnie, że kilka ~~pani~~ młodych i ładnych panienek i salowych z pralni, musiał samorząd uczniowski na mój wniosek wymienić, choć sami członkowie tego samorządu korzystali z usług, nie tylko ~~z~~ pralniczych tych, jak się okazało, "cór Koryntu". Na ich miejsce przyjęto kobiety starsze, uczciwe i pracowite, a niesławna przeszłość i opinia pralni i łaźni wkrótce poszła w zapomnienie. Niełatwe były te "moje uniwersytety", niełatwe było życie, trzeba było nieraz lawirować by drogi kierowanych przeze mnie instytucji wyprostować. Pomocną mi tu była też moja dobra opinia studenta - uczyłem się dobrze, bardzo lubiłem szczególnie botanikę i moje zielniki od razu zwróciły na mnie uwagę profesora Włodzimierza Połelitajewa, kierownika katedry botaniki i roślinoznawstwa, jednego "z bywszych". Inteligentny, ujmujący starszy pan, w złotych pince-nez na jedwabnym sznurku, zresztą rodowity szlachcic, sam mi zaproponował stanowisko młodszego asystenta z wynagrodzeniem 25 rubli miesięcznie. Chętnie i z wdzięcznością przyjąłem tę propozycję - ze śmiercią bowiem pana Siwercowa utraciłem jego miesięczną 10-rublową dotację, w kieszeni były pustki, a taka praca i ze względów naukowych i materialnych była pożądana, dawała mi bowiem i możność jakiego-takiego utrzymania się stwarzając równocześnie warunki do nauki, jej pogłębiania przez samokształcenie się i korzystanie z kierunku nadawanego przez profesora. Mogłem teraz spać w ciepłej i przytulnej pracowni na tapczanie obitym skórą, i wszystkie wolne chwile wykorzystywać na pieczołowitą pielęgnację roślin w doniczkach, często tak delikatnych jak mionozy, które przy ich dotknięciu samorzutnie zwijały swe liście

d-va

palczaste jak u akacji, demonstrując tym zjawisko ruchu w świecie roślin, lub dowodząc okrucieństwa objawianego przez "rosiczkę", której pachnące, lepkie płatki zęcały owady w głąb i natychmiast zamykały się nad schwytanym tak pokarmem, i "lepkiej wilgotnej komorze z płatków rozkładały ciało owada i wchłaniały tworzące je soki i substancje. Miałem również pod opieką zestawy akwariów pełne egzotycznych roślin, rybek i żyjątek z krajów Azji i Afryki - akwaria te wymagały stałej pamięci i wiele uwagi dla utrzymania ich żywotności temperatury, i innych warunków wegetacji. Będąc właściwie pracownikiem fizycznym w tej pracowni, miałem jednak wolny dostęp do szaf bibliotecznych, nawet do osobistych wielojęzycznych księgozbiorów samego profesora, korzystałem jednak przeważnie z dzieł rosyjskich, uzupełniając zdobywaną w nich wiedzę przy pomocy barwnych atlasów zagranicznych, co dużo mi pomagało przy głębszym poznawaniu złożonego świata i życia roślin. Pod kierunkiem samego profesora i jego starszego asystenta Poznikowa w krótkim czasie opanowałem technikę sporządzania preparatów z anatomii i fizjologii roślin i zresztą już posługiwałem się odpowiednimi przyrządami, jak np "Mikrotomem" aparatem służącym do produkowania ścieg mikroskopijnych niezbędnych w nauce anatomii i cytologii roślin.

Profesor Politajew szybko dostrzegł i ocenił moje zainteresowanie zdobywaną wiedzą i moją pracowitość, wkrótce też stałem się gościem państwa Politajewych i spędzałem w ich zacisznym mieszkaniu sobotnie wolne wieczory na gawędach przy herbatce ze znakomitym jabłecznikiem. Profesorostwo byli bezdzietni, traktowali mnie i lubili jak domownika - ja zaś, nie nadużywałem ich serdecznej gościnności, choć smaczne obiady niedzielne i świąteczne, przygotowywane przez doświadczoną panią domu Kleopatę Pietrowną, bardzo mi przypadły do gustu zarówno jakością kulinarną jak i rodzinnym, domowym nastrojem. Towarzysze z uczelnianej partii nie bardzo życzliwie patrzyli na to moje zaprzyjaźnienie się z domem Politajewych, mogłem sobie jednak na ten luksus obcowania z kulturalnymi ludźmi pozwolić, być przecież korepetytorem samego sekretarza Gładkowa, który wciąż potrzebował mojej opieki i pomocy w matematyce.

Szybko mijały dni, miesiące i lata przy pracy, nauce, a i zabawie. Bynajmniej nie stroniłem i od tej atrakcyjnej wartości życia - nigdy nie byłem mnichem. W grach towarzyskich silną moją stroną i domową były szachy, a że zawsze przy każdej okazji pobytu w domu rodzinnym grywałem z ojcem, szczególnie w "głodowych" latach/1919../ te moje zmagania się z dobrym mistrzem były częste i długie, wkrótce więc zdobyłem III-cią kategorię w uczelnianym klubie szachistów i brałem udział w międzyuczelnianych szachowych rozgrywkach zwanych tutaj

"Wiktoriami". Te wycieczki dawały mi możliwości poznawcze i zarazem porównawcze - co, gdzie, kiedy i jak, i nęcym stoi praca wychowawcza w innych uczelniach, jaki jest autorytet ciała pedagogicznego i ciężar gatunkowy ich absolwentów?.. A w tych czasach absolwenci ci byli bardzo poszukiwani, kraj odczuwał dotkliwy brak młodych specjalistów nie związanych z przedrewolucyjnym "Bienstwem". Nowy rząd traktował wykształcenie jako bardzo ważną i skuteczną broń, i niezmiernie ważnym było, aby broń ta znalazła się w rękach młodych ludzi odpowiednio wychowanych i przygotowanych ideologicznie i zawodowo, oddanych dziełu rewolucji. Wzorowano się przy tym na szkole niemieckiej gdzie właśnie wiedza rolnicza i postawa obywatelska stała w tym czasie na wysokim poziomie zwanym: "kulturą rolniczą".

Jak ja, młody Stefan Zubczewski, podobałem tym wysokim wynogom wiedzy i postawy ideologicznej, niech świadczy poniższy odpis z Numeru 222 Dyplomu wydanego w roku 1929 "Inżynierowi - agronomowi II-go Stopnia".

"Wyższa Szkoła Techniczno-Rolnicza w Migijewie, Województwo Odessa. Wydział Uprawy Roślin".

Z niniejszego świadectwa wydanego p. Zubczewskiemu Stefanowi, synowi Sergiusza, urodzonemu dnia 16 kwietnia 1908 roku, w mieście Lubno, Polska, wynika, że Zubczewski Stefan, syn Sergiusza, w latach szkolnych od 1 września 1925 r. do 1 września 1929 r. istotnie uczęszczał na Wyższą Szkołę Techniczno-Rolniczą, Wydział Uprawy Roślin, w Migijewie, z odbyciem praktyki w rolnictwie, wykazując postępy w nauce jak następuje:

1. Wyższa matematyka - - - - - dostatecznie
2. Fizyka - - - - - dobry
3. Chemia nieorganiczna - - - - - bardzo dobry
4. Chemia organiczna - - - - - bardzo dobry
5. Chemia analityczna - - - - - Bardzo dobry
6. Mineralogia i geologia - - - - - dobry
7. Botanika - - - - - bardzo dobry
8. Fitopatologia - - - - - dobry
9. Urządzanie gospodarstw rolnych - bardzo dobry
10. Rolnictwo specjalne - - - - - bardzo dobry
11. Organizacja gospodarstw roln. - bardzo dobry
12. Ekonomia polityczna - - - - - dobry
13. Zootechnika i hodowla zwierząt - bardzo dobry
14. Rolnictwo-agrotechnika - - - - - bardzo dobry
15. Entomologia - - - - - bardzo dobry
16. Mikrobiologia - - - - - bardzo dobry

17. Maszyny rolnicze - - - - - dobry.

Równocześnie wyżej wymieniony odbył przewidywane planami i programem nauczania praktyczne prace w laboratoriach, polach doświadczalnych oraz gospodarstwach rolnych Wyższej Szkoły Rolniczej. Po obronie pracy dyplomowej na temat "Uprawa słonecznika na Ukrainie" p. Zubczewski Stefan, syn Sergiusza, zdał egzamin państwowy przed Państwową Komisją Kwalifikacyjną Ukrainińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej"uzyskując tytuł inżyniera agronoma.

Przewodniczący Komisji Kwalifikacyjnej :/ss/Ioruc

Dziekan Wydziału:/ss/Pokutny. Sekretarz:/ss/Malinczenko.

=====

Rok 1929 był rokiem wielkich przeobrażeń w życiu wewnętrznym Kraju Rad , był to rok wielkiej "łomki" -raczej rewolucji narzuconej z góry , rok powszechnej kolektywizacji i masowej likwidacji klasy wyzyskiwaczy , tak zwanego "kułactwa".

W roku tym młody Stefan Zubczewski, inżynier-agronom liczący sobie lat 22 , otrzymuje ze stolicy Ukrainy , Charkowa, skierowanie do pracy na stanowisku Kierownika Izby Rolniczej w powiecie Starowierowski, oddalonym od Charkowa o 60 wiorst, i od stacji kolejowej Własowka do centrum powiatu o 3 wiorsty.

~~W powiecie Starowierowski~~ Powiatu był w olbrzymiej większości zamieszkały przez rosyjan-"starowierów", nacjonalistów , i stanowił jakby enklawę, wysepkę wśród dookolnej ludności ukraińskiej. Powiat ten powstał za czasów Katarzyny II-giej, Niemki z pochodzenia, która, pomimo to że sama przeszła na prawosławie stając się Carową i Matuszką Wszechrosji, nieustannie ścigała i prześladowała "Starowierów" - staroobrzędowców , którzy od tych prześladowań uciekali " w biega" zaszywając się w lasy, puszcze i knieje , gdzie budowali sobie ziemianki w leśnym ukryciu i bezdrożu, przeważnie w okolicach Woroneża. Przy masowym ich ściganiu i okrażaniu przez oddziały wojska zbierali się w gromady i dokonywali obrzędowego dobrowolnego spalania się całymi wioskami. Dokonywali tego w swych cerkwiach, świątyniach wznoszonych z modrzewia i jodły , okładając te świątynie z zewnątrz słomą . Stare kroniki powiadają, iż rzucali się w ogień z całą świadomością i nieludzką siłą czerpaną z religijnego fanatyzmu , czyniły to nawet kobiety, wyrывая się z rąk żołnierzy nie dopuszczających je do ognia i z rykiem bólu i rozpacz rzucając w promienie. Ludność powiatu licząca około 36 tysięcy osób zachowała w tym ukraińskim morzu swoją typowo rosyjską odrębność narodową , swoje zwyczaje i obyczaje , a przede wszystkim swoją wiarę.

A właściwie staroobrzędowcy / po rosyjsku : raskolnicy/ byli raczej oponentami przeciwko oficjalnej, państwowej religii prawosławnej jako jednego z przejawów ucisku państwa - widomym zaś znakiem ich sekty było składanie do przeżegnania się tylko 2 palców, a nie trzech, jak to czynili nowoobrzędowcy-prawosławni. Powiat Starowierowski liczący około 36 tysięcy mieszkańców składał się właściwie z trzech większych skupień ludzkich zwanych Starowierówkami, I-ej, II-ej i III-ej, z których Starowierówka I była właściwą siedzibą władz i urzędów powiatowych. Osiedla te położone były nad bagnistą rzeką zwaną Bierestowienką lub też Diaczkówką, na jej prawym brzegu w odległości 4-7 wiorst jedna od drugiej. Po przeciwnej stronie rzeki znajdowały się jeszcze dwa ^{oraz dwie} ^{rosyjskie} ^{wieś} ^{duże} sioła należące do powiatu, ale już ukraińskie : Własowka i Paras-kowieja. Stosunki ludnościowe w powiecie symbolizował podział na "kacapów" -starowierów i "chachłów"-ukraińców żywiących do siebie wzajemnie nienawiść zakorzenioną jako trwałe dziedzictwo przeszłości. ~~Uważała~~ Pannie ze Starowierówki lub Diaczkówki nie wolno było poślubić chłopca z za rzeki i odwrotnie - wzbraniało tego niepisane prawo "wiwendy" , krwawej zemsty, która spotykała każdego kto się wyłamał z odwiecznych zwyczajów i obyczajów . Zacołanie cywilizacyjne starowierów pprzyczyniło się między innymi do faktu, iż siedziby ich były enklawą masowego "endenemicznego ogniska" choroby wenerycznej kiły /syfilisu/, o czym kierowanych tam do pracy ludzi szczegółowo informowały charkowskie władze sanitarne, gdyż można było bezwiednie zarazić się tą chorobą nawet przy zwykłym piciu wody w domach starowierów. Za grożące tutaj niebezpieczeństwo zarażenia się pracownicy otrzymywali specjalny "epidemiologiczny" dodatek do uposażenia sięgający 25 % kwoty poborów zasadniczych. Odwołać się i uniknąć skierowania do pracy na te tereny nie można było - państwo poniosło przecież koszty wykształcenia pracownika i zobowiązany on był do pracy tam gdzie go wysłano. Sioła ukraińskie cechowała zamożność ludności i dobry wygląd budowli - każda posesja miała duży ogród, sad i łąki spadające do rzeki Brestowienki, obfitującej w karasie, liny i raki. Lud ukraiński był , jak się mówi : "do tańca i różańca", zdrowy, rosły , dobrze zbudowany , wesoły i gościnnie, a także muzykalny. Szczególnie piękne były dumki ukraińskie - melodyjne, smutne , urzekające swą tkliwością brzmienia i treści.

Pewnego dnia wysiadłem więc na stacji kolejowej Własowka , porządnie ubrany gdyż wraz z przydziałem do pracy otrzymałem z Ministerstwa Rolnictwa tak zwane "przeniesieniowe"- trzymiesięczne pobory, a dobrze pamiętałem o przysłowiu ludowym, które mówi! " prininajut po odioździe , a ~~przezajut~~ ^{przeważajut} po umu"

co w dowolnym polskim tłumaczeniu brzmi " jak cię widzą tak cię piszą" lub " przybysza witają według stoju, a żegnają według rozumu". Moje ówczesne uposażenie wynosiło zasadniczo 110 rubli, a do tego dodatkowo 10 % za wykształcenie, 25 \$ dodatek specjalny, wspomniany już "epidemiologiczny", w przyszłości zaś czekały mnie dodatki w wysokości 15% za każde przepracowane w zawodzie rolniczym 10 lat pracy. Oprócz tego otrzymywałem ryczałtowy dodatek w wysokości 25% uposażenia tytułem wydatków na rozjazdy i diety. Pierwszą moją czynnością po otrzymaniu tylu pieniędzy było natychmiastowe wysłanie kwoty 110 rubli do Czechrynia dla mojej rodziny - jako pierwszy zastrzyk dla ojca, matki i rodzeństwa, rozpoczynających już właśnie naukę szkolną, był to zastrzyk dość poważny biorąc pod uwagę że np funt cukru kosztował wówczas 40 kopiejek. *a dobra kura 50 -*

dzieci Na stacji Własowka podszedł do mnie wysoki, barczysty przyzwocie ubrany woźnica z batem furmańskim w rękę i zameldował służbiście, że konie po pana inżyniera już są. Jak się później okazało był to Filip Jemieljanow, brat Eustachego, kierownika powiatowego Wydziału Rolnictwa i Leśnictwa w Starowierowsku, którego jeszcze dotychczas nie znałem. Byłem mile zaskoczony tą życzliwością ze strony autochtona, zwyczajnego prostego człowieka, posiadającego tylko podstawowe wykształcenie i to zdaje się niepełne. Przy bliższym poznaniu Eustachy Jemieljanów okazał się 37-letnim mężczyzną, ujmującym i bezpośrednim w zachowaniu, z którym już w krótkce nawiązałem zażyły, koleżeński stosunek. Jemieljanów był członkiem egzekutywy partii i członkiem Prezydium Rady Powiatowej, a także z urzędu ~~zastępcą~~ zastępcą przewodniczącego tego Prezydium, Ukraińca - Gonczarenki. Jak widać zasada "pańskie oko konia tuczy" i tu była stosowana - pomyślałem. Dowiedziałem się od niego że o moim skierowaniu, dacie przyjazdu i poleceniu wysłania po mnie koni na stację otrzymał depeczę ~~od~~ z sekretariatu Ministerstwa - co mnie również "podbudowało", zobowiązywało i napawało szczerą chęcią służenia władzy ludowej, tak troskliwej o swych pracowników. Kto by mógł pomyśleć? - dla mnie 22-letniego młodzieńca, wyjazdowe konie na polecenie Ministerstwa! "oko" władzy ludowej i jej rozum czuwają nad dobrym samopoczuciem młodej kadry specjalistów! - ludzi mających w rękę broń do walki o przyszłość narodu i socjalizmu! 9... Po paru już dniach sprawowania obowiązków kierownika Powiatowej Izby Rolniczej przekonałem się o stopniu odpowiedzialności społecznej pracy, którą miałem wykonywać. Przy Powiatowej Izbie Rolniczej czynne były również punkty kopulacyjne ogierów, byków sementalskich, knurów rasy poltawskiej i baranów-merynosów.

Siedzibą Powiatowej Izby Rolniczej był dawny dworek "popa" , którego wysiedlono ze Starowierówki, cerkiew zamknięto jako ~~niebezpieczny~~ ośrodek zatruwania ludności religijnym "opium", a ładną kamienicę, budynek gospodarczy , duży półtorahektarowy sad i 3,5 ha łąki leżącej nad brzegiem Berestowienki przekazano na potrzeby Izby. Po odbyciu wspólnie z kierownikiem Jenieljanowym wizyt u pierwszego sekretarza partii , tow. Waletczyka, prawie mego rówieśnika, i u Przewodniczącego Prezydium Rajispolkomu, tow. Iwana Iwanowicza Gonczarenki, wizyt w czasie których zostałem uprzedzony i pouczony jak mam się ustawić w stosunku do spodziewanego oporu starej kadry aktywu Izby i rolnictwa, przeważnie wrogo nastawionej do obecnej współczesności i do tych, którzy "byli niczym", wiedziałem już że będę musiał przełamywać ten cichy i bierny , a napewno szkodliwy dla jakości mojej pracy opór. Tym bardziej, że ci "bywazy ludzie" nadal twardo zamierzali trzymać w ręku ster władzy wykonawczej., a tym trudniejsze to było, że ci starsi ludzie posiadali przecież olbrzymi zasób i ładunek wiedzy i doświadczenia wszechstronnym stażem pracy - byli to słowem ludzie "wrogowie", ale był to "swoj wróg" , którego trzeba było pozyskać nie sposobem represji i posunięciami administracyjnymi, ale autorytetem wiedzy teoretycznej i taktownym zachowaniem oraz unkanie zdraśnić ich ambicji ludzkiej i zawodowej. Formalnie wszystko w dziedzinie rolnictwa, na pierwszy rzut oka, było w porządku , ale w rzeczywistości i praktyce tak zwane "agrominimum" leżało odłogiem , nie ruszonym bo niewyegzekwowanym - zwykle specjaliści mówili, że to już do nich nie należy , pracowano bez zapału i z ciągłym spoglądaniem na zegarki - aby do wieczoru. A dzień pracy był dla pracowników Izby nie regulowany, bo to i wykłady, i pogadanki demonstrowane z przeźrociami na tematy agrominimum , które stanowiły podstawę do przejścia ku większej wydajności zbóż i innych płodów rolnych, co znowu leżało u podstaw kolektywizmu - było więc nad czym myśleć, zastanawiać się i dyskutować. Niejedną nieprzespaną noc zabrały mi rozważania jak postąpić?... Jak skierować zapas posiadanej wiedzy swojej i moich współpracowników , całe ich doświadczenie, na właściwy nurt najkorzystniejszy dla kraju?... Ale czas jest najlepszym lekarzem - robiłem więc dobrą minę do złej gry , udawałem że wszystko jest jak należy, w najlepszy porządku , podpisywałem i ponażu korygowałem przedkładane mi "bumażki", i starałem się pozyskać tych ludzi. Już miałem za sobą jednego z nich: zootechnika Pietrowa, najmłodszego ze starej kadry, choć już też czterdziestoletniego, który swą rzetelną postawą i zasobem wiedzy imponował nawet tym "swoim wrogom" - wreszcie, po upływie paru miesięcy, pod koniec

urzędowania, zebrałem wszystkich współpracowników przy kawie i herbatce, i w sposób jaknajbardziej życzliwy i uprzejmy oświadczyłem, że jestem bardzo zadowolony z ich towarzystwa i współpracy imponują mi bowiem swoją wiedzą i doświadczeniem fachowym, lecz satysfakcja moja jest niezupełna, bo nie w pełni i nie do końca wykonywują swoje obowiązki, bo np. przecież ziarno kwalifikowane, podstawa agrominimum, przeznaczone do siewu, głównie pszenica ozima "ukrainka", leży bezużytecznie w magazynach, a chłopci indywidualni i sklektywizowani zasiewają pola starymi, mało wydajnymi i nieodpornymi na wymarznienie odmianami, pszenicą "ostką" - nie da się więc takiej sytuacji pogodzić chyba z ich obowiązkami i ich postawą obywatelską. Następnie opowiedziałem im otwarcie, choć w skrócie, swój życiorys i drogę do obecnego stanowiska, podkreślając przy tym z naciskiem że moim zdaniem o wartości człowieka stanowi nie jego takie czy inne pochodzenie, szlachectwo czy pospólstwo, a szlachetność w codziennym życiowym postępowaniu. Powiedziałem również że niejednokrotnie już do syta najadłem się wstydu za ich postępowanie, że przecież również jestem ze stanu szlacheckiego jak i oni, i że chyba nie stoi na przeszkodzie aby ich wiedza i doświadczenie przyczyniły się ^{do} tego by tak zacofany i rolniczo i zdrowotnie powiat Starowierowski pozbył się tak ciężkiego dla ludności powiatu spadku przeszłości. A teraz: daję im czas do namysłu: kto z nimi - a kto nie? - kto nie, ten może spokojnie odejść na własne żądanie, bo ja, Zubczewski, kierownik Izby za jej pracę odpowiedzialny, choć bezpartyjny ale nie pozwolę sobie pluć do studni, z której piję wodę! - Postawiłem przed nimi szczerze i otwarcie powagę złożonej i trudnej sytuacji powiatu, stwierdziłem, że sprawa musi być definitywnie i rzetelnie rozwiązana, przypomniałem prawdę że: "pod leżący kamień woda nie płynie - i że jak sobie pościelą tak się wyśpią!". W zakończeniu tego swego stanowczego ultimatum zaprosiłem wszystkich obecnych do siebie na obiad - oświadczyłem, że chcę się tym zaproszeniem wkupić do ich towarzystwa, czego jeszcze dotychczas nie zdążyłem uczynić. Okazało się, że chwyt, szczerość i stanowczość, był dobry - wszyscy obecni na tej naradzie wzięli udział w obiedzie - cel uświęcił środki - po trzech dalszych latach rzetelnej pracy powiat Starowierowski stał się powiatem przodującym w ogólnej kolektywizacji, osiągniętej przy bezpośrednim udziale tej właśnie starej a doświadczonej kadry, która stała się "swoją" kadrami, a przewodniczący Prezydium Genczarenko został za to udekorowany, przez samego Starostę Grzegorza Iwanowicza Piotrowskiego, Orderem Czerwonego Sztandaru.

W końcu roku 1929 zostałem przydzielony przez Prezydium Rady Narodowej w Starowierowsku, jako stały opiekun do Gminnej Rady Narodowej w Diaczkówce, ze specjalnym zaleceniem przeprowadzeniem tam ogólnej kolektywizacji. Diaczkówka, jak wspominałem, była dużą wsią odległą od Starowierówki I-ej o około 17 kilometrów i zamieszkałą przez ludność rosyjską. Odprawa "upełnomocnionych", to jest podobnych mnie stałych opiekunów do spraw kolektywizacji, odbywała się w ścisłym gronie aktywu powiatowego w gabinecie przewodniczącego Rady, towarzysza Gonczarenki, i była krótka i ścisła. Na biurku przewodniczącego leżał świeżo ścięty metrowy pręt wierzbowy, który przewodniczący, kończąc odprawę, wziął w rękę i powiedział: "Popatrzcie! - i zapamiętajcie. Sprawa państwowego znaczenia! - i, wyginając pręt w oburękach ciągnął dalej: - gotowych recept dla waszej pracy nie ma, i nie będzie, gdyż budujemy przyszłość kraju łamiąc ^{jego} dotychczasowy układ gospodarczo-społeczny ~~kraju~~, który w swym rozwoju jest cofnięty, w stosunku do innych krajów, o jakieś 50 i nawet 100 lat - zależnie od dziedziny życia gospodarczego. Naginajcie więc swoje uprawnienia, naginajcie z uniarem jak ja zginałem ten pręt wierzbowy, naginajcie tak by w żadnym razie nie dopuścić do jego złamania się!. Walka klasowa jest bezwzględna i długotrwała, musicie sobie w tej walce pozyskać sojuszników wśród chłopów małych - i średniorolnych, wśród "biedniaków". Jeśli ktoś z was nieopatrznie dopuści do złamania się tego pręta zostanie pociągnięty do odpowiedzialności prawnej, bo ^{rozpuszczenie} dopuścić to może do skutków wręcz odwrotnych od zamierzonych - nawet do powstania zbrojnego!. A wiecie przecież że siły wsteczne popierane przez klasę bogatych i zamożnych właścicieli młynów, olejni, tartaków itp, nie śpią i czekają tylko na okazję ażeby przez wiejskich kulaków przeciągnąć na swoją stronę chłopów średnio- i małorolnych. Należy się z tym liczyć i to poważnie. Są już wypadki, w innych powiatach, skrytobójczych mordów popełnianych na aktywie i działaczach partyjnych. Sprawa, jak widzicie jest poważna i bardzo proszę stale o tym pamiętać, że tak będziecie spać, jak sobie pościelicie!. " Po tym ostatnim akcie odprawy i pożegnaniu się z nami i sekretarzem Waletczykiem, Gonczarenko ~~po odprawie~~ ~~z nami~~ odszedł. Sekretarz Waletczyk zaproponował tym, którzy sobie tego życzą, przydzielenie "na wszelki wypadek" 2krótkiej broni palnej, którą wręczy obecny na odprawie Komendant Milicji tow. Priatki. Ja z tej propozycji nie skorzystałem, będąc bowiem zapalonym myśliwym, byłem w posiadaniu ślicznego "Winczestera", pięciostrzałowego angielskiego karabinka kalibru "12-ka", i setki różnych naboju: na wilka, i na dziką i takich z kulą "dum-dum", a także

na śrut różnych rozmiarów i przeznaczenia- aptactwa wodnego okolicy Berestowienki miały wbród.

Wyjechałem ze Starowierówki kołami wyjazdowymi, które figurowały w inwentarzu Izby Rolniczej, a faktycznie ciągle były w rozjazdach z Przewodniczącym Prezydium i jego zastępcą Jemieljanowym. Powoził Filip, brat wspomnianego. Znając ze słyszenia niechlubną przeszłość i zacofanie Diaczkówki, figurującej również na liście "ognisk endemicznych", rozpytywałem Filipa gdzie by się jaknajlepiej urządzić i zakwaterować z wyżywieniem w Diaczkówce - delegacja moja brzmiała "aż do odwołania" i zapowiadała się na dłuższy czas. Filip po namyśle poradził mi, abym dojechał do wsi Własowka, która leży tuż-tuż za mostem do Diaczkówki, wieś zamożna, czysta, domy porządne, bo to już raczej miasteczko niż wieś - a we wsi najlepiej chyba będzie u Marii Matwiejewny Udowej, starszej pani, wdowy po Usowie, który zmarł parę lat temu, a był kierownikiem Bazy "Centrosojuzu" czyli Monopolu Spirytusowego. Tam właśnie zawsze ~~zatrzymuje~~ zatrzymuje się i kwateruje towarzysz sekretarz partii Waletczyk, jest tam telefon, bo baza znajdowała się w drugiej połowie kamienicy, więc tak i pozostał u Usowej. Dogodne jest także i to, że obok znajduje się posterunek milicji, Gminna Rada Narodowa i kołchoz / jego zarząd / "Czerwony Październik". Rada Filipa wydała mi się dobra, więc ^{po} krótkim zameldowaniu się w Diaczkówce u przewodniczącego gminy, niejakiego Stiepaniszczewa, autochtona, szewca z zawodu, udałem się do Własowki i zgłosiłem u Marii Matwiejewny Usowej. Moja przyszła gospodyni była początkowo nieco zakłopotana: bo to i sekretarz Waletczyk zawsze się u niej zatrzymuje, i z ~~nią~~ gotowaniem będą kłopoty, bo pan inżynier nie będzie przecież chodził do jadalni - aby więc przerwać i załagodzić te jej obiekcje położyłem poprostu na stole 25 rubli czerwocari i kazałem Filipowi wnieść moje walizki do mieszkania. W ten sposób zawarta została umowa z gospodynią i bliższa z nią znajomość - zapłaciłem bowiem za cały miesiąc z góry za mieszkanie i utrzymanie, a zapłaciłem dobrze w porównaniu z Waletczykiem, również jak i ja kawalerem, który płacił tylko 15 rubli miesięcznie, jak mi powiedziała lojalnie sara Usowa, uważając moje 25 rubli za zbyt wysoką cenę. Skwitowałem te jej wahania krótkim ~~stwierdzeniem~~ szarmanckim stwierdzeniem że " .. to sekretarz - a to ja, Zubczewski", po czym poprosiłem o zaprowadzenie mnie do nego pokoju. Okazało się że pokój mój jest schludny, bardzo czysto utrzymany, obok łóżka z górą, "pod sufit", poduszek, na linoleum pokrywającym pokój leżał barwny dywan, jasno, spokojnie, przytulnie.

Jak wkrótce już dowiedziałem się od swej gospodyni jej zięć, córka i troje młodych dzieci /1, 2 i 3 -letnie/, posiadający w pobliżu duże, "kułackie" gospodarstwo, zostali wysiedleni na Kozymnę, a w ich siedzibie i zabudowaniach gospodarczych oraz domu mieszkalnym zbudowanym z cegły mieściła się obecnie siedziba kołchozu "Czerwony Październik".

Nadeszła wiosna, wczesna wiosna roku 1930, i akcja siowna była w pełnym toku, gdy na osobiste polecenie sekretarza partii Wałeczyka otrzymałem zupełnie dla mnie niespodziewane telefoniczne zadanie następującej treści: "Towarzyszu inżynierze! Wyślemy po Was konie ze Starowierówki do Działczówki - są już w drodze. Natychmiast po ich przybyciu macie opuścić gminę Działczówkę i pojechać do gminy Paraskowiejskaja, jako pełnomocnik specjalny do przeprowadzenia tam akcji siownej. Powstała tam taka sytuacja, że kołchońnicy rozebrali już pomiędzy siebie konie kołchozowe i sieją na swoich działkach pola - nasz tantejazy przedstawiciel, tow. Pietin, nie potrafił temu zapobiec i poprostu zwiął. Wy jesteście bezpartyjni i was tam nie złęgo nie spotka. Jedźcie i ratujcie kołchozową sytuację?".

Oczywiście wyruszyłem natychmiast po przybyciu koni, i po dwóch godzinach jazdy dotarłem do gminy Paraskowieja. Przewodniczącego Rady Gminnej nie zastałem w jego siedzibie, drzwi wejściowe były otwarte - nie było również w pustych pokojach ani sekretarza, ani nikogo z referentów - cisza i pustka, jakiś niepokój wisiał w powietrzu. W posterunku Milicji, również nikogo nie zastałem, na szczęście poczta działała i jej telefonem połączyłem się z tow. Wałeczykiem meldując mu co zastałem i co mam dalej robić?. Otrzymałem polecenie pozostania w siedzibie gminy, meldowania co dwie godziny o zmianach w sytuacji - radzono mi przytym abym uważał na siebie i trzymał konie stale pod ręką gotowe do wyjazdu. Poleciałem więc oczekującemu przed gminą furmanowi Filipowi zaprowadzić cały zaprzęg /nie wyprzegając koni/ do stodoły stojącej w głębi obszernego podwórza, zamknąć wrota tej stodoły od strony podwórza, a szeroko otworzyć drugie wrota wychodzące i prowadzące na zaplecze urzędu gminnego, obok ładnej dużej szopy na narzędzia polowe, na drogę nad rzeczką Bierestowienką, przez łąki do mostu na rzece, i do drogi głównej wiodącej do siedziby powiatu. Filip miał polecenie nie pokazywać się i cierpliwie oczekiwać w pogotowiu. Sam wszedłem do gabinetu wójta /przewodniczącego "sielsowietu"/ i usiadłem za dużym stołem nakrytym czerwonym obrusem, płachtą zwisającą ze wszystkich stron do samej podłogi. Za plecami miałem duże, szerokie i wysokie okno

które na wszelki wypadek" otworzyłem z zamknięcia i uchyliłem na szerokość dłoni - następnie rozłożyłem na stole wyjęte wyjęte z teczki plany akcji siewnej gminy Paraskowieja i, przeglądając je, oczekiwałem na rozwój wypadków. Czekałem niedługo - po upływie niespełna pół godziny wejściowe drzwi gminy z trzaskiem otworzyły się i przez sąsiedni duży pokój przebiegł, i wpadł jak kula do gabinetu w którym siedziałem, przewodniczący Parchomienko. Był blady z przerażenia i przeżytego strachu, a zobaczywszy mnie zaczął krzywić się że trzeba natychmiast uciekać, ratować się ucieczką, bo tylko to pozostało, że magazyny z ziarnem siewnym są już rozbite i splądrowane przez tłum, ludzie zabierają ziarno workami ile komu się podoba, policji nie ma, kierownik i milicjanci zwiali ... itd. - wpadłem tu by telefonicznie zawiadomić o tym powiat i wieś, ale nie miałem koni - co tu robić... Uspokoilem go, że konie są, czekają ukryte w stodole, że - - i w tym momencie usłyszałem krzyki tłumu, tupot wielu biegnących nóg i trzask drzwi w przedpokoju. Widząc całą nagłość sytuacji i bezowocność jakichkolwiek dalszych rozważań kazałem przewodniczącemu Parchomienko natychmiast ukryć się pod stołem, jak wspominałem nakrytym aż do podłogi zwisającym obrusem, sam otworzyłem ~~znowu~~ na całą szerokość okno za stołem i usiadłem ~~znowu~~ nad swoimi planami siewnymi. Ledwo zdążyłem to uczynić i już do pokoju wpadli pierwsi osobnicy z całej wzburzonej gromady goniącej Parchomienkę. Zobaczywszy mnie, spokojnie siedzącego, a nie spodziewanego przewodniczącego, stanęli zdumieni pytając: "...to, wy, panie inżynierze?". Wstając z nad stołu odpowiedziałem, że jak widzą, oczywiście ja we własnej osobie - na co prowodyr zbuntowanego chłopstwa, wielki chłop z "berdanką" w ręku, ciągnął dalej "a gdzie ten sukini-syn Parchomienko, szczerze nas zmuszał do "kołgosu", a rodziny opornych wysyłał na białe niedźwiedzie !.?....". Na to ja, wpadając w ten sam ton gniewu i nienawiści co pytający: " - aaa - te zasraniec, ten skurczybyk, wpadł tu przed chwilą i uciekł przez to okno - widzicie? jeżeli chcecie go złapać, to co tu jeszcze stajecie, goncie sukini-syna!". Mój ton i sytuacja w pokoju przekonały chłopów i tłum w gniewie oka wybiegł z gabinetu, a następnie z budynku i zabudowań gminy, biegnąc dalej w poszukiwaniu Parchomienki. Niebezpieczeństwo było narazie zażegnane - i dla Parchomienki i dla mnie, zdawałem sobie bowiem sprawę, że ratując przewodniczącego ratowałem również i siebie, bo przecież gdyby tłum go tutaj w gabinecie dopadł, z pewnością rozdarł by go na strzępy, a obudzony wtedy instynkt nrodu i zniszczenia obrócił by się i przeciw mnie, jako przedstawicielowi władzy. Po paru minutach wygranolili się z pod stołu blady i trzęsący

Parchonienko, z namiętnością w ręce, mówiąc do mnie " To i Wy z nimi, Panie inżynierze?..?.. !" Na co ja , krótko i rzeczowo w tej sytuacji : " biegnij do stodoły, durniu, bierz konie i wioj póki jeszcze czas!" - w tej chwili rozległ^{ły} w powietrzu "nabat", głos dzwonu alarmowego z jednej z wież bogatej cerkwi-soboru we wsi Paraskowienieniejewskaja - " A wy, panie inżynierze ?" zdążył jeszcze przed wybiegnięciem z gabinetu zapytać Parchonienko- " -! A ja spróbuję zawiadomić sekretarza Waletczyka, i uratować nasze nowe , dopiero co otrzymane z Ameryki piękne ciągniki, które zbuntowane chłopstwo zapewne zechce zniszczyć !". Parchonienko błyskawicznie wyprysnął przez okno i w paru susach dopadł do stodoły i do bryczki - ja zaś wychodzącemu przed wrota, zaniepokojonemu Filipowi, dałem ręką znak, żeby natychmiast wyjeżdżał. Nie trzeba było powtarzać tego dwa razy, bryczka założona w piękne szpaki błyskawicznie wypadła z tylnych wrót stodoły i już za chwilę dał się słyszeć odgłos jej szybkich kół przejeżdżających most i wjeżdżających na drogę do siedziby powiatu. Uspokojony częściowo połączyłem się telefonicznie z komitetem partii i zawiadomilem tow. Waletczyka o przebiegu ostatnich zdarzeń - odwrotnie otrzymując wiadomość że w Charkowie już załadowane do wagonów specjalny szwadron kawalerii NKWD , który wysiędzie na stacji Berestowienka odległej o 18 wiorst od Paraskowieji i uda się tam na "pacyfikację" - tow. Waletczyk zapytywał też co się dzieje ze mną i wyraził wątpliwość, czy dobrze zrobiłem nie zabierając się razem z Parchonienką. Na moje wyjaśnienia, że zamierzam jeszcze uratować cenne ciągniki, do których i tak bryczką nie mógł bym dotrzeć , a tyłami sioła, zapleczeniem i ogrodami przedostałem się na ciągnikach do mostu i przedrą przez tłum. Tow. Waletczyk przyznał mi rację , wyraził zadowolenie i uznanie, życzył powodzenia i- odłożył słuchawkę. Na szczęście telefoⁿ działał a kierownik poczty trwał na posterunku nie bacząc na niebezpieczeństwo grożące jemu i jego rodzinie , za to że łączył mnie z władzami, wbrew ^{napewno} "woli ludu". Nie poznałem nigdy nazwiska tego porządnego człowieka , przy pomocy którego dowiedziałem się też telefonicznie, że sąsiedni powiat Aleksandrowski jest również w ogniu powstania zbrojnego , zorganizowanego tam przez bandę "partii eserów" pod wodzą słynnego wataški Antonowa. Wyciągnąłem z tego wnioski, że i tutejsze powstanie wybuchło nie samorzutnie , a było zorganizowane - nie jest jednak , jak widać , kierowane przez "speców" z grup sił wstecznych nienawidzących wszystko co nowe i światłe.

Priny
diève

Teraz, nakładając drogi, dobiegłem ścieżkami do odległego o prawie 5 kilometrów pola, na którym sześć nowiutkich amerykańskich ciągników z importu^y dokonywało podorywek podzasiw jarego jęczmienia. Dobiegłszy do ciągników rozkazałem brygadziście przerwać natychmiast pracę i na pełnym, trzecim biegu, osiągając maksymalną szybkość jazdy, 35km/godz., skierować się na most przez rzekę i drogę wiodącą do powiatu. Sam stanąłem na pierwszym ciągniku obok wprawnego traktorzysty, a brygadziście poleciłem zająć miejsce na ostatnim ciągniku. Uprowadziłem wszystkich traktorzystów o powadze sytuacji, w której zbuntowany tłum gotów jest zniszczyć ciągniki, a nas wszystkich wymordować - musimy więc jechać pełnym pędem i nie zatrzymywać się ani na chwilę, szczególnie przed mostem. Traktorzyści zrozumieli, usłuchali i cała potęga 210 koni mechanicznych zawartych w silnikach ciągników, na pełnych obrotach, wzniesając tumany kurzu, z rykiem motorów i chrzęstem sprzętu towarzyszącego, a były to 6-cio skibowe pługi, ruszyła do mostu. Tłum ludzi tamujący drogę na most rozstąpił się w przerażeniu przed tym rwącym na niego potokiem żelastwa, stali, dymu, ognia i kurzu - i oto przeskoczyliśmy most, a droga, jedyna droga ocalenia, droga do powiatu, stała przed nami otworem, a nasze życie i ciągniki i tak potrzebny wartościowy sprzęt rolniczy zostały uratowane.

Po paru dniach dowiedziałem się, że wojsko, otoczywszy ładunchem ogniska zamieszek, co nocy ładowało na takzw. "ciocące" wagony, przeznaczone na transport bydła, rodziny kułackie i "element wrogi i niepewny". Wywożony tych ludzi za koło polarne do Workuty. W ten sposób Paraskowieja, i Działkowska, dotychczas jeszcze nie dotknięte represjami, zostały "oczyszczone" od "elementów wrogich i nie wrogich, kobiet, dzieci - przywracając tam twardą, nakazaną z góry rzeczywistość. Ja osobiście nie brałem udziału w tej akcji - dowiedziałem się tylko z czasem, że, między innymi, zamajome mi 3 rodziny braci Ostapowych i 3 rodzinnych braci Borożynych, również zostały objęte tym wysiedleniem. Po paru miesiącach dalszych zostałem awansowany na stanowisko starszego agronoma Własowskiej Stacji Maszyno-Traktorowej, która była jedną z pierwszych w liczbie 200 pioniersko budowanych wówczas na Ukrainie, w myśl planu i założeń ówczesnego Ministra Rolnictwa F. Marczenki, autora nowatorskiego dzieła pt: "Pień-sielennyje maszynotraktornyje stancji". Ale i ten "nowator" podzielił w roku 1937 losy ludzi wywiezionych z Paraskowiei i Działkówki, podobnie zresztą jak i akademicy: Tałajkow, Liszun i inni.

" On revient toujours à ses premiers amours".

Oho ! - pomyśli sobie czytelnik tych wspomnień - starszy pan swobodnie poruszający się dotychczas w dziedzinach : historia- nauka - rolnictwo - ród i rodzina- wojskowość - patriotyzm - ojczyzna - szlachectwo i innych podobnie wzniosłych, coś ma do powiedzenia i w dziedzinie miłości ?.... A tak ! Wspominałem już, że nic co ludzkie nie było in nie jest miobce . No więc!

Wielkie było moje zdziwienie, kiedy po przyjeździe do Wałsowki i powrocie do swojego mieszkania u Marii Matwiejewny ~~Wałsowej~~ , dowiedziałem się , że w moim wynajętym i przecież zapłaconym z góry pokoju, mieszka jakaś "pani doktor", i że w sprawie jej tu zamieszkania dzwonił do gospodyni "sam" sekretarz Waletczyk, a Na moje pretensje i żale Maria Matwiejewna z zażenowaniem zaproponowała mi zamieszkanie razem z nią w jej pokoju. Nie mając innego narazie wyjścia , zgodziłem się , choć niechętnie, i przystąpiłem na tę propozycję. Pokój był rzeczywiście bardzo duży, słoneczny i jeszcze tegoż samego dnia zostałem przedstawiony " pani doktor" , miłej i bardzo ładnej czarnulce. Po paru dniach, pani doktor, widząc moje wzrastające zainteresowanie jej osobą, bez ogródek oświadczyła mi, że z moich zalotów będą nici, jest ona bowiem mężatką jej mąż Michał kończy właśnie uniwersytet w Moskwie, gdzie jest też sekretarzem Partii na uczelni , męża bardzo kocha, ale jeśli rzeczywiście ona tak bardzo mi się podoba i jest w moim guście - to jest na to rada. Jeśli mianowicie mam "poważne zamiary", to spróbuje zapoznać mnie, szarmanckiego kawalera lat 22, ze swoją siostrą, nauczycielką z zawodu. od roku pracującą w szkole podstawowej w pobliskiej Dziaczkówce. Ta siostra również jest ładna i dobrze zbudowana, świetnie ułożona, przedstawia sobą dobry materiał na żonę i matkę - ale to już inna sprawa, od niej, pani doktor, niezależna , i nie będzie miała na to żadnego wpływu , bo przecież są "gusty i guściki". Jej siostra, jak i ona , pochodzą z samej Kubani, z miasta Jekatierynodar, obecnie Krasnodaru, pochodzą z rdzennie kozackiej , znanej rodziny Bohdan, a ich nazwisko datuje się od czasów Bohdana Chmielnickiego i zostało nadane na jego cześć - siostra więc nazywa się Anna Bohdan.- nadane rodzinie przez Koło Siczowe za nęstwo i chwałę. Znałem te sprawy i czasy z nauki historii i ze słyszanych opowieści - wiedziałem, że Kozacy Siczowi na skutek zdrady ostatniego hetmana Siczki Zaporoskiej, kochanka carycy Elżbiety, Piotra Ratumowskiego, zostali masowo, całymi " kureniami" przesiedleni na Kuban, a Sicz Zaporoska zlikwidowana. Słynną twierdzę Siczową, Chortycę, wysadzono w powietrze prochami i zburzono, Kozaków zwano teraz "kubańskimi" .

Nie tylko więc moje unikowanie zawodu i młodzieńczy zapał ale i pragnienie dorównania Astarazym i lepszym, dopingowały mnie, bezpartyjnego inżyniera-polaka, do wykazania się pracą, inicjatywą, wynikiem.

Zamieszkałem narazie w jednym pokoju świeżo zbudowanego i właśnie wykańczanego jednorodzinnego domu przeznaczanego dla dyrektora stacji, z samym tym właśnie dyrektorem, Iwanem Maksimowiczem Subotą, byłym starym robociarzem z charkowskiego kolejowego "Depo", człowiekiem obitym życiem i walką, mechanikiem. Był to jeden z liczby 25.000 starych, zasłużonych dla rewolucji bolszewików, których Partia, po zgonie Lenina, wysunęła ze swych szeregów i stawiała na kierownicze stanowiska w życiu politycznym i gospodarczym kraju. Tow. Subota był też członkiem Egzekutywy Komitetu Obwodowego Partii w Charkowie, więc w naszym powiecie był osobistością z którą bardzo się liczone. Był to człowiek po pięćdziesiątce, wysokiego wzrostu i szeroki w ramionach, a do jego cech znamienych należał brak trzech palców u prawej dłoni, palców odrąbanych ciosem szabli jakie goś kozaka-białogwardziasty, w chwili gdy odbijał cios tego kozaka niosący mu śmierć. Życie wyrobiło w nim rzetelność i wyrozumiałość, bezpośredniość w stosunkach z ludźmi i życzliwość dla nich. Nasze chwilowe wspólne zamieszkanie dawało dużo możliwości do dyskusji i pogawędek na pasjonujące nas oba tematy takie jak: kolejność robót, wykańczanie budowli, organizacja stołówek i warsztatów, itp. Budowaliśmy tę naszą stację z rozmachem, z dobrej czerwonej cegły wypalanej w sąsiedniej Starowierówce I-iej, cegły znanej ze swej jakości jako wypalanej z gliny "kaolinowej", często spotykanej na Ukrainie. Stary metalowiec i świątki człowiek polubił mnie wkrótce za moją szczerą, otwartą i bezpośredniość, ja zaś nabrakłem wielkiego dla niego szacunku widząc jego stateczność, ludzkość, chęć dokształcania się, ustawicznego studiowania książek związanych z pracą i naprawą ciągników, ich budowy, struktury i pracy pod zespołów i układów, a nie zaniedbywania równocześnie i czytelnictwa takich dzieł jak np "Wojna i pokój" Iwa Tołstoja. Wyznawał mi często Iwan Maksimowicz przy sporządzaniu i popijaniu wieczorowej po pracy herbatki, że im więcej czyta, tym więcej interesuje się losami, myśleniem, czynami ludzi przez Tołstoja opisywanych, i Piotra Karawajewa, i księcia Wołkońskiego, i Pieti Rostowa i Piera Biezychowa i Nataszi i księżny Marii. Mówił mi że z wielką ciekawością wglębia się w ich myśli i problemy przez nich rozwiązywane, że często zdarza mu się wykorzystywać i stosować we własnej pracy z ludźmi doświadczenia tych "powieściowych" postaci, tak barwnie i tak pouczająco ukazanych w arcydziele pisarza. Tak to zwykły robotnik / szlachy a chyba i nie zwykły/, robotnik owych czasów

niewykształcony a mądry robotnik-dyrektor umiał czerpać ze skarbnicy literatury swego wielkiego narodu.

W związku ze swym nowym stanowiskiem zamieniłem moje ulubione szpaki i wyjazdową bryczkę na samochód osobowy typu "gazik", a furmana Filipa na kierowcę Saszę Jewdokina - samochodziki te produkowała ówczesnie, na licencji Forda ~~produktory~~ fabryka samochodów inżeniera Lichaczowa w Moskwie i wchodziły one właśnie w powszechne użycie. Sprawa kadrowa, zadanie zdobycia dla stacji całego szeregu traktorzystów, mechanizatorów, brygadzystów polowych, była moją pierwszoplanową czynnością. Zaczynałem od przysłówiowego "zera", wszedłem więc w kontakt z kierownikiem Inspektoratu Szkolnego w Starowierowce, doświadczonym pedagogiem i społecznikiem, członkiem egzekutywy KP Partii, Walentym Weereszakiem, z którym opracowaliśmy wspólnie schemat kursów dla mechanizatorów-traktorzystów dla naszego powiatu, schemat oparty na bazie siatki pełnych i niepełnych szkół średnich. Na kursach tych przedmiotów ogólnokształcących nauczali nauczyciele szkół średnich, kierownikami kursów z reguły byli dyrektorzy tych szkół., ja zaś osobiście objąłem nauczanie z zakresu wiadomości o rolnictwie oraz budowy ciągników, zasad ich działania i pracy silników. Współpracował ze mną w tej dziedzinie główny mechanik stacji Petrenko, nauczając zasad eksploatacji ciągników, przepisów ruchu drogowego oraz BHP. Kursy nasze prowadziliśmy bez odrywania ich uczestników od pracy zawodowej, nie było to więc łatwe życie dla kursantów, którzy nie mieli wiele czasu na odpoczynek czy nawet sen, stałą będąc zajęci pracą w polu w dzień, a wieczory spędzając na kursach i przygotowywaniu się do nich. A i ja, organizator, kierownik i wykładowca, byłem w tym okresie bez reszty zaabsorbowany pracą mając jeszcze dodatkowe obowiązki przygotowywania materiału nauczania, kontrolowania wyników i koordynowania przebiegu kursów.

A równocześnie właśnie coraz bardziej angażowałem się w miłą znajomość z młodą nauczycielką szkoły podstawowej w Diaczkówce, siostrzycką pani doktor Poliny, panną Anną Bohdan - a panna Anna z każdym dniem okazywała się wrażliwsza, subtelniejsza, wspanialsza - nie dziwnego więc że zdarzało mi się czasami stawać przy stole wykładowcy nie w pełnych stu procentach przygotowanym do wykładu, stawać przed kursantami z lekkomyślnym przeświadczeniem że "jakoś to tam będzie!". Zdarzyło się więc pewnego dnia, że popełniłem na wykładzie poważną "gaffę", i w dodatku popełniłem ją w obecności przybyłego na kursy starszego inspektora wizytatora z samego Charkowa, niejakiego tow. Lejbina. A było to tak: jeden z kursantów, z tych pilnych i uważnych, w czasie wykładu nieoczekiwanie

zapytał : " Panie inżynierze ! pan nam przed chwilą opowiadał o drobiarstwie, o rasach drobiu, jego przeznaczeniu, nośności itd.. - tak, odpowiedziałem życzliwie / wizytator Lejbin coś ta notował w zeszycie / - No więc, ciągnął dalej kursant, ile kura znosi jaj dziennie ?.. Bo pan inżynier powiedział, że są odmiany drobiu hodowane i nastawione na produkcję jaj , i są inne odmiany , mięsne - - właśnie tak powiedziałem, potwierdziłem - a kursant Jefremow ciągnął dalej : - w takim razie proszę nam powiedzieć , ile jaj może kura znosić dziennie , bo rok ma przecież 365 dni , a pan inżynier przed chwilą powiedział , że są odmiany kur, chociażby te " leghorny" , wśród których znalazła się nioska rekordzistka , która w ciągu roku zniosła 385 jaj ?..."

Do tym zaskakującym mnie pytaniu zapadła na sali cisza oczekiwania dość przykra dla mnie. Pan wizytator z Charkowa ~~zaskoczył~~ przecierał swoje okulary z wielką starannością, zwiadać było, że je to stary wyga , który dużo widział i słyszał w swoim nauczycielskim zawodzie, nastroszył cię cały i napiął uwagę aby nic nie uronić z mojej odpowiedzi. która wydawało mu się być nieuniknioną moją kompromitacją w obliczu 45 kursantów.

Pomyślałem w tym momencie : "Wasz babo placek", lecz nie tracąc anirusu spokojnie i rzeczowo wpałem w treść pytania Jefremowa, mówiąc: " Otóż właśnie !.. ileż to jaj mogła znieść owa kura ? Ciekawe - prawda ? Wy pytacie - ile ? A przecież jest tużas w tej klasie 45 dorosłych, pełnoletnich ludzi, i tylko jeden z was, Jefremow, ustosunkował się krytycznie do podawanego wam według programu materiału nauczania, tylko jeden !... Jacyż więc będą z was mechanicy-traktorzyści i brygadziści, jeśli tak bezkrytycznie przyjąłcie podawany wam materiał, który przecież będzie wam zobowiązywał na egzaminach ?.. Państwo wydaje duże pieniądze na wykształcenie was - a wy? Jestem poważnie smutwiony waszą biernością i obojętnością, bo jeżeli tylko jeden z was uchwycił to celowe moje przejęzyczenie o tych nieszczęsnych jajach, a pozostali, 44-ech, przyjęło to za "dobrą nonetę", bo tylko siedz cie, słuchacie i nie chce się wam myśleć - a przecież głowa jest do myślenia , a nie do noszenia na niej kapelusza !.."

W tej chwili zbawczy dzwonek woźnego obwieścił przerwę, w kl sie zawrzało jak w ulu , dały się słyszeć szepty : " a! to diabeł ^{ten} nasz inżynier - odwrócił kota ogonem!" - "I to jaki!..." Co!!" ..

W pokoju nauczycielskim/podszedł do mnie pan Lejbin / nawiasem mówiąc -izraelita/ i podając mi rękę powiedział z uznaniem : "No, panie inżynierze!. Gratuluje panu!. Tegą ma pan głowę i przytomność ! Przecież wydawało się już, że pana wyga i kompromitacja jest pełna , a pan wyklada i w pobliskiej Własowce i w odległ

Paraskowiel i ja, prawdę mówiąc, narodziłem się już w pewnym momencie kim można by pana zastąpić po tej dzisiejszej pańskiej wyprawie - ale pan sobie świetnie z tym poradził, prawie jak nasz legendarny król "Salomon"!.. Gratuluję! .. Odrzekłem z udaną skromnością że pan wizytator nieco przesadza, że przecież nie ma sytuacji bez wyjścia, a mój błąd był wynikiem poprostu przeniesienia, jestem codziennie na nogach od świtu do późnego zmierzchu, tylko niedziela mam na odpoczynek, a pracę swoją, nauczycielstwo, uważam za pracę wyjątkowo trudną i "koronkową" subtelną, przy której nigdy nie wiadomo co może w toku lekcji czy zajęć wyskoczyć; ale lubię tę pracę - jest ona w naszej rodzinie dziedziczna - poprostu związana z nazwiskiem Zubczewskich. Rozstaliśmy się z panem wizytatorem w dobrej komitywie, a z czasem nasze wzajemne stosunki z tym pedagogiem mądrym i uspołecznionym stały się prawie przyjacielskie. Po wstąpieniu w szkołę sawierkiem Lejbina / był kawalerem i nigdzie się nie śpieszył / swoim gazikiem do Marii Latwiejewny, gdzie sobie przy kolacji niezłe popiliśmy, i gdzie już gościnnie przenocewał. W ten sposób pozyskałem sobie u charkowskich władz oświatowych przydatnego często opiekuna i poplecznika, wiedzącego że się na mnie również nigdy nie zawiedzie, i przeświadczonego o prawdziwie przysłówie o kapeluszu i głowie, z małą tylko jego korektą: bo kiepska głowa nie jest warta dobrego kapelusza.

Byłem więc w tym okresie zakochany, zakochany pro raz pierwszy i to od pierwszego spojrzenia. Wiedziałem, że nie jestem jak to się tu po rosyjsku mówi "krasawcem", ale wiedziałem też z zachowania się i spojrzenia ludzkich obu płci, że mogę się chyba uważać za jednego z tych co to "nie krasiw, a czertowski szigatycznyj!" - co się też potocznie równało wysokiej wartości, ludzkości takiego człowieka. Rosjanie mają jeszcze jedno trafne określenie z tym związane - mówią mianowicie, że "nie z lica wodu pit" - nie pije się wody z twarzy ludzkiej, wylewność człowieka nie tyle jest warta co jego wstrząsliwość ale wynikająca z wrodzonej dobroci i wielkoдушności. Tak było i z nią: pomimo zakochania rozważałem starannie wszystkie konsekwencje mego stanu, wszystkie "pro i contra" dalszego postępu mych uczuć i okoliczności w jakich one wznoszą się. Dzielili nas przecież, mnie i moją ukochaną, odwieczna przepaść narodowa, dzielili zwyczaje i obyczaje przyswojone od dzieciństwa, dzielili wiera. Panna Anna poza tym pochodziła przecież z kozackiej rodziny, a przecież Moskwa posługiwała się właśnie kozackimi elitarnymi pułkami dońskimi, kubedskimi, nadwołżańskimi i innymi w wójnach zaborczych, przy tłumieniu odruchów wolnościowych uciskanych narodów, i przy bezwzględnej realizacji swej zaborczej imperialnej polityki.

A politykę taką właśnie determinowały ówczesne dwa czynniki : układ stosunków narodowościowych i położenie topograficzne ziem tutejszych. Właśnie przez Don szedł stary arabski szlak handlowy z Europy do Azji , po wschodniej stronie rzeki zamieszkiwała ludność tatarska , tak zw. "nogajcy" zawdzięczający swą nazwę Chanowi Złotą Ordy , Nogajowi , a zachodni brzeg Wołgi t.zw. "kordon" /granica/ był obstawiony łańcuchem posterunków granicznych . Wojska kozackie i jego pułki wywodziły swą nazwę od nazwy swych "kureni" lub "kosz^u kozackiego, na którego czele stał ataman , pochodzący z wyboru przez "koło" czyli zgromadzenie kozackie . Młodzi kozacy rozpoczynali służbę wojskową w osiemnastej wiosnie życia , wstępując do kategorii przygotowawczej. Służba ta trwała pełne trzy lata , przy czym początkowo ćwiczenia wojskowe odbywały się na terenie sanych stanic, gdzie kozacy tej kategorii zbierali się podczas lata, i dopiero w 21 roku życia rozpoczynał się okres zasadniczej służby wojskowej , który trwał dalsze 4 lata w specjalnych obozach ćwiczebnych, i dopiero w piątym roku tej służby kozacy powracali do swych stanic i domów na t.zw. "lgotę" /urlop/ i zostawali zaliczani do pułków drugiej kolei powołania. Teraz obowiązywało ich coroczne odbycie letnich ćwiczeń "manewrów" wojskowych, w obozach na ten cel przeznaczonych, i w warunkach maksymalnie zbliżonych do warunków bojowych. Każdy kozak musiał stawiać się na te ćwiczenia w pełnym rynsztunku bojowym, łącznie z dobrym i ujeżdżonym koniem. Wspominałem już , że wśród kozaków często wybuchały zamieszki i ruchawki wywołane ich ciągotem i łgnięciem do Polski, co spowodowało, że Piotr Wielki , po zdradzie hetmana Mazepy i jego przejściu na stronę wojsk króla szwedzkiego Gustawa XII/za cenę przyrzeczenia tego króla iż po zwycięstwie nad Rosją odbuduje Niezależną Ruś/ , odwróciwszy pod Połtawą szalę wojny na swoją stronę , postanowił radykalnie zapobiec groźbie oderwania Ukrainy od Rosji i ewentualnego połączenia jej Unią z Polską, rozpoczął masowe przesiedlanie pułków kozackich i całych kureni nad rzeki : Don, Kuban, Terek, Wołgę, Jalik . Tę wielką wędrówkę ludu kozackiego zakończyła carowa Katarzyna II-ga ^{przy pomocy} /dawniej Elizawiety, a teraz swego faworyta, Hetmana Kozaków Siczki Zaporoskiej, Piotra Rozumowskiego, ostatniego hetmana Siczki. W ten sam perfidny sposób przebiegła i bezwzględna Niemka-Caryca , po zamianie Rozumowskiego na nowego kochanka Stanisława Augusta Poniatowskiego , ostatniego króla Polski doprowadziła do rozbiorów Polski. Po byłej sławie kozactwa Siczki pozostały jedynie nazwy ich pułków i kureni położonych już teraz nad brzegami innych rzek : Donu, Kubania, Tereku, i Wołgi. Administracyjnym centrum przesiedlonego kozactwa i siedzibą "nakaźnego" / wyznaczonego przez Moskwę" / atamana stanowiły teraz miasta

Nowoczerkask nad Donem, Jekatierinodar nad Kubaniem, Woźdok nad Terekiem i Astrachan nad Wołgą gdzie ustaliła się linia kordonu /graniczna/ kozaków terskich i nadwołżańskich.

Do roku 1712 wojsko kozackie było rządzone przez "koło" czyli zgrzeszenie starszyny wojskowej z atamanem na czele, ale już od tego roku wojsko to podlegało władzy specjalnego wojskowego kolegium w Moskwie, a pośrednio również władzy Gubernatora Astrachańskiego. Od roku 1825 w skład tutejszych wojsk kozackich weszły, z zachowaniem⁽¹⁾ pewnej odrębności, zwyczajów i obyczajów, przesiedlone z Sieny Zaporońskiej i Donu pułki i kurenie kozackie - zachowały one na nowych terenach swoje dotychczasowe nazwy pułków i kureni, i od tych nazw powstały nazwy nowych stanic - osiedli położonych na prawym brzegu rzeki Kuban. Centrum administracyjnym kozactwa kubańskiego został Jekatierinodar / obecnie, od rewolucji, zwany Krasnodarem / a ostatnim "należnym" atamanem tu tejszego kozactwa był, aż do roku 1918, generał Babiniez, wywodzący się, podobnie jak nasz Chorąży Olszański Andrzej Kricie, ze szlachty smoleńskiej.

Nie tylko jednak takie przesiąknięte historiozofią, pleśniennymi, rasowymi, narodowościowymi aspektami myśli nurtowały moją skołatana, miłością głowę i moje płonące serce. Rozmąszone nad samym zjawiskiem miłości, uczucia, które oto nawiedziło i mnie, Stefana Zubczowskiego, 22-letniego, bardzo jeszcze w tej dziedzinie niedoświadczonego młodzieńca. Zgadawałem sobie pytanie: co to jest miłość - miłość własna - w ogóle miłość?.. Czyż się różni to co odczuwam od miłości rodzinnej, od miłości Ojczyzny, od miłości bliźniego?.. To nie było takie proste jak zwykle stwierdzenie: oto kocham przedmiot swego zainteresowania - tym przedmiotem jest uroczka, ze wazzech miar odpowiadające mi stworzenie, płci żeńskiej, młoda dziewczyna?.. Ta moja, tak żywo przeżywana miłość była jakaś inna, w swoim własnym⁽²⁾ rodzaju i kolorycie - różniła się jakoś zasadniczo od wszystkich innych rozważanych i znanych mi z życia i literatury rodzajów miłości. Napełniała całe moje jestestwo uczuciem dotąd mi nie znanym, uczuciem głębokim i przyjemnym, słodkim i tkliwym jednocześnie, a wyrażnie innym niż np od miłości Ojczyzny czy bohaterów narodowych: Kościuszki, Pułaskiego, Mickiewicza.... Wydawało mi się, że jest to miłość nieco zbliżona do rodzinnej, jakaś swojska, bliska - nasiąka - łem nią jak hubka wodą, coraz pełniej - napawałem się nią całkowicie ale zarazem nie było w niej pożądania ciała kobiecego - była miłością czystą i głęboką, choć nie platoniczną. Wybranka, którą los mi przeznaczył, była oprócz uroku, subtelności, wrażliwości pełna również jakiejś swojskości, harmonii i siły wewnętrznej.

Będąc razem oguliśmy się bardzo dobrze, swojsko i blisko; rozumie-
liśmy się bez słów, które po prostu były nam niepotrzebne, zbędne.
Ciebie jej szaroniebieskich oczu była jakby wypełniona glorią świat-
ła, siłą wewnętrzną, która promieniując łagodziła moją neską pobud-
liwość. Nie było to pożądanie, od tego byłem w tym okresie miłości
bardzo daleko: wiedziałem, że to przecież przyjdzie i nastąpi w swo-
im czasie, ukoronuje i uzupełni moje uczucie jeszcze jednym moc-
nym, wiążącym aspektem miłości - że nastąpi to wtedy kiedy będziesz
już moja w obec Boga, prawa i ludzi. Przychodziły mi wtedy na myśl
słowa Iwana Siergiejewicza Turgieniewa, który pisał że miłość jest
jak pęk kwiatu róży, tak wonny, piękny, delikatny, czysty; "kac
chorozi, kak swiczy byli rozy, ot nich tak wiejako wiesnoj - rojal
raskryt, nie konczenyj romans, kartina kiewiem stojala priedo mnoj."
Tak właśnie było i ze mną, kiedy po uciążliwym przepracowanym dniu
pracy w polu z brygadami traktorzystów i w szkole / gdzie spotykali
my się często z moją bogdanką-Bohdanką - szkoła była bowiem w tym
czasie pewnym i naturalnym naszym łącznikiem - gdy odprowadziwszy
pannę Annę do jej pobliskiego mieszkania, zegnałem się z nią uściś-
kiem nalej, pięknej, a tak już pracowitej rączki i słowem "dobranoc"
- bez pocałowania nawet tej przemilanej rączyny - odjeżdżałem swym
Fordem do pobliskiej Własowki, przypomniałem sobie w drodze ^{Stonk} Williama
Shakespeare'a, a o tym że: "im mniejszą ma kobieta rączkę tym więcej
tępiączką weźmie od życia?". A w domu oczekiwała już na mnie moja goś-
cinna Maria Matwiejewna i pani doktor Polina, również zapracowana i
podobnie jak ja jadająca dopiero wieczorem obiadokolację, wspaniale
przygotowaną i podaną na stole, który ugiął się pod białym obrus^{em}
zastawionym wielką ilością znakomitych potraw. Pałaszowałem więc
w miłym towarzystwie obu pań prowadząc przy tym żywą pogawędkę z
nimi na temat, mojej pracy i jej niespodzianek, samopoczucia panny
Anny, trudności walki z chorobami jaką prowadzi pani doktor, braku
czasu na jakieś rozrywki kulturalne, a i samych tych rozrywek, co
my, młodzi, choć przepracowani, bardzo dotkliwie odczuwaliśmy.
Tak mijał dzień za dniem w gorączce i pracy - a moja miłość?..
Nie oświadczyłem się jeszcze otwarcie, ale czułem, że to uczucie
całkowicie mnie pochłaniające, jest podobne w działaniu do akumulatora
w moim Fordziku - nie zapomniałem jednak o wskazaniach mego
horoskopu, które między innymi głosiły: - nie daj popsuć sobie
humoru czyniąc postępowaniem, lub wtrącaniem się w twoje sprawy -
pariątaj że ani kieliszka za wiele! - nie zapomnij, że przyszły
tydzień masz pod znakiem miłych kontaktów / a więc zapewne z moją
kubanką bogdanką-Bohdanką / oczekuj poprawy domowych finansów

Te finansowe perspektywy poprawy sprawdzały mi się co do joty

mogłem już teraz nie tylko systematycznie pomagać ojcu i rodzeństwu ale z całym spokojem ^azwarantować przyzwoity byt swojej własnej, widzianej już w perspektywie, rodzinie.

Jedną z wskazów mojego horoskopu było ustosunkowywanie się spokojnie i z rezerwą do wszystkiego co jest mi podawane do wiadomości, zdobywanie się jednak na obiektywizm i dążenie do wychodzenia z każdej sytuacji obronną ręką. Zdarzyło się pewnego pięknego dnia letniego w połowie czerwca 1930 roku, gdy siedziałem w swoim gaziku obok Jakinienki i dojeżdżaliśmy już prawie do mostu na Berestowien - ce od strony Własowki, ujrzeliśmy niecodzienny, a piękny widok - oto moja bogdanka-kozaczka, nocno siedząca w siodle, ubrana w niebieskie szwaby do konnej jazdy, przykryte krótką do kolan granatową spódniczką, w białej bluzeczce, szalik zawiązany z tyłu zgrabnej, greckiej główki, ze stopami wpartymi w strzeniśna i obutymi w złotobrazowe niećkric kozaczki, pędziła cwałem na klaczy zwanej "Strzała /Stricika/" po zielonej łące drogą prowadzącą nie na most, lecz do odległego o około sto metrów w prawo, dość głębokiego brodu w środku rzeki Berestowienki. Podziwiałem śmiałość, szybkość, elegancję tej amazonki, podkreśloną jeszcze przez powiewanie chusteczki na głowie i lot wrywających się z pod niej splecionych i związanych jedwabnymi watażkami warkoczy. Z trudem odrywając oczy od tego pięknego widoku dostrzegłem nagle pędzącego za moją amazonką w odległości kilku stajni na swym "wałachu", samego komendanta milicji powiatu Starowierowskiego, wpożyczanego już Priadkę. Gonik on widocznie całym pędem starając się, jak sawwatyłem, nabiec drogą "Strzałce" i jej pani od strony brodu. Widziałem jak rwał okładając swego konia nahażem i kłując go ostrogami. W międzyczasie przejechaliśmy gazikiem przez most, zatrzymaliśmy się i z zaciekawieniem i jakimś niepokojem obserwowałem wspaniały widok pędzących koni i ich jeźdźców. Byłem też zaintrygowany co też to być mogło? Wyścigi? Ucieczka? Konie porosną?... Moja bogdanka siedziała na Strzałce jak ulana, twarz miała zarumienioną od szybkiej jazdy, widać było na tej twarzy emocje ~~wzruszenia~~ spowodowaną pędem. Przenosząc wzrok na Priadkę zauważyłem że on, w przeciwieństwie do panny Anny, jest jakoś niesamowicie blady, sympatyczna jego twarz była napięta niezwykle. Priadka był w wieku 24-25 lat, w stopniu porucznika wyszedł z brygady kawaleryjskiej Kotowskiego, był niezbędny "do bitki i do wypitki". Zdziwienie moje wzmagało się - więc to tak - myślałem - pan inżynier owasz, owasz - ale tu sam przystojny komendant, kawaler imponujący postawą i wdziękiem! - czyżby się rylił co do oceny mojej Anny?... Zdołyłem się jednak na obiektywizm, co, przyznaj, nie przyrzekło mi łatwo, i niecon już ochłonawszy śledziłem dalej ten niecodzienny *widok!*

Wspaniały wyścig kończył się właśnie : tuż, tuż przy samym brzegu rzeki i brodu Priadka zdołał pochwycić za uzdę Strzałki i zatrzymać ją gwałtownym odadzeniem w miejscu. Okazało się też zaraz, gdy i ja dobiegłem do dwójki wspaniałych jeźdźców, iż nie był to ani wyścig, ani ucieczka, lecz gonitwa szalonej Strzałki dla uratowania siedzącej na niej amazonki przed niechybną śmiercią. Strzałka bowiem, koń luzen prowadzony jako zapasowy przy podróżach po powiecie komendanta Priadki miała brzydkie przyzwyczajenia kapać się w każdej napotkanej wodzie, rzece, jeziorze, i na sam widok wody wpadała jak by w szal i w pełnym pędzie, na jaki tylko było ją stać rwała do wody, pędała w niej na grzbiet i tarzeła się w niej używając do syta kąpieli. I biada wtedy jeźdźcowi, który nie wyzwolił by na czas swoich nóg ze strzemion i nie zeskoczył z siodła : topiła go swym ciężarem - jak to się już zdarzyło w przeszłości. I to właśnie była ta niezrozumiała dla mnie początkowo przyczyna szalonego wyścigu oglądanego przeze mnie. Stąd też niezwykła błądź twarży komendanta Priadki rumieniec rozkoszy na licach mojej bogdanki, która nie zdając sobie sprawy z powagi sytuacji i grozy niebezpieczeństwa, nie reagowała na wołania i okrzyki wystraszonych goniących ją jeźdźców widzących możliwość wypadku, traktowała całą historię sportowo znajdując w niej wiele swoistej młodej koczowniczej przyzwyczajonej do konnej jazdy, satysfakcji. Znając już motywy i istotę pięknego widowiska patrzyłem teraz w pannę Annę jak w tęczę : była wspaniała, imponowała mi i odwagą i sztuką jazdy w siodle, przywitała się ze mną serdecznie i ciepło uściśnieniem ręki i podziękowała komendantowi "za wspaniałą przejażdżkę konną tak przypadkowo odbytą i szczęśliwie zakończoną !"...

Następnie zauważyła, że czas już na nią do szkoły na wykłady, i że jeśli pan inżynier będzie tak uprzejmy to może podwiezie ją do szkoły swoim gazikiem - na co oczywiście przystałem z całą ochotą. Po uprzejmym pożegnaniu się z komendantem Priadką wsiedliśmy wódc do wozu i odjechaliśmy do Diaczkówki.

Jak się zaczął tak i dalej w dobrych i miłych stosunkach i kontaktach dalej trwał ten mój horoskopem przewidziany tydzień "miłych towarzyskich kontaktów". Realizowały się one w szkole i po lekcjach Panna Anna wykładał na kursach język rosyjski i rachunki : zwykłe i pamięciowe. Te ostatnie niezbędne były dla traktorzysty przy wykonywaniu jego czynności w polu, czynności takich jak rozliczanie się z zużytego paliwa, z wykonanej pracy z pługiem, kultywatorem lub siewnikiem. Ja czułem się w tym tygodniu nieco "podbudowany" w swym uczuciu do Panny Anny po szczęśliwym, i ku memu zadowoleniu całkowicie wyjaśnionym epizodzie wyścigu mej bogdanki z dziarskim komendantem. Przystąpiłem teraz do spraw pilnych, a nieco opóźnionych w

załatwianiu - jeszcze z ubiegłego tygodnia. Był już na to najwyższy czas gdyż był to ten rodzaj spraw, których dalsze pozostawianie na uboczu mogło się niekorzystnie odbić na mojej, jak dotąd nienagannej, opinii starszego agronoma stacji traktorowo-maszynowej. A starannie nie dopuszczałem do tego, aby włożone na mnie obowiązki mogły wydać się komuś za trudne do wypełnienia przeze mnie. Moja ambicja bardzo boleśnie była by tym dotknięta. Pamiętałem bowiem zawsze w jaki świecie i w jakim środowisku pracuję, ja, inżynier Zubczewski, młody Polak, uchodźca - który na drobnostki zawsze machałem ręką. Taka moja postawa zdobywała mi w otoczeniu uczucia przyjaźni - w myśl zasady, że na grzeczność nikt nigdy jeszcze nie stracił - i nigdy nie jest jej zbyt wiele we Wszechrosji - zwłaszcza na codzień. Doszedłem w tym czasie także i do tak osobistego przekonania, że miłość jest na pewno jednym z bardzo ważnych czynników uruchamiających człowieka w działaniu i postępowaniu. Analizując często w samotności wszystko to co się zdarzyło od czasu poznania mojej bogdanki, i wyważając teraz swą miłość od pierwszego spojrzenia doszedłem do przekonania, że właśnie ta pierwsza jest lepsza, bo jest piękna, jest siłą moralną pobudzającą do działania i czynu, dodaje mu wiary we własne siły i we wszystko co dobre i szlachetne. Przychodziły mi na myśl słowa poety Siewieranina: "Choroszi tolko pierwyje robkije wstriezi - tolko pierwoje UTRO lubwi - choroszo!". Nie śpieszyłem się więc z oficjalnymi oświadczeniami swej ukochanej, choć wiedziałem że niema tożsamości sytuacji życiowych u różnych ludzi w przeszłości, że nie ma dla mnie, dla zakochanego Stefana Zubczewskiego jakiegoś wzoru - że wyszedłszy z pod rodzinnej strzechy i opiekuńczej ręki rodziny, nie będąc nigdy "maminsynkiem" ani też specjalnie szczęśliwym pupilem losu i życia, sam najlepiej wypracuję sobie swój model, życia, pracy - i miłości. Sytuację życiową miałem już dobrą i pewną: miałem zawód, dobry ulubiony zawód, tytuł i stanowisko w tym zawodzie, znakomitą opinię u przełożonych i przyjaźni współpracowników, całkowicie wystarczające uposażenie i dochody - w międzyczasie otrzymałem samodzielne mieszkanie, ładne i przytulne dwa pokoje z kuchnią i wszystkimi wygodami w dwurodzinnym domku z nowego budownictwa. Mój protektor i przyjaciel, dawny wizytator Lejbin Lew Iwanowicz, awansował na stanowisko szefa personalnego /kadrowego/ w Ministerstwie Rolnictwa Ukrainy. Awans ten przebiegł na fali datujących się od roku ~~kwietnia~~ 1929 tendencji obsadzania stanowisk wykonawczych w Rosji, głównie w sądownictwie, prokuraturze i więziennictwie, komunistami z szeregu działaczy-izraelitów. Bez wątplenia jedną z przyczyn tego nowego prądu było małżeństwo Stalina z żydówką, 19 letnią ~~małą~~ Różą

córką starego działacza rewolucyjnego Kaganowicza.

Rozumiałem jednak, że życia nie można przeczekać - i, dojrzały już do ważnej decyzji pod koniec roku/szkolnego 1929-30 udałem się, odpowiednio ubrany, w pewną wolną od pracy niedzielę, spacerkiem przez Łąki nad Berestowienką, do szkoły w Diaczkówce, do mojej kochanej, wybranej, właśnie tej tak mi w życiu potrzebnej. Rozwazałem w drodze treść listu mego ojca, do którego zwróciłem się o poradę w tej tak ważnej życiowo sprawie - ojciec w zasadzie popierał moje małżeńskie plany - pisał, że życie jest krótkie, i żeby w swym życiu czegoś dokonać i coś osiągnąć należy działać z należytą rozwagą - wybranka moja podobiała mu się z fotografii, cieszył się że mam dobry gust i przytaczał znaną rosyjską pogwarkę o tym że człowiek " --w dwadecąt nie umion, w tridcat nie ženat, w sorok nie bogat - krugom durak!" - / co można strawestować po polsku: dwudziestolatek powinien być wyuczony, trzydziestolatek żonaty, a czterdziestolatek bogaty - jeśli nie jest, to jest kompletnym durkiem/. Pisał mi też, że zna Kaukaz, Don i Kubań ze swoich dawnych podróży, zna tamtejszych ludzi, przeważnie są dobrzy, uczciwi, pracowici i szlachetni, wielu spotykał spokrewnionych z polskimi rodzinami jeszcze z czasów Zaporocza - pisał też żeby mieć oczy otwarte, decyzję rógą podjąć tylko ją sam, muszę sprawdzić więc i siebie i swoją przys złą małżonkę, bo małżeństwo to rzecz niezmiernie ważna w życiu człowieka. Rozwazałem ten ojcowski serdeczny i tak życzliwy list, rozwazałem ponownie też wszystkie kwestie różnic i zgodności między nami, oczekiwań i nadziei przyszłego ojcostwa, dziedzictwa i pochodzenia nas obojga, harmonii zaistniałej już między nami, i tej dziwnej wzajemnej bliskości, życzliwości, tkliwości. Rozważania moje sprawiły że do budynku szkoły w Diaczkówce zbliżałem się w znakomitym humorze, wyzbyty wahań i wątpliwości, pełen optymizmu i dobrych nadziei.

W drzwiach budynku szkoły ujrzałem, dochodząc do nich, panią kierowniczkę szkoły Ninę Łandyszewą - pochodzącą z miasta Mołajaska pod Moskwą, jak to wiedziałem od Anny. Pani Łandyszewa przywitała mnie uprzejmie i życzliwie, lecz z jakąś utajoną / jak wyczułem/ zgryźliwością, powiedziała: " a u nas, panie inżynierze, są duże nowiny!" Przystanąłem w drzwiach przy kierowniczce i poprosiłem ją by mi powiedziała jakie to są nowiny, na co z tajemniczą miną oświadczyła mi że^{de} jej młodej koleżance Anny Bohdan, a zdaje się moje sympatii, przyjechał z Kubania jej narzeczony, student weterynarii, niejaki Gleb Ignatiewko - jest przystojny, męski, dobrze zbudowany, pochodzi z dobrej i zamożnej rodziny - jak pan widzi, kobietom nie należy ufać, moja koleżanka uwodziła pana inżyniera mając już narzeczonego Nie nie szkodzi! odpowiedziałem, przecież przysłowie ludowe mówi:

"zaswatana narzeczona zawsze jest droższa" po czym uprzejmie podziękowałem pani Łandyszewej za miłe powitanie i ciekawe nowiny. W tym momencie wieszowałem sobie iż zgodnie ze swym horoskopem i jego wskazaniem nie posunęłem się jeszcze w swych małżeńskich projektach zbyt daleko, nie oświadczyłem się jeszcze swej bogdance, wyznając przekonanie w prawdę powiedzenia, że "co się odwlecze, to nie uciecze". Ale w sercu czułem dotkliwy cierń zranionej pierwszej miłości, i urażonej ambicji - przenikała mnie gorycz zawodu. Więc ja tam siedłem tak pełen wiary w swą jasną z Anną przyszłość - a tam? Tam - Gleb, narzeczony. Płakałem do Anny żal, że aniskowa dotąd mi o tym narzeczonym nie powiedziała, postawiła mnie prosto przed faktem dokonanym. Wszedłem jednak do pokoju panny Anny, gdzie zostałem jak zwykle uprzejmie i życzliwie przywitany, zaproszony do wejścia i zapoznania się "z moim przyjacielem z dzieciństwa i szkoły średniej oraz stanicą Staroniże stieblejewskiej na Kubaniu". Na te słowa powstał z za stołu przystojny młody człowiek, chyba mój rówieśnik, i podając mi rękę powiedział: "Gleb Ignatiewko, student III roku Zootechniki w Nowoczerkasku nad Cichym Donem". Ja również wymieniałem swoje nazwisko oraz tytuł i zawód, a przy tym bacznie się przyglądałem, jak mi się wydawało, temu "wybrańcowi" losu. Wkrótce przekonałem się że imponował nie tylko swą powierzchownością i inteligencją, ale również i manierami. Więc ma dobry gust - pomyślałem i o niej i o nim. Rozmowa jakaś nam się nie kleiła, więc mając wrodzone poczucie taktu, wstałem z za stołu, podałem Glebowi rękę na pożegnanie i powiedziałem tylko: "powodzenia", kolego".
"Panu inżynierowi również" otrzymałem w życzliwie wypowiedzianej odpowiedzi, i odprowadzany przez pannę Annę, która przeprosiła Gleba i powiedziała, że odprowadzi mnie kawałek, wyszłem z nią. Szliśmy milcząco ogrodową ścieżką do łąk i mostu, i dopiero tu panna Anna zatrzymując się przy płotku przejazdu, powiedziała do mnie: "Panie Stefanie, proszę nie brać tej wizyty Gleba zbyt poważnie - zgodnie z przyjętym na Kubaniu zwyczajem rodzice moi i Gleba uradzili, że gdy oboje dorośniemy to nas poenią - stare to dzieje mego i jego dzieciństwa, mieszkaliśmy obok siebie w nasze stanicie, ale ja tych perspektyw przyszłości nigdy poważnie nie traktowałam, choć sam pan widzi jaki jest ten przyrzeczony mi Gleb!". "Trudno" - padła moja odpowiedź - wola rodziców, to rzecz święta!.. Żegnaj i przepaszam że mimowoli zakłóciłem wasz i swój spokój!" - z tymi słowami, przeskoczywszy płotek przejazdu, szybko odszedłem. Byłem jednak zdruzgotany moralnie ciosem zadany mi tak okrutnie, tak małą i miłą, zgrabną rączką, tak już bliskiej, zdawało się, panny Anny Bohdan.

Nazajutrz, po uregulowaniu rachunków mieszkaniowo-żywnościowych z Marią Matwiejową, przeniosłem miejsce swego zamieszkania i urzędowania do gminy Paraskowiejewskiej - była to nieudolna próba zerwania ze wspomnieniami, z dotychczasowymi stosunkami, próbą przejścia na inny styl życia, wyzbyty marzeń o miłości - próba oczywiście bezskuteczna. "B oczu precz - z serca precz" - tak się mówi, ale tyłkoniowi - w rzeczywistości ciera w sercu tkwił, i nie dawał się wyrwać. Czas płynął jednak, mijały systematycznie jego godziny, dni, tygodnie i miesiące, przyszedł Nowy Rok 1931. Przewodniczący Gonczarenko za wzorowe wykonanie planu kolektywizacji i wiosennej akcji siewnej odznaczony został Orderem Czerwonego Sztandaru, a ja zostałem wezwany nagle do Charkowa do dyrektora Stacji trakt.-maszynowej tow. Suboty - treść wzywającej mnie depechy brzmiała: "Pilne, Starszego agronoma Zubczewskiego Stefana natychmiast oddelegować do dyspozycji Ministerstwa ~~Wojny~~ Rolnictwa - Lejbin." Stawiając się na drugi dzień w gabinecie Lwa Isakiewicza byłem poprostu zaskoczony pewnością siebie Lejbina i widocznym respektem osób mu podwładnych. To już nie był wizytator Lejbin, to już był ktoś na wysokim szczeblu drabiny władzy wykonawczej, szef personalny całej Ukrainy, człowiek z którym poważnie się liczone. Przyjął mnie jak starego, dobrego znajomego i kupił do wypitki, serdecznie i przyjaźnie - z miejsca też zaproponował mi awans i przeniesienie na stanowisko starszego agronoma do ~~Stacji Maszynowo-Traktorowej~~ Stacji Maszynowo-traktorowej Filiguł-Berezańskiej, obwodu Odesskiego. Sanych ciągników było w tej stacji 238, 80 tysięcy hektarów ziemi ornej, była to stacja obok Szewczenkowskiej największa na Radzieckiej Ukrainie, a jej dyrektorem był Polak: Zygmunt Lontowicz. Stacja leżała w połowie strategicznej autostrady Odessa-Mikołajew, zajmowała siedzibę byłej kolonii niemieckiej w Krasnym. Na moje wątpliwości czy podołam tak szerokiemu zakresowi pracy, zwiększonym i trudniejszym obowiązkom, Lejbin tylko się uśmiechnął poufale i przypomniał mi, że poznał mnie już wystarczająco dobrze przy wizytacji szkoły w Diaczkówce, "o tym nie ma co mówić, chodźmy raczej o ten awans, na który ostrzyżło sobie zębki nawet wielu partyjnych fachowców." I tak się stało: otrzymawszy nominację, zaległy miesięczny urlop, diety przeniesieniowe, w dobrym nastrój i humorze wróciłem do Własówki. Na przyjęciu pożegnaniowym wydanym przez dyrektora Subotę, ten ostatni wyraził żal, że traci w mej osobie nie tylko dobrego specjalistę, ale także człowieka, którego polubił i do którego przywiązał się. Po rozjeździe gości z tego przyjęcia pozostałem w lokalu sam na sam z kolegą, który przejmował moje dotychczasowe stanowisko, Iwanem Dmitrienko. W pewnym momencie podchmielenia i wylewności z niego płynącej

gdy już opowiedziałem mu pokrótce scenę mego bolesnego rozczucia się z ukochaną, zapytał mnie Iwan o jej fotografię. Gdy mu ją podałem uważnie obejrzał zdjęcie, popatrzył na mnie i prawie wrzasnął ~~zniecierpliwienie~~ zniecierpliwienie: "Ależ z ciebie dureń! Cóż z tego, że ona ma narzeczonego! Wierz mi, ta kobieta przeznaczona jest i stworzona tylko dla ciebie!... Póki więc jeszcze czas, jeśli nie jest już mężatką, pisz do niej - a najlepiej sam jedź natychmiast na Kubę i do rodziców twojej ukochanej!" Rada była nie tylko dobra ale i właśnie na czasie, więc kiedy ~~zostawiając~~ Dmitrianko już odszedł usiadłem i od ręki napisałem krótki list do swej wybranki, w którym podałem adres swych rodziców na ewentualną odpowiedź. Nazajutrz zaś wyjechałem do Czechrynia, do rodziny, obłożony prezentami i przymakami. Po dwa tygodnie pobytu na łonie rodziny otrzymałem krótki lecz miły list tej treści: "Stefanie! jeśli masz poważne zamiary czekać cię w domu tych rodziców - Ania".

Ponieważ z urlopu pozostało mi już tylko 11 dni, bezwzględnie pożegnałem się z ojcem i rodziną i pociągami pośpiesznym ze stacji Znamienta udałem się do Rostowa, a dalej na Kubę przez ~~W~~ stacje Tichoreckaja, Timaszowskaja i Liedwiedowskaja pod Krasnodarem. Już od Rostowa nad Donem krajobraz zmienił się nie do poznania: w oknie pociągu mijaly jak w kalejdoskopie urocze, bogate stancie tonące w gęstych ^śrywach sadów owocowych, starannie utrzymanych i pielęgnowanych. Domy mieszkalne stały przeważnie na wysokich kamiennych fundamentach i kryte były ocynkowaną blachą, były one zgrabne, ładne i wygodne. To była właśnie ziemia mlekiem i miodem płynąca, każda posesja obramowana była wysokimi płotami, a pod oknami domów, od strony ulicy, stały wspaniałe sztackety utworzone przez szeregi malw różnych gatunków i kolorów. Ludność widziana na polach, drogach i przy budynkach była rosła i wysoka, dobrze zbudowana, młodzi kozacy nosili czapki z kolorowymi otokami obasytymi złotą pasanterią, spod tych czapek zawadjacko sterczały czupryny włosów. Chodzili pewnie siebie, postawnie i ładnie. Kozaczki z reguły miały długie warkocze które dodawały dużo uroku ich pięknym, zgrabnym figurom gdy poruszały się lekko, wdzięcznym krokiem młodości. Podziwiając ten kraj i jego mieszkańców myślałem, że jest dobrym potwierdzeniem niezbitej prawdy ekonomicznej, że "byt określa świadomość" - przecież każdy noworodek płci męskiej, tutaj urodzony w rodzinie kozackiej, otrzymywał zapis i nadział 25-u dziesięcin dobrej, pszenno-buraczanej ziemi. od Gromadzkiego Funduszu Ziemi. Stawał się więc już od urodzenia kimś kto ^{ma} zapewniony dobry żywot. Ludność napływowa z Ukrainy i Rosji, nie przypisana do stanu kozackiego, zasilala szeregi najemnych pracowników rolnych harujących w pocie czoła u rdzennej społeczności kozackiej.

Otrzymywali za to orfynarię i nędzne wynagrodzenie w gotówce. Ludności żydowskiej nie było w ogóle wolno tu zamieszkiwać. Kozacy stanowili tutaj ~~część~~ ^{warstwę} wybrańców już od wieków - ~~to~~ ^{to} było poprostu państwo w Państwie. Biegunowość tutejszych warstw społecznych była rażąca, ale każdy kozak był za to orężną podporą wszechpanującego Donu Romanowych, i na każde zawołanie władzy: atamana, nakaźnego, generała mianowanego przez kolegium wojskowe, każda stacja wysyłała pierwszą sotnię konnych kozaków uzbrojonych po zęby i na dobrych koniach. Kozak, który gospodarczo podupadł i nie miał swego konia zaliczany był do kategorii "płatunów" czyli do zwiadu pieszego. Tworzono z nich specjalne formacje w rodzaju dzisiejszych komandosów; była to służba niebezpieczna - każda wyprawa na tyły wroga w celach wywiadowczych, kończyła się, w razie schwytania, takiego płatuna, jego śmiercią przez rozstrzelanie. To też byli oni świetnie przygotowani na zaskoczenie, pchnięcie sztyletem lub poderżnięcie gardła kindżalem. Rdzenni kozacy nie przepracowywali się - w czasie sianokosów czy żniw legiwali zwykle w cieniu pod wozem i gasili pragnienie wódką albo winem z własnych winnic, doglądając w ten sposób pracy "inogorodców", wolnonajemnej biedoty która przybywała tu za chlebem z Powołża, Woroneża i Ukrainy. Myślałem, że przecież ^{1/3}oja wybrana, do której z taką radością śpięszę, pochodzi przecież z czółówki tej tak uprzywilejowanej społeczności kozackiej, społeczności Kubania gdzie najdłużej utrzymywała się władza "białych" generałów, gdzie jeszcze w roku 1920 powszechne poparcie miał generał Wrangiel, byli snute w tej drodze i piękno kozaczyzny napawały mnie jakby niepokojem i trwogą, same przychodziły na myśl nazwiska Honty, Żeleźniaka, Krywonosa i samego Chmielnickiego - i znowu zastanawiałem się: co robić - jak postąpić - co mi przyniesie dzień następny?...

Wiedziałem już teraz że pewność siebie i postawa Gleba Ignatiewki miały swe podłoże i oparcie w tym co dotychczas tylko znałem z literatury i historii, a co obejrzałem naocznie po raz pierwszy w życiu. Podniecało mnie to i imponowało, że właśnie chcę dorównać Glebowi, a nawet pokonać go na jego własny terenie, porwać mu pannę z przed nosa. Wydawało się, że Gleb jest "lepszy" niż ja, ale wiedziałem też że mogą to być tylko pozory, jakże często mylne. Było o czym myśleć, było czym napawać oczy, ale było też o co walczyć, Ania!.. Do stacji Tomaszowskaja-Miedwiedowskaja przybyłem około godziny 11 i po wyjściu z dworca wsiałem do jednej z licznych "linijek" /rodzaj powoziku do przewożenia pasażerów/ i odświeżenie ubranemu starszemu już kozakowi-furmanowi poleciłem zawieźć się do hotelu. Kwadrans szybkiej jazdy, która jak zauważyłem wynikała z chęci wykasania

przybyszowi elegancji, powózki, nabijanej kaukaskim srebrem uprząży i pięknego kłusa konia wystarczył woźnicy do wybadania mnie do kogo ja właściwie przyjechałem, kam jestem, a po uzyskaniu tych wiadomości do stwierdzenia jaka to porządna i zamożna rodzina państwo Bohdanowie, jakie tam są ładne panny, jakie nieszczęście spotkało ich krewnych, rodzinę Fiodora Bohdana wywiezioną "na białe niedźwiedzie ~~stwierdził~~ itd.. itd... czyli masę istotnych wiadomości, jakich w miastach udzielają przybyszom przy goleńiu fryzjerzy, a na Kubaniu, widocznie "izwozczycy". Po przyjeździe do hotelu wniósł mi jeszcze do pokoju walizkę, a otrzymawszy przy rozstaniu napiwek i do tego jeszcze uścisk ręki, powiedział z uznaniem: "poznać pana po cholewach," na co żartobliwie zwróciłem mu uwagę, że na nogach mam przecież płytke pantofle, uśmiechnął się ze słowami "nic nie szkodzi" wyszedł i ruszył z kopyta, domyślając się zapewne celu mego przyjazdu. Rozkując się w swoim schludnym i słonecznym pokoju przypomniałem sobie jeszcze informacje woźnicy, z których wynikało, że mój przyszły teść też był zagrożony wywiezieniem, ale "wykupił się" złotem w Jekatierinodarze, że obecnie Kuźma Bohdan prowadzi tutaj bazę monopolu spirytusowego, jest kawalerem Orderów Sw Jerzego, ma około 54 lat, że jego dom widziany przez nas podróżą jest kamienicą krytą i naszkloną werandą, a duży sad przy domu opada łagodnie do łąk i rzeki Kirpili. Przekazując zaś dyżurnej hotelarce swój dowód do zameldowania dowiedziałem się nawiasowo, że tutejszy pop nosi nazwisko Kassalski, ma dwóch synów gimnazystów i brata, który jest stanicznym atamanem około 60 tysięcy ludności liczącej stanicę Niedwiedowskaja, ale obecnie przebywa na Workucie dokąd go zesłano.

Po parugodzinnym przespaniu się, wykapaniu i ogoleniu się ruszyłem po swoje przeznaczenie i już po paru chwilach naciskałem guzik elektryczny u drzwi wejściowych od ulicy, znanego mi już, z przelotnego rzutu okiem i dłuższego opisu woźnicy, domu Kuźmy Bohdana. Otworzyła mi drzwi i serdecznie na progu przywitała pani doktor Polina, pytając równocześnie o moje rzeczy., a dowiedziawszy się że zatrzymałem się w hotelu, stwierdzając że ten hotel był zupełnie zbyteczny. W następnym, dużym stołowym pokoju ujrzałem, nie bez wzruszenia, swoją wybrankę. Siedzącą na krawędzi dużej otwartej skrzyni i coś tam porządkowała - na moje wejście podniosła się skwapliwie i powiedziała: "jak to dobrze że Stiw przyjechał!". Nastąpiło ciepłe i serdeczne przywitanie z ucałowaniem rączek, po czym panna Anna przeprosiła mnie i wyszła celem przyprowadzenia swego ojca. Stałem i oczekiwałem na to przyście pana Kuźmy Bohdana; postanowiłem nie utrudniać już sobie i nie komplikować sytuacji przy składaniu ojcu mej wybranki oświadczenia o celu mego tutaj

przybycia. Widok miłych twarzy serdeczność powitania mnie przez obie siostry, sprawiły, że sam przyszedł na mnie dobry nastrój, ułatwiając mi aktywność działania i gotowość wyjścia naprzeciw ważnym sprawom mego życia. Czuję że wiele teraz zależy będzie od taktu i umiejętności mego postępowania, a obecność pani doktor Poliny Licholitowej, okazującej mi przecież w przeszłości tyle sympatii i życzliwości, wzmacniała jeszcze moje zdecydowanie torowania sobie ostanych ścieżek wiodących do tej, którą, czuję to teraz, pokochałem na całe życie. Wiedziałem że moja aktywność i ponysłowość ^{mi} swoista, mają tutaj i teraz szanse powodzenia. A czasu było już nie dużo. Urlop mój kończył się za 7 dni, miałem więc tylko tydzień "dobrych szans"., W tym tygodniu zostaną podjęte decyzje mego życia, a że ich przyjęte przeze mnie zarysy są słuszne - o tym byłem przekonany, pewny ich racji jak każdy 23-letni zakochany młodzieniec. Będę więc wkrótce miał kogoś bliskiego komu potrzebne ^{była} moje doświadczenie w istotnych życiowych sprawach, moja opieka i rada, moja serdeczność, tkliwość i oddanie.

Zdawałem sobie w tych chwilach dobrze sprawę z tego, że los mój w istocie nie zależy od konstelacji znaków Zodiaku, a wyłącznie od mego postępowania, uzdolnień, inteligencji, a w szczególności od umiejętności znalezienia się i zachowania w danych okolicznościach. Zdawałem sobie sprawę, że istotnym horoskopem wytyczającym mi moje postępowanie były wskazówki życiowe otrzymane od mego ojca, człowieka tak bardzo doświadczonego przez życie - pamiętałem jego słowa o tym, że sen zależy od należytego przygotowania do niego pościeli, i o tym że "głupich nie sieją!" - jak mawiali starożytni: "Stultorum infinitus est numerus!". Byłem też przekonany że tych parę drobnych nieporozumień z moją ukochaną, jakie przeżyliśmy w przeszłości, nie pozostawiły w niej, jak i we mnie żadnych trwałszych śladów, i że jej widoczna radość z mego przybycia była szczera.

Kiedy więc do pokoju wszedł ojciec mojej wybranki w jej asyście powstałem z krzesła przy dużym dębowym stole, ukłoniłem się głębok przedstawiłemu mi przez Annę starszemu panu i wymienilem swoje nazwisko, zawód i tytuł. Starszy, wysoki, dobrze zbudowany, przystojny pan Kuźma Gawriłowicz Bohdan, podając mi ręką powiedział: "Witamy w naszych niskich progach - już mi córeczka wszystko o panu, panie Stiwa, opowiedziała - a także i o celu pana do nas przyjazdu - z tym jednak trzeba będzie nieco poczekać, gdyż moja żona właśnie wyjechała do starszej córki Tatiany, do stacji ~~iforenskaja~~ ^{iforenskaja}, odległej od nas o 25 wiorst, a w tej sprawie jej głos będzie chyba będzie najważniejszy i decydujący?.. Bo widzi pan, Stiwa, ~~na~~ te wasze plany

małżeńskie spadły na nas dość niespodziewanie, bo niedawno dopiero córka nam o nich opowiedziała, a wiąże nas ~~jezanne~~ przyrzeczenie dane jeszcze w dzieciństwie Anny rodzinie zaprzyjaźnionych z nami sąsiadów Ignatieńko, że wydany córką za ich syna, Gleba - u nas, kozaków, takie przyrzeczenie i słowo bierze się ~~jezanna~~ poważnie - wprawdzie Gleb jest dopiero na trzecim roku studiów, ale czuję się w obowiązku bezwarunkowego uzgodnienia naszej decyzji z moją żoną - sprawa jest przecież bardzo ważna - idę więc do telefonu wezwać moją Anastazję Litrofanową do szybkiego powrotu!" . Z tymi słowami pan Kuśmą Bohdan opuszczył pokój, a dla mnie zaczęły się godziny oczekiwania i, pomimo "dobrych szans" i nadziei, niepewności. Musiałem znaleźć w sobie dużo spokoju, opanowania i taktu. W tym stanie rzeczy podtrzymała mnie na duchu sympatyczna mi jak zawsze pani doktor Polina, która powiedziała: "... niech Stiva się nie martwi, wszystko będzie dobrze, a narazie chodźmy do hotelu zabrać do nas Stivy bagaże!". Wiele to dla mnie znaczyło, bo przecież fakt przeprowadzki z hotelu do domu Bohdanów już sam przez się świadczył o stosunku rodziny Bohdanów do moich konkurentów, a widok naszej trójki, trójki, bo szła z nami i Anna, dokonującej tej translokacji młodego inżyniera, musiał chyba być przez ludność stacji, niewątpliwie dyskretnie ale bacznie obserwującej zdarzenia w rodzinie Bohdanów, zrozumiany jednoznacznie jako przyjęcie gościa do rodziny. Po zainstalowaniu mnie w obszernej, gościnnym domu państwa Bohdanów zostałem zaproszony na drugie śniadanie, a po nim przeszliśmy z panem Kuśmą do jego pokoju na pogawędkę, której oczekiwałem jako sposobności i możliwości wyjaśnienia wielu jeszcze aspektów mojej sytuacji - nigdy bowiem nie znosiłem sytuacji niejasnych, dwuznacznych, a tu przecież chodziło i o mnie i o Anię. Ania miała przecież jeszcze prawo wyboru, istniał jeszcze na horyzoncie jej życia Gleb, młody i obiecujący człowiek, który przecież w niczym mi nie ustępował, a przewyższał nawet swoim pochodzeniem z rdzennego kozactwa i nabytym, prawem zwyczajowym jeszcze z dzieciństwa, pierwszeństwem do ręki Anny. Czułem jednak, że moje szanse są większe właśnie o tę radość Anny okazywaną z racji mego przybycia, ^{o tym nie było} radości widocznej i niekrywanej, a tak wiele mi mówiącej.

Położony obok jadalni pokój pana domu, do którego obaj weszliśmy, był również ładny i dość duży, był umeblowany gustownie i staromodnie, na jednej ze ścian wisiał, całą tę dużą ścianę zakrywając, i zwisając od sufitu do podłogi, wyszukany w rysunku, kolorystyce i gatunku wspaniały perski dywan, pod tą ścianą stało metalowe niklowane łóżko, a przy nim stał stolik z rozłożonymi na nim paroma książkami i świeżo widocznie rozłożone okulary. Książek było w tym domu w ogóle dużo, co zauważyłem od razu po przybyciu tutaj.

Widziałem je już na krytej oszklonej werandzie, gdzie znane mi piękne oprawy wydań klasyków rosyjskich prześwieślały przez szyby szaf bibliotecznych, widziałem i w innych pokojach różnobrwnne obwoluty nowości literackich i naukowych, widziałem i tutaj w gabinecie gospodarza domu. Gospodarz ten uprzejmym gestem, spokojny i opanowany, wskazał mi fotel - z całego jego zyczenia widać było, że choć odwołuje się on do zwyczaju uzgadniania swych decyzji z żoną, ~~ale~~ to jednak on jest tym kto decyduje o wszystkim w tym domu i rodzinie. Tak zresztą od wieków było w kozactwie, wiedziałem o tym i rozmyślałem, że trudno będzie mi uzyskać w tym panu domu sojusznika mojej sprawy, zwłaszcza że widziałem jak duże, piwne oczy pana Kuźmy świdrują mnie z za krzaczastych brwi, starając się mnie przyniknąć do sedna mojej osobowości. Siadając w drugi fotel stojący obok okrągłego stołu przykrytego malinowym obrusem, pan Kuźma zagaik rozmowę stwierdzeniem, że "jak widzę, to pan Stiwia pochodzi z "bywanych"?". Potwierdziłem to jego trafne stwierdzenie, po czym prosto i szczerze, ale w skrócie, opowiedziałem o dziejach i życiu ojca, jego karierze wojskowej, wyczynach, tragicznym zakończeniu i dalszych losach. Usłyszałem też zaraz od starszego pana, iż zna pułk czugujewskich dragonów, że również służył pod dowództwem Brusilowa choć w pułku kozackim /kozaków kubańskich/, usłyszałem o jego uznaniu dla generała Brusilowa, który wiedział i chciał jaknajlepiej służyć Wszechrosji, usłyszałem potępienie tych "durniów", którzy ówczasie, zamiast iść w ślady Brusilowa, okrzyczeli go zdrajcą i "czerwonym". A przecież, jak się okazało, Brusilow miał rację, bo uniknięto by wojny domowej, wojny tak okrutnej i bezwzględnej - ale trzeba było wtedy więcej takich właśnie ludzi z głową, jakim był również i car Aleksander II-gi, który przecież powiedział że: "Lepiej chłopstwo z góry wyzwolić z poddaństwa, niż by ono samo miało wyzwolić się z dołu!". Podobnie przecież postępował i sam Lenin, chętnie przyjmując do armii czerwonej starych carskich generałów i "speców" wojskowych. Potwierdzeniem tego była niechlubna śmierć generała- atamana nakaźnego kozaków Dońskich Kaledina, który odebrał sobie życie widząc że zaszedł w ślepią uliczkę swej fałszywej polityki. Stiwia pewno wie że to były czasy Kiedy to: "każdy sobie skrobał swoją rzepkę", a Lenin i jego sztabowcy, Rudionny, Woroszyłow i inni koordynowali swoje pociągnięcia strategiczne i wygrali rewolucję, wygrali Wszechrosję - a z nami, z kozakami co zrobili?.. - na Workutę, na Kołyne, na Wyspy Sołowieckie!!-- tak, tak, ginie nasz stan kozacki i jego stanowe przywileje - tak, tak!. Snuł mój gospodarz swoje rozważania polityczne i światopoglądowe, a ja

potakiwałem ochoczo tym wynurzeniom starego kozaka zachęcając go tym do dalszych zwierzeń. Więc mój gospodarz ciągnął dalej i rozwijał swoje refleksje o tym że nie ma i nie może być zaspokojonego poczucia sprawiedliwości, że szerzy się klikowość, że tłumi się krytykę i inicjatywę, że ocenia się ludzi niezgodnie z ich rzeczywistą wartością i owocami ich pracy. Pan ~~XXXXX~~ Kuźma przytoczył, jako przykład rozbijania się kadrowej polityki w Rosji z rzetelnymi i ideowymi kryteriami, wypadek specyficzny niejakiego Żłoby, kozaka z niów kozactwa kubańskiego, który wyrósł w swoim czasie na dowódcę kubańskiej kawaleryjskiej brygady, osiągnął to stanowisko i funkcję ściśle spełniając rozkazy od początku rewolucji, z czasem został bohaterem narodowym o którym śpiewano pieśni ze słowami: "wперед мы Жлобицы лихих!" / naprzód my dzielni żłobińscy żołnierze/ - a potem? - zginął niewiadomo gdzie i kiedy, grób jego nie znany, rodzinę spotkało również wywiezienie na penitencję, sowchozy i kołchozy nazywane jego imieniem rozpadły się i nie istnieją ... Ten wypadek historyczny to już nie walka klasowa, to pospolita zbrodnia i osobiste rozrachunki, zemsta garstki "podpiewał" / potakiwaaczy/ których wszędzie jest pełno, a zwłaszcza wśród Żydów, którzy otwarcie teraz mówią " daliśmy wam Boga, daliśmy i cara - Józefa Stalina!"

Sprawiedliwość społeczna - rozważał dalej pan Bohdan - wyraża się nie tylko w płaszczyźnie ekonomicznej: wszystkich ludzi się nie zrówna - jej nieodłączną częścią jest zwyczajna, codzienna sprawiedliwość, która manifestuje się w całokształcie stosunków międzyludzkich i społecznych, w każdym kontakcie obywatela z państwem, w codziennym funkcjonowaniu każdego zespołu pracowniczego. U nas, kozaków kiedyś było i jest nadal zasadą sprawiedliwości społecznej pogłębianie uczuć patriotycznych, wyznających i potęgujących ofiarność ludzką i pełne oddanie się pracy - żydowskie hasło "internacjonalizmu" nie zastąpi nigdy tego właśnie poczucia realnego patriotyzmu - w takich czasach u nas kozaków, na naszych ziemiach, nie wolno było Żydom nie tylko zamieszkiwać, ale nawet i przebywać - a dzisiaj wszędzie ich pełno!.. Jakaż tu może być mowa o realizacji zasad Leninowskich przewycięzania antagonizmów klasowych i społecznych podziałów?.. Pod płaszczykiem likwidacji kuźactwa likwiduje się poprostu dorobek całego pokolenia, mienie jego przejmuje ^{nie} państwo lecz oprawcy spod znaku NKWD!... Smutną to prawdą, ale jakże prawdziwą - wtrąciłem w tym miejscu monologu mego rozmówcy, i, jakby na potwierdzenie jego słów, pokazałem mu wyjęte z portfela swoje dokumenty przeniesieniowe otrzymane w Ministerstwie za podpisem waszech władnego Lejbina, człowieka, który był przecież nie tylko do spraw kadrowych Ukrainy, ale i kimś znacznie większym, bo wszelkie zmiany

w kręgu spraw zawodowych i nie zawodowych przechodzą przez jego, Lejbina, ręce, bez jego parafy nie można osiągnąć bo kadrowy ministerstwa podlega bezpośrednio KC Partii. ...

W tej rozmowie z panem Kuźmą Bohdanem wytworzyła się taka atmosfera szczerości, zaufania wzajemnego i chyba nawet przyjaźni, która ośmieliła mnie w pewnym momencie, do tego, że szczerze i z poczuciem odpowiedzialności poprosiłem go^o ręką swej wybranki, a jego ukochanej córki Anny, przy czym prosiłem o stanowczą i szybką decyzję ze względu na kończący się wkrótce okres mego urlopu. Spostrzegłem, że to otwarte i szczer^e postw^eienie sprawy przeze mnie, sprawiło dobre wrażenie, uzupełniłem więc jeszcze moją prośbę oświadczeniem że nie chcę już dalej zwlekać ani osiadać się, znam obie, panią Polinę i pannę ^{Avini} oddawna, już od roku 1929, znam ich znakomitą opinię, jaką cieszą się w środowisku starowierskim za swoją dobrą pracę i w szkole i w Ośrodku Zdrowia, i jestem przekonany że nie nyle się co do trwałości i głębokości moich uczuć do Panny Anny i szacunku dla jej rodziny. Na to moje oświadczenie pan Kuźma wyraził swoją zasadniczą zgodę, powziął jak widziałem z pełnym przekonaniem, - był już po mojej stronie, jak i pani Polina i moja Ania - ale stwierdził, że nie można jednak pomijać woli małżonki i należy zacząć do jutra, do jej powrotu od córki. Uznałem to za słuszne, i czyniąc krok dalszy powiedziałem panu Bohdanowi, że chciałbym natychmiast po zawarciu związku małżeńskiego pojechać do Charkowa celem uzyskania tam przeniesienia służbowego również i dla mojej przyszłej małżonki do miejsca naszej wspólnej pracy. Pan Kuźma, uznając już widocznie sprawę za pomyślnie dla nas obu i jego córki zakończoną, powiedział: "no to wypijmy za waszą pomyślność" - co też natychmiast uskuteczniliśmy, wychylając kielichy znakomitej starej "kadery" wyjętej z podręcznej szafki - biblioteczki mego teścia. I wino i sposób jego wypicia świadczyły bardzo pochlebnie zarówno o znawstwie mego teścia w dziedzinie win, jak i o jego smakosztwie. Miałem już teraz obraz tego człowieka, mego teścia, widziałem przed sobą człowieka nieprzeciętnego, niepospolitego, doświadczonego w życiu pełnym przygód i wydarzeń, bohatera i kawalera orderu Świętego Józefa / odpowiednik polskiego Virtuti Militari / I - II - III - i IV stopnia. Miałem przed sobą człowieka, który zaufał mi, zwierzył się przede mną, młodym człowiekiem, Polakiem, niespodziewanie, a tak wylewnie ujawnił przede mną nurtujące go myśli, przekonania, idee dotyczące przecież nie tylko jego samego i jego rodziny, ale i całego koczactwa i całej Wascechrosji - zaufał mi i podjął poważnie i odpowiedzialnie decyzję tak ważną przecież i dla mnie i dla jego ukochanej Ani.

Nazajutrz, o godzinie 10 -ej rano , wróciła pani domu. Na odgłos kołatki Ania prędko pobiegła otworzyć furtkę, a ja udałem się za nią.

Jeszcze z za furtki usłyszałem głos matki pytający córkę : "kto win ?." /kto on ?/ i odpowiedź Ani : "nazywa się Stefan Zubczewski, jest inżynierem agronomem" - i znowu pytanie ze strony matki : " a co z Glebem ?." Ten krótki dyskurs przerwało moje ukazanie się w furtce i przywitanie starszej pani : "dzień dobry" -na co matka Ani również powitała mnie słowami "dzień dobry, Stiu!" badając mnie równocześnie szarymi oczami czujnie i uważnie od stóp do głowy. Wydało mi się, że to pierwsze badanie matczyne i pierwsze jej wrażenie wypadło dla mnie korzystnie , wziąłem więc z rąk pani Bohdanowej walizkę, a Ania wyładowała torbę siatkówkę i ruszyliśmy wszyscy w stronę domu, zaproszeni do tego przez jego gospodynię. "No, zasztaję w domu gościa, miła to dla mnie niespodzianka, proszę się rozgościć, a ja pójdę do siebie rozebrać się z płaszcza" powiedziała już w jadalni pani matka , pozostawiając nas z Anią samych w jadalni. Za chwilę z pokoju ojca usłyszeliśmy wymianę zdań między rodzicami Ani- pani Anastazja mówiła : " dobra nowina - co ? -nie uprzedziwszy domowników zaprosiła Stiwę ?.."Kasz babo placek - odpowiadał mąż- a może to i dobrze , Gleb wciąż odkłada małżeństwo do czasu ukończenia studiów, a sprawy dotychczas odkładane , oporne , ruszą teraz całą parą - musimy się nad tą sprawą dobrze zastanowić, bo jak widać z tego zaproszenia Stiwę przez Anię do nas, do rodziny, Ania traktuje Stiwę poważnie - liczę więc szczególnie na ciebie, Anastazjo Nitrofanowna, ty jesteś matką i kobietą , lepsze masz więc rozeznanie w tych sprawach - pamiętajmy tylko, że Ania za trzy tygodnie kończy już 19 lat, więc już chyba najwyższy czas na jej związek małżeński ?.. Stiuwa jest, jak wywnioskowałem z dotychczasowej znajomości, do rzeczy- dobrze wychowany, inżynier-agronom, ma zawód i stanowisko, to co się udało osiągnąć dotychczas w pracy to dopiero początek i wstęp, dobry wstęp, można więc liczyć na dalsze jego postępy w karierze zawodowej - powinni dobrze żyć jak się pobiorą ? Musimy teraz trzeźwo patrzeć na rzeczy, mieć baczne spojrzenie na wszystko co się będzie toczyć w okół nas , trudne mamy zadanie, ale są szanse powodzenia. Ja już przeglądałem dokumenty osobiste i służbowe Stiwę, które sam mi okazał, na właśnie z ministerstwa przeniesienie do pracy pod Odessą na Ukrainie. Stiuwa jest szczery, odważny i bezpośredni - te jego cechy już poznałem - myślę więc, że podejmiemy w tej sprawie trafną decyzję - ale dopiero wtedy gdy już sama porozmawiasz z Anią, i to wkrótce - urlop Stiwę kończy się już wkrótce !"... W międzyczasie do pokoju jadalnego, gdzie siedzieliśmy z Anią, weszła pani doktor Polina, i zwracając się do Ani powiedziała " wszystko

dobrze, tylko nie zapominaj, Aniu, że Stiwa jest Polakiem, a Gleb swój - dobrze się zasartanów nad tym!". Lecz Ania z punktu odparła tę jeszcze jedną, skóstrzałą przestrożę słowami: "NO i cóż z tego ^uStiwa Polak?..Stiwa mi się podoba, i ja go kocham!.. Na Gleba czekać nie będę!". Te słowa stały się rzeczywiście ostatnim cięciem wężła gordyjskiego - po nich Ania zaprosiła oboje rodziców do pokoju gdzie przebywaliśmy i ze słowami: "...proszę was, uzgodnijcie ze Stiwą datę naszego ślubu w Urzędzie Stanu Sywilnego stancji Niedwiedowskiej" uklękła wraz ze mną przed rodzicami, dając tym znak swej woli wyjścia zamąż właśnie za mnie, i tym samym prosząc o błogosławieństwo jako wyraz zgody rodziców. Ta zdecydowana postawa mojej Ani wywarła na rodziców duże wrażenie wiary iż córka ich wie co czynić i nieodparcie jest przekonana o słuszności swego wyboru, więc pani Anasztazja Nitrofanowna, nie już nie mówiąc, zdjęła w asyście męża duży wiszący na ścianie obraz Matki Boskiej Kazańskiej /odpowiednik obrazu MBoskiej Częstochowskiej/ obraz znany na Kubaniu ze swych cudownych właściwości podkreślanych wspaniałością srebrnej oprawy i złotej, wysadzonej drogimi ~~kamieniami~~ kamieniami korony, i ze łażami w oczach pobłogosławianas oboje klęczących; na wszystko dobre i złe, na całe nasze życie. Powiedziała przy tym, że tym samym obrazem Kazańskiej Matki Boskiej była i ona sama wraz z Kuźmą Bohdanem przed ich ślubem pobłogosławiona przez rodziców. Podniósłszy się z kolan ucałowaliśmy oboje rodziców i Polinę, a następnie ucałowaliśmy się sami ze szczerym i mocnym wzruszeniem - całowałem wtedy swą wybraną kę pierwszy raz, oczywiście w usta, mocno, serdecznie i czule. Niedwiedowski Urząd Stanu Cywilnego wyznaczył nam datę ślubu na dzień 29 czerwca 1931 roku - była to sobota i przeddzień ostatniego dnia mego urlopu. Przeżyłem te dni w znakomitym humorze i samopoczuciu, w nastroju pełnej satysfakcji i radości, z zapałem i entuzjazmem młodości przeżywając wraz z Anią nowe doświadczenia, wrażenia, marzenia, snując projekty i plany, zbierając siły na tę nową drogę życia, którą ^{podzieliły} już razem ręką w rękę, złączeni małżeńską wspólnotą myśli i czynów, pracy i odpowiedzialności, szczęścia i trosk.

Na trzeci dzień po ~~moich~~ mych oświadczeniach odbył się więc nasz cywilny ślub. Pamiętam ten dzień i widać żywo Anię, ubraną skromnie, prosto a gustownie: w białą bluzeczkę, z szerokim, oblegającym szyję kołnierzem i krótkimi rękawami, i czarną, jedwabną spódniczkę układaną w fałdy. Na nóżkach miała czarne pończochy i również czarne zgrabne czółenka. Uczesana była jaknajbardziej, moim zdaniem, twarzowo, to znaczy z prostym podziałem włosów na dwie strony i zwieszającymi z boków dwoma ciężkimi warkoczami. Twarz miała spokojną, miłą i pogodną, zachowywała się skromnie i taktownie. Na koniuszku małżowin usznych skrzyły się złotem obramowane koralowe kolczyki. Niebieskie oczy mej wybranki promieniały spoglądając na mnie światłem miłości i wrodzonej tej drobnej istocie mocy wewnętrznej, świętej nie wielu dziewczętom w jej wieku. Odwzajemniając z niemiejszym uczuciem jej spojrzenia z dumą myślałem, że ta droga mi istota wie czego chce, dopnie swego w życiu władając nie tylko wrodzoną inteligencją ale i uporem i wytrwałością. Urocza była ta główka zwracana ku mnie wdzięcznym ruchem białej szyi otoczonej sznurem koralu, takich samych i podobnie obramowanych jak kolczyki - były one ślubnym prezentem matki.

Ja chyba również prezentowałem się nienajgorzej w swoim nowym granatowym, trzyczęściowym garniturze dobrze uszytym przez charkowski krawca, w śnieżnobiałej koszuli, z sztywnym kołnierzykiem i mankietami. Przewyższłem Anię o pół głowy i tworzyłem z nią razem ładną parę młodych ludzi, czystych duchowo, promieniejących urokiem młodości i miłości, będących obrazem dwojga ludzi zadowolonych z osiągnięcia osobistego szczęścia i jasno patrzących w przyszłość.

Drużbami z mojej strony byli: Michał Licholitów, małżonek tak mi życzliwej i miłej pani doktor Poliny, i Diementij Basok, mąż najstarszej siostry Ani, Tatiany, kupiec z zawodu. Ze strony Ani drużbami były jej siostry: Tatiana i Polina. Z przyjemnością odczuwałem sympatię dla mnie jaka zapanaowała teraz w całej rodzinie Bohdanów. Widoczne było, że choć "nie swój", ale udało mi się i postawą, i zachowaniem i taktem, a w szczególności zapewne bezpośredniością i szczerością postępowania zarówno z nimi, już teraz mi bliskimi i spowinowaconymi, jak i z ich środowiskiem, z otaczającym ich od tylu lat kozactwem - a tę cechę wyniosłem przecież, jak już o tym wspominałem, z rodzinnego mego domu, ze sposobu życia i bycia rodu Zubczewskich.

Wesele nasze nie było zwykłym przyjęciem rodzinnym - było to wyraźnie przyjęcie wydane z okazji ślubu najmłodszej, ukochanej córki, ślubu przecież dość niezwykłego na Kubaniu, łączącego w stadko rodzinne Kozaczkę z Polakiem.

Przy dużym stole ustawionym na długiej oszklonej werandzie znalazło się więc około 40 osób - byli to nie tylko krewni Bohdanów, jak np siostry pani domu / pochodzącej z domu Gowor/ Polina, Katarzyna i Akulina z mężami, kozakami : Grigoriem Poliwodą, Iwanem Szostakiem, i Aleksandrem Gagowskim - wszystkie nazwiska jak widać pochodzenia polskiego - a także krewni Kuźny Bohdana, byli i ich przyjaciele i pochodzący z doborowych, wybitnych rodów kozackich, ze szczytów ludności stanic Staronizestieblijewskiej, Ładożskiej i Sławiańskiej. Prawie wszyscy przybrani w ogólnie stroje kozactwa kubańskiego, kłóceni od wyszywań na koszulach, ~~pasach~~ pasów skórzanych nabijanych srebrem, czapek karakułowych z barwnymi daszkami, szarawarów, bluzek i spódnic, wstążek, ozdób, biżuterii. Względy ogólnospołeczne, dotkliwy powszechny niedobór artykułów pierwszej potrzeby, ~~szara~~ a także nastroje polityczne panujące w tym czasie przymusowej kolektywizacji tych ziem, związane z tym deportacji ludności autochtonicznej, panowanie się wszechwładnego NKWD i tp nakazywały pewne ograniczenie w tych warunkach przyjętego na Kubaniu zwyczaju hucznego obchodzenia wesel, zgodnie z hasłem, że "jak wesele to wesele". A było to realizowane było od trzech prawie wieków z istic kozackim rozmachem, animuszem i humorem. Trzy dni i trzy noce trwały zwykle uczty weselne, przy udziale masy uczestników, w gwarze śpiewów solowych i chórnych, w wirze szalonych tańców i dźwiękach orkiestr. Na naszym więc weselu było znacznie mniej gości niż by to miało miejsce przeddziesięć laty, huczne orkiestry zastąpiły dźwięki gramofonu, ~~na~~ Stół tylko nie poddał się w pełni ograniczeniom czasu i obfitował w wyszukane potrawy, których ani przez moment nie zabrakło przez cały czas wiele godzin trwającej uczyty weselnej. Po pewnym czasie i pokój jadalny, nie mały przecież, bo mający około 45 metrów kwadratowych, zapełnił się gośćmi i zaproszonymi i przygodnymi, pragnącymi uczcić święto rodzinne u szanowanej rodziny Bohdanów. Pito dużo, wznoszono liczne toasty, śpiewano odpowiednie piosenki i czastuszki, panował gwar - nad wszystkim jednak czuwały baczne oczy pana Kuźny i jego małżonki, to też pijanych nie widziało się, weselość nie przekraczała umiaru, jakiś ład panował w całym towarzystwie. Gdy nastrój stał się już bardzo weselny i serdeczny powstał z za stołu na werandzie mój teść, i, odczekawszy na zapanowanie powszechnej ciszy, miękkiem głosem w którym przebijało się ciepło i wzruszenie tak przemówił do nas, do młodej pary i do wszystkich obecnych :

" Kochani moi ! Oto w dobre stare gniazdo naszej rodziny, rodziny Bohdanów przyjęliśmy za syna Stiwę, choć nie kozaka, ale swego według jego duszy, jego postawy, zachowaniu i tradycji !.

Oddaliśmy mu, oboje z Litrofanową, córeczkę naszą Annę, która będzie mu dobrą żoną. Chowaliśmy ją, kochali, pieścili, uczyli, a dzisiaj oddajemy ją z całym zaufaniem, Stiwie Zubczewskiemu - obcemu, Polakowi, nie swemu, kozakowi Glebowi Ignatienko, ale oddajemy pewni że oddajemy dobremu i szlachetnemu człowiekowi, którego sobie wybrał! Wiem, że to nasze i naszej córki zaufanie nie będzie zawodne, i że ten wybór również zobowiązuje naszego zięcia, że docenia on jego wagę i wartość. Wznoszę więc ten kielich za pomysłność młodej pary: "na was dobre!" i "szczerob było bez rozwodów!" - "jak to uhas na Kubaniu wiedzie się od wieku wieków!"... Pani Litrofanowa była tymi słowami widocznie rozczulona i wzruszona - nie dziwnego, było czym: oto jest na ślubie, nieoczekiwanym jeszcze do niedawna, ślubie do którego doszło w tak szybkim tempie, a do tego jeszcze ślubie nie z Glebem, którego przecież w myślach i planach swoich widziała zawsze obok swej córki, lecz ze Stiwą!.. A ja?... Widziałem i odczuwałem to wzruszenie mojej miłej teściowej i wiarę we mnie obojga rodziców Ani, byłem już dotychczasowym przebiegłym wesela i działań dobrych napojów nieco oszołomiony, podniecony prześcyciami i odniesionym sukcesem życiowym, ale opanowałem się całkowicie, wstałem z kielichem szampa w ręku i powiedziałem, doniośle i dźwięcznie, co następuje:

"Drodzy rodzice! Szanowni друзьbowie i goście! Nie znajduję poprostu w tej chwili słów dla okazania mego wzruszenia i uczuć jakie mnie murtują w tej chwili, chwili przełomowej na drzędze mego życia - że Ania pokochała mnie i mnie wybrała na męża, taki widać mój i jej los, mówi się przecież że "od suądionogo i na koniu nie ujediesz! Znam Anię nie od dziś, znam i Gleba Ignatienko, o którym wspomniał mój teść, poznałem go rok temu w Diaczkówce, gdy będąc na urlopie odwiedzał tam Anię- odeszłem od nich obojga wówczas z wielkim żalem, myśląc że odchodzę od Ani już na zawsze. Nic złego nie mogę o swoim wówczas rywalu powiedzieć, nawet podobał mi się jako mężczyzna, pochodzący z dobrej rodziny przy tym i od dzieciństwa zaprzyjaźniony z Anią!.. Ale że Ania, pomimo to, wolała mnie a nie jego, i że wy, drodzy moi, przyjęliście do rodziny i za swego mnie a nie kozaka Gleba, to mnie szczególnie zobowiązuje do takiego postępowania, aby moja żona i jej rodzice nigdy nie żalowali okazaanej mi miłości i zaufania. W naszej rodzinie, wśród Zubczewskich, a wywodzę się z Wołynia, również jak na Kubaniu jest w zwyczaju, nigdy nie było rozwodów, a przecież "życie przeżyć to więcej niż pole przejść", jak mówi ludowe przysłowie!. Jestem więc wam wdzięczny, wam rodzicom, a także Pani Polinie, za przyczyną której głównie doszło do naszego z Anią związku małżeńskiego. Piję więc

i proszę wszystkich obecnych o wychylenie wraz ze mną kielicha za pomyślność tego szanowanego Domu, w którym się znajdujemy i zacnej rodziny Bohdanów !.. Zwyczajem polskim życzę "sto lat ! Sto lat !..". Usiadłszy następnie obok Ani widziałem, że to co powiedziałem trafiło do uczuć i przekonań wszystkich obecnych - potwierdzeniem tego były rozlagające się z różnych stron okrzyki : "Gorzko - gorzko !!"... "Niech żyje młoda para !!" .. "Niech żyją!

Wszystko co dobre , zbyt krótko jednak trwa i szybko się kończy - skończyło się i nasze z Anią niezapomniane weselisko. Już nazajutrz siedziałem w pociągu pośpiesznym biegnącym przez Krasnodar, Rostów, do Charkowa mile i serdecznie żegnany przez całą rodzinę i odprowadzony do pociągu. Jechałem aby małżonce mojej wyrobić przeniesienie służbowe od nowego roku szkolnego 1931/32 do miejsca mojej pracy. Liczyłem na niezwykłego Iwa Isaakowicza Lejbina w tej sprawie , zgodnej zresztą z przepisami zalecającymi łączenie małżeństw - nie zawiodłem się : wystąpił tylko telefo Lejbina do Weereszeszaki , dyrektora wojewódzkiego oświaty , który wyraził przy tym zadowolenie z mego ożenku ale i równocześnie żał, że traci ze swego powiatu , dobrą i sumienną nauczycielkę, nauczycielkę z powołania, którą poznał w czasie wizytacji Diaczkowskiej szkoły.

W międzyczasie Ania wraz z siostrą swoją Tatianą i jej 8-letnią córeczką Awoczka , a był to już 7 lipiec 1931 roku, wyjechały ze stacji Miedwiedowskaja do znanego kurortu pod Piatigorskien zwanego "Minieralnyje wody". Nieomal w chwili odjazdu ich pociągu do peronu stacji Miedwiedowskaja dojechał pociąg pośpieszny kursujący po linii Krasnodar-Piatigorsk. ~~W~~ Zdarzyło się, że w chwili wsiadania Ani do wagonu zbliżył się do Ani niespodzianie Gleb Ignatienko, który wysiadł właśnie z tego Krasnodarskiego pociągu , i zatrzymał Anię słowami pełnymi żalu i wynówki : " Aniu! cóżś ty narobiła ? ! ?... Bierz natychmiast rozwód ze Stiwą ?- Co było dotychczas między wami pójdzie w niepamięć ! !. Wiesz przecież , że cię kocham ! Naprawdę!.. Jeszcze dziś weźniemy nasz ślub ! ! "... "Nie !" zdążyła zaskoczona Ania krótko i stanowczo odpowiedzieć, a moja nieoczekiwana sojuszniczka, Awoczka , poparła tę odmowę słowami : " Ciociu, wsiadaj prędko - nasz już przecież męża- pociąg rusza !" - po czym poprosiła Anię do drzwi przedziału w którym oczekiwała na nie w napięciu siostra Ani , Tatiana. Pociąg rzeczywiście w tej chwili ruszył, a Ania zdążyła jeszcze z okna wychylić się i powiedzieć , po tych momentach zaskoczenia niespodziewanym spotkaniem z towarzyszem miłych dziecięcych i młodzieńczych lat , szkoły , zabaw , prawie narzeczeństwa :

" Żegnaj Gleb ! !.. Żegnaj na zawsze - ja kocham Stiwę ! ! ..."

Takie było to ostatnie spotkanie i widzenie się tych dwojga młodych ludzi, zdawało by się samą siłą okoliczności i tradycji, wzmocnioną długoletnią przyjaźnią, przeznaczonych sobie nawzajem. Okoliczności i los w tej jednej z najważniejszych spraw w życiu sprzyjały mnie - byłem kochany, zdobyłem wstępnym bojem sympatię rodziny Ani, działałem zdecydowanie i szybko - to były moje atuty, silniejsze widocznie niż Gleba. Otrzymał on wprawdzie od swych rodziców deposesę o nieoczekiwanym, a już zapowiedzianym zamążpójściu Ani za mnie, lecz nie zdążył na czas do stacji z Krymu gdzie w właśnie w tym czasie przebywał niewycieczce - odszedł więc z życia Ani na zawsze, odszedł zapewne nie bez bólu i goryczy, uczuć tak niedawno przeciętą i przeze mnie doświadczonych.

A ja w tym czasie szczęśliwy i zadowolony leżałem samotnie w przedziale I-ej klasy pociągu pośpiesznego mknącego z Charkowa do Odessy i rozmyślałem. Przeżywałem, po raz nie wiem już który, przeżycie ostatnich tygodni i dni, widziałem przed sobą uśmiechniętą i zadowoloną twarzyczkę Ani, słyszałem gwar weselnych gości, okrzyki i toasty, pieśni i pogaduszki. Myślałem też dużo o naszej przyszłości którą już niedługo wspólnie rozpoczniemy na nowym miejscu pracy, myślałem o pięknym mieście Odessie, o tym mieście uroczym i wspaniałym, mającym tak chlubne tradycje z lat 1905, następnych i wreszcie 1917. Przypominałem sobie opowieści o okrutnej masakrze cywilnej ludności na wspaniałych Potiomkinowskich schodach, masakry dokonanej na rozkaz szefa żandarmerii i zarazem gubernatora Odessy generała Zielonego/ Zielonyj/. Przypominało mi się też, godne przytoczenia i w tych moich wspomnieniach, zdarzenie jakie miało miejsce w niedługim czasie po zbrodni dokonanej na owych wspaniałych odesskich schodach. Otóż przybył do Odessy znany w całej Rosji, a i po za nią, na występy ^{gospodnie} ~~max~~ cyrk Durowa, swoją wielkością, szerokim wachlarzem pokazów i ich jakością nie mający w Rosji równego sobie. Durow był to szlachcic, przyrodnik i humanista człowiek śmiały, nie należący nigdy do żadnej partii i cieszący się, z racji wysokiego poziomu swego cyrku, uznaniem i poparciem w sferach najwyższych. Znał on przebieg masakry odesskiej i rolę jak odegrał w niej gubernator Zielonyj, to też skwapliwie skorzystał z zaproszenia do Odessy otrzymanego z gubernatorskiej kancelarii, który to urząd poszukiwał wszelkich sposobów zatarcia przykrego i bolesnego wrażenia, jakie wśród ludności Odessy wywarły okrucieństwa gubernatora. Na premierę występów cyrku zjawił się i sam gubernator, dla którego przewidziane były specjalne fotele ustawione przed rzędami krzesel. Publiczności było dużo, cyrk

jednakże

i wyrażenie

swięta i

licznie

był przepełniony, w tłumie szeptało o jakiejś atrakcyjnej nie będącej w programie niespodziance. Z oblicza siedzącego w gronie dygnitarzy wygalowanego i wyorderowanego gubernatora Zielonego była pycha i samozadowolenie, że oto on potrafił pokrozić nie jakieś tam dzikie zwierzęta, drapieżników, ale jeszcze groźniejszą przecież, krwawą rewolucję. Przed zakończeniem programu występów pojawił się na arenie cyrkowej sam właściciel i dyrektor cyrku, uginający się pod ciężarem dużego lnianego worka pomalowanego na kolor krwi. Ten niezwykle występ wzbudził oczywiście olbrzymie zainteresowanie i ciekawość wszystkich widzów, potęgowane jeszcze dochodzącym gdzieś z za kulis ~~wyrazem~~ ^{gwarą} ~~areny~~ ^{świńskim} ~~maszynami~~ i chrząknięciem wyraźniej ~~z~~ ^z ~~świńskim~~. Dyrektor Włodzimierz Durow zatrzymał się dokładnie przed fotelami zajętymi przez gubernatora Zielonego i przykleknąwszy powoli rozpoczął rozwiązywanie tasienek węża zamykającego ten krwawy worek - działało się to pod potęgujące się dźwięki tuzi granego zwykle przez orkiestrę cyrkową w momentach napięcia kulminacji numerów cyrkowych. Gdy worek już został rozwiązany, dyrektor Durow głośno i znacząco zwrócił się do publiczności z prośbą o pilne i dokładne uważanie: bo to jest właśnie ten nadzwyczajny dodatkowy numer cyrkowy, "bo za darmo drugiej takiej świnii, jak Rosja długa szeroka, prędko państwo nie znajdziecie!" I w tym momencie z worka wygramoliła się duża tłusta świnia, cała pomalowana na zielono. Durow wyprostował się i pustym już teraz czerwonym workiem, jak sztandarem rewolucji wzywającym na barykady, wymachiwał na wszystkie strony. Rozległy się hukosne brawa w całym cyrku, oklaski i okrzyki uznania dla Durowa nie tylko ze strony zgromadzonej na galerii studenterii i młodzieży, ale i z szeregów parterowych krzeseł gdzie siedzieli drobni urzędnicy, kupcy, rzemieślnicy. Krzyczano powszechnie: "Tłusta świnia! Zielona jak generał! Świnia! Świnia! Tłusta świnia! Zielony świnia!...". Cały cyrk wrzał uciechą i satysfakcją z tak udanego "numera cyrkowego" będącego wspaniałą demonstracją polityczną i dotkliwym ciosem w gubernatora, satrapę i okrutnika.

Po opanowaniu swego oburzenia generał rozkazał nadbiegłym żandar-
mom złapanie i usunięcie świnii i aresztowanie Durowa - z tym złapan-
iem zielonej świnii oczywiście było też dużo uciechy, a nazajutrz
w całej Odessie, na ulicach, w restauracjach, kawiarniach, parkach,
bulwarach nie mówiono o niczym innym tylko o wspaniałym kawale
Durowa. Sam winowajca po spędzeniu nocy w areszcie został, dzięki
swoim stosunkom, zwolniony i zmuszony do opuszczenia natychmiastowego
wraz z cyrkiem Odessy, już po tym pierwszym dniu występów, i pozbawiony prawa
występowania w tym mieście przez okres 3 lat. Dłuższy okres banicji

przekraczał już kompetencje gubernatora , na proces sądowy nie mógł sobie ten satrapa pozwolić, bo jak że to : generał contra cyrkowcowi ?.. Dołożono więc jeszcze poważną grzywnę pieniężną za "zakłócenie porządku publicznego". Z tym wszystkim Włodzimierz Durow liczył się planując swój występ i był przygotowany na takie restrykcje , wiedział jednak, że to co co zamierzał i zrobił było potrzebne , że zwróciło to powszechną , publiczną i oficjalną uwagę, na osobę generała i metody jego rządów, wiedział też, że zyskał wiele sympatii u publiczności cyrkowej a rozgłos o "zielonej świni" rozprzestrzenił się błkawicznie po całej Rosji i po za jej granice.

Po przybyciu do miejsca mojej nowej pracy, do Krasnego pod Odesą z miejsca wpadłem w wir zajęć, obowiązków, spraw, terminów, trudności, oporów, nowości , twórczości organizacyjnych wymagających szybkich i trafnych decyzji. A trafiłem właśnie na okres pełnego biegu akcji żniwno omłotowej i odstawiania ziarna do elewatorów w Odessie, i Mikołajewie, gdzie gromadzone ziarno było nam zaliczane na konto pracy wykonanej przez nasze ciągniki na polach kolchozowych. Musiałem podjąć spadłemu ^{na nas} nawałowi pracy , którą wykonywałem łącznie z siedmioma jeszcze takimi jak ja , młodymi agronomami nie bojącymi się pracy nawet w tak dużym obiekcie jak nasza Tiliguko Bieriezańska Stacja Maszynowo Traktorowa. Najwięcej trudności sprawiała nam początkowo czynności rozliczeniowo-finansowe związane z kierowaniem ^{ic} dwoma brygadami traktorowymi złożonymi łącznie z 238 ciągników operujących na obszarze 80.000. hektarów. Pisaniny i liczenia było dużo, bo wymagano od nas również terminowego składania meldunków o przebiegu akcji nie tylko do władz Zjednoczenie Moechanizacji Rolnictwa znajdującego się w Odessie , lecz i do powiatowego Komitetu Partii mającego swą siedzibę w Bieriezaniu leżącym w odległości 3 kilometrów nad tym samym limanem co i Krasne. Bardzo złożony był też harmonogram pracy obu brygad wymagający dostawę cysternami paliwa do wszystkich 238 traktorów, oleju i wody, zaś następnie obliczenie zużycia dokonywane w polu przed każdą zmianą co wymagało dokonywania przez brygadzystę pomiarów tych płynów pozostałych w baczach, beczkach i cysternach. Brygady ludzi na ciągnikach i w obłudze pracowały dniem i nocą po 12 godzin na jedną szychtę. W nocy była to praca przy świetle reflektorów , opłacana oczywiście podwójnie. Ludzie byli zakwaterowani w wagonikach polowych w bardzo skromnych warunkach, gdzie spali snem kamiennym wyczerpani pracą przekraczającą przecięź 8^{to} godzinną normę o połowę, a wykonywaną w upale, w ogłuszającym, nieustannym huku motorów, pracą wykonywaną bez dłuższych przerw całymi tygodniami : rewolucyjna Rosja realizowała swoje hasło

naczelne owych czasów : " dogonić i przegonić świat kapitału i wyzysku !"... Goniliśmy więc i my, aparat kierownictwa, kontroli i nadzoru, gonili i traktorzyści , którzy w takiej gonitwie-harówce zwykle już po 15 latach pracy "wysiadali", stając się prawie inwalidami bez zdrowia i chęci do życia. Nie liczone się wtedy z Konstytucją , "zdobyciami świata pracy" i ustawami, z obowiązującym 8-ogodzinnym dniem pracy + Pomimo ustawicznego szkolenia i przygotowywania kadr odczuwano się dotkliwy brak traktorzystów, mechaników, pracowników pomocniczych, często zdarzała się praca na dwie zmiany, a i dłużej. Nie było wśród pracowników poszanowania dla norm zużycia paliwa, musieliśmy często dokonywać kontroli raportów, pomiarów, obliczeń czasu pracy, wartości i jakości rachunków za materiały , rzetelności rachunków i wliczeń za produkty, transport, sprzęt itp - musieliśmy słowem ustawicznie czuwać nad jaknajbardziej prawidłowym funkcjonowaniem całego powierzonego nam państwowego, tak dużego przedsiębiorstwa. Mój dzień pracy i jej zakres zwiększała jeszcze dodatkowa troska o urządzenie i jaknajlepsze przygotowanie wspólnego naszego w Krasnem gniazda z Anią. Ania w tym czasie przebywała jeszcze w Piatigorskim kurorcie , dokąd i ja myślnie i marzeniami często się przenosiłem , tęskniąc do młodej żony i pragnąc jej szybkiego powrotu do mnie , do naszego domu. A z tym domem też nie szło łatwo, nie brakowało kłopotów z ludźmi do pracy, z rzemieślnikami, malarzami, materiałami, farbami , z całą masą braku przeróżnych drobiazgów , jak się okazało w praktyce, niezbędnych do uszkania tego naszego wspólnego gniazda. A czas leciał , zbliżał się spodziewany dzień przyjazdu Ani - przynależnym więc - kogo należało, prosiłem-od kogo zależało, tłumaczyłem-komu nie był zrozumiały mój pośpiech i niecierpliwość.

dużych Tak się w tych dniach gorączkowej wyteżonej mojej pracy złożyło że Komitet Powiatowy Partii potrzebował koniecznie osobowego samochodu z kierowcą, a mój dyrektor , Zygmunt Zontowicz, nie mogąc przeciw zrezygnować ze swego jedyne^{go}, niezbędnego w warunkach odległości środka lokomocji , nie mógł, choć bardzo jak widziałem tego chciał. spełnić życzenia Komitetu . Znając ten kłopot Zontowicza zgłosiłem mu samorzutnie ^o gotowość oddania do dyspozycji Komitetu mego służbowego "Ford'a". Zontowicz przyjął tę ^e moją ofertę z wielkim zadowoleniem i wdzięcznością, przy podziękowaniu mi za nią podkreślając, że : "jesteś swój chłop, na którego można liczyć w potrzebie !". Na to moje spontaniczne posunięcie pozwoliły mi moje bardzo dobre już ówczesne stosunki nawiązane z głównym mechanikiem naszej stacji Michałem Janaszczikowym, który posiadał służbowy "Chevrolet" i niejednokrotnie już przed tym usgaśniał ze mną swoje służbowe wyjazdy , zabierając mnie wtedy ze sobą.

Już w parę dni po tym zdarzeniu znalazł dyrektor Zontowicz dobrą okazję do okazania mi w praktyce swojej wdzięczności : gdy mianowicie w przyjacielskiej pogawędce zwierzyłem mu się z trudnościami na jakie napotykałem w staraniach o umeblowanie nowego mieszkania , z miejsca zaoferował mi pożyczkę, na czas nieograniczony, dużego ładnego biurka z szufladami, pięknego dwuosobowego łóżka i kilku krzeseł - co znakomicie i ostatecznie załatwiało nękającą mnie sprawę umeblowania naszego z Anią pierwszego wspólnego mieszkania. Mieszkanie to , złożone z dużego pokoju, kuchni i hallu, znajdowało się w domu wysiedlonego na Ural niemieckiego kolonisty, "bambra" położonym przy głównej ulicy Krasnego. Byłem już teraz spokojny o to, że będę miał gdzie przyjąć moją Anię, choć jeszcze nie tak wspaniale jak bym tego pragnął, ale wygodnie i przytulnie, w czystym, jasnym, własnym mieszkaniu. Niecierpliwie już teraz oczekiwałem na przybycie mojej małżonki, która, jak mi to anonsowała w ostatnim liście, miała przybyć, w towarzystwie swego ojca, pana Kuźmy Bohdana również przebywającego w kurorcie, statkiem turystycznym płynącym z portu w Noworosyjsku do Odessy i mającym na swej trasie i w planie podróży odwiedzenie i zwiedzenie wszystkich po drodze portów i ich miast. A był to już koniec lipca 1931 roku, w I-iej dekadzie sierpnia będzie więc Ania już w swoim domu, wkrótce też obejmie nową pracę nauczycielską w szkole w Krasnem, gdzie ma otrzymać klasę złożoną z dzieci tutejszych Niemców-kolonistów, osiedlonych tu jeszcze za czasów Matuszki-Carycy Katarzyny II-iej - Hienki z pochodzenia.

Byłem zadowolony z siebie i moich osiągnięć tego ostatniego, pracowitego okresu. Oto wytrzymałem tempo i trud gorączkowej pracy organizacyjnej w nowym środowisku , utrzymałem, a chyba i podwyższyłem swoją dobrą opinię odpowiedzialnego i zdolnego pracownika w dziedzinie tak ważnej jak kolektywizacja rolnictwa, a przy tym nie zaniedbałem i swoich spraw osobistych : mam własne gniazdo, w którym stworzyliśmy, razem z Anią atmosferę szczęścia rodzinnego i radości życia. Wracając wspomnieniami na ścieżki i drogi mego dotychczasowego życia- wspominałem siebie jako chłopca-sprzedawcy lodów, ucznia i zarazem kierownika pralni i łaźni, wspominałem swoje "parobkowanie" u Szymryda Siczowego, wpływ jaki wywarł na mnie i moje losy mój niezapomniany opiekun Paweł Siwczew, studia uniwersyteckie. Umiejscowiając siebie w społeczeństwie stwierdzałem iż ubiegłe lata moje realizowałem zgodnie z mądrym nakazem-przysłowiem ludowym "oto w należytych czasach , w latach dwudziestych życia jestem "unioń" - mam skończone studia wyższe w swoim ulubionym

zawodzie, sporo już praktyki i poważne jak na mój wiek, odpowiedzialne stanowisko w tym zawodzie - oto jestem, również w odpowiednim czasie, a nawet nieco wcześniej "żonat", mam Anię wybraną, kochaną, wierną towarzyszkę życia, czekam na nią w wygodnym gnieździe. Tylko trzeciego postulat tego ludowego przysłowia nigdy zapewne nie osiągnę, nie będę "w sorok lat bogat" - nie są bowiem na to odpowiednie czasy, a i nigdy też nie było bogactwo moim dążeniem czy marzeniem - wyżej zawsze ceniłem wartość dobrej pracy dającej satysfakcję i dobre warunki bytowe.

W tych dniach oczekiwania byłem częstym gościem u państwa Zontowiczów w Odessie, poznałem jego matkę wdowę, żonę, panią Lucynę i dwóch ich synów, ładnych i miłych chłopców w wieku sześciu i ośmiu lat. Pewnego dnia po obiedzie Zontowicz zauważył że uważnie przyglądam się pięknie oprawnym tomom Władysława Rejmonta, znajdującym się w jego bibliotece domowej i zapytał mnie czy znam te dzieła, a gdy mu szczerze odpowiedziałem że nie znam, nie pytając więcej wyjął z szafy bibliotecznej tę trylogię i podając mi ją zachęcił do przeczytania interesującym stęszczeniem: "Ostatni Sejm Rzeczypospolitej" koncentruje się wokół zdrady targowiczów i Niezłomnego Sejmu Grodzieńskiego, drugi tom, "Nil desperandum:", opowiada o budzeniu się narodu do zbrojnego oporu przeciw zaborcy, a ten trzeci "Insurrekcja" przynosi szeroką panoramę rewolucyjnej walki narodu naszego o wolność. Po powrocie do domu rozczytałem się w tych książkach, pierwazych w moim życiu książkach w języku polskim czytanych, a tak żywo, tak interesująco przedstawiających i smutne i bohaterkie dzieje jednego z okresów życia Narodu. Znałem już z lektury dzieł Sienkiewicza, dostępnej mi dawniej tylko w języku rosyjskim, inne fragmenty i okresy klęsk i chwały Rzeczypospolitej, nie miałem jednak jeszcze w tamtych dawnych latach pełnego zrozumienia historycznej i patriotycznej wartości sienkiewiczowskiej "Trylogii", emocjonowała mnie raczej jej awanturniczo-przygodowa fabuła - teraz dopiero, bogatszy o lata przeżyć i doświadczeń Polaka na obczyźnie, zaczytywałem się i wnikałem w głębokie myśli Rejmontowskich dzieł, doszukiwałem się analogii do innych, bliższych mi czasów, dopatrywałem się reminiscencji do opowieści słyszanych w domu rodzinnym, u dziadka Likolaja, na różnych zjazdach i spotkaniach krewnych i znajomych. Te książki tak żywotnie wypożyczone mi przez Zontowicza, nie mniej chyba przydały mi się w życiu niż owe meble tak na czasie i spontanicznie oddane mi do dyspozycji.

Jeszcze jedną, a chyba nie mniej ważną niż te już wymienione, przyjacielską przysługę oddał mi w tym czasie Zygmunt Zontowicz: było nią bliższe, wnikliwsze przedstawienie mi tych ludzi z naszej bazy, ~~których~~ z którymi mieliśmy przecież w przyszłości współżyć nie tylko na płaszczyźnie koleżeństwa i współpracy, ale i w stosunkach towarzyskich, w obcowaniu społecznym i przyjacielskim. Do tych ludzi należał przede wszystkim wspomniany już przeze mnie główny mechanik Michał Jamszeżikow oraz moi służbowo "podwładni" współpracownicy tacy jak Achmezet Mustafa - Ali i jego małżonka, Klara, autochtoni pochodzący z pobliskiego miasta Simferopola na Taurydzie, młode małżeństwo w moim i Ani wieku, Michał Czarniecki, przystojny, nieco flegmatyczny rusin, kawaler, drugi kawaler, izraelita z Odessy Isaak Ger Sałomonowicz i inni. Przed jednym tylko z naszego otoczenia osobnikiem przestrzegał mnie Zontowicz, przed niejakim Aronem Ajzensztajnem, szefem biura i głównym księgowym. W postawie tego niewyraźnego człowieka przebijają się nieżyczliwość zarówno do dyrektora Zontowicza jak i do zaprzyjaźnionych z nim osób, do Jamszeżikowa i do mnie. Wiadomem było, że przybył on do naszej stacji wprost z więzienia w Odessie dokąd dostał się za jakieś malwersacje i spekulacje walutowe na czarnym rynku. Już jego powierzchowność budziła wstręt, rudoblada twarz i czerwone jak u królika oczy nie patrzące nigdy na człowieka wprost i otwarcie, tylko jakoś z ukosa i w rozbieganiu, a przy tym arogancja, tupet a równocześnie służalczość w stosunku do wyższych i możnych, a szczególnie do tych z NKWD, których wtyczką w nasze środowisko i donosicielem był z całą pewnością. Był moment w naszych wzajemnych z tym osobnikiem stosunkach że zmuszony zostałem zaprotestować publicznie, na naradzie dyrektorów, starszych agronomów i głównych księgowych odbytej w Odessie, przeciwko przerzucaniu na mnie przez Ajzensztajna prac z zakresu księgowości i rachunkowości będących jego obowiązkiem. Ten żydowski geszefciarz i spryciarz szybko zorientował się, że ja znam takie prace i chciał wykorzystać mnie dla swojej wygody - oświadczyłem wówczas na tej naradzie, że gotów jestem zamienić się z nim na jego pracę, która jest przecież i łatwiejsza i spokojniejsza, a do tego lepiej wynagradzana, a on niech spróbuje podjąć się mojej pracy. Oczywiście spięcie to zostało rozstrzygnięte na moją korzyść ale zyskałem w tym szefie księgowości skrytego, zjadliwego i podstępного wroga - wprawdzie nie obawiałem się go, pracując sumiennie, dokładnie i bez zarzutu, lecz jednak pozostawałem pod niemiłym wrażeniem, że krople jadu złośliwości tego biblijnego Judasza, jak krople wody, są w stanie i kamień wyślubić.

J. Szy

A teraz ? Jest właśnie piękny słoneczny ranek dnia szóstego sierpnia 1931 roku, gdy , po 38 dniach rozłąki z Anią, oczekiwania i tęsknoty za moją młodą żoną , oczekuję nareszcie w porcie odesskim na przybycie do kresu z turystycznego rejsu po Morzu Czarnym statku "Abchazja" , wysokiej klasy pasażerskiego , flagowego statku floty Czarnomorskiej - odpowiednika naszego "Baborego". Stoje na pirsie , rodzaju platformy kamiennej węg⁴ przeznaczony dla pasażerów, lub bliskich i znajomych oczekujących na nich. Pirs jest zabezpieczony ciężkimi łańcuchami zwisającymi z kamiennych słupków , i uzbrojony w urządzenia do zakotwiczenia przy nim wpływającego statku. Podrzucił mnie tutaj wczesnym rankiem swoim wozem Michał Jamszczikow stoje więc, spaceruję, niecierpliwie się oczekiwaniem i wpatrywaniem w horyzont, gdzie się ma ukazać dym kominów "Abchazji". Powietrze jest nasycone świeżym zapachem morza, soli i ryby, ciepły wiatr wzmacnia te zapachy. Jestem , pomimo zrozumiałego zniecierpliwienia, oczarowany widokiem morza - lśni ono w promieniach południowego słońca sają gamą odcieni szmaragdu, seledyni i błękitu, łezkres jego, gładkość i spokojna falistość uspakaja i koi. W powietrzu brzmią częste piski mew i albatrosów, rozlegają się odgłosy sygnałowych syren okrętowych przepływających w oddali i łopot żagli snujących się w pobliżu jachtów sportowych. Morze żyje swoistym sobie życiem, które z zaciekawieniem oglądam obserwując igraszki i harce delfinów jakby gromadnie tu występujących przed publicznością oczekującą na statek. Wszystko to zmniejsza i łagodzi moje napięcie nerwowe, i wreszcie około godziny pierwszej "Abchazja" jakby wynurza się z błękitu horyzontu i w obłokach czarnego dymu wyrzucanego z dwóch jej białych kominów, coraz widoczniejsza, bliższa, biała i szybka płynie pełną parą , rośnie w oczach. Z kapitanatu portu odbija w pewnym momencie statek pilota celem wprowadzenia do portowego basenu i odpowiedniego miejsca mola już bliskiej "Abchazji" , wity wpływający statek przeraźliwie i radośnie brzmiącym sygnałem swej syreny , otrzymuje z "Abchazji" również powitalny sygnał syren złożony z dwóch krótkich i jednego długiego gwizdu i oto oba statki

już się stykają burtami. Pilot kapitanatu portu, cały w bieli swego niiformu i w czapce mundurowej obszytej złotym galonem, wchodzi na pokład "Abchazji" i obejmuje jej ~~ster~~ stery. W tym momencie na molo rozlegają się dźwięki orkiestry wojskowej, która gra powitalnego marsza Dunajewskiego zaczynającego się od słów "lekko na sercu od pieśni wesołej", i przy tych pięknych dźwiękach "Abchazja" wolno i majestatycznie dobija do pirsu.

Fonimo że że bardzo pilnie i uważnie wpatrywałem się w górny i dolny pokład statku nie mogłem dostrzec Ani i jej ojca - statek cały

zaroił się jak w mrowisku pasażerami, turystami i wczasowiczami tłumnice wylęgnięni na pokłady, i w tym tłumie trudno było dojrzeć swoich. Z tłumu łatwiej było widocznie wyróżnić mnie wśród oczekujących na pirsie i przez dźwięki muzyki dotarły do mnie słowa : "Stiwa ! jesteście tu oboje z tatą - przy trapię !.." Radość moja była ogromna na te słowa i drogi głos mojej miłej, który pomimo panującej wrzawy dotarł do mnie, i za chwile już miałem swoją Anię w ramionach, całą, zdrową, pięknie opaloną i wypoczętą - musiałem bardzo uważać przy tym powitaniu żeby nie pogrześć doszczętnie bukietu czerwonych róż, z którymi przyszedłem powitać Anię. I Kuzna Bohdan również, wyglądał dobrze i świetnie się prezentował zajęty, jako bardziej w tej chwili przytomny niż ja, zebraniem bagaży, a było ich sporo - między innymi okazało się, że duży walec dobrze opakowany to jest właśnie wspaniały czerwony perski dywan będący prezentem teścia dla Stiwy. Po załadunku przez bagażowych wszystkich waliz, pudł i pakunków do dorozki odjechaliśmy do miasta. W drodze teść mój zachwycał się wspaniałością i urokiem dobrze zaplanowanego i zabudowanego miasta - my oboje z Anią mieliśmy w tym czasie więcej zainteresowania w przyglądaniu się sobie nawzajem i cieszeniu się swoim widokiem, potwierdzaniu tkliwymi spojrzeniami i czułymi słowami radość i szczęście z ponownego połączenia się po tak długim czasie. Hotelem do którego dojechaliśmy okazał się najlepszy w Odessie hotel "Arkadia", odpowiednik naszych "Orbisowskich" hoteli, opłacony przez mego teścia już w ramach całej imprezy turystycznej Noworosyjsk-Foty Czarnomorskie - Odessa, a w owym czasie nie wielu ludzi w Rosji mogło sobie pozwolić na pobyt w takim hotelu. Oboje z Anią z zachwytem & opowiadali mi teraz o swoich niezapomnianych wrażeniach z pobytu w przepięknej Jaście, wspaniałościach haremu sułtańskiego w ogrodach Bachczysaraju, o nasycaeniu się i nienasycaeniu pięknem Gór Tauryd i & lasów je pokrywających. Byli wciąż jeszcze pod wrażeniem Sewastopola, i miasta i panoramy przedstawiającej jego obronę w latach 1854/1855, monumentalnością spiżowych pomników Kniazia Taurydzkiego Potiomkina, admirałów Nachinowa, Totlebena, Uszakowa, Bakarowa, komendanta twierdzy generała Gerczakowa i szeregowego marynarza Koszkin, bohatera obrony Sewastopola, wywodzącego się z samego dołu drabiny społecznej. Po zjedzeniu obiadu w restauracji "Arkadia" należącej dawniej do znanych włoskich i francuskich gastronomów braci Fanconi, i zapłaceniu przez teścia "malosiku" / kelnerowi / słonego rachunku i sporego napitku, co wyniosł razem równowartość trzydniowego znakomitego utrzymania się dla trzech osób, i zakończeniu tego obiadu deserem na który złożyły się znane ze swej znakomitej jakości lody odeskie, pozwoliłem sobie

trochę niepatrznie, a trzeba przyznać i trochę nietaktownie, zwrócić mojemu teściowi uwagę na tę jego rozrzutność - na co otrzymałem odpowiedź będącą pouczeniem życiowym takim jakie w każdym chyba wieku przyjmować należy z wdzięcznością i do pamięci, jak się doświadczone nauki życiowe przyjmuje od rodziców. Mój teść z uśmiechem i taktownie powiedział mi mianowicie : "Tak, to prawda ! ale wiedz Stiwa, że córkę wydaje się za mąż przeważnie jeden tylko raz w życiu, i wtedy koszty nie wchodzi w ogóle w rachubę - pieniądze są po to , po to się je ma , żeby je wydawać na przyzwoite życie - a ja wydaję, bo mam, bo całe moje życie oszczędzaliśmy z moją Nitrofanowną , na tę okoliczność, na czas zaślubin Anny z tobą- pieniądze w życiu waży w życiu bardzo dużo, ale nie wszystko można kupić za pieniądze - nie kupisz miłości bliźniego, nie kupisz miłości takiej jaka was z Anią połączyła, nie dostaniesz za pieniądze szczerości, wierności, przywiązania, nie dostaniesz miłości Ojczyzny, dla której warto jest żyć, pracować nawet i umrzeć w potrzebie - wartość pieniądza jest względna, ceń go na tyle ile jest wart w danych okolicznościach !"...

To ojcowskie pouczenie ~~zawsze~~, człowieka prostego i bezpośredniego znającego życie i ludzi , mego mądrego teścia Kuźmy Bohdana, uznałem za swoje i stosowałem przez całe moje życie.

Rozpoczęło się teraz nasze wspólne z Anią życie małżeńskie. Gdy zaczynam pisać o tym nasuwają mi się tysiączne szczegóły i obrazy naszych dni powszednich i świątecznych , odzywają wspomnienia zadawionych, miłych sercu spraw , budzą się reminiscencje ówczesnych wrażeń i nastrojów ówczesnego naszego współżycia , czasami wręcz idyllicznych. Nieomal słyszę dźwięk śpiewnego głosu mojej młodej małżonki i serdeczne , przyjacielskie słowa rady i pomocy w wielu sprawach wymagających przemyślenia i decyzji, a związanych z ~~dużą~~ wyczerpującą i odpowiedzialną moją pracą. Jak już wspominałem ciążyło wtedy na mnie wiele obowiązków i w szkole, gdzie nadal kształciliśmy i wychowywaliśmy mechanizatorów rolnictwa, ~~uważając~~ już nawet z pewnym nastawieniem na przygotowanie ich do ewentualnej funkcji czołgistów i traktorzystów. Mamy teraz w szkole lepsze niż dawniej po temu warunki , nauka jest oparta o świetnie wyposażone warsztaty szkolne stworzone przez nasz zakład, ale wychowujemy i kształcimy przecież żywych ludzi z ich jednostkową odrębnością, różnorodnością, wolą dobrą i złą , szerokim rozrzutem przygotowania i uzdolnień, kształcimy w warunkach różnych odgórnych koncepcji i wymagań , w ustawicznym pokonywaniu przeróżnych trudności, braków, nieporozumień, a nawet złośliwych przeszkód.

Mamy więc o czym dyskutować, naradzać się, mamy dużo materiału i okazji zarówno do uciechy i radości z sukcesów jak i troski, z drobnych zresztą niepowodzeń. Praca Ani, dzięki jej osobowości budzącej powszechną sympatię i szacunek, nie nasuwa specjalnych trudności, w szkole panuje dobry klimat wychowawczy, osiągane są dobre wyniki nauczania i wychowania. Ania jest lubiana i przez grono nauczycielskie i przez dzieci - ma też uznanie i szacunek u ich rodziców: przy spotkaniach witają ją ci rodzice, przeważnie Niemcy, słowami: "gut morgen - Madame!". Gdy żartowałem z tego "madame" zamiast spodziewanego raczej niemieckiego "Frau", dowiedziałem się że jest to forma znamionująca pewien odcień szacunku ze strony tych ludzi, szacunku na który trzeba zasłużyć.

Moja pani zaprzyjaźniła się w krótkim czasie ze swoją rówieśnicą agronomem Klarą Achmecezet, otrzymuje od niej wiele nowinek i relacji z aktualnych wydarzeń w Krasnem i powiecie, mają więc młode niewiasty możliwości do zwierzeń i do niewinnych ploteczek, tak miłych młodym kobietom. Moja przyjaźń z Zygmuntem Lontowiczem pogłębiła się, przeszliśmy w krótkim czasie "na ty", lubimy się, ufamy sobie i wiemy że możemy w każdej potrzebie liczyć na siebie. Często oboje z Anią korzystamy z uprzejmości państwa Lontowiczów i robimy ich autem wyprawy do Teatru Opery i Baletu w Odessie, słynnego ze swej pięknej architektury i znakomitej akustyki, ^{oraz sygnalizacyjnej drogi i "czajnika"} Michał Jamszczykow, starszy ode mnie o całe dwadzieścia lat, polubił nas oboje i utrzymujemy z nim ściśle stosunki dowarzyskie, co przy moich bardzo już ścisłych z nim stosunkach służbowych wpływa na mocne życie się i trwałe zaprzyjaźnienie. Dzięki jego głównie wysoko kwalifikowanej i niezmordowanej pracy mechanika-precyzyjnego, oraz umiejętności przewycięzania niezliczonych przeszkód i braków, Zakład nasz znajduje się w czołówce tego typu zakładów na Ukrainie i otrzymał "sztandar przechodni" i premię, w postaci tak zwanej "trzynastki" od Związków Zawodowych. Te osiągnięcia naszego Zakładu uciszyły nieco i złagodziły panujące ostatnio w zakładzie szepty niezadowolonia wytworzone przez Ajzensztajna i jego popleczników. Ten osobnik, zostawszy sekretarzem partii w Zakładzie, co stało się zresztą z pominięciem przepisów statutowych dotyczących stażu partyjnego, wprowadził swoją osobistą politykę personalną w zakładzie zgodną z jego zasadą "grunt to rodzinka", a to, przy równoczesnym pogłębianiu się wyczerpania pracowników powodowanego przeciągającym się od dłuższego czasu niedosytem, wywoływało zobojętnienie na wszystko. Ludzie zajmowali się tylko swoim wąskim odcinkiem pracy, przestali dbać o "normy" i wzrost wydajności pracy, troszczyli się tylko o jakieś zabezpieczenie się na wypadek możliwego zagrożenia. Podziwiałem wtedy Michała, który w tym

nieprzychylnym klimacie potrafił zachęcić pracowników do przyjmowania nowych "norm", choć ze znużeniem oka, bo wiadomo że "więcej jak jednej skóry nie da się z wołu ściągnąć!". Trwała wtedy cicha ale ostra walka klasowa, nasilały się areszty, wywożenia i deportacje całych rodzin z szeregów byłych policjantów, niedobitków Petlury i "niepewnych elementów", której to etykiety bardzo już wówczas nadużywano jako wygodnej, nic nie mówiącej a nadającej się w każdej okoliczności. W roku 1924 nasiliło się z jednej strony brakoróbstwo nagminne marnowanie państwowych pieniędzy, zaś z drugiej nieposzanowanie zagwarantowanych konstytucją praw obywatelskich, brak odpowiedzialności u czynników decydujących, brak prawości.

Przyszła kres wszystkiego tego co w życiu społeczeństwa powinno być najcenniejszą cechą - zapanowało jakieś lekkomyślne hasło "u nas wsięgo mnogo!". Wszelką krytykę tłumiono w zarodku, a to prowadziło do coraz głębszego upadku życia gospodarczego. Panujący na świecie ówczesnym kryzys światła kapitalistycznego jeszcze pogarszał ekonomiczną sytuację kraju. Czujność tych, którzy z obowiązku "czuwać" mieli nad sytuacją, przechodziła wszelkie granice zdrowego rozsądku. Ci, którzy sumiennie i wydajnie pracowali często podciągani byli "dialektycznie" pod miano wrogów ludu i szykanowani, prześladowani przez tych, którzy wykazywali się taką krecią robotą by mogli sami przetrwać i szkodzić nadal. W tych skomplikowanych warunkach nie łatwo było przetrwać nawet autochtonom, a co dopiero mówić uchodźcom z Polski, Węgier, Czech, Niemiec, Bessarabii - ludziom szukającym tu schronienia i pracy. A różni ludzie wówczas bywali i działali.

Po pewnym czasie naprzykład dowiedziałem się, w niezwykłych okolicznościach, że mój przyjaciel z Krasnego, Michał Jamszczikow, w istocie nazywa się Michał Syczow i jest synem byłego ziemianina, obszarnika i właściciela pięknego majątku Czebanówka, położonego pod Odessą nad samym wybrzeżem Czarnomorskim, a rodzina Jamszczikowa i jego krewni przebywają nadal na zesłaniu. W pałacu Czebanowskiem urządzone zamknięte sanatorium dla wojskowych i ich rodzin, a znakomicie urządzone, zabudowany i zagospodarowany folwark Czebanówka zamieniono na "Sowchoz Czebanowski" specjalizujący się w hodowli zarodowej owiec merynosów. Michał, którego znałem, był dobrze zbudowanym, i świetnie wychowanym mężczyzną, znającym ludzi i świat, mającym swą niezależną postawę i wiedzącym czego chce. Pracował zawsze sumiennie i wydajnie - po ukończeniu szkoły kadetów marynarki był mechanikiem okrętowym oficerem marynarki na okręcie admirałskim "Nachirow". Po głodowej śmierci w obozie /lagrze/ koncentracyjnym, dokąd został wywieziony, swej żony i córki jedynaczki, uciekł z obozu przy pierwszej nadającej się sposobności, zmienił nazwisko i pracował jako mechanik.

W czasach gdy bywał częstym, miłym i zawsze pożądanym gościem w naszym domu, raz tylko zwierzył mi się, chyba dopiero po roku znajomości, że jednym z powodów jego sympatii dla nas jest fakt iż Ania bardzo mu przypomina jego nieżyjącą córeczkę - i to było wszystko co wtedy o tym szlachetnym człowieku wiedziałem.

Lata biegły, moje kontakty ze współpracownikami, a także i władzą w Zjednoczeniu & Odessie, pogłębiają się, moja pozycja służbowa stale poprawia się. W domu seniora rodu, u mego ojca Sergiusza Zubczewskiego również panuje spokój, niezłe warunki pracy i bytu: ojciec jest nadal głównym księgowym w Czechryniu, cenionym i szanowanym w społeczeństwie; wykorzystując społecznie swoje hobby, muzykę jest przecież wcale niezłym pianistą, gra również dobrze na klawirze, występuje na koncertach ^z ~~g~~ solową w towarzystwie orkiestry. Na życzenie władz zorganizował i kapelmistrzuje w orkiestrze dętej "Echo". Wychowują oboje z matką młodzież moje rodzeństwo. dzieciaki chodzą już do szkoły średniej, uszą się dobrze - cieszy mnie to niezmiernie gdy ich od czasu do czasu odwiedzają.

Tymczasem barometr polityczny spada i zapowiada się burza, ale to chyba będzie większa burza, z silniejszymi wyładowaniami społecznymi jak ta, którą parę lat temu przeżyłem w Paraskowici, kiedy to pod stołem ukryłem i uratowałem od zemsty ludu działacza partyjnego. Tłumy ludzi opętanych widmem głodowym, zbierają się, wbrew zakazom całymi rodzinami, grupami, wianami i oblegają stacje kolejowe by dostać się do pociągów, (choćby na dachach i na gapę) jadących na bogatsze i żywniejsze ziemie powołzańskie i syberyjskie. A jak taka podróż wyglądała w tych czasach - dla ilustracji przytoczę tu charakterystyczną anegdotkę, kursującą po całej Rosji.

~~W pewnym dniu~~ Pociąg pociąg jadący z Odessy na Ural zatrzymuje się w biegu w pobliżu Syberii bogatej w chleb. Po dłuższym postoju w szczerym polu zaniepokojeni pasażerowie zbliżają się do lokomotywy i zapytują maszynistę: kiedy ruszamy dalej? Maszynista mówi: "nie widzicie? .. Zamieniany parowóz!". Upływa doba, pociąg wciąż stoi. Pasażerowie, już zniecierpliwieni i bardzo zaniepokojeni idą już z trwogą i groźbą idą znowu do maszynistów i pytają kiedy ruszają dalej - po chleb? .. Na to maszynista flegmatycznie odpowiada: "dalej wcale nie ruszamy, bo w tym właśnie zamieniliśmy maszynę na chleb!"...

W takich stosunkach i nastrojach zbliża się wigilia roku 1932. Z narady dyrektorów, ~~zawieszona~~ odbywającej się w Odessie powraca Michał Jamszczikow i opowiada, że zwabiony na tę rzekomą naradę nasz dyrektor Zygmunt Lontowicz został aresztowany i nigdy już nie powróci ani do Krasnego, ani do swej rodziny w Odessie, i wszelki ślad po nim zaginął. A dowiedział się o tym Jamszczikow w ten sposób:

garażu

gdy zaparkował swój służbowy samochód w garażu usłyszał jakieś głosy dochodzące z za ściany oddzielającej garaż od gabinetu dyrektora - zaciekawiony zbliżył się do ściany i przytknął ucho do prowizorycznie zagipsowanego otworu łączącego kaloryfery w garażu i gabinecie - głosy stają się wyraźniejsze i Michał już się orientuje że w gabinecie odbywa się zamknięte posiedzenie egzekutywy partii - w pewnym momencie słyszy wyraźnie głos Arona Ajzensztajna, sekretarza partii, który oświadcza właśnie co następuje: "Lontowicz, już nie wróci, a co się tyczy Zubczewskiego to on nie może zostać ^{po nim} dyrektorem bo jest bezpartyjnym, a w dodatku Polakiem jak i Lontowicz - to ich łączy, i Zubczewski chyba wkrótce podzieli los Lontowicza".... Usłyszawszy to Jamszcikow nie zwlekając opuszcza niepostrzeżenie garaż i jedzie do nas, aby jaknajprędzej zawiadomić mnie o groźbie jaka nań zawisła. Widząc nasze zaskoczenie i zdumienie - bo za co?, za dobrą pracę, za znakomitą opinię, za awanse ??? -- w tym właśnie momencie, czując nasze niedowierzanie Jamszcikow, teraz już Syczow, zwierza nam się z całą swoją, opowiedzianą już przeze mnie przeszłością, obrazując tym całą perfidię, nieludzkość metod postępowania i bezwzględność ludzi partii pokroju Ajzensztajna. Ania, doświadczona już losem swego stryja Fiodora Bohdana i znanych jej licznych kozaków Kubańskich, odrazu zdecydowała że: "Stiwa musi wyjechać - i to natychmiast!". A za oknem burza śniegowa, wiatr szumi, trwa podymka czyli zawieja śnieżna. Jamszcikow przychyła się do zdania Ani, uważając że natychmiastowy wyjazd to jedyna słuszna w mojej sytuacji droga, bo później "musiałbyś jeszcze tym ludziom udowadniać że nie jesteś wielbłądem!". Moje przekonywania Ani, że mogę teraz wyjeżdżać, nie mogę jej opuścić - jest przecież w pierwszy okresie ciąży, jest poza tym nauczycielką i musi uczyć, nie odnoszą skutku, Ani twierdzi, że to wszystko nie ważne teraz, że ja powinienem wyjechać na Kubę do jej rodziców, a ona, po skończeniu roku szkolnego natychmiast przyjedzie do mnie. Postanowiliśmy też że nie będę pisał do niej żadnych listów, a po moim przyjeździe do Bohdanów ojciec zaszygnalizuje jej mój przyjazd słowami w liście że "wszyscy w domu są zdrowi". Natychmiast też wzięła się moja dzielna małżonka do przygotowywania mi walizki, zaopatrzenia w pieniądze itp. Zdecydowała też ^{że} w razie gdyby pytali ją o mnie, czego chyba niewątknie, to odpowie im odwrotnym zapytaniem i żądaniem żeby ci pytający jej powiedzieli, gdzie się podział jej mąż, bo obecnie rozwody, przesiedlania, i inne dziwne rzeczy są zjawiskiem masowym i codziennym, a dobry przykład tego dał przecież niedawno sam marszałek Budionnyj. Michał, teraz Syczow, potwierdził słuszność rozumowania Ani i dodał że warunki atmosferyczne, zawieja, są

bardzo sprzyjające absolutnemu zniknięciu jak w "czapce niewidce".
"Idź w kierunku Odessy rucadą /autostradą/ - trzymaj się słupów linii telefonicznej, żeby nie zabił i nie zamarznąć gdzieś w polu- a ja w niecałą godzinę dogonię cię moim szewroletem i podwożę dalej"- powiedział Michał -" a teraz pójdę do zakładu aby mieć alibi, że ja z twoim zniknięciem nie miałem nic wspólnego!".
Krótkie i treściwe były nasze rozważania w obliczu nagłości sytuacji, krótkie i bez łez, choć bardzo ciężkie było moje pożegnanie się z Anią, a ostatnie jej słowa przed moim wyjściem z domu brzmiały!"
"Bierę się , Stiuwa !- o mnie się nie martw - dam sobie radę !" i dalej : "myślę że Zygmunta wzięli , ze względu na bliskość granicy z królewską Rumunią i z "pułkownikowską" Polską - ci sąsiedzi nasi wciąż pobrzękują szabelką, a my, wasze żony, i w ogóle wy, Polacy, tutaj zamieszkujący, ponosicie skutki tych nieprzemysłanych wybryków i prowokacji takich jak ta ostatnia, w Szepietówce !". To prawda, kochana, powiedziałem, jeszcze raz proszę cię bardzo uważaj na siebie i na nasze , mające przyjść na świat dziecko !. Z tymi słowami wyszedłem , serdecznie uściskany i przeżegnany krzyżem, wyszedłem z poczuciem żalu, bólu i troski, choć bez najmniejszego zarzutu ze strony Ani, że oto ja , Zubczewski , postępuję tak nie po rycersku opuszczając swoją żonę w takim okresie jej życia, gdy obecność moja przy niej i serdeczna o nią troska tak by była jej potrzebna.
Dobrze już znałem swoją małżonkę i wiedzałem , że ta dzielna kozaczka rzeczywiście da sobie radę , że w tej chwili żadne słowa nie mają już wartości, że istotnie tylko nagły mój wyjazd na odległy o przeszło tysiąc wiorst Kubań da mi bezpieczne schronienie u teściów, skąd będę mógł rozpocząć starania o jaknajszybsze sprowadzenie i Ani.
Miałem w tych chwilach w świadomości swej słowa mego ojca, który przy jakiejś okazji pouczał mnie, że " w życiu nie ma sytuacji bez wyjścia, a w momentach kiedy wyczekiwanie i zwlekanie może grozić najgorszym , nawet śmiercią, trzeba działać szybko i zdecydowanie - tak też postępuje się i na placu boju, gdy chodzi o życie ludzi powierzonych twojej opiece!". Wychodząc z domu zdawałem sobie już sprawę że ratując w tej chwili siebie, ratuję również i Anię i nasze przyszłe dziecko , a nawet i w dalszej kolejności moje młodsze rodzeństwo, siostrę i brata, którym w przyszłości trzeba będzie pomóc w zdobyciu wykwalifikowania zawodu. Zdawałem sobie z tego wszystkiego sprawę, wiedziałem że moje zniknięcie było jedynym racjonalnym wyjściem w wytworzonej sytuacji - ale... ale ... odczuwałem jakiś niepokój, jakieś wątpliwości, obawę czy dobrze postępuję, uciekając i tym samym dając jakiś ^{atut} atut przeciw mnie, tym, którzy szykowali mi los taki jaki Zontowiczowi?...Instynkt samozachowawczy był jednak silniejszy : "jakoś tam będzie"- mówiłem sobie - "najważniejsze jest

nie dać się zniszczyć marnie , nie musieć udowadniać tym draniom, że się nie jest wielbłądem !"...

Szedłem więc uparcie i wytrwale, choć burza śniegowa wciąż się wzmagala, wiatr nasilał się do tego stopnia, że nieomal zwał z nóg a że dął z północy, przenikał do szpiku kości, mroził, tamował oddech. Szedłem równym, myśliwskim krokiem, oszczędzając siły choć nogi grzęzły w śniegu po kostki , wiedziałem że nie mogą pozwolić sobie choóby na krótki wypoczynek , bo może się on zakończyć tragicznie, zaśnięciem ze zmęczenia i zamrznięciem. Do Syczowki, którą miałem minąć po drodze pozostawało jeszcze około 15 kilometrów, czas mi się dłużył, zmęczenie rosło, ale szedłem wytrwale trzymając się linii skupów telegraficznych, jedynych w tej zawiei wskaźników prawidłowej drogi. Ubrany byłem praktycznie, lekko i ciepło. Miałem na sobie futro z jenotów z bąbrowym kołnierzem i taką samą czapkę, a na nogach buty filcowe obszyte skórą, gabardinowe bryczesy, a pod frⁿczem ciepłą bieliznę i sweter. Na rękach nowe futrzane rękawiczki - prezent od Ani. Cały ten , odpowiedni na zinę normalną strój, nie ~~by~~ w zupełności wystarczał w obecnych warukach, wciąż wzmagającej się wichury : Tumany śniegu biły wprost w twarz i w pochyloną, opierającą się wichrowi moją figurę, w stepie szalała zamieć. Z wielkim ~~wysiłkiem~~ wysiłkiem pokonywałem burzę i opanowywałem zmęczenie- na tej krzyżowej już zaiste drodze. Trzymała mnie na niej i pomagała w wysiłku świadomość, że w Krasnem myśli o mnie przecież Ania, że też nasłuchuje ryku wichru i łomotania burzy, że wrazała jej o mnie niepokój, że muszę iść, nie mogą zawieść jej i mojej wiary w lepszą w półną przyszłość. A szedłem już teraz z niezmiernym wysiłkiem od skupa do skupa, ~~wciąż~~ wciąż dopingowany myślami o Ani, o jej dzielności i roztropności zachowania się i postawy w różnych okolicznościach życia , o wielkiej duszy tej tak trafnie wybranej przeze mnie tak delikatnej i tak głęboko i czule kobiecej istoty. Ruchy moje stawały się coraz powolniejsze, coraz trudniejsze było pokonywanie wichru i zawiei , mobilizowanie sił do następnego etapu, do skupa, i jeszcze do skupa, i jeszcze kroki, i następne , wciąż trudniejsze, wolniejsze, krótsze. Była tu już walka o życie !... I oto w tym krytycznym momencie dotarł do moich uszu ledwo słyszalny odgłos klaksonu szewroletu Jamszczikowa-Syczowa, głuszony rykiem wichury. Na 9-ym kilometrzed Krasnego nadeszła tak już konieczna pomoc - żyłem !. Braterskie ramię Syczowa , wiernego przyjaciela, Michała, uratowało mnie w opresji . Ramię to pomogło mi wgramolić się do auta, do ciepłej wygodnej kabiny , ramię to usadowiło mnie jak w gniazdku, uścisnęło - i natychmiast ogarnął mnie zdrowy, lecz-
mocy ~~nie~~ krzepiący sen.

Spałem zasłużonym, odżywczym snem młodości do samej Odessy i obudziłem się, już wieczorem, ze zdumieniem stwierdzając że samochód stoi przed gmachem Zjednoczenia przy ulicy Łastoczki, w samym centrum Odessy. Na moje zdziwione pytanie dlaczego tutaj właśnie zatrzymał się, Michał uśmiechnął się i krótko odpowiedział że tak trzeba, że tu będzie najbezpieczniej, po czym poprowadził mnie przez ulicę na ukośno kamienicy podobnej do gmachu Zjednoczenia, stojącej po drugiej stronie ulicy. Na drugim piętrze nacisnął dzwonek elektryczny i czekał - po pewnym czasie usłyszeliśmy za drzwiami kroki i ktoś zapytał przez drzwi : kto tam - o tej porze? !.. Na odpowiedź : to ja , Jamszczikow, drzwi otwały się , ukazał się w nich wysoki , postawny mężczyzna , w starszym wieku i poprosił nas do środka. Jak się okazało następnie w rozmowie, prowadzonej przy herbacie i prawdziwej angielskiej "wiski" ów starszy pan był to "mister Sten", flegmatyczny Anglik, inspektor portu Odessy do spraw kontroli kotłowni statków. Otrzymywał on wysokie wynagrodzenie jako specjalista, wypłacane w angielskich funtach a nie w czerwonych, i za tę swoją cenną walutę mógł nabywać w "Torgsinie", specjalnym "delikatesowym" magazynie przy ulicy Deribasowskiej, wszystko czego zapragnie dusza takiego obco krajowego specja, i to po cenach przedwojennych z 1914 roku. Sklep ten przyjmował tylko obce waluty oraz srebro, złoto i biżuterię, a zaopatrzony był znakomicie. Mister Sten, będąc kawalerem i dobrze zarabiając mógł sobie żyć w ówczesnej, zbiedniałej, wygłodniałej, pozbawionej najmniejszego luksusu życiowego Rosji, na szerokiej stopie, a stało się to i miom udziałem przez cały czas mego dwutygodniowego pobytu u mister Stena, który uprzejmie udzielił mi swej gościny, tym samym zabezpieczając mnie w swym neutralnym, niedostępnym dla wszelkich poszukiwań i rewizji, mieszkaniu. Pierwsze dwie godziny pobytu w tym mieszkaniu, spędzone przy auto zastawionym stole siedziałem nieco jeszcze otumaniony zmęczeniem i przeżyciami, senny i niespokojny o Anię, i przysłuchiwałem się rozmowie mister Stena z Michałem. Panowie ci rozmawiali o sytuacji aktualnej w Rosji, a to co mówili jeszcze pogłębiało i zwiększało moje niepokoje i obawy - słyszałem o pogłębianiu się i poszerzaniu światowego kryzysu, o powiększającym się ogólnym bezrobociu, przyczyniającym się również do obaw wybuchu nowej wojny światowej, o tym że ostrze tej ewentualnej wojny skierowane będzie przeciw pierwszemu krajowi socjalizmu - Rosji, że wojna ta właściwie toczy się stale, i już teraz toczy się na w sferze wywiadu i dyplomacji. Niebezpieczni zawsze Niemcy znowu się burzą pod naciskiem ciężaru reparacji powstałych w wyniku uchwał wersalskich, panuje u nich zastój, szerzy się bezrobocie.

Kraj Rad dobrze sobie zdaje sprawę z tej sytuacji, zwłaszcza w tak trudnych teraz warunkach izolacji politycznej i gospodarczej wywołanej nieurodzajem, no i wypaczeniami wynikłymi w toku realizacji polityki kolektywizacji rolnictwa, zwłaszcza tu na Ukrainie. Doświadczenia tutejsze powodują właśnie inną już politykę rolną w innych regionach, zwłaszcza na Syberii, kraju bogatym nie tylko w chleb ale i rudy żelaza i węgla. I to jest powodem tego obserwowanego wielkiego "exodus-u" ludności, głównie ludzi w wieku produkcyjnym, a i młodzieży i całych rodzin. Że ludzie ci należą do tak zwanego "niepożądanego elementu" na tym przygranicznym terenie - tym lepiej. Kraj Rad przystąpił teraz, i chyba słusznie, do szerokiej industrializacji i przygotowań natury wojskowej - widoczne jest to w postaci transportów i przemarszów wojskowych oddziałów, szczególnie piechoty, przy czym do ich ukrycia przy zachodnich granicach wykorzystywane są głębokie nasywy leśnych. W tej atmosferze, w nastrojach strachu przed aresztowaniami, deportacjami, szerzą się niebezpieczne pogłoski i szeptaki defetyzmu, elementy wyrotowe nasilają swoją działalność, a na zapleczach regionów bogatych w chleb i kopaliny odczuwa się ostry brak ludzi do pracy. Rozmach industrializacji na tych bogatych, a równocześnie w głębi kraju położonych ziemiach, gdzie już się produkuje niezbędny sprzęt i wyposażenie wojskowe powoduje że władze pozbawione są wszelkich względów i litości dla ludzi tam potrzebnych, a wzdurających się przed wyjazdem w te tak dalekie strony. Zontowicz właśnie jest znakomitym przykładem losów tego typu ludzi. Jest mianowicie znakomitym mechanikiem, bez którego tu, w głębi kraju można się obyć, a który tam jest bardzo potrzebny. Kiedy więc nie wyraził zgody na proponowany mu wyjazd wraz z rodziną na te nowe uprzemysławiane tereny - poniósł konsekwencje tej swojej decyzji. Oderwano go nagle od rodziny i wysłano gdzieś, niewiadomo gdzie, ale tam skąd nie ma powrotu ze względu na tajemnicę wojskową. Tam gdzie nadaje się każdy zdrowy człowiek, mężczyzna czy kobieta, niezależnie od narodowości czy pochodzenia, a także taki, który oto siedzi tu z nami przy stole, pan Zubczewski. Jedyłą jego "winą" i powodem projektu "zesłania" go na Sybir jest to że ma głowę na karku, zna się na tym co robi, robi dobrze i umie robotę organizować. A takich właśnie potrzebują tamte tereny, a brak ich tam. Wytwarza się więc sytuację odgórnie i sztucznie taką żeby ludność samorzutnie tam emigrowała - nie szkodzi, że jedzie często na dachach pociągów, nie szkodzi że jedzie za darmo i na gapę, niech jedzie. Przy zorganizowanym przesiedlaniu nie zdołano by osiągnąć takich wyników, więc to "przy mykaniu oka" na wszelkie wykroczenia porządkowe i finansowe jest tylko dalszym ciągiem polityki zagospodarowania ziem syberyjskich.

V. Borec Lub.

Wystarczyłoby przecież tylko otoczyć kolej wojskiem / a jest tego dużo : trzy miliony/ i radykalnie zlikwidować w ten sposób masowe wyjazdy - lecz właśnie w tym tkwi sęk że dobrze jest tak jak jest, potrzebne są i procesy polityczne, i obozy bo siła tych "łagrów" polega na szybkości ich organizowania i brutalności działania. Słyszyny Wielki Mongoł, Dżyngis-Chan spowodował świadomie i w pogodzie ducha śmierć milionów mężczyzn kobiet i dzieci - a historia widzi w nim jedynie wielkiego twórcę państwa. Stalin również wie, i to dobrze wie, czego chce, bo jeśli nie dopnie tego co zamierza jego partia to zginą nie miliony ludzi, zginie Państwo, pierwsze w świecie państwo socjalizmu. Wydał więc odpowiednie rozkazy i każe rozstrzeliwać każdego kto pisnie krytyczne słowo. Nie go nie obchodzi to co o nim myśli i mówi szaba jeszcze zachodnia cywilizacja- szaba, ale jak długo jeszcze szaba ?.. Stalin wie, że kiedy w Niemczech znajdzie się drugi Hindenburg, to Niemcy pójdą znowa jedyną możliwą i ich zdaniem łatwą drogą : "drang nach Osten ! " i wezmą rewanż za przegraną z lat 1914/18 , za "dyktat wersalski" za reparacje ustalone w Rapallo.

Byłem nieludzko zmęczony, śpiący, skołatany osobistymi troskami i niepokojem o Anię, lecz słowa, argumenty, dowody, szerokie perspektywy otwierające się w toczącej się przy stole rozmowy obudziły w mej głowie , nawykłem do rozumowania i analizowania sytuacji, cały splot skojarzeń i rozjaśnień , zobaczyłem wszystko, a w tym i siebie, w innym świetle : więc jeśli jest tak, to i moja sprawa nie jest tak bardzo złożona i tragiczna- ten flegmatyczny angiłk, mister Sten otworzył mi oczy !.. Porządkując poszczególne ogniwa i fakty zdarzeń które stworzyły obecną moją sytuację doszedłem do przekonania, że ów Aron Ajzensztajn, któremu ja przecież osobście nie złego nie zrobiłem, jest jedynie tylko wykonawcą woli tych którym służy - stąd dalszy wniosek logiczny, że ja, moja odoba, w tej sytuacji może być łatwo zastąpiona kimś innym - nie ma przecież ludzi niezastąpionych, a moje nieoczekiwane zniknięcie będzie w opinii powszechnej traktowane tak jak i los Zontowicza , w myśl powiedzenia : "z oczu precz, z myśli precz - zginął jak kamień w wodzie !". To co się stało uznałem jak rodzaj prawa, które zawsze stoi po stronie silniejszego : Aron był silniejszy, a Zontowicz i ja staliśmy mu na przeszkodzie , więc gdy się dostanę tam gdzie nie ma Arona, ~~mogę~~ mogę spokojnie się urządzić i pracować w swoim zawodzie. Teraz wiedziałem że słowa angiłka Stena mają pokrycie w rzeczywistości, uspokoilem się,

Kiedy powstaliśmy z za stołu podziękowałem serdecznie Michałowi za wszystko co uczynił dla mnie i Ani, i żegnając się z nim

poprosiłem go aby wkrótce wstąpił do Ani i opowiedział jej co i jak. Odprowadziwszy Michała Syczowa do drzwi niester Sten ułożył mnie na wypoczynek na tapczanie swego gabinetu i pożegnał życzeniem dobrej nocy.

Całe dwa tygodnie swego niespodziewanego a przymusowego urlopu spędziłem w tym właśnie gabinecie angiika, prawie wyłącznie na studiowaniu wszystkiego co ciekawsze z jego dobrze zaopatrzonej biblioteki, i dopiero po koniec tego okresu przywiózł mi Michał list od Ani. Moja pani pisała mi żebym nie gwizdał z wyjazdem do jej rodziców, moje nagłe zniknięcie potraktowano wśród społeczeństwa w Krasnem jak i zniknięcie Zontowicza, i żadnych dalszych perturbacji za sobą nie pociągnęło. Pożegnawszy się więc na zawsze z angiikiem, wyraziłem mu moją serdeczną wdzięczność za "chleb i sól", i ciepło przez niego gospodarza żegnany, wyjechałem z Michałem jego autem do odległej o prawie 60 wiorst stacji kolejowej "Rosddielnaja", tak bowiem było bezpieczniejsze, bo w Odessie, a nieście dużym, portowym i bliskim granicy z Bessarabią, kręciło się dużo przeróżnych wywiadowców, a kontrola ruchu, szczególnie na dworcach kolejowych i w porcie, była bardzo nasilona. Przy pożegnaniu Michał wręczył mi delegację służbową wypełnioną na moje imię i nazwisko, z marszrutą przez Charków do Rostowa nad Donem, ówczesnej regionalnej stolicy Kraju Asofsko-Czarnomorskiego. Po wyściskaniu i wycałowaniu tego tak oddanego przyjaciela wykupiłem bilet I-ej klasy do pospiesznego pociągu prowadzącego sypialne przedziały i poczułem się zupełnie spokojnym, mając przecież delegację służbową, legalną, wydaną w celu zakupu części zamiennych do maszyn i ciągników w rostowskim "Roselmaszu". Po wejściu do przedziału zobaczyłem przy oknie siedzącego osobnika, który, nie odpowiadając mi na moje przywitanie wyszedł z przedziału i po chwili powrócił w towarzystwie jeszcze jednego osobnika, jak się domyślałem przedstawiciela Urzędu Bezpieczeństwa. Bez przywitania się obaj ci ludzie narządzali okazanie dokumentów więc wyciągnąłem z kieszeni portfel wyładowany czerwocami i podałem do przybyłemu osobnikowi. Biorąc portfel do rąk i widząc plik pieniędzy osobnik ów zapytał - "waszi?". "Moji" - spokojnie odpowiedziałem, po czym otrzymałem pieniądze z powrotem i pytaniem: "dokąd obywatel /grażdanin/ się udaje?". Odpowiedziałem żeby przejrzeć dokumenty i paszport - wszystko jest tam napisane - na co szorstko nakazali mi: "możesz!". Gdy następnie odpowiedziałem negatywnie na pytanie o broń, zostanem fachowo i gruntownie, a przy tym dość bezceremonialnie i brutalnie srewidowany i otrzymałem potwierdzenie braku broni słowami: "prawilno skazali - oruzja niet!". - i następnie usłyszałem "Możecie jechać dalsze!". ~~W następnym~~

Wychodząc bez pożegnania z przedziału zajmujący się mną NKW-dzieta powiedział do swego towarzysza, cały czas stojącego ~~stojącego~~ w drzwiach tyłem do przedziału / ubezpieczenie/: "Niet!- sto nie tot!" /Nie to nie ten /. Gdy po ich wyjściu wyjrzałem za drzwi zobaczyłem konduktora, starszego już wiekiem, który kiwając mi porozumiewawczo głową powiedział w zaufaniu: "wot -tak swoboda!- dowejewaliś!- taka owaka ich mać! - co dzień oglądam takie sceny, a i wielu zabierają z pociągu!, a pan ma wygląd wcale nie dzisiejszy i wcale nie proletariacki !".. Była to aluzja do mego futra, czapki, rękawiczek i skórzanej walizki w granatowym pokrowcu z czerwonym kantem, Dobranoc panu ! odpowiedziałem i zamknąłem drzwi/przedziału od wewnątrz. Siadając już teraz spokojnie sam dziwiłem się swemu niespodzwanemu opanowaniu jakie mnie cechowało przy tych , pierwszy raz w moim życiu bliższych kontaktach z przedstawicielami władzy, i to takiej, tej Władzy, kontakt z którą często kończył się długą odsiadką, bez żadnego sądu, wyroku i nie wiadomo za co. NKW było to państwo w państwie.

Nad ranem byłem już w Charkowie , pociąg z Charkowa do Rostowa odchodził o godzinie 15-ej , więc po zjedzeniu ze snakiem śniadania w restauracji dworcowej wsiadłem do tramwaju i pojechałem odwiedzić mego "przyjaciela", towarzysza Lejbina , Lwa Issaakowicza, urzędującego nadal w Ministerstwie Rolnictwa Ukrainy. Miałem szczęście : Lejbin był w biurze, był w dobrej kondycji i dobrym humorze. Ujrzawszy mnie wstał z za biurka ze słowami : " Dze/dobry!.. Wiedziałem, że kolega do mnie wpadnie!. Nie jest tak źle !", Co słyszeć ?.. Gdy już po przywitaniu i usadowieniu się opowiedziałem mu o swoich sprawach i kłopotach z Aronem Ajzensztajnem, o losie Zentowicza , o przypadkowym uzyskaniu wiadomości co mnie czeka itd.. usłyszałem w odpowiedzi : " Wiem, wiem, Ajzensztajn choruje na manię wielkości , ale Napoleonem to on nie jest !..Napoleon był wielki a Aron jest tylko wzrostem wielki ! Widzisz, sprawa Zentowicza ma nieco inne niż twoja oblicze , Zentowicz jest członkiem partii, a ty nie - a po drugie Zentowicz był, jako komunistą, zapiniowany i zaprojektowany na stanowisko dyrektora huty na Uralu pracującej dla obrony kraju , propozycji władz partyjnych dobrowolnego przeniesienia się na Ural nie docenił i nie przyjął , dlatego więc został represjonowany bo w pojęciu partii jest dezertorem - w partii nie toleruje się absolutnie żadnych odchyśleń od generalnej linii Stalina §. Co się tyczy ciebie, przyjacielu, to też nie radzę ci wracać do Krasnego, bo klimat tamtejszy jest dla ciebie niezdrowy - jesteś Polakiem więc najlepiej jedź w głąb Rosji!"..

Usłyszawszy taką radę i propozycję Lejbina oświadczyłem ochoczo że chętnie to zrobię, i że właśnie po taką radę wstąpiłem tutaj do przyjaciela Lejbina. Na to Lejbin podniósł słuchawkę telefoniczną, polecił połączyć się z Rostowem i uzyskawszy po kwadransie to połączenie, z kolei uzyskał połączenie z Oddziałem Kadr w Charkowie i przeprowadził następującą rozmowę: "Kadry? Korsuński? Świetnie - mówi Lejbin - Słuchaj Dawid, w najbliższym czasie zgłosi się do ciebie niejaki Zubczewski, inżynier rolnik, dobry fachowiec - bezpartyjny - proszę, zainteresuj się jego sprawą przeniesieniową tu bliżej, do naszego kraju - przyczyny przeniesienia? - rodzinne! no dobrze, dziękuję - Salam Alejkum!"... Po odłożeniu słuchawki powiedział do mnie: "Załatwione! - po przyjeździe do Rostowa zgłoś się wprost do szefa kadr, towarzysza Korsuńskiego - pisać do niego, sam to chyba rozumiesz, w twojej sytuacji nic nie mogę, a rozmowę słyszałeś, rozmowy takiej nie da się wasyć do akt, i to jest jej plus! Na moje podziękowania za szybkie załatwienie mojej sprawy Lew Isaakowicz odpowiedział: "Drobiang - nie ma za co dziękować, jesteśmy nauczycielami i starymi przyjaciółmi - jak będziesz u Dawida Sałomonowicza przypomnij mu o wzięciu ciebie na meldunek wojskowy, to jest teraz bardzo ważne, jesteś oficerem rezerwy i nie można mieć trudności z tymi sprawami, sam wiesz że trzeba uważać i zawsze być w porządku bo szartów z tym nie ma, szczególnie teraz kiedy każdy, dosłownie każdy specjalista jest potrzebny na najbardziej niewralgicznym odcinku jakim jest rolnictwo - walka o chleb to walka o obronność kraju i o rezerwy na wszelką ewentualność - wiesz: si vis pacem para bellum,!"... Na pożegnanie odprowadził mnie Lejbin do drzwi swego gabinetu i ściskając dłoń zapewniał jeszcze że wszystko jest w najlepszym porządku, jeśli mamy Dawida Sałomonowicza, to mamy bardzo wiele - życzy powodzenia i prosi o pozdrowienie od niego Anny Kuźminiczny.

Wyjeżdżając o godzinie 15 -ej z Charkowa nad Rostow znowu miałem wiele świeżego materiału do rozmyślań nad złożonością i różnorodnością istoty ludzkiej, nad tym co jest najgłębszą wartością człowieka, nad szczęściem jakie w życiu miałem spotykając wielu na swj drodze ludzi takich jakby choćby ci ostatni: Michał Syczow i Lew Lejbin. Po przybyciu do Rostowa nad Donem, ogoleniu się i umyciu głowy u fryzjera i spożyciu na dworcu śniadania, udałem się tranwajem do Dawida Sałomonowicza Korsuńskiego, pracownika w Wydziale Kadr Kraju Czarnomorskiego. Byłem wyspany, odświeżony, w dobrym nastroju, odczuwałem jednak lekki niepokój i ciekawość jak mi się uda tutaj - jak zostanie przyjęty i odprawiony? ...

Jakim się okaże ów "Wzechmoeny" Dawid Korsuński, jeszcze jeden z przedstawicieli "narodu wybranego" spotykanych na mojej drodze życia? Bo przecież rozmowa telefoniczna, choćby nawet samego Lejbina z samym Korsuńskim, to przecież znacznie mniej niż formalna "bumażka", jakiś podpisany i opieczętowany dokument stwierdzający przeniesienie mnie na te tereny?..

Dawid Sałomonowicz Korsuński okazał się mężczyzną nie wiele starszym ode mnie, był krzepkiej budowy, szeroki w ramionach, miał dużą głowę, pokrytą, jak u muzyka, czarnymi kędzieżawymi włosami, z typowym dla Izraelitów zgarbionym i nieco długim nosem oraz odstającymi uszami. Wysokie czoło i piwne, rozumne oczy dopełniały jego sylwetkę z nieco krótkimi rękami i grubymi, krótkimi palcami. Był cały jakiś swoisty, nietypowy, choć nie brakowało mu uprzejmości w obejściu się ze mną. Przyjął mnie, po moim zgłoszeniu się przez sekretarkę, powstając z za biurka swego dużego gabinetu - na pierwszy rzutek oka należycie oceniłem wielkość portretu Lenina czytającego "Prawdę" wiszącego nad biurkiem oraz ilość aparatów telefonicznych stojących na tym biurku - były to nieodłączne symbole władzy, dużej władzy zdalnie kierowanej przez władzę jeszcze większą. Wskazawszy mi uprzejmie fotel przy biurku i uściskawszy mi rękę, Dawid Sałomonowicz usiadł również, zapalił "kazbeka" i rzekł: "Lew Isaakowicz dzwonił do mnie jeszcze raz, już po opuszczeniu przez pana jego gabinetu - więc wszystko co dotyczy pana i przykrości jakie pana spotkały - cóż robić! takie już czasy - ale czegoż się nie robi dla swoich przyjaciół i przyjaciół naszych przyjaciół!.." Po tym wstępie proponował mi towarzyszyć Korsuński pracę z miejsca w Krasnodarze, i to nie pracę szeregowego agronoma, lecz stanowisko na właśnie świeżo stworzonym etacie kluczowym wojewódzkiego technika do spraw hodowli koni w obwodzie Adygiejskim, obwodzie stanowiącym samodzielną, autonomiczną "obłast" / kraj - region / zamieszkałą przez autochtonów adygów i czerkiesów, z centrum administracyjnym w Krasnodarze nad rzeką Kubą. Stanowisko zootechnika obwodu wojewódzkiego było wówczas stanowiskiem wysokim i specyficznym ze względu na jego powiązania z zadaniami obronności kraju, jako takie podlegało też pośrednio marszałkowi Budionnemu, który jak wiadomo był generalnym inspektorem kawalerii Kraju Rad. Proponując mi to stanowisko Dawid Sałomonowicz podkreślał znacząco że proponuje mi je świadomie choć jestem bezpartyjnym, lecz mój stopień oficerski i moje kwalifikacje upoważniają go do tego. Zwracał mi też uwagę, że będzie to duża i odpowiedzialna praca głównie organizacyjna, polegająca na organizowaniu sowchozów i ferm konnych oraz stadnin ogierów w kolchozach nacionalistycznego obwodu Adygi i Szerkiesy nad rzekami Kubaniem, Białą i Łabą.

W obwodach tych znajdę znakomite warunki do tego rodzaju i kierunku pracy, tereny te posiadają fanatystyczne wprost warunki na dziewicze i stepowe obszary obfitujące w pokarm dla koni a mieszkańcy tamtejsi są urodzonymi koniarzami nawykłymi od dzieciństwa do hodowli koni. Moja praca będzie więc miała charakter pionierski a zarazem będzie pracą koordynatora wszystkich zagadnień hodowli koni i zakupu ich dla potrzeb armii zgodnie z planami mobilizacyjnymi, będę też równocześnie przewodniczącym komisji do odbioru koni dla Armii Czerwonej. Moje obawki i ostrzeżenia, że przecież nie jestem zootechnikiem lecz agronomek i nie wiem czy podołam tak odpowiedzialnemu zadaniu, skwitował krótko tow. Korsuński stwierdzeniem, że do spraw ściśle fachowych otrzymał ekipę wybitnych specjalistów w tej dziedzinie, a że dam sobie radę i że jestem rzeczywiście człowiekiem odpowiedzialnym, to już on, Korsuński, bardzo dokładnie dowiedział się od Lwa Isaakowicza, a więc "dzieło w szlapi", sprawa skończona.

I tak, w sposób wysoce nietypowy, trybem nie obciążonym biurokracją i niekończącą się "wołokitą" pism, załączników, zaświadczeń, opinii i dowodów, stałem się, w przeciągu niecałych trzech kwadransów znówu "kimś" - wyszedłem z gmachu Władz Wykonawczych Kraju Azowsko-Czarnomorskiego już w charakterze "oblastnego zootechnika do spraw hodowli koni" Kraju Adygiejskiego z siedzibą w liczącej 136 tysięcy mieszkańców Krasnodarze.

Od nieoczekiwanego awansu, wysokości uposażenia oraz dodatków przeniesieniowych, na co miałem już w kieszeni talon przekazu do kasy wojenkoratu w Krasnodarze, dostawałem zawrotu głowy. Przekonałem się osobiście, niebicie i realnie, kto rządzi i.. Choć tylko telefonicznie, choć tak nietypowo, choć tylko "ze względu na sprawy rodzinne" i i.. Przekonałem się, że tacy jak oni, towarzysze Lew i Dawid, mają rzeczywiście głowę do interesów i rządzenia - są państwem w państwie, choć właśnie państwo istniejące lat 4000 ~~zostało~~ stracili 2 tysiące lat temu. Wiedziałem teraz i doznałem sam w sposób przekonujący co oznaczają słowa "solidarność, bezinteresowna, klasowa" - udałem się też bezwzględnie do pobliskiego gmachu poczty i wysłałem do Lwa Isaakowicza Lejbina pocztówkę tej treści: "Wielce szanowny Lew Isaakowicz i wszystko w porządku! Dziękuję i to bardzo za Waszą przyjazną postawę, pomoc i poparcie! Ściskam dłoń i z poważaniem Wasz nieodpłatny dłużnik-SZ."...

Po wysłaniu tej pocztówki udałem się na dworzec główny Rostowa i wykupiłem bilet kolejowy do miasta Krasnodaru, znaną mi już dobrze marszrutą: Kuszczowka, Timoszewskaja, Niedwiedowskaja, Krasnodar - długości około 300 kilometrów.

W godzinach porannych dnia następnego wysiadłem w stacji Miedwiedowskaja , gdzie przerwałem dalszą podróż do Krasnodaru, i zakatwiwszy związane z tą przerwą formalności u dyżurnego ruchu, udałem się wprost do moich drogich teściów, państwa Bohdanów.

Zdumienie rodziców Ani było oczywiście wielkie - spadłem im ~~jak~~ przysłowiowy śnieg na głowy, zniechęca, nieoczekiwanie , nie tylko nie zapowiadany ale i w ogóle nie spodziewany tu , na odległej od Krasnego o 1300 wiorst Kubani. Rodzice Ani byli wyraźnie zaniepokojeni i chyba wystraszeni moim widokiem i uspokoili się dopiero kiedy systematycznie, spokojnie i rzeczowo opowiedziałem im w jakich niezwykłych okolicznościach odbyłem tę podróż do nich z Krasnego, co było jej nagłym powodem, i co mnie w tej podróży w ostatnich dniach spotkało. Moja nominacja do Krasnodaru okazana Kuźmie Gawriłowiczowi zrobiła na nim wielkie wrażenie i wywołała zdziwienie, a po włożeniu okularów i uważnym przestudiowaniu tej bumażki , teść mój, kiwając głową, powiedział : "Wiedziałem że jesteś zuch !-dobrze zrobiłeś uprzedzając wypadki i dobrze że jesteś tu, na Kubaniu, i u nas, zdrów i cały !- Jesteś zuch ?". Bardzo ucieszyli się oboje rodzice na wiadomość że Ania na jesieni będzie już matką , i oboje z Anastazją Mitrofanowną wróżyli że to będzie z pewnością syn , a ich wnuczek. Pani Anastazja rozpoczęła snuć plany dotyczące przyjazdu Ani i zamieszkania u nich aż do czasu rozwiązania, przemawia za tym fakt że tu w Miedwiedówce jest dobry szpital, że znają tu Polinę, która pracowała w tym szpitalu na dziale położniczym, że będzie tu miała ^{Ania} najlepsze warunki macieżyństwa. Zaś Kuźma Gawriłowicz wyrażał swoje zadowolenie że będziemy teraz mieszkać w Krasnodarze, niedaleko więc będą nas mieli, a i my ich, a Krasnodar to ładne miasto i powinno nam tam być dobrze. Zadecydował też mój zapobiegliwy teść że Mitrofanowna pojedzie ze mną jutro do Krasnodaru i zamieszka ~~u naszych~~ ^{u naszych} u naszych powinowaconych i kumów Marty i Iwana Maksimowicza Szulakowych. Są to bardzo mili i gościnni ludzie , wprawdzie zabrano im kamienicę w której prowadzili dawniej handel tekstyliami, ale mają jeszcze "fligiel" - oficynę , w której są 3 pokoje i kuchnia - oni sami są bezdzietni i tylko jej matka mieszka z nimi - a do jesieni znajdzie się odpowiednie własne mieszkanie - mamy w Krasnodarze dużo dobrych znajomych i przyjaciół - no i coś tam jeszcze mamy zaoszczędzonego na takie właśnie nieprzewidziane wypadki , więc urządźcie się w Krasnodarze jak należy młodej rodzinie ! - zakończył swoje realne plany mój drogi teść.

J. G. G.

A więc wyrokiem losu znalazłem się w nowym dla mnie środowisku, w krainie nadmorskiej o uroku tak specyficznym i pięknie tak swoistym, że nie wiele chyba znanych i słynnych turystycznie krain na świecie dorównuje okolicom morza Azowskiego. Przede wszystkim samo morze : posiada ono nieprzebrane mnóstwo ryb , szczególnie jesiotrowych - z jednego hektara obszaru morskiego wykławia się tu 70-80 kilogramów, a więc 6 razy więcej niż w morzu Kspijskim, 8 razy więcej niż w Bałtyku i 25 razy więcej niż w Morzu Czarnym, a wpadające do morza Azowskiego duże rzeki Don i Kubań, tworzą, łącznie z licznymi do nich wpadającymi i innymi mniejszymi rzekami , gęstą sieć wodną, a miejscami niezmiernie olbrzymie rozlewiska pokryte sitowiem, tatarakiem, trzcianką i przeróżnymi błotnymi roślinami. Rozlewisko takie rozciąga się na szerokość od miasta Żaganrogu aż do Timuczka nad zatogą ~~Skazka~~ Kierczeńską, zaś w górę rzek dopływowych na 15 km. , aż do miasta Batajska , centrum ptasiego królestwa tych obszarów, do którego prowadziła sieć grobli i szła rozmaitych dużą ilością kamiennych i drewnianych mostów przeskakujących przez liczne rzeczki kanały, strumienie. Równocześnie wspaniale rozwijała się tu, w dorzeczach Dniepru i Kubania, gospodarka rolna stanowiąca drugi , po Ukrainie śpichrz naturalny Rosji. A przecież były to już tereny i obszary geograficzne nawiedzane przez wiatry stepowe i "suchewieje" wschodnie wiejące od morza Kaspijskiego. Właśnie tutaj gdzieś , w tym Kraju Azowo-Czarnomorskim , miałem pracować, ja, młody inżynier- rolnik i zapalony myśliwy , byłem więc zachwycony wszystkim co tu zastałem i z każdym dniem co raz bardziej podziwiałem. I Rostów, centrum administracyjne z rozwiniętym przemysłem energetycznym , i wielki ośrodek przemysłowy Donbasu Nowoszychtski i Szachtski - wielkie zagłębienie węglowe, do którego przylegają już ziemie Ukrainy i ziemie Kaukazu z jego górami i szczytem Elbrusem. Na tym olbrzymim kraju, zajmującym powierzchnię ponad 540 tysięcy kilometrów kwadratowych , znajdowało się wówczas 20 obwodów administracyjnych, a między nimi i krasnodarski z miastem Krasnodar ^{na}wartką tutaj i głęboką rzeką Kubą, do którego miałem właśnie "służbowe przeniesienie - ze względu na rodzinnych"?, a właściwie skutkiem złożonych okoliczności wywołanych wielką polityką tu w Rosji i po za jej granicami.

Wiedziałem, obejmując to nowe stanowisko, że czeka mnie tu dużo pracy, że "zoo-technik" autonomicznej obłasti /obwodu/ Adygiejskiego będzie miał dużo kłopotów natury organizacyjnej i fachowej w tej nowej dla mnie dziedzinie hodowli koni opartej o stadniny rasowych ogierów, głównie "Arabów", , "Anglików", "Ahał-Tekińców" i "Kabardyńców". Ostatnie dwie rasy są to konie przystosowane do górskich terenów Kaukazu i Zakaukazia - są to konie lekkie, zwinne, wytrwałe i bystre,

a przy tym niewiele wymagające są one niezbyt atrakcyjne ^{wyglądu} ~~aparatu~~,
krótkie i niezbyt wysokie, maści czarnej /kare/ jak Kabardyńce lub
szpakowatej, jak Tekińce, a w ogóle podobne do rosyjskich "rysaków
orłowskich". Dyrektorem stadniny okazał się Niemiec, Frydrich Hejden-
reich, oficer z Pierwszej Konnej Armii marszałka Budionnego, zapalony
kawalerzysta, dwukrotnie odznaczony bojowym orderem "Czerwonego Sztan-
daru". Wprowadził się on z rodziny Niemców-kolonistów, autochtonów
Niemieckiej Republiki z Powołża, z samego jej centrum, z Elisty rozlo-
kowanej na rozległych terenach stepowych i ziemiach "celinnych"/dzie-
wicznych/ biorących początek od miasta Salska i kanału nawadniającego
na Mancyzu do rzeki Wołgi. Głównym lekarzem / weterynarzem/ stadniny
był sympatyczny Polak, już w starszym wieku, Stanisław Matuszkiewicz,
a głównym zootechnikiem ~~był~~ pułkownik starej armii, niegdyś dowódca
pułku Czugujewskich dragonów, Daniłowicz. Pochodził on z Litwy, z
tych "wielkich" Daniłowiczów, zasłużonych dla Litwy i Korony.
Dowódcą pułku dragonów Czugujewskich był on już ^{do poprzedniego} na wyższe stanowisko
w sztabie armii Brusilowa, znanego nam już z poprzednich relacji,
pułkownika Rosińskiego. Daniłowicz miał dwie pasje: konie i kobiety.
Na koniach znał się świetnie i był ich zapalonym miłośnikiem i wytraw-
nym, wysoce fachowym, hodowcą. - konie były jego oczkiem w głowie, jego
"hobby", kobiety również- ale tylko te, naprawdę "warte grzechu."
Właśnie Daniłowicz stał się moim nieoczekiwany^m nauczycielem w dziedzi-
nie hodowli oraz koordynatorem moich poczynań i prac ~~na~~ na stanowis-
ku, z którego ja ~~uważałem~~ startowałem, ja nowicjusz- i tu znowu moje
szczęście- pod kierownictwem tak znakowitego i wysoko w tej "końskiej
hierarchii" ustwionego "koniarza" jak Daniłowicz.

Po paru dniach znajomości okazało się, w rozmowie z Daniłowiczem
na temat mego pochodzenia "z jakich to Zubczewskich", że Daniłowicz
znał mojego ojca i to bardzo dobrze, i z czasów jego pobytu w korpu-
sie kadetów w Kijowie, i z jego głośnych "wyczynów" frontowych".
Okazało się też, że i w szkole podchorążych, w "Aleksandrowskim
Wojennym Ucziliście" obaj oni byli w tych samych latach i razem tę
szkołę ukończyli, choć Stanisław syn Stanisława Daniłowicz był już
wtedy starym kawalerem, wysokiej budowy, z krzywymi od konnej jazdy
nogami, typowy wojskowy i kawalerzysta w każdym calu - i sybaryta.
W 1917 roku Daniłowicz przeszedł razem z Brusilowem na stronę "czer-
wonych" ale został nadal bezpartyjnym. Wspominając przeszłe lata i
okres znajomości z moim ojcem opowiedział mi Daniłowicz, znane mi już
z opowiadań ojca, wydarzenie głośne swego czasu w całym korpusie
w mieście i w innych zakładach wojskowych i szkołach podchorążych.

A było to tak : pewnego razu kadet Sergiusz Zubczewski, znany ze swych kawałów i zawałactwa, zawsze jednak powściągliwego i koleżeń- skiego, mający wówczas 17 lat, naczytawszy się książek z dziedziny modnej wówczas tajemniczej wiedzy o hipnozie, pasjonującej wówczas młodzież & wywodzącej się z tajemniczej również krainy Indii, posta- nowił zaimponować swoim kolegom, i w zмовie ze swoim kolegą , nieja- kim Pietuchowem, uspić tego kolegę w obecności całej klasy. Po usa- dowieniu więc Pietuchowa w wygodnym fotelu i uzyskaniu całkowitej ciszy i nastroju skupienia od wszystkich obecnych, nakazał swemu "medium" powtarzanie wypowiedzianych przez hipnotyzera coraz cichszym i monotonnym głosem liczb, od jednego w wyż. Umiejętnie stosując, zgodnie ze wskazaniem wyczytanymi w "podręcznikach hipnozy", sugestyj- ne ściszenie i monotonizację głosu , nieoczekiwanie dla siebie doprowa- dził Pietuchowa istotnie do stanu snu hipnotycznego. Oczywiście zdumienie klasy było wielkie, ale i nie mniejszy był przestraszek hipnot- tyzera , który, przekonawszy się że Pietuchow śpi na dobre, stracił panowanie nad sobą, & tym samym nad swoim "medium", i nie był teraz w stanie obudzić Pietuchowa z jego hipnotycznego snu. Zaalarmowany dyżurny lekarz wojskowy stwierdził po przybyciu iż uspiiony kadet ma normalny oddech i rytmiczne tętno, sam nie bardzo wiedząc "co z tym fantem zrobić" ale spokojny już o zdrowie uspiionego polecił przenieść kadeta Pietuchowa do separatki dla chorych, zaś kadeta -hipnotyzera Zubczewskiego do innej separatki-karceru na trzydni- we rozmyślenia o chlebie i wodzie i pozbycia się tam się tajemnych zdobytych przy czytaniu książek nie przewidzianych regulaminem kor- pusy i listą lektury nakazanej i dozwolonej. Po odbyciu wyznaczonej kary jeszcze bardziej wzrosła opinia Kadeta Zubczewskiego jako znakomitego kawalarza, aę wieść o jego tajemniczych zdolnościach rozniosła się po całym korpusie , Kijowie i dalej. Medium Pietuchow, jak się okazało rzeczywiście podatny na sugestyjny wpływ cudzej woli, po przespaniu dwunastu godzin w separacie obudził się sam , zdrowszy jak ryba, unikał jednak odtąd podświadomie miłośnika wiedzy tajemnej, a chyba raczej kawalarza i znanego urwisa, lubianego powszechnie kadeta Zubczewskiego.

Przypomnienie to obu nam, mnie i pułkownikowi Daniłowiczowi sprawiło wielką przyjemność a i wpłynęło na ściślejsze zbliżenie się obu nas , "00techników" , Polaków, bezpartyjnych . Miało to dla mnie nieocenioną wartość jako że Daniłowicz był przecież w zażyłych, , stałych i dobrych stosunkach z samym Budionnym . W krótkim też czasie i ja miałem zaszczyt i przyjemność poznać marszałka Budionego w czasie jego inspekcji dokonywanej w naszej stajni. ~~Wskazywaniem~~
~~rozprawy~~

Budionny , którego znałem, był mężczyzną s sile wieku, swojskim i bezpośrednim snającym dobrze ludzi i środowisko, którego się wywodził, a służył w randze wachmistrza w pułku kozaków dońskich. Przeszedł w młodości dobrą szkołę w starej armii, rozwijał swoje zdolności w pracy podoficera zawodowego i z czasem okazał się odważnym i pojętym uczniem w zupełności dorównującym swoim nauczycielom i dowódcom - oficerom , a wykazał się tymi nabytymi umiejętnościami w czasach gdy ci oficerowie pozostali u białych , a on, ich były ~~nie~~ ^{uważa} niejednokrotnie bił ich w walkach i potyczkach. Był też i bity gdy tenci mieli większe siły, ale wreszcie zwyciężył i z prostego kozaka, syna wolnego Donu, został marszałkiem i bohaterem narodowym. Obaj z Daniłowiczem byli podobni do siebie i wzrostem i postawą, a wąsy ich jeszcze pogłębiały to podobieństwo, z tą tylko różnicą że wąsy Daniłowicza były już przeplecione srebrnymi nitkami, a Budionny miał je czarne jak smoła i na końcach zawnięte i skręcone. Intelpektem górował oczywiście Daniłowicz, na co słożyły się i odbyte przez niego studia fachowe, i pochodzenie , a łączył ich obu sentyment do konia, pociąg do kielicha i upodobanie do kobiet. Doko się też zauważyć w ich zażytych stosunkach wzajemnych, iż Siemion Michajłowicz nie wyżył się z dawnych lat pozostałego i trwałego sentymentu do junaka oficera jakim z pewnością był Daniłowicz w czasach swej młodości. Tak więc najlepszy z profesorów "koniowództwa" jakiego sobie mogłem wymarzyć, traktując mnie już jako syna przyjaciela swych młodych lat, z całym zapalem i dużym nakładem czasu wtajemniczał mnie w zagadnienie hodowli wszechstronnej , w pasjonującą mnie wiedzę dogłębną o koniu , zwierzęciu szlachetnym , którego przeznaczeniem było "wozić wodę i wojewodę !". Zaczątki tej pogłębianej teraz wszechstronnie i naukowo wiedzy miałem już z czasów swej młodości, chłopięstwa, ^{gdy} to uczestniczałem w wyprawach nocnych z tabunami koni na żaki ^{nad} Ikwą urządzanych przez chłopców-rówieśników z pobliskich od Dubna wsi - na co zresztą miałem zawsze zezwolenie rodziców albo dziadka, ~~Nikołaja~~ , ceniącego takie metody wychowawcze . Byłem więc w tym okresie zasobniejszy w doświadczenie z dzieciństwa i z pobytu w Krasnem - sdałem sobie sprawę, że w każdej poważniejszej sytuacji życiowej potrzebny jest spokój, ostrożność i rozważa , a chcąc osiągnąć jakiś sukces w dziedzinie fachowej i służbowej nie należy wynosić głowy nad innymi ale słuchać tych innych lepiej wiedzących i uczyć się od nich, doskonalić ^{się} w sztuce słuchania i postępowania na cudzych także doświadczeniach i wiedzy, nie hamować swą rutyną często słusznej inicjatywy innych , inicjatywy gwarantującej sukces i dającej szansę na lepsze wyniki w tym co robię - w hodowli koni.

A sukcesów i polepszenia stylu pracy wymagały wciąż nasilające się plany mobilizacyjne i wzrastające ilościowo i jakościowo plany odstawiania koni do nowo formowanych pułków kawalerii, artylerii konnej i lekkiej oraz "obozów"-oddziałów transportowych. Wymagano do obozów koni, ciężkich, typu pogrubionego, zdrowych, młodych, silnych - a z tym nie było u nas jeszcze tak dobrze jak tego wymagały obowiązujące stantardy. Bardzo ułatwiał mi pracę uzyskany w Rostowie "talon" wojskowy i stopień porucznika rezerwy - wiązało się to z moją pracą i funkcjami w charakterze przewodniczącego Komisji poborowej koni do Armii Czerwonej, i z Komendą Uzupełnień, jej działem kwatermistrzowskim. Instytucje te obejmowały swą działalnością pięć dużych terytorialnie rejonów nacjonalistycznych Republiki Adygei położonych na Północnym Kaukazie w dolinach wartkich, górskich rzek: Kubania, Białej i Łaby, opasanych półkolem niebotycznych szczytów gór Kaukazu. Śnieg z tych szczytów, leżący na nich przez krągły rok, topił się gwałtownie w promieniach letniego słońca, co powodowało nagły przybór wód, a prawie zanikające w okresach suszy małe strumyki zamieniały się nagle w rwące górskie potoki porywające na swej drodze w dół olbrzymie głazy i odłamy skał, wyrrywające z korzeniami stuletnie dęby.

Obłast ~~Adygajski~~ Adygiejska Autonomiczna nacjonalistyczna "obłast" terytorialnie przylegała do Kabardyno-Bałkanii, Inguśietii i Osietii, które również były, jak Adygeja, autonomicznymi nacjonalistycznymi obwodami Rosyjskiej Federacji Związkowej, i podlegały administracyjnie Moskwie. Układ taki stworzono celowo, z głową i rozmachem, w myśl st^{rej} rzymskiej zasady panowania: "devide et impera!" - /dziel i władał/ ale zaowocowało to uczucia nacjonalistyczne tutejszych "gorców" i zyskało uznanie + Piękny, barwny strój męczyzn, czerkieski i duże baranie czapy o różnych kolorach, oraz burki z długiej wełny chroniące od deszczów i zimna, a przede wszystkim broń chłodna / broń biała, sieczna / ładnie i bogato inkrustowana srebrem i złotem - wszystko to stanowiło nieodłączne akcesoria ubioru autochtona-czerkieska, czy osietyjska, stwarzało swoistą regionalną specyfikę, zaspokajało poczucie odrębności i łagodziło, sublimowało w ten sposób drastyczne zagadnienia i prądy nacjonalistyczne niepodległości Kaukazu, gdzie na tym tle często wybuchały ruchawki i niesnaski polityczne, i to na całym obszarze Kaukazu, aż do granic Turcji i Persji. Do częstej i koniecznej tutaj jazdy na koniu przystosowane były i buty "dżygitów" - każdy Adyga, Czerkies czy Kabardyniec, Ingusza albo Osetiniec miał na nogach buty szyte z miękkich skór cielejących, bez obcasów i ^x ostrymi noskami, nazywały się one "czioze" i były znakomicie przystosowane do jazdy w siodle.

"Dzygit" tutejszy, siedzący na koniu, przeważnie Arabie półkrewi, prezentował się doskonale i był naprawdę dzygitem - mistrzem jazdy konnej, zaprawianym do mistrostwa już od lat wczesnego dzieciństwa. Ale spokój i pokój w górach Kaukazu był tylko powierzchowny bowiem oprócz hodowli koni, była i owiec mieszkańcy Kaukazu uprawiali, i to na wielką skalę, kontabandę - co nie jest, jak wiadomo, zajęciem spokojnym i bezpiecznym. Działo się tak na Kaukazu już od czasów legendarnego Szamila - tyle stworzono tam obwodów nacjonalistycznych i autonomicznych ile plemion zasiedlało Kaukaz - z jednej strony umacniało to władzę terytorialną, a z drugiej było bardzo kosztowne, w rezultacie jednak opłacało się na tych terenach bogatych w kopaliny metali szlachetnych, w źródła gazu i ropy. Od Majkopu nad rzeką Białą aż do Krasnodaru prowadził rurociąg przesyłający ropę do rafinerii, pracujący również na gazie ziemnym. Odnogi rurociągu sięgały aż po miasto Groźny i słynne zakłady petrochemii w Baku, gdzie produkowano z ropy świetnej jakości ~~na~~ znakomitą benzynę awiacyjną. Legendarny przywódca Islamu i walk niepodległościowych utrzymywał jedność i więź duchową i narodową Kaukazu i jego plemion, więź narodową kraju podbitego przez drażęznego czarnego orka, podbitego ale nie ujarzmionego. Plemiona kaukaskie były dzikie i nieufne - ~~nie~~ zwłaszcza w stosunku do Rosjan, teraz już tylko podświadomie ale nadal trwale - do dziś jeszcze zdarzają się wypadki niewyjaśnionego zaginięcia Rosjan gdzieś wśród górskich auków Kaukazu. Ja, Polak, czułem się, pracując z nimi, bardzo pewnie, spokojnie i dobrze - samo słowo "Lechistan" przetrwało tu do dziś jako symbol wspólnej odbytej w historii walki z caratem o niepodległość narodową ich i naszą, i to budziło w nich podświadomą sympatię i zaufanie do mnie, Polaka-uchodźcy, a do tego jeszcze organizatora hodowli koni, którą i on tu uprawiali i szczycili się nią, podobnie jak i swoją słynną "dzygitówką". Będąc więc wśród ludzi tutejszych wracałem czasami myślami do osoby Lwa Isaakowicza Lejbina, który, jak wynika z powyższego, przenosząc mnie tutaj "w drodze służbowej" miał na uwadze (a tę samą przezorność wykazał i tow. Korsuński) moje zapewnione bezpieczeństwo wśród ludności Kaukazu. Obaj ci Izraelici mają z pewnością głowy nie tylko do noszenia kapelusza, i z pewnością też przeżyli więcej, szczególnie więcej upokorzeń, niż ja - a przy tym ta ich przezorność jest napewno probierzem szczerości ich do mnie przyjaznego nastawienia. A więc?... Miałem szczęście?... Czy takie właśnie są losy mego koleje?... Przekonywałem się coraz bardziej że nawet pozornie beznadziejne moje sprawy, klęski, potknięcia, niepowodzenia w rezultacie obracały się na moje dobro - czyżby miał nie ^{"żut"} ale dużo więcej szczęścia? ~~Właśnie~~

prawy i owo

Pfzerawiałoby z tym i moje "w czepek urodzenie" i pewne aspekty mego horoskopu - ~~duć~~ może słuszniejszym byłoby przyznać rację twierdzeniu starych rzymian, uznawanemu również i przez mego ojca, że "vultus fortunae variatur" - szczęście jest zmienne, fortuna kołem się toczy, raz na wozie - raz pod wozem ?...

Nie brakło mi przykładów potwierdzających na codzień słuszność tezy o prawidłowości wzlotów i upadków w każdym jednostkowym życiu - spotykałem tu, w kontaktach z wieloma ludźmi wywołanymi stosunkami pracy, wielu Polaków ewakuowanych na te tereny jeszcze w okresie I -ej wojny światowej. Byli to w dużej liczbie ^{ludzi} z rodzin pracowników Warszawskiej Akademii Medycznej ewakuowanej do Jekatierinodar w 1916 roku z całym personelem i bogatym wyposażeniem. Jekatierinodar gościnnie przyjął Akademię i przydzielił dla niej okazałe, nietędne gmachy i szpitale umożliwiające wygodne rozlokowanie klinik specjalistycznych. Ewakuowani zawdzięczali to przychylnie przyjęciu osobistemu zaangażowaniu i poprosi ^a ówczesnego nakaźnego atamana Kubania, generała Babinieca, jak wspominałem Polaka z pochodzenia. W roku 1920 doktor medycyny i dziekan wydziału oftalmologii Józef Stanisław Oczapowski na bazie Warszawskiej Akademii zorganizował "Kubański Medyczny Instytut" i, pozostając już na stałe w Rosji, położył bardzo duże zasługi w zwalczaniu chorób zakaźnych takich jak : jaglica, malaria, trąd. Oczapowski był organizatorem pierwszego leprozorium w ognisku endemicznym Kubania, w stacji Chełmskiej, u stóp Kaukazu - było to całe wydzielone miasteczko od świata ludzi zdrowych murami. Jego też dziełem była sieć stacji antymalaryjnych tak potrzebnych tu, gdzie choroba ta dziesiątkowała ludność autochtoniczną, będącą już na skutek malarii na granicy biologicznego wyniszczenia przez malarję niedosyt i głód.

Polakami byli również ~~moi~~ ^{Koledzy} moi, nieco starsi wiekiem i o zbliżonej do mojej fachowości : lekarz weterynarii Józef Piaskowski, główny zootechnik Marek Zwiagolski, i główny agronom Nikołaj Borysowski.

Byli to ludzie doświadczeni przeżyciami - w ankietach personalnych podawali, dla chleba, pochodzenie swoje i przynależność do narodu białoruskiego, litewskiego - miało to swoją wymowę. Stosunki te charakteryzuje kursująca znana w ówczesnej Rosji powszechnie, następująca anegdota : Lew Trocki prowadził jako motorniczy, ubrany w mundur czerwonarmisty tramwaj świeżo pomalowany na czerwono - na skrzyżowaniu ulic stoi Karol Kautsky w mundurze milicjanta regulującego ruch i widząc niezdecydowanie Trockiego ~~w~~ którym kierunku prowadzić tramwaj, zwraca się do Trockiego ze słowami ? Lewa ! dierżi prawiej! - na co Trocki odpowiada śobitnie i stanowczo : "Nie widzisz, Karol ? - ja już i tak jadę po NIKOŁAJEWSKIEJ ? - hanulce nie trzymają !"...

Kierownikiem Urzędu Ziemskiego Autonomicznej Adygii był autochton, czerkies Naurik Adzu-bej, ale tylko kierownikiem "de nomine", był bowiem późanalfabeta. Faktycznym kierownikiem był jego zastępca, który decydował o wszystkich sprawach, a Naurik Adzu-bej tylko podpisywał gotowe "bumażki" urzędowej treści. Tym kierownikiem "de facto" był Aleksander Ikarionowicz Błochin, człowiek już nie młody, bardzo sympatyczny i swojski, choć mało mówny i nie wylewny - w stosunku do mnie był bardzo koleżeński, bezpośredni i taktowny, był prawie jak starszy brat w rodzinie. Był to wybitny człowiek, stary bolszewik doświadczony katorgą / skąd wyniósł tę swoją mało mówność / ideowiec - Leninowiec, członek egzekutywy przez kilka kadencji w partii Autonomicznej Adygii. Ze względu na pełnioną przeze mnie funkcję właśnie jemu podlegałem bezpośrednio, gdyż etatowy zootechnik był podporządkowany wyłącznie jemu i przez niego załatwiałem sprawy poufne i wojskowe. Nigdy więc nie wiedziałem, a nigdy też bliżej nie interesowałem się tym do jakich jednostek odchodzą wyhodowane u nas konie, jak one są rozlokowane. Błochin osobiście odpowiadał za dotrzymanie tajemnicy służbowej, i stwierdzał to własnoręcznym podpisem na specjalnym formularzu uprzedzającym "o karze śmierci" w razie przecieków informacji. Głównym moim zadaniem i obowiązkiem była przydatność do słowno każde - go odryłanego konia i odpowiedzialność jego do funkcji, którą miał w wojsku wykonywać. Dokumentacja z tym związana zawierała te właśnie informacje, oczywiście po za takimi danymi jak wiek, maść konia, kategoria itp., i na jej podstawie wydawane były dowody na konie oraz rozliczenia finansowe, po trzy ruble za konia.

Sekretarzem partii autonomicznej Adygii był Adyg, niejaki Chakubate pochodzący z pobliskiego аулу, leżącego na lewym brzegu Kubania, o nazwie Tachtanukaj. Z wykasztalcenia felczer wojskowy już w roku 1905 wstąpił Chakubate do partii bolszewików wiążąc z tym nadzieje na odzyskanie przez Kaukaz niepodległości, i w ten sposób uforował swą drogę kariery politycznej. Trzeba przyznać że miał on wśród Adygów i Czerkiesów wielki autorytet i posłuch prawie bezgraniczny i fanatyczny - szedł też niezachwianie drogą wytkniętą przez Szanila i Lenina, a w Moskwie uznawano jego przewodztwo wśród narodu i liczone się z nim poważnie.

Czas upływał mi w pracy szybko i owocnie: zdobywałem wiedzę fachową, poznawałem teren, żywałem się z ludźmi, wchodziłem w środowisko. Bardzo jednak byłem zdziwiony i zaskoczony, gdy na Zjeździe Związku Zawodowego Pracowników Rolnych, do którego należałem już od roku 1929-ego, będąc uczestnikiem-delegatem na ten zjazd usłyszałem jak z trybuny zjazdu padła moja kandydatura do władz Związku Pracowników Rolnych Autonomicznej Adygii. Kandydaturę moją wyczytał z listy

Błochin, została też zaraz przegłosowana-nastąpiło, też bezwzględnie, ukonstytuowanie się nowych władz Związku - i oto ja, młody inżynier, Polak, nowicjusz w fachu pełnionym, i świeży przybysz na ten teren - zostałem przewodniczącym, i to etatowym, Związku.

Był Po objęciu nowej funkcji i przejęciu jej agend od Błochina, który moim poprzednikiem na tym przewodnictwie, pozostawiłem, za radą Błochina, dla siebie tylko pół etatu z budżetu związkowego, a drugą połowę podzieliłem, przy pomocy znajomego ludzi Błochina, między referatami / referentami/ Zarządu. Dobrze to oczywiście wpłynęło na atmosferę pracy i zgodność współpracy starych pracowników Związku mających duże doświadczenie tej pracy, z nowym przewodniczącym. Dla mnie, bezpartyjnego, nowo objęte stanowisko stwarzało poważną już pozycję społeczną, zwiększało mój autorytet- wiedziałem jednak, że aby ten autorytet utrzymać muszę pracować wydajnie, a do tego i dużo, bardzo dużo, bo nie zrzekłem się przy tym swego stanowiska wykładowcy i etatu /wiadomości z zakresu rolnictwa/ w Krasnodarskim Technikum Rolniczym, a to było przecież moje zasadnicze, bardzo również odpowiedzialne i pracowite stanowisko. Udało mi się na szczęście uzgodnić z dyrektorem Technikum swoje godziny tak, że odbywałem je 3 razy w tygodniu w godzinach popołudniowych, po 2 godziny dziennie, a wszystkie od lekcji wolne dni przeznaczyłem na pracę w Związku i częste wyjazdy służbowe w teren, uzgadniane z A.J. Błochinem. Pracę związkową łączyłem więc skutecznie z pracą zawodową, a Błochin przejął ode mnie zastępstwo do spraw oddziału i kontaktów z władzami politycznymi, których zresztą był, jak już wspominałem, aktywnym, długoletnim członkiem.

Mieszkałem dotychczas w Krasnodarze u rodziny Szulakowych sam, ponieważ Ania od chwili przyjazdu z Krasnego zamieszkała u rodziców w Stаницy Niedwiedowskiej w oczekiwaniu na rychłe już rozwiązanie - i oto nadszedł dzień 14 sierpnia 1932 roku, w którym na wydziale położniczym szpitala w stаницy Niedwiedowskiej przyszedł na świat nasz syn, nazwany zgodnie z tradycjami rodu imionami dziadka i ojca : Sergiusz Stefan. Kuźma Bohdan i Anastazja Mitrofanowna byli bardzo dumni i zadowoleni z urodzenia się wnuka, a już następnego dnia po jego urodzeniu się przyjechał do Krasnodaru sam mój teść i kupił wkład do spółdzielni mieszkaniowej typu własnościowego, płacąc dodatkowo osobnikowi od którego ten wkład nabył, tę samą sumę tytułem odstępnego. Mieszkanie o powierzchni 36 metrów kwadratowych położone było na parterze i składało się z dużego pokoju sypialnego, nieco mniejszego jadalnego, oraz kuchni z dużym hall'em i osobnym wejściem.

Po załatwieniu formalności mój teść, wręczając mi klucze, powiedział : " Proszę, Stiwu, oto masz mieszkanie dla swojej rodziny - a pośpiesz się z przeprowadzką ! - malowanie odkład na później , jak się już wprowadzisz ! " - oddał mi też przy tym mój dowód osobisty wraz z urzędowym przydziałem na lokal numer 1 przy ulicy Borżikowskiej 46 znajdującej się w samym centrum Krasnodaru. Żegnając teścia na dworcu kolejowym gorąco i serdecznie dziękowałem mu za tak cenny w moich warunkach , niespodziewany dar, lecz teść mój przerwał mi podziękowania słowami : "... to głupstwo i drobnostka , daj spokój ! - daję bo mogę - nie jesteś mi przecież obcy ! " .

gotowym
Po powrocie do państwa Szukakowych wziąłem się skwapliwie do pakowania swoich rzeczy do dużej skrzyni , ażeby jutro rano być już do wprowadzenia się pod własny dach. A były to czasy gdy zdobycie własnego mieszkania w Krasnodarze, i to mieszkania typu własnościowego bynajmniej nie było drobnostką , jak to powiedział Kuźma Bohdan. Kryzys mieszkaniowy był bardzo dotkliwy szczególnie tu w Krasnodarze, który stał się niedawno centrum administracyjnym Autonomicznej Adygiei. Zdawałem sobie z tego doskonale sprawę i chyba słusznie uważałem, że szczodrość Kuźmy Gawriłowicza wynikała z poczucia dumy, że oto ma wnuka, i to wnuka o nietylko podwójnym imieniu, ale też i o podwójnym nazwisku , ponieważ w myśl życzenia teściów zapisałem syna w Urzędzie Stanu Cywilnego jak następuje : Sergiusz Stefan Zubczewski- Bohdanów , tym dodaniem nazwiska teściów i żony do nazwiska mojego zaznaczając głębokie więzy rodzinne i uczuciowe jakie nas łączyły.

Czyż jest w ogóle rodzina , którą trzeba by przekonywać o tym czym jest , jak ważny w życiu rodzinnym jest własny dach nad głową, własne cztery ściany - sam fakt posiadania mieszkania lub jego braku ?.. Już w godzinach porannych dnia następnego przyjechałem ciężarowym samochodem z bagażami i rzeczami do swego, formalnie już posiadanego, prawnie nabytego mieszkania . Nie małe więc było moje przerażenie gdy zastałem to mieszkanie zamknięte od wewnątrz , i gdy na moje pukania i dobijanie się nikt się nie odzywał. Będąc w asyście tragarzy wspiąłem się przy ich pomocy na wysoki parter i przez szybę dużego okna zobaczyłem w mieszkaniu sylwetkę kobiety, która dojrawszy mnie natychmiast znikła z pola widzenia. A więc tak - pomyślałem - co za czasy ! - mam już dzikiego lokatora we własnym mieszkaniu. Czując się jednak w prawie i pragnąc jaknaj-szybciej wyjaśnić sytuację , wyciągnąłem z kieszeni scyzoryk, odsrobałem nim kłit przy szybie jednego z okien, odciągnąłem drut miedziany podtrzymujący szybę dodatkową , odsunąłem szybę i w ten sposób znalazłem się w mieszkaniu.

To moje wtargnięcie do mieszkania wywołało u kobiety, która się tu znajdowała, a była to niewiasta w starszym wieku, całą serią krzyku i wrzasku, wzywania pomocy, ratunku, błą ją tu biją, napadają, itd - na co zareagowałem w ten sposób, że odsunąłem wrzeszczącą babę od drzwi do pokoju jadalnego, w których stała tamując drogę do drzwi wejściowych, otworzyłem drzwi mieszkania wiodące na korytarz. Za drzwiami zebrała się już grupka lokatorów tego budynku, którzy już wiedzieli o zajęciu mego mieszkania jeszcze przede mną, i z ciekawością oczekiwali na dalszy przebieg i wynik tej mieszkaniowej awantury. Nie zwracając już teraz uwagi na krzyki kobiety i jej oskarżenia o pobicie przeze mnie, poleciłem ~~XXXX~~ oczekującym tragarzom przenieść wszystkie obce rzeczy do pokoju jadalnego, a moje rzeczy wnieść do sypialnego, kuchni i hallu. I to właśnie było moim błędem, w ten sposób wpadłem bezwiednie w sidła, w "pułapkę" z góry przygotowaną i zastawioną na mnie, nowicjusza w tych sprawach. Należałoby w tej sytuacji prosto usunąć nieprawnie wniesione do mego mieszkania obce rzeczy na podwórze i polecić intruzom, których ta kobieta reprezentowała, zabranie ich w ciągu 24 godzin - pozostawiając zaś obce rzeczy w jednym choćby pokoju swego mieszkania, stwarzałem pozór uznawania czyichś innych praw do mieszkania. W myśl przepisów, chcąc teraz całkowicie usunąć intruzów z mieszkania powinienem w własnym zakresie wnaleźć dla nich mieszkanie zastępcze - tak właśnie zobrazował mi moją sytuację przybyły na czyjeś wezwanie dzielnicowy Milicji Obywatelskiej, dodając przy tym, że przysługuje mi prawo pociągnięcia do odpowiedzialności Zarządu Spółdzielni Mieszkaniowej, co zresztą jeszcze nie oswabada mieszkania od intruzów bez dania im lokalu zastępczego.

W międzyczasie nadjechała z pociągu Ania z dzieckiem, w towarzystwie Angusty Mitrofanowny i cioci Kseni, uproszonej na piastunkę do dziecka. Zastawszy taką sytuację Ania z dzieckiem i matką bezwzględnie odjechała na stację by wrócić do Stacji Miedwiedowskiej, a ja, pozostawiając w mieszkaniu ciocię Ksenię, udałem się do Aleksandra Iżkarionowicza Błochina z prośbą o wkroczenie "z urzędu" w tę sprawę i pomoc w usunięciu dzikich lokatorów. W rozmowie telefonicznej, którą Błochin przeprowadził w mojej obecności z prokuratorem, potwierdziło się tylko to co już powiedział mi ów dzielnicowy MO, a więc perspektywy szybkiego załatwienia sprawy wyglądały źle, uzyskałem urlop celem załatwienia spraw mieszkaniowych i wróciłem do mieszkania. Zajęty przeze mnie pokój zastałem już doprowadzony do przyzwoitego wyglądu - nieoceniona ciocia Ksenia już go jakoś uporządkowała, umyła podłogę, porozkładała rzeczy. W pierwszym pokoju zastałem już owej kobiety, lecz już tam "mieszkał" jakiś "facet"

wiec

nie

jak będziemy mieszkać?

z żoną. Facet ów na mój widok bezczelnie i szydliwie odezwał się: " Nuj szefie ! Kołchozem - czy oddzielnie ? "... Pomimo że byłem zdenerwowany, i to bardzo, nie odpowiedziałem i zabrakłem się do ustawiania łóżek i przygotowania pościeli .

Zbliżał się już wieczór gdy nieoczekiwanie usłyszałem ciche pukanie do drzwi i głos Kuźmy Gawriłowicza , który, zaalarmowany przez Anię i żonę, natychmiast przyjechał ze stacji. Po przywitaniu się teść mój powiedział : " Nie tak źle, Stiva, nie martw się - ale należało odrazu wyrzucić tych intruzów na łeb na szyję - na ulicę!" - na co ja : "Jak to ? starszą kobietę ?". " No tak - to prawda!" - i pochwili teść mój, ku memu zdziwieniu, w towarzystwie owego "facet^a" wyszedł na ulicę. Po paru godzinach "facet" wrócił z doróżkarzem i zabrał z pokoju wszystkie swoje łachy, stół i łóżko, akcesoria jego podłego, wędrującego już procedera życiowego. Nigdy już więcej nie spotkałem go w życiu. A Kuźma Gawriłowicz, żegnając się ze mną powiedział : " Jesteś, Stiva, zuch , walczyłeś o dom dla swojej rodziny - ale to kosztuje - ten łobuz usunął się z mieszkania bo z tego procedera żyje, a obok niego inne hieny i męty społeczne , które mają właśnie stać na straży prawa i porządku społecznego- cóż zrobić, nie na tego porządku na razie w całej Rosji! jak długa i szeroka- jest w tym trochę i mojej winy , bo powinienem to przewidzieć i uprzedzić cię ! - no, ale dobrze jest jak jest, !"...ja na twoim miejscu postąpił bym chyba tak samo - jesteś już ojcem swego syna i moje go wnuka - rzeczywiście : starej kobiety na ulicę nigdy nie wyrzuca się , ja również nie zrobiłbym tego - i to wszystko tłumaczy - a cała awantura to był podstęp, perfidny podstęp zrobiony z przemyśleniami="

Takim był mój teść , ojciec mojej żony, Kuźma Bohdan, szlachetny doświadczony człowiek, syn wolnej Kubani !...

Ale nie był to jeszcze koniec jego hojności dla młodej pary Zubczewskich i wnuka : po paru dniach teść znowu przyjechał do nas w asyście stolarza i obstałował u niego trzy wielkie , składane harmonijką wewnętrzne okiennice łącznie z podwójnymi i odmalowanymi i oszklo- nymi ramami, jak powiedział : na wszelką ewentualność i lepsze zabezpieczenie przed "facetami" i innymi niebieskim ptakami, no i dla własnej wygody życiowej. A kiedy już odświeżyłem mieszkanie i odmalowałem całą stolarkę i podłogi , wkroczyła do nas sama Anastazja Mitrofanowna z tragarzami, którzy wnieśli i ustawili kombinowaną szafę do okryć i bielizny, a do pokoju jadalnego, gdzie już stał kupiony przeze mnie duży , rozkładany na 24 osoby, stół dębowy i sześć krzeseł wspinały kredens. Teraz w mieszkaniu było już ładnie, czysto i słonecznie - słonecznie i od częstych tu promieni słońca , i promieniających pogodą i zadowoleniem szaroniebieskich oczu

oczu pełnych tklivości, oczu żony i matki - Ani. Harmonię i pogodę atmosfery naszego domu pogłębiała piastunka syna, ciocia Ksenia, który od czasu zamknięcia klasztorów i zgromadzeń religijnych zamieszkiwała u swego brata, Kuźmy Bohdana. Do klasztoru wstąpiła gdy poległa na wojnie w 1914 roku jej narzeczony, młody kozak kubański, początkowo była "posłuszną" /nowicjuską/ w zakonie, z biegiem lat została w nim przełożoną. Doświadczona życiem, znała różne jego strony i oblicza i czasami pouczała Anię, przy angażowaniu jakiejś nowej gospody, aby nie była to za bardzo ładną niewiastą bo: "nie należy kłaść słomy koło ognia", a Stiwa przecieź młody i o grzechach nie trudno.

W pracy powodziło mi się świetnie, nowe układy, ważne kontakty, trafne posunięcia. Mając już doświadczenia z Krasnego nie próbowałem przyspieszać żadnych spraw służbowych bez wyraźnych poleceń odgórnych, stosując się do zalecenia: "Naczelstwo łuczsze znajet kto, czto i kak - jemu widni^{je}!" - przynosiło to interesujące wyniki, czasem nawet zaskakujące, ale stosowanie tej zasady dawało mi już później wolną rękę wadzaniu i wykorzystaniu skutków. W stosunkach domowych otwierałem szerokie szanse dla inicjatywy drugiej połowy naszego małżeństwa, jednakże w sprawach życiowo ważnych i zadaniowych moje słowo było obowiązujące, tak jak na Kubaniu było to zwyczajem od wieków przestrzegany. Zawarliśmy wkrótce szereg nowych znajomości, do czego przyczyniło się nie mało wstąpienie Ani w roku 1932/33 na I-y rok studiów w Instytucie Pedagogicznym, gdzie znalazła masę miłych koleżanek. W miłym towarzystwie miłych koleżanek zawsze dopisywał humor i budziła się inicjatywa, zauważyłem jednak wkrótce że właśnie te miłsze i ładniejsze jakoś rzadziej bywają u Ani - widocznie pouczenia cioci Ksenii dotyczące niebezpieczeństwa w sąsiedztwie "słomy i ognia" moja pani uznała przezornie za słuszne. Synek pięknie rósł i rozwijał się, był dobrze zbudowanym, ale wymagającym: darł się w niebogłosy gdy kaszka manna coś zbyt długo stygła gdy on na ni czekał - i tylko dobre ręce cioci Ksenii i jej łagodny głos potfałiły nieco utemperować małego zucha szybko rosnącego "na chwałę nam - na strach wragam"!..A ten zuch zaczyna już oto wspinać się na chwieljnych jeszcze nogach, ściąga wszystko ze stołu razem z obrusem, sięga po wszystko co znajdzie się w odległości dostępnej małym rączynm. Oczywiście jest rozpieszczany, a szczególnie przez dziadka i babcię nie mówiąc już o mamie, dla której jest najdroższy, najmiłszy, najładniejszy i wiele jeszcze innych naj-naj-naj...Wyraźnie jednak preferuje towarzystwo mężczyzn, a specjalnie dziadka, u którego we Miedwiedowskiej przebywa zwykle "na popasie" całe lato.

Odwiedził mnie w tym czasie zaproszony przez nas z Czechrynia mój młodszy o 8 lat, obecnie już 16-o latek, brat Jerzy. Ukończył już szkołę siedmioletnią więc umieściłem go w Technikum Rolniczym w Krasnodarze, w którym to technikum jestem nadal wykładowcą wiedzy o rolnictwie. Jerzy jest teraz wyrasniętym, rozsądnym chłopcem, dobrze się uczy zaprzyjaźnił się z Anią i jej bratem, Mikołajem Bohdanem. W wolnych chwilach chętnie jeździ wózekiem na spacery do pobliskiego ładnego parku miejskiego nad rzeką Kubaniem, gdzie jego bratanek, mój synek, ma dużo świeżego powietrza. Jerzy, jak i wszyscy domowi i przyjaciele, bardzo kocha malutkiego Sergiusza Stefana i rozpieszcza go. Wiadomości z Ukrainy, które nam Jerzy przywiózł, nie były również wysokie - dowiedziałem się więc, że i tam zapanował ogólny niedosyt i nawet głód, że nie ominęło to i naszej rodziny, i że ojciec mój, poszukując ratunku w tej sytuacji, przyjął propozycję swych przełożonych i objął stanowisko głównego księgowego w kółchozie Czerwony Październik położonym nad Dnieprem w odległości około 28 wiorst od Czechrynia, i w pobliżu dużej wioski zwanej Borowica, otoczonej lasami. Otrzymał tam ojciec mieszkanie w ładnym, z czerwonej cegły zbudowanym budynku pozostałym po "batiuszce" / popde prawosławnym /, wywiezionym do obozu. W budynku tym mieścił się zarząd kółchozu, więc miał ojciec łatwość pracy, a z okalającego budynek sadu i ogrodu mógł ojciec dowolnie korzystać. W ten sposób rodzina seniora Zubczewskiego znowu szczęśliwie uniknęła niedosytu, a może i śmierci głodowej, i uzyskała warunki egzystencji. Ojciec oczywiście nadal poluje korzystając z każdej okazji, a takich w tamtych stronach nigdy nie brakowało. Pracuje również oczywiście po swojemu, tożnaczy z pełnym oddaniem, inicjatywą i baczeniem na człowieka przede wszystkim - jest powszechnie szanowany i lubiany, szczególnie przez ludzi prostych, którym zawsze służy, jako przyznier-leśniczy, poradą i pomocą w sprawach fachowych. Urządowanie swoje w kółchozie rozpoczął od dokładnej inwentaryzacji i otwarcia rzetelnego bilansu. W czasie tych czynności i kontroli wykrył ukryte zasoby nieomłóconego zboża, które kazał bezzwłocznie wymłócić i ziarno rozdać kółchoźnikom według kolegialnie sporządzonych list przydziału. Ziemię odkrytą po wymłóconych stertach polecił rozdzielić członkom kółchozu z przeznaczeniem jej na ogródki. Mama moja, zawsze dzielna i czynna mama, zorganizowała stałe zbieranie przez dzieci szkolne żołądzi w okolicznych lasach, co również, i to w nie-małej mierze, przyczyniło się do wykarmienia trzody chlewnej, a tym samym i uzyskania większych możliwości zdobycia przez kółchoźników jakiejś "omasty". W ten sposób usprawnienie organizacji kółchozu i inicjatywa w walce z niedosytem, pomogła dźwignąć się kółchozowi "Czerwony Październik" z marazmu i zastoju w jaki wpędziła go klika

"pijusów" i niedołączonych panosząca się poprzednio w kolchozie.

Ja w tym czasie byłem całkowicie pochłonięty pracą, ważną i odpowiedzialną pracą na wielu odcinkach - byłem więc, oprócz zasadniczych obowiązków w związku zawodowym, nauczycielem Technikum i pracownikiem Urzędu Ziemskiego Autonomicznej Adygii, którą w tym czasie przeżywała taki okres niedosytu jaki Ukraina przeżyła już w roku 1932. Panował teraz tutaj ogólny niedosyt, graniczący z dotkliwym głodem, choć równocześnie śpichlerze i elewatory zbożowe na Kubaniu były przepelnione po brzegi doborową pszenicą. Musiałem w tym czasie podwoić swoją czujność i ostrożność do granic możliwości, do każdej sprawy podchodzić z rozwagą i zastanowieniem, swoje kontakty prywatne ograniczyć do minimum. Był naszej małej rodziny podtrzymywane zasoby rodziców Ani i dzięki nim tylko możemy kupować za srebro, złoto i biżuterię, mąkę, cukier i tłuszcze, a przede wszystkim masło dla synka, pozostali bowiem domownicy używali przeważnie oleju i słoniny dostarczanych z Mjedwiedowskiej, a w miejsce cukru - sacharyny. Z obrazu "Matki Beskiej Kazańskiej", którym pobłogosławione było nasze z Anią / a i starszych Bohdanów / małżeństwo, sprzedano już złotą koronę, a po srebrnej wykładzinie rany tego obrazu pozostały tylko ślady i wgłębienia. A sytuacja finansowa stale się pogarsza, brak masy towarowej powoduje inflację pieniądza, z dnia na dzień traci on na wartości i sile nabywczej. Ogonki pszenicy przydziałowe są coraz dłuższe - ratują one jednak trochę sytuację bo pracujący otrzymuje 400 gramów dziennie, a członek jego rodziny 200 gramów, chleba, wprawdzie mieszanego z kukurydzą, ale chleba. Otrzymujemy ponadto dziennie 3 litry mleka wydawanego przez "raspriedielitiela" /sklep mleczny/ i z mleka tego oraz mąki, kupionej już prywatnie w Torgsinie, sporządzamy względnie pożyłne zacierki mleczne. Pomimo to ludzie mrą jak muchy, z ulic ustawicznie usuwane są zwłoki zmarłych śmiercią głodową ludzi - zajmują się tym usuwaniem i grzebaniem zmarłych ekipy utworzone z więźniów. Zima z roku 1933 na 1934 jest już poprostu straszna, dochodzi do wypadków ludożerstwa - na omentarzu w Krasnodarzo rozstrzelano 2 więźniów-grabarzy, których dowiedziono używanie ludzkiego ciała do hodowli świń. W Rostowie, stolicy Kraju Czarnomorskiego, na cokole pomnika Lenina, stojącym akurat naprzeciw obfitującego we wszystkie frykasy, ale za złoto dewizy, "Torgsin", ktoś wywiesił tabliczkę z napisem następującej treści: "Posmotritie, dietki, czto jeli wasi priedki - do pierwoj piatiletki!" - /popatrzcie dietki, co jedli wasi przedkowie przed pierwszą pięcioletką!/. Trwają masowe areszty i deportacje synów i córek wolnego Donu i Kubania, na Kozymę, Workutę, Ural, Syberię.

Za co się wywozi? - za pochodzenie społeczne, za wrogość i nienawiść do komunizmu, za opór i niechęć do kolektywizacji, za każdy kłos ziarna zabranego z pola kołchozowego - bez sądów i wyroków, na podstawie "czarnych tablic" / list proskrypcyjnych/ wywozi się całe stаницe na powolne wymieranie. Taki los spotkał, między innymi, stаницe: Paszkowskaja, Staro-Korsunskaja, Wsziurinskaja, Titorowskaja, Jelizawietjenskaja, Dinskaja, którym postawiono przy tym zarzut iż śladność ich zbrojnie podtrzymywała w roku 1920 desant Wrangla. Przyszła wreszcie wiosna, ciepła wiosna rok roku 1934, wyczekiwana z niecierpliwością przez pozostałych przy życiu kozaków i "innogorodców", jedynym pożywieniem których były już tylko żołędzie, liście i kora drzew, szczawiej trawy łąkowe. Mój 17-letni wówczas brat Jerzy, będąc konsulentem został zmobilizowany do specjalnej ekipy "sanepidu" mającej zadanie zapobieżenia grożącej epidemii tyfusu, wybuch której groził skutkiem masowego rozkładania się w ciepłe wiosny zwłok ludzi wymartych głodową śmiercią. Ekipę skierowaną do stаницy Dinskaja odległej o 28 wiorst od Krasnodaru. Na trzeci dzień udział w pracy tej ekipy, "pionierskiej pracy komsomoku", brat mój zbiegł, w stanie na pół obłąkanym, do Krasnodaru. Stało się to kiedy w jednej z osad kozackich stаницy Dinskaja, zobaczył leżące na łóżku zwłokę młodej jeszcze kobiety-matki, będące już w rozkładzie, a obok łóżka leżące zwłoki dwojga, 3-5 lat liczących dzieci, leżących jedno na drugim u zwisającej z łóżka ręki matki, ręki obgryzionej przez nich prawie do łokcia. To przeżycie wywarło i pozostawiło na nim trwałe wrażenie na całe życie, tak młode jeszcze, a tak bogate w bolesne doświadczenia. Natychmiast też wystąpił z komsomoku i pozostał na zawsze bezpartyjnym. Kto wie czy nie takie właśnie przeżycia doświadczone przez wielu ludzi sprawiły iż powódź wojsk hitlerowskich z taką łatwością ogarnęła w pierwszych latach wojny 1941 roku olbrzymie obszary Rosji - ale że Hitler okazał się w praktyce gorzszy i jeszcze bardziej nieludzki - musiał przegrać z kretesem. Bo, choć był witany chlebem i solą przy biciu dzwonów cerkiewnych, w myśl przysłowia: "choć girsze - ale insze" /choćb było gorsze - ale inne/, niósł śmierć i niewolę na zdobytym krwawo "lebensraumie".

Właśnie wtedy, w roku 1934, gdy w Niemczech do władzy dorwał się na czele swych siepaczy Hitler - w Leningradzie, mieści Lenina i kolebce rewolucji padły strzały, których odgłosy poruszyły cały kraj i odbiły się wielokrotnym echem za jego granicami. Niejaki Nikołajew, kapitan NKWD zastrzelił znieścacka i zdradziecko I-ego sekretarza Leningradzkiego Ob-komu Partii i członka Komitetu Centralnego Kirowa. ~~Siergiej Kironowicz Kirow~~ właściwie Kostikow/

" ... proszę, niech pan to weźmie ! - na pamiątkę - od klasowego wroga , kupca Karasznikowa !.. te kule przeznaczone były na zabicie pana - obiecano mi za to zabicie pana amnestię, amnestię dla mnie i dla mojej rodziny przewencyjnie zaareztowanej również - mieliśmy być , ja i moja rodzina, zlikwidowani - Miałem już pana na muszce przed paru minutami , nawet dwa razy , nie mogłem jednak strzelić, ręka mi drgnęła !.. Niech pan teraz zrobi ze mną co chce - na co zasłużyłem ! " .. Na co Kirov , po chwili namysłu : " No cóż - powinienu głowu i miecz nie siecziet ! - Wybawił pan się tym swoim szczerym przyznaniem się do winy - a przy tym otworzył mi pan oczy, na metody postępowania tych, którzy pana na mnie nasłali - Nie zatrzymuję pana, może pan odejść ? - niech pan będzie spokojny o swoją rodzinę , będą uwolnieni, obiecuję to panu - Do widzenia ! - i wkrótce odjechać pośpiesznie do Leningradu swym autem, prowadzonym przez kierowcę, świadka całego wydarzenia. A wydarzenie to miało miejsce , na krótko przed dokonaniem już teraz zamachem przez kapitana Nikołajewa, ajenta Berii. ^W W Leningradzie po strzałach do Kirowa rozszalał się terror polityczny - likwidowano wszystko co miało cechy zgodności z polityką i zamierzeniami antystalinowskimi Kibowa

W Krasnodarze atmosfera zagęszczała się również , każda nowa sytuacja wymagała dłuższego namysłu i większej ostrożności, słowa podejmowanych decyzji musiały być coraz bardziej wyważane i potwierdzone na piśmie, choćby najbardziej oczywiste w swej słuszności - zawsze można było spodziewać się czyjegós stwierdzenia że "my kucasz znajen - kto duraki". Moja sytuacja w pracy nie jest gorsza od sytuacji innych kolegów , nawet starszych wiekiem, doświadczeniem i rutyną. Oni są ambitni, solidni , operatywni - ale i ja im dorównuję świadczą o tym uzyskiwane dyplomy, wyróżnienia, nagrody. Z racji pracy w Technikum nawiązywałem kontakty nie tylko z młodszą lecz i z dorosłymi, rodzicami i krewnymi. Ania nadal zdobywa wykształcenie - niełatwo jej to przychodzi, jest przecież jeszcze matką , a do tego jest znowu w ciąży - pomimo to nie opuszcza do ostatniej chwili swych ~~uważ~~ zajęć i studiów na Instytucie już teraz Technologicznym, ~~na~~ tak zwanym Kubańskim Instytucie Przemysłu Tłuszczowego , do którego została przeniesiona urzędowo z Instytutu Pedagogicznego ze względu na chroniczny katar gardła i na wniosek komisji lekarskiej

W jej uczelni też zmiany i wydarzenia niezwykle. Akademię Cziczibabin, chemik o światowej sławie, zostaje areztowany w Moskwie , skąd dojeżdżał do Krasnodaru, i niebawem rozstrzelany. Po jego rozstrzelaniu , podręczniki wydane przez niego zostają wycofane z obiegu jako dzieła "wroga ludu" - dziełom katedry chemii Ołchow, w braku innych podręczników będących na tym poziomie,

pojecha prosto studentom, na swoją odpowiedzialność, wyrwał z podręczników Czieszibina tytułowe karty z nazwiskiem autora i nadal uczyć się z nich chemii organicznej, mówiąc studentomże;" oni, ci to kazali wyrzucić podręczniki Czieszibina, tak się znają na chemii jak studenci na chińskiej maszy!". Sam zresztą Obuchow posługuje się podręcznikiem Czieszibina w swoich wykładach farmakologii i chemii reálnia sterycznych. Nawiasem mówiąc z olejków właśnie sterycznych studenci Obuchowa wydobywali, w czasie swoich praktyk wakacyjnych odbywanych na Krymie, w pobliżu Taurydy, olejek róży kandałayskiej którego jeden kilogram miał wartość 130-140 tysięcy rubli, chętnie płaconych przez francuską firmę perfumeryjną "Bracia Cośty". Ale na taki kilogram olejku składał się produkt z 1-go hektara plantacji tych cennych róż. Inny z profesorów, Oczapowski, został odznaczony za osiągnięcia w zwalczaniu chorób zakaźnych Orderem Lenina - ale równocześnie nie przyjął propozycji kandydowania na pisa do Rady Najwyższej, czym bezwiednie uratował swoje życie. Zdarzyło się bowiem że inny uczyony, , bezpartyjny pediatra Worobiew, również został odznaczony Orderem Lenina, , propozycją kandydowania do Rady przyjął / po odrzuceniu jej przez Oczapewskiego ale-ale wkrótce po publicznym ogłoszeniu listy kandydatów do Rady, został w biały dzień, o godzinie 11-ej zamordowany w swym mieszkaniu. Sprawca, choć uciekając strzelał do goniących go lekarzy, został schwyty - okazało się, że był to funkcjonariusz NKWD Krasnodaru. Pogrzeb dziekana katedry pediatrii Worobiowa, ofiary mord politycznego, stał się masową demonstracją polityczną ludzi wszystkich stanów Krasnodaru, a na jego miejsce wszedł kandydat do Rady nie figurujący na liście kandydatów.

Moje osobiste refleksje na temat tych dziwnych a tragicznych wydarzeń były jednoznaczne: życie jest życiem - bez drastycznych upokorzeń i poniżeń żyć można tylko we własnym kraju, na ziemi ojczyznej, na ziemi do której tak od dziecka tęskniłem, wciąż przebywając na nie zamierzonym uchodźctwie.

Strzały Leningradzkie oddane do Kirowa pod koniec grudnia 1934 roku i strzały oddane w lecie 1935 w Krasnodarze do Worobiowa rozpętały przysławione "polowanie na czarownice". Sekretarz Autonomicznej Adygi, Chakarate, powrócił z Moskwy w Trumnie gdzie przebywał na leczeniu w zamkniętym szpitalu na Kremlu. Pogrzeb urządzono na wspaniały, ze wszystkimi honorami wojskowymi, publicznie, na placu Krasnym w samym centrum miasta Krasnodaru, obok niedawno rozebranego soboru zbudowanego z włoskich marmurów na "300-lecie Panowania Domu Romanowych" - sobór ten, o przepięknej architekturze był ogniskiem religii, był "opium" dla narodu, zwalczanym stanowczo, wytrwale i bezwzględnie.

A i u nas, w stadninie srian dużo i to tragicznych - po rozstrzela-
niu lekarza Matusiewicza i następnie dyrektora stadniny Hejdenrycha,
według orzeczenia sądu na "sabotaż gospodarczy", stadninę objął zoo-
technik, pułkownik Daniłowicz po stwierdzeniu u ogierów nosacizny
w formie ukrytej. Lekarz stadniny, Matusiewicz, popełnił błąd zasad-
niczy: w oparciu o sekcje i analizy już sześciu padłych ogierów, a
arabów czystej krwi, on dużej wartości importowej, a badania te zost-
ły dokonane przez Komisję Specjalną Zakładu Higieny Zwierząt w Rosto-
wie, która ustaliła iż przyczyną padnięć była zakaźna influencja,
zakaził sztucznie pozostałe ogiery wydzieliną padłych i te zdrowe
dotychczas również padły. Wdowę po Matusiewiczu, panią Jadwigę i jej
dwie córki, 9-0 i 11-0 letnią, pozostawił Daniłowicz w ich dotych-
czasowym mieszkaniu służbowym, przy czym zatrudnił panią Jadwigę
na etacie sekretarki-maszynistki stadniny, choć wdowa po koleźce
nie miała zielonego pojęcia o pisaniu na maszynie. Bieda jest jednak,
jak wiadomo, matką nauki w potrzebie, więc nauczyła i ją, i to bardzo
szybko wszystkiego czego wymagała jej nowa funkcja, a co tak "na za-
pas" otrzymała dzięki solidarności koleżeńskiej i postawie Stanisława
Daniłowicza - ten zaś mógł sobie pozwolić na takie posunięcia dzięki
swym dobrym stosunkom z Bułdionym. Kraj Azowo-Czernomorski został
rozwiązany jako oddzielna jednostka administracyjna, a jego sekretar-
zem Borys Szabołdajew został rozstrzelany razem z kilkoma współpracowni-
kami. Grób sekretarza Chakurata został zburzony i razem z pomnikiem
miejsce to zostało zniwelowane do powierzchni ziemi, a zwłoki Cha-
kurate zostały w nocy wywleknięte wyrzucone z grobu i wywiezione w
nieznanym kierunku. Nie ominęło i bliższych mnie i mojej pracy osób
kierownik Urzędu Zińskiego Maurik Adzu-Bej, a z nim wielu dział-
zących w aulach, zostało rozstrzelanych za powiązania z Turcją i
Islamaem, Centrum Autonomicznej Adygii zostało przeniesione, decyzją
Moskwy, z Krasnodaru do miasta Majkopu nad rzeką Biełą. W Krasnoda-
rze zorganizowano w pośpiechu "Kraj Krasnodarski" wydzielającego z dotych-
czasowego Kraju Azowo-Czarnomorskiego. Celem dalszego umocnienia
władzy terytorialnej Rostów nad Donem otrzymał rangę województwa.
Jakoś w związku z tymi zmianami zootechnik Autonomicznej Adygii
Włodzimierz Liebiedjew podzielił los Maurika Adzu-Beja. Ja w tym
czasie również zmieniłem stanowisko i pracę: zostałem, na własną
prośbę kierownikiem wylegarni znajdującej się pod powiatowym aul-
em Tachtarewskiej, położonej zaledwie 9 kilometrów od Krasnodaru - aul-
ten zresztą też zmienił w tym czasie swą nazwę - dotychczas bowiem
nosił imię rozstrzelanego sekretarza Chakurata, a obecnie wrócił do
swej pierwotnej nazwy. Przejść do tej nowej pracy ułatwił mi
Aleksander Ikkarionowicz, Błochin, który, zostawszy pewnego dnia

11
sam na sam ze mną powiedział mi : : Zubczewski ! - widzisz sam co się dookoła dzieje i jak stoją sprawy - lepiej więc będzie jeśli zmienisz pracę , skorzystaj więc znowu z magicznych "względów rodzinnych!". Zrobiłem więc tak jak mi Błochin doradzał-i dzięki temu posunięciu znowu dokonałem uniku od miecza Damoklesa wiszącego w powietrzu, wyrwałem się z paszczy lwa, który będąc wtedy przy apetycie , mógł pokonać i mnie za całą rodziną.

2a Wiwy
Nie przerażało mnie to, że nowa praca wymagała nowej nauki - ~~zakt~~ sztuka drobiarstwa jest sztuką kapryśnej ale bardzo interesującej hodowli , jakże odmiennej i różnej krańcowo od hodowli koni , nie męczyła mnie też ta nowa organizacyjna orka - jeśli w tym okresie odczuwałem często zmęczenie i znudzenie, ~~Wszystko~~ to było to wynikiem ciągłych i niekończących się badań i przesłuchań dotyczących różnych ludzi i różnych zdarzeń - było to wynikiem przykreści odpowiadania osobście nie popełnione , odpowiadania przed ludźmi pokroju Ajzen-sztajna, przekonywania ich że się nie jest "wielbiądem".

W dniu 14 maja 1955 roku Ania szczęśliwie powiła córeczkę , dziecko silne, ładne i zdrowe. Na cześć ciotki tego ~~małego~~ maleństwa , Tatiany Basok, równocześnie matki chrzestnej naszej córeczki, nadaliśmy jej imię Tatiana.

Pracuję teraz na mniej ekwipowanym, prawie podrzędnym stanowisku - co ma te dobre na te czasy strony, że jest się mało widocznym, nie przeszkadza się nikomu, a robi się swoją dobrą, owocną robotą. Siedzę w cieniu Krasnodaru, zdala od centrum jaki jest tu dla mnie Tajkop, poświęcam sporo czasu rodzinie ku obopólnemu zadowoleniu, więcej też obcuje z niezawodnymi przyjaciółmi jakimi są książki, Ania ukończyła już swój Instytut i uzyskała dyplom magistra chemii. Od tego co widzę i słyszę na co dzień, co się dzieje dookoła, robi się człowiekowi , jak to mówią rosjanie : " i skuczno, i grzeczno i nieco mu mordę pobit, co ~~tu~~ po polsku można by było strawestować : " smutno i nudno i nawet pobić się nie ma z kim !".

Nie sądzono mi jednak było, jak się to wkrótce okazało, zasnąć i teraz tego spokoju w robocie na "małych obrotach" i z mniejszym stopniem odpowiedzialności. Kierowany przeze mnie zakład wylęgu drobiu, piskląt kurzych i kaczych, obejmował jak wkrótce stwierdziliśmy, pięć powiatów autonomicznej Adygii, zaś głównym punktem zapatrującym nasz zakład w jaja do wylęgu jest "Pticesowhoz Nr 17" znajdujący się na 17-ym kilometrze w kierunku wschodnim od Krasnodaru, obecnie regionalnej stolicy kraju Kubańskiego.

Jak zwykle, zgodnie z właściwościami swego charakteru, szybko nawiązałem dobre stosunki służbowe z dyrekcją zakładu i jego pracownikami, a niedługo potem i stosunki prywatne, wśród których szczególnie blisko i przyjaźnie ułożyły mi się stosunki z Iwanem Iwanowiczem Szarowym, kierownikiem ferm produkcyjnych kur, przeważnie pochodzącej z Włoch rasy "Leghorny" i kaczek, rasy "Pokińczyki", wywodzącej się z Chin. Trzeba tu nadmienić, że Chiny Ludowe były w tym czasie złączone, a nawet złączone nierozzerwalną zdawało się przyjaźnią, z Rosją, i szczerze korzystały z dużej pomocy materialnej Kraju Rad, którego obywatele sami przecież w tych latach nie znajdowali się bynajmniej (choćby na jako tako zadowalającym poziomie ekonomicznym - cóż, wymagała tego "wielka polityka" zgodnie realizowana przez Stalina i Mao - Tse - Tunga. Jeśli chodzi o leghorny to rasa ta, ukształtowana ostatecznie w USA, w roku 1852 została przywieziona do Europy i tutaj się znakomicie zaaklimatyzowała i rozpowszechniła ze względu na jej walory produkcyjne i żywnościowe. Wspomniany już Iwan Szarow, z pochodzenia kubański kozak - ze Stancji Dinskaja pod Krasnodarem, współpracował na swym odpowiedzialnym stanowisku kierownika ferm hodowlanych z głównym zootechnikiem i specjalistą do spraw hodowli drobin, murzynem Pol Robsonem, obywatelem USA. Wysokie pobory fachowca otrzymawała w dolarach jego rodzina pozostała w USA, on sam zaś prowadził tu w Rosji skromny, spartański żywot za czerwione otrzymywane za swoje funkcje. Robinson już dobrze nauczył się mówić po rosyjsku i to bardzo ułatwiało mu kontakty fachowe jego i z nim. Korzystając z jego porady wprowadziłem w zakładzie ścisłą segregację odbieranych do wylęgu jaj, stosując jako kryterium wagę z niewielkimi tylko, sięgającymi 2,5 grama, odchyleniami. Od razu i wyraźnie poprawiło to procentowe wyniki wylęgu: z 72,3 % podniosły się one do 83,7%, przy czym rzuty piśklat uległy wyrównaniu biologicznemu i w kółkozach Adygii dobrze się chowały. Obniżyły się też znacznie upadki, które, przy normie wynoszącej 5%, stanowiły teraz około 3,5% - faktycznie zresztą norma upadków już w kółkozach niejednokrotnie dochodziła do 10 %.

Na skutek podniesienia poziomu sumienności i wydajności pracy kolektyw zakładu otrzymuje lepsze zarobki, systematyczność pracy i jakość wyników wzrasta, zakład, mający dawniej opinię zaniedbanego, zmieniający kierowników "jak rękawiczki", zdobywa renomę dobrej placówki. Nie bez znaczenia jest tutaj systematyczna kontrola i przestrzeganie procedury wylęgu ściśle według instrukcji.

Jak wszędzie w Kraju Rad są i tutaj Polacy - jednym z nich jest Jan Krzeniński, inwalida wojenny z zaborczych Legionów Piłsudskiego; jakiś kozak w szarży kawaleryjskiej odrąbał mu dłoń wraz z szablą

- pozostał mu tylko kikut. Droga wojenna Krzemiańskiego wiodła go z armii austriackiej cesarza Franciszka Józefa, gdzie jako małopolanina służył początkowo, po przez Legiony, aż do bitwy pod Kijewem gdzie został ranny i wzięty do niewoli. Leczony w szpitalu ożenił się ze swą pielęgniarką, rosjanką, i na zawsze już pozostał w Rosji. Będąc młodym jeszcze człowiekiem zaczął studiować i ukończył Kubański Intytut w Krasnodarze, w międzyczasie ciesząc się z ojcostwa dwóch ślicznych dziewczynek. Jego żona, pani Anna, bardzo pragnie mieć syna, nie korzysta jednak z mojej przyjacielskiej rady by "zmieniła krawca z danckiego na męskiego". Zbыва mnie pani Anna stwierdzeniem, że "panu kierownikowi zawsze w głowie żarty i dowcipy", a ja rzeczywiście jestem w humorze. Uważam dobry humor i dobre samopoczucie za panaceum na wszelkie doległości, za źródło jakiegoś szlachetniejszego postępowania, za antidotum na paraliżującą wolę i działanie penuractwa. Trochę mnie z przyczyny mego pogodnego nastroju upomina moja Ania, która obecnie jest już Inżynierem Chemikiem II-go stopnia i zdobywczynią tytułu naukowego "magister". A przecież zdobyczy tych dokonała w czasie odchowania syna i urodzenia córki. I ta jej życiowa działalność i tytuły przyczyniają się do szacunku i poważania jakim cieszy się i w swojej szkolnej pracy i w środowisku. W sprawach poważniejszych wydatków finansowych zawsze zasięga mojej "męskiej" porady, a po za tym wszystkie sprawy domowe trzyma w swoich małych rękach, korzystając w miarę z pomocy nieocenionej cioci Ksieni. Dzieci rosną i chowają się dobrze, są zdrowe i miłe, są zasadniczym objektem miłości i troski wszystkich członków rodziny i ich piastunki, Kozacki, Ireny, która była u nas prawie donownikiem od roku 1935, aż do czasu swego zażępójścia w roku 1940.

Zagańnienia nowego rodzaju pracy opanowałem już, drogą studiów i w praktyce, dość dobrze, znajduję w hodowli drobiu ciekawe aspekty i społeczne i naukowe. Tak na przykład, w rozmowie z Polem Robsonem natknąłem się na ciekawy problem mydła używanego przy hodowli. Gdy mianowicie personel hodowlany używał osobiście mydła toaletowego mającego różne zapachy, powodowało to wchłanianie przy segregacji kurcząt tych, jak się okazało szkodliwych ~~zapych~~ biologicznie zapachów, i iobniżało wartość biologiczną hodowli. Wyeliminowanie tych pachnących mydeł i zastąpienie ich zwykłym mydłem dobrego gatunku wyraźnie wpłynęło dodatnio na jakość hodowli. Janek Krzemiański zamieszkał teraz wraz z rodziną w mieszkaniu służbowym kierownika zakładu, które mu odstąpiłem - (gdyż postanowiłem dojeżdżać do zakładu ze swego własnego mieszkania w Krasnodarze) - na baczność nad całością produkcji zakładu.

Ja wolałem dojeżdżać z Krasnodaru pociągami do przystanku kolejowego w miejscowości Enas, odległego o 5 kilometrów, obok którego były zlokalizowane Zakłady Wylęgu Drobiu, zakłady wyposażone w nowoczesne inkubatory produkcji niemieckiej, zwane "osafy giganty". Roczna produkcja naszych zakładów wynosiła jeden milion trzysta tysięcy piskląt kurzych i trzysta tysięcy kaczych rocznie. Są to liczby bardzo wysokie i osiągnięcie ich wymagało nie tylko dobrej pracy lecz również dużo sumienności, obowiązkowości i poczucia odpowiedzialności w tej pracy. Zakład pracował na 3 zmiany i liczył 23 osoby stałego personelu. Z biegiem czasu Janek Krzeniński przeze mnie bardzo wysoko ceniony, a powszechnie lubiany i szanowany pracownik, przekwalifikował się ze znakomitego fachowca w dziedzinie hodowcy trzody chłownej na nie mniej cenionego i dobrego drobiarza-praktyka. Z zadowoleniem stwierdzaliśmy, iż w naszym zakładzie procent wylęgu stale wzrasta, a że równoległe z nim wzrastały i zarobki personelu, budziło to dalszy zapal do coraz lepszego produkcji, wyższej wydajności. Jak już wspominałem podstawą tego wzrostu i źródłem powodzenia naszego zakładu były jaja dostarczane nam z Sowchozu Nr 17, jaja zdrowe i gatunkowo wyrównane, stopniowo więc moje kontakty służbowe z kierownikiem tego sowchozu Szarowym stawały się coraz częstsze i przeradzały się w zażyłość i trwałą przyjaźń. Obaj z Szarowym byliśmy zapalonymi szachistami, nie rzadko więc zażywaliśmy tej królewskiej rozrywki w czasie gdy pod pewnym okiem Janka Krzenińskiego jaja były załadowywane do specjalnych, krytych, dobrze wyposażonych powozów konnych. Nie brakowało oczywiście przy naszej "królewskiej" rozrywce i dobrej herbaty z zakuszkami, a często i czegoś bardziej mocnego, a wyszukanego w smaku. Po trzech latach osiągnięcia dobrych wyników Zakład nasz otrzymał pierwsze miejsce w Kraju Krasnodarskim - i wtedy - o lasie człowieczy ! - Aleksander Iktarionowicz Błochin, już wtedy kierownik Urzędu Ziemińskiego Autonomicznej Adygii z nie zibą w Łajkopie, zaproponował mi przejście do pracy w charakterze głównego zootechnika, z siedzibą również w Łajkopie, gdzie miałem otrzymać 3-pokojowe mieszkanie służbowe. Znalem Łajkop i wiedziałem, że jest to bardzo ładne, położone nad rzeką Białą, otoczone lasami i obramowane górami Kaukazu, 60 - o tysięczne miasto, zamieszkałe przeważnie przez czerkiesów, adygów i innych plemion autochtonów. Ciepła i spokojna jak w Stacji Liedwiecowskiej, jak u starych Bohdanów, klimat zdrowy, górski, nie ostry - miasto leży na wysokości 550 metrów nad poziomem morza, rzeka Biała obfituje w ryby, są w niej łososi i pstrąg, okolica piękna - raj dla myśliwych.

Równocześnie z tą propozycją zaświtała mi jeszcze jedna, nie mniej pełna perspektywa: poważna instytucja jak: było Zjednoczenie "Uzdrowiska Kaukazu" wystąpiła do władz o służbowe przeniesienie mnie na stanowisko Głównego Agronoma Zjednoczenia i te z siedzibą w Krasnodarze. I ten ostatni wzgląd, fakt iż pozostanę w Krasnodarze, we władnym mieszkaniu, blisko gościów, tam gdzie pracuje Ania, przeważył wszystkie uroki bajkopu - zdecydowałem: przechodzę do "Uzdrowisk Kaukazu".!...

Zaproponowałem więc na swoje stanowisko starszego zootechnika Zakładów Drobiarskich najpewniejszego z wśród pewnych przyjaciół i fachowców, Janka Krzemickiego, uzgodniłem tę propozycję z towarzyszem Błochimym, ufającym mi i słuszności doboru następcy - nie bez śladu rozstałem się z kolektywem, który tak wyrósł i udoskonalił się przy mnie i wraz ze mną - i odszedłem na nowe stanowisko.

Jakoś w tym czasie zaczęło i w moim osobistym życiu nieco zmian. Brat mój Jerzy ukończył właśnie w Gruzji, w mieście Achal-Senaki, Technikum Rolnicze i to z wyróżnieniem, otrzymał przydział pracy na stanowisku agronoma dzielnicowego stacji maszynowo-tractorowej w Stacji MARIANSKAJA, nad rzeką Kuban, znajdującej się o 35 kilometrów od Krasnodaru i położonej w dole Kubania znaną stacją Jelizawietienskaja, gdy się tam jednak okazało że budynki zajęte przez nowe powstałe urzędy terytorialne Kraju Krasnodarskiego i nie mógł objąć przydzielonego mu stanowiska pracy. Zamiarem Jerzego były dalsze wyższe studia agronomiczne, wstąpienie jednak na nie zależało od uprzedniego odbycia trzyletniej pracy jako rekompensaty za otrzymane od państwa świadectwa w czasie nauki szkolnej, za naukę, internat, stypendium. Ponieważ stanowisko agronoma dzielnicowego otrzymał ze względów rodzinnych, kiedy już wreszcie to stanowisko objął i przepracował na nim osiem miesięcy, sprowadził do siebie rodzinę ojca, Ojciec mój był już wtedy emerytem i chętnie wraz z mamą i siostrą ~~moją~~ Marią zamieszkał u Jerzego, który, awansowawszy już wówczas na starszego agronoma, otrzymał do swej dyspozycji duży dom z sadem i ogrodem warzywnym. Ja zaś wykorzystałem swoje ówczesne stosunki i znajomości do umieszczenia siostry Marii w Technikum konserwowo-ogrodniczym zorganizowanym przy Kombinacie tego charakteru w pobliżu byłego rozjazdu, teraz już stacji kolejowej ENSEN, jak też i w pobliżu kierowanego dawniej przez ze mnie Zakładu Wylęgu Drobiu. W tych warunkach bytowania mojej rodziny, w roku już 1937 w m-cu sierpniu, otrzymałem od Jerzego, ze stacji Marianskaja, wiadomość o chorobie ojca.

Minęło właśnie nie wiele czasu /około 5 tygodni/ od naszego powrotu ze Stacji Marińskiej, gdzie spędziliśmy w gronie rodziny Zubczewskich przyjemne wakacje, w czasie których ojciec czuł się dobrze i cieszył obecnością Ani i wnuków. Przybywszy bezwzględnie do Marińskiej zastałem ojca już ułożonego w trumnie. Odszedł cicho i spokojnie, zupełnie przed zgonem nie chorując - wstał tego dnia rano jak zwykle, około 12-ej ogolił się jeszcze i wkrótce po tym zmarł, w wieku prawie 70 lat. Wszystkie kłopoty z nieoczekiwanym zgonem ojca przejął Jerzy, Mama była jakby zgaszona, nieprzytomna, płakała bezustannie i zagłuszała się paleniem papierosów. Na pogrzebie, po za domowymi, byłem ja i siostra Maria - żona moja, ze względu na chorobę naszego synka /szkarlatyna/ nie mogła ze mną przyjechać. Skromny i cichy kondukt pogrzebowy odbyty 8 sierpnia przeniósł zwłoki ojca i pogrzebał je na komunalnym cmentarzu stacji Marińskiej. Spoczęły tu na zawsze zwłoki naszego ojca, niezwykle człowieka silnej woli i nie zmniejszonej przeciwnościami losu pogodzie ducha, zwłoki ojca, powiernika i przyjaciela oraz znakomitego wychowawcy, zwłoki Sergiusza Stefana Prawdzic Sołłohub Zubczewskiego, Polaka walczącego, żyjącego i zmarłego na ziemi tak odległej od Ojczyzny. W chwili śmierci nie wiedział na szczęście nasz ojciec, jak i my wszyscy w rodzinie, o niespodziewanym aresztowaniu brata mego Włodzimierza, uwięzieniu go, przy równoczesnym rozstrzelaniu jego dyrektora, a kolegi i przyjaciela ojca, Włodzimierza Stankiewicza - był to jeszcze jeden z długiego szeregu objawów dyskryminacji niczym niuzasadnionej stosowanej w tych latach przez NKWD.

Po pogrzebie ojca i rozejściu się grona przyjaciół i zebranych, pożegnawszy się z grobem naszego ojca, poszliśmy z Jerzym ścieżkami cmentarnymi - w pewnym momencie wskazał mi Jerzy prosty, skromny grób z dębowym krzyżem i przymocowaną do niego tabliczką z napisem: "Iwan Titarenko - wachmistrz wojska kubańskiego", i opowiedział w dalszej drodze niezwykle dzieje tego kozaka. Titarenko był rodowitym kozakiem kubańskim i tak jak wszyscy jego przodkowie służył jako szeregowiec w sotni kozaków kubańskich.

Będąc już odznaczonym orderem kawalerskim Świętego Jerzego za zasługi bohaterstwo i wyczyny wojskowe położone w ogniu z Niemcami w latach 1914-1918, powrócił do swojej stacji Marińskiej, do żony i trojga dzieci. W okresie trwania wojny domowej Titarenko służył ochotniczo w słynnym pułku Kopiełowa, znanego sadysty i okrutnika, zdeklarowanego białogwardzisty. Kopiełow miał zwyczaj wycinać na piersiach schwytanym czerwogwardzistom ich godło "czerwoną gwiazdę".

Temu to właśnie okrutnikowi udało się wytropić, zaskoczyć i unieść na białym koniu w jednym chwacie i rozgromić całkowicie czerwonoarmijski oddział bohatera wojny domowej słynnego Czapaiewa. Schwytani czerwonoarmiści zostali oczywiście, po "odznaczeniu ich czerwoną gwiazdą", rozstrzelani. W czasie tej akcji zdarzyło się, że Titarenko dopadł w walce samego Czapaiewa, jakos szczęśliwie uniknął śmierci oddanych do niego przez Czapaiewa kilku strzałów z mazurek, i w zapale walki jednym cięciem silnej, wprawnej ręki rozciął/dostawnie Czapaiewa swoją szablą na dwoje.

Po pewnym czasie oddział Kopiczowa został jak i inne bandy białych rozgromiony, w roku 1920, a po Kozaku Titarenko zaginął ślad. Myślano powszechnie, że ten sprawca śmierci legendarnego Czapaiewa został również zabity gdzieś w walce - lecz sam fakt, że to właśnie Titarenko, wprawdzie w uczciwym pojedynku, ale zabił Czapaiewa, był ogólnie znany, i czerwoni uparcie, choć wciąż bezskutecznie poszukiwali Titarenkę. W międzyczasie w osadzie ~~pełną~~ rzekomej wdowy po kozaku co rok przybywało dzieci, choć wdowa nie trzymała u siebie parobka, i nie zadawała się z mężczyznami, Szczegół ten wzbudził po pewnym czasie uwagę władz, a szczególnie NKWD - nie na przeciw cudów, bożiany też tu nie nie są winne - skąd więc "co rok ten prorok", przeważnie chłopiec?.. Wydawało się że trafiono na ślad zaginionego Titarenki, lecz niespodziewanie dokonywane częste rewizje w domu wdowy nie odnosiły żadnego skutku. Nie ustawały one jednak choć lata bieły - aż wreszcie, wkrótce po przyjściu na świat nowego dziecka, pewnego jesiennego dnia - udało się. NKWDzisci, otuwszy przed tym zwabione psy przydomowe zatrutą kiełbasą, wtargnęli nagle do dużej izby w domu wdowy i spłoszyli przebywającego tam, i ukrywającego się od wielu lat, kozaka, męża i ojca osierca dzieci, Iwana Titarenkę. Przytomny kozak zdążył jednak wleźć w pośpiechu do pomysłowo sporządzonej kryjówki, znajdującej się w "dymochodzie" dużego, kozackiego pieca zwanego tu "leżanką". W palenisku rozpalono w pośpiechu maskujący wszystkie ogień, lecz pośpiech Titarenki sprawił, że koniec długiej nocnej koszuli w której go zastano, wystawał nieco z pod deski używanej w takich wypadkach do zakrywania wstępu do kryjówki w "dymochodzie". I to zgubiło Titarenkę - ów skrawek koszuli dostrzegło uważne oko NKWDzisty, ukrywającego się wyciągnięte z kryjówki i kazano mu się ubrać. Titarenko uczynił to bez oporu już i spokojnie, włożył paradny strój wędziarza kozackiego, z naraniennikami, orderami i krzyżem Sw. Jerzego, rozczesak swą okładzistą brodę, pożegnał się z płaczącą żoną i dziećmi - na zawsze już rozstał się ze swą osadą kozacką i rodziną. Doprowadzony do cmentarza sam wykopał sobie dół na grób,

po czym, rzucając szpadel na ziemię wydał ostani swój rozkaz: "Strzelajcie !- taka owaka wasza maść!... widać za mało wam jeszcze krwi/wytoczonej z naredu !- Strzelajcie !.!.!"...

Został rozstrzelany zgodnie z senetencją wyroku zapadłego zgocznie prawie osiem lat temu - tak "rąbano stary sad " - tak ginął stan kosacki, tak ginęły przywileje, prawa wolnościowe, zwyczaje, obyczaje odwieczne - tak się zmieniał świat , pod chóralny okrzyk czerwonoarmistów : "--dajesz Jewropu?"...

Rozbrzmiewające powszechnie w tych czasach hasło "Dajesz Europę ? !" dochodziło i do mnie w postaci szeregu wieści o stawianiu spraw kraju na stopie wojskowej , posunięcia władz coraz wyraźniej znamięnowały podporządkowanie wszystkiego zagadnieniu przygotowania obronności kraju. Widoczne to było i u nas na Kubaniu. Ania np. będąca na stanowisku chemika -zmiannowego w Kombinacie Tłuszczowym / Gławnmargarin/ w Krasnodarze, gdzie od 1938 roku zorganizowane cały "cech", oddział wyłączony i zamknięty, obsadzony wyłącznie przez członków partii i liczący po 300 ludzi na każdą zmianę , była zajęta przy produkcji granatów ręcznych, tak zwanych "filipi-nek" wzorowanych na francuskich granatach zaczepnych , "cytrynkach", koszulki do których odlewała Nuta imienia Siedowa . Zarobki tego "specjalnego", wyłączonego oddziału płacone jego pracownikom były o 100% wyższe od płac w innych oddziałach, obowiązywała tu jednak ścisła tajemnica wojskowa oraz podpisanie "deklaracji", że w razie awarii spowodowanej wybuchem pociągającym za sobą śmierć lub kalectwo pracownika , zakład nie ponosi żadnych konsekwencji natury finansowej. Pracowało się tu "na własne ryzyko" i oddział był całkowicie odizolowany od reszty kombinatu , z którym łączność była dozwolona tylko na podstawie specjalnych, okresowo zmienia-nych przepustek zaopatrzonych w fotografię pracownika. W ten specy-ficzny sposób "margaryna "była sporządzana przez wojskowych fachow-ców w gatunku "Extra" i z przeznaczenie oraz rodzicielnikiem tylko tym ludziom znannym. Ponieważ Ania odmówiła / uchyliła się/ podpi-sania wspomianej "deklaracji" , została przeniesiona do pracy w laboratorium kombinatu "Gławnmargaryn", na co wpłynął fakt iż była matką dwóch nieletnich dzieci , co jednak nie uwolniło jej od podpisania zobowiązania do przestrzegania ścisłej tajemnicy służbowej i otrzymania od zwierzchników uprzedzenia o grożących jej, w razie naruszenia tajemnicy, konsekwencjach. Tę ważną dla naszej małej rodziny decyzji dużą rolę odegrała i moja postawa i wola - było to chyba słuszne i konieczne bo "wypadki już chodziły po ludziach".

A ja ?... Rozstręcam się właśnie i nabieram swoistego mi terpa i rozrachu na nowo objętym stanowisku głównego agronoma Trustu Uzdrawisk Kaukazu. Na czele trustu stoi doktor Samuil Sałomonowicz Sznej - jest on typowym przedstawicielem swego narodu : świetny i inteligentny /zna obce języki/administratorem, szefem znającym świat, życie i ludzi. Pochodzi z tego samego miasta Bender na Wołyniu w którym urodził się wspomniany już przeze mnie Litwinow, studia medyczne ukończył w I-ym Miedinskim Instytucie w Moskwie, kieruje Uzdrawiskami Kaukazu już od wielu lat. Uzdrawiska Kaukazu są to wspaniałe placówki leczniczo-sanatoryjne i wypoczynkowe rozmieszczone na ziemiach obwodu Autonomicznej Abchazji, położone przeważnie na wybrzeżu lazuruwego Morza Czarnego, i obejmują różnego rodzaju kurorty na czele ze słynną "Anapą", wspaniałą piaskową plażą Łazarierowską, kurorty Tonkij- i Tokstyj-nys, uzdrawisko w Gole-dziłkoze słynnym sanatorium "Słońce, sanatorium dla chorych na płuca "Oktjabr" /Październik/ oraz sanatoria w Soczi-Ghost-Lacesta ze słynnymi w świecie kąpielami siarkowymi o temperaturze naturalnej wynoszącej 49 stopni. Kuracjuszy, jak i borowinę dla nich, dowozi się tutaj autokarami, powietrze zawiera dużo tlenu i jest przesycone promieniami słonecznymi - słowem raj dla osób cierpiących na serce i choroby kobiece. Zawszą wspaniałe widoki na morze lśniące na tle gór Kaukazu, dookoła smują się tłumy kuracjuszy i grupy turystów obarczonych plecakami, dla których wytypowano i oznaczone piękne widokowe marszruty we wszystkich kierunkach. Rzeczba gór jest tu bogato urozmaicona i przechodzi stopniowo w kształt napiętego łuku o długości prawie 550 kilometrów, od Anapy do Batumi. Ogrody Botaniczne i samo miasto-ogród Batumi ściągają, jak do Mekki, tłumy wczasowiczów i turystów. Podstawę gospodarki tego kraju tworzą bogactwa naturalne Kaukazu, od wód mineralnych, po gaz ziemny, ropę naftową i drewno z masywów leśnych Kaukazu.

Poznając teraz bliżej ten kraj stajęcy się terenem mojej działalności zawodowej, byłem poprostu początkowo oszołomiony jego pięknem i urokiem - ale zarazem również oszołomiony ogromem spoczywającego na mnie zadania : zaopatrzenia mieszkańców tego kraju, jego gości, kuracjuszy, turystów, w żywność, mleko i jego przetwory, jaja, warzywa i owoce z winogronami na czele, a także winami tak tu obficie używanymi, pożądanymi i poszukiwanymi. O hodowli winogron i produkcji win wiedziałem dotychczas nie wiele, a przecież istnieje w tym zakresie dużo tradycji, subtelności, specjalnych form pracy dotyczących smaku, aromatu, barwy, mocy, gęstości i następnie swoistego przeznaczenia poszczególnych gatunków win.

Nie martwiłem się jednak zbytnie o ten dział zaopatrzenia, jest w nim bowiem wielu znakomitych specjalistów mających pełną wiedzę w sprawach hodowli, wytwarzania i przechowywania win, tradycyjnie nabytą w rodzinach winiarzy lub zdobytą w szkołach - jest też w tym dziale znakomita aparatura, świetne piwnice-tuniele zaopatrzone w wystarczającą ilość kadzi do leżakowania i beczek sporządzonych ze specjalnych gatunków drzew. Ci znawcy gatunków i odcieni smakowych przeróżnych Rieslingów, Aligote, Caberne czy też win deserowych Luskatów, Aleksandryjskich, Białych i Różowych itp. itp. ... pochodzą przeważnie z Bułgarii, co powodowało i gwarantowało pomyślne wyniki nie tylko na plantacjach winogron lecz i w niezliczonych cieplarniach i oranżeriach nastawionych na hodowlę pomidorów, kalafiorów, ogórków i wszelkiej zieloniny: sałaty, szczyperku, rzodkiewek. Przy tych wszystkich pomyślnych okolicznościach miałem jednak pracy, a i nauki w przeróżnych dziedzinach - w bród. Żeby bowiem dużemu zapotrzebowaniu produkcji podołać, potrzeba było wiedzy i o przedmiocie i o ludziach, a ~~Wła~~ z tym bywało różnie: i dobrze i źle. Trzymałem się w tych sprawach, kontynuując doświadczenia z Krasnego i zdobywając nowe, niezmienną zasadą, że: pracować z tymi ludźmi, którzy już pracują i pracę znają - nie ma bowiem wątpliwości, że lepszycy od razu nie dostaną. Główną trudnością w angażowaniu nowych pracowników był, panujący i tutaj, głód niezamiaty i bliskość lądowej i wodnej granicy z Turcją. Powoli ale systematycznie doskonaląc sprawność pracy ludzkiej doszedłem do pożądanego ładu i porządku - posługiwałem się przy tym kalkulacją produkcji i jej wyników od czego uzależniałem premie i "trzynastkę". Kierownicy zakładów, fern, przedsiębiorstw nie będąc już teraz niepokojeni ustawicznym dawniej wtrącaniem się księgowych do spraw gospodarczych, zaczęli dawać z siebie to mogli, usprawniać organizację pracy, zwiększać wydajność, wprowadzać szerzej system akordowy, wyzwalając i ujawniając rezerwy i nadwyżki ludzi, tak potrzebnych w innych zakładach. Dyrektor Sanej był wyraźnie zadowolony tymi zmianami, wyraźnie widocznym wzrostem produkcji przy równoczesnym obniżeniu się jej kosztów. Satisfakcję sprawiał mu także wygląd szaty roślinnej ozdabiającej uzdrowiska, tył wszystkich zieleńców, kwiatników, klonków itp. Już po roku pracy w Uzdrowiskach Kaukazu wprowadził mnie dyrektor w skład komisji dokonywującej odbioru nowych inwestycji i wykonywanych kapitałnych remontów. Dyrektorzy poszczególnych uzdrowisk zaczęli wyraźnie liczyć się z moją osobą, co, między innymi, wyrażało się w oddawaniu mi do dyspozycji już nie pokoi gościnnych w swych uzdrowiskach, lecz całych apartamentów na czas pobytu mego u nich na delegacji służbowej. ~~Wszystko~~

~~Wszystko~~

Unikałem jednak takich i podobnych objawów nadmiaru grzeczności ze strony dyrektorów, nie chcąc być w stosunku do nich w jakimś stopniu zobowiązany i skrupowany w podejmowaniu bezstronnych i skucznych w tym przekonaniu decyzji, częste w poważnych sprawach finansowych. W takich sprawach zawsze kierowałem się wskazaniem otrzymanymi jeszcze w młodości od ojca. Ceniłem zarabiane pieniądze, byłem oszczędny pamiętając że "bez kopiejki rubla nie budżet", ale nie szastałem pieniędzi bez koniecznej potrzeby. Tę moją postawę ocenił należycie i sam dyrektor Sznej gdy dokonywał akceptacji kosztów moich częstych podróży służbowych, których globalna wysokość nie mogła przekraczać 1/25 części miesięcznego wynagrodzenia. Gdy więc w rozliczeniach swych wykazywałem koszt naprzykład biletu kolejowego pociągiem pośpiesznym z Krasnodaru do Noworosyjska, a dalej z Noworosyjska do Soczi koszt biletu na przelot hydroplanem "Aeroflotu", żartobliwie mówił do mnie, akceptując rozliczenie "panie inżynierze! - od chereszej ziemi - nie polietiaz!". Przelot taki kosztował ówczesnie nie mało, i z przywileju używania tego środka komunikacji mogło korzystać, po za samym dyr. ^{Szuejcu} Szujnem, bardzo nieliczne grono pracowników Zjednoczone Uzdrowiska Kaukazu, pracowników dobrze się czujących w przyjaznym i solidarnym klimacie pracy wytworzonym przez dyrektora Samuila Szneja.

Więc i ja też, wyróżniałem i awansowałem podległych mi pracowników, raczywiście zasługujących na wyróżnienie i awans społeczny. Zrezygnowałem stądże kadry fachowców, mistrzów młodych odznaczających się swoją pracą, dyscypliną i postawą, ludzi z młodego narybku, głównie z praktykantów po szkołach rolniczych, z drugiej strony bezlitośnie zwalniamy wszystkich pijaków i nierobów. Ludzie widzieli i cenili tę moją bezstronność i trafność przy dokonywaniu awansów, poczuli się do większej solidarności i solidności pracy. Zdobywałem wtedy coraz więcej doświadczenia w postępowaniu i administrowaniu kolektywami ludzkimi, zespołami. Potrzebne do było w okolicznościach wzrastającej różnorodności pracy, w produkcji wybitnie urozmaiconej dokonywanej w różnych warunkach gleby, klimatu, szaty roślinnej, o której warost i jakość nieustannie troszczyły się gromady ogrodników, szkółkarzy, kwiatiarzy, kierowników gospodarstw uzdrowiskowych lub gospodarstw sanoidalnych pozostających na rozrachunku gospodarczym.

Szybko, bo już po roku pracy na stanowisku głównego agronoma Zjednoczenia Uzdrowisk Kaukazu, doprowadziłem całość powierzonych mi pracy do właściwego funkcjonowania, zaopatrzenie ludności miejscowej i jej gości do stanu zadowalającego, powierzone mi placówki do wzorowego ładu i porządku oraz sprawności i wydajności.

Okazuje się jednak że w moim życiu stabilizacja, powodzenie w pracy, sukcesy - są to zjawiska krótkotrwałe.

Oto pod koniec roku 1938 jak grom z jasnego nieba nadchodzi z Moskwy wiadomość o likwidacji Trustu "Uzdrowisk Kaukazu", jego szef, dr Samuil Sznej zostaje odwołany do Głównego Zjednoczenia Uzdrowiskami Kraju Rad, gdzie ma objąć czołowe stanowisko Dyrektora, a w Krasnodarze wszyscy pozostali urzędnicy otrzymują przepisowe trzymiesięczne wypowiedzenie pracy.

Innie, widocznie w uznaniu jakości mojej pracy, spotyka propozycja przejścia na stanowisko Entomologa Medycyny Kraju Krasnodarskiego. Było to stanowisko specyficzne dla tego Kraju z jego endemicznymi ogniskami malarii/zimnicy/ i innych chorób zakaźnych tropikalnych jak np "lichoradka Dengego", choroba wywoływana przez wirus moskitów, jak zinnica przez komary rodzaju "Anofelis maculipennis". Głównym zadaniem entomologa medycznego było właśnie zwalczanie samych ognisk rozwoju tych insektów i wirusów u samego źródła i zasadniczego miejsca ich rozwoju, to jest w "pojmach", rozlewiskach, pływiskach rzek Kubani, Białej i Łaby, rozprzestrzeniających się na obszarze miliona stu tysięcy hektarów, oraz na plantacjach upraw ryżowych. Choroba zbierała obfite żniwo śmierci/głównie wśród dzieci i młodzieży, a drugą połowę ludności kładła do łóżka na "zwolnienie chorobowe" hamujące normalny rozwój gospodarczy Ziemi Kubanckiej, Kaukazu i Zakaukazia. Kandydaturę moją na to stanowisko wysunął, jak się okazało, dr Samuil Sznej, zwolennik i wielbiciel planowej, przemyślanej celowej roboty. On to, mówiąc prosto podsunął moje nazwisko Głównemu Inspektorowi Sanitarnemu Kraju Krasnodarskiego, Polakowi, dr-owi Włodzimierzowi Jaworskiemu, z warunkiem uprzedniego wysłania mnie na roczne Studium dla Entomologów - Malariologów Medycyny w Moskwie. Dyr. Sznej uczynił to w przekonaniu mojej przydatności do tej sumiennej, odpowiedzialnej pracy - był on w ogóle zdecydowanym wrogiem wszelkiej przypadkowości, nie rozumiał, oburzał się gdy przy nim mówiono, że przypadek sprawił to, wpłynął na tanto, wiele safery od przypadku. "A gdzie jest człowiek" - pytał - "gdzie jego wola, jego myśl? ! W miarę rozwoju świadomości w społeczeństwie znaczenie przypadku musi maleć - Wiedza jest wrogiem przypadkowości ! ! "....

W ten sposób już w styczniu roku 1939 znalazłem się w Moskwie jako student w "Centralnym Instytucie Medycyny Tropikalnej" na czele którego stał Minister Zdrowia Federacji Rosyjskiej Sergiusz Siergiejew, prowadzący równocześnie wykłady z rozległej wiedzy epidemiologii. Dziekanem Katedry Entomologii Medycznej był laureat Nagrody Stalina Akadernik Włodzimierz Nikołajewicz Beklemiszew, lubiany i

ceniony pedagog oraz przyjaciel młodzieży akademickiej, człowiek nieprzeciętny, a prosty i bezinteresowny, szlachetny z pochodzenia i postępowania, choć bezpartyjny. Katedrą parazytologii kierował Akademię Eugeniusz Pawłowski, Polak, również laureat Nagrody Stalina.

At więc znalazłem się w środowisku centralnym, naukowym, na ciekawych studiach, a więc w dalszym ciągu udaje mi się uniknąć losu mego brata Miku Włodzimierza, losu i innych w tym roku zapisanych krwawymi zgłoszani dla wielu ludzi wciąż uznawanych za niepewnych politycznie, ~~zostali~~ pozostających w ewidencji i pod nadzorem tych, którzy wszędzie i w każdym doszukiwali się rzeczywistych lub potencjalnych przedstawicieli V-ej Kolumny.

Nastroje w Kraju Rad w tych ostatnich latach nie były paniczne, ale poważnie zastanawiano się nad zjawiskami i zmianami polityki światowej. Jednakże nikt z ludności Kraju Rad nie był w stanie przewidzieć kto i jakiego rodzaju wojnę przygotowuje ?..

Niepokoiliło uparcie wrogie Związkowi Radzieckiemu stanowisko władz Polski samocyfnej - Polski zaślepionej nienawiścią do Wschodu i szukającej sojuszków z Francją i Anglią, zawierającej z tymi państwami bombastyczne, ale bez rzeczywistych gwarancji pozostające układy i umowy.

A co u faszystów? Co u odwetowców niemieckich? Co u Hitlera, wroga Nr 1 nie tylko komunizmu, nie tylko socjalizmu, ale i demokracji, ale i wszelkiego poczucia sprawiedliwości i słuszności, wroga oświadczonego, ras podrzędnych, wszystkiego co nie uznaje edwiecznego hasła: "Deutschland uber alles!".

Hitler i jego Sztab Generalny, na spotkaniu w dniu 22 sierpnia 1939 roku z najwyższymi dowódcami Wehrmachtu, odbytym w Obersalzburgu, powiedział krótko i zwięźle:

"Nie miejcie litości!".

Bądźcie brutalni! Osiemdziesiąt milionów Niemców musi otrzymać to co im się należy - Lebensraum!..Ich egzystencja musi być zapewniona. Najcienniejszy ma prawo za sobą - jak mówi testament Wielkiego Fryderyka pozostawiony Narodowi Niemieckiemu. Stosujcie więc surowość jaknajwiększą!.. Nasza siła leży w naszej szybkości i brutalności i nie może nie obchodzić co o mnie myśli słaba i niezdeterminowana Europa. ~~Ważne~~ Wydałem odpowiednie rozkazy i każdy dowódca musi rozstrzelać każdego kto nie wykona jego rozkazu. "Befel ist Befel!". Wojna nie ma na celu dojście do pewnej linii - wojna ma celu zniszczenie każdego przeciwnika - narsie Polski!

Słowa te nie były tylko pogrózkami bez pokrycia.

Zorganizowanie w składzie Wehrmachtu grup operacyjnych policji bezpieczeństwa i Formacji "SS" stanowiło organizacyjny wyraz woli fizycznego wyniszczenia Polaków, a w dalszej kolejności i Rosjan, zaś przyjęcie zasady że "prawo jest po stronie silniejszego" spowodowało odejście dowódców Wehrmachtu, nawet wysokiego, centralnego szczebla, od Regulaminu wojny lądowej, stanowiącego załącznik do IV-ej Konwencji Haskiej z 1907 roku, która była ogólnie przyjętą normą międzynarodowego prawa wojkowego.

Spowodowało to zarządzenie bombardowania przez lotnictwo otwartych miast i ostrzeliwanie ludności cywilnej bez żadnego ograniczenia, a ponadto uruchomienie przez wywiad wojskowy, w porozumieniu ze służbą bezpieczeństwa, t.zw. V-ej Kolumny na tyłach wojsk polskich. Podbudowane to było również tajnym zawarciem układów "Ribentrop - Mołotow" w r. 1939, dotyczących IV Rozbioru Polski, jak zeznawał później, w procesie Norymberskim, szef wywiadu wojskowego/Abwehry/ generał niemiecki Lahusen. W końcowych dniach sierpnia 1939 roku wojsko i ludność cywilna Polski nie wiedziała jaki los gotują jej hitlerowcy uzbrojeni po zęby przez kapitał światowy anglosasów, a Polska wydana była na łup w celu dojścia lawiny żelaza, stali i ognia daleko na Wschód, aż po Wołgę i Ural. Ale wiedział o tym Stalin i jego wywiad, kiedy podpisywany był układ Rosji z Niemcami Hitlerowskimi. W polityce nigdy nie było i nie będzie żadnych skrupułów i sentymentów, Stalin oddawał Polskę bo nie była jego, nie dawała mu nic, a liczy się tylko siła, której do planowanego rozbięcia w przyszłości Niemiec Hitlerowskich Stalin wtedy jeszcze nie posiadał - przebował natomiast czasu na dozbrojenie się i przezbrojenie, które było właśnie w pełnym toku przygotowania w całym kraju, jak długi i szeroki.

W starożytności Homer powiedział: "Wszystko się dzieje z woli bogów" a Józef Stalin, duchowny przecież z wykształcenia, homerowskie słowa przefrazował, mówiąc: "wszystko się dzieje z woli kapitałów i "biznesmenów". A biznesmeni schwytni byli właśnie za gardło i duszeni kryzysem inflacji i bezrobocia, przerażeni widmem rewolucji klasowej, znienawidzonej przez Zachód. W Ameryce liczba bezrobotnych sięgała 16 milionów, ludzi, którzy ustawicznie się burzyli a często wzrok swój kierowali na czerwone gwiazdy Krenla - bieda bowiem nie pachnie, a chleb powszedni wcale nie jest tak powszedni jak mówi się o nim w modlitwie Pańskiej.

W dniu wybuchu II-giej Wojny Światowej Niemcy Hitlerowskie rzuciły na wydaną im na łup Polskę : 36 dywizji i 6 brygad piechoty Wehrmachtu, 7 dywizji pancernych, 4 dywizje zmotoryzowane, 3 dywizje strzelców górskich, Szarotka/, 1 brygadę kawalerii - ogółem siły Wehrmachtu, zebrane w pięść pancerną, wynosiły 1.600.000/jeden milion sześćset tysięcy/ żołnierzy dysponujących 4 tysiącami dział, 3-ta tysiącami czołgów , i ponad 3-ta tysiącami samolotów, Luftwaffe/, i to samolotów szybkich, o nowoczesnej konstrukcji: Messerschmidów, Junkersów, Heinkelów. Wszystko to na granice trudne do obrony, położone i rozciągnięte w różnych kierunkach.

A Polska ?- ?... 39 dywizji i 3 brygady dobrze wyszkolonej piechoty,

2 brygady zmotoryzowane, 11 brygad kawalerii będącej elitarnymi jednostkami Wojska Polskiego - ogółem pod bronią było *określenie* 100.000 /~~sto~~ ^{cztery} ~~tysięcy~~ / żołnierzy oraz : 2 tysiące dział, 300 czołgów i 700 uzbrojonych "tankietek" /jeżeli CKI w tankietce/ i 400 samolotów "Karasi" głównie, ciężkich, mało zwinnych i mało szybkich.

W toku, ~~krócej~~ już pod koniec wojny Niemiecko-Polskiej , w dniu 17 września 1939 roku rozpoczęły się w dodatku wspólne działania strategiczne Niemiec I Rosji przeciw Polsce, działania, których terminy i zakres zostały ustalone w umowie "Rabentrop-Ribbentrop".

Umowa ta zawierała również wstępne porozumienia w sprawie przyszłych granic - na wschodzie granica ta miała przebiegać wzdłuż "linii Curzona" , a Przenyśl, Lwów, Tarnopol, Drohobycz, Wołyń i Podole, oraz Wilno miały być na zawsze już wcielone do Rosji.

Rzeczpospolita Polaka, "bękart urodzony w Wersalu" już nigdy nie miał figurować na mapie Europy.

Taka była sytuacja , takie układy sił militarnych i politycznych w mojej Ojczyźnie - a j a ? ? ?

Mieszkałem więc w Moskwie i studiowałem entomologię dzięki uznaniu mnie za godnego tych studiów i poparcia jakie okazał mi znowu izraelita , człowiek wysokiej klasy , człowiek, którego dewizą postępowania był nie przypadek, nie sympatia, lecz rozległa wiedza , znajomość życia i ludzi . Mieszkałem w samym centrum Moskwy, przy Bulwarze Nowińskim Nr 10, w Akademiku I-go Centralnego Instytutu Medycyny. Mieszkałem w pobliżu Kremła , niejednokrotnie widziałem na trybunie Stalina, a raz dostrzegłem go w jednym z sanochdów zdążających kawalkadą na Plac Czerwony. Wspominam o tym , jako o jednym z szczegółów dotyczących osoby tego niezwykłego człowieka, którego bliższą sylwetkę właśnie zamierzam naszkicować.

Na powzięcie przez mnie tak odważnej decyzji, naszkicowania postaci Wodza Kraju Rad, pozwala mi fakt iż posiadam do takiego szkicu sporo materiału : - słyszałem jego przemówienia, czytałem wszystko co napisali co o nim pisano, wsłuchiwałem się i w entuzjastyczne i w ostro potęplające słowa opinii wypowiedzianych o nim przez tych, którzy mieli bliższe z nim kontakty, analizowałem oceny tego człowieka wypowiedziane w radzie i prasie przez autorytety polityczne i społeczne wielu krajów - słowem chwytalem i utwalałem w sobie, a następnie rozkładałem "należynniki pierwsze", wszystko co jego dotyczyło, sięgałem do źródeł, najgłębszych, najistotniejszych przyczyn jego działania, planowania, rozkazywania, przewidywania i odpowiedzialności - i oto jakin go widzę.

W latach przedwojennych mówiono o Stalinie wiele, zarówno dobrze jak i źle. W oczach szarego człowieka był człowiekiem czynnym, bardzo podejrzliwym i wymagającym władcą 1/5 części globu ziemskiego. Był wzrostu raczej niskiego, chodził cicho i beczszelestnie jak kot, żółte jego oczy były puste, spojrzenie ich było chłodne, stanowcze, bezwzględne a potrafiło też być oschłe, lub ostre jak stal. Kiedy patrzył w oczy rozmówcy, był dobrze opanowany, badawczy, sam nie dając się poznać. Nie wiadomo było co myśli, co czuje, jaką poważnie decyzje ten zastępujący na ziemię przedstawiciel Olimpu, a tacy zawsze przejmują śmiertelnych udretek.

Był dobrym, wytrawnym i wyrachowanym statystą posiadającym cenną a rzadką zaletę cierpliwego wysłuchiwanie opinii innych, analizowania w locie ich relacji, wychwytywania z niej rzeczy najistotniejszych, najprawdziwszych, najprzydatniejszych - resztę, wodę, ozdobniki, zbędne szczególiki pozostawiając uwadze innych, swym podwładnym. Umysł miał bystry, ufał tylko faktom i tylko z faktami się liczył. W stosunkach z podwładnymi był człowiekiem twardym i nieustępliwym, nie znosił żadnego oporu. Mając apodyktyczny charakter patrzył ostro w przestraszone oczy rozmówcy, słuchał, myślał - i milczał. Łatwo dawało się zauważyć, że Stalin czyni wysiłki żeby zachować w rozmowie, naradzie czy dyskusji, wyraz natężonej uwagi i powagi, twarz jego stawała się dobrze przybraną maską stosowną do wydarzeń i okoliczności. Tylko nieliczni potrafili, nie zrażeni wzrokiem Stalina, patrzeć mu prosto w twarz i nie opuszczać oczu. Takich czasami doceniał, a czasami usuwał, nawet kiedy wiedział że mówią prawdę. "Kłamstwo dlatego prosperuje - mówił - że prawdy każdy pragnie tylko dla siebie samego". Z natury podejrzliwy nie ufał nikomu nawet ludziom z najbliższego otoczenia - z wyjątkiem Berii.

Jedna z licznych rozmów tych dwóch Gruzinów, prawie rówieśników, i chyba prawie przyjaciół / jeśli tak ten ich wzajemny stosunek można nazwać / toczyła się w gabinecie Stalina na Kremlu - a oto jej echa i odgłosy przedostające się nawet przez takie mury :

" Widzisz , kochasiu, że w twoim dzisiejszym raporcie też są fakty potwierdzające że Polacy, Francuzi, a zwłaszcza Anglicy, szczują Hitlera na nas, co zresztą robi też i jego naród. Nasze obecne położenie jest ciężkie i ciężkie - nie chcę wojny ! - sam wiesz że nie jesteśmy gotowi do niej ! - Potrzeba nam kilka jeszcze lat czasu żeby się porządnie zagospodarować na Uralu i w innych zagłębiach przemysłowych Syberii. Ale nie da się już tego na czas dokonać. Wszyscy patrzą na nas ze strachem - z wyjątkiem Hitlera - wydajemy się tym wszystkim silni i potężni, niebezpieczni! - Anglicy co raz wyraźniej szczują na nas Hitlera, po Monachium w całej Europie wrzeszczy się, że to my zagrażamy pokojowi świata!. Nie mogą ci krzykacze strawić tego faktu, że nasz głos sięga coraz dalej. Ciągłe teraz kładą Hitlerowi do głowy : strzeż się Rosji ! uprzedź bolszewików !. działaj szybko i sprawnie - my nie będziemy ci przeszkadzali. Zachód politykuje, szcruje, kombinuje - zarysowuje się "oś" Berlin-Rzym-Tokio, a na południowej naszej flance Turcy nie dochowują traktatu pokojowego - sam widzisz, że nasilili ostatnio przerzuty broni i ludzi na północny Kaukaz i Zakaukazie!"

--- "Robimy co do nas należy - cicho, jak by z pokorą głose, wtrącił Beria - granice są dobrze strzeżone ".

Stalin uważnie popatrzył na Berię , podszedł do biurka i z wyciągniętej z niego szuflady wyjął fajeczkę i woreczek z tytoniem. Po nabiciu fajki tytoniem i przygnieceniu go dużym palcem, zapalił fajeczkę, zaciągnął się , i kontynuując swój spokojny marsz dookoła stołu, mówił dalej : "Strzeż, strzeż jeszcze lepiej - wiesz , znasz ostatnie wypadki na Kubaniu i Zakaukaziu - wiesz że Turcy i Japończycy oczekują tylko na rozwój i przebieg wypadków, utrzymują swoją neutralność do czasu, a równocześnie modernizują swoje jednostki wojskowe i flotę !- przezbrajają się w sprzęt nowoczesny. A na morzu, tak czy owak, flocie naszej w pojedynkę bić się wypadnie. Trzeba nieustannej czujności i ćwiczenia we wszystkich rodzajach broni . Armaty same nie strzelają - potrzeba do tego wyćwiczonych, sprawnych ludzi !Przeto : czujność ! nieustanna czujność !.."

Stalin cicho chodzi po gabinecie trzymając w lewej ręce zgasłą fajkę - zatrzymuje się niekiedy przed Berią, akcentując tym to lub inne zdanie, jakąś ważną myśl ze swych wynurzeń.- kładzie na ramieniu Berii swą silną , grubą rękę, ściska mocno ramię Berii.

Mówiąc o ludziach Stalin sam nieraz dobierał do tych czy innych zadań tych, zdaniem jego, najlepszych i najodpowiedniejszych, którzy wysoce cenili sobie ten wybór i, wiedząc komu go zawdzięczają, kto im ofiarowuje karierę wojskową, okazywali ślepe posłuszeństwo swemu protektorowi.

" Imperator Piotr I mawiał - w pewnym momencie kontynuował Stalin - że władca rozporządzający tylko armią lądową, ma jakby tylko jedną rękę - a jeśli ma jeszcze flotę, to ma już obie ręce!..

Pragnę, drogi Laurenty Grigoriewiczu, żeby te obie ręce mocne były i dobrze służyły ojczyźnie, strzegły granic naszego kraju jak źrenicy oka!.. Pamiętaj! - ten kto widzi zło milczy i zła pobłaża, ten interesów swej ojczyzny i partii nie przestrzega!.. Wojny spodziewam się od dawna, Laurenty Grigoriewiczu - cicho mówił Stalin dalej - i myślę, że jej żelazna logika, a szczególnie okrucieństwo wojny, postawi każdego na to miejsce, które powinien być zajmować. Jeżeli w czasie pokoju można było, dzięki poparciu partii lub w drodze intrygi zostać dowódcą pułku, lub nawet dywizji, to żadną miarą nie może na wojnie zapewnić zwycięstwa. W roku 1937 zrobiliśmy źle zmieniając wielu dowódców - gdyż na 180 obecnych dowódców dywizji zaledwie 25 posiada wyższe wykształcenie wojskowe i ogólnotechniczne - ale trudno! Zresztą nac to, że niemieckiej Abwehrze udało się wprowadzić nas w gruby błąd! - pamiętajcie, że najmądrzejszego da się oszukać - ale tylko jeden raz! Na to zresztą i swoje dobre strony: Wojna wyciągnie na widownię ludzi zdolniejszych, lepszych, mądrzejszych, różniejszych!.. Wojna ujawni i ukarze tchórzostwo, kłamanie, ograniczenie - a jeśli żołnierz czy dowódca jest coś wart, wyniesie go wysoko - skończy się nasze tradycyjne "awoń" - "jakoś tam będzie", wojna odrzuci i utnie wszystko co przypadkowe, co nie wytrzyma ogniowej próby - wielu dowódców będzie musiało odejść!... Nasza partia - kontynuował Stalin - w następujący sposób ocenia ^{Sytuacja}, która wytworzyła się obecnie: kraj stanął w obliczu wyboru - albo zdecydować się na świadome obniżenie poziomu życia obywateli do maksimum wytrzymałości i do możliwości krańcowych, bohaterskich wysiłków skierowanych na stworzenie w jaknajkrótszym czasie potężną gospodarkę i potężną siłę obronną - - albo zostać raz na zawsze zmiażdżonym przez połączone siły międzynarodowej reakcji, dopuścić do rozeznaczenia kraju - Syberia po Ural dla Japonii, Ural dla Francji, Kaukaz i Zakaukazie - dla Wielkiej Brytanii - są takie plany znamy je, mamy na to niezbitą dowodę!... Nawet Turcja za oddanie swych terenów na "placдар" do natarcia na nas z flanki południowej ma otrzymać Krym, łącznie z Baku!.. Nie bez nagrody pozostaną

Nadszedł rok 1940. Przeżyliśmy już boleśnie upadek Ojczyzny Polski. Jestem już na stanowisku Entomologa Medycyny Kraju Krasnodarskiego i pochłania mnie walka z pierwszymi trudnościami organizacyjnymi, przeważnie teraz związanymi z rozbudową starych, zaniedbanych, i budową nowych lotnisk przeznaczonych pod samoloty "Aeroflotu" wydzielone specjalnie do opylania środkami chemicznymi jednego miliona na nadkubańskich bagnisk i pól ryżowych będących wylęgarniami noskitów i komarów. Tylko 100 tysięcy na stref przybrzeżnych opyla się ręcznie przy pomocy specjalnych "plecakowych rozpylaczy" co wykonują grupy specjalistów "bonifikatorów". Szef budżetu "Krajzdrowu" / Wydziału zdrowia/, Edward Benesz, Czech z pochodzenia, wyrobił, na mój wniosek dodatkowy etat specjalisty do spraw "aeropylania" bagien i trzaskawisk, na które to stanowisko zaangażowałem inżyniera Lorozowa porucznika rezerwy, któremu też powierzyłem zadanie opracowania zasad i metod ścisłej współpracy z lotnictwem wojskowym. Rozpoczęliśmy dość trudną budowę lotnisk zlokalizowanych w warunkach górskich Kaukazu, w Soczi i Tanani, w pobliżu miasta Tienriuka leżącego tuż nad zatoką Kierczyńską. Nieco łatwiejszym już zadaniem była modernizacja i przedłużanie pasów startowych lotniska wojskowego w Stacji Krymskaja, na zapleczu Anapy i Noworosyjska. W ten sposób będący w swej istocie kamuflarzem, kraj zyskiwał dla swej obrony nowe lotniska, przy czym inwestycje te były finansowane z budżetu ochrony zdrowia Kraju Krasnodarskiego. Moim osobiście głównym zajęciem było w tym okresie kierowanie pracą szkoleniową i prowadzenie wykładów /nówiąc nawiasem - dobrze płatnych/ w jednostkach wojsk lotniczych, wchodzących w ścisłe sfery wojskowe, tak zw. "ekip sanepidu" czyli bonifikatorów wojskowych przeznaczonych do zwalczania malarii przez walkę z moskitami i komarami, nosicielami tej choroby. Równocześnie podjęte zostały prace melioracyjne w celu osuszenia terenów podmokłych. Prace te prowadziliśmy i nadzorowaliśmy w pobliżu miast od Krasnodaru po Adler, Soczi, Gruzin, Dolinę Śmierci, nad Morzem Czarnym, a zaplanowane i prowadzone one były pod kierownictwem inżyniera-melioranta pochodzenia francuskiego, niezłajkiego pana Tissaut, ożenionego z rosyjanką i już piszącego swe nazwisko w rosyjskiej transkrypcji :Tissow. Dostał się on do Rosji wraz z ekipą barona Wrangla, w której był zatrudniony jako spec od spraw technicznych, upodobał sobie kraj i ludzi i pozostał już w Rosji na stałe, nieznacznie już tylko teraz zniekształcając trudną dla Francuza wymowę w języku rosyjskim.